

Brayfield Celia

Kolia

Prolog

Londyn, 1991

Nienawidziła wszelkich przesądów z wyjątkiem jednego, który stanowił jej osobisty, własny element rytuału. Jeśli uda jej się skrać poranek dla siebie, cały dzień będzie wygrany. I dlatego, że wreszcie sama zaczęła w to wierzyć, a jej kochanek narzekał, kiedy opuszczała go przed wschodem słońca, wołała sypiać samotnie. Jej energia przerażała ludzi. Ostatnio zaczęła przerażać ją samą.

Ponieważ tego dnia musiała odnieść zwycięstwo, Bianka Berrisford zjawiła się w firmie równocześnie z gońcem z nocnej zmiany, który właśnie przybiegł z drukarni. Wręczył jej próbną odbitkę katalogu organizowanej przez jej firmę aukcji rosyjskiej biżuterii i dzieł sztuki. Zaakceptowała wydruki, potwierdzając to nabazgraną parafką, potem usiadła, żeby je przejrzeć, po czym podpisała całość do druku. I wtedy przypomniała sobie, że niezbędny jest podpis jeszcze jednego dyrektora. Czekanie stanowiło istną torturę, ale będzie musiała się uzbroić w cierpliwość.

Wstała zza biurka i przyglądała się okładce z różnych stron, zadowolona z jej wyglądu. Rodzina Berrisfordów od trzech pokoleń była związana z handlem dziełami sztuki. Krążyły opinie, że Sotheby's to krętacze, Christie's sztywniały, zaś Berrisfordowie to prawdziwa klasa.

Bianka Berrisford odniosła sukces, i przynajmniej w tym stała się wreszcie typową członkinią swej rodziny. Dzięki niej Berrisfordowie z drugorzędnego, zakurzonego domu aukcyjnego, jakich w Londynie wiele, stali się jedną z prężniejszych i bardziej poważanych firm w branży nie tylko w kraju ale i poza jego granicami. W najlepszych okresach Berrisfordowie całkowicie kontrolowali rynki światowe.

Ostatnio jednak panował zastój. Londynowi przestało wystarczać paru Japończyków, którzy chcieliby tanio kupić

Celia Brayfield

kilka niewielkich Renoirów. Dziwne, ale klęska też ma swój specyficzny zapach. W powietrzu, tak jak przed deszczem, unosi się wtedy delikatna woń: nieokreślona, lecz doskonale wyczuwalna. Właśnie ten zapach czuła teraz Bianka. Nie bała się. Klęska zapowiadała jej spokój, ciszę, która nadejdzie po ostatecznym upadku. Spokój i wolność. Ostatnio coraz częściej zdarzały się chwile, kiedy wręcz marzyła o przegranej. Po co się szamotać, skoro kres i tak był nieunikniony?

Jednak kiedy rozważała wszelkie za i przeciw, nieodmiennie zwyciężał jeden wzgląd. Jeśli przegra, okaże się, że jej mąż miał rację. Jej były mąż. Każdego dnia w jej pamięci niczym bicie dzwonu dźwięczała jego groźba, że pewnego dnia ją zrujnuje, o ile ona sama przedtem tego nie zrobi. Lovat dotrzymywał słowa. W innej sytuacji uznałaby to za zaletę. Teraz Bianka była zmęczona, jej wola walki coraz bardziej słabła. Jednak słowa Lovata jak trzask bicia nad głową podrywały ją do boju. Musiała walczyć. Jej przegrana stanie się jego zwycięstwem.

Bianka posiadała dar, który czasem okazywał się nadzwyczaj przydatny - w chwilach rozterki wyglądała na spokojną i opanowaną. Niepokój sprawiał, że jej blada twarz stawała się bez wyrazu, miękkie rysy się zaostrzały. Gęste proste brwi ścigały się w równą kreskę, nozdrza rozszerzały, usta zaciskały w wąską linię. Teraz siedziała wyprostowana za biedermeierowskim biurkiem - w gabinecie zawsze umieszczała jeden wspaniały mebel albo obraz w najmodniejszym ostatnio stylu - wsłuchując się w odgłosy budzącego się do życia biura. Nieruchoma, ze splecionymi ramionami wyglądała jak marmurowy posąg.

Rozległo się pukanie. Wstała, żeby otworzyć podwójne drzwi. Do gabinetu weszli dwaj portierzy ubrani w uniformy Berrisfordów: koszule w szare paski i zielone filcowe fartuchy. Wnieśli obraz i z rewerencją należną uznanemu dziełu sztuki umieścili go na sztalugach, które ciągnęły się wzdłuż wszystkich ścian gabinetu. Za mężczyznami wkroczył jej ojciec, po drodze zostawiając sekretarce płaszcz z wielbłądziej wełny, filcowy kapelusz i czarny parasol. Wreszcie z miną szczęśliwego posiadacza ustawił się przed obrazem.

- Wyglądasz na zmęczoną.

To było jego tradycyjne powitanie.

- Och, wiesz, chłopcy...

Przywołała na twarz łagodny macierzyński uśmiech i ze-

rknęła na biurko, gdzie stała oprawiona w proste, srebrne ramki fotografia dzieci. Nic nie odpowiedział. Pierwsza runda dla niej.

Bianka miała trzech synów i córkę. Bardzo szybko odkryła, że posiadanie trzech synów to prawdziwy as w rękawie. Począwszy od lekarzy ginekologów, niemal każdy mężczyzna na wieść, że ma do czynienia z matką trzech chłopców, zaczynał spoglądać na Biankę z pełnym niedowierzania uwielbieniem.

Matki, zajęte robieniem kariery, przestawały pytać, ile czasu spędza z dziećmi. Na pewnym włoskim kelnerze na Capri informacja, że Bianka jest matką trzech synów, zrobiła takie wrażenie, że przestał się wzbraniać i dał jej, a nie jej towarzyszowi, rachunek do zapłacenia. Klienci z Bliskiego Wschodu dowiedziawszy się, że rozmawiają z matką trzech synów, mogli spokojnie patrzeć jej w oczy. Nikt nie śmiał podawać w wątpliwość wartości osoby, która urodziła trzech potomków płci męskiej, a już na pewno nie jej ojciec, który miał dwie córki. Bianka gardziła ludźmi, którzy się poddawali, gdy zagrywała swoją kartą atutową, a szczególną przyjemność sprawiało jej obracanie przeciwko ojcu jego własnych przesądów.

- Co sądzisz o tym teraz, po renowacji?

Wstała i podeszła do obrazu, przyglądając się z bliska miejscu, w którym dokonano retuszu.

- Bez wątpienia jest to jeden ze wspanialszych portretów, jakie kiedykolwiek sprzedaliśmy - oznajmił.

- Całkowicie się z tobą zgadzam.

Konserwator zostawił lekkie smugi kurzu i nieco zadrapań, żeby obraz wyglądał tak, jakby go w ogóle nie tknięto.

- Kamień milowy w historii malarstwa portretowego. Realizm, narracyjne, niemal alegoryczne wykorzystanie szczegółów, rosyjska bujność i prawdziwie europejskie wyrefinowanie...

Wysoki, zgrabny Hugh Berrisford zaczął się kiwać niczym skrzypek, kołysany melodią własnych słów.

Przerzedzone siwe włosy odsłaniały wysokie, gładkie czoło, na którym przy odpowiednim świetle można było dostrzec spletaną siatkę żył, charakterystyczną dla starszych ludzi.

- Wyjątkowy obraz - powiedziała Bianka.

- I pomyśleć, że od dziesięcioleci za Żelazną Kurtyną marnowały się takie wspaniałe talenty, nie odkryte, nie doceniane...

Celia Brayfield

- Tak, prawda?

Zaczął się kolejny dzień. Koniec wczesnego poranka, koniec samotności. Do jej świata wtargną nowe wydarzenia, będą się tłoczyć ludzie. Na okładce katalogu widniała reprodukcja stojącego przed nią obrazu. Bianka wzięła katalog i trzymając go w wyciągniętej dłoni porównywała z oryginałem.

Prawdziwe arcydzieło. Artystka wybrała młodą kobietę o gęstych ciemnorudych włosach i namalowała ją w garderobie przed lustrem, gdzie siedzi spoglądając spod krótkich rzęs na swe odbicie. Kobieta miała ciemne brwi wzniesione w ostre łuki przypominające dwa daszki, które nadawały jej twarzy wyraz zuchwałości, choć starała się go złagodzić, smarując je teatralną szminką.

Taką twarz dziewczyny znało tylko lustro. Po kilku chwilach widza ogarniało zażenowanie, czuł się intruzem naruszającym prywatność dziewczyny, ale równocześnie był nią coraz bardziej zafascynowany. Siedziała sama, próbując różnych kokieteryjnych gestów, które niewątpliwie wkrótce wypróbuje na swoim kochanku, czekającym za drzwiami. Miało się jednak wrażenie, że dziewczyna flirtuje z własnym odbiciem.

Pod obrazem widniał podpis: Primabalerina Lidia Kuzmińska, namalowana w 1912 roku przez Zinaidę Sierieb-riakową. Portret, choć olejny, nosił cechy grafiki. Czystość kreski, wierność szczegółów były tak silne, a temat tak odwieczny, że obraz mógłby równie dobrze wyjść wczoraj spod ręki współczesnego fotorealisty.

Mimo dumnego tytułu primabaleriny, Lidia Kuzmińska nie liczyła sobie więcej niż dwadzieścia lat. Była ładna, ubiór przyciągał uwagę, a otoczenie zostało zgrabnie zakomponowane. Mimo to w obrazie kryło się coś niepokojącego. Pozornie czarująca scenka, lecz malarka nie dała się zwieść. Kompozycja była przemyślana, odsłaniała atmosferę bezlitosnej kobiecej intymności, bogactwo obłudnej obserwacji. Schowane w tle barwiczki i pędzelki do pudru zostały zauważone i drobiazgowo odnotowane. Każdy przedmiot przywodził na myśl sztukę uwodzenia.

Młoda baletnica miała na sobie kostium - czarną spódniczkę z cekinami i czarnymi piórami - który przywodził na myśl Odylię, złą księżniczkę z *Jeziora łabędziego*. Dziewczyna była mocno umalowana, ale rozpuszczone włosy i ślady zmęczenia wskazywały, że malarka zaskoczyła ją w trakcie przebierania się po występie.

Kolia

W głębi garderoby leżały pastelowe ubrania i wstążki, porozrzucane wokół różowego, pluszowego szezlonga ozdobionego złotymi frędzlami. Można też było dostrzec zarys uchylonych drzwi, tak jakby dziewczyna oczekiwała gościa. Z wiklinowego kosza w kącie wychylał się bukiet kremowych, pełnych pąków jakichś kwiatów, ale uwagę bardziej przykuwała rzucona między poduszeczkę na igły a szczotkę do włosów przywiedła gałązka bzu.

- Znakomicie. Bałam się, czy naszyjnik trochę nie zginie, a tymczasem stał się jeszcze wyraźniejszy. Co o tym sądzisz?

- Przepraszam?

Hugh Berrisford sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał, co mówiła jego córka, która się obracała w mniej uduchowionych sferach.

- Przynieśli mi próbną okładkę katalogu. Chodź zerknąć. Mężczyzna niechętnie wrócił do rzeczywistości i rządzących nią praw rynku.

Centralnym punktem obrazu nie była kobieta, lecz kolia. Dziewczyna drobne dłonie przyłożyła do piersi, zwracając uwagę widza na przedmiot, który właśnie podziwiała. Naszyjnik przylegał do szyi, brylanty skrzyły się zimnym blaskiem, niczym mróz rysujący wzór na szybie. Całe mnóstwo brylantów, wielkie kamienie, prymitywnie szlifowane - a wszystko to tak wspaniale namalowane, że widziało się w nich każde najdrobniejsze załamanie światła. Artystka oddała fakturę brylantów i ich blask. Przyglądając się obrazowi z bliska, można było dostrzec mnóstwo delikatnych muśnięć pędzla. Wystarczyło odejść na dwa kroki, a patrzyło się na oszałamiający klejnot. Kolia nie była kwintesencją wyrafinowania i delikatności, przeciwnie, odnosiło się wrażenie, że jej twórca chciał w jednym naszyjniku zebrać jak najwięcej jak największych brylantów. Malarka oddała wiernie wielkość kamieni, ich szlif, ale wyraźnie sama nie podziwiała tego dzieła sztuki jubilerskiej. W obrazie kryła się kpiąca wątpliwość, czy rzeczywiście klejnot, który dziewczyna z taką dumą pokazuje, jest od niej cenniejszy. Oczywiście, widz podziwiał kunszt malarki, delikatne pociągnięcia pędzla, którymi odmalowała promienie światła rozjaśniające cień pod ostro zarysowaną bródką, artyzm, z jakim oddała ciężar naszyjnika wrzynającego się w delikatny karczek. Ale widać było, że dopiero nad samą szyją malarka pracowała z prawdziwym zapalem.

Celia Brayfield

Pergaminowoblada, pulsująca życiem skóra tancerki, zagłębienia w okolicach obojczyka, ślad potu, delikatna cera, błękitne żyłki i odrobina koloru na koniuszkach uszu sugerowały niesłychane podniecenie. A wszystko to było oddane z takim pietyzmem, że przykuwało wzrok i domagało się uznania dla dziewczyny z portretu.

Reprodukcja na okładce katalogu została umieszczona na zielonym tle. Ciemna zieleń - kolor kojarzony z tym, co w Anglii najlepsze: zielenią ogrodów, lasów i torów wyścigowych. Nad reprodukcją złotymi literami wypisano nazwę *Berrisfordowie*, poniżej zaś *Orzeł i wilga: aukcja rosyjskiego malarstwa i biżuterii w naszej londyńskiej sali wystawowej, U czerwca 1991 o 11.00. Wstęp tylko z zaproszeniami.*

Bianka Berrisford odsunęła się od ojca i stanęła przy wysokim oknie, wychodzącym na krótką, prostą Mayfair Street. Ulica była prawie pusta, kręciła się po niej tylko policjantka, cierpliwie czekając, aż parkometr przy którymś z prawidłowo zaparkowanych samochodów wskaże zero i będzie mogła odnotować w swoim zeszycie mandat za parkowanie bez opłaty.

Rok temu na wąskich chodnikach tłoczyliby się mężczyźni i kobiety w świetnie skrojonych ciemnych ubraniach. Limuzyny z szoferami podjeżdżałyby pod któreś ze szklanych drzwi do wielkich londyńskich domów aukcyjnych. W tym roku nikt nie kupował sztuki, a sprzedawali tylko ci, którzy nie mieli wyboru.

O ile Bianka dobrze pamiętała, także widoczne przez okno tylne wejście do sklepu Fortnum & Mason przed rokiem było obleżone. Oczywiście w większości wchodził tam ciekawscy, żeby obejrzyć najdroższy sklep w Londynie, ale wśród nich znajdowała się i spora grupa tych, którzy zaglądali tam, ponieważ mieli ochotę sprawić sobie jakieś ubranie. Teraz drzwi były zamknięte. Nikt niczego nie kupował.

Rok temu nie sposób było złapać tu taksówkę. Teraz tylko one krążyły po ulicy, a ich kierowcy niespokojnie badali wzrokiem chodniki w poszukiwaniu pasażera. Kupienie biletu do teatru czy znalezienie wolnego stolika w restauracji nie stanowiło teraz najmniejszego problemu. Ludzie śmiali się czytając afisze zachęcające do obejrzenia *Ducha w operze.*

Bianka kilkakrotnie głęboko zaczerpnęła tchu, jakby z trudem przychodziło jej oddychanie zimnym, wiosennym powietrzem, wyjątkowo wilgotnym nawet jak na Londyn. Drżący,

Kolia

13

nierówny oddech mógł być zapowiedzią szloch. Szczupłe, proste ramiona unosiły się i opadały w ciszy, tylko załamania na lśniącej tkaninie bluzki świadczyły o ich ruchu.

Bluzka była w stylu, który Bianka w duchu określała: „A co mi tam, jestem bogata”. Mimo ogólnego zastoju kolejki u Armaniego nie zmały, na uszycie czegokolwiek nadal trzeba było czekać pół roku. Czerwień, złoto, czerń, liście akantu, cętki - Biankę na widok tego wzoru ogarniały mdłości, ale jeśli dzięki tej bluzce ma zrobić wrażenie na jeszcze kilku głupcach, trudno, będzie ją nosiła.

Hugh Berrisford widział, że jego córkę coś gnębi. Uważał rozsadzającą ją energię za coś nienormalnego. Bianka byłaby piękna, gdyby nabrała trochę łagodności. Hugh, tak samo jak w innych kwestiach, miał wyrobioną opinię na temat urody. Uważał, że kobiety w typie jego córki - chłodne, blade, o delikatnych rysach twarzy, miękkich włosach nieokreślonego koloru i oczach przypominających mgłę nad rzeką - zasługują na miano piękności tylko wtedy, gdy są spokojne.

Jego zdaniem problemy Bianki polegały na tym, że przeżyła zbyt wiele, próbowała zbyt wielu ról. Rozsadzająca ją energia jak gwałtowna burza niszczyła, ale i rodziła: sztukę, dzieci, męża, rodzinę. Zbyt wiele kierunków, za wiele wcieleń jak na jedną osobę. Bianka nie pojmowała cnoty powściągliwości.

Oczywiście, próbował ją tego nauczyć, ale w Biance zawsze płonął buntowniczy ogień, który wzmacniał opór i rozpalał ambicje. Opiekuńczość, miłość, czułość - zakładał, że jako kobieta musiała kiedyś te cechy posiadać - wypaliły się w tym żarze, i teraz jej serce pozostało puste. Trzymała się kurczowo swego kawałka ziemi, jak uparty pień drzewa, właściwie obumarły, ale zbyt głęboko wrośnięty korzeniami, by można go wykarczować. Starał się współczuć córce, zmierzającej ku dojrzałości, ale coraz trudniej mu to przychodziło.

Teraz wyczuwał w niej silne emocje. Zawsze rządziły nią destrukcyjne uczucia: bunt, chaos, szaleństwo. Uspokoił się, tłumacząc sobie, że Bianka ogląda portret babki swojego kochanka - utraconego kochanka - i stąd jej niepokój. Na pewno odczuwa ból na jego wspomnienie. Nie przyszło mu na myśl, że to on sam może być źródłem jej troski. Bianka odeszła od okna i, aby odwrócić myśli, zaczęła podziwiać malarskie walory obrazu. Zdjęła go ze sztalug i oglądała w słabym świetle poranka. Trzymany w rękach

Celia Brayfield

portret Lidii Kuźmińskiej i ta kolia, otaczająca krągłą, młodzieńczą szyję, zapowiadały jej przetrwanie bądź ruinę. Obok tej świadomości kryło się coś jeszcze bardziej mrocznego i groźnego - podejrzania. Jeśli pogodziła się z klęską, potrafiła jej spojrzeć prosto w oczy. A ponieważ zawsze za wszelką ceną starała się być wobec siebie szczerą, co pewien czas wydobywała na światło dzienne tę straszną niepewność, dokładnie jej się przyglądała, uznawała za uzasadnioną, recytowała listę konsekwencji, jakie mogłaby przynieść i znowu chowała ją głęboko w najskrytsze zakamarki pamięci. Kiedy to uczyniła tym razem, chciwość malująca się na twarzy Lidii Kuźmińskiej stała się jakby wyraźniejsza.

Biance zabrakło tchu, w piersiach nadal coś paliło. W pamięci odżył obraz Lovata tamtego dnia, kiedy zażądała rozwodu. Wydawało jej się, że nagle urósł, pociemniał, stał się mroczną sylwetką. „Sama nie wiesz, w co się pakujesz. A to skończy się całkowitą, absolutną, żalostną klęską. I nie myśl sobie, że będziesz mogła mnie poprosić o pomoc. Po tym, co mi zrobiłaś, nie cofnę się przed niczym, żeby cię wykończyć. Ciebie i tę twoją cholerną rodzinę.” Ręka pewnie trzymała obraz, a baczego, przenikliwego spojrzenia artystki nawet na chwilę nie przesłoniła mgła. Wzięła od ojca próbny wydruk katalogu i kiedy się odezwała, jej głos był starannie modulowany - kolejna rzecz, której nie znosił. Brzmiało to sztucznie, jakby brała lekcje wymowy, żeby ukryć wulgarny akcent. A przecież umiejętność prawidłowej artykulacji nabyła już w dzieciństwie, i była ona jej naturalnym sposobem mówienia.

- Teraz wygląda o wiele lepiej, prawda? Łatwiej docenić kunszt portrecistki. Co o tym sądzisz?

Nie zwracała się do niego po imieniu - tak jakby on sobie życzył, ani pieszczotliwym zdrobnieniem - tak jakby ona sama wołała. Kolejny drobiazg, co do którego nie mogli się porozumieć.

Hugh wyciągnął okulary, żeby uważniej przyjrzeć się okładce katalogu.

- Rzeczywiście, widzę poprawę - odparł wstrzemięźliwie. - Oczywiście, o ile nadal chcesz wykorzystać ten portret.

- Doskonale wiesz, że tak. - Jej głos natychmiast stwardniał, pobrzmiwała w nim irytacja. - Rozmawialiśmy już o tym setki razy.

- Sądzę tylko...

Kolia

9

Hugh Berrisford uważał, że córka miała prawo się zdenerwować, ale nigdy się nie zgodził na przemilczenie własnych opinii jedynie z tego powodu.

- Sądzę tylko, że taka okazja jak kolia Orłowa trafia się tylko raz i należałoby ją właściwie wykorzystać.
 - Toteż właśnie to robimy.
 - Nie sądzisz chyba, że ktoś zapłaci pięć milionów dolarów...
 - Funtów.
 - ...że ktoś zapłaci taką sumę za kolie, którą będzie znał wyłącznie z obrazu.
 - Zgodziłeś się, że to wspaniały portret.
 - Tak, ale nie oddaje sprawiedliwości tej kolii. Zresztą ludzie mogą tego nie zrozumieć. Będą uważali, że chodzi o obraz, a nie o naszyjnik.
 - Przecież obraz także jest wystawiony na sprzedaż.
 - Wiem, ale *clou* aukcji stanowi kolia. Ile portretów jest jeszcze na liście? Trzy, cztery? Tak, to znaczące dzieło, ale musisz wziąć pod uwagę, że popyt na rosyjską sztukę dopiero się rodzi...
- Bianka przestała go słuchać. Od kiedy sobie uświadomiła, że ojciec nie jest Panem Bogiem - co miało miejsce jakieś trzydzieści lat temu - ten mentorski ton automatycznie wyłączał część jej mózgu podatną na rady.
- Musisz pokazać ludziom naszyjnik i tylko naszyjnik - ciągnął, nie zdając sobie sprawy z reakcji Bianki. - Obraz pójdzie za jakieś trzydzieści tysięcy, góra. Jest dobry, ludzie są zainteresowani rosyjską sztuką, więc możemy liczyć na dobrą cenę. Wiem, że zmienia się charakter rynku dzieł sztuki, ale fakt pozostaje faktem: sprzedajemy kolie Orłowa. O tym będzie się mówić, to jest wydarzenie historyczne, prawdziwa sensacja. Ludzie przyjdą chociażby po to, żeby zobaczyć, kto ją kupi. I właśnie to powinna sugerować okładka katalogu, głośno i dobitnie.
 - Naszyjnik jest wyjątkowy ze względu na swoją historię. Stanowi sensację przez to, z czym się kojarzy, a portret wszystko wyjaśnia. Oto Kuzmińskaja w chwilę po zejściu ze sceny, w kolii ofiarowanej przez kochanka, księcia Orłowa, ostatniego potomka rodu, który od stuleci służył carowi. O ich romansie mówiła cała Europa. Ten, kto kupi kolie, kupi wspomnienie wspaniałych dni carskiego Sankt Petersburga, sławy rosyjskiego baletu, tragedii...

Celia Brayfield

- Moja droga, ja nie jestem potencjalnym klientem, nie musisz mi tego tak zachwalać.

Hugh Berrisford wybrał dość niefortunne porównanie, które obojgu przypomniało, że w tej chwili nie stać go nawet na byle sznurek kryształów górskich i że to jego błędna decyzja o finansowaniu pożądliwie spoglądających na ich skarby kupców o pustych kieszeniach doprowadziła firmę na skraj bankructwa.

Hugh wyczuł napięcie córki i szybko postanowił nie dopuścić do spięcia. W ten sposób także nie dopuszczał do siebie świadomości, że nie ma już żadnego wpływu na to, jak będzie wyglądała okładka katalogu, ponieważ, przynajmniej teoretycznie, wycofał się z interesu i firmą kieruje Bianka.

- Sądzę jednak... Skoro tak postanowiłaś - odezwał się po chwili z ugodowym uśmiechem na szczupłej, pomarszczonej twarzy. Oczy miał tak głęboko osadzone, że nie można było odgadnąć ani ich koloru, ani wyrazu.

- Tak.

Automatycznie przygryzła dolną wargę - nieświadomy nawyk z dzieciństwa, kiedy to w ten sposób powstrzymywała się, by nie powiedzieć ojcu tego, co sądzi naprawdę.

- A więc zgoda.

Miało to brzmieć jak łaskawe ustępstwo.

- Tak, chyba tak.

Wstała i z próbną okładką w ręku ruszyła w stronę sekretariatu. Nie mogła dłużej wytrzymać z ojcem.

- Pozwolisz, że cię na chwilę zostawię - powiedziała, otwierając drzwi. - Muszę zajrzeć do eksperta, który pracuje nad potwierdzeniem autentyczności, póki nie zwałą się tu wszyscy z Fundacji.

Hugh był dotknięty. Fundacja na rzecz Ochrony Sztuki Angielskiej, znana powszechnie jako FOSA, stanowiła w gruncie rzeczy przeniesienie na inny grunt wojny Bianki z Lovatem. Instytucja bowiem zbierała pieniądze, dzięki którym brytyjskie dzieła sztuki mogły pozostać w kraju, podczas gdy Lovat specjalizował się w wyszukiwaniu zapomnianych arcydzieł i sprzedawaniu ich japońskim bankom. Hugh zasiadał w radzie nadzorczej fundacji i obawiał się, że tam także będzie pozostawał w cieniu swej córki.

Nikt schodzący wąską, krętą klatką schodową Domu Aukcyjnego Berrisfordów, nawet przez chwilę by nie podejrzewał, że firma się rozpada. Wystrój był elegancki, ściany

Kolia

17

miały ciemnozielony kolor, wszędzie stały świeże bukiety kwiatów, a podłogę pokrywała gruba, miękka wykładzina pachnąca ziołami. Po korytarzach kręcili się młodzi, gładko uczesani mężczyźni i łóbiety z dużymi, oryginalnymi kolczykami w uszach. Duży dywan z Aubusson w szaro-złotej tonacji łagodził światło w klatce schodowej. Co pewien czas jakiś klient dał się skusić i siadał na wysokim krześle chippendale, które co prawda dawało wytchnienie nogom, ale nie sugerowało, że będzie wygodne.

Po objęciu władzy Bianka postawiła na nowoczesność. U Berrisfordów nie było miejsca dla zakurzonych sztalug, stojących zegarów, pozwijanych dywanów i rozłożonych wykładzin, charakterystycznych dla innych domów aukcyjnych. Tu pomieszczenia były przestronne i puste.

U Berrisfordów po raz pierwszy zdano sobie sprawę, że piękne przedmioty będą kupować przedstawiciele nowej warstwy i nowej kultury. W salach firmy tłoczyli się nuworysze, maklerzy, handlarze nieruchomości, bankierzy, prawnicy sądów arbitrażowych - słowem ludzie, którzy nie żywią szacunku dla tradycji, ale bardzo sobie cenią publiczne, ogólnie podziwiane i nieskazitelne z punktu widzenia etyki sposoby okazywania bogactwa. Ciche koterie koneserów zostały niemal dosłownie zmiecione przez nowobogackich, którzy jak wygłodzone harpie rzucali się na nowe trofea.

W sali aukcyjnej na pierwszym piętrze ściany pomalowano na czerwono, co dawało wrażenie ciepła i pobudzało energię. Biance to pomieszczenie zawsze przypominało słynną aukcję z czternastego maja 1989 roku - zaczęło się od zwykłej kotłowaniny, ale wreszcie szaleństwo opadło, a kupcy spoglądali po sobie przerażeni cenami, do których sami się popchnęli. Kiedy prowadzący aukcję z wahaniem opuścił młotek przy pierwszej rekordowej sumie, w sali zerwały się oklaski. Następny obraz pobił ten rekord. W sumie sprzedano siedem obrazów Matisse'a, każdy drożej od poprzedniego.

Na świecie jest może pięćset osób mogących zapłacić ponad dziesięć milionów funtów za obraz i tamtego roku Bianka rozmawiała prawie z każdą z nich. Nawet najświeżsi, najmniej wyrobieni kolekcjonerzy wyrzekali na wygórowane ceny. Utarg z czternastego maja 1989 roku wyniósł więcej niż obrót zaplanowany na pierwszą połowę roku.

Tego ranka odbywała się niewielka sprzedaż mebli.

Celia Brayfield

- Szanowni państwo, pięć tysięcy funtów. Pięć tysięcy funtów, pięć tysięcy funtów.

Patricka zatrudniła pół roku temu, przeszedł do niej ze Scottish National Gallery. Był młody, pewien siebie - wręcz urodzony licytator - i doskonale o tym wiedział. Jego angielski bez trudu rozumiano nawet w Nowym Jorku. Serce mu krwawiło na myśl, że miałby tak tanio sprzedać autentyczne biureczko w stylu Ludwika XVI.

- Pięć tysięcy funtów, pięć tysięcy pięćset, dziękuję panu, pięć tysięcy pięćset... Ktoś powiedział sześćset?

Niemal się rozpląwał z zachwyty stojąc za swoim pulpitem. Z jasnymi krótko otrzyżonymi włosami sterczącymi jak szczotka, z ręcznie malowanym krawatem stanowił uosobienie optymizmu, jednak publiczność pozostała niewzruszona i po kilku minutach tragarze niechętnie zabrali biureczko, a kupcy bez komentarzy na marginesach programów zapisali przy tej pozycji kwotę 5 500 funtów.

Patrick zdjął okulary, przeczyścił szkła. Niedawno ożenił się z bardzo obiecującą dziewczyną z działu Dalekiego Wschodu. Dziewczyna spodziewała się dziecka, choć możliwe, że jeszcze o tym nie wiedziała - Bianka potrafiła rozpoznać ciążę niemal od chwili poczęcia. Co się z nimi stanie, jeśli Dom Berrisfordów upadnie?

Wycofała się, nie chcąc nawet dopuścić do siebie myśli o klęsce i jej skutkach. Rosyjska aukcja będzie prawdziwym sukcesem! Już ona się o to postara. To proste. Zrobi wszystko, żeby zwyciężyć.

Nikt poza nią nie uświadamiał sobie, w jak groźnej sytuacji znalazła się firma. Księgowy wiedział tylko, że nie może korzystać z poręcznych grubych książeczek czekowych z wykaligrafowaną na okładce nazwą znanego, prywatnego banku. Kierownicy znali wysokość ubiegłorocznych strat i zdawali sobie sprawę, że firmy nie stać na drugi rok z takim deficytem. Bianka i jej doradca finansowy wiedzieli, że wysokość zaległych pożyczek udzielonych kupcom pod koniec roku przekroczy trzydzieści milionów funtów. Szef działu sprzedaży wiedział, że sprzedaż spadła co najmniej o połowę. Bianka, Hugh i były zastępca Hugh'a nie sądzili, aby się im udało sprzedać kolekcję impresjonistów, za którą zapłacili prawie milion, przynajmniej po cenie kupna. Jedyne prawnicy firmy żywili minimalną nadzieję, znaleźli bowiem niedopatrzienia w kontraktach z nowymi filiami, na których utrzymanie firmy nie było już stać.

Kolia

19

Inni członkowie kierownictwa Domu Berrisfordów wiedzieli, że zaciągnięto pożyczki pod zastaw licznych europejskich majątności firmy, choć nie znali dokładnej ich wysokości. Bianka od czasu do czasu spotykała się w Londynie na lunchu z dwoma bankierami, którzy nie zdawali sobie sprawy, że są rywalami.

Udziałowcy wiedzieli, że firma ponosi straty i że gdyby chcieli sprzedać akcje, chętnie kupi je Lovat Whitburn. Zgromadził już trzydzieści osiem procent pakietu. Dziesięć lat temu Whitburn zasiadał w kierownictwie firmy i był twórcą sukcesu Berrisfordów. Wtedy był również mężem Bianki. Dość głośno mówiło się, że winę za kłopoty firmy ponosi Bianka, która bezustannie usiłowała walczyć z Lovatem o każdego dolara i jena na rynku dzieł sztuki. Jej zdaniem występowała w obronie własnej.

Przynajmniej na parterze były jakieś pozory ruchu w interesie. Portier w liberii uwijał się, wpuszczając ludzi, którzy szarpali się z torbami, pakunkami i kartonowymi pudłami. Przy długim kontuarze stała kolejka.

- W tym momencie zrobił się co prawda pewien zastój w interesie...

- Nie mogę znaleźć podpisu...

- Oczywiście, w związku ze spadkiem liczby turystów amerykańskich...

- Rzeczywiście, doskonała kopia osiemnastowiecznego

wzoru...

- W obecnej sytuacji nie możemy zaakceptować takiej ceny, ale planujemy aukcję na początku przyszłego roku.

Gdyby wtedy nadal chciał pan sprzedać...

Główne biuro na dole Bianka nazywała *salon des refuses*. Obok istniało także osobne pomieszczenie dla likwidatorów. Pracowników firmy wyszkoliła osobiście. Sprzedający i kupujący, o to tu przede wszystkim chodzi.

Ani na chwilę nie można zapomnieć, że każdy, kto tu przychodzi, wyzbywa się ukochanych przedmiotów, ponieważ potrzebuje pieniędzy.

1 wszyscy snują domysły, ile ów przedmiot może być wart. Oczywiście, zawsze mówią, że to tylko odziedziczony po kimś starość, ale najprawdopodobniej ten starość to dla nich często wspomnienia z dzieciństwa, przedmiot dumy rodziny lub miłość do ukochanej ciotki. Właśnie stracili pracę. Ich firma zbankrutowała. Nie mogą spłacić pożyczki. Muszą wyjechać na urlop, ale ich nie stać. Porzucił ich współmałżonek. Ci

Celia Brayfield

ludzie cierpią. Trzeba być wobec nich delikatnym. Łagodnym. Jeśli sprzedają odziedziczone zbiory, spytać, co jeszcze było w zapisie. I nie wolno używać słowa „recesja”, nawet w myślach nazywać ich „ofiarami kryzysu”, albo powiedzieć, że rynek się załamuje i po wielkiej aukcji rosyjskiej firma nie ma niczego w planach. Trzeba myśleć pozytywnie.

Pokój zaśmiecały pomięte gazety i kartonowe pudła. Wszystkie twarde wiktoriańskie kozetki były zajęte, ludzie w małych grupkach w milczeniu cierpliwie czekali. Ciszę przerywały jedynie kasznięcia. Bianka nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek aż tyle osób chciało się pozbyć swoich skarbów, a tak niewiele mogło je kupić.

Zeszła niżej, do skarbcza w piwnicach. Wsunęła magnetyczną kartę w zamek automatyczny i otworzyła pancerne drzwi. Od czasów kiedy włamywacze obrabowali Aprey's przy Bond Street, forsując przy pomocy ciężarówki okno wystawowe, handlowe centrum Mayfair zaczęło przypominać warowną twierdzę. Bianka, której firma już wcześniej posiadała najlepsze zabezpieczenia, spokojnie mogła podziwiać tupet złodziei. Zawsze lubiła ludzi z tupetem.

Wszyscy krytykowali jej wrodzoną beztroskę, ale Bianka wiedziała, że bez niej pozostałaby nieciekawą, pozbawioną charakteru istotą, która chowa się za plecami rodziny.

W człowieku, który siedział w głębi pomieszczenia w kręgu światła rzucanego przez lampę, nie można by się dopatrzyć śladu beztroski. Wysuszony, kościsty starzec o żółtawej cerze wyglądał, jakby gwałtownie schudł; obwisłe wargi rozciągał w szerokim uśmiechu grubasa, odsłaniając poplamione zęby.

- Pani Berrisford! Cóż za uroda!

Z punktu widzenia stanu cywilnego nie była panią, ale panną Berrisford, ale ludzie zawsze tak się do niej zwracali, a ona nigdy ich nie poprawiała. Nie poprawiała także tych] którzy określali ją mianem urodziwej. Zresztą w tym momencie starzec mówił o drogocennych kamieniach, które spoczywały w kasetkach obok niego. Lśniły jak żywe. Wydawało się, że się poruszają. Na stoliku niczym lawa rozlały się taneczne błyski - od chłodnej bieli po płomienną czerwień.

- Rzeczywiście są bardzo piękne, prawda, panie Wyngarde?

- Wspaniale, przewspaniale.

Nosowe, przeciągnięte głoski zdradzały jego pochodzenie. Wyngarde przyszedł na świat w Rosji pod nazwiskiem Winogradów.

Kolia

15

- Doprawdy, sam nie wiem, jak wyrazić... - Ręce złożył na sercu, niemal się skłonił przed kamieniami. - To prawdziwy zaszczyt... choć raz w życiu... chociaż przez pół godziny... po prostu na nie patrzeć.

Jego nieskrywany zachwyty dodał jej pewności.

- Cieszę się, że się panu podobają.

- Podobają...?

Gdyby była młodsza, uszczypnęłyby ją w policzek. Nawet teraz go kusiło. Tak rozkosznie wykrzywiała usta! Górna warga niemal prosta, zmarszczony nos, niezgłębione błękitne, a może szare oczy, dość równe brwi, które u kogoś innego wydawałyby się brzydkie, a u niej wyglądały wręcz urzekająco.

- O takiej biżuterii nie można mówić, że się podoba. To się kocha, czi, nawet uwielbia...

- Mnie jest potrzebne tylko potwierdzenie jej autentyczności. Jak pan sądzi, będziemy mieć jakieś problemy?

- Nie sądzę, nie sądzę. Nie, z pewnością nie. Nie widzę najmniejszych problemów.

Założył ręce na piersi, opierając się o krawędź stolika, jakby chciał pokazać, że nawet nie patrząc na klejnoty, może być ich pewien. Złoto i srebro, diamenty, szmaragdy, szafiry, rubiny, perły, ametysty, migocząca laka i mniej cenne kamienie lśniły w mocnym świetle lampy. Jak zwykle metodyczny, pan Wyngarde ustawił pudełka w równym szeregu.

- Wszystkie egzemplarze stylu *empire* Cartiera zostały skatalogowane, Faberge jest dokładnie, dokładnie taki sam jak na szkicach, a to... - odwrócił się i wziął do ręki diamentową ozdobę do włosów w kształcie strusiego pióra - hrabina Łuwarow została w tym sfotografowana, to bez wątpienia ten sam klejnot, tych linii i zagieć nie sposób podrobić.

Delikatnie odłożył ją na miejsce. Ręka zawisła na chwilę nad szeregiem lśniących klejnotów, wreszcie powoli wyjął z kasetki prosty złoty zegarek. Na kopercie widniał wizerunek dwugłowego orła i herb wysadzany drobnymi brylantami.

- Tu z kolei mamy zegarek Stołypina. Znowu oryginał, ponad wszelką wątpliwość, udokumentowany... Co za skarb, jakież niezwykle historie mógłby nam opowiedzieć. Świadek historii, omal nie przeszyła go kula mordercy... Nie, moja droga, nie widzę najmniejszych problemów.

- To dobrze. - Dlaczego ciągle mu nie dowierza?

- Znamy się tyle lat, że chyba nie obrazi się pani, gdy ją o coś poproszę.

Celia Brayfield

- Oczywiście, że nie...

- Doskonale rozumiem, że dała pani kolie Orłowa komuś innemu... - Przerwał. Wyraźnie był dotknięty, choć starał się sprawiać wrażenie obojętnego. Podejrzliwość wybuchła w niej ze zdwojoną siłą. - Ale byłbym ogromnie wdzięczny, gdyby pozwoliła mi pani ją obejrzeć, chociaż zerknąć...

Bianka bez słowa podała mu szkatułkę z jasnego brzoźowego drewna, wyłożoną białym jedwabiem, ze złotymi uchwytnymi po bokach. Pokrywę podzielono na cztery kwadraty, na nich umieszczono dwa zrywające się do skoku lwy i dwa orły. W środku spoczywały brylanty.

- Oto ona, panie Wyngarde, a przynajmniej tak nas zapewniono.

- Tak was zapewniono...

Płonął z zażenowania, pot spływał mu po skroniach, pełne wargi wygięły się i drżały.

- Ale pańskim zdaniem... - podzuciła cicho.

- Cóż, moim zdaniem... Znamy się od lat, pani Berrisford. - Słowa padały jedno po drugim, tak że z trudem rozumiała, co mówił. - Powiem pani prawdę. Moim zdaniem to nie ona. Więcej, jestem tego pewien. Zgadza się, to herb Orłowów, ale szkatułka jest zupełnie nowa. Kolia stanowiła skarb rodzinny, wykonano ją w osiemnastym wieku. Zachował się opis i szkic z warsztatu jubilera - na pewno nie była tak delikatna. Zaś jeśli chodzi o same kamienie, spodziewałbym się typowego rosyjskiego szlif z tamtego okresu - nieco prymitywnego, który nadawał im, jakby to powiedzieć, trochę pogański charakter. Na pewno nie byłyby to europejski szlif z następnego stulecia. Poza tym kamienie są niestarannie dobrane: niektóre szare, inne żółtawe, te kamienie dodano znacznie później. Poza tym brak jakichkolwiek dowodów, żeby w kolii Orłowa użyto kolorowych brylantów. Co więcej, we wszystkich przekazach mówi się, że były białoniebieskawe. Zapięcie przypomina oryginał, to prawda, te kręte linie - ale nie jest identyczne. W dokumentach Fabergégo znajduje się wzmianka o kilku żółtych brylantach, przeznaczonych na kolie dla Kuźmińskiej w 1913 roku. To by mi bardziej tu pasowało. Nie przypuszczam... Przykro mi... Nie chciałbym pani rozczarować, ale to nie jest kolia Orłowa.

Siedziała w milczeniu, żałując, że musiała usłyszeć te słowa, pragnąc, aby cisza mogła je cofnąć.

- Oczywiście, poradzi się pani innego rzeczoznawcy...

Kolia

23

Zdecydowanie pokręciła głową. Wiedziała już, co zrobi. Im mniej osób zobaczy teraz kolie, tym lepiej.

- Dziękuję, panie Wyngarde. Ktoś musiał mi to powiedzieć.

- Tak, ktoś musiał, ale żałuję, że to byłem ja.

- Niech pan zachowa dyskrecję.

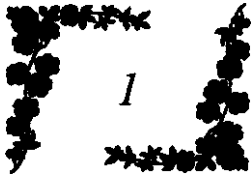
- Oczywiście. Pani wie, że można mi ufać.

- Wiem. Naprawdę, bardzo jestem panu wdzięczna.

Kiedy wyszedł, zabierając wszystkie klejnoty, pozostawiwszy jedynie kolie, Bianka jak mała dziewczynka przysiadła na stole i czekała, aż zacznie coś odczuwać. W myślach utwierdzała się w podjętej decyzji, próbując zapanować nad odrętwieniem.

Masz zamiar popełnić fałszerstwo, ostrzegała się w duchu. Aukcja odbędzie się zgodnie z planem. Szanse wykrycia oszustwa wynoszą jeden do jednego. Skandal oznaczałby katastrofę. I to znacznie większą niż wszystkie błędne decyzje ojca. To będzie koniec. Dom Berrisfordów upadnie. Zbankrutuje. Siedemdziesiąt lat, wysiłek trzech pokoleń, wszystko to obróci się wniwecz. Hańba dla rodziny, dla wszystkich domów aukcyjnych, dla kraju. Świat przestanie wierzyć w londyński rynek dzieł sztuki. I okaże się, że Lovat miał rację.

Nadal nic nie czuła. Spokój, który nastąpi po ostatecznym upadku, był tak bliski, tak namacalny, że miała wrażenie, iż starczy wyciągnąć rękę, a zdoła go pochwycić.



St Petersburg, Rosja, 1902

Rozmiary, położenie i przepych centrum St Petersburga raziły sztucznością. Ludzie o wykwintnych gustach, którzy podróżowali i mieszkali w miastach powstałych naturalnym biegiem rzeczy, chaotycznie, gdzie za każdym słynnym zabytkiem ciągnie się niechlujny zaułek, dostrzegali w tej metropolii nienaturalny przerost splendoru.

Uroda miasta została wypracowana w najdrobniejszym szczególe. Panowała w nim atmosfera sceny teatralnej.

Budynki, aby w zimie odbijały się na tle śniegu, pomalowano na kolory owoców kandyzowanych - brzoskwiniowy, błękitny, turkusowy i różowy. To w ich wnętrzach przebywał i pracował nieudolny rząd carskiej Rosji - za murami niemal bajkowych pałaców panował się chaos, przekupstwo, nędza, bankructwo i brutalna przemoc.

Metropolia została zbudowana na łądzie i na wodzie. Na rozkaz imperatora Wszechrosji St Petersburg wyrósł na bagnach poprzecinanych niezliczonymi odnogami rzeki. Między budynkami i na końcach ulic rozciągały się połączone wody, niczym płyty ołowianej blachy, skracając perspektywę; odbijało się w nich blade, północne słońce, rzucając złowrogie cienie na portale i gzymsy nad oknami. Szerokie, barokowe fasady były oświetlone od tyłu niczym sceniczne dekoracje. Szlachetna harmonia kompozycji pałacu, pomnika i katedry urywała się gwałtownie na skraju wody.

Bogaci mieszkańcy, którzy często promenadowali w powozach po nabrzeżach i w parkach, dokładali starań, by upiększyć obrzeża szarych nurtów Newy. Ponad falami jej siostrzyczki, Fontanki, nad którą rozsiadły się pałace arystokratycznych rodów, przerzucono śliczne mostki, a każdego strzegła grupa posągów. Dwie katedry o przemyślnie zakomponowanych potężnych kopułach, ustawiono w ten sposób, by została przerwana monotonia identycznej zabudowy.

Celia Brayfield

Aby wcielić tę wizję w życie, zatrudniono najlepszych architektów i rzemieślników Europy. Oblicze, które Rosja chciała pokazać światu, przyozdobili rodzimymi rysami Włosi, Francuzi, Holendrzy i Anglicy, więc w harmonijnej panoramie pobrzmiwały echa Canaletta, Turnera, Rem-brandta, a gardłowy ryk samej Rosji został stłumiony. Chociaż miasto stworzono po to, by mieć przyjezdnych cudzoziemców, to tylko najbardziej spragnieni przygód lub niezadowoleni jego mieszkańcy sami podróżowali za granicę. Z natury na własnym terenie zachowując się odważnie, wyjechawszy tracili animusz, wiedząc, że ich bajkowe miasto to złuda. Dlatego też czuli się gorsi od innych. St Petersburg był maską, którą Rosja nałożyła, by pokazać światu swoją wyższość; za pozorami wdzięku, kultury i europeizacji ukryć azjatyckie ciągoty - barbarzyństwo i wrzącą krew.

To, jak i inne wielkie oszustwa, stworzyli ludzie kierowani najszczytniejszymi z motywów: miłością i poczuciem obowiązku. Car Piotr Wielki, którego poddani uznawali za bożego namiestnika, zesłanego, by ich prowadził, wydał dekret, że to wspaniałe miasto winno powstać na bagnach ciągnących się u ujścia Newy, w strategicznym punkcie. Rozkaz wykonano i przez ponad dwieście lat jego następcy i stronnicy trwonili niepoliczalne zasoby, by nad moczarami wyrastały złote wieżyczki. Skoro nieomylny i umiłowany car rozkazał, by na grzędawisku wznieść największe miasto w Europie, to widać taka była wola boża, i tak się też stało, bez względu na cenę w złocie i istnieniach ludzkich. Rosjanie namiętnie kochali samą ideę ofiary, a co więcej, nie potrafili precyzyjnie zdefiniować pojęcia niemożliwości, skoro tyle niemożliwych rzeczy dokonało się w ich kraju.

Pośród tej potężnej, teatralnej iluzji same teatry nabrały niezwyklej godności. Gmach mieszczący scenę miejską był tak duży, że dominował nad całym placem. W pałacu każdego arystokratycznego rodu urządzono kąpielce z złotem, maleńkie widownie. Rosjanie w St Petersburgu wznosili teatry w duchu przebłagania, jak niegdyś Rzymianie stawiali świątynie, a Anglicy zakładali ogrody. Szukali względów nie u boga Mitrasa czy Natury, lecz u bóstwa Cywilizacji, w którego orszaku winny tańczyć wszystkie muzy.

W samym sercu miasta, przy siedzibie carów, zbudowano pałac, przybytek sztuki, a w nim teatr dla dworu. Zaprojektowano go na wzór świątyni greckiej, między kolumnami

Kolia

27

z różowego marmuru stały rzeźby przedstawiające Apollina i muzy. Scena była duża, aby dać artystom pole do popisu. Natomiast widownię zrobiono niewielką, rozmiarami przypominała salę balową, i przyozdobiono ją skromnie, co nie znalazło uznania w dziecinnych oczach drobnej Lidii Kuźmińskiej.

- O nieba, ależ maleństwo. I całe w stylu antycznym.

- Stała na palcach na skraju sceny, zerkając przez szparę w zaciągniętej kurtynie. Wokół niej tłoczyło się pięć innych uczennic z Carskiej Szkoły Teatralnej, ale nie zwracała na nie uwagi. Scena przypominała jaskinię, dekoracje ginęły w jej przepastnych głębinach, w mroku ginęły ich zarysy, a w kątach panował przejmujący chłód, ponieważ nie dopływało do nich ciepło z potężnych pieców ogrzewających wnętrza pałacu.

Przez szparę Lidia widziała zarys prostokątnego pomieszczenia wznoszącego się nieznacznie ku tyłowi, a w wątlym świetle wielkiego, kryształowego żyrandola lśniły matowo rzędy foteli o pozłacanych brzegach oparc. Dwa rzeźbione trony nakryte haftowaną, brokatową materią czekały na cara z małżonką, ale w porównaniu z wielką sceną widownia sprawiała wrażenie ciasnego pudełka i była stanowczo zbyt klasycystyczna jak na gust dziewczyny.

Elegancki bowiem, znaczyło dla niej: ze złota i kunsztownie ozdobiony. Białe kapitele kolumn majaczące w półmroku, choć wspaniale rzeźbione, jednak się jej nie podobały. Zawiedziona wykrzywiła małe, okrągłe usteczka.

- Nie ma łoży ani malowideł. Myślałam, że będzie większa. I bogato zdobiona.

Spodziewała się, że widownia na carskim dworze przewyższy wszystkie inne w St Petersburgu i wzięła sobie rozczarowanie mocno do serca.

- Daj popatrzeć! Ja też chcę!

- Mario, cicho. Teraz moja kolej.

- No, Lidia, starczy, odsuń się - nalegały inne dziewczęta, ale żadna jej nie odepchnęła. Lidia, choć z nich najmniejsza, cieszyła się opinią najsilniejszej; aby wyrzeć przez szparę, musiała stać na puentach, a żadnej z nich nie udało się tego dokonać tak długo bez najmniejszego odchylenia od pionu. Również zwykle jako pierwsza sięgała po przemożną broń

- szpilkę do włosów.

- No dobrze, Olga, ale nie zobaczysz tam nic ciekawego.

- Lidia wreszcie osunęła się na pięty i zrobiła miejsce wysokiej, bladej dziewczynie, która natychmiast wykrzyknęła:

Celia Brayfield

- Och! Jakież to piękne! Wszystko z marmuru! Nie mogę wprost uwierzyć, że będziemy tańczyły w tak pięknym miejscu. Ale tu ciasno! Jak zdołamy pamiętać o figurach, gdy znajdziemy się zaledwie o parę kroków od Ich Carskich Mości?

Dziewczęta przepychając się do otworu omawiały szeptem ten problem, baletki stukały na gołych deskach, zaś muślinowe spódniczki szeleściły na ich kolanach. Płynnymi ruchami dłoni i ostro zarysowaną linią ramion przypominały stadko na wpół opierzonych ptaków, nieporadnych i wdzięcznych zarazem.

W oczy rzucało się tak wiele wspólnych cech, że wyglądały na rodzone siostry. Twarze o wydatnych kościach policzkowych i szlachetnych rysach osadzone były na wysmukłych szyjach. Wszystkie miały proste ramiona, zaokrąglone łydki, uda szczupłe, biodra płaskie, talie wąskie, ale zgrabne i wyrobione. Łączyło je takie samo wyprostowanie pleców oraz identyczne wypukłości stawów. Choć geny i hormony wyznaczały pewne różnice, to codzienne ćwiczenia ukształtowały je na tę samą modłę. I gdy rosły miękkie części układu kostnego, to nieubłagany nacisk mięśni tak trenowanych, by ruszały się w jednym rytmie, sprawił, że wykształciły się takie same sylwetki. Ich uszy wyszkolono na dźwięki muzyki, oczy nauczono, by obserwowały odbicie ciała w lustrze, a ich umysły tak ukierunkowano, by same się krytycznie oceniały i nigdy nie były z siebie zadowolone. Taniec zawładnął nimi całkowicie i na ołtarzu chwały narodowej złożyły nie mniejszą ofiarę niż tych trzystu mężczyzn, którzy zginęli w trakcie niebezpiecznego zadania -przy pokrywaniu złotem kopuł nowej katedry św. Wasyla. Rozpierała je duma z przywileju przynależności do carskiego dworu, z zaszczytu dostarczania rozrywki Jego Wysokości, Jego rodzinie, dworzanom, zagranicznym gościom i elicie kraju.

- Hmm, na miejscu cara postarałabym się o naprawdę wspaniały teatr - oznajmiła Lidia urażonym tonem.

- Matko Boska! - Wąskie palce Olgi pofrunęły do ust. - Oni będą tuż u naszych stóp. Chyba zemdleję.

- Och, głupia jesteś. Przecież już wiele razy tańczyłaś dla Ich Carskich Mości.

W Teatrze Maryjskim balet wystawiano dwa razy w tygodniu, a na niedzielne przedstawienia zawsze przychodził cały dwór, zaś uczniowie zwykle występowali w małych divertimentach oraz w scenach zbiorowych, aby jak najwcześniej oswoić się ze sceną.

Kolia

29

- Ale nie tak blisko, nie tak strasznie blisko - Olga niemal płakała. Wszyscy znali jej wyjątkową wrażliwość.

- Tylko pomyśl, jakie to okropne! A jeśli zobaczą nasze majtki?

- Lidio! Jak możesz być tak wulgarna!

- Olgo! Jak możesz być tak głupia! - Zrobiła minę i zakręciła spódniczką, ale nikt nie stanął w jej obronie. Niechęć innych odczuła niczym ukłucia szpilek. Nienawidziła wyobcowania, wzgardy grupy. Przecież chciała tylko rozproszyc przygnębienie Olgi. Zwykle potrafiła pod cienką powłoką żartu ukryć wrodzoną złośliwość, ale w sytuacjach wymagających dobrego smaku łatwo się myliła.

- Zawsze wszystko popsujesz. Nie masz za grosz poczucia przyzwoitości - Olga niemal płakała.

- Ciii... Cicho. Chłopcy!

- Lidia, tylko nie przed chłopcami!

Uczniowie szkoły wyłącznie w trakcie przedstawień mogli umknąć na parę chwil spod opieki szkolnych przyzwoitek. Z boku wysunęło się dwóch szczupłych młodzieńców, przytłoczonych wspaniałością otoczenia i nieoczekiwaną przemianą koleżanek w miniaturowe kobietki. Tancerze, którzy mieli odtwarzać role uczniów paryskiej szkoły baletowej, ubrani byli w skromne bluzy i fartuszki, imitację mundurków, noszonych przez nich na co dzień, o kroju sprzed siedemdziesięciu lat. Dziwne, ale w tych strojach chłopcy wydawali się młodsi, a dziewczęta otaczała aura przedwczesnej dojrzałości.

- Lew! Niki! Chodźcie popatrzeć! - drobna blondynka, Maria Kołkowa, aż tryskała naturalną żywotnością; w jej głosie nie brzmiał zalotny ton, lecz prawdziwa sympatia.

Podeszli obaj nieśmiało do kurtyny, aby zobaczyć, gdzie niedługo zasiądą ich widzowie.

- Jakie wspaniałe cienie - Lew, wyższy i o ciemniejszej cerze, odsunął się, by stanąć przy Lidii. - Posągi Apollina i muz wyglądają, jakby za chwilę miały zstąpić ze swoich niszy na ziemię, nie myślisz?

- Nie - odparła natychmiast, na co rozległy się stłumione prychnięcia koleżanek. Lew zawsze próbował zwrócić na siebie jej uwagę pretensjonalnymi porównaniami, ale cóż mu z tego przyjdzie, jeśli z odstającymi uszami przypomina nietoperza?

- Lew, powinieneś już chyba zauważyć, że Lidia nigdy nie myśli.

Celia Brayfield

Lidia doszła do wniosku, że Olga ciągle próbuje słodyczą przyciągnąć Lwa. Powinien się nią wreszcie zainteresować, przecież jest tak samo jak on pompatyczna. Zadowolona z przytarcia nosa adoratorowi odchyliła głowę i potrząsnęła lokami, miała nadzieję, że światło na scenie wydobędzie całą głębię ich koloru. Co dzień przed lekcjami zaplatała włosy o nasyconym odcieniu barwy kasztanowej; szczyciła się najdłuższym i najgrubszym warkoczem w całej szkole.

Lew usłyszawszy głupią, lekceważącą uwagę o swej ukochanej, aż zamarł z oburzenia i w pełnym urazy milczeniu wycofał lię na miejsce u boku Nika. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z doznanego upokorzenia; Lidia złożyła to na karb jego nieuleczalnej arogancji, a jej przyjaciółki na karb gorących do niej uczuć, skoro uważał, że jego dziewczyna jest bez wad.

- Skoro nie ma ani jednej łoży, to gdzie usiądzie Szynszyl? - Olga przezornie postanowiła zmienić temat.

Szynszyl to było przezwisko kierownika baletu. Był to wysoki, mocno zbudowany mężczyzna o grzywie czarnych włosów ze skrzydłem przedwczesnej siwizny na przodzie. Choć niebezpiecznie często ulegał nowoczesnym ideom, to jednak zachował doskonały smak artystyczny, zwłaszcza organizując rozrywki dla carskiej rodziny, zaś cały zespół zawsze gorąco oczekiwał jego aprobaty.

- Zawsze siedzi na miejscach dyrekcji - oświadczył z przekonaniem Niki.

- Ale dziś tu nie przyjdzie! - Przerażona Olga aż otworzyła szerzej i tak już duże oczy. - Przecież się pokłócił z nowym dyrektorem.

- Jednak ciągle należy do dworu. - Plotka stanowiła potężną broń w walce o pozycje, tancerze toczyli krawe boje w czasie krótkiego, scenicznego żywota. Lidia poza tym lubiła plotkować dla przyjemności. - Jak i Krzesińska - dodała, robiąc pauzę przed nazwiskiem primabaleriny. - Miał na tyle sprytu, by już dawno przeciągnąć ją na swoją stronę.

- Słyszałam, że popierał Michaiła Michajłowicza i tę jego idiotyczną ankietę, którą rozesłał do wszystkich.

Solista, Michaił Fokin, próbując zyskać poparcie dla nowoczesnych kierunków w choreografii, napisał list do wszystkich wyższych rangą tancerzy w zespole, pytając w nim o ich opinię na temat, czy balet wymaga gruntownych reform.

- To było dwa lata temu i wcale nie wierzę, aby Szynszyl aprobował taki nonsens.

Kolia

24

- Michaił Michajłowicz to jego ulubieniec.
 - Szynszyl trzymał się z daleka od tej całej historii.
 - A Tamara Płatonowna mi mówiła, że Szynszyl powiedział dyrektorowi, że tylko w Rosji tancerze baletowi mają dość inteligencji i poczucia odpowiedzialności artystycznej, by zrobić coś takiego, bo tylko w Rosji balet to prawdziwa sztuka, dla reszty świata to nic więcej, tylko dekadenska rozrywka...
 - Tu mi kaktus wyrośnie! - W głębi przepastnej sceny rozbrzmiało echo śmiechu Lidii. - Ten to umie kłamać.
 - Dekadencka rozrywka! W tym jest prawdziwym znawcą. - Maria aż podskoczyła z radości.
 - Wedle opinii dworu Szynszyl jest nieomylny - oświadczył Lew z ogniem w oczach, który płonął tam zawsze, kiedy ktoś wspominał idealizowane przez niego osoby, związane z awangardowym baletem. - Akademia Sztuk Pięknych go popiera. Wszyscy, którzy pojechali do Paryża twierdzą, że jego wystawa obrazów była *succes fou*. Słyszałem, jak ludzie mówili, że u stóp Rosjiłoży całą Europę.
 - Wydaje mi się, że wielki książę Włodzimierz nadal go popiera. A już na pewno stoi po jego stronie. Przecież się zgodził finansować jego następne przedstawienie w Paryżu. Ojejku, jeśli przyjdzie tu dziś wieczorem, będę się okropnie denerwować.
- W oczach Lidii Szynszyl miał tylko jedną słabość: podobały mu się chude neurotyczki w typie Olgi. Wysoko cenił Annę Pawiową, słabą i szczupłą dziewczynę przypominającą wręcz wiązkę patyków; zawsze znalazł słowo zachęty dla Olgi, która jeszcze mniej niż Anna nadawała się do baletu. To bez znaczenia, zawsze łatwiej sobie poradzić z mierną konkurencją, stwierdziła w duchu Lidia.
- Och, Szynszyl na pewno tu będzie - pogodnie zapewniła koleżanki. - I moim zdaniem usiądzie gdzieś z boku, bo zwykle za późno wychodzi z garderoby. Może zajmie miejsce przy wielkim księciu.
 - Ależ to okropne, tak przeszkadzać wszystkim po drodze. - Olga aż się pochyliła przerażona.
 - Jak ten teatr jest fatalnie zaprojektowany - ciągnęła Lidia, nie zwracając na nią uwagi. - Dlaczego architekci o tym nie pomyśleli?
 - Wiadomo, Włosi, na niczym się nie znają - Niki prychnął kpiąco.

Celta Brayfield

- Przecież to jest piękne - zaprotestowała Olga.

- Ale musisz przyznać, że niepraktyczne. Dlaczego my, Rosjanie, zawsze musimy naśladować cudzoziemców, zakładając z góry, że oni są lepsi od nas? Powinniśmy bardziej zaufać naszym własnym artystom, którzy im nie tylko dorównują, ale potrafią też o wiele lepiej wyrazić naszego ducha narodowego?

Dwaj młodzi miłośnicy sztuki, którzy przez całe dni, od świtu do nocy, otaczali się wyłącznie pięknymi przedmiotami, z radością zagłębili się w dyskusję na modny temat.

W chwilę później rozległ się histeryczny pisk Olgi.

- Ropucha! Idzie Ropucha!

Tym wdzięcznym mianem obdarzono szkolne wychowawczynie,

Olga odskoczyła na bok, ciężko dysząc ze strachu.

- Ratunku, to Warwara Iwanowna!

Niki i Lew skoczyli za kulisy jak jeden mąż. Szkoła hołdowała twardym zasadom przyzwoitości. Chłopcy i dziewczęta mieli oddzielnie lekcje, a ich sypialnie były położone z dala od siebie. Spotykali się bardzo rzadko, a rozmowy zostały surowo zabronione. Na szczęście przedstawienia stwarzały okazję do ukradkowych szeptów na stronie.

- Królowa ropuch! Ale wpadłyśmy! Przez cały tydzień bez deseru! - Dopiero myśl o siedmiu dniach bez ciasta z konfiturą zniszczyła dobry nastrój Lidii.

Do grupki szybkim krokiem podeszła dyrektorka o surowej twarzy, tak rozzłoszczona, że przy każdym jej ruchu szeleściła czarna spódnica spływająca od mocno zaciśniętego paska. Z cienką talią i obfitym biustem wyglądała raczej jak wielka wściekła mrówka, a nie ropucha, zwłaszcza gdy tak wymachiwała rękami.

- Wy przebiegłe dziewczuchy! Sądzicie, że wolno wam się włóczyć po teatrze samego cara, jak po rybnym targu? I gdzie są wasze okrycia? Przecież was ostrzegałam przed przeziębieniem. Nie ma się co dziwić, że ty, Spiesiwcewa, ciągle chorujesz.

- *Madame*, ale myśmy tylko chciały zobaczyć...

- Wszędzie was szukamy. Dlaczego nie robicie rozgrzewki? Przestań się uśmiechać, Kuzminskaja, nie ma się z czego śmiać, uwierz mi na słowo. A teraz grzecznie do garderoby i proszę się rozćwiczyć. I tak na pewno narobicie nam tylko wstydu.

Zmieszane dziewczęta zbiegły ze sceny, humor odzyskały

Kolia

26

dopiero znalazłszy się w połowie korytarza za sceną, poza zasięgiem wzroku nauczycielki.

- Scena sięga aż do krzeseł, prawda? Nie mogę uwierzyć, że będę tańczyła tak blisko drogiego, ukochanego cara. Będzie na mnie płynęło powietrze wydechane przez niego - mówiła Maria, idąc pierwsza w stronę garderoby.

- Drogi, ukochany... Od kiedy, Mario?

- Och, nie bądź głupia. Wiesz, że ani mi w głowie romantyczne myśli, choć musisz przyznać, że jest cudownie przystojny.

- Już się przymierzasz do roli Krześcińskiej? - W kpinach Lidii kryła się aluzja. Słyszała bardzo interesującą plotkę o Krześcińskiej, primabalerinie zespołu.

- To by dopiero było! Dziękuję, ale nie mam zamiaru skończyć kariery, nim ją na dobre rozpoczęłam.

Matylda Krześcińska, drobna kobieta o niezwykle imponującej prezencji, na poranne lekcje zajeżdżała własnym powozem zaprzęgniętym w trzy rasowe kuce. Latem spowijały ją koronki, teraz, zimą otulały sobolowe futra, choć sama przypominała leśnego drapieżnika: szybka, gibka, dzika, z płonącymi oczami i stanowczym, długim nosem wystającym z głębin futrzanego kaptura. Dla wszystkich dziewcząt była boginią, nie tylko ze względu na jej taniec, ale przede wszystkim z powodu sprytu, z jakim intrygowała. Cały świat tańczył, jak mu Krześcińska zagrała, i dlatego wszędzie ją adorowano

1 noszono na rękach.

Niepodzielnie władała baletowym imperium. Swoją niezachwianą pozycję zawdzięczała temu, że car Mikołaj II jeszcze jako młody książę zakochał się w niej bez pamięci. Była wtedy obiecującą, siedemnastoletnią uczennicą, ale dzięki jego względom wyrosła ponad równie utalentowane rywalki.

Przez cztery lata ich romans ciągnął się niczym epicki, romantyczny poemat, niestety Mikołaj po śmierci ojca wstąpił na tron i kochankowie musieli się rozstać. Car poślubił heską księżniczkę, Alicję, a Krześcińska została oddana pod opiekę jego stryja, spokojnego wielkiego księcia Siergieja. Była wspaniałą tancerką obdarzoną niezwykłą siłą i żywiołową naturą i gdy tańczyła, zdawała się wręcz płonąć na scenie, ale swoją obecną pozycję primabaleriny *assoluta* zawdzięczała protektoratowi cara. I korzystała z niego w całej pełni: przy najmniejszym nieporozumieniu z dyrekcją zespołu natychmiast odwoływała się do monarchy.

Celia Brayfield

Dlatego bez trudu zagarnęła wszystkie najlepsze role, występowała we wszystkich, najbardziej prestiżowych przedstawieniach, żądała najcenniejszych podarunków i zaledwie osiemnaście miesięcy temu wywalczyła ustąpienie samego dyrektora teatrów carskich. Naraził się jej nalegając, by do roli Marie-Anne de Camargo w balecie wystawianym w stylu Ludwika XV założyła krynolinę. Krzesińska wolała lżejszy, bardziej wyszczuplający kostium, tak więc po publicznej sprzeczce dyrektor stracił miejsce z winy halek. Niewiele później Szynszyl, młody protegowany dyrektora, niemal został wyrzucony przez nowego przełożonego, ale ponieważ od początku kariery przezornie podziwiał Krzesińską, więc tym razem ona stanęła w jego obronie.

Nic nie mogło zaspokoić jej głodu skandali. Wkrótce związała się z kolejnym krewnym byłego kochanka: nieśmiałym, przystojnym wielkim księciem Andrzejem, prawie siedem lat młodszym od niej. A na dodatek oczekiwała jego dziecka, i zeszła ze sceny dopiero kilka dni temu, gdy jej ciąża była już widoczna dla wtajemniczonych.

- Jesteś bardzo mądra, Mario. - Lidia przemierzywszy szybkim krokiem garderobę usadowiła się w kącie na zniszczonym, połączanym fotelu. - Zwłaszcza że Krzesińska tańczy dziś wieczorem.

To oświadczenie natychmiast wywołało sensację i podniecone dziewczęta otoczyły ją zwartym kołem.

- Niemożliwe!

- Skandal!

- Przecież na widowni będzie car i wielki książę Siergiej!

- Nie wierzę!

- Daję słowo, że to prawda. Jej nazwisko pojawiło się na tablicy ogłoszeń w ostatniej chwili dziś po południu.

Tamara Płatonowna podsłuchiwała całą historię, gdy wysłali ją na rozmowę z dyrektorem. Sama mi to opowiedziała.

- W takim razie nie kłamiesz. - Tamara Płatonowna była uczennicą wyższego kursu, o powszechnie szanowanym, nieposzlakowanym charakterze; skoro to ona rozpuściła pogłoskę, nikt nie mógł wątpić w jej prawdziwość.

- Ale przecież ona... No... ona jest... - Na gładkiej, białej szyi Olgi zakwitł pąsowy rumieniec, gdy próbowała ubrać w słowa skandaliczną wręcz myśl. - Same chyba zauważyłyście, prawda?

- O tak, już od tygodni popuszczają jej kostiumy w pasie. Widać jak na dłoni.

Kolia

28

- A na tak małej scenie nie ma się gdzie ukryć.

- Jej rodzice chyba umierają ze wstydu - oświadczyła Olga zgorzonym tonem.

- Hmm, od dawna wszyscy o niej plotkują. Ile lat temu wyprowadziła się z domu ojca do tej małej willi, którą car dla niej kupił? - Lidia natychmiast zdała sobie sprawę, że znów przekroczyła zasady dobrego tonu.

- A ona znowu tańczy rolę Camargo, jak na złość staremu dyrektorowi, co? - Maria prychnąwszy odwróciła się do lustra, by poprawić loki. - Hmm, mogę się założyć, że teraz wołałaby występować w tej szerokiej krynolinie.

Już miały rozpocząć dłuższe plotki, gdy w korytarzu rozległy się szybkie kroki Warwary Iwanownej i dziewczęta pobiegły do drążka, by zacząć *plies*.

Godzinę później, upozowane na scenie w czarujący żywy obraz, wypatrywały oczy, by dojrzeć szacowne postacie usadowione za oślepiającym kręgiem rampy. Wolno uniosła się kurtyna z wymalowanym pejzażem

przedstawiającym rzekę i mostek i oczom dziewcząt ukazała się widownia, lśniąca niczym tafla morza w świetle księżyca. Lidia stwierdziła, że jednak doczekała się wspaniałego widoku. W półmroku migotały klejnoty i złoto,

bezcenne brokaty, paciorki i hafty, a przybrani w nie widzowie oklaskiwali pierwszą scenę przedstawienia.

Od Bożego Narodzenia, gdy miasto spowił płaszcz śniegu, a Newa zamarzła tak głęboko, że służyła za drogę, w Pałacu Zimowym trwała nieustanna, radosna zabawa, która właśnie teraz osiągnęła apogeum - na tydzień przed rozpoczęciem Wielkiego Postu. Wtedy bowiem na czterdzieści dni i czterdzieści nocy zapadnie cisza i pewien spokój - żadnych bali, uroczystych obiadów i przedstawień baletowych.

Na razie jednak można było urządzać wystawne widowiska. Zaczęło się przecież nowe stulecie; pełen energii nowy car i jego uroczą, niedawno poślubioną małżonkę nurzali się w przepychu St Petersburga, i panowało powszechne przekonanie, że nad Rosją zajaśniała nowa, wspaniała era. Dobre żniwa i urodzaj ucieszyły wieśniaków. Po wiekach ciemnoty i wyzysku światły rząd wiódł kraj ku przyszłości. Tylko ludzie przesądni, nielojalni albo źli z natury, nadal byli przekonani, że katastrofa jest niemal wpisana w przeznaczenie narodu. Dwór uznał zgodnie, że oświeceni poddani nie podzielają takich przekonań.

Celia Bray field

Każda wiadomość, nim dotarła do tego wysadzanego klejnotami zakątka, była specjalnie przykrojona na tę okazję. Dwór słyszał tylko oficjalne fakty i pogłoski i, podobnie jak reszta kraju, ufał wyłącznie informacjom podawanym na szerszym tle. Dlatego wszystkie wydarzenia ostatnich lat miały logiczne wytłumaczenie. Chłopi i robotnicy wprawdzie się burzyli, ale nic w tym dziwnego, jeśli się pamięta o ich warunkach życia, które przecież zostały niedawno poprawione. Studenci protestowali, ale młodzi zawsze są nastawieni radykalnie. Co prawda zdarzały się zamachy, ale mordercy działali pod wpływem zagranicznych agitatorów i zawsze trafiali w ręce policji. W Rosji nie brakowało zdolnych polityków, którzy mogli zająć miejsca nieszczęsnych ofiar zamachów. W pałacowym teatrze podczas kolejnego, wspaniałego wieczoru, dworzanie odziani w bogato zdobione mundury zaprojektowane osobiście przez Piotra Wielkiego, rozsiadłszy się wygodnie w fotelach, bez obaw spoglądali w przyszłość. Audytorium czekało w ciszy, choć z niecierpliwością. Podniecenie widzów jakby ogrzało całą salę i udzieliło się wykonawcom; krew szybciej krążyła im w żyłach, a stopy aż się rwały do tańca. Lidia rozpoznała zarysy piór upiętych drogimi kamieniami oraz tiar, które migocząc kołysały się jak kwiaty na wietrze. Dostrzegła jedwabne suknie, ciężkie od zdobiących je złotych haftów, stłoczone jedna przy drugiej. Gdy ucichły oklaski, do jej uszu dobiegł chrzęst długich sznurów pereł, które szczelnie okrywały kobiece szyje.

Wiem, że Szynszyl jest tuż, tuż, Boję się strasznie, umrę już.

Maria, słodko się uśmiechając, mruzczała pod nosem piosenkę, którą dziewczęta ułożyły, aby się ostrzegać, kiedy na widowni zasiadał surowy obserwator.

- Gdzie? - wyszeptała Lidia i z wysiłku, by nie podnieść głosu, rozciągnęła wargi w uroczym, choć sztucznym uśmiechu.

Maria mrugnięciem okrągłych lalkowatych oczu wskazała lewą stronę i Lidia dostrzegła ciemną, zwalistą postać, z trudem sadowiącą się na złotym krześle w końcu trzeciego rzędu. Obok poruszyła się inna, potężna sylwetka i gardłowe chrząknięcie wielkiego księcia Siergieja przeszło w pomruk. Wszyscy stryjowie cara byli słusznej postury. Parę rzędów za nimi na najlepszych miejscach w teatrze zasiadł car Mikołaj z rodziną;

Kolia

30

ich stroje tak lśniły od drogich kamieni i złota, że przypominali stare ikony, drgające w migotliwym świetle lamp. Caryca siedziała sztywno wyprostowana, muślinowy welon spływał spod jej diadem.

Zabrzmiały pierwsze tony muzyki i Lidia z trudem oderwała wzrok od skrytego w cieniach przepychu dworu.

Dziewczęta otoczyły przystojnego Mikołaja Legata, który występował w roli nauczyciela tańca, parodiując jednego z legendarnych pedagogów Carskiej Szkoły: stary, choleryczny Szwed zawsze siedział zmęczony w fotelu i dyrygował uczniami wykonując nieznaczne ruchy smyczkiem. Dla oddanych wielbicieli baletu ta scena była wyborną kompozycją aluzji i dowcipów krążących w tym doborowym gronie. Legat dzięki talentowi do tworzenia karykatur przydał barwy odgrywanej roli, a złośliwe szczególiki tańca były żywcem przejęte od Szynszyla.

Dziewczęta tańczyły wstępne divertimento, składające się z elementów ich zajęć szkolnych, każda więc miała okazję przedstawić swe umiejętności w krótkim, solowym występie. Gdy Lidia zrobiła krok do przodu przygotowując się do występu, nagle ogarnął ją niesamowity spokój. Było bardzo cicho, ledwo słyszała muzykę, ale czuła, jakby dźwięki pulsowały jej w żyłach niczym krew, i kiedy nadeszła jej kolej, ruszyła sama nie wiedząc, co robi. Gdzieś w oddali majaczył dwór, widownia, pedagogzy i reszta zespołu. Poczła ogarniającą ją niezwykłą moc. Kończyny zapanowały nad przestrzenią, jakby zajmując wcześniej już wyznaczone miejsca. Gdy skończyła występ, a równocześnie odzyskała zwyczajną świadomość, bez cienia wątpliwości, lęku czy wahania, jeszcze nim zabrzmiały oklaski, wiedziała, że na krótką chwilę osiągnęła doskonałość.

W jednym z rogów sali nadal grzmiały gorące brawa, więc przystanęła na ułamek sekundy, zerkając w stronę kulis, czy otrzyma zgodę na drugi ukłon, ale gest zdumionego *regisseura* nakazał jej powrót do reszty dziewcząt czekających z tyłu sceny. Aż drżała z radości zajmując miejsce u boku Marii, i dziewczęta ponownie zamarły w upozowanym żywym obrazie jako tło dla pierwszej solistki.

Baletnica wkroczyła dzwoniąc i brzęcząc monetami naszytymi na kostium i zatrzymała się czekając na oklaski; miała wykonać stylizowany taniec cygański, bardzo modną część każdego przedstawienia.

- Nie mogę na to patrzeć, wiem, że ona w końcu padnie

Celia Bray field

na twarz - Maria spuściła oczy, gdy mijała je starsza koleżanka, która już pobieliała z wysiłku zmuszając stopy do serii szybkich kroków.

- Dlaczego u licha właśnie jej dali tę rolę? Biedactwo jest do tego za wolne. - Lidia doskonale tańczyła *gitane*. Gdy przyjdzie na nią kolej, pokaże im wszystkim; jej nogi były wręcz stworzone do tak szalonych obrotów.

Obie dziewczęta zmieniły ułożenie rąk przed następnym tańcem i patrzyły z obrzydzeniem na Annę Pawiową płaszącą w romantycznych wariacjach, ze spływającymi od jej talii zwojami materiału cienkiego niczym pajęczyna.

- O Boże, ona jest żalosna. - Syk Marii zagłuszyły oklaski. - Powinna więcej jeść, wygląda jak duch. A mimo to właśnie ją wybrali do tego tańca.

- Na żądanie Krzesińskiej. Wiesz, że Anna Matwiejewna to jej pupilka.

Trzymać się blisko, *chasse, demi-plie* na cztery, *port de bras*, pamiętajcie o głowie... brzmiały im w uszach słowa pedagoga, gdy ustawiały się do ostatnich wariacji Dyrygent celowo przedłużył pauzę, w wątłym świetle zamajaczyła widownia zamarła w oczekiwaniu. Batutą nakreślił w powietrzu szeroki łuk, orkiestra zagrała wspaniałe *crescendo* i w tym momencie pośrodku grupy stanęła Krzesińska, ukłonem dziękując za burzę braw.

Ponownie rozbrzmiała muzyka i wielka balerina popłynęła przez scenę. Ruchy miała pewne, choć nie pozbawione kokieterii, a dzięki nadzwyczajnej sile pięknych kończyn mknęła po deskach niczym błyskawica. Wiele tancerek przed trzydziestką osiąga pełnię swych możliwości, ale Krzesińska nie utraciła nic ze swej cudownej mocy, która pozwalała jej wykonywać najbardziej olśniewające figury z radosnym uśmiechem i na pozór bez wysiłku.

Brylantowe kolczyki, słynny prezent od cara i oznaka kolejnego zwycięstwa nad dyrekcją, migotały przy każdym ruchu głowy, gdy kończyła ostatnią serię piruetów.

Dziewczęta zazwyczaj słyszały o niej wyłącznie krytyczne uwagi i oczywiście o tym głównie plotkowały. Ale w czasie przerwy siedząc w garderobie, z ramionami otulonymi szalami, nie potrafiły znaleźć najmniejszej skazy w występie Krzesińskiej.

- Podobno wczoraj była chora? - nieśmiało zagaiła Marie.

- Dziś po tym ani śladu - odparła Olga z nutką zawiści w głosie.

Kolia

32

- Moja matka twierdzi, że kobieta w tym stanie nie jest sobą - włączyła się śniada dziewczyna. - Zauważyłyście, jak się ustawiała w tańcu, żeby Jego Wysokość nie widział jej z boku? Jaka sprytna.

- Przysięgam, że dzisiaj na kostiumie miała róże przyszyte niżej niż zwykle. - Strój Camargo oplatały girlandy kwiatów, by u widzów wywoływać skojarzenie ze słynnym portretem artystki pędzla Bouchera.

- Ale po co to wszystko? My wiemy, wszyscy wiedzą, więc i pewnie słyszał o tym i Jego Wysokość. Powinna się gdzieś schować, przeczekać, aż będzie po wszystkim.

- I po co miałyby to robić? Przecież nikogo tym nie obraża. Być w ciąży to jedno, a wyglądać na ciężarną, to zupełnie inna sprawa. - Lidia przysunęła krzesło do gorącego pieca z białobłękitnych kafli, który zajmował jeden z rogów pomieszczenia.

- Nie rozumiem dlaczego? Przecież liczy się fakt, że się oczekuje dziecka.

- Wcale nie. Chodzi głównie o to, jak się wygląda. - Maria usiadła w ciepłe przy Lidii.

- Najważniejszy jest wygląd - ciągnęła Lidia w zamyśleniu.

- Co się z tobą dzieje, to twoja sprawa, ale jeśli tego po tobie nie widać, to nikt nie może być całkowicie pewny, i o to chodzi. I dzisiejsze zachowanie Krzesińskiej nie wywoła skandalu. Moim zdaniem ona robi wszystko jak należy.

Gdyby nie zatańczyła, Jego Wysokość chciałby znać przyczynę.

- Kuzmińskaja! Dlaczego ty się urodziłaś w rysztole!?

- W otwartych na całą szerokość drzwiach stanęła Warwara Iwanowna, która na szczęście tak się przejęła swą rolą, że nie zwróciła uwagi na przerwana jej wejściem, a bardzo niestosowną konwersację. - Z ostatniego rzędu było widać twoje stare baletki! Chyba mogłaś włożyć nowe dla naszego cara? Natychmiast się przebieraj! A wy - omiotła nieprzyjaznym spojrzeniem resztę dziewcząt zebranych w garderobie - przestańcie drzemać jak kocięta, macie wyglądać bez zarzutu. Po występie wszystkie zostaną przedstawione Ich Carskim Wysokościom, Każdy lok ma być na swoim miejscu. Spiesiwcewa! Masz źle zawiązane kokardy. Niech jej któraś pomoże! Za pięć minut wszystkie jesteście gotowe!

Jędza wybiegła i gdy pozostałe dziewczęta piszcząc z podniecenia skoczyły do lustra, Lidia w milczeniu zmieniała baletki myśląc, jak się powinna zachować. Z całego serca

Celia Brayfield

pragnęła przyjąć właściwy styl i zdawała sobie sprawę, że urodziła się bez tego instynktu, który jej koleżankom podpowiadał stosowny sposób bycia.

Tańczyła najlepiej w gronie rówieśniczek i po dzisiejszym doświadczeniu osiągnięcia dziwnej mocy była skłonna uznać siebie za szczególnie utalentowaną. Bez wątpienia to dzięki jej występowi zostały nieoczekiwanie wezwane przed oblicze carskiego dworu. Wskazywały na to zaciekawione, niespokojne spojrzenia, jakimi obrzucały ją siedzące przed lustrami koleżanki oraz wściekłość, z jaką dyrektorka napiętnowała właśnie jej uchybienia. W szkole wszyscy znali braki swoje i innych, ale nie potrafili znaleźć żadnego u Kuźmińskiej, która, choć drobnej budowy, z łatwością wykonywała wszystkie ćwiczenia sprawiające koleżankom trudność i nie bała się niczego.

Natomiast trudno przysłoby zaradzić jej innym niedoskonałosciom. Oskarżano ją o brak wrażliwości, niemuzikalność i nawet mówiono, że nie ma duszy, a są to wartości bardzo nieuchwytne. Z pełnym przekonaniem zapewniała inne dziewczęta, że codzienne ćwiczenia je wzmocnią, ale jak trenować wrażliwość? Twierdzono, że była pozbawiona uczuć. Olga otwarcie nazywała ją wulgarną, pytając retorycznie, czegoż innego można się spodziewać po córce kupca? Po tym wszystkim Lidia nabrała dystansu do otoczenia.

Ambicje rodzą się w człowieku u progu dorosłości. Wszyscy uznawali bez dyskusji, że ich prawdziwym celem jest wyłącznie tańczenie wspinających ról, księżniczek w monumentalnych, pięcioaktowych baletach. Słabsze duchem pragnęły jedynie spełnić oczekiwania rodziców lub dobrze wyjść za mąż. Grupa najbardziej ambitnych, w której wiódł prym Lew, marzyła o stworzeniu wielkiej sztuki, wykraczającej poza osiągnięcia klasyki. Lidii nie pociągała żadna z tych postaw. Taniec przychodził jej zbyt łatwo. Niejasno odczuwała, że prawdziwy świat znajduje się po drugiej stronie, za kanałem dla orkiestry, poza światłami rampy, pośród mężczyzn w orderach i kobiet przyozdobionych klejnotami. Balet nie miał dla niej prawdziwego znaczenia, choć kosztował ją wiele potu i łez; jednak nawet sama przed sobą by się do tego nie przyznała.

Lidia wydała kilka okrzyków zachwytu na dowód, że podziela entuzjazm pozostałych i wróciła z zespołem na scenę. Czuła, że dziś rozpocznie się jej kariera. Za mniej niż pół godziny wyruszy w mistyczną podróż za światła rampy, stanie między dworzanami, a car we własnej osobie do niej przemówi.

Kolia

34

Ta świadomość wprawiła ją w stan podobny do transu i gdyby Maria chwyciwszy ją za rękę nie pociągnęła do przodu, zapewne Lidia przestałaby w kulisach cały drugi akt.

Warwara Iwanowna poprowadziła je przez opustoszały teatr do salonu na tyłach, gdzie zgromadziła się publiczność popijając szampana przed kolacją. Starając się nie przypatrywać zbyt natrętnie, Olga i Lidia szły na czele skromnie wyglądającej grupy. Tłum się przed nimi rozstąpił, i gdy dotarły do środka sali, rozległo się delikatne klaskanie wielu par dłoni okrytych rękawiczkami.

Salon, choć skromnych rozmiarów, został jednak wykwintnie urządzony. Jasnoblękitne ściany były szczelnie pokryte rokokowymi płaskorzeźbami białych pióropuszy palm, kratek i złotych pączków różanych. Światło płynące z sześciu złożonych żyrandoli oblewało dworzan w strojach od Wortha i Nicauda, biżuterii od Fabergego i Cartiera. W powietrzu unosiła się mieszanina woni perfum, dymu tytoniowego i delikatnego zapachu rosółu z odległej jadalni. Dziewczęta uważnie stawiały każdy krok, bo gdy damy się obracały, by na nie popatrzeć, długie, ciężkie treny sukien z zadziwiającą łatwością ślizgały się po wyfroterowanej, drewnianej posadzce.

Carska rodzina miała na sobie tak wiele ozdób ze złota i srebra, że wszyscy wyglądali jakby spowici obłokiem blasku. Caryca miała na sobie suknię ze srebrnego brokatu haftowanego złotą nitką, z rękawami obszytymi białym, gronostajowym futrem, które muskało dłonie dziewcząt, gdy się z nimi witała. Lidii mignęła stojąca za nią przysadzista postać nadwornej niańki, ubranej zgodnie z tradycją w chłopski kaftan, ale obszywany złotem, który załopotał wokół niej, kiedy się pochyliła podnosząc trzyletnią carewnę.

- Nareszcie... Oto młoda dama, która będzie nową chwałą i ozdobą naszego baletu - rozległ się głos Mikołaja II.

Lidia złożyła głęboki ukłon, zakreśliła jej się w głowie, bo oto spoczęło na niej spojrzenie smutnych, brązowych oczu samego cara. Tuż obok wyczuła zaniepokojenie Warwary Iwanowny, która miała zamiar najpierw przedstawić Olę. Car wyciągnął do niej rękę. Ponownie dygnęła i niemal od razu gwałtownie się wyprostowała, myśląc z przerażeniem, że być może powinna ująć podaną dłoń. W otoczeniu dam dworu ubranych w sztywne od haftu suknie, zdawało jej się, że w swoim kostiumie wygląda niezgrabnie i jest prawie naga. Tak się zawstydyła, że zakreśliła jej się jej lzy w oczach.

Cetia Brayfield

- Urocze dziecko - zamruczał donośny, głęboki głos i natychmiast jak echo odezwały się inne powtarzając: - urocze, urocze.

Zmieszana Lidia aż zamarła.

- Tylko nie rośnij za szybko - ciągnął Jego Wysokość. - Powiedz nam, jak się nazywasz.

- Lidia Aleksandrowna Kuzmińskaja - wtrąciła Warwara Iwanowna, by przejąć kontrolę nad sytuacją. - Olga Sie-rgiejewna Spiesiwcewa, Maria Stiepanowna Kołkowa...

Przerażone dziewczęta jedna po drugiej stawiały prawą nogę z przodu, uginały lewą z tyłu i przysiadały niemal do podłogi. Stojący na końcu rzędu Lew i Niki pochyłili się tak głęboko, że niemal stracili równowagę. Lidii zrobiło się słabo. Na pewno cały dwór będzie się tygodniami zaśmiewał z ich straszliwie nieporadnego zachowania.

Znów rozległy się dyskretne oklaski. Lidia widziała niewiele, ponieważ otaczały ją rosłe osobistości, ale słyszała ze wszystkich stron szeptane nazwisko Krzesińskiej i wysoki śmiech baleriny dziękującej za komplementy. Na szczęście uwaga wszystkich już się nie skupiała na ich grupie. Widziała, jak car pochyła się ku drobnemu paziowi szepcząc rozkaz, jednocześnie wyraźnie się rozglądając za słynną tancerką. Chłopiec wybiegł z salonu, a tymczasem stojący wokół tłum potężnych, sztywnych postaci nieco się przeredził. Caryca, z nie zdradzającym żadnych uczuć wyrazem twarzy, przesunęła się w najdalszy kąt pomieszczenia.

Atmosfera skrępowania się rozplynęła, bo zbliżała się ku nim Krzesińska, wsparta na ramieniu dyrektora, trzymając wdzięcznie bukiet orchidei i tuberoz, który otrzymała na scenie. Przebrała się w jedwabną suknię w najmodniejszym ostatnio kolorze: jasnofioletowobłękitnym. Pokrywał ją wzór z perełek, a gęsty jedwabny haft na falbance sprytnie okalającej talię wydawał się naturalną ozdobą. Za nią, w procesji, podążała reszta zespołu biorącego udział w przedstawieniu; ubrani w wieczorowe stroje i ze zwyczajnym makijażem, sprawiali wrażenie drobnych i nic nie znaczących.

W chwili dokonywania prezentacji członków zespołu zapadła cisza, ale goście szybko przypomnieli sobie, że trzeba stwarzać pozory, jakby nie było powodów do zgorznięcia, i natychmiast zaczęli szeptać między sobą.

- Zasmuciła nas wiadomość, że pani opuszcza scenę - car zwrócił się do Krzesińskiej.

Kolia

43

- Mnie też przykro, Wasza Wysokość.

- Wielka strata dla naszego baletu. - Choć z ich ust padały banalne zwroty, to jednak ten wysoki mężczyzna w mundurze aż lśniącym od odznaczeń i drobna kobieta spowita w jedwab sprawiali wrażenie pary przyjaciół zatopionych w prywatnej rozmowie.

- Wasza Wysokość zbyt łaskawy.

- Czy w przyszłym sezonie będą wystawiane balety *madame* Krzesińskiej? - władca zwrócił się do dyrektora. Na tak bezpośrednie pytanie dreszcz zainteresowania przebiegł między słuchaczami.

- Tylko *Bajadera*, Wasza Wysokość. Na prośbę *madame*. Dała swoją rolę *mademoiselle* Pawiowej. - Młoda tancerka natychmiast złożyła głęboki ukłon i wdzięcznym pochyleniem głowy podziękowała protektorce.

- Wielkoduszni ludzie zawsze hojnie obdarowują innych. Wszyscy widzieli doskonałe porozumienie pary dawnych kochanków. Oficjalna wersja głosiła, że car Mikołaj i caryca Aleksandra Fiodorowna, jak nazywała się księżniczka heska po przejściu na prawosławie, pobrali się z wielkiej miłości, ale w całym St Petersburgu wiedziano, że car przez całe lata przekładał datę ślubu i dopiero nieuchronnie zbliżająca się śmierć ojca zmusiła go do oddalenia Krzesińskiej. Aluzja do wielkoduszności dotyczyła ich spokojnego zachowania w nowej sytuacji: kiedy to ona straciła cara, a on pobłogosławił nowy związek byłej kochanki. Wokół tej pary zrobiło się wręcz ciepło od oddechów dworzan, którzy analizowali prawdziwe znaczenie wypowiedzianych słów.

- Czasem mi się wydaje, że rokrocznie w naszym kraju rodzi się nowe pokolenie wielkich tancerzy - ciągnął monarcha, wskazując dłonią najmłodszych członków zespołu. Pochylił się i szeptem wydał polecenie paziowi.

Dyrektor skinął na Warwarę Iwanowną, która żelaznym uściskiem pochwyciła ramię Lidii, ciągnąc ją do przodu.

- Wszyscy otrzymacie prezent ze szkatuły Jego Carskiej Mości - oświadczył grzmiącym głosem i gdy wymienił z War-warą nerwowe spojrzenia, Lidia natychmiast odgadła ich znaczenie.

Paź postąpił ku nim trzymając tacę przykrytą szkarłatnym aksamitem, na której ustawiono osiem czarnych, skórzanych kasetek z wytłoczonym w złocie carskim herbem. Dyrektor wybrawszy jedną podał ją Lidii, która dygnęła przed nim,

Celia Brayfield

potem przed carem i została ucałowana w oba policzki przez Krzesińską, spowitą obłokiem woni tuberoz.

- Cacuszko! - zawołała ujmując pod brodę prostującą się Lidię. - Jaka słodka, zdumiona twarzyczka! Przypomina fiołek, prawda? No, pokaż nam prezent od Jego Wysokości.

Przynaglona stanowczym spojrzeniem błyszczących oczu, Lidia wdzięcznym ruchem otworzyła szkatułkę i aż jęknęła z zachwytu na widok owalnego, złotego krążka - na dnie pudełka leżała złota bransoletka ozdobiona grawerowanym wężykiem. Na polecenie Krzesińskiej pokazała upominek gościom spoglądającym z aprobatą.

- Zachowasz ten cenny podarunek na całe życie... - Lidia przytaknęła wypowiedzi baleriny, nie mogąc wykrztusić słowa, i nieporadnie zapięła bransoletkę na przegubie. - Choć jestem pewna, że tak zdolna, młoda artystka otrzyma ich wiele w dowód uznania jej talentu. - Zebrani byli poruszeni, posypały się komentarze, Krzesińską bowiem nie prawiała komplementów bez pokrycia. - A teraz ten aniołek... - Obok pojawiła się Olga, więc Lidia szybko się odsunęła robiąc jej miejsce.

W parę minut dyrektor zakończył wręczanie upominków i gdy do wtóru oklasków wyprowadzano je z salonu, Lidia zobaczyła, jak lokaje otwierają drzwi do jadalni i smakowity zapach zupy sprawił, że aż jej zaburczało w brzuchu. Była bardzo głodna. Służące, które czekały, by im pomóc przy zakładaniu grubych, codziennych ubrań, miały ze sobą kosz z pierożkami i gorące mleko, domyślnie przysłane z kuchni.

Przy wyjściu czekał na nich niezgrabny, prostokątny powóz o anachronicznej konstrukcji, zwany przez uczniów szkoły przedpotopowym wehikułem. Zimą mknął po zaśnieżonych ulicach na żelaznych płozach, które zastępowały koła. Z tyłu przyczepiono wiklinowe kosze z kostiumami, woźnica zdjął derki z trzech rosłych koni i ruszyli wzdłuż brzegu zamarznętej rzeki. Padał śnieg, płatki targane wiatrem tańczyły w zamieci. Lidia zdała sobie sprawę, że ciągle przyciska do serca czarne, skórzane puzderko.

- Ciekawe, dlaczego wybrali właśnie Annę Matwiejewną, żeby przejęła rolę w *Bajaderze* - zapytała Maria sennym głosem, podciągając derkę aż po usta. - Oczywiście, wyjątkowo ciężko pracuje i ma liryczny *genre*, ale to bardzo trudna rola. Moim zdaniem nie podoła, nie starczy jej sił.

- I wtedy każdy wspomni Krzesińską i jej wspaniałe

Kolia

45

wykonanie - ziewnęła Lidia. Jej zdaniem takie rozwiązanie wręcz rzucało się w oczy. - Mario, nie zabieraj całej derki. Zmarzną mi kolana.

- Oczywiście! Masz rację, jakaś ty mądra. Przepraszam, pociągnij w swoją stronę. Im Anna Matwiejewną bardziej beznadziejna, tym lepiej dla Krzesińskiej. Pewnie dlatego też faworyzuje Tamarę Pawłówną. Słyszałam, że obiecała jej dać niektóre ze swoich kostiumów. - Wszyscy uważali za naturalne, że tancerka w chwili otrzymania dyplomu powinna również nieoficjalnie zdać egzamin z polityki wewnętrznej zespołu.

- Mówią, że ona naprawdę wcale nie odchodzi - odezwał się Lew ze zwykłą pewnością siebie, częściowo uzasadnioną, ponieważ jego ojciec tańczył w tym zespole. - Jedna wielka kpina. Po urodzeniu dziecka poproszą ją, żeby wróciła. Dlatego nie chce mieć żadnej konkurencji.

- Nigdy bym nie zdołała znieść czegoś takiego. - W ciemnościach rozległ się szept Olgi.

- Czego? - Lidia nie lubiła śmiertelnie poważnego tonu koleżanki.

- Patrzeć, jak mój ukochany poślubia inną - wyjaśniła Olga.

- Jeśli znajdujesz się pod oficjalną opieką jego stryja, a na dodatek oczekujesz dziecka jego kuzyna, to zgadzam się, nie przychodzi to łatwo - odparła Lidia wesoło, zapominając, że powinna się wystrzegać wulgarności. Ale wśród przysypiających tancerzy rozległ się pomruk stłumionego śmiechu i zdała sobie sprawę, jak bardzo zmieniła się jej pozycja w tym gronie.

Dotarłszy na miejsce chłopcy wyskoczyli pierwsi i pomogli wysiąść dziewczętom; dzięki temu szarmanckiemu zachowaniu Lew zdołał wsunąć list do kieszeni Lidii. Rozzłoszczona zmarszczyła brwi, ale w słabym świetle przy bramie szkoły pewnie tego nie zauważył, bo nic nie powiedział i szybko wszedł do środka.

- Dziewczęta, kłaść się natychmiast do łóżek i nie pobudźcie innych - rzuciła im na pożegnanie Warwara Iwanowna. Dwadzieścia tancerek spało w jednym, długim pomieszczeniu, a pokojówka podrzemywała na krześle w kącie. Posłania Marii i Lidii znajdowały się obok siebie na końcu i pozwolono im zapalić światło przy rozbieraniu. W trakcie rozczesywania długich włosów i zaplatania ich luźno do snu, Lidia wyciągnęła z szafki nocnej pudełko oklejone koronką. Trzymała w nim swoje skarby i miała zamiar umieścić prezent od cara obok

Celia Brayfield

dwóch czekoladek owiniętych w srebrny papier, które uważała za zbyt ładne, by je zjeść, aksamitnej gałazki niezapominajek znalezionej na ulicy, maleńkiego srebrnego breloczka w kształcie skrzypiec i rogowego grzebienia wysadzanego brylancikami. Dwa ostatnie przedmioty należały do innych dziewcząt, dlatego Lidia zazdrośnie strzegła swego skarbcza.

- Co tam masz? - zapytała Maria siadając na skraju łóżka i rozcierając obolałe palce.

- Och, spinki do włosów. - Aby uwiarygodnić odpowiedź, Lidia wyciągnęła parę wsuwek upinających loki i wrzuciła je do pudełka, śpiesznie chowając je z powrotem. Maria sprawiała wrażenie zaabsorbowanej innym problemem, widać było, że jej myśli krążyły gdzieś daleko.

- Lidio, masz przyjaciółkę? - wyszeptła po chwili. Nawiązanie przyjaźni między dziewczętami odbywało się zgodnie z przepisaniem rytuałem. Jeśli para dziewcząt postanawiała się zaprzyjaźnić, składały obietnicę, że będą się zwierzać wyłącznie sobie nawzajem i co wieczór razem chodzić na kolację. Lidia wiedząc, że koleżanki nie tyle jej nie lubią, co uważają za obcą, pogodziła się z brakiem bliskiej towarzyszki.

- Nie, nie mam - odparła mając nadzieję, że Maria powie jej coś miłego.

- Hmm... w takim razie, czy ty, Lidio Aleksandrowna zgodzisz się być moją przyjaciółką i wyznać mi wszystkie swoje sekrety?

Usłyszawszy taką propozycję z ust powszechnie kochanej, uroczej Marii, której ojciec podobno był księciem ze starego polskiego rodu, Lidia z wrażenia się zapomniała i odezwała na głos.

- Wielkie nieba, Mario! Nie żartujesz?

- Oczywiście, że nie. Zawsze cię lubiłam. Będiesz kiedyś wspaniałą tancerką, wszyscy tak twierdzą. I jesteś taka mądra. I masz piękne włosy, nie takie mysie ogonki jak moje.

- Bardzo chcę.

- Musisz to powiedzieć porządnie.

- O, tak. Ja, Lidia Aleksandrowna zgadzam się być twoją przyjaciółką i wyznać ci wszystkie sekrety. - Szybciutko ucałowały się w policzki, w obawie, że służąca wyśle je do łóżek.

- No, to mów.

- Co? - Lidia się przestraszyła: czyżby zaniedbała kolejny przepis szkolnej etykiety?

Kolia

47

- Widziałam, jak Lew dawał ci list.

- Ach, to... - Kartka upadła na podłogę, więc przyciągnęła ją pogardliwym ruchem palców. - Mam ci przeczytać?

- Tak, o tak!

- To jest wiersz. „Ona tańczy jak jedna z nieśmiertelnych niebiańskich gwiazd. Boginie zdumiewają się jej nadziemską urodą. I pośród wszystkich muz Apollo widzi tylko ją." Och, co za obrzydliwość! Jaki on głupi, prawda?

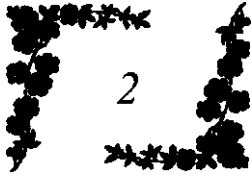
- O, nie, to bardzo romantyczne. Pomyśl sama, ty pierwsza z nas masz wielbiciela.

- Nie można go uznawać za wielbiciela, przecież to jeszcze dzieciak.

- Hmm, moim zdaniem masz szczęście. - Maria zawiedziona, że jej przyjaciółka tak mało przejmuje się miłością, owinęła się ciasno nocną koszulą i wsunęła pod kołdrę.

- Wiesz co... - wyszeptwała Lidia, zdając sobie sprawę, że musi szybko przypieczętować zawarty pakt, nim Maria zacznie tego żałować. - Zróbmy tak. Po zgaszeniu świec poczekamy, aż służąca zaśnie, i obejrzymy nasze bransoletki w blasku księżyca. Niebo jest czyste, szybko zrobi się jasno.

Maria uznała to za bardzo ekscytujący pomysł i pół godziny później dwie nowe przyjaciółki odsunawszy po cichu okiennice leżały w łóżkach, obracając w palcach złote krążki, lśniące w bladym blasku księżyca. W ich zamkniętym świecie baletu panowały magiczne talizmany: pantofelek Kopciuszka, pióra Królowej Łabędzi, fatalny naszyjnik Giselle oraz niezliczone wieńce z lilii i róż, symbolizujących wieczną miłość. Lidia ani przez chwilę nie wątpiła, że podarunek od cara stanowił jej własny talizman gwarantujący szczęście. Gdy w godzinę później Warwara Iwanowna dokonywała ostatniej inspekcji, ujrzała nową ozdobę baletu śpiącą ze skrzyżowanymi dłońmi jak u zmarłej; dziewczyna do serca mocno przytulała bransoletkę.



2

Chelsea, Londyn, 1968

Po co chcesz zostać artystką, Bianka? Pachniał potem, Kentami i piwem w następujących ilościach: co najmniej paczka papierosów, co najmniej sześć dużych kufli piwa i tyle potu, ile zdoła z siebie wydzielić zdrowy organizm w trakcie intensywnego wysiłku umysłowego w upalną letnią noc w Chelsea.

- Nie chcę być artystką, chcę umrzeć. Uczył ją sitodruku. Bianka nie widziała swojej przyszłości w tej dziedzinie, a zresztą i tak już wystawił jej ocenę. Zwykle starała się być uprzejma, ale w kontaktach z nim grzeczność ! wydała jej się nie na miejscu.

- Nie mówisz tego serio.

- Do jasnej cholery, mówię serio! A jak myślisz, dlaczego to powiedziałam?

Walnęła pięścią w parapet i poczuła ból oraz zaskoczenie. Dobrze było wreszcie coś poczuć, choćby i ból. W miarę jak coraz wyraźniejsza stawała się konieczność obrania kierunku dalszych studiów, lęk sprawiał, że była jak otepiała.

Przed nią wakacje, a ona ciągle nie potrafiła się zdecydować.

Akurat w tym momencie Rolling Stonesi zakończyli swe pożegnanie z *Ruby Tuesday*, a stojącej opodal grupce mężczyzn, których rubaszny śmiech zagłuszał ich rozmowę, wyczerpały się tematy do żartów. Słowa Bianki rozległy się głośno nad ogólnym szmerem rozmów. Kilka osób spojrzało w jej kierunku, ale Bianka, która miała wprawę w odwracaniu od siebie uwagi, znieruchomiała i przybrała znudzony wyraz twarzy, tak że ciekawscy nie dostrzegli nic interesującego i szybko wrócili do swoich rozmów.

- Nie chcesz umrzeć.

Ścisnął jej rękę wilgotną dłonią. Możliwe, że to piwo zaczynało wyparowywać.

Kolia

49

- Naprawdę chcę umrzeć. Nie umiem rysować. Nigdy się tego nie nauczę.
 - Masz świetne wyczucie koloru...
 - Nie umiem rysować. Nikomu nie podobają się moje rysunki...
 - Nieprawda, źle ich zrozumiałaś...
 - Wcale nie. Na miłość boską, słuchajże, co do ciebie mówię. Nie umiem rysować, nikomu nie podobają się moje rysunki, nie mam pomysłów, to, co robię, nudzi wszystkich, ze mną na czele. Nie mam po co żyć. Nigdy jeszcze się nie zakochałam, choć mam już prawie dwadzieścia lat. Chcę umrzeć.
- Wreszcie rozluźnił dłoń i wyzwoliła rękę z wilgotnego uścisku.
- Ja ciebie kocham.
 - O Boże.

Wzniosła oczy ku niebu i przez chwilę kręciło jej się w głowie. To nie był wpływ alkoholu: nie znosiła piwa i wmusiła w siebie zaledwie odrobinę, niezbędną, żeby czynnie uczestniczyć w wieczorze. To poczucie nieszczęścia pozbawiło ją wszelkiej energii. Czuła się wyczerpana. Oparła się o ścianę i przyjrzała mężczyźnie, który uczył ją sitodruku. Potargana, brązowa grzywka zasłaniała nisko osadzone brwi. Ruszył w jej stronę.

- Naprawdę, kocham cię, Bianka.
- Chcę wracać do domu.

Przystanął, wolno kręcąc głową jak wół, który nie wie, które ma wybrać wrota.

- Przecież jesteśmy u ciebie, prawda?
- O Boże, tak, rzeczywiście.

Za jego plecami rosnęło jej własne drzewko figowe, to ona tydzień temu zaczęła malować na różowo tę ścianę naprzeciwko i zostawiła ją nie dokończoną, ponieważ nie spodobał jej się kolor. Z pokoju obok dochodziła woń karczidełek jej siostry. Nad głową słyszała stukanie pantofli matki albo ojca lub kochanka matki, a może i każdego z nich - czy to zresztą ma w ogóle jakieś znaczenie?

Przypominała sobie jakiś głos, który na innej zabawie, mniej więcej godzinę temu, zaprosił radośnie wszystkich na kawę do domu. Jej siostra, Hermione, zdążyła już wcześniej sprowadzić pięcioro przyjaciół. Gdy Bianka wraz z całym towarzystwem przysłała do domu, tamci siedzieli wokół pros-

Celia Brayfield

tokatnego sosnowego stołu, na którym leżała spora kupka kokainy. Dokoła walał się niezbędny sprzęt. Teraz w pokoju pełnym ludzi unosił się zapach marihuany. Hermione i jej przyjaciele ucierali w misce resztę zapasów ze spiżarni, sprzecząc się o proporcje składników.

Wśród gości panowało beztroskie szaleństwo, typowe pod koniec semestru. Biankę, która nie potrafiła go dzielić z innymi, ogarnął smutek. Jeszcze mocniej oparła się o ścianę, wokół kręciło się tylu ludzi, że nie mogła się ruszyć. Nauczyciel sitodruku położył jej rękę na ramieniu. Poczula kwaskowaty zapach piwa. Chyba jej nie zgwałci w obecności trzydziestu osób? Zresztą nikt z artystycznego środowiska nie odważyłby się zgwałcić Bianki Berrisford. To mogłoby mieć katastrofalne skutki dla kariery takiego śmiałka.

Przynależność do rodziny Berrisfordów była równoznaczna z przynależnością do wielkiej dynastii. Od początku wieku rodzina rozciągała swe macki na cały świat sztuki i od razu się zorientowała, że istnieją artyści, którzy tylko kupują bądź sprzedają. Teraz, w okresie szczytowego wybuchu i ekspansji sztuki lat sześćdziesiątych, rodzina uosabiała bogatą elitę o wyrafinowanym guście, która wyprowadzi nową Brytanię - bogatą w talenty i błyszczącą od pieniędzy - na pozycję światowego potentata.

Dziadek Bianki był świetnym malarzem, członkiem Królewskiej Akademii Sztuki. Choć jego śliczne obrazki dawno wyszły z mody, kunszt malarza nadal budził podziw. Jego dumny młodszy brat założył galerię, w której sprzedawał jego prace. Babka Bianki mimo reumatyzmu nadal malowała wdzięczne, amatorskie akwarelki, jej ojciec zaś podniósł galerię wuja do rangi słynnego domu aukcyjnego noszącego ich nazwisko.

Matka wykonywała srebrną biżuterię, która akurat w tym okresie stała się ogromnie modna. W rodzinie była też rzeźbiarka - ciotka, żona jednego z wujów; oprócz tego kuzyn fotografik, który za młodu uciekł z domu, i cała plejada krewniaków: zarządców, kuratorów, konserwatorów, wykładowców bądź mecenasów sztuki. Była żona jednego z licznych potomków z nieprawego łoża dziadka Bianki organizowała happeningi w rozpadającym się magazynie owoców w Covent Garden. Klan Berrisfordów odnosił się do niej z życzliwością, wychodząc z założenia, że to twórcza natura stanowi o przynależności do rodu.

Kolia

44

Bianka mieszkała w samym sercu Chelsea, w ładnej, białej willi otoczonej ogrodem. Nad drzwiami znajdowała się błękitna tablica, pamiątka z rezydencji dziadka. Po domu ciągle kręcili się artyści, właściciele galerii, kolekcjonerzy, wydawcy, akademicy i szczupłe dziewczyny o wielkich oczach, wielbicielki sztuki bądź jej twórców. Wszyscy oni, niczym planety po orbitach, krążyli wokół gwiazdy Berrisfordów, wierząc, że kultura wyrywa się spod kontroli wyższych klas, że znajdują się na barykadach tej społecznej rewolucji, a nowa klasa mecenasów będzie finansować to nowe Odrodzenie.

Przynależność do rodziny Berrisfordów oznaczała skazanie na sztukę. Bianka nigdy nie podawała w wątpliwość swej drogi życiowej, bała się jednak, że przerasta to jej siły. Równocześnie jednak była przyzwyczajona do wielbicieli oszołomionych samym jej dziedzictwem.

- Wiesz, czego nienawidzę u ludzi takich jak ty? - Założyła ręce i jeszcze mocniej oparła się o ścianę. - Tego, że choć mówicie, że nic was nie obchodzi, obchodzi was bardzo wiele.

- Ty mnie obchodzisz, Bianka. Jesteś piękna, utalentowana...

- Moja matka jest piękna. Mój ojciec bogaty. Dziadkowie byli utalentowani. Nie sądzisz, że to mogło nieco wpłynąć na twoją opinię o mnie? Ja sama uważam się za dość przeciętną.

- Ale jesteś dobra, Bianka. Z ręką na sercu. Słuchaj, pochodź jeszcze rok do mnie na sitodruk, a sama się przekonasz.

- Nie słuchaj go, maleńka.

Nagle otoczyła ich hałaśliwa grupka, która do tej pory stała z boku.

- Nie daj się wrobić w zabawę z sitodrukiem. Lepiej dołącz do nas i zajmij się rzeźbą.

Z wdzięcznością przyjrzała się sześciu szeroko uśmiechniętym, rosnącym chłopakom o czerwonych twarzach. Ubrani byli w wytarte swetry z szetlandzkiej wełny, w dłoniach mocno ściskali szklanki. Mówili z przesadnym północnym akcentem, żeby podkreślić swoją przynależność do klasy robotniczej, której i jako mężczyźni, i jako artyści zawdzięczają niepodzielność.

- Pół godziny! - zawołała zaróżowiona z wysiłku Hermione, wstawiając dużą blachę z ciastem do piekarnika i zatrząskując drzwiczki. - Pamiętajcie, pół godziny! Kto chce wylizać miskę?

Celia Brayfield

Natychmiast wyciągnęły się niecierpliwe ręce, a ona podała miszkę, odgarniając długie, lśniące włosy, przypominające szarobrazową rzekę. Loki i kędziorki zaczepiały o paciorki przyszyte do czarnego fartucha. Młodszą o trzy lata od Bianki Hermione wiele osób uważało za starszą z sióstr, ponieważ wyglądała dojrzałej, była macierzyńska, tajemnicza i lubiła gotować.

Bianka na pół świadomie przeciągnęła ręką po swoich krótko ostrzyżonych włosach. Studenci rzeźby, którzy chcieli pognać nauczyciela sitodruku, zacieśnili krąg wokół wykładowcy i Bianki.

- Rzeźba, to jest to. W niej znajdziesz wszystko. Szczupły piegus mrugnął znad szklanki do kolegów, a nauczyciel niezręcznie przestępował z nogi na nogę.

- No - dodał ciemnowłosy - przyłącz do nas i polep trochę, maleńka. Istna rozkosz, sama się przekonasz.

- Zapomnij o tych cacanych, ślicznych rysunekczkach. Rzeźba to coś zupełnie innego.

- Rysowanie jest dobre dla mięczaków.

- No.

- Cudowne uczucie tak się upaćkać przy robocie.

- No, my się nie boimy pobrudzić sobie rączek. Zakrzyczany, pokonany, urażony w swej męskiej dumie nauczyciel postanowił się wycofać.

- Doprawdy, uważam, że powinnaś poważnie się zastanowić nad sitodrukiem - brzmiała jego ostatnia, słaba deklaracja.

- Jasne, wpadnij kiedyś obejrzeć moje rysunekczki i nie tylko - mruknął kpiąco piegus, a jego towarzysze parsknęli śmiechem.

Zawsze trzymali się w grupie, to im dodawało odwagi. Pojedynczo byli tylko chłopcami z prowincji, zagubionymi w wielkim mieście - uczciwi, prostoduszni, dobrzy i wrażliwi. Razem mogli narzucić swój punkt widzenia, stawiali tarcza przy tarczy i odpierali każdy atak nieprzyjaciela.

Ciemnowłosy przedarł się przez tłum do kuchni i wrócił z butelkami piwa.

- Możesz pić Newcastle Brown? - spytał niespokojnie, nagle uświadamiając sobie, że jego paczka poderwała jedną z tych wspaniałych dziewczyn z Chelsea, których wysokie mniemanie o sobie i niechęć do chodzenia z przybyszami z północy kraju stanowiła przedmiot gorzkich żartów już od początku ich pobytu w Londynie.

Kolia

53

- Nie wiem. To się okaże.

Uśmiechnęła się do niego lekko i uniosła butelkę do ust, nim zdążyli jej podać szklanekę.

- W czym robisz?

Miał wyrazistą twarz, gęste brwi, rzymski nos i ciężkie, opadające powieki. Było w nim coś klasycznego i Bianca zamajaczyła przed oczami wizja nieznanego chłopca, kującego w granicie.

- W wolframie. Wiesz, rury, lampy.

- Aha.

Z kuchni unosił się smakowity zapach ciasta czekoladowego i przenikliwa woń haszyszu. Hermione rozstawiała talerze.

- Ale wszyscy są bardzo otwarci, możesz pracować, na czym tylko zechcesz.

- Mhmmm...

- Plastik, stal, beton - jeden gość robi nawet w elektronice. Przyznam, że mnie to trochę zaskoczyło. Zdaje się, że tutaj niezbyt się liczą z forszą.

Bianka znowu poczuła obezwładniające znużenie. Nie chciała grzebać się w plastiku, stali, cemencie, częściach elektronicznych czy rurach wolframowych. Po pierwszym roku uczelni plastycznej dowiedziała się jednej nieprzyjemnej rzeczy na swój temat: była tępą. Żaden materiał jej nie pociągał, właściwie żaden przedmiot nie interesował, z wyjątkiem ludzkiego ciała. Przestrzeń, plany i światło, zabawy z fakturą, olbrzymie dzieła - wszystko to zachwycało pozostałych studentów, otwierało przed nimi nowe światy, podczas gdy jej wystarczały ludzkie twarze i ciała. Podziwiała artystów, którzy ustawiali sterty puszek na znak protestu przeciwko społeczeństwu śmieciarzy, bądź przedstawiali tysiące sutek, aby po stuleciach wyzwolić ludzką przynależność płciową z okowów purytanizmu. Ona jednak chciała jedynie uchwycić ruch podnoszonego ramienia.

Nauczyciele starali się ukrywać niezadowolenie, ale mimo to ciągle spotykała się z krytyką. Namalowała kobietę w pokoju, a oni delikatnie sugerowali, żeby z obrazu usunęła kobietę. Jej studium zadumanej twarzy starca spotkało się z komentarzem, że głównym punktem obrazu stało się światło na czubku jego nosa. Jej prace ani o krok nie zbliżyły się do delikatnych studiów jej dziadka, które przyniosły mu sławę. Zwykle przedstawiał na nich swoje kochanki w ogrodzie. Ona zaś najwyraźniej nie potrafiłaby namalować nawet pocztówki.

Celia Brayfield

Światła niemal całkowicie pogaszono, rozmowy przycichły. Hermione zamiast kadzidełek wstawiła do hinduskiego świecznika sztuczne ognie i z piskiem odskakiwała, gdy zaczęły sypać iskrami. Jakaś litościwa dusza zapaliła światło, żeby mogła dokończyć dzieła. Kiedy wniesiono ciasto z gorejącą koroną sztucznych ogni, rozległy się oklaski.

- A *collage*? - spytała Bianka bez entuzjazmu.

- Tym też się bawią. *Objets trouves*, stare puszki, części od samochodów.

- Hmm...

- A ciebie, jak sądzisz, co może zainteresować?

- Komu ciasta, komu?

- Dzięki, skarbie!

- Och, ekstra!

- Prawdziwe pyszności.

Nałożywszy sobie z foremki gorącego, rozsypującego się ciasta, koledzy ciemnowłosego wycofali się, żeby oni tylko we dwoje mogli dokończyć tę dziwną, niezręczną rozmowę. Bianka czuła, że chłopak to szef paczki, a jego towarzysze zgodnie uznali, że należy mu się zdobycz w postaci dziewczyny z Chelsea, oni zaś będą go wiernie wspierać w wysiłkach. Bianka przyzwyczaiła się, że traktuje się ją jak zdobycz, ale ten mężczyzna niewątpliwie nie zamierzał jej chwycić.

- Dzięki, Herm, nieźle wygląda.

- Weźcie sobie z tej strony, tam jest spalone. - Uśmiechnęła się do nich radośnie, z ciekawością wodząc wzrokiem od jednego do drugiego. Gdy przekreśliła głowę, zadźwięczały jej tybetańskie kolczyki.

Bianka przełknęła odrobinę ciepłych okruszków, skrzywiła się czując goryczkę spalenizny i wróciła do rozmowy.

- Sama nie wiem. Ludzkie ciała. Lubię nad nimi pracować.

- Czyli happeningi, coś w tym stylu, tak?

Bez przekonania trzymał swój kawałek ciasta, jakby miał nadzieję, że ktoś mu je wyjmie w ręki.

- Nie musisz tego jeść. Moja siostra nie będzie urażona, ona mało czym się przejmuje. Zresztą i tak dodała za mało cukru. Jest obrzydliwe.

Z wdzięcznością kiwnął głową i odstawił talerzyk na tacę.

- Ależ skąd, nic z tych rzeczy. Po prostu podobają mi się ludzie, ich ciała. Istota człowieczeństwa. Sam rozumiesz. Przynajmniej udało jej się znaleźć przekonujące wytłumaczenie własnej nieudolności.

Kolia

55

- To oryginalne.

- Wcale.

Pierwszy raz popatrzył jej prosto w oczy i choć to się wydawało niemożliwe, w jego spojrzeniu dostrzegła współczucie. Poczła się niepewnie.

- Ludzie od milionów lat malują swoje podobizny.

- Widać coś w tym musi być.

Kolejna dziwna rzecz - wargi rozciągnęły jej się w uśmiechu.

- Przepraszam, ty tylko żartowałeś.

- Niezupełnie. Czy sztuka nie jest po to, żeby mówić ludziom coś na ich temat?

- Właśnie to osiągasz przy pomocy swoich świateł? Nagle coś niewyraźnie zamajaczyło jej w pamięci. Jakieś plotki, powinna pamiętać.

- Cóż, nie da się zaprzeczyć, że gdy je zapalić, ludzie lepiej się zobaczą - bronił się z błyskiem w oczach. - Powiedz mi coś...

- Tak?

- Skoro tak trudno ci dojść do ładu ze sobą, swoją rodziną i w ogóle, to dlaczego się stąd nie wyprowadzisz? Nie zrozum mnie źle, ja ci nic nie radzę, ale widzę, że jest ci ciężko, że oni po prostu cię przygniatają.

Sama już nieraz to zauważyła, ale życie poza orbitą Berrisfordów zdawało się szare i nieprawdziwe. Ale teraz, gdy słowa te padły z ust silnego mężczyzny o ruchliwej, żywej twarzy, którego dodatkową zaletą było to, że żył z dala od światka Chelsea, pomysł wydał się nagle możliwy do zrealizowania.

- Rzeczywiście, chyba powinnam to zrobić, prawda? Skinął głową i poczuła, że łączy ich jakaś więź, której nie potrafiła określić.

- Wiesz, zastanawiałam się nad rzeźbą. Interesowało mnie lepienie albo coś takiego.

Spojrzała na ręce, opuszczając wzrok, żeby ukryć swoje prawdziwe myśli. W amerykańskim piśmie awangardowym widziała zdjęcia odlewów robionych bezpośrednio na modelach i uświadomiła sobie, że dzięki tej technice jej prace mogłyby wydać się interesujące, nie obnażając przy tym jej niedostatków.

- A więc spotkamy się jesienią? - upewnił się pospiesznie. No, wreszcie jakiś znak.

Celia Brayfield

Atmosfera w pokoju zaczynała się zmieniać. Część osób układała się do długiego, narkotycznego snu. Van Morrison wspominał *Cypress Avenue*. Reszta gości, mających odmienny gust albo inne zaproszenie, uświadomiwszy sobie, że skończył się proszek, przechodziła płynnie do ogrodu, a potem na ulicę. Przyjaciele ciemnowłosego sprzeczekali się, dokąd teraz pójść i jak tam się dostać.

- Ja mam samochód - wyjaśnił, bezradnie wzruszając ramionami, gdy koledzy zaczęli ciągnąć go w kierunku drzwi.

- I jak, namówiłeś ją? - spytał piegus, częściowo odwrócony od Bianki.

- Do czego?

Od miesięcy już nie flirtowała, dziś jednak odprowadziła ich do drzwi i z uśmiechem oparła się o futrynę.

- To Joe, nie zwracaj na niego uwagi, to jeden z tych niewychowanych gburów z Północy.

- Miło mi cię poznać - stwierdził Joe, entuzjastycznie potrząsając jej ręką. - To jak, dołączysz do nas, czy będziesz dalej bawić się w sitodruk z tym mięczakiem?

- Dołączy do nas, nie, Lovat?

- Musi.

- Pewnie.

- Będzie tego, panowie.

Zataczając się, zeszli po kamiennych schodach i jeden po drugim zniknęli w ciemnościach. W poświacie ulicznych latarni liście magnolii rosnącej obok domu lśniły żółtawym blaskiem. Bianka zauważyła, że niebo nad wysokim, ceglanym murem zaczyna się rozjaśniać. Ciemnowłosy chłopak zatrzymał się na schodach, ale szybko zamknęła drzwi, żeby nie zdążyć powiedzieć czegoś głupiego.

- Jak sądzisz, Herm, powinnam się zająć rzeźbą? - zwróciła się do siostry, która w malowniczej pozie leżała na parapecie.

- Moim zdaniem powinnaś się wsłuchać w swój głos wewnętrzny i zrobić, jak ci serce dyktuje.

- Bianka, wiesz, kim jest ten chłopak, który cię podrywał? Drugi głos należał do Shony Crawford-Pitt, która gęste jasne włosy związywała aksamitnymi kokardkami, do dżinsów nosiła eleganckie, męskie półbuty i nawet nie starała się ukryć, że przyjaźni się z Berrisfordównami ze względu na ich nazwisko.

- Nie bądź głupia, wcale mnie nie podrywał. Nazywa się Lovat, słyszałam, że tak się do niego zwracali jego kumple.

Kolia

51

Jest na drugim roku, prawda? O, nie! - Wreszcie sobie uświadomiła, co to za plotki jej się przypomniały w czasie rozmowy z chłopakiem. - Nie mów, że to ten, który dostał tę robotę w banku?

Przez ostatnie kilka tygodni ciągle mówiło się o studencie drugiego roku, któremu duży amerykański bank zlecił zaprojektowanie głównej hali. Taki kontrakt dla dojrzałego, znanego artysty stanowił prawdziwą okazję. W wypadku studenta, a do tego studenta drugiego roku, świadczyło to o jego geniuszu bądź kompletnym upadku moralnym - co do tego opinie były podzielone.

- Jasne, że to ten! Ty głuptasie, to był sam Lovat Whitburn Wspaniały!

Arystokratyczny pisk Shony mógł kruszyć kryształy, nawet gdy była zaćpana.

- O, Boże, ten straszny dorobkiewicz! Jaka szkoda. Nie wyglądał na wroga klasowego. - Hermione przekreśliła się na drugi bok i podała im skręta.

- Herm, nie bądź taka ostra. Co szkodzi, jeśli komuś się trafi dobra robota dla banku? W końcu pieniądze to nic aż tak strasznie złego. A zresztą, po co ja ci to mówię? W końcu jako córka Mecenasów Sztuki sama powinnaś doskonale o tym wiedzieć. - Shona włożyła skręta złą stroną i zakrztusiła się dymem. - Cholera, widzisz, coś narobiła? Zresztą, cokolwiek byś o nim sądziła, musisz przyznać, że chłopak jest całkiem niezły. Rzeźbiarze są w ogóle sexy, twardzi, męscy, ale on to istne uosobienie seksu, prawda, Bibi?

- Zależy, co się komu podoba - odparła Bianka, myśląc o czymś innym.

Nie przepadała za zdrobnieniami, a poza tym nie rozumiała, dlaczego ludzie robią tyle hałasu wokół seksu. Przez rozsądek spróbowała tego z licznymi, miłymi chłopakami, licząc, że odkryje coś wspaniałego, co całkowicie odmieni jej życie. Tymczasem okazało się, że to średnio przyjemny i nieciekawny sposób spędzenia czasu. Zjadła ostatnie okruszki z tacy i poszła do sypialni, ciągle niepokojąc się o swoją przyszłość.

Kiedy się wreszcie obudziła, na dworze było jasno i ciepło. Po raz pierwszy od wielu lat plan dnia rysował się przed nią wyraźnie i zachęcająco. Przekonanie Berrisfordów do własnej

Celia Brayfield

decyzji wymagało zastosowania odpowiedniej strategii, ale Bianka już dawno ją opracowała. Rodzina drżała przed niezadowoleniem ojca. Jako małe dziecko Bianka odkryła, że ojciec zawsze odmówi bezpośredniej prośbie i potem będzie długo córce tłumaczył, dlaczego jest głupia, prosząc o coś takiego. Matka, która rozpuszczała dziewczynki, aby ukryć swoje nimi znudzenie, zgadzała się na wszystko. Tak naprawdę Biankę rozumiała tylko babka, ale starsza pani wolała nie wtrącać się do sporów syna i jego żony. W związku z tym, najlepszym sposobem było pozyskanie poparcia matki i babki, a potem przekonanie ojca, że chodzi o kobiece sprawy, 'kwestie związane z prowadzeniem domu - czyli rzeczy niewarte jego zainteresowania.

Włożyła stare, czarne dżinsy, nierówno pofarbowaną podkoszulkę i kuląc gołe stopy weszła na zimne, żelazne stopnie, które wiodły na górę do królestwa rodziców. Nie miała czasu do stracenia. Zwykle w niedzielę Hugh i Olivia Berrisfordowie przyjmowali gości, więc wkrótce wściekła matka zaczęła się miotać po kuchni.

Bianka szła wolno, w myślach układając argumenty, próbując przewidzieć ewentualne obiekcje: wydatki, jak to będzie wyglądało, co sobie ludzie pomyślą, czy takie posunięcie będzie stosowne w rodzinie o takiej pozycji. W domu panowała taka cisza, że słyhać było stapanie abisyńskich kotów Olivii. Cichy, opuszczony dom z mnóstwem obrazów na ścianach wyglądał jak muzeum. Bianka zajrzała na taras, żeby sprawdzić, czy nie ma tam matki, ale zobaczyła tylko służącą, Portugalkę, która na długim, tekowym stole szykowała bufet. Ojciec, jak się dowiedziała, wyjechał na lotnisko po jakiegoś ważnego gościa. Z tego wniosła, że matka pewnie się teraz ubiera.

Za biblioteką były schody, które prowadziły do pokoju kąpielowego matki. Wchodziło się do niej przez drzwi ukryte w pomalowanej na biało boazerii. Od dziecka przepadała za tym przejściem. Wchodząc po wąskich stopniach, usłyszała rytmiczne stukanie, możliwe, że to okiennica uderzała o otwarte okno.

W gotowni unosiła się para, pachniało solami kąpielowymi. Rzeczywiście, z marmurowej wanny na środku pokoju nie spuszczone jeszcze wody, na wykładzinie widać było wilgotne ślady stóp, wiodące do sypialni. Bianka wiedziała, że powinna się tam udać bez wahania. Olivia życzyła sobie, żeby

Kolia

53

jej córki nie wstydziły się nagości, to stanowiło kolejny dowód ich nowoczesnego wychowania.

W pierwszej chwili pomyślała, że w rogu pokoju stoi nowa rzeźba. Sylwetki dwóch osób były splecione w sztuczny, nienaturalny sposób. Przeszła na środek pokoju, zastanawiając się, czemu rzeźba nie została umieszczona na dole, gdzie zwykle ustawiano podobne, erotyczne dzieła. Wtedy dostrzegła dwa wilgotne ręczniki, ruch męskich pośladków, wysiłek kręgosłupa, z jakim utrzymywał ciężar kobiety. Zauważyła też, że wyżej uniesione stopy, wystające zza ramion kochanka, należały do jej matki, i uświadomiła sobie, że to, co wzięła za stukanie okiennicy było plaskaniem dwóch wilgotnych ciał. Pieprzyli się w ciszy, z zamkniętymi oczami, oboje odlegli, skupieni wyłącznie na swojej rozkoszy.

Zaszokowana Bianka tyłem rzuciła się do drzwi z takim impetem, że wpadła na ścianę. Kochankowie jej matki byli kolejnym celebrowanym elementem układu, jeszcze jednym dowodem artystycznego dziedzictwa rodziny. Bianka przez całe życie była przedstawiana ciągle nowym zawstydzonym i pochlebionym mężczyznom, którzy zapalali matce papierosa, przynosili jej drinki, wozili ją samochodami, kręcili się po jej pracowni i tworzyli erotyczne tło w pisanej przez nią sztuce życia. Często mężczyźni ci byli w wieku Bianki. Ten, sądząc po lekkiej otyłości i drzeniu nie wyćwiczonych mięśni, musiał być starszy. Bianka zawsze starała się nie myśleć o tym, co właściwie matka robi. Przypadkowe natknięcie się na to budziło w niej wstęt.

Odwróciła się i natychmiast uciekła, potem prawie godzinę siedziała w ogrodzie, usiłując dojść ze sobą do ładu. Przede wszystkim trzęsła się z gniewu. W jej życiu nie było ani kawałka, którego jej rodzina uprzednio by nie zmonopolizowała; przywłaszczyli sobie nawet seks, który wydawać by się mogło, był zarezerwowany dla młodych. Nie miała gdzie pójść, nie istniało miejsce, gdzie by się czuła jak u siebie.

Piękno ogrodu uspokajało. Wiele z tych krzewów i drzew można było zobaczyć na obrazach dziadka, ale mniejsze, często dopiero co posadzone. Teraz się rozrosły; na starych, zielonych, grubych pniach widniały blizny po uderzeniach pioruna. Róże pięły się wysoko, długie łodygi zwisały pod ciężarem pełnych, pachnących pąków. Na jabłoni pojawiły się niedojrzałe jeszcze, zielone owoce wśród ostatnich, zwiędłych kwiatów. Poranny deszczyk, którego krople ciągle jeszcze

Celia Brayfield

wisiały w zacienionych kątach ogrodu, stracił płatki kwiatów na kamienny chodnik.

Zza północnego parkanu dobiegały odgłosy zabawy z pubu Queen's Elm, zza południowego - z restauracji Art's Club. Po tych hałasach Bianka potrafiła określić porę dnia. Co niedziela wszyscy mieszkańcy Chelsea sennie wylęgali na obchód barów i pubów, bezczeszcząc w ten sposób dzień pański. Zanim wychodzili z pubu, żeby zdążyć złapać stolik w restauracji, przed drugą po południu w zbyt szybkim tempie pochłaniali duże ilości piwa, i latem, kiedy pito na zewnątrz, wyjście z pubu do restauracji stawał się hałaśliwy. Bianka dorastała słuchając przytłumionych rozmów, nad którymi dominowały okrzyki barmanów, ogłaszających zamknięcie pubu.

Niedługo zaczęły się schodzić goście zaproszeni na lunch. Bianka przypomniała sobie o swoim planie i postanowiła porozmawiać z babką, zanim zostanie wciągnięta w nurt wydarzeń.

Wiele lat temu Hugh Berrisford postanowił kupić rozkoszny biały domek, który stał w drugiej części ogrodu, oddzielonej od nich murem, i przeistoczyć willę z tablicą upamiętniającą Waltera Berrisforda, członka Królewskiej Akademii Sztuki, w miejski odpowiednik zamku, siedziby rodu. Mur zburzono i znany architekt ograniczył się do przerobienia domku w środku i wybudowania pracowni dla babki. Kiedy Bianka i Hermione były małe, pracownia stanowiła czarodziejskie miejsce, w którym co dzień odkrywało się nowe cuda. Dopóki wzrok jej się nie pogorszył, Charlotte Berrisford malowała niewielkie kawałki drewna na wzór tradycyjnych rosyjskich emalii. Opowiadała wnuczkom dzieje malowanych lekkimi pociągnięciami pędzla postaci: wielobarwnych smoków, rusalek, mówiących ptaków o mieniących się skrzydłach i ogonach. Charlotte przed rewolucją spędziła siedem lat w Petersburgu, gdzie pracowała jako guwernantka w arystokratycznej rodzinie i wszystko co rosyjskie miało dla niej nostalgiczny urok.

Hugh nie znosił tego jej przywiązania, ale stanowiło ono broń Charlotty przeciw niemu. Pogardliwie traktował jej zbiór ikon, był niegrzeczny wobec nędznie odzianych, łagodnych przyjaciół - emigrantów i uciekinierów z Rosji - którzy nieustannie wpadali na herbatę ze szklanki, palili śmierdzące papierosy i wiedli z jego matką długie, namiętne dysputy filozoficzne.

Kolia

55

- Chyba nie przyjmuje znowu któregoś z tych swoich Borysów? - pytał się córek. - Nie wytrzymałbym z takim w jednym pokoju. Zlitujcie się i powiedzcie, kiedy już sobie pójdzie.

Bianka znalazła babkę w oranżerii: drobna, spokojna figurka w spodniach i czerwonym, bawełnianym szalu, który zasłaniał krótkie, siwe włosy, pochylała się nad kaktusem.

- Nienawidzę tych roślin za to, że nie potrzebują wody. Zerwała zwiędły kwiat z sukulenta, który wychylał się ponad krawędź stołu.

- Czy to w ogóle można nazwać kwiatem? Nic dla takiego nie można zrobić. Witaj, kochanie. Wyglądasz na rozgniewaną.

- Chciałam porozmawiać z Olivią.

Kolejnym charakterystycznym zwyczajem w jej rodzinie było zwracanie się do rodziców i nazywanie ich po imieniu.

- To co innego. Czy to coś ważnego?

Wyrzuciła garść zwiędłych kwiatów do kosza i usiadła na ławce, żeby wysłuchać wnuczki. Poruszała się wolno i wpatrywała w jakiś odległy punkt, jakby obserwowała lecącego na niebie ptaka. Nie wyglądała na poruszoną i to dodawało Biance odwagi.

- No cóż, oczywiście, bardzo mi dobrze w domu i doceniam, że jest na tyle duży, że każdy ma swoją niezależną część, ale... Chciałabym zamieszkać sama.

- Czy to znaczy, że chcesz zostać na uczelni? Rozmowa z babką zawsze przynosiła ulgę, bo staruszka, choć nie zawsze bystra, była cierpliwa i nigdy się nie unosiła gniewem. Bianka przyciągnęła stare, powyginane krzesło i usiadła na nim okrakiem.

- Postanowiłam, że chcę się zająć rzeźbiarstwem. Naprawdę, podoba mi się lepienie, babciu. I chciałabym się zająć... czymś naprawdę potężnym. A tutaj mają potrzebny sprzęt, zachęcają do tego typu działalności, więc czemu nie? I szczerze mówiąc, trochę się boję porzucić to wszystko i wyjechać gdzieś na prowincję, gdzie ludzie będą się wyśmiewać z tego, jak mówię, co mówię i w ogóle. I bez tego mi ciężko.

- A rzeczywiście ci ciężko?

- Tak, pewnie że tak. A tutaj przynajmniej nie jestem jedyną bogatą panią w okolicy.

- Rzeczywiście, chyba masz rację. A więc gdzie chcesz się wyprowadzić?

- Och, niezbyt daleko. Chodzi mi tylko o to, żeby być niezależną.

Celta Brayfield

- A pomyślałaś, ile to może kosztować?
- Jestem przekonana, że coś znajdę.
- A co z twoją siostrą?
- Przecież Hermione po skończeniu szkoły i tak wybiera się do Indii.
- Widzę, że na wszystko przygotowałaś sobie odpowiedź.
- Tak.

Siedziały w milczeniu. Dwie kobiety, które dzieliło pięćdziesiąt lat życia, łączył wspólny lęk przed gniewem Hugh'a Berrisforda. Podstawowym problemem w ich rodzinie był sposób sprowadzenia nastawionej krytycznie głowy rodu ze ścieżki arogancji na drogę rozsądku.

- Pomóż mi, babciu - poprosiła nagle Bianka.
- Staruszka spojrzała na wnuczkę. Proste, krótkie włosy na czubku głowy dziewczyny sterczały niczym włókna orzecha kokosowego i opadały na niebieskoszare oczy. Tryskała świeżą, nieskalaną urodą młodości, ale równocześnie na jej twarzy malowało się cierpienie nie ukształtowanej duszy, która musi stawić czoło bezwzględnemu światu. Jednak stara kobieta widywała już gorsze rzeczy niż młodą, piękną, bogatą dziewczynę i nie potrafiła zrozumieć choroby nazbyt hojnie obdarowanej młodości.
- Wiesz, że nic nie mogę zrobić.

Czując się niezręcznie, podeszła do zlewu, gdzie zwykle płukała łodygi i zimną wodą obmyła ręce.

- Możesz. Możesz z nim porozmawiać. Ciebie wysłucha.
- Tak, wysłucha i czym prędzej zapomni każde moje słowo. Nie mam zamiaru być typem matki z music-hallu, która ciągle marudzi synowi za uszami, nawet jeśli on na to zasługuje. Moim zdaniem powinien być zadowolony, że chcesz się uniezależnić. Zdaje się, że teraz większość rodziców właśnie tego oczekuje od swoich dzieci, prawda?
- Hugh nie jest taki jak większość rodziców. Światelko nadziei w jej oczach przygasło. Westchnęła i wstała z krzesła.
- W końcu zawsze mogę po prostu sobie pójść. Nic mnie nie powstrzyma. Musiałabym co prawda naruszyć mój fundusz, ale...

Widząc niebezpieczeństwo poważniejszego konfliktu, babka mocno się zaniepokoiła.

- Nie podejmuj żadnych szalonych kroków, Bianco. Nie zapominaj, że po twojej ucieczce my nadal będziemy musiały tu mieszkać.

Kolia

58

Dziewczyna szła do drzwi nie reagując na słowa Charlotte.

- Posłuchaj, kochanie, wiesz, że jestem po twojej stronie, naprawdę. Pozwól mi wymyślić najlepszy sposób, jak się do tego zabrać... Bianco? Proszę, kochanie, nie rób nic, czego mogłabyś potem żałować...

- Chciałaś powiedzieć: czego ty mogłabyś potem żałować. - Zdawała sobie sprawę, że to okrutne słowa, ale czuła się podwójnie zdradzona i w ten sposób sprowokowana do podjęcia działań. - Muszę iść, obiecałam, że będę, kiedy pokażą się goście. Cześć, babciu.

Przesłała nieszczerzy pocałunek i nie oglądając się, pobiegła ścieżką do domu. Wczoraj płakałaby, widząc słabość babki. Dziś utwierdziła ją ona w podjętej decyzji.

Na tarasie zastała już wszystkich gości. Niedzielne lunche u Hugh'a i Olivii Berrisfordów stanowiły wyzwanie dla środowiska. Wprowadzając zwyczaj zapraszania gości w czasie weekendu do Londynu, podważali tradycję wyższych klas, które sobotnio-niedzielne przyjęcia urządzały w wiejskich rezydencjach. Berrisfordowie należeli do nowej elity, która nie przyznawała się do przynależności do jakiegokolwiek klasy. Nie znosili ludzi, którzy oprócz tytułów nie posiadali niczego, co by świadczyło o ich wartości. Najchętniej wśród swoich gości widzieli labourzystowskich polityków, którzy pochodzili z dobrych rodzin, ale odrzucili swe dziedzictwo. Jeśli nikt taki nie mógł się pojawić, musieli wystarczyć nowobogaccy, ludzie u władzy i artystyczna cyganeria. Młodzież także była mile widziana, od dziewcząt oczekiwano, że przyprowadzą swoich przyjaciół, im dziwniej ubranych, tym lepiej. Olivia zapraszała gości do jedzenia. Wyglądała olśniewająco w długiej, zamszowej kamizelce włożonej na wąską, białą, dżersejową sukienkę. Jasne włosy zaczesła go góry i spięła ciężką, srebrną klamrą własnej roboty. Spod wyskubanych, łukowatych brwi i bardzo mocno umalowanych powiek spoglądały błękitne oczy. Słońce przeświecało przez długie sztuczne rzęsy, rzucając cień na jej policzki. Obok niej stał Hugh, mniej więcej tego samego wzrostu i o podobnym kolorycie. Stanowili ładną parę. Matka wyglądała na pogodną, beztroską. Bianka zastanawiała się, czy jej kochanek znajduje się w gronie gości.

- Bianco, kochanie, pozwól że ci przedstawię Pierre'a Dumesnila. - Ojciec wskazał na szczupłego, bezbarwnego mężczyznę o ruchliwej twarzy. Mężczyzna miał na sobie

Celta Br ayfield

czarną bawełnianą koszule. - Nawet ty musiałaś o nim słyszeć. Pierre był bohaterem zamieszek na Sorbonie. Zagości u nas przez tydzień i pytał mnie, na jaką pomoc mogliby liczyć tutaj francuscy studenci. Możesz mu odpowiedzieć - prawda?

Pochylił się nad nią. Pytanie zadał takim tonem, jakby sugerował, że Bianka z pewnością nie potrafi odpowiedzieć.

- Wszyscy nasi działacze są już w Paryżu. - Bianka podała Francuzowi rękę, zdając sobie sprawę, że wszyscy im się przyglądają i bacznie przysłuchują. - Już od początku semestru jest tam cała ich grupa, a z pewnością są socjaliści z międzynarodówki. Chyba pan wie, że londyński uniwersytet nie ma campusu, wszyscy są porozrzucani po całym mieście. Myślę, że łatwiej zorganizować ludzi, jeśli razem mieszkają.

- Ale czy w Londynie studenci nie demonstrują?

- O, tak, wszędzie; urządzają manifestacje na rzecz demokracji, drą prace egzaminacyjne, barykadują się w salach wykładowych. Problem ze studentami z uczelni plastycznych polega na tym, że za bardzo kochają swoje prace, żeby je podrzeć.

- A pani? Czy zniszczyłaby pani swoją pracę dla idei?

- Robię to nieustannie. Tyle że moją ideą jest stworzenie czegoś lepszego.

Była to patowa odpowiedź. Miała wprawę w tego typu szermierkach słownych. Towarzystwo zostało usatysfakcjonowane. Widząc aprobatę gości, ojciec przestał mierzyć ją inkwizytorskim spojrzeniem. Bianka postanowiła skorzystać z okazji. Hugh liczył się wyłącznie z opinią swoich pobratymców. Zaczerpnęła głęboko tchu, poczuła, że ma ściśnięty żołądek.

- Choć przyznam, że i ja mam zamiar zaprotestować na swój własny sposób.

- Doprawdy? A jakież to sposób?

Ojciec nie potrafił zapanować nad mentorskim tonem, z jakim zawsze wypowiadał to zdanie. Bianka wiedziała już, że wygra.

- Postanowiłam się wyprowadzić, Hugh. Chcę zamieszkać sama. Potrzebuję... Czuję, że jestem już wystarczająco dojrzała, i muszę zacząć żyć ze swoimi rówieśnikami. To wszystko jest wspaiałe...

Szerokim ruchem ręki objęła bufet, elegancko ubranych gości, którzy mościli się na kanapach w bibliotece i służącą, która - ubrana nie w klasyczną spódniczkę i fartuszek, ale

Kolia

60

obcisłe dzinsy na masywnych pośladkach - z uśmiechem nalewała szampana.

- Wspaniale, w domu jest mi tak dobrze, ale on stanowi barierę, nie rozumiesz? Muszę być częścią czegoś więcej niż tylko rodziny. Moja głowa musi się stać wolna, lekka, nawet pusta, rozumiesz to?

Bohater Sorbony poczuł się zobowiązany do zabrania głosu.

- Ależ to najnaturalniejsza rzecz pod słońcem, prawda? Ptaszki wyfruwają z gniazda?

Bianka miała ochotę go uściskać.

Zapadło milczenie tak krótkie, że tylko rodzina je zauważyła.

- Moja droga, twoja matka i ja baliśmy się, że już nigdy o to nie poprosisz, prawda, Olivio? Zaczęliśmy się zastanawiać, gdzie popełnił błąd, że dochowaliśmy się takich nienormalnych dzieci, które nigdy się nie buntują. Teraz już wiemy, że jesteś normalna, Bianco. Tylko nie zapomnij włożyć czystej bluzki, kiedy będziesz szła na rozmowę z właścicielem mieszkania.

Rozległ się śmiech i kiedy goście rozprawiali, jakimiż to wspaniałymi, liberalnymi rodzicami są Berrisfordowie i jakież to szczęście mają ich dzieci, posiadając takich rodziców, Hugh zwrócił się do córki przyciszonym głosem:

- Porozmawiamy o tym potem, dobrze?

Później, kiedy goście już sobie poszli, matka zniknęła gdzieś ze swoim kochankiem, a Pierre brał prysznic, zaczęło się przesłuchanie. Bianka siedziała skulona na murku na tarasie, a ojciec przystąpił do ataku. Gdzie będzie mieszkać? Ile to będzie kosztować? Jak ma zamiar dojeżdżać do szkoły? Jak chce sobie poradzić z bałaganem? Czy zdaje sobie sprawę, że będzie odpowiadać za wszelkie szkody wyrządzone przez jej koszmarnych przyjaciół? I do tego jeszcze odpowiedzialność prawna za posiadanie narkotyków! Czy jest pewna, że naprawdę to przemyślała? Czy jest tego pewna? I kto, u licha, wynajmie mieszkanie takiej flei ze śladami farby we włosach? A jak Hermione sobie poradzi bez starszej siostry? I niech sobie nie wyobraża, że jeśli wyrzucą ją z mieszkania, może tutaj wrócić, jak gdyby nigdy nic! Przerazała go jej głupota, zdumiewał egoizm, ale, kiedy tak siedziała bez słowa, jak wcielenie uległości, oboje zdawali sobie sprawę, że Hugh nie może cofnąć pozwolenia, ani - ze względu na obecność Francuza - pozwolić sobie na wybuch furii.

Celia Brayfield

King's Road i Fulham Road przecinały Chelsea niczym Tygrys i Eufrat, stanowiąc załączki nowej cywilizacji. Już następnego dnia Bianka znalazła mieszkanie na najwyższym piętrze dużej kamienicy, z której było o jakże ważny kilometr bliżej do zaniedbanego Westu i o kilka równie znaczących przecznic bliżej mniej modnej Fulham Road. Do Bianki miał należeć spory pokój z ukośnym dachem i dużym, trzyczęściowym oknem, wychodzącym na ozdobny balkon, na tyle duży, że zmieściły się tam wszystkie kwiaty ofiarowane jej przez babkę. Bianka dzieliła mieszkanie z zakochaną parą studentów sztuk pięknych i chłopakiem, który przez całe ranki wygrywał na pianinie melodie z francuskich music-halli.

Największą ścianę pomalowała w faliste, różowo-zielono--żółte linie, tym razem prawie osiągając efekt gorących barw wsi, co nie udało jej się w mieszkaniu rodziców. Hermione, teraz pełnoprawna właścicielka domowego apartamentu, na nie dokończonej ścianie Bianki namalowała hinduskie wyobrażenie kosmosu. Bianka uwolniła dwie pelargonie z betonowych waz na Sloane Square. Z domu zabrała materac i czerwone prześcieradła. Jeszcze przed wyjazdem Pierre'a do Paryża zdążyła zrobić kilka gipsowych odlewów jego dłoni i ustawiła je na parapecie, aby wskazywały drogę.

Tak jak przypuszczała, wkroczenie na drogę rzeźbiarstwa zostało powszechnie przyjęte z aprobatą, a odlewy okazały się jeszcze lepszym wyborem. Ze wszystkich stron zbierała pochwały, wszyscy określali jej prace mianem interesujących. Wszyscy, z wyjątkiem rodziców. Olivia popatrzyła na nie nic nie rozumiejącym spojrzeniem i nigdy więcej ani słowem nie wspomniała o rzeźbach córki, Hugh zaś westchnął z rozczarowaniem i stwierdził: „Szkoda, że nie poszukałaś czegoś odrobinę oryginalniejszego”.

W miarę upływu czasu Bianka przekonywała się, że, tak jak przypuszczała, nowy kierunek był łatwy do opanowania i nie obnażał jej niedostatków. Coraz pewniejszym krokiem zmierzała codziennie do pracowni, niemal radośnie wzbijając chmurę zeschniętych liści. Znikło gdzieś otepienie ostatnich kilku miesięcy.

Udało się, myślała z uśmiechem. Wyrolowałam ich. Teraz już nie odkryją, że nie mam za grosz talentu.

Zdążyła już zapomnieć o ciemnowłosym Lovacie Whithburnie, który stał się katalizatorem całego procesu, kiedy pewnego dnia przysiadł się do niej w barze pod pozorem

Kolia

67

szukania pełnej cukierniczki. Natychmiast stracił odwagę i siedział bez słowa, nie wiedząc, co powiedzieć. W przedłużającej się niezręcznej ciszy Bianka zwróciła uwagę na jego ręce - długie, grube palce, kwadratowe opuszki, na swój sposób niemal tak samo ekspresyjne jak dłonie Francuza, a równocześnie, przez swą pewność i niezgrabność bardzo angielskie. Zafascynowana obserwowała je, gdy mieszał cukier w filiżance.

- No i robię odlewy - odezwała się z zadowoleniem. - I sprawia mi to ogromną przyjemność. Cieszę się, że posłuchałam twojej rady.

- Jakiej rady? - spytał obronnie.

- Żeby w tym roku studiować rzeźbę. Pamiętasz, usiłowałeś mnie namówić.

- To nie ja, to tamci. Ale wyglądasz... wyglądasz na szczęśliwą - zaryzykował zdenerwowany, niemal dławiąc się własnymi słowami.

Chciał powiedzieć, że wygląda pięknie, ale podczas gdy w domu sprawiała wrażenie miękkiej i nie takiej znowu niedostępnej, tutaj była czujna. Wszyscy wokół nich rozwalali się na krzesłach, pokładali na stolikach, ona jedna siedziała wyprostowana; piękna, ale onieśmielająca. Wzrokiem błędziła od niego do drzwi, od lady do drugiej części pomieszczenia, dostrzegając wszystko, co się tam działo. Czuł się jak najmniej interesujący przedmiot na świecie.

- A jak tam twoje lampy? - spytała tonem, w którym można by się dopatrzeć kpiny.

- Rozwaliłem jedną dziś rano.

- Och.

- Miałem ochotę dać sobie w ucho. Dostarczyli ją z pracowni, właśnie ją rozpakowywałem. Upuściłem śrubokręt. Położył rękę na stoliku i ku jego zdumieniu Bianka bez ostrzeżenia sięgnęła po nią i przekreśliła wnętrzem do góry.

- Podobają mi się twoje dłonie.

- Ja też je lubię. W końcu bez nich byłbym niczym.

- Robiłam odlewy rąk, to było dość ciekawe. Mogę kiedyś zrobić twoje?

Ton pytania sugerował, że jej zainteresowanie jest czysto estetyczne, co go uraziło. Lovat przyzwyczał się, że kobiety go podziwiają.

- Aktualnie jestem dość zajęty.

- No cóż, trudno.

Celta Brayfield

Lekko poklepała go po dłoni, wypuściła ją z uścisku i sięgnęła po płaszcz. Zaniepokojony Lovat gwałtownie się do niej odwrócił.

- Ale mógłbym... Hmm, jak długo to potrwa? To znaczy, w czym będzie ten odlew?

- W gipsie.

W jej ustach było to tak oczywiste, że poczuł się, jak skończony głupiec, że w ogóle pytał.

- To może w sobotę?

Umówili się na trzecią po południu. Spotkanie zaczęło się niezręcznie, oboje byli skrępowani, a równocześnie ciekawi siebie, zaniepokojeni intensywnością doświadczanych uczuć. Lovat znał doskonale dreszcz i podniecenie młodzieńczej namiętności, ale doznania te łączył z kobietami, które łatwo wziąć do łóżka, a potem jeszcze łatwiej o nich zapomnieć. Bardzo wcześnie przekonał się, że właściwie nie musi się starać, żeby uwieść dziewczynę. W rodzinnych stronach na północy słynął jako zdobywca serc w każdej szkole tańca, albo na balach w żeńskich szkołach. W Londynie wystarczyło, żeby pokazał się w pubie albo na jakimś przyjęciu, a już dziewczyny go szukały, starały się o przedstawienie, albo zaczepiały wprost i tak długo pozostawały u jego boku, aż padło słowo „seks”. Czasem wyrzucał sobie, że śpi z nimi tylko dlatego, żeby zaimponować kolegom. Czasem wstydził się, że po kilku dniach nie pamięta imion ani ciał swoich partnerek, ale w większości sytuacji traktował te związki lekko, nie przywiązując do nich wagi.

Powszechnie twierdzono, że Lovat żyje dla pracy. Częściowo odpowiadało to prawdzie. Zzerało go pragnienie zrobienia czegoś wielkiego, choć nie wiedział, co to właściwie ma być. W danej chwili wolframowe rury nadawały kierunek jego życiu. Ojciec nauczył go, że życie to zdążanie ku wielkości, ale w tej podróży niezbędna jest towarzyszką.

- Mężczyzna nie zajdzie daleko bez właściwej kobiety u boku.

Sentencję tę Lovat słyszał tysiące razy, stanowiła ona sposób komplementowania matki przez ojca.

Lovat hołubił w sercu ideał „właściwej” kobiety, kobiety, którą będzie musiał zdobywać, tajemniczej nimfy, która będzie się wydawać nieuchwytna, jakby za chwilę miała zniknąć w ciemnym lesie, ale raz schwytana wskaże mu odpowiednią drogę i zapewni mu powodzenie. Nie przypuszczał, że nimfa

Kolia

69

będzie nosiła słynne nazwisko. Nie przewidział, że będzie jej pragnął.

Bianka nie wiedziała, że go pragnie. Zdawała sobie sprawę z drżenia, które ją ogarniało na jego widok, ale sądziła, że to ten sam niepokój, który odczuwała rozmawiając z każdym prawdziwym artystą. Szykowanie odlewu odwróciło jej uwagę od gościa, ale nie zdawała sobie sprawy, że opuszczone rzęsy i nadmiernie opanowane ruchy mógł odczytać jako zachętę do flirtu.

- Ależ tu bałagan, jak ty to wytrzymujesz? - spytał, próbując ciężkawego dowcipu, z jakich w większości składały się rozmowy z kolegami.

- Przepraszam, wiem, że jestem strasznie nieporządna. Uniosła głowę i upuściła mu na spodnie trochę wilgotnego gipsu.

- O Boże, ratunku! Naprawdę, strasznie cię przepraszam, nie uważałam...

Odskoczyła jak spłoszone zwierzę, rozglądając się za szmatą.

- Poczekaj, zaraz ci... Nie, lepiej ty to zrób, ja tylko rozmażę. O Boże, strasznie cię przepraszam, jak mogłam być taka głupia, zniszczyłam ci spodnie...

Dopiero teraz zauważyła, że miał na sobie świeżo uprane, nawet wyprasowane dżinsy.

- Nic się nie stało - odparł, biorąc od niej szmatkę, mocząc i próbując wytrzeć białą plamę. - Mówiłaś, że jesteś nieporządna.

- Tak.

Górna warga wygięła się w uśmiechu. Ciekawił go ten uśmiech. Poczul się dziwnie podniesiony na duchu przez jej gotowość do przyjęcia krytyki.

- Gips ci zastygnie, jeśli go nie zamieszasz.

- O Boże, rzeczywiście. No nie, już zastygł. Niech to szlag!

- W takim razie będziesz musiała dorobić.

- Musisz mnie uważać za skończoną kretynkę.

- Niekoniecznie.

Tym razem roześmiała się głośno i oboje się odprężyli.

Bianka skończyła odlew wczesnym wieczorem. Lovat zaprosił ją do siebie, żeby pokazać jej swoją słynną rzeźbę z lamp - a wiedziała, że nie widzieli jej nawet jego najbliżsi przyjaciele. Rzeźba wiła się po podłodze niczym wielki, biały wąż. Lovat był Biance wdzięczny, że stała wpatrując się

Celia Brayfield

z czcią, kiedy on naciskał włączniki, pokazując, jak ma się rozświecić w nieskończony, pozornie przypadkowy wzór. Doskonale wiedziała, jak zareagować, rozsądne pochwały podtrzymywały artystę w jego samotnym dziele tworzenia, ale równocześnie po raz pierwszy czuła, że rozumie podniecenie towarzyszące takiej pracy.

Potem wydawało się naturalne, że będą się często spotykać, aby omawiać swoje postępy w pracy, wspólnie spożywać posiłki i spędzać ze sobą mnóstwo czasu, ponieważ dobrze się czuli w swoim towarzystwie. Bianka przekonała się, że grupka kolegów, z którą go zobaczyła po raz pierwszy, nie stanowiła jego stałej kompanii. Z wyjątkiem rudowłosego Joego, przyjaciela z college'u na północy, Lovat nie utrzymywał z nikim bliższych kontaktów. Pracował całymi godzinami, nieustannie udoskonalać i zmieniając rzeźbę, dla odprężenia szkicując w notesie wymyślone projekty.

Na szczęście nocny autobus do Hammersmith jechał przez Fulham Road, więc Lovat odbył wiele szaleńczych podróży wciśnięty w siedzenie, płonąć z podniecenia, wściekając się na siebie, że nie objął Bianki, nie pocałował, nie zrobił niczego, żeby raz na zawsze mieć ją dla siebie. Pieprzenie się na prawo i lewo było wśród studenckiej braci na porządku dziennym, więc wyzywał siebie od głupków i tchórzy, że się ciągle jeszcze na to nie zdecydował. Ale tym razem miał do czynienia z Bianką Berrisford i wymazanie jej z pamięci zaraz po czymś takim nie wchodziło w rachubę. Wiedział, że kiedy jej dotknie, jego los zostanie raz na zawsze przypieczętowany.

Bianka nie dawała żadnych typowych zachęcających znaków, ponieważ ich nie znała. Jako chyba jedyna spośród dziewcząt z college'u nie starała się za wszelką cenę zdobyć Lovata ani ze względu na jego urodę, ani jego talent. Zawsze brzydziła się ocenianiem mężczyzn na podstawie ich seksualnej atrakcyjności i nawet przez chwilę nie przypuszczała, że ktoś tak utalentowany jak Lovat mógłby na nią zwrócić uwagę. Paraliżował ją strach. A skoro podziwiała Lovata, oznaczało to zapewne, że go kocha. Do tego jeszcze podobały mu się jej pomysły i bała się, że kiedy lepiej ją pozna, odkryje jej tępotę. A gdyby się kochali, przekonałby się również, że nie ma w niej za grosz namiętności. Nie robiła więc żadnego kroku i niczym obserwator z boku przyglądała się sobie, jak czeka na ruch, który wydawał się już nieunikniony.

Pewnego deszczowego wieczoru pod koniec semestru trójka

Kolia

67

współlokatorów Bianki postanowiła wreszcie zeswatać ją z Lovatem. Posyłając im zachęcające spojrzenia, oświadczyli, że wychodzą do Instytutu Sztuki Współczesnej na całonocny pokaz filmowy poświęcony Warholowi. Ledwo zamknęli za sobą drzwi, Lovat poderwał się ze swojego miejsca, jednym susem przemierzył kuchnię, chwycił Biankę w objęcia i pocałował, wstrzymując z obawy dech. Po dziewięćdziesięciu sekundach oderwali się od siebie, gwałtownie chwytając powietrze.

Błada twarz Bianki poczerwieniała od gwałtowności jego pocałunku, poza tym niczego nie można było z niej wyczytać.

- Chcesz tego? - spytał Lovat niespokojnie.

- Tak - odparła słabym głosem. Nie otrząsnęła się jeszcze ze zdumienia. - Tak, chcę. Naprawdę. Przepraszam, po prostu nie spodziewałam się...

Lęk przed utraceniem Lovata popchnął ją do akcji. Skoro potrafi udawać talent, w takim razie może udawać i namiętność. Wspięła się, żeby go pocałować, po chwili Lovat poczuł, jak zimne po spacerze w chłodny wieczór dłonie wsuwają mu się pod sweter.

Teraz on ściągnął z niej bluzkę i czarną, jedwabną kamizelkę. Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy jej piersi, chciał się zachwycić pięknem jej ciała, skrywanego pod ubraniem. Piersi były mlecznobiałe, jaśniejsze od twarzy, ale krągłejsze i pełniejsze, bardziej zmysłowe, niżby się można spodziewać, sądząc po zewnętrznej, skrytej naturze ich właścicielki. Bianka przez dłuższą chwilę siedziała na stole, kiedy Lovat dotykał jej piersi. Ustami muskała jego czoło, wsłuchiwała się w jego urywany oddech, czuła, jak narasta w niej rozkoszne, gorące pragnienie.

Po jakimś czasie przeszli do sypialni. Lovat nie potrafił wydobyć z siebie słowa. W półmroku jego oczy wydawały się olbrzymie i ciemne. Czując jego niespokojne, gwałtowne ruchy domyśliła się, że chłopak za wszelką cenę usiłuje zapanować nad swoją namiętnością. Chciała, żeby przegrał, chciała poczuć go w sobie, sprawić, by stracił nad sobą kontrolę. Przywarła do niego jeszcze mocniej, oplatając go nogami, tuląc do siebie. Pragnęła go uleczyć i zaspokoić, uwolnić to szaleńcze napięcie, z którym walczył. Był tak rozpalony, że pot natychmiast na nim wysychał, a jej wargi przykleiły się do suchej szyi.

Łatwo jej poszło i po chwili krzycząc głośno jak z bólu osiągnął spełnienie. Opadł na Biankę całym ciężarem.

Dopiero

Celia Bray field

wtedy jej ciałem wstrząsnęła seria dreszczy, które byłyby przyjemne, gdyby się ich spodziewała.

Lovat otworzył oczy, podniósł się na łokciu i niespokojnym spojrzeniem badał jej twarz.

- Przepraszam - wyszeptał. - To miało być inaczej. Ale nic nie mogłem poradzić. Jesteś taka piękna.

Nic nie odpowiedziała, ale na jej ustach pojawił się tajemniczy uśmiech. Dłoń, którą gładziła go po twarzy, była ciepła. Ogarnęła go niewysłowiona czułość.

Później w nocy próbował raz jeszcze, chcąc koniecznie przekonać Biankę o swej biegłości. Bał się, czy jej wcześniejsi kochankowie nie byli lepsi. Z innymi kobietami potrafił ciągnąć grę miłosną godzinami, aż do końca zachowując nad sobą pełną kontrolę. Początkowo Bianka zdawała sobie sprawę z własnego podniecenia, ale w miarę jak jej odpowiedzi stawały się coraz gorętsze, rozpalając z kolei Lovata, odkryła, jak wielką posiada nad nim władzę. Nie potrafiła się oprzeć temu wyzwaniu. Tak łatwo było znaleźć wrażliwe na pieśczętę miejsca, tak cudownie było eksperymentować. Czy to źle, chcieć dać mężczyźnie rozkosz?

Kiedy było już po wszystkim, przez dłuższą chwilę leżał jak nieprzytomny. Gdy odzyskał zmysły i mięśnie mu się napięły, wpatrywał się w Biankę błagalnie, choć wydawało się niemożliwe, żeby na tej wyniosłej twarzy pojawiło się takie poddanie.

- Na zawsze już tak będziemy ze sobą? Bianka? Nigdy mnie nie opuścisz?

Ucałowała go w czoło i obiecała mu to.

Parę miesięcy później przekonała się, że obiecała wyjść za niego za mąż. Początkowo była zachwycona, że występują jako oficjalna para, potem ze zdumieniem odkryła, że powszechnie uważano ich za cudowną parę, obdarzoną wszelkimi dobrami: talentem, urodą, stylem, odpowiednimi znajomościami, pieniędzmi.

Odnosiła wrażenie, że Lovat planuje rozwijanie ich związku wedle jakiegoś z góry ustalonego schematu. Poprosił, żeby poznała go z jej siostrą. Hermione natychmiast zaaprobowала go jako odpowiedniego przyszłego członka rodziny i obiecała postawić im horoskop.

- Widzę tu bardzo dobry układ - powiedziała przeglądając swoje pomazane, mocno zużyte wykresy. - Patrzcie sami: Pluton tutaj i tutaj, w siódmym i dwunastym domu, a tu

Kolia

69

potrójne przecięcie, widzisz, Bianka, przez twój piąty dom. Idealne połączenie Marsa i Wenus, po prostu idealne. Jesteście dla siebie stworzeni.

- Co za ulga - Lovat tylko częściowo żartował. - Bałem się, że powiesz, że mogła trafić lepiej.

- Świetnie sobie poradziłeś z Hermione - powiedziała później Bianka. - Większość ludzi nie wytrzymuje tej jej hipisowskiej gadaniny.

- To jeszcze dziecko, a podejrzewam, że mając takich rodziców, obie musicie w jakiś sposób szukać swojej własnej drogi.

Następnym punktem programu była wizyta u jego rodziców. Pewnego piątku udali się nocnym autobusem do Northumberland. Zdumioną Biankę przywitał na dworcu autobusowym szofer w liberii, który zawiózł ich Bentleyem do szarej, kamiennej rezydencji otoczonej niedawno założonym i bardzo wulgarnym ogrodem.

Rodzice Lovata, jak się okazało, stanowili imponującą parę o policzkach zaczerwienionych od polowania na zimnym wietrze. Ojciec mówił z silnym północnym akcentem, takim samym, jaki Lovat usiłował naśladować podczas pierwszego spotkania z Bianką. Pan Whitburn zbił majątek na dogorywającym przemyśle wełnianym.

Matka Lovata była niegdyś modelką w jego domu handlowym. Młodsze rodzeństwo - siostra i brat, którzy ze szkół z internatem przyjechali do domu na weekend - pomogli przełamać lody. Dom państwa Whitburnów stanowił miłą mieszankę elementów nuworyszo-wskiej oficjalności i zdrowego rozsądku, któremu zawdzięczał ciepło. Dopiero kiedy matka Lovata spytała, czy wyznaczili już datę ślubu, Bianka pojęła, że Lovat nie żartował.

- Nic ci nie powiedział, kochaniutka?

Rodzina zdawała się akceptować fakt, że Lovat zawsze musi ich zaskoczyć.

- Typowo po męsku. Nam napisał, że przyjeżdża z narzeczoną.

- Czy napisałeś, że jestem twoją narzeczoną, żeby dali nam sąsiednie pokoje? - spytała, kiedy w nocy przyszedł do jej sypialni.

- A jak inaczej miałem cię nazwać? - Potrafił w mgnieniu oka przeskakiwać od czułości do lekkiej pogardy. -

Przecież jesteście zaręczeni, prawda?

Pytanie zabrzmiało raczej jak stwierdzenie. Bianka była zmieszana i podniecona.

74 *Celia Brayfield*

- Chyba tak - odparła, nie chcąc się przyznać, że źle go zrozumiała.

- Sądziłem, że nie będziesz oczekiwała pierścionka, czy czegoś w tym rodzaju. To nie w twoim stylu, prawda?

Znowu przytaknęła, żeby uniknąć sprzeczki. Jakiś typowy, krzykliwy pierścionek zaręczynowy - na przykład szafir otoczony brylantami - bez wątpienia doprowadziłby jej ojca do pasji.

Jej rodząca się nadzieja na wspólną przyszłość natychmiast została stłumiona. zaproponowała kolejny ruch - żeby Lovat poznał jej rodziców - ale on zdecydowanie odrzucił ten pomysł.

- Boże, to takie mieszczańskie - ziewnął.

- Nie rozumiem - upierała się. - Sam chciałeś, żebym poznała twoich. Nie musisz ich pokochać, ani nic takiego, ale...

Po prostu wydawało mi się, że chcesz tego.

- Tylko ci się wydawało. Tak więc możemy już nie wracać do tej kwestii.

Poczuła się dotknięta, ale po jakimś czasie uświadomiła sobie, że w jego oporze kryje się strach i po raz pierwszy przekonała się, że nie do końca wyzwolił się z kompleksu prowincjusza. Instynktownie wykorzystwała sposobność, żeby go podbudować, wprowadzając go do kręgu swoich znajomych o głośnych nazwiskach, wśród których obracała się od dzieciństwa. Po kilku miesiącach trudno było znaleźć rozsądne wytłumaczenie, dlaczego Lovat nie został przedstawiony jej rodzicom.

Kiedy wreszcie Lovat zgodził się pójść z wizytą do Berrisfordów, Hugh był wystarczająco na niego wściekły, żeby całkowicie zadowolić swoją starszą córkę. Po raz kolejny postanowiła wykorzystać obecność zaproszonych na lunch gości i ich wpływ na ojca. Dlatego przedstawiła Lovata w czasie przyjęcia, kiedy stali w kręgu kilku osób. Została nagrodzona głąchą ciszą, która zapadła po jej oświadczeniu. Nerwy ją zawiodły, więc przedstawiła Lovata jako znajomego, nie narzeczonego. Ze zdziwieniem stwierdziła, że był niemal sztywny z napięcia.

Ojciec za szybko i zbyt serdecznie uściskał dłoń Lovata i przyciągnął go do siebie kładąc mu rękę na ramieniu.

- To jest Charlotte, moja matka - oświadczył, przedstawiając go babce Bianki i poddając w ten sposób swojej stałej próbie, która polegała na wywołaniu u gościa zdumienia tym brakiem formalności.

Kolia

71

Lovat nie dał się spłoszyć i z kurtuazją i atencją, które podbiły serce starszej pani, rozpoczął pogawędkę. Przyjęcie potoczyło się zwykłym torem, ale pod koniec Lovat zaczął nalegać, by poczekali, aż wszyscy sobie pójda, po czym wraz z ojcem Bianki zniknął w bibliotece. Później panowie złożyli podobną relację ze spotkania.

- Ależ kawał twardego drania - oświadczył gniewnie Lovat. - Teraz już wiem, dlaczego ty i Hermione macie takie problemy.

- Trzeba przyznać, że wybrałaś sobie na partnera bardzo trudnego młodzieńca - oznajmił ojciec przy pierwszej okazji, ale niczego więcej Biance nie udało się z niego wyciągnąć.

- Nie rozumiem twego wyboru, Bianco - dodała jej matka, która także wyglądała na zmieszaną. - Czemu, u licha, właśnie on, skoro jest tylu innych...

Popatrzyła w bok i umilkła. Na jej twarzy malowało się napięcie.

Widząc wrogość rodziców, Bianka uznała za stosowne ani słowem nie wspomnieć, że zamierza wyjść za Lovata.

Ona sama ciągle nie potrafiła w to uwierzyć. Kiedy jednak zaczęło się lato, poczuła, że chce się upewnić.

- Jeśli mielibyśmy się pobrać... - zaczęła, kiedy pewnego chłodnego, wietrznego ranka stali na przystanku autobusowym.

- Co niewątpliwie nastąpi - zapewnił natychmiast, przyciągając ją do siebie, żeby reszta kolejki nie mogła ich usłyszeć.

- Czy nie moglibyśmy po prostu... zrobić tego i już? Uciec, albo coś takiego? Po prostu nie mam ochoty na jedno z tych strasznych, hucznych weselisk, w czasie których rodzina się kłóci, wszyscy fałszywie się uśmiechają, węszą i wzajemnie wbijają sobie szpile.

- Cokolwiek zechcesz - zgodził się z uśmiechem. - Jakkolwiek zechcesz. Kiedykolwiek zechcesz. Na desce surfingowej na Hawajach. W klatce goryla. W kopalni szmaragdów w Brazylii. Na dachu autobusu numer 19...

Wspomniany autobus, niemożliwie zatłoczony, przejechał obok przystanku. Oczekujący pasażerowie jeszcze ciałniej owinęli się płaszczami.

- Chciałabym się obudzić pewnego ranka i usłyszeć, że to już dziś - powiedziała, sama nie wierząc, że tak się stanie.

- Na pewno nie przed dyplomem. Ale potem... Lepiej uważaj, dziewczynko.

Celia Brayfield

Uwielbiała, kiedy ją nazywał dziewczynką. Podobało jej się również, że mówi o małżeństwie tak, jakby on chciał ją w to wciągnąć, a nie ona jego.

Jej rodzice byli w Toskanii. Pewnego dnia, gdy jak zwykle przyniosła Lovatowi kawę do łóżka, przekręcił się na bok, sięgnął po zegarek, po czym zawołał przerażony:

- Cholera, mamy tylko pół godziny! Niech to licho! Gdzież się ten Joe podziewa?

Odrzucił na bok prześcieradło, niezgrabnie zerwał się na nogi i jedną ręką pomachał do Bianki, drugą usiłując przewlec dzinsy na właściwą storonę.

- Tak, tak, kochana, nadszedł ów wielki dzień. Przecież sama mówiłaś, że chcesz mieć niespodziankę. Ubieraj się! Szybko. Nie przejmuj się, kochanie, wszystko załatwiłem - dodał, widząc jej wyraz twarzy.

Już chciała powiedzieć, że pewnie sobie z niej stroi żarty, kiedy rozległ się dzwonek i do pokoju wszedł Joe. Miał zaczerwienione oczy, pachniał wódką i papierosami. Wyciągnął do Bianki rękę, w której dzierżył sześć kremowych róż związanych białą wstążką. Znała tę odmianę - Pascale. Uprawiana specjalnie dla ulubionego kwiaciarza jej babki, którego firma mieściła się przy Sloane Street.

- Chyba się nie spóźniłem?

Joe nigdy jeszcze nie stawiał się na spotkanie z mniejszym niż jednodniowe opóźnieniem. Teraz grzebał w górnej kieszeni dzinsowej kurtki, wyraźnie czegoś w niej szukając. Lovat wepchnął go do kuchni i Bianka, choć sama temu nie dowierzała, uznała, że w kieszeni musiała być obrączka - jej obrączka - i że to nie żart.

Autobus numer 19 miał przystanek w pobliżu Dzielniczowego Urzędu Stanu Cywilnego Chelsea. Przed budynkiem niespokojnie krążyła Hermione, której strój składał się niemal wyłącznie z różnokolorowych wstążek. W poczekalni zobaczyli przekrój społeczności Chelsea: nadmiernie umalowaną blondynę - rozwódkę, handlarza nieruchomościami odzianego w biały garnitur, grupkę skrupowanych Irlandczyków z białymi goździkami w klapach marynarek i dwie hinduskie rodziny w jaskrawych szatach.

Na dobrą sprawę pytanie, czy ona, Bianka weźmie sobie Lovata za męża, po raz pierwszy zostało wyraźnie sformułowane w chwili, kiedy padło z ust urzędnika stanu cywilnego. Bianka dała się unieść przekonaniu Lovata i było

Kolia

11

to uspokajające, pochlebiające i rozkoszne uczucie. Wydawało jej się, że ceremonia trwała kilka sekund. Zaraz po ślubie, sami nie wiedząc kiedy, znaleźli się na zapuszczonym cmentarzu w Brompton, gdzie zaszyli się wśród rzeźbionych nagrobków wiktoriańskich i pili szampana z butelki, a Hermione recytowała wiersze. Złote obrączki - Lovat kupił też jedną dla siebie - były gładkie, szerokie; typowe obrączki współczesnego, nowoczesnego małżeństwa. Lovat zawsze wiedział, co i jak trzeba zrobić.

Whitburnów, którzy kilka dni później przyjechali do Londynu, wiadomość wcale nie zaskoczyła, sprawiali wrażenie, jakby wręcz spodziewali się po swoim starszym synu takiej niespodzianki. Podczas kolacji w Savoyu wręczyli nowożeńcom dużą, białą kopertę ze srebrną lamówką. W kopercie znajdował się czek. Lovata zawstydziła wulgarność tego gestu, ale Biance spodobała się mieszczańska prostota teściów. Dano też wyraźnie do zrozumienia, że Whitburnowie boją się, czy Berrisfordowie nie uznają ich za typowych łowców posagów, co młode małżeństwo uznało za niepokój słuszny i uzasadniony.

Trudniej przyszło rozgryźć Olivię i Hugh'a, gdy - opaleni jak czekoladki - przyjechali z Toskanii, by rzucić się w wir londyńskiego życia. Tak jak się należało spodziewać, oboje za wszelką cenę próbowali okazać zadowolenie z małżeństwa córki, choć widać było, że są nim zaskoczeni. Hugh wyraził swą aprobatę, choć bez zwykłej kwiecistości. Olivia, której udało się niemal serdecznie zaprosić ich na kolację, zzieleniała, prawie zemdląła nad koktajlami, po czym wycofała się do sypialni. Hugh stwierdził, że to z pewnością migrena, choć jego żona wcześniej nigdy nie uskarżała się na tę dolegliwość.

W ten sposób honory pani domu przejęła Charlotte, która pod wpływem jakiejś myśli, zaraz po deserze wstała i podeszła do Bianki.

- Sądzę, że powinniśmy zostawić teraz panów i dać im wypalić cygaro, kochanie - powiedziała, biorąc wnuczkę za rękę. - Wypijemy kawę na górze.

Lovat skinął głową, więc Bianka wraz z babką opuściła pokój, zakładając, że stanowi to kolejny element jego planu. Na białych policzkach staruszki pojawiły się wypieki, oczy miała zamglone. Ku zdumieniu Bianki Charlotte była zdecydowanie wrogo nastawiona do Lovata, choć przybrało to formę troskliwych pytań.

- Jak dobrze znasz Lovata? Ale tak naprawdę? - zaczęła podając wnuczce maleńką filiżankę kawy.

Celia Brayfield

- Jesteśmy razem już od roku, znam jego przyjaciół, rodzinę... To chyba wystarczy?

- Ale czy jesteś pewna, że możesz mu zaufać?

- Oczywiście, inaczej bym za niego nie wyszła. Sądzisz, że ożenił się ze mną dla pieniędzy, albo żeby wejść do naszej rodziny? Jeśli tak, to jesteś w błędzie. Jego rodzice są nadziani, chcą nam kupić mieszkanie. Nie są szczególnie wytworni, ale pieniędzy mają w bród. A Lovat jest genialny, Charlotte, wszyscy tak mówią. Sama nie wiem, jak to się stało, że zwrócił na mnie uwagę.

- Nie sądzę, żeby mu chodziło o pieniądze. Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Zastanawiam się po prostu, czy przypadkiem Lovat czegoś przed tobą nie ukrywa.

- Na przykład?

Biankę ogarniał gniew. To dokładnie w stylu jej rodziny: wolą podstępnie ją atakować, zamiast otwarcie przyznać, że są wściekli, bo wyszła za mąż nie dając im szansy zorganizowania całego przedsięwzięcia.

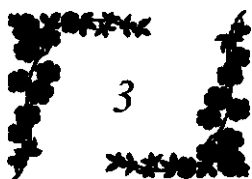
- Hmm... Na przykład jego życie, zanim cię poznał. Mam na myśli kobiety.

- Niczego nie ukrywa. Wszyscy w college'u wiedzą, że przeleciał każdą dupę między Chelsea Potter a Queen's Elm. Bianka z satysfakcją dostrzegła grymas na twarzy babki. Charlotte nie zносиła wulgarnego słownictwa. Bianka poczuła, że wreszcie znalazła dość sił, by się bronić. Oto pierwszy wyraźny pozytyw jej zmienionego statusu.

- Jeśli nie chcesz o tym rozmawiać... - podjęła babka sztywno.

- Możemy rozmawiać, o czym tylko zechcesz - odparła spokojnie Bianka. - Ale jeśli nie podoba wam się moje małżeństwo, czemu mi tego nie powiecie prosto w oczy? To w niczym nie zmieni moich uczuć. Kocham Lovata i w pełni mu ufam. A wy macie prawo do swego zdania.

Staruszka ciężko westchnęła i już chciała coś powiedzieć, kiedy ze schodów dobiegło ich ciężkie stąpanie i męskie głosy. Po chwili Hugh i Lovat weszli do pokoju, spowici dymem z cygar. Obaj byli dziwnie pogodni. Kiedy jej mąż usiadł przy niej, Bianka ujęła go pod ramię, radując się poczuciem bezpieczeństwa, które znajdowała u jego boku.



3

Atlanta, Georgia, 1964

Więzień był piętnastoletnim białym chłopcem. Miał wyjątkowo jasną cerę, nie był opalony jak wszyscy. Może pobladł ze strachu, a może dużo się uczył i nie wychodził na dwór, z pewnością jednak nie wynikało to z niedożywienia ani choroby. Choć chudy, wyglądał na prawidłowo karmionego i zdrowego. Stał prosto, nie kręcił się. Gęstym, jasnym włosom przydałoby się strzyżenie - opadały mu na oczy i odstające uszy. Jedyne uczesanie zdradzało buntowniczą naturę więźnia. Odzywał się z szacunkiem do sędziego, patrzył na niego ze skupieniem. Sędzia uznał, że chłopiec z pewnością zdaje sobie sprawę z powagi swego przewinienia. Co więcej, na początku rozprawy był wyraźnie bliski łez.

Matka przyjechała po syna z rodzinnego Ohio. Wyglądała na przyzwoitą kobietę. Wskazywało na to jej zachowanie podczas rozprawy. Drobna, zadbana, ubrana w dobry kostium i turkusowy kapelusz, dłonie złożyła na torebce. Siedziała z mocno ściśniętymi kolanami, jakby chciała się odciąć od podejrzanych typków rozpartych obok niej. Kiedy sędzia spojrział na nią po raz drugi, stwierdził, że kobieta jest starsza, niż początkowo przypuszczał. Ojciec pracował w firmie ubezpieczeniowej. Chłopiec był jedynakiem i rzeczywiście wyglądał na trzymanego pod korcem, dziecko, któremu nie pozwala się wyszaleć z rówieśnikami. Zbyt miękki, obowiązkowy; rozsadzająca go energia nie znajdowała ujścia. Z wywiadu środowiskowego wynikało, że w szkole nie zgłaszano pod jego względem żadnych zastrzeżeń, choć w ubiegłym semestrze mógłby mieć lepsze stopnie. Śpiewał też w chórze parafialnym Stowarzyszenia Chrześcijańskiej Nauki w Cleveland. Sześć, siedem lat temu stanowiłby uosobienie idealnego, porządnego chłopca. Zdaniem sędziego za sześć, siedem lat wyrośnie na dobrego Amerykanina. Teraz

Celia Brayfield

jednak sam nie wiedział, co ma z nim zrobić. Wysłanie go do poprawczaka, gdzie nauczyłyby się fachu od prawdziwych kryminalistów, wydawało się szczytem nieodpowiedzialności.

- Alexandre Thomasie Elliocie Wolfe...

Sędzia posłał mu uśmiech, który jego zdaniem miał podnieść więźnia na duchu, tymczasem chłopak odniósł wrażenie, że staruszek próbuje przytrzymać sztuczną szczękę.

- ...uznają cię winnym kradzieży dwóch paczek papierosów ze stacji benzynowej przy International Boulevard w Atlancie. Ponieważ przyznałeś się do winy, uważam, że okazałeś skruchę, a biorąc pod uwagę, że to twoje pierwsze wykroczenie, przez rok pozostaniesz pod opieką kuratora i odsyłam cię do szkoły, gdzie masz przysiąc fałdów i sprawować się przyzwoicie.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie - odparł więzień cicho. Matka potaknęła, jakby ją proszono o aprobatę wyroku i uniosła się w krzesło, żeby jak najszybciej odebrać swoją pociechę.

- I pamiętaj, chłopcze, niezależnie od tego, co cię gnębi, zamiast poddawać się i uciekać, winienesz stawić czoło swoim problemom i walczyć z nimi.

- Tak, Wysoki Sądzie, będę pamiętał.

Niech to szlag, nie zapanował nad charakterystycznym dla Południa przeciąganiem głosek. Uznają jeszcze, że się z nich naigrawa i cały efekt diabli wezmą.

W marzeniach, na których upływała mu większość życia, Alex Wolfe często widział siebie w roli naciągacza na skalę międzynarodową, kogoś w typie Cary Granta, kto krąży po Francuskiej Riwierze i namawia kobiety, aby oddały mu swoje pieniądze i biżuterię. Odkrył, że posiada bardzo przydatną umiejętność polegającą na tym, że ludzie widzieli w nim tego, kogo chcieli zobaczyć. Rolę wzorowego ucznia i idealnego chłopaka rozpracował do perfekcji. Nad synem marnotrawnym jeszcze trzeba będzie popracować. Przepadał za tymi przedstawieniami, bo dawały mu one poczucie władzy nad oczarowaną publicznością. Może powinien zostać aktorem. Nauczyciel prowadzący kółko teatralne wyraźnie go faworyzował, ale ojciec przy lada okazji wytykał mu, jakimi to amoralnymi, leniwymi, rozrzutnymi i aspołecznymi jednostkami są aktorzy.

- Nie rozumiem cię, Aleksie - zaczęła matka, gdy tylko wyszli z sali rozpraw. Przed budynkiem czekała na nich taksówka. Natychmiast ruszyli na lotnisko. - Co ci strzeliło do głowy, żeby tak uciekać? Nie wierzyłam własnym uszom,

Kolia

77

kiedy zadzwonili z Atlanty i powiedzieli, że cię tam zatrzymali. Z Atlanty! Wiesz, ile kosztuje przelot w obie strony? Dlaczego to zrobiłeś?

- Nie wiem.

Wyglądał przez szybę. Matka pociągnęła go za rękaw koszuli - był to najostrzejszy gest, jaki u niej znał.

- Powiesz mi, Aleksie, jestem tego pewna. Jestem twoją matką i muszę wiedzieć, co cię naszło. Takie śliczne z ciebie dziecko, takie obiecujące, rozwijasz się we właściwym kierunku, ale żeby zrobić coś takiego, musiałeś popełnić jakiś błąd w rozumowaniu. Jeśli będę wiedziała, co to było, będę mogła ci to wytłumaczyć.

Westchnął, ale tak, żeby matka nie usłyszała. Wiecznie usiłowała wdrzeć się w jego wewnętrzny świat i go oczyścić. Jedyńm sposobem było wyrażać się na tyle niewyraźnie, żeby niczego nie mogła się uchwycić.

- Nic mnie nie naszło, mamó. Po prostu nie chciałem spędzić weekendu w domu. Chciałem gdzieś wyjechać.

Wspaniały był moment, kiedy mu zaświtała ta myśl. Matka w sobotni rano wysłała go na dwór, żeby odgarnął śnieg z podjazdu, a on pod wpływem jakiegoś błogosławionego impulsu odrzucił szufłę i wyszedł na ulicę.

Ich dom znajdował się w bardzo spokojnej dzielnicy, przy Bedford Heights. Największym wydarzeniem w życiu ulicy było uszkodzenie hydrantu. Czasem pojawił się jakiś pieszy, ale w zimowy sobotni poranek wszyscy mieszkańcy siedzieli w przestronnych domach o spadzistych dachach. Nieliczne ślady kół na drodze świadczyły, że kilku ojców zawiozło synów na trening.

Cisza dźwięczała w uszach. Alex słyszał tylko swoje kroki i ciche zawodzenie wiatru w gałęziach drzew. Wyobrażał sobie, że stanowi ono echo odległego lamentu kanadyjskich lasów, oplakujących martwe jeziora i jeszcze dalszego odgłosu nicości, który unosił się nad pustką świata: ze świstem przelatywał nad rozległymi równinami, słychać w nim było szelest wiatru nad rzyskami, dzwonki pasących się na łąkach stad, aż wreszcie ogrzewał się na południu i zostawał wchłonięty przez huk morskich fal. Może dolatywał do Boga. W Biblii napisano, że Duch wieje jak wiatr. Chłopiec poczuł się jak cząstka powietrza, składnik owego tajemniczego gazu, wirującego w masach azotu, który prześlizguje się nad lodem na jeziorze, obija o wielkie, brzydkie

Celia Brayfield

budynki centrum handlowego, wzbija wraz z tumanami kurzu znad rozpalonej drogi, muska skrzydła lecących gęsi. W pewnej chwili myśli się zamazały. Coś kazało mu biec, długimi susami przemierzał ulicę, skręcił, zdążając do granic miasta. Bieg był niebezpieczny, w Berriford Heights się nie biegało, to by zwróciło na niego uwagę. Zwolnił kroku, chciał przywołać wcześniejszą wizję, ale teraz czuł tylko przenikliwie zimno w dłoniach.

Schował ręce do kieszeni. Miał na sobie czerwoną, roboczą kurtkę. Kiedy poruszył zgrabiałymi palcami, namacał banknoty - pieniądze, którymi ojciec nagradzał go za wykonywanie prac wokół domu. Na ścianie w kuchni wisiał cennik napisany zgrabnym, równym pismem Elliota Wolfe'a: stawka za zamiecenie chodnika przed domem, umycie samochodu, nakrycie do stołu i tak dalej. Elliot Wolfe z dumą podkreślał, że już od najmłodszych lat uczył syna wartości pieniądza. Raz w miesiącu odwoził go do banku, gdzie chłopiec składał swoje oszczędności. Najbliższa wyprawa do banku miała się odbyć za dwa dni. W kieszeni Alexa spoczywało prawie czterdzieści dolarów. Jeszcze podniecony swoją wizją, z trudem zmusił się do marszu, niespokojne stopy rwały się do lotu. Doszedł do autostrady, złapał okazję do centrum i udał się na dworzec autobusowy.

Najbliższy dalekobieżny autobus, na jaki było go stać, odjeżdżał do Atlanty. Georgia obiecywała zapomnienie, upalne słońce, ale dotarcie tam okazało się znacznie mniej podniecające niż ucieczka z Bedford Heights, a pobyt w Atlancie z dwoma dolarami i dwudziestoma pięcioma centami w kieszeni bardzo niewygodny. Dlatego też w nadziei, że zostanie złapany i odesłany do domu, ukradł papierosy. Nie przeszło mu przez myśl, że może trafić do sądu dla młodocianych, zresztą Alex, jak każde dziecko wychowane w cieplarnianych warunkach zamożnej dzielnicy, żywił niezachwianą pewnością, że nic naprawdę złego mu się nie stanie, a ostatnie wydarzenia jeszcze tę pewnością utwierdziły.

- Papierosy - ciągnęła matka przez zaciśnięte wargi. - Wiesz, że chęć palenia to skutek nieświadomej błędnej projekcji naszej świadomości. Właśnie tak się zaczyna grzech - pozornie niewinna myśl, która wiedzie nas do piekła.
- Nie chciałem ich palić. Wziąłem je, żeby policja mnie złapała. - Nie próbował tego bliżej wyjaśnić.
- Stanowisz dla mnie istną zagadkę.

Patrzyła na niego chłodno, powtarzając sobie, że cierpienie to dar, dzięki któremu może doskonalić ducha.

Kolia

83

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że będziesz musiał chodzić do... - słowo „kurator” nie przeszło jej przez usta - ...tego człowieka? Raz w tygodniu? Przez cały rok?

- Tak.

- No i co my z tym zrobimy, Alexandrze?

- Nie wiem. Pewnie będę chodził do niego po lekcjach. Najwyraźniej matkę znowu opanował atak niezrozumiałego strachu.

- Nie o to mi chodzi, głuptasie. Chodzi mi o to, co my z tym mamy zrobić? Jak to wytłumaczymy ludziom?

- A po co mamy im tłumaczyć?

- Już oni to zauważą, spokojna głowa. O, tak. - Przycisnęła mocniej torebkę do boku, jakby w ten sposób mogła ochronić prywatność rodziny. - Będą się dopytywać. Ludzie są tacy wścibscy.

- No to co?

Taksówka zatrzymała się przed wejściem do hali odlotów, Alex, tak jak matka go wyszkoliła, pomógł jej wysiąść z samochodu. Ludzie zauważali rycerski gest chłopca z atencją pochylonego nad matką. Efekt ten Alex zawdzięczał nie tyle serdecznym uczuciom żywionym względem matki, ale wrodzonemu wdziękowi, którym obdarzyła go natura. Matka podała mu pieniądze, zapłacił taksówkarzowi.

- Nie pojmuję twojej bez troski, Alexandrze. Jak długo chcesz pozostawać dzieckiem? Czy chcesz, żeby wszyscy w okolicy wiedzieli, że mamy syna kryminahstę?

- Ale ja nie jestem kryminalistą.

- A jak sądzisz, dlaczego cię zaaresztowano i postawiono przed sądem? Jesteś złodziejem, ot co. Mój syn jest złodziejem.

Uwiesiła mu się u ramienia, żeby móc syczeć mu w ucho bez podnoszenia głosu i zwracania uwagi przechodniów. Alex poczuł odurzający zapach wody kwiatowej, który kojarzył mu się z właśnie takimi gniewnymi, próżnymi rozmowami, kiedy matka pouczała go, jak ma się zachowywać i co mówić, a to wszystko z myślą o opinii innych. Tylko w takich sytuacjach nawiązywała fizyczny kontakt z synem.

- Dobrze, powiemy im, że masz korepetycje - zdecydowała nagle. - Każdy, kto ostatnio widział twoje stopnie, będzie w to wierzył.

Wziął jej walizkę i otworzył drzwi.

- I powinieneś mi podziękować, że nie powiedziałam ojcu, że zostałeś aresztowany.

Celia Brayfield

Wyjęła z torebki bilety i podała Alexowi, który pokazał je kontrolerowi.

- I nie myśl sobie, że zrobiłam to ze względu na ciebie. To jego chciałam oszczędzić. Twój ojciec mimo naszych wysiłków, żyje w błędzie. Brak mu siły duchowej. Przypuszcza, że wstrząs może spowodować atak serca. W przyszłym roku skończy sześćdziesiąt lat, powinniśmy dziękować Bogu, że jeszcze z nami jest, bo wielu mężów umiera długo przed sześćdziesiątką. Tak więc pamiętaj, Alexandrze, ani słówka o tej sprawie przy ojcu. To słówko może uczynić mnie wdową.

- Tak, mamo.

- Oczywiście, musiałam mu powiedzieć, gdzie byłeś, ale możemy wyjaśnić, że zostałeś schwytyany jako uciekinier. To był rozkaz, nie sugestia. Usiadła na zniszczonej, wyścielanej ławce, żeby poczekać na ich lot. Potem badawczym, a jednocześnie potępiającym wzrokiem powiodła po hali lotniska. Alex znał ten gest - oznaczał, że powinien przynieść jej coś do picia.

Elliot Wolfe był człowiekiem tak kompletnie pozbawionym wyobraźni, że nic nie potrafiło go zainteresować.

Przeżywał przez życie spokojnie, bez uniesień, ale i bez trosk! Kiedy gazety bądź telewizja usiłowały go przekonać, że świat może być pełen tajemnic albo dziwny, uznawał to za przesadę. Kolega z pracy, który twierdził, że komuniści nasłali zarazone syfilisem Rosjanki, żeby w ten sposób zrujnować zdrowie młodego pokolenia Amerykanów, został boleśnie rozczarowany jego brakiem zainteresowania tą hipotezą. Elliot Wolfe prawdopodobnie jako jedyny spośród liczących ponad trzydziestkę mieszkańców miasta nigdy się głębiej nie zastanawiał nad pokojowymi demonstracjami w Waszyngtonie, ani oczyma wyobraźni nie widział radzieckiej armii parady w Dzień Zwycięstwa po Waszyngtonie, z uśmiechniętym radośnie, potężnym Chruszczowem w pierwszym czołgu.

Umysł Elliota pracował tylko na podstawowym poziomie

I dlatego dzięki całkowitemu niezrozumieniu potrafił się opierać wierze żony. Choć sprawiało jej to ból, w jego ograniczoności znajdowała poczucie bezpieczeństwa. Pytanie „dlaczego?” rzadko gościło na ustach Wolfe'a.

Dlatego też - tak jak zresztą przypuszczała - kiedy podała mu swoją wersję eskapady syna, przyjął ją bez zbędnych pytań, które z pewnością zadałby ktoś inny, przeciętnie zainteresowany.

Kolia

85

Poruszyło go jedynie - choć w nikłym stopniu - zmarnowanie miesięcznych zarobków chłopca. Uznał, że braki powinny zostać wyrównane przez większy nakład pracy w następnym miesiącu. W związku z tym na ścianie w kuchni pojawił się dopisek: „porządki w garażu - 2 dolary, umycie okien - 10 centów za sztukę, pomalowanie ram okiennych - 25 centów za sztukę, pomalowanie tylnego ogrodzenia - 1 dolar”.

- Zważ, synu, że ustaliłem wynagrodzenie za akord, nie stawkę godzinową. - Dłonią pokrytą wątrobowymi cętkami wskazywał poszczególne kwoty. - Sumy wyrażają w przybliżeniu wartość poszczególnych czynności. Nie proponuje stawki godzinowej albo dniówki, bo w ten sposób zachęca się pracownika do nieróbstwa. Jeśli zapłacisz mu za wykonanie określonej czynności, będzie się starał zrobić ją w jak najszybszym czasie, bowiem w ten sposób najwięcej zarobi. Zapamiętaj sobie tę naukę, bo jest tego warta.

Jako że nie było sensu malować okien zimą, Alex zaczął od sprzątania garażu. Co prawda panował w nim porządek, ale ojciec chciał, żeby przygotować miejsce na starą lodówkę, niepotrzebną w domu po zakupie nowej. W głębi garażu, za zaplamioną olejem podłogą, gdzie stał rodzinny Ford, piętrzyły się pudła. Pudła te należało przestawić tak, aby znalazło się miejsce na kolejne zużyte przedmioty. Wolfe'owie nigdy nie wyrzucali starego sprzętu, lecz starannie go przechowywali na wypadek, gdyby pewnego dnia okazał się potrzebny. Elliot i jego żona żyli w ciągłym lęku, że jakaś katastrofa zniszczy ich dom. Oprócz śmierci i nieszczęśliwych wypadków najbardziej obawiali się faktu, że może im czegoś zabraknąć. Alex uważał, że to skutek pracy w towarzystwie ubezpieczeniowym i częstego kontaktu z ludzkimi nieszczęściami.

Rozstawił drabinę i wziął się do zdejmowania pudeł ze stosu. Usuwał kolejno stare grzejniki, opiekacz, nie używane buty, zniszczone ubrania - zakurzone świadectwo życia rodziny. Potem dotarł do pudełek z korespondencją z nauczycielami, starymi gazetami kościelnymi, wydawane raz na pół roku broszurki z przepisami. Wiedział, że na dole znajdzie pudła ze swoimi zabawkami, szklane butelki, z których go karmiono i zniszczone smoczki, zawinięte w niebieską bibułkę. W licznych kartonach spoczywały papierowe wykroje sukienek i starannie zwinięte resztki materiałów. Matka twierdziła, że szyte przez nią ubrania nie dość, że tańsze, były znacznie bardziej stylowe niż to, co można teraz kupić w sklepie. Przed pudłami,

Celia Brayfield

w łatwo dostępnym miejscu stały słoiki z dżemami, z których jedna trzecia powinna być już pusta.

Koło południa wszystkie pudła zostały odstawione, miejsce na lodówkę wymierzone i oznaczone. Elliot Wolfe nigdy nie splamił się pracą fizyczną. Kiedy dostarczono nową lodówkę, dał żonie ćwierć dolara dla tragarzy, którzy zanieśli starą do garażu.

Odstawianie paczek trwało krócej niż ich zdejmowanie, choć czynność tę należało wykonywać ostrożnie, tak aby pudła potem nie pospadały. Sterta rosła szybko i nadzieja szybkiego ukończenia pracy sprawiła, że Alex przestał uważać. Wziął jeden ze starszych pakunków, zawierający głównie jego dziecinne ubranka oraz poźółkłe broszurki o rozwoju niemowląt i gwałtownie uniósł ją na wysokość ramienia. Bok pudła trzasnął i zawartość rozsypała się po podłodze.

Alex przy pomocy trzech zszywek szybko naprawił karton i zaczął zbierać rozsypane przedmioty. Tu wreszcie maniackie zamiłowanie jego matki do porządku stało się przyczyną jej klęski. Alex wiedział, że każda rzecz musi być zawinięta i schludnie ułożona. Właśnie rozprostowywał plik kartek, gdy wśród przepisów na kaszki i wykrojów śpioszków, dostrzegł kopertę z dziwnym znaczkiem, przedstawiającym kobietę w czepku.

Wyciągnął list i przyjrzał mu się uważnie. Na kopercie widniał nabazgrany brązowym atramentem adres matki. Pierwotny adres został skreślony i napisany powtórnie, tym razem starannie, niebieskim atramentem. Z listu, który znajdował się w środku, zrozumiał tylko jedno słowo: imię matki, Marie.

Już jakiś czas temu Alex przekonał się, że milczenie matki bywa bardziej wymowne niż słowa. Nie udawało mu się absolutnie nic wyciągnąć z niej na temat jej życia przed małżeństwem z Elliotem. Alex nie miał pojęcia, gdzie się urodziła ani z jakiego kraju pochodziła. Wiedział, że rodzina ojca od trzech pokoleń mieszka w Ohio i że ich przodkowie wyemigrowali ze „środkowej Europy”. Ten eufemizm oznaczał Niemcy i używała go większość znajomych rodzin z ich kręgu. Ojciec miał czarny, skórzany album ze zdjęciami. Pożółkłe fotografie przedstawiały Wolfe'ow na dożynkach albo w czasie jakichś uroczystości w pracy. Znalazło się kilka oficjalnych portretów, zdjęcie ślubne jego rodziców oraz fotografia z jego chrztu. Brata ojca, który mieszkał w Akron, odwiedzali w Boże Narodzenie albo Święto Dziękczynienia.

Kolia

84

Kiedy próbował się dowiedzieć czegoś więcej o matce, zawsze zbywała go tą samą odpowiedzią:

- Moje życie zaczęło się w chwili, gdy poznałam twego ojca. I to powinno ci wystarczyć.

Jeśli mimo to naciskał, zmieniała temat. Dla młodzieńca, w którym narastała świadomość, że nie chce żyć jak jego rodzice, zaprzeczenie było wskazówką.

List może przynieść odpowiedź, której tak poszukiwał. Włożył go do kieszeni kurtki i skończył sprzątanie garażu.

Potem przełożył go do marynarki szkolnego mundurka, gdzie przeleżał trzy miesiące, aż do dnia, kiedy Alex odprowadzał Jennifer McIlwain na przystanek autobusowy. Wracali z filmu i Alex, żeby czas oczekiwania na autobus im się nie dłużył, zaczął całować dziewczynę. Jennifer, chcąc zachować przyzwoity odstęp, oparła mu dłoń na piersi i poczuła, że coś jej zaszeleściło pod palcami.

- Co to jest? - spytała, grając na zwłokę.

Zgodziła się pójść na randkę z Alexem Wolfe'em w nadziei, że wieczór nie skończy się godzinnym pettingiem.

Koleżanki twierdziły, że Alex to prawdziwy dżentelmen.

- Jakiś stary list.

Wyciągnął go z kieszeni i pokazał dziewczynie.

- Znalazłem go w garażu. Jest zaadresowany do matki, ale nic z niego nie rozumiem. Może tobie się uda?

- To chyba po francusku. - Zaintrygowana przypatrywała się nierównym linijkom. - Widzisz tutaj? *Chere*, to przypomina *cherie*, prawda?

- Rzeczywiście, masz rację. Że też na to nie wpadłem. Alex miał trudności ze słowami w każdym języku. Bał się dziewcząt takich jak Jennifer, które potrafiły przeczytać książkę w jeden dzień i mogły godzinami rozmawiać na dowolne tematy. W głowie aż kłębiło mu się od rzeczy, które chciał powiedzieć, ale nigdy nie wychodziło to tak, jak chciał, szczególnie na piśmie.

- Słuchaj, może moja siostra będzie mogła nam wytłumaczyć, co to znaczy? Jest w starszej klasie i chyba ma francuski. Daj mi ten list, pokażę jej dziś wieczorem.

Jej oczy błyszczały z ciekawości, malowało się w nich zrozumienie, ale Alex nagle się zawahał. Nie chciał się rozstać z jedynym dowodem na to, że, jak podejrzewał, w jego pochodzeniu może kryć się jakaś romantyczna tajemnica.

- Rany, nie wiem, to dla mnie dość szczególna pamiątka. Oczywiście, wierzę, że nic by się z nim nie stało, ale...

Celia Brayfield

- Jasne. Rozumiem cię, naprawdę. Oczywiście, zatrzymaj go sobie. Ale jeśli chcesz, możesz sam pokazać go mojej siostrze.

Uświadomiła sobie, że list spoczywał w kieszeni na piersi, blisko serca i dostroiła się do jego, nie wyrażonego słowami, pragnienia tajemniczości.

- A może wpadłbyś do nas w sobotę?

Starsza McIlwaine'owna zrozumiała tylko kilka słów, ale potwierdziła, że list jest napisany po francusku, choć tak kaligraficznie, że właściwie nie sposób go odczytać. Zaproponowała, że pokaże go swojej nauczycielce i Alex zgodził się powierzyć jej swój skarb. We trójkę spędzili rozkoszne popołudnie na spekulacjach, co może kryć list. Dziewczęta - obie zgrabne, o jasnych, kręconych włosach - uważały, że to z pewnością list miłosny, może tragiczne pożegnanie z wojennym ukochanym, ale Alex nie potrafił sobie wyobrazić, że ktoś mógł kochać jego matkę.

Ostatnio zaczęła podkreślać, że czystość stanowi fundament cywilizacji i postępu.

Siostra Jennifer przyniosła informację, że nauczycielka francuskiego chce porozmawiać z Alexem w cztery oczy, tak więc poszedł z Jennifer do szkoły starszej panny McIlwaine i obie dziewczyny odprowadziły go do drzwi gabinetu francuskiego. Nauczycielka była dość młoda, miała lśniące, ciemne włosy, które układała w artystyczną falę. Siadła obok chłopca, dostrzegł rąbek czarnej koronki wystającej spod pomarańczowego swetra.

- Cóż, Aleksie, uznałam, że powinnam porozmawiać z tobą osobiście w sprawie tego listu. Nie jestem bowiem pewna, czy naprawdę powinnam ci mówić, co w nim się znajduje. Powiedz mi, co wiesz o swojej babce, matce matki?

Sądząc z miękkiej wymowy, pochodziła z Kanady. Alex miał wrażenie, jakby ten głos go muskał, pieścił.

- Bardzo chciałbym móc coś pani powiedzieć, naprawdę, ale nic o niej nie wiem. Mama natychmiast milknie, gdy tylko spytam, skąd pochodzi, albo o jej rodzinę.

Chłopak miał w sobie jakąś powagę, świeżość; przejrzyste oczy; lekkie jękanie i pełne, wilgotne wargi sprawiły, że wszelkie obawy nauczycielki znikły.

- I bardzo chciałbyś się tego wszystkiego dowiedzieć?

- Oczywiście, chciałbym poznać historię całej mojej rodziny, nie tylko połowy.

- Twoje pragnienie jest jak najbardziej naturalne, Aleksie. Ale twoja matka wolałaby zachować to w tajemnicy i może

Kolia

89

ma po temu słuszne powody. Wściekłaby się, gdybyś się czegoś na ten temat dowiedział.

- To rozumiałe, że jako nauczycielka staje pani po stronie moich rodziców.

Choć głos brzmiał spokojnie, chłopak wyglądał na zdruzgotanego. Ramiona mu opadły.

- Nie staję po niczyjej stronie - współczująco dotknęła jego ramienia. - Chciałabym ci powiedzieć, co jest w tym liście. Co więcej, uważam, że powinieneś o tym wiedzieć.

Umilkła, zastanawiając się, czy kompletnie postradała zmysły. Potem otworzyła notes i wyjęła kopertę.

- Jest tu kilka słów, których nie rozumiem, możliwe, że to jakieś zdrobnienia, którymi rodzice nazywają dzieci. List napisała twoja babka. Pisze w nim, że właśnie się dowiedziała, że twoja matka wyszła za męża i ma dziecko. Dodaje też - ten fragment jest ogromnie uczuciowy, Aleksie, moim zdaniem musiała to szalenie przeżywać - że skoro twoja matka sama została matką, zrozumie, co to znaczy miłość macierzyńska i pojmie, jak bardzo jej matka za nią tęskni.

- Z tego wynika, że moja matka uciekła, czy coś w tym stylu?

Alex czuł się niemal oszukany. Skoro ona także uciekła z domu, dlaczego tak ostro go potraktowała, kiedy zrobił to samo?

- Dalej twoja babka pisze, że jest bardzo samotna. Co prawda nie za bardzo to rozumiem, ponieważ równocześnie pisze, że odpowiedź twojej matki sprawi wielką radość jej, twojemu wujowi i wszystkim domownikom. Tutaj podała swój adres: Nicea we Francji.

W miarę jak mówiła, chłopiec rozkwitał z podniecenia. Jego szare oczy zwilgotniały, szybko odwrócił głowę i wyciągnąwszy chusteczkę, otarł je pod pozorem wycierania nosa. Także nauczycielce pod koniec zabrakło tchu ze wzruszenia. Ujęła chłopca za rękę, mocno ją ścisnęła. Obfity biust, zagłębienie w jej piersiach stanowiły najbardziej podniecający widok, jaki Alex kiedykolwiek oglądał. Zakręciło mu się w głowie.

- Jeśli chciałbyś jeszcze kiedyś ze mną porozmawiać, jestem tutaj - powiedziała jakiś czas potem, na zakończenie rozmowy.

Zamknęła za nim drzwi, oparła się o nie, zastanawiając się, co ten chłopak w sobie takiego ma, że do tego stopnia straciła głowę.

Celia Brayfield

Nastała prawdziwa wiosna cudów. Wzruszająca tajemnica z przeszłości stanowiła prawdziwy nektar dla spragnionego ducha Alexa, wlewając w jego serce energię i nadzieję. Do tej pory był skrytym, dość upartym chłopcem. Mógłby zostać sportowcem, ale brakowało mu agresywności i bał się bólu, dlatego nawet na bieżni pokonywali go mniej zdolni, lecz bardziej przebojowi chłopcy. Jego ojciec, wieczny słabeusz, nie uznawał sportu. Także w innych dziedzinach Alexa ograniczały przesady rodziców. Matka pogardzała nauką, ojciec sztuką, tłumili więc wszelkie jego zainteresowania. Do tego nauczyciele, choć oczarowani jego manierami, przyznawali, że chłopiec nie grzeszy zbyt dużą inteligencją. Na lekcjach zawsze uważał, ale był zbyt spokojny i absolutnie nie potrafił czerpać wiedzy ze słowa pisanego. Alex Wolfe nie udzielał się też towarzysko, nie należał do żadnej paczki, nie szukał przyjaciół, nie miał ambicji posiadania dziewczyny. Z dziewczętami mógłby mieć więcej szczęścia, ale za bardzo je lubił, żeby sprzeczać się o robienie z nimi nieprzyzwoitych rzeczy.

W ciągu kilku tygodni wszelkie przeszkody zniknęły. Alex nagle znalazł się w łagodnym, kobiecym świecie, w którym stanowił nieustanny powód fascynacji. Zainteresowanie i współczucie obmywały go niczym woda życia, a uczucia, które do tej pory istniały tylko w jego myślach, stały się potężną rzeczywistą siłą. W szkole robił postępy, przyjęto go do reprezentacji w bieganiu. Kurator uznał, że ucieczka z domu była typowym przejawem trudności związanych z okresem dojrzewania i nie ma powodów, by się niepokoić o przyszłość Alexa Wolfe'a. Jennifer McIlwaine oczarowana romantyczną historią z przeszłości jego rodziny, zupełnie straciła dla Alexa głowę i następnym razem, kiedy ją pocałował, sama rozpięła stanik. Z wdzięcznością przyjęła jednak jego tłumaczenie, że zbyt ją szanuje, by posuwać się aż tak daleko.

Alex Wolfe był zakochany. Jego ukochana wydawała mu się najmądrzejszą, najlepszą, najdoskonalszą i najpiękniejszą kobietą pod słońcem. Nocą leżał w uśpionym domu, zastanawiając się, jak mógłby wykorzystać informację o francuskiej babce albo onanizował się na wspomnienie zagłębienia w biuście nauczycielki francuskiego. Wreszcie bezradny postanowił wrócić do miejsca, gdzie zaczęły się jego problemy i pewnego dnia stawił się w jej gabinecie.

Podskoczyła jak kot złapaną na gorącym uczynku, ale po

Kolia

91

chwili zapanowała nad sobą i posadziła chłopca na krześle obok siebie.

- Zastanawiałem się, czy nie mogłaby mi pani pomóc... Oczywiście, o ile miałaby pani chwilkę czasu... Jak pani sądzi, to znaczy... pomyślałem sobie... - głęboko zaczerpnął tchu; nie odrywał oczu od biurka i nie zwracał uwagi na to, co czuje. - Pomyślałem sobie, że może napisałbym pod ten adres.

- Pisać tam? Ależ to było piętnaście lat temu! Nie przyszło ci na myśl, że dawno już się mogła stamtąd wyprowadzić?

- Tak, wiem, ale spróbować chyba nie zawadzi? Z listu wynikało, że jest taka smutna. Nie mogę znieść myśli, że ta starsza pani, moja babka, siedzi samotnie, może nawet umiera i nic o mnie nie wie.

Zauważył na jej szyi zmarszczki, cudowne świadectwa dojrzałości. Pachniała mydłem, pod brodą widać było smugi źle rozprowadzonego pudru w kremie.

- Jakiż dobry poryw serca, Aleksie. Naprawdę masz w sobie *tendresse*, czułość.

Znowu zapragnęła mu pomóc. Spośród wszystkich obojętnych, niewrażliwych młodych mężczyzn, ten jeden, przez wzgląd na swoje dobre serce zasługiwał na pomoc.

Miała tę budzącą trwogę łatwość wyrażania myśli, którą tak podziwiał u większości dziewcząt. Napisany przez nią Ust o wiele lepiej wyrażał to, co chciał powiedzieć, niż gdyby sam to ujął w słowa. Do tego jeszcze roztropnie doradziła, żeby w post scriptum dodał, że ktoś pomógł mu przy tłumaczeniu.

- Gdzie właściwie leży ta Nica? - spytał, niepewny czy właściwie zapamiętał nazwę miasta.

- Nie „Nica”, ale „Nicea” - poprawiła. - Na południu Francji, to jedno z większych miast na Riwierze. Nie byłam tam, ale zdaje się, że rosną tam palmy i jest mnóstwo pięknych, zabytkowych budowli.

Ziszczone marzenie. Podświadomie właśnie czegoś takiego oczekiwał.

- Mogę panią poprosić o coś jeszcze? Czy mógłbym podać pani adres jako nadawcy? Bo gdyby odpisała, a moja matka zobaczyłaby list...

- Och, rzeczywiście, nie pomyślałam o tym. Moglibyśmy wpaść w poważne tarapaty, prawda?

Odwróciła się i spojrzała na niego. Wydała mu się tak piękna, że bał się, czy nie zemdleje. Owo konspiracyjne „my” brzmiało słodziej niż śpiew ptaka.

Celia Brayfield

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie powinnam tego robić, Aleksie. Gdyby ktoś się o tym dowiedział, mogłabym stracić pracę.

Dla jego rozpalonych zmysłów zabrzmiało to jak zachęta. Alex zamknął oczy i przywarł ustami do jej warg. Uniósł ręce, żeby ją objąć. Trafił na ramię. Po krótkiej chwili wahania nauczycielka odwzajemniła pocałunek. Całowała go pewnie, niemal łapczywie, ale zaraz się odsunęła.

- Czy właśnie po to tu przyszedłeś?

- Nie. Tak. Tak i nie. Naprawdę chciałem napisać ten list.

- Daj mi pomyśleć, Alex. Poczekaj chwileczkę. Złożyła ręce na kolanach. To co do tej pory zrobiła, wystarczyło, żeby wywołać skandal. A chłopiec jest taki miły' tak wyraźnie nieszczęśliwy, zagubiony. Wygląda na zrównoważonego, godnego zaufania. Chyba powinna mu pomóc. Latem wraca do Quebecu, żeby wyjść za mąż. Noce spędzała co prawda samotnie, ale nadal brała pigułkę. Najprawdopodobniej sprawa nigdy nie wyjdzie na jaw. List został wysłany. Alex przyszedł do jej mieszkania w piątek. Rodzicom powiedział, że po lekcjach ma dodatkowy trening. Z niewyczerpaną cierpliwością urodzonej nauczycielki wprowadziła chłopca w tajniki kochania. Okazało się ono dziedziną, w której natychmiast odniósł sukces. Na swoim ciele zawsze mógł polegać, zawsze było posłuszne jego woli, czy kiedy żądał od niego, by dało jemu rozkosz, czy żeby dało rozkosz kobiecie. Alex odkrył w sobie nową moc, która od tej pory nim kierowała. Oczarowały go jej tajemne włoski, jak to określał. Mógłby spędzać w nich całe dnie, zanurzony w nie, pieszcząc ukryte pod nimi sekretne zakątki, podczas gdy jego członek nabrzmiewał niecierpliwie, a kobieta gładziła go po karku.

Odwiedzał ją co tydzień, nie zaniehbując sobotnich, moralnych randek z Jennifer. Fakt, że jego pierwsza miłość nie ma najmniejszych szans przetrwania, że jego ukochana jest narzeczoną innego i latem go opuści, idealnie współgrał z ich uczuciami i oboje mogli unosić się na falach pełnej melancholii rozkoszy.

W przerwach między uprawianiem miłości zaczął wypytywać kochankę o Francję. Przekonanie, że w jego żyłach płynie francuska krew, wniosło w jego życie blask, który rozjaśnił wszelkie mroczne zakątki jego duszy.

Nauczycielka opisywała mu w najmniejszych szczegółach swój roczny

Kolia

90

pobyt w Aix-en-Provence, Alex zaś tak intensywnie wyobrażał sobie lawendowe pola i piekarnie, że niemal czuł w nozdrzach ich zapach. Zaczął powtarzać pojedyncze wyrazy, sycąc się ich obcym brzmieniem. Po pewnym czasie zaczęła robić z nim proste ćwiczenia i pożyczała mu książki, które czytał nocami pod kołdrą, wypalając baterie w latarce.

Wreszcie dopełnił się ostatni cud tej wiosny - z Francji przyszedł list w taniej, błękitnej kopercie. Litery były drobne, drżące, ale przesłanie listu brzmiało tak, jak je sobie wymarzył. Babkę głęboko wzruszył jego list. Jej serce wypełniła niewy-słowiona radość, dzięki której mogła zapomnieć o jakże bolesnych przeżyciach z przeszłości. Przez bite trzy strony pisała w tym tonie, wreszcie zarzuciła chłopca lawiną pytań, prośbami o przesłanie fotografii, opisanie swojego życia. Zakończyła zapewnieniami o miłości i ogromnej radości.

- Zdaje mi się, że dobrze zrobiliśmy - podsumowała nauczycielka, dając Alexowi list. - Pomyśl tylko, ta biedaczka tyle lat usychała z tęsknoty za tobą.

To im uświadomiło, że zbliża się koniec roku szkolnego i wkrótce oboje będą schnąć z tęsknoty, więc jeszcze mocniej się do siebie przytulili.

Nauczycielka odpisała na list, Alex wrzucił go do skrzynki, ale coraz częściej zaczął przemyśliwać nad spotkaniem z babką twarzą w twarz. Wyobrażał ją sobie na tysiąc sposobów: siwą albo szpakowatą, spowitą w czarne koronki albo fioletowy szyfon, wspartą o laskę albo o parasol, może w otoczeniu salonowych piesków. Zawsze jednak była uśmiechnięta, zawsze wyciągała ku niemu ramiona. Wkrótce pragnienie poznania jej stało się tak przemożne, że Alex zaczął snuć plany, jak do tego doprowadzić. Zdając sobie sprawę, że jego życie jeszcze bardziej należy do niego samego, gdy musi mieć przed innymi tajemnice, nikomu nic nie powiedział, ale od kochanki dowiedział się, co trzeba zrobić, żeby otrzymać paszport i kupić bilet lotniczy.

Kiedy ojciec odwiózł go do banku, wszedł do środka, odczekał chwilę, potem wrócił, w kieszeni nadal trzymając zarobione w tym miesiącu pieniądze - a dzięki większej porcji zajęć było ich więcej niż zwykle. W domu ukrył je w bucie zimowym. Nauczył się podrabiać podpis ojca. Akt urodzenia i wniosek paszportowy zdobył bez trudu.

Ostatnim punktem planu było zgłoszenie się do pracy na

Cetia Brayfield

parafialnym obozie letnim nad jeziorem w Port Clinton. Nie otrzymywał co prawda żadnego wynagrodzenia, ale turyści zostawiali hojne napiwki, a poza tym w ten sposób uspokoił rodziców, że jego poprzednia ucieczka stanowiła pojedynczy, młodzieńczy wyskok.

Ciężka praca pozwalała mu zapomnieć o bolesnym rozstaniu z ukochaną.

W październiku zebrał wystarczająco dużo pieniędzy. Ojciec zachorował, co oznaczało, że po domu kręciły się liczne członkinie rady parafialnej, które siedziały przy chorym i czytały mu wywody Mary Baker Eddy - założycielki ich wyznania - które miały mu pomóc zrozumieć, że jego kamień żółciowy to tylko złudzenie materialnego świata. Alex postanowił nie przegapić tej wyjątkowej okazji. Wiedział, że w tej sytuacji jego ucieczka nawet przez kilka dni może zostać nie zauważona. Zaproponował, że na jakiś czas, dopóki ojciec nie poczuje się lepiej, przeniesie się do McIl-waine'ow. Dzięki temu jedna z kobiet będzie mogła nocować w jego pokoju.

Nadszedł piątek. Wyszedł ze szkoły z plecakiem i wsiadł do autobusu jadącego na lotnisko. W duchu żegnał wysokie, bezbarwne budynki, chudych, wysokich mężczyzn w ubraniach roboczych, którzy stali na rogach ulicy, znak zakazu wjazdu dla pojazdów rolniczych i wszystko to, czego tak serdecznie nie znosił w Cleveland.

Kupił bilet i po dwudziestu czterech godzinach znalazł się Paryżu. Zachwycony swoją znajomością języka, dzięki której udało mu się kupić kanapkę i odcyfrować nazwy stacji, dotarł wreszcie na Gare de Lyon i przesiedział całą noc w pociągu do Marsylii, wsłuchany w nieznany, metaliczny stukot kół.

W Marsylii przespał kilka godzin na ławce i wsiadł do pociągu do Nicei. Kiedy wzeszło słońce, w jego przedziale zrobiło się gorąco. Pasażerowie, Francuzi, przyglądali mu się bez ciekawości i wyrzekali na upał. Alex widział ożywione, spalone słońcem twarze o ciemnych oczach, zepsute zęby! Zmrużył oczy i wyglądał przez okno - mijali domy kryte czerwoną dachówką, sosnowe lasy, aż wreszcie w oddali zamajaczyło lśniące, błękitne morze. Morze Śródziemne! Jeszcze wczoraj stanowiło tylko egzotyczną plamę na mapie, a dziś migotało zza skał - tysiącokrotnie bardziej realne niż szara powierzchnia jeziora Erie.

Kolia

95

Nie mógł usiedzieć w miejscu. Wstał i resztę drogi stał wychylony przez okno, wdychając ciepłe, balsamiczne powietrze. Przed oczami migotały nazwy stacji, z których każda niosła romantyczne przesłanie: Juan Le Pins, Cap d'Antibes, Cannes.

Kiedy dotarli do Nicei, w głowie mu szumiało ze zmęczenia i podniecenia. Wypadł ze stacji, nie zwracając uwagi na dobrze ubranego mężczyznę z różowym goździkiem w klapie, który podszedł, aby zaoferować przystojnemu chłopcu mieszkanie. Trafił prosto na kiosk, gdzie kupił batonik i mapę. Przed oczami zatańczyły kusząco kasyno, opera, rynek kwiatowy, *Promenade des Anglais*, ale zapanował nad sobą i skupił się na spisie ulic, gdzie odszukał adres babki. Mieszkała na południowo-zachodnich krańcach miasta.

Spacer był długi i pełen cudów. Alex mijał sklepy, gdzie na wystawach lśniły masy kandyzowanych owoców, stragany pełne goździków, kioski, które ugięły się pod ciężarem periodyków ze wszystkich stron świata. Widział ogrody, w których rosły palmy i rośliny tropikalne. Po głównym bulwarze przechadzały się dumy ludzi w letnich ubraniach. Chłopiec z lubością wciągał zapach palonego cukru, czosnku i ryzostoków.

Wreszcie dotarł do dzielnicy willowej, gdzie wśród pachnących krzewów rozmarynu i lawendy stały różowe i pomarańczowe wille. Żaluzje chroniły ich mieszkańców przed upalnym słońcem. Był już niemal u celu, kiedy niespodziewanie natrafił na jakiś otoczony palmami zwariowany kościół, zwieńczony kopułami przypominającymi zamki z kreskówek

Walta Disneya.

Wspiał się pod górę, zostawiając za sobą lśniące w promieniach słońca morze i wreszcie trafił pod numer, którego szukał. Budynek stał na ulicy o piętrowej zabudowie w stylu lat trzydziestych. Na drzwiach z matową szybą widniał wykonany z żelaznych prętów napis: Villa les Gazelles. W ogrodzie kwitły pelargonie, karłowate rośliny o niewielkich kwiatach, a rozmaryn tak się rozrósł, że pękł w połowie i jedna część krzewu obumarła.

Alex przystanął i głęboko zaczerpnął tchu. Jego poszukiwania dobiegły końca. Po dwóch dniach podróży, po przebyciu sześciu tysięcy kilometrów, stoi wreszcie przed drzwiami babki. Dom zdawał się uśpiony, ale w upalnych promieniach popołudniowego słońca całe miasto wyglądało tak, jakby zapadło w drzemkę.

Celia Brayfield

Po pierwszym naciśnięciu dzwonek nie zadźwięczał. Spróbował jeszcze raz, mocniej, i usłyszał, jak w domu rozlega się dzwonienie. Potem zapadła cisza. W pewnej chwili wydawało mu się, że dobiegł go jakiś odgłos, ale pomyślał, że to tylko złudzenie. Może babka gdzieś wyszła, a może gdzieś wyjechała. Miał pieniądze, ostatecznie zamieszka w hotelu albo schronisku młodzieżowym.

Drzwi uchyliły się bardzo wolno i w szparze ukazała się brązowa twarz kobiety o przerzedzonych włosach.

- *Vous cherchez quelqu'un, monsieur?*

Z kieszeni koszuli wyciągnął niebieską kopertę, pokazał adres i wygłosił przygotowane wcześniej zdanie.

- *C'est moi, Alex. Je suis Alex.*

Przez dziesięciocentymetrową szparę wysunęła się pomarszczona, żylasta dłoń. Alex podał kopertę. Drzwi zostały przymknięte, dobiegła go cicha rozmowa, wreszcie otworzyły się szeroko i chłopiec zobaczył dwie drobne kobiety, pomarszczone i zgarbione, które jednak w niczym nie przypominały typowych staruszek, z jakimi się stykał. Ta, która otworzyła drzwi, była ubrana w czarną sukienkę, włosy spięła w gładki koczek.

Druga - blada i potargana - wokół ramion owinęła poplamione, jedwabne boa w kolorze brzoskwini. Miała krótkie, rude włosy, oczy mocno obrysowane czarną kredką. Wargi były pozbawione koloru, ale czerwona szminka wnikała głęboko w zmarszczki wokół ust. Kobieta zaciskała boa wokół szyi tak mocno, że Alex bał się, czy się nie udusi.

- *Mais c'est lui! C'est vraiment lui! Personne d'autre! Son image vivant!* - zawołała chrapliwie.

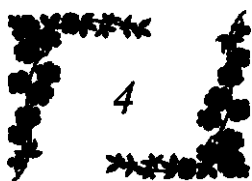
Chwyciła się za serce. Przez chwilę rozprawiały szybko w obcym, pełnym ostrych dźwięków języku, wreszcie uśmiechnięta postąpiła ku niemu z otwartymi ramionami, odsłaniając nocną koszulę, z której zwisał kawałek urwanej koronki. Z jej ubrań dobywał się silny, odurzający zapach piżma. Gest wyglądał dokładnie tak, jak Alex go sobie wyobraził, ale reszta była zupełnie inna, a przez to tym bardziej podniecająca.

- Alex!

Jej gołe stopy zastukały o ciemny parkiet, poderwała głowę, oczekując odpowiedzi.

Postąpił ku niej i pochylił się, żeby ją objąć.

- Babciu!



St Petersburg, 1905

Siostra pisze, że połowa moich ubrań już jest gotowa - powiedziała Maria, czytając kolejną stronę listu.

Za parę miesięcy, po Wielkanocy, uczniowie mieli zakończyć edukację, znaleźć miejsce w cesarskim zespole baletowym i wypłynąć na szersze wody. Dziewczęta przez dziesięć lat mieszkały w internacie przy ulicy Teatralnej i chodziły w skromnych mundurkach, a teraz pojedą do domów, gdzie na niektóre czeka imponująca wyprawa złożona z nowych ubrań.

- Dwie suknie wizytowe... - ciągnęła Maria - i dwie wieczorowe, plus rękawiczki, pończochy... ale z zamówieniem pantofelków chce poczekać, aż wrócę do domu, zobacz, co za mała z niej! Pisze: „Bo na pewno do tego czasu dostaniesz nowych odcisków czy innych okropnych zniekształceń na stopach i schodzimy nogi ze szczętem, nim znajdziemy coś pasującego na Ciebie”.

- Ty to masz szczęście. Bóg jeden wie, co moja matka przygotowuje dla mnie. Pewnie jak zawsze litanie narzekań. Może lepiej napisać do niej umieszczając parę aluzji, to się domyśli.

Lidia i Maria, aby przygotować się na wejście w wyższe sfery, postanowiły do końca semestru rozmawiać ze sobą wyłącznie po francusku, żeby posługiwać się tym językiem tak płynnie jak absolwentki najlepszej petersburskiej szkoły dla dziewcząt. Po francusku mówiły z większą werwą niż po rosyjsku i gdy szły w stronę łaźni przez wewnętrzne podwórka zabudowań szkolnych, szczebiotały jak dwie ptaszynki.

Nie bacząc na przenikliwe zimno, zatrzymały się na chwilę, by spojrzeć na zasłonięte okna sali do ćwiczeń na pierwszym piętrze. Dyrektor wydał nakaz szczelnego ich zakrywania, kiedy się dowiedział, że wielbicieli baletu, by dostrzec tancerzy chociaż z daleka, jeżdżą specjalnie na górnym poziomie

Celia Brayfield

omnibusów i zerkają w ten sposób do innych sal ćwiczeń w mieście.

Podwójne okna nie przepuszczały żadnych dźwięków, dziewczęta widziały tylko zarys sylwetki biednej Tamary Płatonowej, męczącej się nad obrotami, i przyglądających się członków zespołu, którzy się odwracali kryjąc pogardę.

- Biedaczka i tak ciężko pracuje - Maria schowała list i chuchnęła na zgrabiące dłonie. - Ma problemy sto razy większe od naszych. Zwłaszcza od ciebie, z tymi twoimi żelaznymi stopami. Na szczęście Tati jest tak słodka, że nadrabia osobowością. A może to poparcie ojca?

- Z tym już koniec - Lidia pokręciła głową, gdy szły oblodzoną ścieżką. - Stracił pracę, nie słyszałaś?

- Nie! Biedna Tati. I kto się nią teraz zajmie? Jak słyszę o takich kłopotach, od razu myślę, jaka ze mnie szczęściara. Cóż bym zrobiła bez mojej siostry? Jak to cudownie, że tak dobrze wyszła za męża i teraz się mną zajmie.

Tak wyglądała brutalna prawda. Wszyscy uczniowie szkoły baletowej byli sierotami albo pochodzili z bardzo biednych rodzin. Nawet dzieci starszych tancerzy, śpiewaków czy muzyków z carskiej orkiestry przyzwyczaiły się do ubóstwa panującego w domu. Inne, jak delikatna Olga, trafiły tu wprost z sierocińca. Zawsze towarzyszył im lęk przed biedą czyhającą na nich tuż za rogiem.

Żyli na ziemi niczyjej pomiędzy głodem i dostatkiem. W balecie wystawność *mise en scene* uważano za jedną z głównych wartości. W trakcie przedstawień na scenie tańczyły tłumy, wisiały kosztowne dekoracje, pokazywano skomplikowane efekty, konie i zaprzęgi, po jeziorach przy letnich pałacach cara sunęły nawet pozłacane barki o jedwabnych żaglach. Kostiumy robiono z najcenniejszych materiałów, obszywano je drogocennymi futrami, koralikami i wstęgami, a tancerki zakładały do nich własną biżuterię. Na tak wspaniałą iluzję patrzył świat prawdziwego bogactwa: petersburskie wyższe sfery i carski dwór. A za złudzeniem kryła się klasztorna prostota i dyscyplina panujące w szkole, której baletnice nigdy nie opuszczały, nawet po uzyskaniu dyplomu. Ciągłe lekcje i próby, skromne codzienne ubrania oraz nagie deski sceny przypominały im wciąż o niepewności ich losu, skoro wypadek, choroba czy kontuzja mogły ich znów zepchnąć w nędzę.

Młode tancerki dzięki długim ćwiczeniom i świadomości, jakie szczęście je spotkało, patrzącym z boku wydawały się

Kolia

96

boginiami. Chociaż pedagogzy byli bardzo wymagający, a dyscyplina w szkole ostra, to dostawały tu jeść trzy razy dziennie, kształcono je, wpajano zasady moralności i dobrych manier. Wiedziały, że ciężko pracując i zachowując się odpowiednio staną wreszcie u progu wielkiego świata, gdzie zarobią na życie i znajdą szanse znacznego poprawienia własnego bytu; te cechy oraz prawdziwy talent zostaną nagrodzone, choć na równi z umiejętnościami artystycznymi liczyły się zdolności dyplomatyczne. Każda znajdzie opiekuna: przeciętne tancerki kochanków, a niektóre, jak na przykład siostra Marii, może nawet mężów. Dla Lidii i Marii dzień wyzwolenia zbliżał się z oszałamiającą szybkością i nieustannie ogarniała je gorączka oczekiwania.

Przez szeroką bramę wkroczyły na najmniejszy dziedziniec i mijając stosy opału weszły do łaźni, która zdaniem Lidii na tle klasycystycznych budynków szkoły przypominała domek Baby Jagi ukryty w głębi lasu. W szarym zmierzchu jaśniały wątle promyki światła płynącego z małych okienek.

W porównaniu z zimnem panującym na zewnątrz było tu rozkosznie ciepło, pachniało też inaczej: dymem i mokrym, żywym drewnem. W szatni ściągnęły ciężkie palta i roz-snurowały wysokie buty. Służące pomogły im zdjąć długie, białe fartuchy i wełniane, niebieskie suknie. Wysunęły się z halek i białej, bawełnianej bielizny obszytej skromną koronką. Owinięte ręcznikami szorstkimi od częstego prania, postanowiły najpierw posiedzieć w parówce, więc wdrapały się na drewniane ławy zamocowane przy takich samych ścianach. Służące polały wodą kamienie umieszczone na środku paleniska.

- Masz - Maria zwróciła się po rosyjsku do stojącej najbliżej kobiety. - Wlej trochę tego do wody. Wyciąg z jałowca, moja siostra twierdzi, że pomaga rozluźnić mięśnie.

Strumień pary wystrzelił aż pod sufit i kłęby rozeszły się po całej łaźni. Lidia zatkała nos, czekając, aż temperatura się wyrówna.

- Mario, opowiedz mi jeszcze raz o twoich strojach. Przyjaciółka posłusznie wyrecytowała opisy sukien. Lidia ponad wszystko kochała piękne przedmioty: ubrania, bibeloty, kostiumy sceniczne, kwiaty. Ponieważ nie mogła ich mieć na własność, wystarczyło jej samo słuchanie.

- Myślisz, że matka coś ci przygotuje? - zapytała z wahaniem Maria.

Celia Brayfield

- Nie wiem. Może. Ale w duszy widzę, co bym chciała, marzę o tym od dawna. Czarno-biały kapelusz z piórami...

- O, tak. W tym sezonie wszyscy takie noszą, tak twierdzi moja siostra.

- A do tego sukienka w kropki z przedłużonym stanem. - Rozleniwienie wywołane gorącem nie podołało jej entuzjazmowi: poderwała się, by narysować kształt sukni wokół nagiego ciała. Spędziła wiele godzin rysując wymarzone stroje w zeszytach. - A do tego coś w kontrastujących barwach, och, kremowy z głębokim błękitem albo kremowy z czerwonym, na przykład płaszcz z kremowymi guzikami.

- Boskie! Och, gdybym i ja mogła mieć coś takiego!

- Wyglądałybyśmy jak siostry. - Lidię aż zatkało z gorąca i podniecenia, więc położyła się na ławie. - Szkoda, że nie mam takiej siostry jak ty.

Maria wyciągnęła dłoń o czubkach palców zaczerwienionych pod wpływem wysokiej temperatury i poklepała dziewczynę po ręce.

- Zawsze będę twoją przyjaciółką, Lidoczka. Wiesz, że wszyscy cię kochamy. I wiesz, że zawsze jest Lew... -

Chichocząc przewróciła się na bok, żeby obserwować reakcję koleżanki. - Dał ci następny Ust?

- Zupełnie zapomniałam, mam go w kieszeni.

- Powinnaś być dla niego miłsza, jest ci tak oddany.

- Ach, i śmiertelnie nudny.

Lew dostał dyplom w ubiegłym roku, ale tancerze i uczniowie z najstarszej klasy często pracowaU razem. Maria partnerowała teraz Wolińskiemu *w pas de deux* i niemal co tydzień szmuglowała dla Lidii kolejny wiersz lub drobny prezencik. Dziecinna pogarda osłabła, zmieniając się w niechęć, i teraz, gdy świat niemal stawał przed nią otworem, coraz bardziej odpowiadało jej posiadanie adoratora, nawet biednego. Oczywiście nie miała najmniejszego zamiaru marnować się dla tancerza. Często dostawała bileciki od wielu mężczyzn, a nawet listy, których wprawdzie nie pozwolono jej czytać, lecz sam ten fakt sprawiał, że tkwiło w niej mocne przekonanie, że gdy wreszcie stanie w szranki z innymi baletnicami, to udowodni swoją wysoką wartość.

- Moim zdaniem Lew poprosi, żebyś w następnym sezonie została jego partnerką.

- Och, naprawdę? - Widocznie namówił dobroduszną Marię, aby wysondowała u niej grunt. Bardzo przyjemnie, że

Kolia

98

o nią zabiega. Wszyscy wiedzieli, że jest jedną z wybitniejszych tancerek tego rocznika. Lew nie mógł się poszczycić tak wyjątkowym talentem; choć bardzo żywiołowy na co dzień, i bez końca tworzył plany gorączkowo przekonując innych do swoich pomysłów, to jednak na scenie zachowywał się z dużą rezerwą. Chodził na zajęcia do Michaiła Fokina i nie krył, że pragnie pójść w jego ślady jako choreograf, a Lidia miała nadzieję, że ją wybierze nie Lew, ale któryś z pierwszych tancerzy. - To chyba zależy od ról, jakie mi dadzą, prawda? Przecież nie wiem, w jakich partiach dyrektor mnie obsadzi.

- Lew chce, żebym ci coś przekazała. To bardzo ważne i nie wolno ci pisać nikomu ani słówka. Zgoda?

- Oczywiście! - Tajemnice to najśodsza rzecz pod słońcem, pomyślała Lidia.

- Ojciec Lwa powiedział mu, że masz mieć debiut.

- Niemożliwe! Mario! To wspaniale! - Aż usiadła z wrażenia dysząc ciężko w kłębach gorącej pary. - Na pewno? Skąd jego ojciec wie? Nie mogę w to uwierzyć! Nie mogę oddychać ani rozmawiać w tym upale. Wychodzimy, szybko.

Wyszły z łaźni krztusząc się i kaszląc, pobiegły do umywalni, gdzie zrzuciły na podłogę mokre ręczniki, a służące chlusnęły na nie zimną wodą z wiader.

- Wie, co wybrali? - Lidia wytrzymała potężny strumień oblewający jej plecy, nim gestem pokazała dziewczynie, że wystarczy i odwróciła się przodem. Z całej duszy nienawidziła chłodu, ale podobno lodowaty prysznic poprawia kształt biustu, więc wytrzymała parę chwil dłużej.

- Nie! Ojej! Lód! Wiem tylko, że ustalili termin na koniec wiosny, w maju. Lidio, jestem z ciebie taka dumna. To wspaniale - ostatni debiut odbył się wiele lat temu. Czyż to nie dowodzi, że miałam rację? Jesteś prawdziwą gwiazdą. Położyły się na drewnianych ławach czekając na kolejny zabieg.

- Nie za mocno - poleciała ostrym tonem Lidia. - Nie cierpię, gdy mnie mocno drapią. Skoro nie mogę mieć pięknych sukien, to się chociaż pochwalę ładną skórą, chyba że ty, głupia babo, mi ją zepsujesz.

Następnego dnia została wezwana do gabinetu dyrektora, by usłyszeć wielką nowinę. Na okazję przedstawienia jej publiczności St Petersburga wybrano specjalne *pas de deux* zawarte w słynnej z gorących rytmów *Paquicie*. Będzie to perełka w choreografii Mariusza Petipy, niekwestionowanego

Celia Brayfield

geniusza zespołu, który niedawno przeszedł na emeryturę mając blisko pięćdziesiąt lat. Tytułową rolę zatańczy Krzesińska, która wróciła na scenę po urodzeniu dziecka tak szybko, jak się tego wszyscy spodziewali.

Paquita była długim, klasycznym baletem w stylu hiszpańskim, występowała w niej wielka armia statystów, grupa doskonałych solistów, a wszyscy przebrani w kostiumy wzorowane na szerokiej, tradycyjnej spódnicy z muślinu przyozdobionej czarną siatką i pomponami. Lidia będzie mogła pokazać swoją szybkość, siłę i gibkość; włosy ma upiąć skromnie - zaczesane do tyłu z różą za prawym uchem, czyli zgodnie ze stylem wymaganym przy wystawianiu pseudohiszpańskich utworów. Muzyka nie powinna jej sprawić trudności, zdoła utrzymać się w rytmie przy dźwiękach cyrkowej melodii. I wszystko pójdzie jak z płatka, skoro jej partnerem będzie Siergiej Legat, brat Mikołaja, jeden z mężczyzn najbardziej lubianych zarówno przez widzów, jak i członków zespołu. Lidia aż zaniemówiła słysząc o takim wyróżnieniu.

- I co, dziecinko? - zapytał dyrektor przypatrując się jej zmrużywszy oczy. - Zadowolona?

- Och! *Monsieur le directeur*, błagam o wybaczenie - szepnęła. - Oczywiście, że tak. Dziękuję, naprawdę dziękuję. - Zmieszana pochyliła się do przodu i ująwszy jego dłoń spoczywającą na biurku, ucałowała ją gorąco.

Starzec cofnął się rozbawiony i poczerwieniał na policzkach ponad rozłożystymi, brązowymi bokobrodami.

- No, teraz ci wierzę. Napisałem do twoich rodziców podając datę przedstawienia oraz informując, że po egzaminach będziesz miała cały jeden dzień wolny na odwiedzenie rodziny, a później dwa razy po pół dnia na zakupy z matką. Ale nie daj się ponieść radości i pamiętaj o matematyce, bo inaczej się zbląznisz - twoje wyniki w tej dziedzinie nie są tak olśniewające jak twój talent.

W jego głosie nie brzmiała prawdziwa nagana. Baletmistrze jednogłośnie prorokowali Lidii Aleksandrownej olśniewający sukces; nauczyciele w szkole odnotowali, że cechuje ją inteligencja, jej ambicje nie sięgają poza scenę, i nie hołduje żadnym nowomodnym ideom. Zatem była doskonałym dziełem ich rąk - piękna, utalentowana i o cudownie konserwatywnych poglądach.

Lidia mamrocząc nieszczerze obietnice, które powtarzała nauczycielom co roku, przyrzekła podwojenie wysiłków i wy-

Kolia

103

mknęła się szybko, by wszystkim przekazać wspaniałą nowinę. Dopiero wieczorem, gdy po kolacji usiadła z Olgą, by zaszyć pęknięte baletki, myśl o domu przyćmiła jej radość.

- Gdzie będziesz mieszkała w przyszłym sezonie? - zapytała nagle zazdroszcząc sierocie, że będzie mogła sama decydować o wyborze lokum.

- Z braćmi i siostrą. Anatol i ja znaleźliśmy odpowiednie pokoje i skoro wszyscy troje jesteśmy w *corp de ballet*, to wystarczy nam na życie i będziemy mogli zabrać naszego drogiego Pierre'a. - Olgę zawsze cechowała afektowana gestykulacja, ale mówiąc o sierocińcu, w którym nadal przebywał jej najmłodszy brat, robiła jeszcze bardziej sztuczne ruchy. Pierre miał słabe płuca i dlatego nie został przyjęty do szkoły. - A ty, jak sądzę, wracasz do domu?

- Chyba tak, ale sama nie wiem. Mówiąc prawdę, to aż się wzdragam na samą myśl.

- Dlatego, że twój ojciec choruje? Ale przynajmniej go masz i wiesz, kim jest. Tylko popatrz na nas: ta dziwka, nasza matka, puszczała się na prawo i lewo, kłamała przez całe życie, a teraz umarła, i nigdy się nie dowiemy, kto nas spłodził.

- Nie o to mi chodzi. Ich mieszkanie to nie mój dom. To śmietnik, na który nas wyrzucono, gdy straciliśmy wszystkie pieniądze. Nigdy tam nie mieszkałam. Pamiętam tylko okropną rudere. Och, mam za to przed oczami nasz prawdziwy dom...

- urwała z igłą zatrzymaną w połowie ruchu, próbując przywołać wizję egzystencji, którą wiodła w uroczym budynku, gdzie się urodziła i który uznawała za swój prawdziwy dom. Napływały wspomnienia miękkich, puchatych poduszek ozdobionych koronkami i kokardami, lepkich serowych ciasteczek, słodkiej, młodziutkiej niańki, która ją łaskotała, i matki

- pięknej, młodej kobiety o długich, kasztanowych lokach; widziała, jak otwiera szufladę toaletki wypełnionej popielatymi, zamszowymi rękawiczkami i prosi córkę o pomoc w wyborze właściwej pary.

- Och, jakie to smutne. Biedactwo. Zawsze ci zazdrościłam rodziców i nigdy nie przypuszczałam, że się martwisz z ich powodu. Twoja matka nigdy cię nie odwiedza. I w czasie wakacji zawsze zostajesz w szkole. Wybacz mi, taka ze mnie egoistka... - mimo współczucia Olga z uwagą przyglądała się, jak Lidia zszywa baletki, mając nadzieję, że się tego od niej nauczy.

- Ach, nie jest tak źle. Moja matka ma dość zajęcia

Celta Bray field

doglądając ojca. - Lidia rzeczywiście znalazła sposób, by wzmocnić spody, ale nie miała zamiaru nikomu zdradzać sekretu, a zwłaszcza Oldze, obdarzonej przede wszystkim wyjątkowo piękną linią ciała i umiejętnością flirtowania z krytykami. Lidia niby przypadkiem pochyliła się w stronę lampy tak, by Olga nie mogła dostrzec jej dłoni. - Powiedz mi, jak sobie poradzisz z ubraniami?

- To dopiero problem! Chyba będę musiała chodzić nago! Aż się boję o tym myśleć... Poczekaj! - Uniosła rękę nakazując milczenie i z napięciem wpatrywała się w ciemny róg szwalni.

- Och! Jakie to straszne! Lidio, absolutnie nie możesz iść do domu! Widzę okropne rzeczy, ludzi pociętych na kawałki. Widzę człowieka z głową rozciętą jak łeb zwierzęcia u rzeźnika. Ohyda, wiszą z niej krwawe ochłapy... - Igła wysunęła się z palców Olgi i z cichym brzękiem upadła na podłogę, gdy dziewczyna pocierała oczy delikatnymi dłońmi. Zirytowana Lidia zmarszczyła brwi. U Olgi, poza pretensjonalnymi pozami, najbardziej denerwowało ją przepowiadanie przyszłości. - Ale tam jest także inny mężczyzna. Tak, widzę go wyraźnie, jasne włosy, wysokie czoło. Nie jest dobry, ale potrafi wiele dokonać. I to jest ten mężczyzna, mężczyzna dla ciebie...

- Czy widzisz też zadania egzaminacyjne z matematyki?

- Lidia owinąwszy baletki wstążkami odłożyła je do torby i wyciągnęła podręcznik.

- Nie powinnaś z tego kpić, mam ten dar i dobrze o tym wiesz. O Boże, gdzie jest moja igła?

- Nie masz wizji, jak leży w szparze między deskami podłogi?

- Och, nie gadaj. Nie mogę jej znaleźć, pożycz mi swoją.

- Uśmiechnięta Lidia podała jej pudełko igieł. - Mówię serio, Liduszka, nie idź do domu w niedzielę. Wiem, że stanie się coś okropnego, jeśli pójdziesz.

- Tak, i stanie się coś równie okropnego, jeśli nie pójdę. Zostanę bez dachu nad głową.

Gdy nadeszła niedziela, Lidia wręcz fizycznie czuła odrazę na myśl o wyprawie do rodziców. Uświadomiła sobie, że już prawie zapomniała, jak wygląda jej matka, i kiedy ostatni raz ją odwiedziła. Olga miała rację, matka bardzo rzadko przychodziła do szkoły, ich dawna służąca Duniasza wpadała częściej, nim się postarzała. A Lidia nie była w domu od lat.

Kolia

105

Uczennicom wyższych klas nie pozwalano wyjeżdżać do rodziny na wakacje - szkolna legenda głosiła, że wprowadzono tę zasadę, ponieważ jedna z dziewcząt, szalona Anna, właśnie przy takiej okazji nawiązała skandaliczny romans z oficerem carskiej jazdy.

Lidia wiedziała, dlaczego nikt się o nią nie troszczy. Biedna matka bynajmniej nie zamęczała się opieką nad chorym ojcem, ale swój czas całkowicie poświęcała młodszemu dziecku, synowi, do tego stopnia, że prawie zapominała o istnieniu córki. Większość rodziców z niechęcią oddawała dziewczęta na ulicę Teatralną, i przyciśnięci biedą przyzymkali oczy na niemoralność świata sceny, tymczasem Kuźmińscy wysłali ośmioletnią Lidię Aleksandrownę bez chwili wahania i natychmiast skupili całą uwagę na swym cudownym synku. W ciągu następnych lat bardzo rzadko widywała brata i pamiętała tylko ubranego w marynarskie ubranko bobasa z wiecznie nadętą miną, który przeraźliwie płakał, gdy coś mu się nie podobało. ...

Z przyjściem na świat brata wszystko w życiu Lidu się popsuło. Matka, straciwszy wszelką nadzieję na drugie dziecko, jego narodziny uznała za cud i dar niebios. Potem wspólnik oszukał ojca w interesach, ten się rozchorował i wyglądał, jakby nigdy nie miał wyzdrowieć. Niemal w mgnieniu oka przeszli od bogactwa do biedy - stracili dom, przyjaciół, cały dobytek - i wtedy cała rodzina zwróciła się do małego Dimy jako jedynej nadziei, a Lidia w ich oczach stała się tylko dużą, nieokiełznaną dziewczynką o nienasyconym apetycie, ciężarem dla wszystkich. Ich mieszkanie znajdowało się w pobliżu szkoły. Tej niedzieli wyruszyła wcześniej, ostrzeżona przez Warwę Iwa-nówną, że zanoszą się na demonstrację, bo strajkujący robotnicy z fabryki mają zamiar przemaszerować przez miasto z petycją do cara. W ostatnich latach powrócono do praktykowania świętego prawa Rosjanina, na mocy którego każdy mógł się domagać sprawiedliwości wprost u samego władcy, i często widać było na ulicach maszerujące grupy z flagami, tablicami, a ludzie wykrzykiwali hasła. Lidia zastanawiała się, czy królowa ropuch zatroszczyła się o nią martwiąc się o jej bezpieczeństwo, czy raczej o jej lojalność, skoro coraz więcej tancerzy popierało robotników i Michaił Michajłowicz ze swymi poplecznikami ciągle organizował wiece, by przegłosować rezolucję z wyrazami poparcia.

Celia Brayfield

Gdy skinąwszy portierowi wyszła na ulicę, od razu usłyszała odgłosy demonstracji. Śpiewali hymny, a głębokie, pełne głosy mężczyzn niosły się w czystym powietrzu ponad szmerem tysięcy stóp w ciężkich butach, sunących wolno do przodu. Gdy szła wzdłuż imponującego gmachu Teatru Aleksandryjskiego, poczuła w nozdrzach duszną woń kadzidła.

Za potężną kolumnadą stało dwudziestu gwardzistów w czterech rzędach, czekali spokojnie, ich konie nerwowo miały grzywami, gdy patrzyli z ciekawością na mijający ich tłum. Jasnowłosy oficer, którego nos poczerwieniał z zimna, widząc przechodzącą Lidię wydał komendę: *baczność!* i zaszalutował krzycząc donośnym głosem:

- Dzień dobry, *mademoiselle*

Przestraszona spojrzała przez ramię, czy widać ich z okien szkoły, po czym dygnęła i poszła dalej, zarumieniona na taki komplement. Jej droga wiodła przez niewielki park oddzielający teatr od ulicy. Na krzewach leżały czapy nie tkniętego śniegu, a ślady ptasich łapek tworzyły na trawnikach skomplikowany wzór.

Newski Prospekt wypełniała zwarta, szara masa ludzi. Pod ich stopami śnieg zmienił się w breję. Zatrzymała się zdumiona na widok nieprzeliczonej rzeszy sunącej wolno główną ulicą miasta, niektórzy ludzie wspięli się na ławki, by zobaczyć, czy oba krańce pochodu sięgają rzeki. Tłum rozlewał się wszędzie, ciągnął niemal bez kresu.

Mężczyźni mieli na sobie grube, szerokie w ramionach palta i czapki wciągnięte na szaliki lub z opuszczonymi nausznikami, chroniące uszy przed zimnem; ich ponure oblicza były spokojne. Wielu szło z pochylonymi głowami, ale trudno było orzec, czy to z przepracowania, zmęczenia czy w modlitwie, choć taka rzeka przygiętych karków sprawiała wrażenie szczególnej suplikacji. Na niektórych twarzach malował się nieziemski wyraz, na podobieństwo ekstazy religijnej. Gdy padał na nią ich wzrok, paru wykonało gest pozdrowienia, ale większość mijała ją z niewidzącym spojrzeniem. Szli jak w transie, bardzo wolno, powłócząc nogami, w rękach nieśli tablice z napisem „Chleba i sprawiedliwości”, inni na ramionach dźwigali ikony lub liche oleodruki z portretami cara, ozdobione papierowymi kwiatami i wstążkami. Tu i ówdzie podążały grupki duchownych, którzy machali kadzielnicami i przewodzili śpiewom.

Lidia jak zaczarowana ruszyła razem z tłumem, po chwili

Kolia

107

jednak zawróciła. Jej dom znajdował się po drugiej stronie ulicy i chociaż rzesza wyglądała pokojowo, to bała się rzucić w ruchomą masę i podjąć próbę przejścia przez ulicę - z pewnością porwaliby ją ze sobą. Każdy Rosjanin znał historię o nagle ogarniętym paniką mbtłochu, który, nim się opamiętał, trutował setki ludzi.

- *Mademoiselle*, z pozdrowieniem od kapitana Orłowa. - Usłyszała za plecami stukot końskich kopyt i odwróciwszy się zobaczyła, że zatrzymuje się przy niej chorąży z trzema gwardzistami. - Obawia się o pani bezpieczeństwo. Czy możemy przeprowadzić przez Prospekt?

- Zdołacie ich zmusić, żeby nas przepuścili? - Lidia niepewnie popatrzyła na rzekę suplikantów.

- Oczywiście. *Mademoiselle*, oni nikomu nie zrobią krzywdy. To nieszkodliwe bestie. I są trzeźwi, przynajmniej na razie. W którą stronę panienka idzie?

- Do kanału Gribojedowa. Wystarczy, jak się przedostanę na drugą stronę.

Nadal nie przekonana popatrzyła w kierunku teatru, gdzie została reszta oddziału. Oficer znów jej zasalutował, a ona skinęła głową myśląc, że jeśli którykolwiek z pedagogów ją zobaczy, to ukarzą ją za flirtowaniei może nawet odwołają ten słynny debiut. Najlepiej zrobi ruszając bez ociągania.

- No to dziękuję i proszę bardzo podziękować kapitanowi Orłowowi. Jacy jesteście dla mnie dobrzy! Idziemy? Chorąży, równie młody jak ona, w mundurze o lśniących guzikach, nakazał żołnierzom, by ruszyli do przodu i gdy stanęli na skraju tłumu, zawołał:

- Z drogi! Przejdźcie dla damy!

Gwardziści przecięli rzesze i Lidia wstąpiła między nich, niczym Mojżesz w nurty Morza Czerwonego, uderzył w nią jedynie zaduch bijący od setek nie mytych ciał. Chodnik majaczył gdzieś w oddali, więc skupiła wzrok na oblodzonej powierzchni ulicy i szła równym krokiem za końmi. Wielu mężczyzn schyliło głowy w ukłonie lub z szacunkiem dotknęło daszka czapki, ale nie przerywali śpiewu. W środku ludzkiej masy hymny tworzyły kakofonię dźwięków, bo jeden refren nachodził na drugi, skoro postępujące za sobą grupy nie słyszały, co zawodzi sąsiednia. Ku jej zawstydzeniu chorąży uparł się towarzyszyć jej z gwardzistami aż do kanału, gdzie miała skręcić w boczną ulicę.

Celia Brayfield

- Co się z nimi stanie? - zapytała, nadal przejęta ogromem tłumu. - Nigdy nie sądziłam, że na świecie może być tyle ludzi.

- Ja też - chorąży beztrąsko wzruszył ramionami. - Nie przedostaną się do Pałacu Zimowego, na drodze stoją barykady, by ich powstrzymać. Ich przywódcy zostaną przyjęci, choć i tak na to nie zasługują, skoro to nielegalna demonstracja. Oficerowie nakażą się im rozejść w spokoju, wrócą do domów głodni i zmarznięci nic nie zyskawszy. Mimo młodego wieku Lidia od razu wyczuła, że przez podchorążego przemawia buta, nie doświadczenie.

- Nie wiedzą o tym?

- Brak im na to rozumu, a przywódcy strajku wprowadzili ich w histerię, tak że ci nieliczni, którzy potrafią myśleć, idą jak cieleńca. Ale jeśli będzie to nadal prawie religijna procesja, to nic się złego nie stanie. Nasz oddział to część rezerwy, którą rozstawiono po mieście na wszelki wypadek.

- Proszę powiedzieć kapitanowi, że jestem mu bardzo wdzięczna, na pewno bym nie przeszła bez waszej pomocy.

- Chyba dobrze wyrażę jego intencję, mówiąc, że to przyjemność pomóc damie, *mademoiselle*.

Zasalutował z beztrąskim wdziękiem i stanął, by jeszcze raz przeciąć tłum wracając na swój posterunek, a Lidia zadowolona, że zachowała się wedle zasad dobrego tonu, ruszyła wzdłuż kanału. Kanał Gribojedowa, nazwany tak na cześć dramaturga, był wąski i przepływał przez centrum miasta między brzegami z czerwonego granitu. Nawet latem woda trwała tu nieporuszona, niczym martwa. Teraz zwały drewnianych bali tkwiły w lodowej tafli, choć tu i ówdzie ludzie wrywali pojedyncze pnie na opał, a poszarpane brzegi lodu zamarzały ponownie.

Nieruchoma struga wody łączyła się z rzeczką, nad którą stała potężna bryła Cerkwi Krwawiącego Zbawiciela, świątyni o tradycyjnej konstrukcji, zbudowanej w miejscu, gdzie dokonano zamachu na cara Aleksandra II. Tragedia ta zdarzyła się w roku ślubu jej rodziców i Lidia zawsze uważała kościół za pechowy, zwłaszcza że jego jaskrawo pomalowane mury ostro kontrastowały z brązowymi i rudawymi ścianami domów przy tej ulicy. W połowie drogi, po tej samej stronie kanału, stał prosty budynek, bez ozdób i najwyraźniej starszy niż obszerniejsze domostwa ozdobione secesyjnymi płaskorzeźbami, postawione wokół niego. Rodzina Lidii tłoczyła się w niskich pokojach na mansardzie.

Kolia

106

Pamiętała, że kiedyś mieszkali po drugiej stronie kanału w domu z czerwonej cegły, który cały należał do nich. Sprzedali go, gdy ojciec zachorował i przenieśli się do pokojów wynajmowanych przez wdowę po jednym z byłych wspólników. Mieszkanie było bardzo źle zaprojektowane, największy pokój miał tylko jedno okno i Lidia z radością wyniosła się z niego po niecałych dwóch latach.

Idąc po schodach coraz bardziej zwalniała kroku. Niemal każde drzwi wywoływały okropne wspomnienia, przypominając jej, że to jest jej prawdziwy dom, a uporządkowany, uprzywilejowany świat baletu to tylko głupi sen. Prawdziwa Lidia to zwyczajna dziewczuszka, która zasypiała w panińskim pokoju pod tym dachem, a nie obsypywana kwieciami oszalamiająca, płasająca nimfa, dla której pisano wiersze.

Pamiętała dzień przeprowadzki, ponurą karawanę narzekających mężczyzn, którzy wnosili meble przez główne drzwi. Jej ojca, owiniętego w kołdrę, musieli wnieść na górę jak dziecko. Zapatrzył się w głąb przepastnej klatki schodowej, aż matka wykrzyknęła:

- Szura! Uwważaj, na litość boską! Zwariowałaś? Chcesz, żeby ten człowiek cię upuścił?

A gdy go delikatnie umieszczono w fotelu, wyszeptał do Lidii:

- Moja droga, następnym razem będę niesiony na dół w trumnie. Może wtedy okażę się wystarczająco nieruchomy jak na jej wymagania.

Noga za nogą przemierzyła gołe deski korytarza i zapukała do drzwi. Do framugi zardzewiała pinezką przybito pogiętą kartkę z ich nazwiskiem: Kuźmińscy. Po dłuższej chwili rozległy się kroki, drzwi się otworzyły i matka wpuściła ją do środka, mamrocząc słowa powitania.

Nie zaciekała jej wiadomość o wielkim tłumie idącym Newskim Prospektem, swym zachowaniem dawała do zrozumienia, że wizytę córki traktuje jak zło konieczne. W dusznym pomieszczeniu cuchnęło smażonym tłuszczem, lekarstwami i ohydny smrodem, bijącym od chorego na żołądek.

- A to nasz mały Dima. - Matka poprowadziła ją do mrocznego salonu, gdzie syn rozsiadł się przy piecu. - Zawsze z książką w ręku. Dima, pokaż siostrze, co teraz czytasz.

W milczeniu podniósł wzrok i pokazał jej tom. Chłopiec był chudy, a grzywka zbyt długich, jasnych włosów opadała na brwi.

Celia Brayfield

- Widzisz, to po niemiecku. Już zna niemiecki. Dziewięć-latek! Wyobrażasz sobie? Taki zdolny syn to prawdziwe błogosławieństwo. Dima będzie zbawieniem dla tej rodziny, wiem to na pewno.

Nie wstał na jej powitanie i żadna z kobiet - ani matka, ani babka, która zerwała się na jej widok - nie zwróciły mu uwagi. Chociaż w pokoju było ciepło, szyję owinał włóczkowym szalikiem, którego końce wepchnął pod kołnierz szykownego, błękitnego mundurka.

- Też byłem mądry w tym wieku. Łacina, greka. Poezja... Owidiusz, Katullus... wojny, ciągle o ich wojnach... - Szorstki głos dobiegający z drugiego kąta przy piecu rozpląnął się w szept.

Lidia zauważyła ojca dopiero, gdy się odezwał. Przygarbiony, skulony, o zabarwionej na żółto cerze, przypominał jej sierp księżyca, jego twarz pod nieporządnie wydzierganą szlafmycą wyglądała jak trupia czaszka.

- Niech już zamilknie, przeszkadza chłopcu. - Matka jakby dla kontrastu rozrosła się niezdrowo w bezkształtny kloc; piękny niegdyś biust rozpląnął się w zwałach tłuszczu, a różowe policzki przypominały białawe poduchy. Nie zmieniła uczesania, nadal wysoko upinała włosy, ale fryzura zrobiona nieumiejętnie rozpadała się przy każdym ruchu, a z boków niechlujnie wymykały się tłuste kosmyki. Lidia pamiętała, że matka zawsze nosiła cienkie bluzki, miękkie i delikatne w dotyku, gdy przytulała do nich policzek. Teraz miała na sobie szarą koszulę o niemal męskim kroju, z luźno zwisającymi guzikami, połatana pod pachami, gdzie przetarła się od nacisku ciała.

- Mam zamiar napisać do mojego kuzyna, żeby spróbował umieścić naszego Dime w gimnazjum - ciągnęła. - To prawnik, musi znać kogo trzeba. Chłopiec winien ćwiczyć swój umysł, jego nauczyciele nie widzą, że się nudzi, nie stawiają mu dostatecznych wymagań. I powinien uciec z tego okropnego miasta, pobiegać na wsi, to by nabrał kolorów na tych wątych policzkach.

Ojciec przenosił wzrok z osoby na osobę, najwyraźniej zaniepokojony widokiem obcej twarzy.

- Dziewczyna? To dziewczyna? Po co tu. przyszła? - Gdy nikt mu nie odpowiedział, znów uciekł w swój świat pogmatwanych myśli i palcami szarpał postrzępione mankiety. - Coś pamiętam. *Passer mortuus est meae puellae, Passer deliciae*

Kolia

108

meae puellae. To po łacinie. Świetnie pamiętam. Wróbel nie żyje. Nie widziałem w tym najmniejszego sensu, ale umiem całe, jak się jest dzieckiem, trzeba się uczyć. - Zakaszłał skrzypiąc słabo niczym zdarta harmonia.

- Myśleliśmy, że tym razem nie przetrwa zimy. - Matka Lidii mówiła, jakby męża nie było w pokoju. - Co noc tak kasłał, nikomu nie dał oka zmrużyć. Biedny Dima był wykończony, kiedy rano musiał iść do szkoły, oczy miał podkrążone. Oczywiście przy tak wrażliwej cerze od razu widać uszczerbek na zdrowiu...

- A twój brat to bardzo delikatne dziecko. Musimy się bardzo o niego troszczyć. Potrzebuje wiejskiego powietrza. Byłoby zupełnie inaczej, gdybyśmy nadal mieli naszą daczę. - Babka pociągnęła Lidię do stołu nakrytego mocno wytłuszczoną, czerwoną serwetą z frędzlami. Tylko ona wcale się nie zmieniła: siwowłosa staruszka zawsze ubrana na czarno, z małymi, okrągłymi, brązowymi oczami. Mimo że ich białka nieco pożółkły, to jednak spojrzenie tryślało żywotnością. Do dekoltu sukni przypięła różową kameę, która ocierała się o pomarszczoną skórę szyi. Na broszce widniała zgrabnie wyrzeźbiona głowa Diany, bogini miała długie loki upięte w kok z półkolistą przepaską nad czołem, a na drobnych ustach błąkał się uśmiech. Była to jedyna piękna rzecz w pokoju. - Tylko dzięki łasce bożej i naszej ciągłej trosce, Dima jest nadal wśród nas. Jedno przeziębienie po drugim... Skoro już wreszcie do nas dotarłaś, napijemy się herbaty.

Do salonu wsunęła się młoda dziewczyna niosąc samowar w tak wątpliwych rękach, że jego ciężar najwyraźniej przekraczał jej siły. Podeszła do stołu z przesadną ostrożnością, a Lidii przypomniał się widziany kiedyś w cyrku mężczyzna balansujący na linie. Kiedy ustawiła parujący, srebrny imbryk, popatrzyła na panią z pytaniem w tępych spojrzeniu.

Matka Lidii skinęła i służąca wyszła równie powolnym krokiem, by wrócić za chwilę z filiżankami.

- Co się stało z Duniaszą? - zagadnęła Lidia. Spotkanie z niańką, która zajmowała się nią w dzieciństwie i służyła im lojalnie bez słowa skargi, miało być jedynym przyjemnym elementem tej wizyty.

- Pozbyliśmy się jej. - Matka podała jej filiżankę wypełnioną słabą herbatą. - Na koniec ta kobieta okazała się potworem. - Pokiwała głową.

112 *Celia Brayfield*

- Co się stało? Nic mi nie mówiliście. Nie wierzę, by stara Duniasza zrobiła coś naprawdę okropnego.
- Nas też zaskoczyła, ale nie powinniśmy jej byli ufać ani za grosz. - Babka przyłączyła się do narzekań, w jej oczach zalśniło oburzenie. - Niewiasta, która straciła własne dzieci... Powinniśmy to przewidzieć.

Lidia jak przez mgłę pamiętała przybycie Duniaszy ze stacji kolejowej; potężną kobietę o szerokich ramionach i kościstych rękach, których dotknięcie okazało się miękkie i delikatne. Rodzina jej matki kiedyś należała do grona wiejskiej szlachty, wprawdzie niezbyt bogatej, ale żyjącej na przyzwoitym poziomie; jednak skromne zasoby nie wystarczyły na przetrwanie skutków reform rolnych przeprowadzanych w ubiegłym dziesięcioleciu. Przyszły lata nieurodzaju, epidemia strasznej gorączki zabiła połowę chłopów w ich, malejącym w oczach, majątku. Duniasza straciła męża, troje dzieci oraz rodziców; przybyła do Kuźmińskich z listem od dziadka rekomendującym ją tymi słowami: „To dobra kobieta i nie mogę patrzeć, jak razem z innymi umiera z głodu”.

- Ona była taka łagodna, smażyła dla mnie ziemniaki. - Lidia szukała w pamięci mocniejszych argumentów na obronę niańki. Zaskoczyła ją gniewna reakcja matki.

- Czyżby? Wcale mnie to nie dziwi. Moim zdaniem ona zawsze była na wpół zwariowana. - Zniżyła głos do szeptu, aby nie usłyszał jej Dima, nadal czytający przy piecu. - Zdajesz sobie sprawę, że niemal zabiła twojego brata? Zostawiła dymiący piec. Wszyscy poszliśmy do kościoła. Kłęby dymu wypełniły całe mieszkanie. Mógł się zadusić. Babuszka i ja zdążyliśmy w ostatniej chwili... ledwo oddychała. Myślałam, że umrze na naszych rękach... - Kobiety przeżegnały się szybko, wymieniając spojrzenia i kiwając poważnie głowami na wspomnienie straszliwej zbrodni starej niańki.

Rozległo się sapnięcie - to ojciec podniósł się z krzesła i stał chwilę na chwiejnych nogach, po czym poszurał w stronę stołu. Nikt nie zwracał na niego uwagi, gdy z trudem chwycił i przysuwał krzesło, by wreszcie się na nim usadowić. Ponieważ nikt się nie kwapił, by nalać mu herbaty, wciągnął ze świstem powietrze i próbował coś powiedzieć, ale nie starczyło mu sił i siedział bezradny z dłońmi zaciśniętymi na brzegu stołu, zbierając się do wykonania jakiegoś ruchu.

- Ojciec chyba chciałby się napić herbaty. - Lidia starała się, aby w jej głosie nie zabrzmiał ton dezaprobaty. Na tacy

Kolia

110

stała pusta filiżanka. Matka wstała od stołu i ciężkim krokiem ruszyła do syna.

- Dima, mój drogi - położyła mu dłoń na ramieniu - chodź na herbatę.
- Wolę poczytać - odparł nie podnosząc oczu znad strony.
- Może siądziesz z nami i wypijesz choć jedną filiżankę?
- Zostaw mnie w spokoju. - Wyraz obrzydzenia malował się na pełnych, różowych wargach dziecka.
- Bardzo dobrze, mój drogi, czytaj dalej, skoro to wolisz. Wróciła do stołu i ze wzgardą napełniła ostatnią filiżankę i podała ją mężowi.

Lidia siedziała w milczeniu przyglądając się domowi, do którego miała wrócić za parę miesięcy. Na wpół obłąkane matka z babką z przesadną troską opiekowały się jej rozpuszczonym do cna bratem. Chłopiec już teraz patrzył na nią z jawną niechęcią. Ojciec całkiem zwariował i umrze nie tyle z powodu choroby, co z braku opieki.

Po raz pierwszy w życiu zdała sobie sprawę, że rodzina nigdy nie obdarzała jej prawdziwym uczuciem, tylko stwarzała takie pozory, aż pojawił się syn, ich zdaniem rzeczywiście wart serca. A nawet on nie był kochany dla niego samego; jej bliscy, do cna interesowni, traktowali okazywanie czułości jako dobrą inwestycję na przyszłość - gdy dorośnie i pójdzie do pracy, odda im wszystko z procentem.

Lidia, otoczona w szkole przez sieroty, nigdy się nad sobą nie użalała. Zubożała rodzina stanowiła tylko część jej życia, więcej jej mogło dać własne zdrowie i silne nogi. Siedząc teraz wśród nich i widząc, jak przeciwności losu zatrwały ich serca, nie współczuła im, lecz jedynie martwiła się o własną przyszłość.

Panująca w pokoju atmosfera przywodziła na myśl dom wariatów, kilka starych mebli stojących na przetartym dywanie wyglądało jak przypadkowi, nie związani ze sobą ludzie na peronie dworca kolejowego. Na brudnych ścianach jasnymi plamami odznaczały się miejsca, gdzie kiedyś wisiały obrazy, w kątach leżały zwały kurzu, których prymitywna służąca nie dostrzegała, a nikt jej nie zwrócił na nie uwagi. Dach zaciekał nad jednym z rogów, zapleśniała tapeta odchodziła płatami. Zauważyła, że ten samowar w dawnym domu był używany w kredensie; pamiętała, jak w dzieciństwie przeglądała się w lśniących srebrzyście, pękatych ściankach eleganckiego samowara, a odbicie jej twarzy zabawnie rozciągało się na

Celia Bray field

boki, gdy przesuwiała głowę w prawo i w lewo. Ten tutaj, cynowany, stał przechylony na stole - najwyraźniej nie został naprawiony po upadku - a koło uchwytów przeświecały plamy mosiądzu.

- Na Wielkanoc skończysz szkołę - zaczęła matka zmęczonym głosem, udając zainteresowanie. - I co potem?
- Zostanę członkiem zespołu Teatru Maryjskiego, będę tańczyć w baletach i operach.
- Ile ci będą płacić? - Matka zadała to pytanie z tak wielką gwałtownością, jakby je z siebie wypluła.
- Na początku sześćdziesiąt pięć rubli miesięcznie.
- Tak mało? Nie możesz dostać więcej? - Obie kobiety pochyliły się ku niej słuchając z uwagą.
- Każdy tyle dostaje przy angażu. Jeśli się awansuje w hierarchii, rośnie też pensja. Taki mają system.
- Hmm.. Aha... Cóż, sądziłam, że będzie więcej. Podobno jesteś dobra, co? Tak napisali w liście. - Matka chrząknęła z niechęcią i Lidia niemal czytała w jej myślach, jak już planuje wydawanie tej skromnej kwoty. - I pewnie będziemy musieli dla ciebie wyrzucić dziewczynę z jej pokoju.
- Może spać w korytarzu - babka chciała, żeby Lidia mimo wszystko poczuła się serdecznie przyjęta.
- I w maju mam debiutować w *Paquicie*. Od was zależy, czy chcecie pójść, ale dyrektor może wam załatwić bilety.
- Lidia próbowała ich zniechęcić do pójścia na przedstawienie, ale niepotrzebnie się martwiła.
- Nie chodzimy na balety! - wykrzyknęła matka z odrazą.
- Cóż to za pomysł! Uważasz nas za milionerów, którzy poza strojeniem się nie mają nic lepszego do roboty? Nawet gdybyśmy mieli pieniądze, to i tak byśmy ich nie wydawali na rozrywki. Twój ojciec zawsze powtarzał, że człowiek interesów winien się zajmować ich prowadzeniem, a nie marnować czas na kupowanie obrazów i utrzymywanie muzykantów, którzy tylko piją i naśmiewają się z niego za jego plecami. I co z Dimą? Biedaczek by się tam zamęczył.

Serce Lidii ścisnęło się na pełne pogardy słowa matki. Chciało jej się płakać, ale przyzwyczajona do obelg siedziała w milczeniu i próbowała się uspokoić wsłuchując się we własny oddech. W głowie brzmiały jej zdania jednego z pedagogów, powtarzanie zasad wpojonych w szkole przyniosło jej ukojenie: „Nie oddychaj brzuchem, bo będziesz stała sapiąc jak parowóz, oddychaj niewidocznie dolną partią pleców”

Kolia

112

- niemal czuła na żebrach ucisk ciepłej dłoni nauczyciela. Po chwili wewnętrzna pustka zamknęła się niczym otwór w lodzie zarastający nową, cienką taflą.

Służąca stanęła w drzwiach pytając z wahaniem, czy ma podawać obiad. Posiłek składał się z cienkiej zupy oraz kaszy gryczanej polanej kurzym tłuszczem, tak zjełczałym, że ten smak przebijał nawet przez dużą ilość wsypanego pieprzu. Dima kapryśnie mieszał łyżką w jedzeniu, ale dorośli zjedli wszystko do cna i jak chłopci wytarli talerze chlebem.

Nikt nie wspominał o ubraniach i Lidia widząc żałosne warunki ich życia obawiała się, że nic jej nie będą mogli dać. W najlepszym wypadku mogła liczyć na starą suknię matki. Z ciężkim sercem postanowiła sama zacząć ten temat.

- Kiedy przejdę do teatru, przestanę chodzić w szkolnym mundurku - wykrztusiła. Matka obrzuciła ją nieprzyjaznym spojrzeniem; nie chciała o tym słyszeć. - Więc... - Nerwy ją zawiodły i nie potrafiła sklecić zdania.

- Chyba się nie spodziewa, że ją będziemy ubierać, kiedy widzi, że z trudem starcza nam na jedzenie. - Matka mówiła do babki tym samym ostrym, nabrzmiałym od gniewu tonem, którym zwracała się do niedołęznego męża.

- Dostanę ze szkoły stypendium: sto rubli - dodała gwałtownie Lidia. - Ale muszę kupić buty i materiał na stroje do ćwiczeń.

- Sto rubli, hmm... musi ci wystarczyć.

- Ale to za mało, nie rozumiecie? Nie mam żadnych innych ubrań, potrzebna mi cała wyprawa. - Nadludzkim wysiłkiem powstrzymywała się od krzyku.

- I po co ona nam przypomina, czego potrzebuje? Nic jej nie możemy dać, w domu nie ma ani grosza, nic do wstawienia do lombardu.

- Nie wyciśniesz krwi z kamienia - odezwał się Dima, który po raz pierwszy od chwili wejścia Lidii do mieszkania wyglądał na zadowolonego.

- I co ja mam począć? Nie mogę chodzić po ulicy w stroju do ćwiczeń.

- Jak śmiesz zawracać nam głowę swoimi kłopotami! Nie widzisz, że bez tego mamy dość zmartwień? Siedzimy tu w łachmanach, a ty chcesz nowych ubrań. Chyba zwariowałaś. - Matka wstała i Lidia natychmiast odskoczyła, pamiętając z dzieciństwa jej wieczne zdenerwowanie i to, że niemal każde zdanie przypieczętowywała wymierzeniem policzka. - Wiesz,

Celia Brayfield

że robię, co mogę. Mam parę uczennic, głupie dziewczuchy, ale jeśli rodzice płacą, żeby je wychować na damy, to co mi do tego? Lepsze to niż pranie - o, tak, i za to musiałyśmy się wcześniej brać. Ale tobie się lepiej powiedzie, będziesz zarabiała pieniądze, hmm... przynajmniej na to wygląda. Jeśli chcesz nowych ubrań, na pewno potrafisz je dla siebie zdobyć.

Babka patrząc na nisko spuszczoną głowę Lidii próbowała jej osłodzić gorzką pigułkę.

- Jeżeli mają ci płacić pensję, to może poprosz o pożyczkę, którą będą odliczać od zarobków...

- Doskonale rozwiązanie - natychmiast wtrąciła się matka. - No, to załatwione. Dadzą ci pożyczkę. Poprosz o dokładnie tyle, ile potrzebujesz, co do kopiejki i kupuj porządne rzeczy, które się nie rozleczą od razu. Znam kobietę, która znajdzie wszystko za dobrą cenę. Od niej mam tę bluzkę, nigdy byś nie uwierzyła, ile za nią zapłaciłam.

Pójdziemy razem po zakupy. I może starczy na kawałek flaneli na koszulę dla Dimy, rośnie tak szybko, że nie mogę dla niego nastarczyć.

Służąca znów wniosła samowar i wypili jeszcze po jednej filiżance herbaty. Skoro omówili wszystkie trudne sprawy, atmosfera się wyraźnie poprawiła. Lidia opowiedziała drobne ploteczki dworskie: jak caryca wyglądała w ciąży, jak jej długo wyczekiwany syn zachowywał się podczas chrztu, że wielki książę Mikołaj tak oszalał na punkcie kochanki-aktorki, że nie chce się żenić, chociaż dźwiga już piąty krzyżyk na karku, że jeden oficer próbował zabrać dla dzieci słodycze z dworskiego bankietu schowawszy je do hełmu, a potem się zapomniał i gdy włożył go na głowę, wszędzie posypały się winogrona i łakocie. Matka i babuszka pochłaniały każdą z anegdot, a w ich oczach błyszczała taka ciekawość życia wyższych sfer, że Lidię ogarnęło obrzydzenie i postanowiła wyjść wcześniej, chociaż na zewnątrz było jeszcze jasno.

Pożegnały ją z większym entuzjazmem, niż witały, a nawet wyszły na schody wykrzykiwać za nią rady na temat pożyczki.

Obok cerkwi Krwawiącego Zbawiciela znajdował się park, należący do łańcucha uroczych ogrodów, które z jednej strony dochodziły do brzegów Newy, a z drugiej do Pól Marsowych, gdzie Duniasza zabierała ją na oglądanie parad wojskowych. Po tych alejach jako dziecko biegała za kółkiem, a fantastyczne zawijasy metalowego ogrodzenia pojawiały się w jej snach

Kolia

114

jako węże. Teraz, w środku zimy, na wysokich smukłych lipach nie było ani jednego liścia, a na ścieżkach żywego ducha. Tylko kilka najwytrwalszych wróbli skakało z gałązki na gałązkę, a strząśnięte przez nie obłoczki śniegu migotały w lodowatym powietrzu.

Gdy szła przez park, by się uspokoić, z oddali dobiegł stłumiony huk, jakby równocześnie wystrzeliły setki korków od szampana. Dźwięk wydał jej się znajomy, choć w pierwszej chwili nie potrafiła go nazwać. Poprzez otwartą przestrzeń z wielu kierunków doleciały echa odległych krzyków. Stała jak wryta, przypomniawszy sobie tysiące mężczyzn idących w stronę Pałacu Zimowego. Wyobraziła sobie, jak ta spokojna ciżba rzuca się do szaleńczej ucieczki ze strachu przed atakiem żołnierzy.

Na końcu ogrodu pojawił się galopujący koń bez jeźdźca, lejce i strzemiona łopotały w powietrzu, gdy nabierał szybkości na zaśnieżonym trawniku. Natychmiast udzieliło jej się przerażenie zwierzęcia, poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Zbliżał się tutaj ten tłum i zginie, jeśli znajdzie się na jego drodze! Skreśliła i na przełaj pobiegła w stronę bramy, pędziła długimi susami między drzewami, wzbijając obłoki śniegu.

Po paru krokach długa suknia owinęła się jej wokół kolan i Lidia musiała przystanąć. Krzyki się oddaliły, z dystansu dobiegał szum wielkiego tłumu, kanonada strzałów i krótkie komendy grane na trąbkach. Gdy odpłytywała zwoje materiału, dostrzegła grupę mężczyzn gnających w panice przez otwartą przestrzeń. Stała na niewielkim pagórku, skąd rozciągał się widok na okolicę. Na pobliskich skwerach tłoczył się podekscytowany, szary tłum; w gęstwinie nie potrafiła rozróżnić ludzi i koni.

Desperaci znaleźli się już o kilkadziesiąt kroków od niej, w przerażeniu rozpierchając się na wszystkie strony.

Wtem zjawiał się oddział kawalerii, najeżdżali na nich z wysoko uniesionymi szablami. Ujrzała, jak jeden z mężczyzn wyrzuca ku górze ręce i leci do przodu, postrzelony przez oficera wiodącego atak. Konni wysunęli się na czoło, na śnieg popłynęła krew, gdy siekli demonstrantów.

Rozplątała wreszcie fałdy sukni i chwyciwszy ciężki materiał w ręce, co sił w nogach popędziła do bramy. Ze wszystkich stron dochodziły odgłosy walki. Przed domem rodziców zobaczyła uciekającą w dół ulicy gromadę. Pognała ku cerkwi; wprawdzie najbliższe drzwi były zamknięte, ale przecież w kruchcie będzie bezpieczna.

Celia Brayfield

Cieężko dysząc i opierając się o ścianę, dobrnęła do następnych wrót. Demonstranci biegli po drugiej stronie kanału, jak najdalej od Newskiego Prospektu. Widziała ich wyraźnie - młodzieńcy w studenckich czapkach, staruszkowie z trudem dotrzymujący im kroku; pop z gołą głową i potarganymi, długimi włosami ciągnął za kołnierz małego chłopca. Gdy się zbliżyli, zrozumiała, że znaleźli się tam zwykli ludzie wchłonięci przez tłum. Na końcu uciekały dwie młode kobiety w modnych, obszytych futrem płaszczach, które podobnie jak ona walczyły z fałdami długich sukien i desperacko wlokły za sobą krzyczące dziecko - za duże by je nieść, za małe, by umiało szybko biegać. Grupa robotników skręciła w boczną uliczkę, by wrócić za moment z przerażeniem na twarzach, bo pędziło za nimi przynajmniej pięćdziesięciu konnych żołnierzy - wpadli z boku prosto w ogarnięty paniką tłum. Ostatnich paru ludzi mimo wszystko zawróciło Potężnie zbudowany mężczyzna w nałożonym na palto kowalskim fartuchu chwycił dziecko z rąk jednej z eleganek i popędził do przodu. Z ciżby wypchnięto człowieka, który przeleciał ponad ogrodzeniem i padł na skutny lodem kanał; język wyprysnął groteskowo przez rozciętą szyję z widocznymi wewnętrznymi organami.

Następne drzwi również były zamknięte. Duchowni przezornie zabarykadowali się od środka. Lidia wcisnęła się pod portal i aż do bólu waliła pięściami w deski wrót. Z tej odległości nie widziała Prospektu, ale sądząc po rzeszy napływającej wzdłuż brzegów kanału, toczyła się tam zaciekle walka. W parku pojawił się kolejny oddział, ale jeźdźcy jej nie zauważyli pędząc w dół ulicy, by zaatakować demonstrantów.

Na skwerze, tak cichym jeszcze przed kilkoma minutami, odbywały się dantejskie sceny. Plamy krwi poznały biel śniegu. We wszystkich kierunkach pierzchały setki mężczyzn, potykając się o ciała towarzyszy. Żołnierze, których barwne mundury widziała mimo zapadającego zmierzchu, ścigali ich zwartymi grupami. Jeden z huzarów wjechał do sadzawki, kopyta konia ślizgały się po lodzie, gdy siekł szablą po nogach dwóch chłopców, którzy wspięli się na fontannę.

Paru staruszków umęczonych ucieczką, uklękło przy ciałach i krzycząc: „Śmierć carowi! Śmierć mordercom!” czekało z wzniesionymi ku górze oczami na ciosy kawalerii. Ktoś konając padł na ławkę z szeroko rozrzuconymi na boki rękami i tak leżał, jakby się opalał. Jedno z ramion opadło

Kolia

116

bardzo nisko, niemal zupełnie odrąbane. Z każdą chwilą pojawiała się coraz więcej żołnierzy, galopujących od Pól Marsowych.

- Wpuście mnie! Na litość boską! Wpuście! Przecież jesteście sługami bożymi! Tutaj zabijają ludzi! Ratunku! - Lidia nie zdawała sobie sprawy, że krzyczy, całą dłoń miała posiniaczoną od bezskutecznego walenia w zamknięte drzwi. Gdyby tylko mogła odwrócić wzrok od krwawej jatki, nie patrzeć, jak ludzie są szlachtowani niczym zwierzęta w rzeźni.

Tuż za sobą usłyszała tętent kopyt końskich. Zamknęła oczy modląc się o szybką śmierć, by nie zostać zdeptaną przez tłuszcze, wgniecioną w śnieg. Wtem ujęły ją silne ręce i oderwały od drzwi. Wrzasnęła, gdy unosiły ją w powietrze. Jej nogi obijały się o coś boleśnie, z policzka zdarła skórę.

- *Mademoiselle*, proszę się nie bać, wszystko już dobrze, jesteś bezpieczna, znalazłem cię. - Całym jej ciałem wstrząsały okropne, gwałtowne podrzuty. Talia została niemal zmiażdżona. Znow usłyszała męski głos, mówiący po francusku.

- Proszę nie krzyczeć. Błagam. Ten koń nie znosi krzyku kobiet. O, tak, chwyć mnie tu za szyję... - Jej lewe ramię zostało pociągnięte do góry. Czowała przy sobie jego tors, ramię, kołnierz, sprzączki i paski, a pod prawą dłonią zmierzwił włosy końskiej grzywy. Zacisnęła na sierści skostniałe palce.

- Dobrze, trzymaj się mocno. I na miłość boską, nie krzycz. Ruszamy, niedługo będziesz w domu.

Wierzchowiec ruszył galopem, a rzucał nią tak gwałtownie, że z całych sił musiała się trzymać swego wybawiciela. Obok słyszała innych jeźdźców. Woń spoconej skóry zwierzęcia podziałała na nią uspokajająco, a od mężczyzny płynął zapach dobrej wody kolońskiej, w tak straszliwym momencie wręcz absurdalny aromat, przywodzący na myśl eleganckie salony.

Szybko oswoiła się z ruchami konia i odważyła się otworzyć oczy. Rumak był czarny; właśnie przecinali placyk. Rozpoznała pomnik Puszkina. Z obu stron cwałowali gwardziści. Skierowali się ku pałacowi w rogu placu. Odgłosy walki cichły coraz bardziej.

- Jedziemy w stronę Fontanki - mężczyzna szeptał prosto w jej ucho i czuła drapanie wąsów na policzku. - Przejeżdżaliśmy wcześniej tą drogą, wtedy było tu spokojnie, jeśli szczęście nam dopisze, to zostawimy cię na tyłach ulicy Teatralnej.

Koń odskoczył w bok, by ominąć zwłoki leżące na środku

Celia Brayfield

ulicy. Lidia niemal straciła równowagę i aż się zachłysnęła ze strachu.

- Nie bój się, ja zawsze mam szczęście - ciągnął miłym tonem, jakby tańczyli na balu. - W kartach, w życiu... może i w miłości, co? Jak pani sądzi, *mademoiselle*?

- Na miłość boską, niech pan nie żartuje. Tu wszędzie zabijają ludzi. Jak można w ten sposób mówić?

- Proszę o wybaczenie. Nie chciałem pani dotknąć. To straszne, wręcz tragiczne, ale daleko temu do mandzurskiego frontu. - Utrzymał lekki ton i nie mogła stwierdzić, czy ma do czynienia z doświadczonym żołnierzem czy z osobą pozującą na cynika. - I nie chce pani wiedzieć, skąd wiem, gdzie pani mieszka?

- Myślałam... - Była tak wstrząśnięta, że nie potrafiła logicznie myśleć. - Chyba każdy zna mundurki szkoły teatralnej?

- Rzeczywiście, choć, jeśli pani przyzwoli na prawienie komplementów w tych okolicznościach, rzadko kiedy ten strój jest noszony z taką elegancją. I mundur nie świadczy o wszystkim. O właśnie, pani też nie rozpoznaje naszych, prawda?

Ponieważ mocno przyciskał ją do siebie, a i ona trzymała się go z całych sił, więc nie potrafiła dobrze rozróżnić szczegółów. Szorstka, ciemnozielona kurtka polowa drapała ją w policzek; widziała kołnierz z koroną i szaroniebieskim paskiem ze złotą lamówką oraz odznakę oddziału, która nic jej nie mówiła.

- No, chyba pani rozpoznaje mojego chorążego? Kto panią eskortował przez ulicę dziś rano?

Młodzieniec, jadący z nimi strzemię w strzemię, zsalutował, słysząc, że o nim rozmawiają.

- O mój Boże! To pan stał przez teatrem, kiedy wychodziłam!

Gdy dotarli do Fontanki, dwóch gwardzistów dostało rozkaz sprawdzenia sytuacji na brzegu.

- Wszystko w porządku! - zakrzyknęli natychmiast. Oficer zatrzymał konia na rogu, a wierzchowiec od razu zaczął tańczyć po chodniku.

- Przepraszam - powiedział przekładając wodze do drugiej ręki i, skierowawszy rumaka w ulicę, spiał go ostrogami.

- Tak, to prawda. To moje serce złamałaś, gdy dumnie uniosłaś nosek do góry i nie zechciałaś mnie przywitać.

- Och, cóż za nonsens!

Kolia

121

- Byłem niepokieszony.

- Raczej znudzony. - Zezłościła się nie tylko na wybawiciela i jego wielkoświatową pozę, ale również na siebie samą, zaś przede wszystkim na przewrotny los. Gdy wyobrażała sobie spotkanie z oficerem gwardii, nie o takich okolicznościach marzyła, i to ona miała odzywać się lekko, przekornie. Od ucisku łęku siodła i gwałtownych podrzutów kłusującego nierówno konia, bolały ją wszystkie kości.

- Hmm, może i ma pani rację. Ale widząc tumult na Prospekcie, uznałem, że ze względu na damę, która tak elegancko wygląda w szkolnym uniformie, muszę się przed nią znaleźć na moście Gribojedowa. Żałuję tylko, że tak panią przestraszyliśmy.

- Och, ale przecież uratował mi pan życie. Jestem wdzięczna... Naprawdę... - Lidia nigdy wcześniej nie dziękowała nikomu tak żarliwie; zbliżali się do Teatru Aleksandryjskiego i choć niemal mdlała z ulgi, jej głos brzmiał chłodno. - Och, proszę mi wierzyć, będę panu wdzięczna do grobowej deski! Och, dlaczego nie umiem tego powiedzieć?

- Cicho, proszę mieć wzgląd na mojego biednego konia. Zobaczmy, czy można jechać bezpiecznie.

Trzech czy czterech mężczyzn biegło przez most co sił w nogach. Znow dwóch gwardzistów ruszyło na rekonesans, jeden natychmiast zawrócił.

- Kapitanie, jeszcze trochę ludzi zostało na Prospekcie, ale jeśli będziemy się trzymać razem, przejedziemy bez kłopotu.

- *Mademoiselle*, po raz ostatni proszę się mocno trzymać. - Oficer wydał rozkaz i osiem koni ruszyło gwałtownie w przód, przechodząc w galop po paru krokach. Lidia dostrzegła kątem oka rozproszony tłum, zostający za nią. Wtem rumak uskoczył w bok, aby ominąć leżącego człowieka i niemal spadła z konia, ale nieznajomy trzymał ją w żelaznym uścisku ramion i tylko się nieco przechyliła. Na ulicy spoczywał rosły mężczyzna ubrany w połatane, szare palto, jeszcze żył, ruszał słabo nogami w przeorany śniegu.

Wydawało się jej, że wierzchowce zaledwie trochę zwolniły, a już skręcili w niebiańsko spokojną ulicę Teatralną i zatrzymali się przed bramą szkoły. Połowa patrolu już tam stała pilnując wejścia. Lidia krzyknęła po raz ostatni, gdy jej wybawiciel opuszczał ją na ziemię i okazało się, że jej kok całkiem się rozsypał, a loki zaplątały o guziki kurtki. Chwycił za koniec i zgrabnie je uwolnił, tłumiąc szeroki uśmiech, po

Celia Brayfield

czym zsiadł z konia i poprowadził ją do drzwi. Otwarły się natychmiast - stała w nich Warwara Iwanowna z dyrektorem u boku.

- Kuzmińskaja! Bogu dzięki, nic ci się nie stało. - Kobieta wyciągnęła długie, zimne dłonie w niezręcznym geście.

- To panu powinniśmy dziękować, kapitanie... - Dyrektor, który w szkole siał grozę, przy wysokim, przystojnym oficerze wyglądał bezradnie, wręcz śmiesznie.

- Kapitan Orłów, do usług. Mówiąc szczerze, to mamy szczęście, że przypadło nam w udziale chronienie artystów Jego Carskiej Wysokości, a nie polowanie na te zbłąkane owieczki na ulicy. Czy brakuje jeszcze kogoś?

- Trojga. Niżyński wrócił z rozplataną głową, ale ani śladu Burmana i Babcza oraz jego siostry, która była z nimi. - Dyrektorka przytuliła do siebie Lidie, która poczuła się jak bezradne dziecko. - Co się dzieje, kapitanie? Co się tam stało?

- Próbowali się przedrzeć poza barykady na placu przed pałacem; były strzały i pogoń, ale się rozproszyli i sądziliśmy, że już po wszystkim. Czekałem na rozkaz powrotu do koszar, gdy tłuszcza wróciła ciągnąc Prospektem. Jutro dowiemy się wszystkiego. Ale walki toczą się w całym mieście, zginęły setki, jeśli nie tysiące ludzi.

Mademoiselle Kuzmińskaja przeszła przez okropne wydarzenia, muszę przyznać, że z wielką odwagą. Jeśli zaś chodzi o zaginionych... Hmm, zrobimy, co w naszej mocy, ale obawiam się najgorszego. W którą stronę poszli? Nim odjechał, Lidia musiała mu podziękować raz jeszcze. Nagle owładnęło ją śmiertelne zmęczenie i gdy parę minut później przyszła po nią nauczycielka, z trudem poszła do sypialni.

Następnego dnia była sztywna jak kłoda i cała pokryta sińcami. Widziane sceny prześladowały ją tygodniami we snach. Każdej nocy budziła się zlaną zimnym potem, mając przed oczami mężczyznę w kanale albo moment, gdy żołnierz obcina głowę młodemu kowalowi, a struga krwi tryska na dziecko, które trzymał w ramionach.

Dwóch uczniów wróciło szczęśliwie, ale siostrę Babcza tłum pociągnął za sobą i zginęła bez śladu; dowódca gwardii obawiając się kolejnych zamieszek przy identyfikacji zwłok, rozkazał, by wszystkich zmarłych pogrzebano przed świtem, więc ciała tej ślicznej młodej dziewczyny nigdy nie odnaleziono.

Kolia

120

Mimo dozoru Orłowa rebelianci wdarli się do Teatru Aleksandryjskiego, mieszczącego się na końcu ulicy, ale w Maryjskim, w drugim końcu miasta, przedstawienia baletowe odbywały się bez przeszkód. »

Wacław Fomicz, Polak, kilka lat młodszy od Lidii, również dostał się między demonstrantów i Kozak rozciął mu czoło. Oboje dostali dwa dni wolne, by się wykurować, a nauczyciele przychodzili do nich na indywidualne lekcje. Na nic się one zdały, bo Wacław był wyjątkowo tępy, a Lidia dostawała ataków panicznego lęku i jej mózg zupełnie przestawał chłonać wiedzę.

Ciągle jej się zdawało, że w licznych, ciemnych załomach korytarzy dzieją się makabryczne sceny. Słyszac zwykłe, codzienne hałasy, jak stukot pulpitu orkiestry czy talerzy w kuchni, niemal wyskakiwała ze skóry. Pewnego dnia wychodząc z sali na najwyższym piętrze zamarła u szczytu schodów, bo wyobraziła sobie, jak spada na dół.

Po paru dniach praca przerażonej wyobraźni skupiła się na domu i rodzinie. Powtarzała sobie w kółko: „Oni są przeklęci. Na pewno. Wokół nich dzieją się tylko same tragedie. Zawsze. Albo ktoś z nich zgrzeszył, albo rzucono na nich urok. Taki pech nie jest normalny”.

W ciągu dnia umierała ze strachu, w nocy leżała bezsennie obawiając się koszmarów.

- Nie mogę wrócić do domu. Nie mogę. - Wreszcie pewnego wieczoru wyznała cicho Marii. - Ile razy będę szła tą ulicą, staną mi przed oczami te straszne rzeczy. A moja nieszczęsna rodzina? Gdybyś tylko zobaczyła, jak oni żyją. Nie wytrzymam. Nawet nie mogę o nich myśleć. Co ja pocznę? Gdzie się podzieję?

- Przede wszystkim przestań gadać i daj nam spać - zasy-czał głos z drugiego krańca sypialni.

- Och, zamknij się, Olga! Co noc się przewracasz i miotasz po łóżku, jakbyś miała robaki, znosimy to bez słowa, miej odrobinę serca dla biednej Lidii. - Maria wstała i niczym pielęgniarzka poprawiła poduszkę przyjaciółki, otuliła ją kołdrą. - Och, ty płaczesz, moje biedactwo. Musisz spać, bo zostanie z ciebie sam cień. - Odsunęła trochę okiennice, by wpuścić odrobinę światła i szukała czegoś na stole. - O, tu jest mój zeszyt do matematyki, włóż go pod poduszkę, to głowę wypełni ci algebra i nie starczy w niej miejsca na złe sny.

- Chcesz zamienić jeden koszmar na drugi? - Lidia próbowała zażartować.

Celta Bray field

- Wszyscy wiedzą, że włożenie książki pod poduszkę pomaga przy powtarzaniu lekcji. Nie martw się, moja droga... Zastanawiałam się, czy byś nie chciała zamieszkać z nami? Moja siostra na pewno się zgodzi. Mam z nią porozmawiać?

- Och, Mario! Jesteś dla mnie taka dobra! Wcale na to nie zasługuję!

- Oczywiście, że zasługujesz, kiedyś będziesz sławna. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. A teraz zamknij oczy i spróbuj zasnąć.

I Lidia złożyła głowę na poduszce zroszonej łzami, a zamęt panujący w jej głowie wreszcie ucichł.

W ciągu następnych paru tygodni pozostałe troski w cudowny sposób same się rozwiązały. Siostra Marii zgodziła się wynająć jej pokój u siebie za niewygórowaną opłatą. Lidia została wezwana do gabinetu dyrektora, gdzie jej powiedziano, że była tu jej babka i zostawiła dla niej małe zawiniątko. Było opakowane w gazetę, wewnątrz znalazła stare puzderko z czerwonej skóry, a w nim kameę i list: „Dziecinko! Zrobiłabym wszystko, żebyś nie cierpiała jak my. Wiesz, jak się nam układa i tylko tyle mogę dla ciebie zrobić, to mój ostatni skarb. Uroda, którą się szczyciłam za młodu, dawno zginęła, niech ten drobiazg posłuży teraz tobie”. Dalej znajdował się adres lombardu i ostrzeżenie, by nie pisać ani słowa matce.

Lidia z tak lekkim, swobodnym sercem przystąpiła do egzaminów, że zdała je na znacznie lepsze oceny, niż przewidywali nawet bardzo jej życzliwi nauczyciele. Wkrótce nadszedł pierwszy wolny ranek przeznaczony na zakupy, niosąc ze sobą cudowny przedsmak zbliżającej się wolności. Poszła razem z Marią i Tamarą Płatonówną, która umiała dobrze wykorzystać każdą kopiejkę. W lombardzie bez przekonania próbowały targować się o cenę broszki, doskonale wiedząc, że nic nie zmiękczy serca lichwiarza; w końcu jednak przyznał, że to piękny okaz i dał Lidii więcej, niż się spodziewała. Jak na skrzydłach pobiegły na żydowski rynek.

Sprzedawcy ze wszystkich stron ciągnęli je za rękawy i spódnice, próbując skłonić do obejrzenia towarów. Szklany dach osłaniający targowisko potęgował hałas - wrzawa wręcz je ogłuszyła. Tamara Płatonówną ominęła stragany, gdzie leżały porządne, choć nieciekawe ubrania codzienne i poprowadziła je do sklepiku w samym centrum tego chaosu, do wąskiej komórki aż po sam sufit wypełnionej schludnie

Kolia

125

złożonymi strojami, wyłącznie używanymi. Właściciele, para staruszków, powitała je niczym cudem odnalezione przyjaciółki i żona uwijała się po drabinie mrużąc pod nosem:

- Wiem, że gdzieś tu mam coś w sam raz dla ciebie, w twoich kolorach. Zaraz, gdzie to było? Jaki rozmiar? O, jest. A może wolałabyś coś innego? Bardziej kolorowego? W żywszych barwach?

Lidia wybrała ciemnozielony, zgrabnie uszyty kostium. Miał francuską metkę i staruszek w okamgnieniu pokrzywionymi palcami zaznaczył poprawki na ramionach i z boków. Następnie zapytała o wieczorową suknię, ignorując przyganę starszej koleżanki i nalegania Marii, żeby kupiła ciepłe palto. Kiedy przymierzyła cudowną kreację z jasnoróżowego muszlinu naszywaną lśniącymi koralikami, w kramie nagle zapadła cisza i jej towarzyszki, choć niechętnie, musiały przyznać, że wygląda bosko. Starzec podreptał do kąta i przyniósł jej pelerynkę z malinowego aksamitu, którą narzucił jej na ramiona.

- Piękna, ale za droga - powiedziała Lidia natychmiast, widząc cenę na metce przyklepionej do dziurki od guzika. Para zamieniła kilka słów w jidysz.

- Weź, zapłacisz, jak będziesz mogła - oświadczył mężczyzna. - Z twojej twarzy widać, że będziesz szczęśliwa. Kiedyś dostaniesz te śliczne rzeczy, o których marzysz i wtedy już nie będziesz kupowała u nas. No i przecież wiemy, gdzie pracujesz, prawda?

Lidia podziwiała swoje odbicie w lustrze, obracając się, żeby lepiej obejrzeć wspaniałą suknię.

- Dziękuję, jesteście dla mnie za dobrzy - pochyliła głowę z gracją, naśladowując gest Krzesińskiej, który wykonywała, gdy ktoś komplementował jej taniec.

- Jak myślicie, czy on miał rację? Naprawdę mam szczęśliwą twarz? - Zapytała pół godziny później, gdy wyostały się z zatłoczonego targowiska wspólnie niosąc jej zakupy.

- Śmieszna jesteś! Za chwilę zaczniesz wierzyć w uroki Cyganek. - Maria wsunęła pod pachę tobolek z kostiumem i ruszyły szybkim krokiem w kierunku ulicy Teatralnej. - Moja siostra powtarza, że szczęście tancerek bierze się z ich ciężkiej pracy.

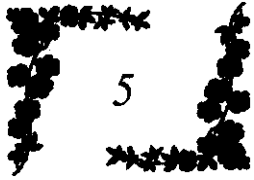
- A ty, Tamaro Płatonówna, co o tym sądzisz?

- Musisz mieć w sobie coś szczególnego, bo Minna i Samuel nikomu jeszcze tak nie zaufali. - Starsza koleżanka nie lubiła sprawiać innym przykrości.

Celia Brayfield

Od paru godzin słońce uparcie próbowało przedrzeć się przez gęste chmury i wreszcie kilka promieni zabłysło nad Newskim Prospektem. Na szerokich chodnikach tłoczyli się ludzie goniący za swoimi sprawami, ulica pękała w szwach od pojazdów. Tu i ówdzie śnieg już się roztopił na kamiennej kostce. W powietrzu pachniało wiosną. Lidia próbowała sobie przypomnieć wygląd tego miejsca w dniu masakry, ale wspomnienia już zbladły i zatarły się makabryczne szczegóły, które dręczyły ją jeszcze parę tygodni temu.

- Jestem taka szczęśliwa - odezwała się nagle. - Urodziłam się pod szczęśliwą gwiazdą! Czuję to. Byłam w rozpacz i wtem wszystko się odmieniło! Och, pobiegłabym z radości, ale za dużo tu ludzi! - Objęła ramionami Tati i ucałowała ją, potem zwróciła się do Marii. - Dziękuję wam za to, że jesteście moimi przyjaciółkami. Za to, że poszłyście ze mną na zakupy! Nigdy więcej szkoły! Nigdy więcej ropuch! Wszystko ułoży się nam wspaniale. Wiem to i już!



Londyn, 1969

Przedwczoraj otrzymałem list od Jamesa A. Templemana, zarządzającego ich kolekcją. - Hugh Berrisford przerwał, rękę zawiesił nad półmiskiem z wołowiną, którą - od krwistej po wysmażoną - podawała pokojówka. - Mieli tyle czelności, żeby przesłać listę dzieł, którymi, jak twierdzili, mogliby się zainteresować. Listę! Dacie wiarę? Sześć osób zgromadzonych wokół stołu przysłuchiwało mu się z uwagą, wszyscy gotowi dać wiarę każdemu jego słowu. Siedząca po jego prawicy Cheri Tuttlingen w uśmiechu pokazywała idealnie równe zęby. Miała pulchne, lśniące policzki, które przywodziły na myśl świeżo usmażony pączek. Przez mocno naciąganą sieć koligacji i więzów rodzinnych przyznała sobie prawo do używania nazwiska Guggenheim jako nazwiska panieńskiego, co z kolei wydawało się świetnym argumentem, żeby otworzyć galerię o rzut kamieniem od Berkeley Square, dzięki czemu mogła robić zakupy pod pozorem kupowania dzieł sztuki. Znajomi z Nowego Jorku doradzili jej Hughowi Berrisfordowi - dowcipnego, czarującego typowego Anglika, choć nie tak „zakurzonego” jak większość Brytyjczyków. - Przypominało to raczej jakąś listę zakupów. Precyzyjnym ruchem nalał na talerz porcję sosu, okazując w ten sposób zgorszenie. Szkoda słów na ludzi, którzy jednym tchem śmiało mówią o sztuce i handlu. Uśmiech Cheri nieco przygasł.

- Gliniane figurki z fryzu w Civitalba, przedstawiające interwencję Apolla w napaści na Delfy z około 190 r. n.e.
Marmurowe figury z pergamońskiego akropolu z drugiego wieku przed Chrystusem albo ich rzymskie kopie.
Etruskie *vazy figure rose* z czwartego stulecia, przedstawiające Rzymian walczących z barbarzyńcami...

Celia Brayfield

Hugh umilkł, dając gościom czas na przetrawienie tej informacji. U boku OHvii siedział mąż Cheri, którego w „Fortune” zaliczono do grupy dziesięciu najbardziej dynamicznych biznesmenów świata. Kiedy przepuszczał ją w wejściu do jadalni, lekkim ruchem przeciągnęła po jego kroczu i teraz, zadowolona z prawdopodobnych rozmiarów jego członka, chciała się tylko przekonać, czy stwierdzenia „Fortune” są prawdziwe. Donald Tuttligen zbił majątek na transporcie, podwoił go inwestując w hotele, część stracił w Hollywood! Siedział nachylony, chłonąc godne pozazdroszczenia szczegóły życia Berrisfordów i rozkoszując się pełnym oczekiwania dreszczem w łądźwiach. Jeśli kupowanie obrazów ma uszczęśliwić jego żonę, może ich sobie nakupować do woli.

- Często dostajesz takie listy?

Lovat jadł szybko, marszcząc brwi w skupieniu i słuchając każdego słowa teścia.

- Na szczęście nie. Klienci często proszą, żebyśmy poszukali dzieł, na których szczególnie im zależy, ale to było coś zupełnie innego. Chodziło o konkretne dzieła, zwykle powszechnie znane, większość z nich znajduje się w prywatnych rękach... nie pachniało to najładniej.

Wśród gości przebiegł szmer rozbawienia, świadczący o ich aprobacie.

- I jak z tym sobie poradziłeś? - przynaglił go Lovat.

- No, cóż, znam starego Templemana od lat; zrobił pieniądze na ropie i stocznjach, ale przede wszystkim na ropie. Sprzedałem mu kiedyś kilka obrazów do jego mieszkania na Manhattanie: Rubens, prawie pewne, choć nie do końca udokumentowane Rembrandty. Zadzwoiłem i powiedziałem, że gdybym kiedykolwiek słyszał, że aktualnemu właścicielowi znudził się fryz z Civitalba albo marmury z Pergamonu, natychmiast dam mu znać. Dodałem też, że na razie nie prześlę jego liściku do mojego przyjaciela, inspektora Suttona z wydziału do spraw nielegalnego handlu dziełami sztuki, gdyż boję się, że ten mógłby uciąć sobie pogawędkę z kumplami z FBI, którzy z kolei mogliby nie wytrzymać i zrobić na Templemana obławę.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Ostatnim pomysłem OHvii było wyłożenie ścian lśniącościami, miedzianymi płytami. Odbijały się w nich, zniekształcone niczym w gabinecie krzywych luster, sylwetki gości, nabierając przy tym koloru etruskich waz *figure rose*. Bianka uważała ten pomysł za wyjątkowo obrzyd-

Kolia

126

liwy. Tego wieczoru wydawało jej się, że zmarnowała pół życia siedząc za długim, mahoniowym stołem i przysłuchując się, jak ojciec urabia sobie przyszłych kupców.

- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem. To znaczy, że prosił o konkretne przedmioty, choć nie były one dostępne na rynku?

Lovat niedawno przekonał się, jak wiele można się dowiedzieć, zadając bezpośrednie, naiwne pytania, najlepiej z lekkim, północnym akcentem. W ten sposób szybko i bez trudu otrzymywał się informacje, zyskując sobie przy tym przyjaciela. Hughowi pochlebiało zainteresowanie, jakie zięć okazywał jego pracy. Po latach pogardy ze strony córek stanowiło to balsam dla jego duszy.

- I prawdopodobnie nigdy się na nim nie pojawiają, drogi chłopcze. Oczywiście, w świecie sztuki nie wszystko polega na jej czystym i słodkim umiłowaniu. Przypuszczam jednak, że raczej nie stoją za tym poczciwi, starzy dorobkiewicz, ale jacyś młodzi, arogancy kuratorzy z Kalifornii. Często się zdarza, że pozbawieni skrupułów kolekcjonerzy wykazują zainteresowanie cennymi dziełami sztuki, które - o czym oni doskonale wiedzą - znajdują się w muzeach. Tak naprawdę szukają kogoś, kto by je dla nich zwędził.

- Niesamowite! Cóż za obrzydliwy brak moralności u tych ludzi! - zawołała Lee McGrath.

Przez „tych ludzi” rozumiała wszystkich Amerykanów. Lee McGrath, urodzona w Nowym Jorku dziennikarka, doszła do perfekcji w typowo angielskiej sztuce wyrażania swoich opinii w taki sposób, że osoba, do której pisała, nawet się nie zorientowała, że to o niej mowa. „Guardian” płacił jej okrągłą sumkę za to, że w swoim cotygodniowym artykule z cyklu „Patrząc z drugiej strony stawu” kalęła własne gniazdo. Ósmy gość, jej o dwadzieścia lat młodszy kochanek, Remi Ogunsoye, jak utrzymywał, starał się o uzyskanie z Rady do spraw Sztuki pieniędzy na pierwszy londyński festiwal filmów zachodnioafrykańskich.

- Jak sądzisz, czy środowisko handlarzy dzieł sztuki jest bardziej skorumpowane niż inne? - włączył się znowu Lovat, dając w ten sposób Hughowi okazję podkreślenia własnej uczciwości przy równoczesnym ostrzeżeniu przyszłego klienta przed chciwością konkurencyjnych firm.

Po roku przynależności do rodziny Berrisfordów Lovat stał się doświadczonym uczestnikiem tego typu spotkań - eleganckich, nowoczesnych, a zarazem przyjacielskich. Okreś-

Celia Brayfield

łał je mianem miłych rodzinnych kolacyjek. Bianka nazywała je weselami mafiozów.

- Cóż ci mogę odpowiedzieć? Każdy uważa, że w jego basenie pływa więcej rekinów niż u sąsiada... Ojciec mawiał, że nie istnieje coś takiego jak uczciwy handlarz dzieł sztuki, ale jako malarz był uprzedzony. Oczywiście, nie jest to spisek bogaczy, ale mimo to trzeba zachować czujność. Rzecz w tym, że to rzeczywiście bardzo wąskie środowisko, wszyscy się znamy, każdy ma swoją specjalność i zna wszystkie ważniejsze dzieła. W ten sposób rodzi się swoista etyka zawodowa złodziei. Musimy do pewnego stopnia na sobie polegać.

Hugh uśmiechnął się do gości, zadowolony, że udało mu się połączyć prawość z tradycją.

- A co u ciebie, Lovat? Jak leci?

- Źle - odparł jego zięć. Żadnych usprawiedliwień, pogardliwego wzruszenia ramionami, uśmiechu ani goryczy.

- Czyli żadnych zamówień?

- Tak, od tego pierwszego nic. I szczerze mówiąc, zastanawiam się, czy w ogóle da się gdzieś to wystawić. Za duże. Jestem rzeźbiarzem - wyjaśnił Cheri. - Robię lampy, szklane tuby, świecące różnymi kolorami. Ostatnia moja praca mierzyła prawie sześć metrów, a ta, nad którą teraz pracuję, będzie równie długa. Zainteresowało się nimi kilka galerii, ale nie mają miejsca.

- A nie możesz zrobić czegoś mniejszego?

Cheri posłała mu promienny uśmiech i założyła za ucho kosmyk jasnych włosów.

- Przeciwnie, chciałbym zrobić coś jeszcze większego. Moim marzeniem jest stworzenie rzeźby, która mogłaby stać na otwartym powietrzu. Ideałem byłoby zrobienie czegoś pięknego, co dawałoby ludziom radość, odrywało od trosk codziennego dnia. Moje prace potrzebują przestrzeni, nie mogą być ograniczane przez ściany budynków.

- Aha, rozumiem, czyli muszą być duże, już załapałam. Odchyliła się, żeby służąca mogła zebrać talerze. W jadalni wisiał tylko jeden obraz - portret kobiety w sukni w stylu *empire*. Mogłaby to być cesarzowa Józefina, a obraz mógłby wyjść spod ręki Pierre'a-Paula Prud'hona. Hugh wybrał ten obraz częściowo po to, żeby sprawdzać stopień znajomości sztuki swych gości, po części zaś dlatego, że unosiła się wokół niego delikatna aura zmysłowości i przyczyniał się do ogólnego wrażenia zamożności mieszkania, a w końcu dlatego, że udało

Kolia

128

mu się dość tanio go kupić. Portretu tego nie powstydziliby się żadne muzeum, każde pociągnięcie pędzla, każda fałdka muślinowej sukni, blask rudych włosów świadczyły o mistrzostwie twórcy. Goście często nie potrafili się oprzeć pokusie i dotykali dołka w policzku kobiety. Leżała wyciągnięta na lwiej skórze, udając, że nie zdaje sobie sprawy, że lada chwila miodowozłota pierś może wychynąć zza opiętego stanika.

Jadalnia nie była duża. Portret wisiał nad rzeźbionym kominkiem z lipowego drewna, który lśnił dzięki ostrożnemu wcieraniu weń oliwki. Kandelabry z epoki króla Jerzego III rzuciły ciepły blask na jabłka, winogrona i owoce granatu w niczym nie zdradzając, że to tylko atrapa. Ciemnozielone zasłony zostały starannie ułożone w równe zakładki. Z porcelanowej chińskiej wazy unosił się zapach goździków i lawendy. Cheri Tuttlingen przez chwilę miała wrażenie, że za oknami słyszy stukot końskich podków. Spożywanie posiłku na parterze, tak blisko ziemi przynosiło jej dziwne ukojenie - w Nowym Jorku wszystkie ważniejsze sprawy załatwiano się co najmniej na wysokości dwudziestego siódmego piętra, chyba że zaliczyć do nich wsiadanie do samochodu. Postanowiła, że nigdy więcej nie chce patrzeć na zapaćkaną ścianę w stylu Marka Rothko, a na samą myśl o Kandinskim robiło jej się niedobrze.

- Bianka też jest rzeźbiarką - ciągnął Lovat, uśmiechając się do żony zza ustawionego na środku stołu niewielkiego wazonu z dziesięcioma tulipanami, przyciętymi na wysokości dziesięciu centymetrów. Olivia lubiła ustawiać w domu modne, agresywne kompozycje z kwiatów, które miały podkreślić eklektyczny charakter wnętrza. - Ogromnie dużo pracuje. Za kilka tygodni będzie miała pierwszą wystawę.

Bianka automatycznie spuściła wzrok. Nie lubiła, kiedy Lovat publicznie wychwalał ją i jej pracę.

- Ogromnie interesujące, doprawdy. A czym się zajmujesz? BIANKA wyjaśniła w kilku słowach. Nienawidziła znajdować się w centrum uwagi.

- Ale to, co robi Lovat, jest naprawdę o wiele bardziej interesujące - zakończyła.

Cheri dostrzegła pełne uwielbienia spojrzenie, które towarzyszyło temu stwierdzeniu.

- Nie bądź niemądra, kochanie - powiedział Lovat. - Ona siebie w ogóle nie docenia.

Celia Bray field

- A może mogłabym rzucić okiem na wasze prace, wpaść kiedyś do waszej pracowni?

Cheri szybko uporowała się ze swoją porcją sufletu Grand Marnier nie próbując nawet jednego kęsa.

- Serdecznie zapraszamy.

Lovat skosztował wina Sauternes, zapamiętując tę markę na przyszłość. Przypomniawszy sobie, że taki napój można nazwać rozkoszą dla podniebienia.

- Bianka ma atelier w domu, możesz tam zajrzeć najpierw, a potem zaprowadziłaby cię do mojej pracowni, to dwa kroki stamtąd: wynajęłam pomieszczenie w podziemiach metra. Czuję się prawie jak Gustaw Dore, szczególnie zimą. Mieszkamy w Notting Hill Gate, tuż obok parku.

Znowu spojrzawszy na żonę. Widział mocno zaciśnięte palce lewej dłoni spoczywającej przy talerzu. Marzył, żeby móc wyciągnąć rękę, musnąć je. Bianka miała na sobie ciemnobrązową suknię z wysokim kołnierzem i długimi, wąskimi mankietami. W blasku świec rysy jej twarzy wydawały się jeszcze delikatniejsze. Z wilgotnymi oczami i krótką fryzurką wyglądała jak chłopiec z portretów Botticellego. Lovatowi serce topniało z miłości i równocześnie wiedział, że gdyby Bianki nie było w pobliżu, zżerałby go strach przed tymi ludźmi - o tyle bogatszymi, inteligentniejszymi i bardziej wpływowymi niż on.

Dla niego bowiem pierwszy rok małżeństwa stanowił serię gwałtownych skoków od rajów ich życia we dwoje do piekła wspólnego bywania w świecie.

Okazało się nagle, że są straszliwie samotni. Tłum beztruskich znajomych z college'u się rozproszył. Spośród przyjaciół Lovata w Londynie został jedynie Joe, który pracował w dużej grupie projektantów w okolicach King's Cross. Odwiedzał ich raz w tygodniu, ale przyjacielska, uprzejma pogawędka przy kolacji w niczym nie przypominała niegdysiejszych, długich wieczorów w pubie. Oprócz niego stałym gościem Lovata i Bianki była Shona Crawford-Pitt, która przychodziła regularnie, jakby składała wizytę w szpitalu. Choć miło się z nią rozmawiało i choć okazywała zainteresowanie ich pracą, Bianka nadal uważała, że przyjaźń Shony nie jest bezinteresowna i nie potrafiła jej polubić.

Oboje usiłowali znaleźć kupców na swoje prace, całe dni spędzali w swoich pracowniach. Żadne nie przyznawało się, że czuje się samotne, ukrywali też przed sobą długie okresy

Kolia

133

pustki, braku jakichkolwiek pomysłów wartych realizowania. Bianka tęskniła za siostrą, która na rok wyjechała do Indii. Lovat tryskał optymizmem i powtarzał, że wszystko będzie dobrze, co sprawiało, że czuła się jeszcze gorzej.

- Jak sądzisz, wpadnie do nas? - spytał, kiedy wracali z przyjęcia ich nowym ciemnoniebieskim MGB GT.

Była listopadowa noc, padała niewidoczna, marznąca mżawka.

- Oczywiście, że tak.

Bianka ziewnęła i potargała mu włosy.

- Skąd wiesz?

- Znam ten typ ludzi. Kupują różne rzeczy, żeby w ten sposób osiąść to, co one dla nich przedstawiają. Cheri kupi od ojca płótna starych mistrzów, sądząc, że dzięki temu zdobędzie ciągłość, tradycję, te rzeczy. Kupi też coś od nas, bo jesteśmy młodzi i zakochani.

Zapadła cisza. Te rzucane od niechcienia uwagi i spostrzeżenia stanowiły dla Lovata dowód, że Bianka stanowi część owego wytwornego światka wielkiego miasta, do którego on nigdy nie wejdzie.

- Kochasz mnie? - spytał niespodziewanie.

- Ciągle o to pytasz.

Zwinęła się w kłębek i oparła mu głowę na ramieniu. Zmieniając bieg, czule pogładził ją po kolanie.

- Bo mnie to nie przestaje zdumiewać. Co ty we mnie widzisz?

- Wszystko. Jesteś prawdziwy, to w tobie najbardziej kocham. W niczym nie przypominasz tych pustych, nadętych bufonów. Jesteś uczciwy, patrzysz na wszystko z prostotą, nie robisz ze swego życia zabawki i to, co się wokół ciebie dzieje, nie staje się materiałem na dowcipną historyjkę, którą będzie można wykorzystać w czasie jakiegoś przyjęcia.

- Nie powiedziałaś, że mnie kochasz.

- Kocham cię - wyszeptała mu do ucha i wsunęła rękę pod rozpiętą koszulę.

Lovat stracił panowanie nad kierownicą i skręcając w Ful-ham Road omal nie wpadł w poślizg na oblodzonej drodze.

- Kochasz moje ciało, a to coś innego.

W jego śmiechu brzmiał lekki niepokój. Nigdy nie sądził, że kobieta może być tak namiętna. Podświadomie oczekiwał, że kiedy się pobiorą, z ich współżycia zniknie żar. Tymczasem minął już rok, a oni odkrywali w sobie coraz to nowe pokłady

Celta Brayfield

głębszej, dzikszej namiętności. Bianka chciała wzmocnić poczucie własnej wartości u męża, dlatego nigdy mu nie odmawiała i dbała, aby współzycie nie stało się kolejną rutynową czynnością. Tymczasem im bardziej pragnęła jego ciała, im bardziej jego pragnienia stawały się potrzebami, tym niepewniej czuł się Lovat.

- Niezadowolony? Pocałowała go w kark.

- Aha! Wiedziałem, że mam rację! Traktujesz mnie jak zabawkę, chłopca do łóżka, a kiedy baterie się wyczerpią, wyrzucisz mnie na śmietnik...

Dosłyszała w jego głosie nutę skargi i odsunęła się dotknięta.

- Nie do wiary, ty nie żartujesz!

- Oczywiście, że nie.

- W takim razie trzeba było się ożenić z jakąś zimną krową, którą co noc będzie bolała głowa.

- Kochanie, tylko się z tobą droczyłem. Nie znasz się na żartach?

- Dlaczego taki jesteś, Lovat?

Żeby go zachęcić do zwierzeń, położyła dłoń na jego ręce. Stracił ją pod pozorem wyłączenia radia.

- Jaki?

- Mówisz, że żartowałeś, podczas gdy mówiłeś serio.

- Daj spokój, Bianka, przesadzasz. Zgrywałem się.

Samochód zatrzymał się na czerwonym świetle przy Holland Park. Zabrakło czynności zastępczej, jaką było prowadzenie samochodu i napięcie natychmiast wzrosło. Za nimi ustawiała się kolejka samochodów. Przez pół minuty milczeli, wreszcie Bianka gwałtownie otworzyła drzwi.

- Powiem tym wszystkim ludziom w samochodach, że cię kocham. Czy wtedy mi uwierzysz?

I nim zdążył ją powstrzymać, wyskoczyła z samochodu i podbiegła do pierwszego wozu, taksówki. Kierowca opuścił szybę.

- Kocham mojego męża - poinformowała taksówkarza.

- Mazel tow - odparł z rezygnacją. Otworzyła drzwiczki taksówki.

- Kocham mojego męża - oznajmiła pasażerom, parze ludzi w średnim wieku.

- Ja też - odparła kobieta, obejmując mężczyznę. - To znaczy mojego, nie twojego.

Kolia

132

W następnym samochodzie siedziała czwórka młodzieńców popijających piwo.

- Kocham mojego męża! - krzyknęła do nich. Unieśli butelki w geście toastu.

- Kocham mojego męża! - wrzasnęła do kierowcy autobusu, który spojrzał na nią ze zmęczeniem, zastanawiając się, czy to jedna z tych wiecznie naćpanych hipisek.

Wskoczyła na tylną platformę autobusu i powtórzyła to samo konduktorze i trzem pasażerom.

- Kocham mojego męża - powiedziała młodemu mężczyźnie, chyba Arabowi, siedzącemu za kierownicą białego Mercedesa.

- Zaraz będzie zielone - ostrzegł, ale mimo to się uśmiechnął.

Rzuciła się do następnego samochodu, potem skoczyła na chodnik i biegiem wróciła do skrzyżowania, podskakując, wymachując ramionami.

- Hej, słyszycie? Kocham mojego męża! - krzyknęła na cały głos do wierzchołków drzew.

Lovat zjechał na bok, minęła ich taksówka, potem kolejne samochody. Czwórka pijaczków nacisnęła klakson, inni też trąbili, machając do nich i pokrzykując. Lovat wściekły i zażenowany siedział za kierownicą, patrząc prosto przed siebie.

Bianka radośnie otworzyła drzwiczki i wskoczyła na siedzenie. We włosach i na sukience lśniły krople deszczu.

- Widzisz, ryzykowałam życie, żeby powiedzieć całemu światu, że cię kocham. Czy teraz mi uwierzysz?

Nachyliła się, żeby go pocałować, ale się uchylił.

- Kompletnie zwariowałaś.

W głosie brzmiała w trudem hamowana wściekłość. Znowu zabłysło czerwone światło, ale Lovat nie przejmując się tym, przejechał przez skrzyżowanie.

Pieniądze, które otrzymali w prezencie ślubnym od jego rodziców i analogiczna suma, którą rodzice Bianki czuli się zobligowani dodać, wystarczyły na kupno mieszkania na parterze przy wąskiej, stromej uliczce w Notting Hill.

Dzielnicę w połowie zamieszkiwali obiecujący artyści, tacy jak Bianka i Lovat, druga zaś część mieszkań należała do rady dzielnicowej Kensington i Chelsea, która przydzielała je najuboższym. Od piętnastu lat stanowiła ona nieoficjalne londyńskie getto, jedyne miejsce, gdzie w ogłoszeniach o wynajmie mieszkań nie dodawano: „tylko dla białych”. W związku z tym czynsze

133 *Cetta Brayfield*

były niewysokie, co z kolei ostatnio przyciągnęło muzyków rockowych, awangardowych twórców undergroundu i wszelkiego rodzaju hipisów. W wypadku Bianki i Lovata, na ich decyzji o wyborze tego miejsca zaważył dosłowny i psychiczny dystans, jaki dzielił Notting Hill od Chelsea.

Mieszkanie składało się z dwóch pokoi. Pomieszczenie od strony ulicy, z modną ostatnio drewnianą podłogą, przeznaczyli na pracownię Bianki. Desek nie było już widać spod grubej warstwy gruzowiska. Za pracownią mieściła się pomalowana na biało sypialnia z niskim łóżkiem w rogu.

Kilka godzin przeleżeli obok siebie, nie dotykając się, w milczeniu zmagając się ze swoimi uczuciami.

W środku nocy Bianka usłyszała, jak Lovat przekręca się na bok, wstaje i wychodzi z pokoju. Przez krótką, straszną chwilę bała się, że mąż się ubierze, wyjdzie i ją zostawi. Wtedy w korytarzu zabłysło światło z łazienki. Uspokojona Bianka usłyszała szum spuszczonej wody i odgłos prysznic.

Wrócił, a ona poczuła niewysłowioną ulgę. Usiadł na krawędzi łóżka i w ciemnościach szukał dłonią jej twarzy.

Leżała nieruchomo, powtarzając sobie, że to on zaczął sprzeczkę i on powinien teraz przeprosić.

Łóżko zaskrzypiało, Lovat pochylił się nad Bianką. Gdy poczuła nad sobą jego silne ciało, żołądek ścisnął jej się ze strachu. Wtedy owiał ją jego oddech, ustami lekko musnął miejsce u nasady nosa, które jej siostra, Hermione, nazywała trzecim okiem. Jego wargi drżały. Oddech był nierówny. Coś skapnęło jej na policzek. Łza. Spłynęła w dół policzka, jakby to ona płakała.

Bianka uniosła ramiona i przyciągnęła Lovata do siebie. Po chwili otoczyła go nogami i pozwoliła mu się kochać - po prostu i egoistycznie. Tak bardzo chciałaby mu powiedzieć, że go kocha, ale nie mogła. Między nimi zapanowało milczenie. Miała niejasne wrażenie, że została oszukana, choć nie wiedziała jak ani przez kogo.

Rankiem w kiszkowatej kuchni długo siedzieli nad kawą. Oboje nie chcieli się jeszcze rozstawać, bolały ich świeże, nie zagojone rany.

- Cóż, chyba czas do pracy - odezwał się wreszcie Lovat.

Włożył dzinsową kurtkę, zbiegł po schodach i wyszedł na ulicę. Przed zakrętem obejrzał się i pomachał Biance, spokojny - jak lekko dotknięta zauważyła - że będzie stała w oknie, żeby odwzajemnić gest.

Kolia

137

Wrócił po godzinie. Bianka siedziała przy stole i rysowała. Jakiś czas temu przekonała się, że woli stół od sztalug. Już od tygodni nie miała żadnego ciekawego pomysłu. Teraz robiła szkic jednego ze swoich starych odlewów dłoni, szukając nowych sposobów oddania ruchu stawów. Lovat bezszelestnie wsunął się do mieszkania, stanął za jej plecami i położył na kartce długą, żółtą różę.

- Możesz przerwać? - spytał chrapliwie. Kręcił się niespokojnie, jakby nie mógł sobie poradzić z miotającymi nim uczuciami. - Nie mogę się skupić. Może byśmy poszli na spacer albo co?

- Gdzie chcesz pójść?

- Nie wiem, ty zdecyduj. Po prostu chcę być z tobą.

- Wiem.

Wstała, przytuliła go, dziwiąc się w duchu, jak nieporadny może być mężczyzna.

- Zróbmy sobie wycieczkę na zachód, młodzieńcze. Wyszli razem, Lovat obejmował ją ramieniem. Koło południa dotarli daleko poza Shepherd's Bush, do dzielnicy, gdzie stały niszczone wiktoriańskie domy i upstrzone przez muchy podmiejskie sklepiki. Wreszcie znaleźli się w parku z obowiązkowym chińskim mostkiem nad stawem, po którym pływały kaczki. Za sadzawką widać było błotniste boiska. Zimny wiatr dmuchał im w twarz, kiedy szli alejkami wzdłuż rzędów nagich drzew.

Plac zabaw stanowił dopełnienie sielskiego obrazka. Kilka kobiet okutanych w zimowe płaszcze i szaliki stało w grupce, rozprawiając, podczas gdy ich pociechy bawiły się na karuzeli. Jedna z matek stała na uboczu. Jedną ręką kołysała lśniący, nowy wózek. W drugiej trzymała smycz z czarnym kundlem na końcu.

- Zupełnie inny świat, prawda? - odezwał się pierwszy raz od półgodziny Lovat. Ręce schował głęboko w kieszeniach.

- Przypuszczam, że tak właśnie naprawdę wygląda świat. My żyjemy w jakiejś nierealnej otoczce, niczym bańka mydlana.

Podkuliła zmarznięte palce stóp.

- Gniewasz się?

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Słowo honoru.

- Możemy wrócić autobusem. Mam trochę forsy.

Celia Brayfield

Równocześnie odwrócili się i ruszyli w drogę powrotną. Jakies dwadzieścia metrów przed nimi szła kobieta z wózkiem, ubrana - swoim zdaniem elegancko - w tani czerwony płaszcz! Pies szedł posłusznie u jej nogi, z drugiej strony podskakując biegł mały chłopczyk. Kobieta przystanąła, zablokowała hamulcem wózek i wyjęła dziecko, żeby mu poprawić kocyk. Kiedy ją mijali, niemowlak wpatrzył się w nich pochmurnie, ssąc drobne paluszki. Twarz kobiety, która jeszcze niedawno musiała być młoda, rozjaśniał wyraz czułości.

- Jakież olbrzymie oczy mają dzieci. - Bianka się uśmiechnęła. Przypadkowo w tej samej chwili dziecko też się uśmiechnęło.

Czuła, że Lovat się waha, czy wypowiedzieć na głos to, o czym myśli. Wreszcie głęboko zaczerpnął tchu.

- Ty pewnie nie chciałaś mieć...? A może...?

- Ależ tak, oczywiście, że bym chciała. W sercu poczuła idiotyczne łaskotanie.

- Nigdy nie wspominałaś... Zatrzymali się i stanęli twarzami do siebie.

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

- Naprawdę byś chciała? Z ręką na sercu? Dziecko i to wszystko?

- Jasne, że tak. Może nawet dwójkę. Dłońmi ścisnął ją za ramiona.

- Ale tak od razu? Zaraz, teraz? A może...?

- Zdaje się, że to chwilę trwa. Dziewięć miesięcy, albo coś koło tego, prawda?

- Rzeczywiście? W takim razie nie możemy marnować czasu na gadanie. Trzeba wracać do domu i z kopyta brać się do roboty.

Zapomnieli o swoich ranach i trzymając się za ręce pobiegli przez park, potem czekając na autobus chichotali jak para dzieciaków, bo ludzie na przystanku przecież nie mieli pojęcia, jak ważną decyzję przed chwilą podjęli.

Bianka przestała brać pigułkę antykoncepcyjną, ale następnego dnia wydawało się im, że coś tak beztrudnie ustalonego przez parę, która tylko chciała pogodzić się po sprzeczce i uspokoić własne wątpliwości, nigdy się nie urzeczywistni. Jednak ku zdumieniu Bianki bardzo szybko się okazało, że spełniły się ich nie przemyślane obietnice. Po kilku tygodniach wiedziała, że spodziewa się dziecka. Ich życie zmieniło kierunek, oddaliło się od nich, ruszając nowym torem.

Kolia

139

- Wracam do szkoły - oświadczył pewnego wieczoru Lovat, wyraźnie oczekując, że Bianka będzie zadowolona. - Będziemy teraz prawdziwą rodziną. Musimy kupić większe mieszkanie, będę musiał zacząć pracować, przynajmniej przez jakiś czas.

Natychmiast się zorientowała, że ukrywa przed nią najważniejszą część informacji.

- A więc czego zamierzasz się uczyć?

- Pójdę do Sotheby's na kurs historii sztuki.

- I co ci to da?

- Trochę gotówki.

Wiedział już co prawda, że w Londynie pensję wypłaca się czekiem, a nie gotówką, ale chciał, żeby to zabrzmiało dramatyczniej.

- Postawmy sprawę jasno, Bianco, spodziewasz się dziecka, a ja od chwili skończenia college'u niczego nie sprzedałem. Pora zacząć myśleć poważnie.

- Nie możesz rzucić sztuki ze względu na mnie...

- Niczego nie rzucam, po prostu szukam dodatkowego źródła dochodów. Nie będę żył z tego, co mi dadzą rodzice, a ty przecież też nie chciałabyś być na utrzymaniu swoich. Nie martw się, nie przestanę być rzeźbiarzem. Ale w tej chwili po prostu nie stać nas na większe mieszkanie i dwie pracownie.

Poruszyło ją to do głębi, ale Lovat nie chciał więcej z nią na ten temat dyskutować. Zresztą po jakimś czasie jej myśli zaprzątneły inne sprawy i zapomniała o starych niepokojach. Od chwili gdy po raz pierwszy zaczęły ją uciskać dzinsy, jej życie wypełniło rozkoszne, błogie wyczekiwanie, a potem już wszystko, co służyło dobru dziecka, składało się na poczucie szczęścia.

Do tego jeszcze wieść o jej ciąży sprawiła, że rodzina wreszcie zmieniła swój stosunek do niej. Ojciec odsunął się od niej, jakby w końcu pogodził się z tym, że jest kobietą, która ma prawo do kobiecych zmartwień przekraczających jego zdolności pojmowania. Matka wyglądała na kompletnie pobitą. Posłała Biance wściekłe spojrzenie, które wyraźnie potwierdziło, że wcale nie dorosła do roli babci. Wiadomość przyjęli właściwie bez słowa, dali Lovatowi pieniądze, żeby nie zostać w tyle za jego rodzicami, którzy po raz drugi wręczyli mu kopertę, i przez kilka tygodni się nie odzywali. Wreszcie, wypracowawszy sobie właściwy stosunek do sytuacji, zamiast na kolacje zaczęli zapraszać Biankę z mężem na lunch.

Celia Brayfield

Kilka dni po tym, kiedy Bianka po raz pierwszy poczuła w łonie tajemnicze ruchy płodu, z Indii niespodziewanie wróciła Hermione. Nie schudła nawet o deko, jedyną zmianą była niemal biała grzywka. Zapisła się na kurs gotowania i codziennie odwiedzała Biankę, przynosząc zakalcowate, kluchowate „eksperymenty” i pytając, czy siostra czuje się jak Wielka Matka, wielka bogini, źródło wszelkiego życia. Znosiła też różne wahadełka i trzymając je nad rosnącym brzuchem siostry, usiłowała sprawdzić płeć dziecka.

Babka Bianki, Charlotte, poczuła się zobowiązana do pogrzebania niechęci do Lovata, w której nieprzejeźdzenie trwała od miesięcy, i bardzo szybko tych dwoje zostało parą świetnych kompanów.

- Mogę mu matkować, czego nigdy nie mogłam zrobić z twoim ojcem - wyjaśniała Bianca. - On nigdy by się nie przyznał, że coś go gnębi, podczas gdy Lovat szczerze ze mną o wszystkim rozmawia. Jest jeszcze taki młody, biedaczysko.

- Jestem młodsza od niego.

Bianka była zazdrosna, widząc, że babka darzy jej męża uczuciami tak odmiennymi od okazywanej jej pobłażliwości.

- A poza tym to ja mam urodzić dziecko, nie on.

- Jesteś kobietą, a kobiety są znacznie wytrzymalsze od mężczyzn - usłyszała w odpowiedzi.

Charlotte porzuciła swoją postawę nieopowiadania się po czyjejkolwiek stronie i robiła wokół Bianki mnóstwo szumu, wykorzystując do tego każdą okazję. Jej obecność działała na przyszłą matkę uspokajająco, a kiedy Lovat znalazł mieszkanie, to babka przejęła na siebie cały ciężar przeprowadzki i umeblowania.

- Wygląda dokładnie tak, jak powinien wyglądać prawdziwy, przytulny domek - stwierdziła, stojąc z notatnikiem wśród pudeł. - Nic nie mówisz, moja droga, czyżby ci się nie podobał?

Bianka, na którą ciążyła wpływała uspokajająco, niepewnie rozglądała się wokół.

- Nie, po prostu nie mogę się przyzwyczaić do myśli, że mamy dom, nie mieszkanie. Lovat twierdzi, że rodzina powinna mieszkać w osobnym domu. W Notting Hill nie ma małych domów i nie jest to dobra dzielnica do wychowywania dzieci, więc proszę, znowu wracamy do Chelsea.

- Lovat ma rację, dzieciom potrzebny jest ogród, gdybyście mieszkali w kamienicy, nie miałyby się gdzie wyszaleć. I bę-

Kolia

141

dziemy blisko siebie, kochanie. A poza tym, jaką świetną zabawę będziemy mieć przy urządzaniu! Sama się przekonasz.

- Gdzie to postawić, kochaniutka?

W drzwiach pojawił się tragarz z wózkiem, na którym stało pudło z jej narzędziami i gipsem.

- Och, gdzieś z tyłu, w komórce.

Bianka machnęła ręką w stronę ogrodu. Albion Street w południowo-zachodniej części Londynu stanowiło miłą okaz wiktoriańskiej zabudowy, tyle że na znacznie mniejszą skalę niż ich dawna kamienica w Notting Hill.

- Nie chcesz, żeby to zaniósł do pracowni?

Charlotte wysunęła się do przodu i spojrzała na górę, jakby szukała drogowskazu.

- Nie będę miała pracowni. Po urodzeniu dziecka nie byłoby na nią miejsca. Będę pracowała na stole kuchennym.

Narzędzia i materiał mogę przechowywać w komórce. Zresztą, przede wszystkim będę matką. Później będę miała furę czasu, żeby to nadrobić. Poza tym jestem pewna, że to doświadczenie mnie zmieni, pewnie będę chciała robić coś innego...

Bianka nie miała ochoty na nic poza czytaniem podręczników o opiece nad niemowlętami i kupowaniem wyprawki. Miała nadzieję, że dziecko stanie się idealną, nie do odparcia wymówką, dzięki której uniknie swego przeznaczenia, jakie niesło nazwisko Berrisfordów.

Usiadła na schodach, po raz pierwszy czując silny ból kręgosłupa.

- Jak się czułaś, rodząc Hugh'a, Charlotte?

- Och, to było tak dawno, ponad pięćdziesiąt lat temu, w dodatku wtedy była wojna, nie pamiętam.

Staruszka wpatrywała się w białą, marmurową półkę nad kominkiem, wyraźnie nie chciała odpowiadać. Bianka wiedziała, że nie ma sensu dalej naciskać.

Kilka tygodni później spytała O'livie o swoje narodziny.

- Och, kochanie, naprawdę nie pamiętam - padła beztraska odpowiedź. - Dali mi „głupiego jasia”, byłam kompletnie nieprzytomna.

Biankę ogarnęło uczucie głębokiego osamotnienia. Jedyne siostra mogła jej pomóc.

- Chciałabym, żeby chociaż raz zachowywały się jak na porządną rodzinę przystało - wyrzekała do Hermione. - Nie chodzi mi o to, żeby dziergały na drutach śpioszki, ani nic w tym stylu, ale parę krwistych opowieści doświadczonych

Celia Brayfield

kobiet sprawiłoby, że nie czułabym się jak pierwsza kobieta na świecie, która ma przez to przejść.

- W Indiach - powiedziała Hermione - dziecko rodzi się w domu. Zbierają się tam wszystkie kobiety ze wsi i śpiewają, a matka, babka i położna przytrzymują nogi rodzącej w górze.

- Gdybyśmy poprosiły matkę albo babkę, żeby to zrobiły, odpowiedziałyby pewnie, że nie pamiętają, którą stroną dziecko wychodzi.

Bianka gwałtownie złożyła nowe prześcieradełka i wsunęła je do szuflady w pokoju dzieciennym.

Ostatnie miesiące ciąży upłynęły jej we mgle brzemiennej szczęśliwości. Zapuściła włosy, które rosły wyjątkowo szybko, tak że po kilku miesiącach miała zgrabną fryzurkę do ramion. Krążyła po domu w spodniach i drewniakach, obejmując wystający brzuch z napiętą skórą jak najlepszego przyjaciela.

- Nie chcę rodzić tego dziecka - przyznała się siostrze z głupkowskim uśmiechem. - Tam mu jest idealnie.

- Obawiam się, że matka natura nie zgodzi się na takie pogwałcenie jej praw. Zresztą twoje chętki nic jej nie obchodzą. Zaparzyć ci herbaty z liści malin?

- A na co to jest?

- To starożytne lekarstwo przeciwko bólom porodowym. Nawet nie jest takie złe.

- Dobrze, ale najpierw cię uścisknę.

Hermione poczuła dotyk szczupłych ramion i objęły się niezręcznie, żeby nie ścisnąć brzucha Bianki.

- Wypełniasz taką wielką lukę w moim życiu, Herm. Nie wyjeżdżaj już więcej w świat, dobrze?

Dziecko urodziło się dokładnie w wyznaczonym terminie. Poród trwał pięć godzin i sprawił matce tak niewiele bólu, że położna skarżyła się, że w ogóle była niepotrzebna. Lovat, zdaje się, czuł się podobnie. Odwiózł żonę do kliniki i czekał, aż mu pokażą dziecko. Kiedy wreszcie został dopuszczony do łóżeczka, przestępował z nogi na nogę, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Chwila nie jest właściwa, ale muszę się tym z tobą podzielić - oznajmił wreszcie. - Zaproponowano mi posadę, więc... no, cóż, przyjmę ją.

- To cudownie - odparła. Nie odpoczęła jeszcze po porodzie, miała wrażenie, że patrzy na świat przez przezroczystą kurtynę, która tłumi dźwięki i przytępia uczucia. - Co to za praca?

Kolia

143

- Pamiętasz tę Amerykankę, Cheri Tuttlingen? Będę kierował jej galerią. Specjalizacja to dwudziestowieczna rzeźba. Cheri na pół roku wraca do Nowego Jorku i mam wyszukiwać dla niej rzeczy w Europie.

- To cudownie - powtórzyła z rozmarzonym uśmiechem.

- No, może nie do końca. W przyszłym tygodniu muszę wyjechać do Nowego Jorku. Tylko na kilka dni.

- Och, nie martw się o mnie. Poradzę sobie. Hermione mi pomoże.

- W takim razie, zgoda?

- Oczywiście, kochanie. Zachowujesz się, jakby to był koniec świata.

Jeśli przedtem Bianka była szczęśliwa, teraz znalazła się w stanie permanentnej ekstazy. Cała energia, skupiona do tej pory na dziecku w jej łonie, skierowała się na cudowne dziecko, które trzymała w ramionach. Jej myśli, marzenia, reakcje - wszystko było skierowane na niego. Spała i czuwała w tych samych porach co syn. Słyszała jego najmniejszy ruch. Całkowicie opanował ją najdoskonalszy, naturalny instynkt zaspokajania każdej jego potrzeby. Dlatego też cieszyła się - choć równocześnie nękały ją wyrzuty sumienia - że Lovat często wyjeżdża albo jest zajęty i nie może zniszczyć tej cudownej więzi między nią a dzieckiem. Zdawało się, że nie może się doczekać chwili, kiedy znowu będzie mógł się z nią kochać, a ponieważ jej młode, zdrowe narządy bardzo szybko wróciły do normy, poszli do łóżka natychmiast po jej powrocie ze szpitala, kiedy dziecko zasnęło w łóżeczku. Jednak w duszy Bianki pojawiły się nowe uczucia i to, co do tej pory wypełniało jej życie, stało się po prostu jedną z wielu innych spraw. Dziecku dali imię Tom. Chłopczyk zamiast - tak jak się spodziewała - płakać i ją męczyć, z entuzjazmem jadł i spał, znacznie szybciej, niżby to wynikało z książek, przechodząc kolejne etapy rozwoju. Karmiła go piersią. Był rozkosznie łakomy. Jego posiłki trwały nieraz i pół dnia. Leżał ciężki, napęczniały w jej ramionach i szybko nauczył się szeroko, błogo uśmiechać.

Hugh ani Olivia nie akceptowali żadnej jej decyzji związanej z dzieckiem - począwszy od tego, że ubierała go tradycyjnie na niebiesko, skończywszy na tym, że postanowiła wychowywać go sama, bez pomocy niani, na którą w ich domu czekał wyszykowany pokój. Twierdzili, że jeszcze się rozmyśli, ale

Celia Brayfield

ona miała zapaść w pełne urazy milczenie, odpowiadała pogodnie:

- O, nie, nie sędzę. A przynajmniej nie do czasu, kiedy pojawi się drugie.

Ze zdumieniem patrzyła, jak matka gniewnie się krzywi, a ojciec się wycofuje, nie wyrażając głośno krytyki.

Znalazła sposób przeciągnięcia na swoją stronę znajomych rodziny i wspólnie zwyciężyli. W miarę upływu czasu nabierała coraz większej pewności siebie. Tom rozkwitał. Przyjaciele rodziców i szersze grono znajomych z podziwem kiwali głowami. Hugh i Olivia czuli się niezręcznie i musieli zaprzestać krytyki. Bianka całkowicie poświęciła się uświadomionemu macierzyństwu.

Narodziny dziecka zaowocowały kolejnym wydarzeniem, jakim była wizyta Shony, znowu bliskiej sąsiadki. Wpadła któregoś popołudnia, jej twarz jaśniała szczęściem.

- Chciałam prosić ciebie i Lovata o wyświadczenie nam ogromnej przysługi.

- Nam?

Bianka oparła się o niedawno kupioną pralkę i z wprawą składała pieluszki.

- Och, oczywiście, nie miałam ci kiedy powiedzieć. Wiesz, od pewnego czasu spotykam się z Joem.

- Jakim Joem?

- Nie pamiętasz? Twój przyjaciel. Przyjaciel Lovata. Rudzielec. Wasz świadek na ślubie.

- O rany, jasne, że pamiętam. Tylko w pierwszej chwili nie zaskoczyłam...

Nie wyobrażała sobie, żeby Shona, której ojciec był baronetem i namiestnikiem królewskim w jednym ze wschodnich hrabstw Anglii, chciała w ogóle spojrzeć na Joego, który zachowywał się agresywnie, jak typowy robotnik z północy kraju. Równie mało prawdopodobne wydawało się, żeby Shona spodobała się Joemu.

- Nie przejmuj się, kochanie, taka byłaś pochłonięta tym swoim słodkim maleństwem. Chodzi o to, że chcemy się z Joem pobrać, tak jak wy, ale mój ojciec nic o tym nie wie, więc Joe ma pietra, że zrobi straszną scenę. Pomyślał, że może gdybyście ty i Lovat przyjechali do rodziców na weekend, to w ten sposób przynajmniej na jakiś czas udałoby się odsunąć awanturę. Co o tym sądzisz?

- Nie mogę zostawić Toma.

Kolia

145

- Nie ma sprawy, weź go ze sobą. Znajdziemy kogoś do opieki nad nim, kiedy wy będziecie się bawić. Choć obawiam się, że atmosfera nie będzie sprzyjała zabawie.

Bianka zgodziła się przedstawić ten pomysł Lovatowi, który ochoczo mu przyklasnął. Najbliższy wolny weekend miał dopiero za miesiąc, ale, w przeciwieństwie do wielu innych zobowiązań, które miewał od czasu, gdy zaczął pracować dla Cheri Tuttingen, tego dotrzymał.

- I na miłość boską, pamiętaj, Lovat, żadnego oglądania obrazów, dopóki cię nie poproszą - ostrzegał Joe, kiedy we czworo przejeżdżali przez koszarne miasteczka Essex. - Ojciec Shony tego nie znosi.

- A w ogóle ma coś wartego obejrzenia?

- Koles, facet ma najprawdopodobniej kilku Van Dycków, ale o tym ani pary z ust.

- Przez tę swoją nadwrażliwość na punkcie obrazów tato skutecznie zakończył mój pierwszy wielki romans - odezwała się Shona z tylnego siedzenia. - Wyrzucił nas z domu, rycząc: „I żebym tu tego młodzieńca nigdy więcej nie widział - śmiał oglądać moje rzeczy!” Nigdy tego nie zapomnę. Dlatego błagam, Lovat, uważaj. Tak bardzo bym chciała, żeby ta wizyta przeszła gładko.

Przyjechali w strugach ulewnego deszczu, padającego przez całą sobotę. Ojciec Shony, którego Bianka przypominała sobie jak przez mgłę, okazał się rumianym starszym panem, który głupotę skrywał pod pokrywką opryskliwości i złych manier. A dziś jeszcze dodatkowo widać było, że rozsadza go prawdziwa wściekłość.

- W życiu nie widziałam go w tak okropnym humorze.

- W porze lunchu Shona była już bliska łez. - Dostał upomnienie z urzędu podatkowego i aż się gotuje. Lepiej go nie ruszajmy, bo wybuchnie.

- Po prostu będziemy musieli staruszka trochę urobić

- uspokoił ją Lovat, po raz pierwszy okazując coś więcej niż jedynie uprzejme zainteresowanie. - Przecież widzę, że Joe mu się spodobał...

- Zapewniam cię, że ja niczego takiego nie zauważyłem

- stwierdził Joe.

- Ależ naprawdę mu się spodobałeś. Sam mi to powiedział

- zapewniła go Shona.

- Trzeba będzie tylko wylać oliwę na wzburzone wody. Lovat zrobił ruch wylewania czegoś z butelki. Coraz

Celta Bray field

częściej Biana zauważała u niego cechy, świadczące o istnieniu drugiego Lovata, którego nie znała - miłego, ale wyrachowanego, z lekko kpiącym uśmiechem i ironicznym uniesieniem brwi. W tym gronie, gdzie wszyscy goście rozmawiali wyłącznie o inwentarzu i podatkach, postanowił wejść w swoją sprawdzoną rolę kompletnego ignorant. W połowie lunchu udało mu się częściowo ułagodzić starszego pana, tocząc z nim dyskusję o diabelskich sztuczkach EWG.

- A pan czym się w ogóle zajmuje? - spytał wreszcie gospodarz.

- Prowadzę galerię przy Mount Street, proszę pana.

- Doprawdy? Ale to nie ma nic wspólnego z firmą pańskiego teścia?

- O, nie, proszę pana. Choć oczywiście, od czasu do czasu coś od niego kupujemy. Głównie handlujemy ze Stanami. Berrisfordowie zawsze próbują uzyskać jak najlepszą cenę dla swojego sprzedającego. Tak więc zwykle staram się jeszcze trochę pogrzebać i znaleźć to, czego szukają klienci, bez konieczności płacenia najwyższej stawki. Często też, jeśli ktoś coś sprzedaje, nie lubi tego robić publicznie. Nie da pan wiary, ale zdarzało się, że nasi klienci życzyli sobie, by im zapłacić używanymi pięciofuntówkami włożonymi do pudełka po butach.

- Uwierzę każdemu pańskiemu słowu, drogi chłopcze. Starszy pan mrugnął do niego porozumiewawczo, jakby obaj dzielili jakąś tajemnicę.

Po lunchu chwycił Lovata za ramię i poprowadził go na górę. Dom był zbudowany w stylu elżbietańskim i miał obwieszoną obrazami długą galerię, która ciągnęła się niemal przez cały budynek.

- Niech pan to sobie spokojnie obejrzy i powie, czy znajdzie coś wartego pięćdziesiąt tysięcy.

Usiadł na fotelu, z którego zwisały strzepy wypłowiałego obicia z adamaszkiem. Widząc, że Lovat się waha, ruchem ręki zachęcił go, by uważniej się przyjrzał obrazom.

- Pięćdziesiąt tysięcy, tyle mi teraz potrzeba. Niech mi pan znajdzie tu coś za pięćdziesiąt tysięcy.

Lovat znał już ten ostry ton, typowy dla angielskiego szlachcica, który wstydzi się tego, co posiada. Starszy pan wyraźnie nie uświadamiał sobie artystycznej wartości zebranych tu płócien. Pewien zazdrosny wuj usiłował mu kiedyś wytłumaczyć, że część obrazów przewyższa wartością pozostałe, ale nie

zapamiętał które. Nie zapomniał jednak, że zebrane tu przedmioty, które miały stanowić świadectwo wyższego statusu jego przodków, wydarto artystom, których geniusz został przez wszystkich potwierdzony, mistrzom zmuszonym do odrobienia pańszczyzny, bądź przywieziono je jako łup z obcych krajów. A czasem nawet jakiś niewdzięczny protoplasta, niezdolny do zapanowania nad swoimi pańskimi fanaberiami, wręcz je kupował! Lovat wolno przechadzał się po galerii. Za każdy większy obraz można by bez trudu uzyskać dwa razy tyle, ile zażądał królewski namiestnik. Hugh nieustannie zastawiał na Lovata pułapki, ale ojciec Shony najwyraźniej sam sobie nie zdawał sprawy z tego, co posiada. Po namyśle Lovat przystanął przed portretem kobiety w szerokim, koronkowym kołnierzu - chyba nie autorstwa Van Dycka, ale możliwe, że jednego z jego uczniów.

- Ten powinien się nadać - powiedział zdławionym z niepokoju głosem.

- Dobrze. Niech go pan zdejmie, a po powrocie do Londynu proszę go wziąć do swojej galerii, sprzedać i wrócić do mnie z pieniędzmi. Używane pięciofuntówki w pudełku po butach, tak jak sam pan powiedział.

Lovat uśmiechnął się i odetchnął z ulgą - a więc ten człowiek naprawdę wcale nie chciał go ośmieszyć ani wystawić na próbę. Rzeczywiście był taki głupi, na jakiego wyglądał.

Wieczorem, kiedy rozpromieniony ojciec pił, co mu się nawinęło pod rękę, Shona zaczerpnęła głęboko tchu i oznajmiła:

- Tato, Joe i ja pomyśleliśmy sobie, że moglibyśmy się pobrać.

Przez dłuższą, ciągnącą się w nieskończoność chwilę ojciec Shony przyglądał się pożółkłymi oczami to jej, to jemu, potem uniósł się ciężko i poklepał Joego po ramieniu.

- Dobra robota, mój chłopcze - stwierdził po prostu. Bianka, zajęta wyjątkowo niespokojnym Tomem, nic nie wiedziała o tym; co się wydarzyło w galerii, aż do chwili, gdy po powrocie do domu Lovat rozpakował obraz i ustawił go na półce nad kominkiem.

- Przez jedną noc możemy sobie wyobrazić, że mamy swojego Van Dycka - powiedział, stając nonszalancko, jakby pozował do fotografii. Ostatnio postarzał się i przytył.

Od przyjścia na świat Toma krążyli właściwie po różnych

Celia Brayfield

orbitach, rozmawiając tylko o drobiazgach, wykonywali rutynowe czynności szczęśliwego, młodego małżeństwa, ponieważ bali się przyznać, że coś się między nimi zmieniło. Do tych rutynowych czynności należało kochanie się co najmniej trzy razy w tygodniu - o ile Lovat gdzieś nie wyjechał - bowiem to właśnie robią szczęśliwe, młode małżeństwa.

- Komu chcesz to sprzedać?

Bianka uznała, że należy wykorzystać tę rzadką chwilę, kiedy Tom zasnął, a oni są razem i nie śpią, by się bardziej do siebie zbliżyć. Usiadła na gładkiej, białej sofie, ale Lovat nadal stał przy kominku.

- Nie wiem.

- Mówiłeś o tym z taką pewnością, że byłam przekonana, że masz konkretnego kupca.

- Nie mam żadnego kupca, jutro zaniosę obraz do twojego ojca i poproszę, żeby któryś z jego ludzi na niego zerknął i powiedział, czy naprawdę jest wart pięćdziesiąt tysięcy. Przecież ja się kompletnie nie znam na takim malarstwie. Stary musiał zupełnie postradać zmysły, żeby mnie pytać o radę.

- Och.

Dostrzegła, że jego twarz przybrała twarde, surowy wyraz. Nogą podwijał koniec dywanu. Unikał jej spojrzenia.

- Prawda jest taka, że chce sprzedać coś po cichu, tak żeby nikt się nie dowiedział, że ma kłopoty. W takiej sytuacji i tak nikt wiele by mu nie zaoferował, prawda?

- Z pewnością masz rację, Lovat, ale nadal nie rozumiem. Skoro nie masz kupca, ani nie znasz się na tego typu malarstwie, dlaczego mu obiecałeś, że sprzedasz obraz?

- Bo uznałem, że po tych wszystkich kolacyjkach u twojego ojca chyba się nauczyłem, jak można zarobić kilka groszy.

Założył ręce i spojrzał na Biankę, zaniepokojony nutą skargi i napięciem w jej głosie. Wydawała mu się drobna, dziecinna, wyglądała na dotkniętą.

- Kochanie - starał się mówić łagodnie - nie rozumiem, dlaczego się tak tym przejmujesz. Przecież wiesz, że teraz, kiedy masz dziecko, muszę korzystać z każdej nadarzającej się okazji.

- Nie przejmuję się. - Mimo to w jej oczach zalśniły łzy. Otarła je rękawem. - Po prostu jestem zmęczona. Idę spać. Dwa tygodnie potem anonimowy nabywca kupił kobietę

Kolia

148

w białym koronkowym kołnierzu za pięćdziesiąt trzy tysiące funtów. Ojciec Shony otrzymał swoją wypłatę w używanych banknotach. Dwa miesiące później, siedząc w poczekalni u lekarza, Bianka przeglądała katalog Christie's. Zobaczyła tam reprodukcję tego obrazu, opisanego jako dzieło Van Dycka z ceną wywoławczą dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów. Niezbyt ją to zaskoczyło. Lovat od chwili, gdy się przekonał, że cała ta sprawa jej się nie podoba, przestał o niej wspominać. Choć starał się to przed nią ukryć, Bianka domyślała się, że od początku dążył do ponownej wyceny portretu, żeby móc go sprzedać po wyższej cenie. Niewątpliwie jej ojciec miał znaczny udział w całej tej operacji. Potwierdzał to fakt, że obraz nie został wystawiony na sprzedaż przez Berrisfordów. W tego typu bowiem historiach cała sztuka polegała na tym, żeby nie dać się złapać na gorącym uczynku. Ostatnio zaś zbyt często jej ojciec i Lovat dzwonili do siebie po nocach, zbyt często spotykali się z różnymi ludźmi, chodzili na kolacje, zbyt często rozmawiali na boku, żeby nie podejrzewała, że razem planują całą akcję.

Prawdziwa niespodzianka czekała ją dopiero dziesięć minut później, w gabinecie lekarza, kiedy okazało się, że wbrew jego wcześniejszym zapewnieniom karmienie piersią nie stanowi doskonałego środka zapobiegającego ciąży. Powiedziała, że ostatnio ciągle przybiera na wadze, czuje się pełna. Spojrzał na nią przerażony, zbadał i z lekkim zawstydzeniem oświadczył, że Bianka jest już w piątym miesiącu ciąży.

- Dobrze - stwierdziła, czując pewną satysfakcję, tak odmienną od pełnej niepokoju radości, która towarzyszyła pierwszemu potwierdzeniu ciąży. - I jest już za późno, żeby cokolwiek z tym zrobić, nawet gdybym chciała, prawda? Z Lovatem mogła porozmawiać dopiero przy śniadaniu, które zwykle jadł na stojąco, podczas gdy ona z Tomem na biodrze kręciła się między sosnowymi szafkami w kuchni.

- No cóż, kochanie - zaczęła, stając przed nim - to dobrze, że chcesz zbić majątek na tym portrecie Van Dycka. Pieniądze bardzo nam się przydadzą.

- Bianka, błagam, czy ty musisz ciągle...

- Kochanie, nie chcę rozmawiać o interesach. Położyła mu palec na ustach, co go rozdrażniło, bo choć gest powinien być czuły, jemu wydał się dziwnie wrogi. - Wczoraj poszłam do lekarza, bo wydawało mi się, że za bardzo przytyłam, i wiesz, co powiedział? Będziemy mieli drugie dziecko.

Celia Brayfield

- To niemożliwie.

Na jego twarzy malowało się zdumienie i przerażenie. Oczy mu pociemniały.

- Przecież nie możesz...

- Przyznam, że jestem równie zdumiona jak ty, ale nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Lekarz stwierdził że muszę być wyjątkowo płodna. I jak, Tommy, prawda, że chciałbyś mieć siostrzyczkę albo braciszka?

Tom wypluł na podłogę biszkopt, jakby ta perspektywa wcale go nie zachwyciła.

Lovata ogarnęła panika. Serce mu waliło, jakby przed chwilą uniknął wypadku samochodowego. Kiedy przemówił, musiał się zmusić, żeby poruszać szczęką.

- A więc chcesz je mieć?

- Oczywiście. Kto by nie chciał drugiego takiego bobaska jak Tom? - Z uśmiechem podrzucała Toma i palcem postukała go lekko po nosku. - Zresztą nic się już nie da zrobić, jest za późno. A poza tym, zawsze przecież twierdził, że chcemy mieć dwójkę, prawda?

- No, tak, rzeczywiście. Słuchaj... tego, dobrze się czujesz? Mogę ci w czymś pomóc?

W tej chwili pragnął wyłącznie stąd wyjść i zapanować nad sobą. Wszystko to za bardzo przypominało jedną z tych nagłych decyzji Bianki, żeby mógł uznać to za przypadek. Ledwo udało mu się jakoś ułożyć życie, przekonać się, jaką może mieć przed sobą przyszłość, co może osiągnąć, a już został oszukany przez żonę i jej organizm.

- Nie, kochanie, czuję się doskonale. Nie masz się czym przejmować. Teraz idź do pracy, a jeśli chcesz, porozmawiamy o tym jeszcze wieczorem.

I wypchnęła go za drzwi, nie mogąc się doczekać, kiedy zacznie kolejny dzień z dzieckiem, wypełniony braniem go na ręce i kładzeniem, karmieniem i rozmawianiem, przebieraniem go w różne ubranka. A jeśli znajdzie chwilę czasu, zajrzy do sklepu i wybierze nowy marmurowy stolik do salonu.

Lovat doszedł do siebie mniej więcej po miesiącu. Uważał, że do jego obowiązków męża należy planowanie życia rodziny, a niespodziewane pojawienie się drugiego dziecka stanowiło zagrożenie jego władzy. Doprowadzały go do pasji gratulacje, jakimi obsypywano jego i Biankę. A co najgorsze, nic nie mógł powiedzieć. Nie miał najmniejszej szansy zaprotestować,

Kolia

151

nie z Bianką, która teraz awansowała niemal do pozycji Madonny z Chelsea.

Hugh i Lovat starali się spotykać jak najczęściej. Coraz dokładniej, coraz bardziej szczegółowo analizowali swoje interesy, rozprawiali o ludziach z branży, wymieniali plotki i rady. Przekonali się, że bardzo wiele ich łączy.

Entuzjazm Lovata ponownie obudził w Hughu miłość do malarstwa, która w młodości przynosiła mu tyle radości, a w ciągu lat pracy w branży została niemal zapomniana. Lovat coraz bardziej polegał na radach teścia w kwestiach dotyczących prowadzenia niewielkiej galerii Tuttlingenów, a Hugh, któremu zawsze łatwo było się przypochlebić, rozkoszował się nie udawanym podziwem zięcia, podczas gdy ów pysznił się jego towarzystwem.

Po jakimś czasie Hugh zaczął porównywać Lovata ze swoimi współpracownikami. Uznał, że zięć jest równie zdolny jak oni, a fakt, że nie wywodził się z wyższych sfer, stanowił jego atut; firmie przydałby się nowoczesny, ponadklasowy rys, obcokrajowcy wyraźnie szukali kogoś z ich własnego środowiska.

- A może byś powiedział tej Amerykance, żeby się wypchała i przeszedł do mnie? - zaproponował pewnego ranka, kiedy siedzieli w zaparowanym pomieszczeniu RAC Club.

Stało się już tradycją, że spotykali się tu o ósmej, żeby popływać. Robili to nie dlatego, że lubili uprawiać sport, ani dlatego, że dbali o sylwetkę. Chodziło przede wszystkim o to, żeby mieć pretekst do wyjścia z domu, zanim ich żony się dobudzą.

Przez gęste opary dostrzegł, jak zaczerwieniony Lovat ze zdumienia szeroko otwiera usta.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście. Właśnie odszedł kierownik działu sztuki współczesnej. Zresztą ty i tak o wiele lepiej od niego znasz się na rzeczy. Będę ci płacić tyle samo, co jemu... - tu wymienił kwotę. - Nie byłbyś szczęśliwy, gdybyś resztę życia miał spędzić w żalostnej małej galerijce, pracując dla jakiejś koszarnej snobki, która przyprowadza tu przyjaciółki, żeby sobie znalazły coś, co będzie im pasować do tapety. Nie ma się nad czym zastanawiać, zgódź się.

Lovat się zgodził.

- Co? - zawołała na cały głos Bianka, kiedy powiedział jej o tym następnego dnia rano. Dziecko przez chwilę wpatrywało się w nią zdumione, potem zaczęło płakać.

Celta Brayfield

- Nie cieszysz się? To wspaniała okazja. Jest dla mnie więcej niż dobry. Podejrzewam, że niemal co dzień dostaje listy od znacznie lepszych ode mnie fachowców, którzy chcieliby u niego, pracować.

- On wcale nie jest dobry, ty głupcze! Nie widzisz, do czego zmierza? Chce z powrotem mieć nas w garści. Sam się przekonasz, teraz będzie kierował naszym życiem, moim i twoim. O Boże, Lovat, czy ty nie rozumiesz najprostszyc rzeczy?

Krążyła po pokoju zbyt wściekła, żeby zająć się zawodzącym dzieckiem.

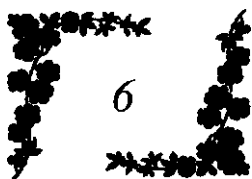
- Kiedy się poznaliśmy, marzyłam tylko o tym, żeby wynieść się z Chelsea i uciec jak najdalej od tej mojej cholernej rodziny, być sobą, a tymczasem... Znowu wylądowałam w Chelsea, znowu z rodzinką...

- Ale przecież teraz mamy swoją rodzinę i wszystko wygląda inaczej. Kochanie, chcę nam zapewnić dostatnie życie. Chcę, żeby moje dzieci miały wszystko to co ja, to, co ty kiedyś miałaś i więcej. To wszystko dla ciebie i dla dzieci. Co w tym złego?

Jego spokojna rzeczowa argumentacja miała dodatkowo podkreślić, jak nieuzasadniona jest jej gwałtowna reakcja. Biance brakowało tchu. Wykrzywiła się, zaczęła płakać.

- Nic, nic. Ja też tego pragnę, ale dlaczego to musi wyglądać właśnie tak? Dlaczego musimy korzystać z ich pomocy?

- Dlatego, że inaczej byśmy sobie nie poradzili — odparł łagodnie, biorąc ją w ramiona. - Nie z moim pochodzeniem i dwójką dzieci. Uwierz mi, to dla nas jedyny sposób.



St Petersburg, 1907

Promień słońca padł na portret cara Mikołaja II wiszący z tyłu sali ćwiczeń, rozjaśniając szacowne oblicze niczym uśmiech. Lidia rozluźniła dłoń na drążku i napięła prawą nogę, czując, jak kolano zgrabnie zajmuje właściwą pozycję. Postawiła lewą nogę z przodu, a wolna ręka popłynęła do przodu i do tyłu jako wstęp do ćwiczenia. Poranne słońce migotało wesoło za oknami, ściany jaśniały niemal rozsuwając się w oczach, a lustra mieniły się srebrzyście. Mikołaj Legat prowadził pierwszą lekcję. Zawsze robił szczególnie długie ćwiczenia przy drążku, aby wypędzić z niej resztki snu. Każdego ranka jej ciało wyginało się i wyciągało w tej samej sekwencji ruchów uczonej w szkole od samego początku. Mięśnie wyciskały z tkanek destrukcyjne uczucia, nuda i troski odpływały niczym mgła, i Lidie po raz kolejny wypełniała nadzieja.

Ćwiczenia poprawiały jej nastrój jak narkotyki. Przed ich rozpoczęciem dręczyły ją bóle duszy i ciała. Ruch leczył bolące stawy, a także usuwał niecierpliwość, która coraz mocniej zakorzeniała się w jej myślach, gdyż od miesięcy trzymano ją z dala od świata, do którego wiedziała, że i tak należy.

Lidia zadebiutowała i dostała bukiety, drobne upominki oraz upragnione, pozytywne recenzje. Weszła w skład zespołu jako druga solistka, z całkowitym pominięciem terminowania w zespole, ale od tego czasu nauczyła się zaledwie paru drobnych ról. W sferze marzeń pozostało bogate życie towarzyskie. Gdy przystępowała do gimnastyki, przynajmniej przestawała się martwić, że już dwa lata temu kupiła suknię z różowego muślinu, a miała ją na sobie tylko raz, na uroczystej kolacji wydanej przez Towarzystwo Wspierania Weteranów Wojennych, po ich dorocznym przedstawieniu dobroczynnym.

Celta Brayfield

Ramiona poszły do tyłu pociągając za sobą żebra i wypychając do przodu klatkę piersiową okrągłym ruchem. I gdy wysuwała stopy na zewnątrz, jej biodra przesuwwały się do przodu, a miednica otwierała się powoli niczym kwiat. Cały układ tułowia zaczął nabierać lubieżnego charakteru. Dzień, w którym odda swe ciało kochankowi, mający jeszcze w mglistej przyszłości, ale jej serce lgnęło do każdej pojawiającej się w pobliżu przystojnej twarzy, a mięśnie drżąc z niepokoju były gotowe na wszystko.

Jej kształty zatraciły dzieciinną krągłość, a w lustrach, w których codziennie oglądała się całymi godzinami, odbijała się dojrzała sylwetka. Gdy wyciągała nogę z obciążeniami palcami, przyciągając piętę do łydki i prostując kolano, wypukłości na nodze były tak nieznaczne, że ledwie widoczne pod opiętymi trykotami. Stopa na podłodze stała pewnie, mocna w kostce, gdy bez zachwiania, giętko stawiała na palcach.

Na ulicy Teatralnej nie było mowy o oszukiwaniu siebie czy innych. Każdego dnia tyle godzin spędzali na obserwowaniu, analizie i krytyce, że każdy znał na wylot własne braki. Lidia na równi z innymi dobrze wiedziała, co jej uniemożliwia wykorzystanie własnych możliwości - na przeszkodzie stanęły cechy, za które zbyt wcześnie zbierała pochwały; była zbyt dobra, zbyt szybka i błyskotliwa, miała za dobre wykształcenie techniczne i za dużo uroczej zalotności - więc za bardzo przypominała młodszą wersję własnego ideału, czyli Krzesińskiej.

- Jakież niezwykle talenty kryją się w tym niepozornym kwiatuszku - oświadczyła wielka balerina tego dnia, gdy wróciła na scenę po urodzeniu syna. - Musimy zająć się tym utalentowanym dzieckiem o wiele uważniej, ze szczególną troską. Jakież by to było tragiczne, gdyby kontuzja miała przedwcześnie zakończyć jej zaczynającą się karierę. - Tu wymownie popatrzyła na dyrektora i od tego dnia Lidia nie miała okazji zatańczyć wśród przyjaciół Copelli, gości na chrzcinach Śpiącej Królowej czy sąsiadów Giselle; w tych małych, lecz wspaniałych solówkach mogłaby doskonale udowodnić swe uzdolnienia, więc dostawała inne, drobne role, do których zupełnie się nie nadawała.

- Lidio, uważaj na kolana, nie kieruj ich do wewnątrz. Słyszac to zmierzyla baletmistrza wrogim spojrzeniem. Jej kolana nigdy nie szły do wewnątrz, powinien zachować swoje uwagi dla tych, którzy na nie zasługiwali, na przykład dla Anny stojącej przed nią - biedaczka już dygotała jak osika na

Kolia

154

wietrze. Lew też miał dziwne kolana, zupełnie pozbawione elastyczności. Ćwicząc z nim teraz co dzień, zauważyła tajemnicze napięcie w każdym jego ruchu. Nawet ramiona trzymał naprężone. Z niechęcią musiała przyznać, że w oczy rzucała się jego oryginalna uroda; z ciemnymi włosami i niemal wschodnimi rysami twarzy doskonale nadawał się do roli Mefistofelesa.

- Lwie, nie myśl! Nie można tańczyć i myśleć - skarcił go Legat. - A jeśli już musisz, to myśl o swoim tańcu. Dociśnij *plie*, niech będzie pełne wyrazu. A ty, Waclawie, uważasz, że ciebie to nie dotyczy? Co się dzieje z twoją linią? I palce! Proszę nie przynosić tutaj włoskiego *port de bras*. A może próbujesz rzucić na mnie urok?

W pozbawionej ozdób sali rozległ się chichot. Jeden po drugim, niczym rząd kart osuwających się na siebie, tancerze odwrócili się, by powtórzyć ćwiczenie. Legat zazdrościł młodemu Waclawowi, którego Krzesińska wybrała na nowego partnera, zaś Anna Pawłowa brała lekcje u starego, włoskiego mistrza, Enrico Cecchetti, ale nawet w szale zawiści zwyciężał w nim dobroduszny charakter i pozwalał sobie na żarty.

Gdy zakończyli ćwiczenia przy drążku, Niki pokropił nagie deski wodą z puszek, żeby poprawić warunki do ćwiczeń na środku sali. Tancerze, z rozgrzanymi już i przygotowanymi mięśniami, rozstawili się na sali i czterdzieści par nóg zaczęło wykonywać płynne ruchy w doskonałej harmonii, jakby napędzał ich ten sam silnik. Staruszek akompaniator pochylił się nad skrzypcami i aż mu skóra poczerwieniała pod rzadkimi, siwymi włosami, tak się starał utrzymać szybkie tempo.

- Ola! Ciągnij, ciągnij! - Legat przekrzykiwał trzepot spódnic i łoskot stóp. - Co z równowagą? Ciągnij nad głowę, to ją znajdziesz. Lidio! Ogłuchłaś dzisiaj? Jak możesz tak obcinać takty? Słuchaj muzyki! Ten człowiek nie gra dla własnej przyjemności! A teraz chłopcy: Waclaw, jeśli łaska, staraj się zejść na dół do taktu, tyle chyba potrafisz. Misza! Jak się nie skupisz, to upuszczę trochę tej twojej błękitnej krwi. Może byś tak poszedł się przespać do łóżka, a nie na sali!

Długonogi adresat tych złośliwości z wysiłkiem wykonał ostatnią pozycję i oparł się na drążku.

- Założę się, że nikt mu nie przeszkadzał zeszłej nocy, bo strasznie wściekły dziś rano. - Misza rzucił w przestrzeń i dysząc podziwiał swoje odbicie w lustrze, obserwując, jak szara tunika do ćwiczeń opina wpaniałe ramiona, gdy tymczasem dziewczęta chichocząc wymieniały znaczące kuksańce.

Celia Brayfield

W gronie homoseksualistów Misza Aleksandrów był najprzystojniejszym i najbardziej próżnym mężczyzną oraz prowadził najbujniejsze życie towarzyskie. Zwierzył się każdemu spośród stu pięćdziesięciu najbliższych przyjaciół, że jest nieślubnym synem zmarłego cara Aleksandra.

Gdy zakończyła się pierwsza lekcja, chłopcy zostali w dusznej, pachnącej potem sali na dalsze ćwiczenia z Legatem, gdy tymczasem ich koleżanki przechodziły do innego pomieszczenia na swoje lekcje. Kiedy Lidia owinąwszy się narzutką ruszyła w stronę drzwi, podbiegł do niej Lew.

- Wyjdziesz dzisiaj z nami? - Często tak się do niej zwracał, jakby już wcześniej wszystko omówili. - Chcę z tobą porozmawiać o czymś bardzo ważnym - dodał zauważywszy zniecierpliwiony wyraz jej twarzy.

- Tańczę dziś wieczorem.

- Och, zapomniałem, rzeczywiście. To może jutro?

- Wolę zostać w domu i skończyć szycie. I co to znaczy „z nami”, jeśli mogę spytać? Kto jeszcze będzie zaproszony?

- Cii, nie chcę, żeby wszyscy usłyszeli. Anna, Inna, Julia, Wiera i Lonia Samojłowicz. Spotkamy się w jego mieszkaniu. Przyjdzie jeszcze jeden człowiek, bardzo ważny, nie znasz go. I Olga oraz Maria, zaprosisz je w moim imieniu? Proszę, Lidio. Nikomu nic nie mów, ale dostałem zamówienie. Mam napisać balet, prawda, że cudownie? Oczywiście nic wielkiego, ale Liduszka, tak bardzo ciebie potrzebuję. Proszę, zszywaj spódnice innego dnia. - W jego orzechowych oczach osadzonych głęboko pod gęstymi, czarnymi brwiami migotało podniecenie.

- Lew, ależ z ciebie tyran. Z góry zakładasz, że zrobię wszystko, co tylko zechcesz? Poproszę innych, ale nie obiecuję, że przyjdą. Na którą? A zapytałeś Pawła? - Szwagier Marii musiał wyrazić zgodę, by przyjęła zaproszenie od mężczyzny.

- Och, na miłość boską, daj sobie spokój z tymi głupstwami i flirtowaniem. To nie taki rodzaj spotkania, jakie masz na myśli.

- Och przepraszam, wprawdzie od pięciu lat zasypujesz mnie wierszami, ale widać się pomyliłam. Nic nie wiedziałam o nagłej zmianie uczuć, błagam o wybaczenie.

- Nie... ja nie... Czuję do ciebie to samo. - Niemal wypluł z siebie te słowa, chwytając się rękami za głowę niczym w ataku bólu. - To moje przekleństwo, ale tym razem chodzi o coś innego, o bardzo ważną sprawę. Nowy balet!

Kochałbym cię, nawet gdybyś miała dwie lewe nogi, ale... - Tony skrzypiec oznajmiły rozpoczęcie drugiej części zajęć i Legat rzucił

Kolia

156

niecierpliwe spojrzenia na rozmawiającą parę. - Przyjdę po ciebie o siódmej, dobrze?

- Jak chcesz. Porozmawiaj z Pawłem. Muszę już uciekać. - I zadowolona z siebie pobiegła w dół korytarza, a baletki z puentami stukotały na drewnianej podłodze.

Patrzył za nią, nim zniknęła w sali, i zastanawiał się, dlaczego, mimo że miała tak tragicznie i kompletnie ptasi mózdzek, potrafiła sprawić, że w ciągu paru sekund całkowicie zgłupiał i nie potrafił sklecić dwóch zdań niczym jakiś zamiatacz ulic.

Lidia była zaintrygowana. Gdyby zatańczyła w nowym balecie, może wreszcie zostałaby zauważona? Więc jakie zamówienie dostał Lew? Wielka odpowiedzialność na tak młodzieńcze barki, ale Michaił Michajłowicz zawsze go bardzo chwalił. Może to jakieś idiotyczne *tournee* po prowincji, w takim razie odmówi. Ale nie może przegapić okazji spotkania z Leonem Samojłowi-czem - ten artysta był bohaterem roku jako autor wystawy sztuki rosyjskiej, zorganizowanej przez Siergieja Pawłowicza DiagUewa, w środowisku baletowym nadal zwanego Szynszylem. W Petersburgu pokaz dodał blasku dumie narodowej i Diagilew, cieszący się łaskami na dworze, uzyskał poparcie, by zabrać wystawę do Paryża i olśnić Zachód osiągnięciami twórców rosyjskich. Tancerze czuli, że i oni mają swój udział w jego powodzeniu.

Leon Samojłowicz Bakst czasem projektował dekoracje dla baletów, ale Lidię szczególnie fascynował z powodu legendarnej wręcz biedy, w której żył jako młody chłopak - nie miał nawet pieniędzy na kupno farb, a dziś był modny, uznany i ożenił się z córką mecenasa kultury, księcia Trietjakowa.

We wnętrzu jego skromnego, zwyczajnego mieszkania, w pobliżu gmachu Admiralicji, ściany salonu pokrywała tapeta w szare paski i ten widok bardzo ją rozczarował. Bakst i jego dobrze urodzona żona opiekowali się jego babką, matką i dwiema siostrami, więc zdawało się jej, że po pokojach krążą tłumy kobiet o wydatnych piersiach, lśniących włosach i ciemnych oczach, a między fałdami ich sukien ginęła drobna postać malarza - szeroko uśmiechnięty wyglądał, jakby jego twarz składała się tylko z nosa i uszu.

- Tak się cieszę, że pana poznałam - powiedziała, gdy całował jej dłoń. - Uwielbiam pańskie dekoracje do *Czarodziejskiego sklepiku*, moim zdaniem są najpiękniejsze ze wszystkich. Lwie, nie patrz tak na mnie, wiesz, że je ubóstwiam.

- Hmm, bez wątpienia będzie pani równie zachwycona

Cetia Brayfield

dziełem tego młodzieńca. - Poklepał go po ramieniu jak stary wujek. - Powtarzał mi, że gdyby mógł wybierać tancerzy z zespołu, to przede wszystkim poprosiłby o panią, więc bardzo się cieszę z naszego spotkania. A to chyba *mademoiselle* Kołkowa? - Dygnięcie Marii było tak szybkie i czarujące jak ruch główki rudzika. - Proszę, usiądźcie przy stole. Herbata? Może szampana? - Popatrzył na Lidię ponad złotą oprawką okularów. Przez moment nie była pewna, czy go dobrze rozumiała. Leon Samojłowicz zmienił nazwisko, właściwie nazywał się Rosenberg, i odstąpił od swej religii, ale mówił z silnym, żydowskim akcentem. - Szampana! Przywieźliśmy tyle z Paryża, że starczyłoby do ceremonii nadania imienia wszystkim statkom we flocie. Próbuje tych czekoladek, nie chcę słyszeć o żadnej diecie!

Postawiono przed nią kryształowy półmisek z łakociami i od razu wybrała fiołkową pralinę. Rude włosy Leona Samojłowicza lśniły od pomady i przy każdym ruchu gościnnego pana domu przez pokój płynęła smuga zapachu wody toaletowej. Stół się uginał pod ciężarem tac z ciasteczkami i apetycznie wyglądającymi kanapczkami. Pokojówka wniosła na srebrnej tacy szampana i kieliszki o złotych brzegach. Napój miał kwaskowy smak, więc Lidia się skrzywiła i szybko sięgnęła po następną czekoladkę.

W parę minut później zjawiała się Olga z bratem, Pierre'em, szczupłym, nerwowym trzynastolatkiem, który usiadł u końca stołu i bez słowa jadł wszystko, co znalazło się w jego zasięgu, kaszląc od czasu do czasu. Reszta tancerzy przyszła razem, jako ostatnia wkroczyła Anna trzymając się kurczowo ramienia mężczyzny w astrachańskim kożuchu, który wyniośle spoglądał dookoła.

- Anno, usiądź tutaj, najbliżej pieca. Spróbuj tych kana-peczek z wołowiną na ostro, pyszne! - Wzięła jedną i ugryzła kawałeczek, nieśmiało przyglądając się zebranym, choć w tym gronie była tancerką o najwyższej pozycji.

- Niniejszym przedstawiam wam wszystkim *monsieur* Vik-tora Dandre. Członek rady miejskiej, filantrop, a niektórzy z was znają go jako wielkiego miłośnika baletu. - Leon Samojłowicz przysunął ciężki fotel obity czerwonym aksamitem, a znakomity gość usiadł na nim jak władca na tronie.

- I wielki miłośnik kościstej Anny, ganiał za nią przez całe lata - wyszeptała Maria, udając, że poprawia spinkę we włosach.

- Skoro wszyscy się zebraliśmy, to mogę zaczynać. - Lew wstał chowając dłonie do kieszeni, by ukryć ich nerwowe

drzenie. - *Monsieur Dandre* najpierw poprosił Michaiła Michajłowicza o stworzenie nowego baletu na galowe przedstawienie, z którego dochód zasili kasę Towarzystwa Zapobiegania Przemocy wobec Dzieci. - Przełknął ślinę i ciągnął mocniejszym głosem. - Ale ponieważ mistrz już wcześniej przyjął inne zamówienie, więc za honor poczytuje sobie, że zaproponował moją kandydaturę, a *monsieur Dandre* wykazał wielką odwagę, skoro postanowił zaryzykować i postawić nowego choreografa pod osąd niczego nie świadomego świata sztuki. - Dandre z poważną miną skłonił głowę. - I oto wspaniała wiadomość: Leon Samojłowicz zaprojektuje dekoracje. - Maria zaczęła bić brawo, reszta przyłączyła się natychmiast. - A więc do nas należy wybór stylu i tematu.

- Och, błagam, coś w greckim stylu, z bosymi nogami i tunikach a la Duncan! - Inna została zaproszona na specjalny występ Amerykanki, zorganizowany dla młodych tancerzy, najmocniej uległa jej wpływom i najgoręcej propagowała nowe idee.

- W żadnym razie! - warknął rozgniewany Dandre. - Przedstawienie na cele dobroczynne to najmniej odpowiednia okazja do walki z tradycją. Gdy się apeluje do hojności ludzi, trzeba ich sobie zjednać, a nie obrażać brzydotą i na pewno nie usypiać klasycznymi okropieństwami.

Lew i malarz wymienili zawiedzione spojrzenia.

- Ładne nóżki w ładnych spódniczkach. - Tati miała tak niewinną twarzyczkę, że nikt jej nie podejrzewał o sarkazm.

- To nic trudnego, prawda, że poradzimy sobie doskonale, dziewczęta?

- A poza tym, przyjmując styl Duncan - dodała Lidia, sięgając po kolejną czekoladkę - musiałybyśmy się miotać po scenie wyglądając jak jałówki z kopytami wykrzywionymi do środka. - Dandre słysząc to prychnął, a Inna popatrzyła na nią z miną wścieklej czarownicy. - I po co tracimy czas na dyskusje? Przecież Lew już zdecydował, prawda? Nie udawaj, że przez przypadek zaprosiłeś tutaj właśnie nas siedem. O, a przy okazji, to nie podziękowałeś nam za przybycie.

- Widzisz, Lewusza, zostałeś rozszyfrowany - drażniła się z nim Maria.

- Z całego serca dziękuję, że przyszliście. - Niech tę Lidię kule biją, pomyślał Lew. Czy ona musi wytknąć mu każdą pomyłkę? I właśnie teraz, gdy już prawie miał w ręku wszystkich zgromadzonych. - Dobrze, przyznaję, że wiem, co chciałbym wystawić. To będzie absolutnie wspaniale...

Celia Brayfield

- Jaki skromny!

- Mario, wiem i już. *Plejady*. Siedem Sióstr. Tajemniczy gwiazdozbiór, najjaśniejszy w Drodze Mlecznej, fascynujący, ulotny, odwieczny... Czy wiecie, że greccy żeglarze ruszali dopiero wtedy na morze, gdy nad horyzontem pojawiały się Plejady? Sześć gwiazd świecących jasno i wyraźnie, ale jedna, Elektra, została zgaszona przez bogów, gdyż pokochała śmiertelnika.

- Och, Lew, cóż za wspaniały pomysł! - Maria patrzyła na niego z zachwytem.

- Pamiętam tę historię. Zniknęła przed atakiem Greków na Troję, bo miasto znajdowało się pod jej opieką i nie mogła patrzeć na jego unicestwienie.

- Tati, ty wiesz wszystko.

Wokół stołu rozległ się szmer pełen aprobaty i tancerki z zainteresowaniem pochyliły się do przodu.

- Szura Głazunow pozwolił mi rozpisać na orkiestrę parę swoich utworów fotepianowych - Lew ciągnął dalej wyprężwszy dumnie pierś. - I z pomocą Leona Samojłowicza napisałem scenariusz. Otwierające *ensemble, pas de cinq, pas de trois*, potem *pas de deux*, ale z wariacjami między kolejnymi częściami. I światło! I blask! To jest klucz do całego przedstawienia: światło, migotanie, jasność, pulsowanie. To będzie fascynujące, *monsieur Dandre*, przyrzekam panu, widownia zgotuje nam żywiołową owację.

Dandre skinął aprobująco głową, jakby tego się właśnie spodziewał. Reszta zgromadzonych patrzyła na Lwa z zachwytem w oczach. Jakaż dziwaczna jest miłość, pomyślała Lidia. Lew rzucił na nich czar, każda z kobiet siedzących przy stole znalazła się pod jego urokiem, ale pociągał je mężczyzna, a nie artysta. Zaś ona jedna pogardzała mężczyzną, uważała jego pomysły za śmieszne i dążenie za absurdalne, ale równocześnie wyczuwała, że to genialny twórca. Z przerażającą jasnością wiedziała o tym od dziecka. I ponieważ właśnie ją pokochał, to obojga ta świadomość doprowadzała do szału.

- Pomyślałem, że zrobię parę szkiców. - Leon Samojłowicz z niepewnym uśmiechem wyjął i szybko rozłożył kartony na stole. - Nic skomplikowanego, bo nie możemy się spodziewać dużego budżetu. Zrobiłem granatowe tło, chyba zauważyliście, że niebo nocą bywa czasem bardziej niebieskie niż czarne. Postawimy maszt, parę krokwi, można je pożyczyć z innego przedstawienia, wiem, że mają coś odpowiedniego w magazy

Kolia

161

nach dekoracji. I gwiazdy w różnych odcieniach światła, od czerwonego do bardzo jasnożółtego. I nasza Elektra w fiolecie.

- Ten szkic wręczył Annie i każda z dziewcząt przytaknęła, zgadzając się z jego wyborem. Lidię ogarnęła tak wielka zazdrość, że czekoladowa trufla smakowała jej jak popiół.

- Kryształowe koraliki, srebrne cekiny, wszystko, co migocze w świetle. I pomyślałem, że krótsze spódniczki, „paczki” będą bardziej odpowiednie. - W nastroju powszechnego entuzjazmu bez dyskusji przyjęto ten drobny wyłom w tradycji.

- A ty będziesz zakochanym śmiertelnikiem? - Dandre zapytał Lwa mimochodem.

- Chciałem wziąć Niżyńskiego, ale Michał potrzebuje go w nowym przedstawieniu. Legat się nie nadaje, Guerdt trochę za stary... Według mnie ta rola jest równorzędna do roli baleriny, więc... ja ją zatańczę, przynajmniej będę wiedział, co choreograf ma na myśli.

- W to nie wątpię - Dandre sprawiał wrażenie, jakby nie umiał się uśmiechać, ale odnosił się do nich bardzo miło. Najwidoczniej Lew wiedział, jak postępować z tym surowym protektorem.

- Moi przyjaciele, moi drodzy przyjaciele. Proszę, rozmawiajcie, pijcie szampana i mną się nie przejmujcie, bo muszę zmykać na następne spotkanie. - Gospodarz wstał i kłaniał się uśmiechając szeroko. - Z prawdziwym żalem opuszczam towarzystwo tak pięknych kobiet. Ale za dziesięć minut muszę być po drugiej stronie Admiralicji, więc uciekam. - Niesławny komitet Siergieja Pawłowicza? - zapytał Dandre, a wśród zgromadzonych powiało chłodem, jakby ktoś otworzył okno w zimową noc.

- Niestety, tak. Potrafi przekonać najbardziej opornych... Chce zabrać do Paryża *Borysa Godunowa*, a to marzenie każdego scenografa. - Leon Samojłowicz z przepaszającym uśmiechem ruszył w stronę wyjścia.

- Tracisz czas. Nigdy nie znajdzie odpowiedniego poparcia i Bogu dzięki, bo paryżanie umarliby z nudów jeszcze przed końcem przedstawienia.

- Może i masz rację, Wiktorze, ale czego się nie robi dla przyjaciela, sam wiesz, obiecałem... Do rychłego zobaczenia!

- kuląc się ze wstydu drobniutki malarz wysunął się z pokoju i delikatnie zamknął drzwi, jakby obawiając się, że hałas spowoduje wybuch gniewu.

- Wielki ksiązę Władimir na pewno wyłoży pieniądze.

Celia Brayfield

Przecież Szynszyl zrobił go prezesem komitetu. - Tylko dobrze znający Tati wyczuli, jak bardzo się przejmuje.

- I wszystko straci. Moim zdaniem się wycofa. Diagilew nie jest teraz w modzie. To cwaniak, sam tak mówi o sobie.

Chociaż w życiu prywatnym uchodzą mu na sucho najróżniejsze ekscesy, to jeśli w swojej bezczelności sądzi, że może publicznie bronić kochanków... - Dandre powiódł lodowatym spojrzeniem po zgromadzonych, oczekując od nich deklaracji lojalności.

- W zeszłym tygodniu wyrzucili go i jego okropnego kuzyna z restauracji Kubat, bo się pobili o jakiegoś chłopca.

- Zamyślona twarz Anny wyrażała święte oburzenie.

- No cóż. - Tati ze słodkim uśmiechem spojrzała prosto w oczy parze surowych sędziów. - W takim razie mamy szczęście, że przestał się interesować baletem. Po kłótni z dyrektorem przestał się u nas pokazywać.

Mimo serdecznych próśb Baksta towarzystwo szybko się rozpierzchło, a Lew odprowadził Marię i Lidię do domu. Choć była wczesna jesień, na nocnym niebie nadal jaśniał srebrzysty blask po zorzy polarnej, a lodowaty wiatr szczypał w policzki.

- Okropny ten szampan. - Lidia wpatrywała się w dal ponad szarymi falami rzeki; czuła, że gdy zostali sami, gniew ogarnął ją ze zdwojoną siłą.

- Francuski, bardziej wytrawny od naszych, rosyjskich bąbelków. Nie piłaś nigdy wcześniej francuskiego?

- Nie wiedziałam, że taki z ciebie smakosz.

- Wcale nie. - Chwilę szli w milczeniu, aż wreszcie Lew nie wytrzymał i zapytał: - I co sądzisz o moim pomysle? Dobry?

- Dałeś Annie *pas de deux*. - Wreszcie, odwróciła się ku niemu i wściekły wyraz jej twarzy wręcz go przestraszył.

- A więc tak wygląda twój podziw dla mojego tańca.

- Och, Lidio, nie przejmuj się tym tak bardzo. Widzisz przecież, jak się sprawy mają między nią a Dandre, i w końcu to on rządzi. Wierz mi, że wolałbym stworzyć coś dla ciebie niż wychodzić ze skóry, aby wymyślić układ, który ona potrafi odtworzyć z tymi żalonymi kolanami. Nie martw się, jak ty się znajdziesz na scenie, nikt na nią nawet nie spojrzy. To będzie twoja noc, Liduszka, uwierz mi.

- Wierzyć tobie! Najpierw mnie namówiłeś, żebym sprowadziła wszystkich, i tak mi za to dziękujesz? Wiesz, że dyrekcja mnie prześladowuje. Twierdzisz, że dużo dla ciebie

Kolia

163

znacze, ale jak mam ci wierzyć czy zaufać, kiedy stawiasz mnie w takiej sytuacji?

- Ale co ja mam zrobić?

- Jedno mi zostaje, mieć nadzieję, że znów wpadnie do budki suflera. I wtedy dostaniesz nauczkę, jak się powinno traktować prawdziwe artystki. - Skrzyżowała ręce na piersiach i ruszyła do przodu szybkim krokiem.

- Och Lidio, musisz to zrozumieć! - Maria podbiegła do niej i objęła ją ramionami.

- Oczywiście, że rozumiem. Ale nie możecie się spodziewać, że mi się to będzie podobało. Chyba tyle Lew powinien wiedzieć.

- Liduszka, błagam. Nie mogę postąpić inaczej. I może wszystko się jakoś ułoży. Wiem, że Siergiej Pawłowicz chce zabrać Annę do Paryża, jeśli mu się uda zorganizować wyjazd.

Lidię ogarnęła tak szalona zazdrość, że aż jej zabrakło tchu.

- Paryż! Jawna niesprawiedliwość! - zdołała tylko wydusić.

- I o co ci teraz chodzi? - Lew zatrzymał się wymachując rękami ze złości. - Nawet gdyby Szynszyl cię poprosił i tak byś z nim nie pojechała, zawsze na nim wieszasz psy, a do tego pewnie będą tańczyć w stylu greckim, propagowanym przez Michaiła, czego przecież nie znosisz. Nigdy ciebie nie zrozumiem!

- To niesprawiedliwe! Dlaczego Anna ma jechać do Paryża, skoro ona nienawidzi się bawić, chodzić na przyjęcia, nie znosi pięknych strojów i przyjemności, jest pedantką, nudziarą i pokraką, a dostaje dobre recenzje tylko dlatego, że śpi z krytykami... - W świetle latarni oczy Lidii lśniły tak mocno, jakby zakreśliły się w nich łzy.

- Lulu, kochanie! - Maria objęła ją mocno. - Tylko z jednym krytykiem, teraz ty bądź sprawiedliwa.

- Jeden w zupełności wystarczy.

- Ale teraz jest skazana na tego obrzydliwego Dandre, a my będziemy mogły tańczyć na jego balu i wybrać sobie kogo zechcemy spośród oficerów Gwardii Konnej. I kto ma większe szczęście? - Lidia słysząc to prychnęła. - I ty jesteś silna, a ona słaba, ty piękna, a ona ma nos jak... kopa siana. I tylko pomyśl, jak ona będzie wyglądała w krótkiej „paczce”, a w całym zespole twoje nogi są najlepsze.

Lew balansował na krawędzi chodnika i czując, jak mięśnie łydek się napinają, gdy opuszczał pięty w dół ku rynsztokowi, próbował się skupić na czymś innym, byle nie słuchać tak

Celia Brayfield

przerażliwie banalnej rozmowy. Analizował sylwetki obu dziewcząt, jedna postać wyrażała rozpacz, a druga pociechę, i dzięki temu pożytecznemu ćwiczeniu intelektu nie wył ze złości.

Po chwili Lidia dała się przekonać i ruszyli w stronę mieszkania, przyjaciółki objęte ramionami, naburmuszony Lew u ich boku.

- Czekaście! - zawołał przystając na rogu ulicy. - Nie możemy się tak rozstać w gniewie. Jesteście głodne? Znam restaurację tu blisko, możemy zjeść rybę z sałatką, może się czegoś napijemy...

- Znam te twoje „restauracyjki” - warknęła Lidia. - Trociny na podłodze i jakiś pijak bazgrze po serwetkach twierdząc, że pisze wiersze. Chciałbyś przez parę godzin zanudzać nas gadaniem o swoich pomysłach. Dziękuję bardzo, ale nie skorzystam. Żałuję, że nie zostałam w domu i nie szłam przez całą wieczór, przynajmniej bym pożytecznie spędziła czas.

W ponurym nastroju poszli dalej, aż stanęli przed kamienicą, przed którą rozciągał się trawnik.

Gdy kobiety weszły do środka, Lew popadł w przygnębienie; osunął się na kamienną ławkę jakby pchnięty czyjąś gigantyczną dłonią. Za zasłoniętymi oknami mieszkania zapalały się i gasły lampy, ale cienie były zbyt wątle i nie potrafił rozpoznać Lidii ani odgadnąć, w którym pokoju śpi. Zamknął oczy i jego wyobraźnię zapełnili tancerze - niezmordowane maszyny z olśniewającymi uśmiechami na twarzach, wykonujące każdą, wymyśloną przez niego, sekwencję ruchów. Lew nie spał, kiedy z mlecznej mgły poranka wynurzył się zapalacz lamp, ale był tak zmarznięty, że staruszek z trudem postawił go na nogi i pociągnął w dół ulicy, aż krew żywiej popłynęła w żyłach młodzieńca.

Na próby dano im do dyspozycji rzadko używany Teatr Jekatieriński, przypominający raczej salę koncertową o małej, pozbawionej okien widowni. Lidia pracowała bez zapału. Bezskutecznie szukała pretekstu, by wybuchnąć gniewem na Lwa, i tłumiona złość pożerała jej siły. *Z* biegiem czasu *Plejady* nabierały kształtu i było coraz wyraźniej widać, że stanowią duże osiągnięcie u tak młodego twórcy, zwłaszcza w zawodzie wymagającym dojrzałości.

Pas de deux dokładnie uosabiało zamierzenia Lwa - romantyczny fragment przepełniony neurotycznym smutkiem został świetnie dopasowany do możliwości Anny. *Z* pozoru łatwe,

Kolia

164

jednak stwarzało problemy techniczne, bowiem Lew zapożyczył styl od mistrza, łącząc piruety i podskoki w pełne wyrazu sekwencje, ale doświadczona balerina radziła sobie z nimi bez kłopotów. Solowe wariacje pozostałych sześciu gwiazd były czarujące i dawały każdej z dziewcząt okazję pokazania się z najlepszej strony. Lidia miała przefrunąć po przekątnej sceny w dwóch seriach zapierających dech w piersiach podskoków i dalej wirować w zawrotnym tempie, aż po kres swych możliwości, schodząc ze sceny imponującym skokiem kończącym się w kulisie. Choć kroki były bardzo trudne, zdołała nadać im charakter, stworzyć w całość kokieteryjną i dowcipną.

- Wspaniale! - Leon Samojłowicz niemal skakał z radości, gdy przyszedł na próbę pokazać ostateczną wersję projektu kostiumów. - Wirująca Gwiazda, co Lew? Gwarantuję, że doprowadzisz publiczność do wrzenia. Biała suknia? Jak sądzisz?

- Myślałem o czerwonej. - Lew właśnie pokazywał ruch niezgrabnej Innie i nawet się nie odwrócił.

- Lew, jak możesz! Wiesz dobrze, że w czerwonym wyglądam okropnie. - Czują, że zabrzmiało to jak narzekanie złośnicy, ale nie zdołała odezwać się słodszy tonem.

- Jak więc chcesz. Tworząc balet nie zawracam sobie głowy kolorem strojów!

- W takim razie biała? - Leon Samojłowicz wzruszył ramionami i puścił do niej oko.

Po kolejnych próbach młody zespół coraz bardziej przypominał trzymającą się razem, radosną grupę spiskowców absolutnie pewnych sukcesu. Otoczenie zwróciło uwagę na ich podekscytowanie i w czasie prób na mrocznej widowni pojawiały się tajemnicze postacie. Któregoś dnia zdumiona Lidia rozpoznała potężną sylwetkę Siergieja Pawłowicza Dia-gilewa rozpartego na fotelu dokładnie w środku rzędu.

- Co Szynszyl tu robi? - rzuciła pytanie w przestrzeń. Sześć dziewcząt siedziało z tyłu sceny obserwując Innę wykonującą swoją solówkę.

- Na pewno Leon go zaprosił, przecież nadal są w przyjaźni, prawda? Patrz, jak koło niego lata, jak osa wokół garnka z miodem.

- Chyba widzę tam Michaiła Michajłowicza.

- Tak wygląda. - Nawet w słabym świetle można było rozpoznać gładko wygoloną twarz baletmistrza.

- A oto i Lew. Ten nie zostanie z boku, gdy schodzą się bogowie.

Celta Brayfield

- Oszalał ze szczętem - oświadczyła Lidia, gdy mężczyźni szczerze gratulowali mu sukcesu całując w policzki i wymieniając uściski dłoni. - W zeszłym tygodniu wezwali policję, żeby wyrzucić Siergieja Pawłowicza z teatru, bo przyszedł i zaczął się wtrącać w czasie próby nowego baletu, a teraz Lew wita go z otwartymi ramionami. Jeśli rzeczywiście chce zrobić karierę, powinien uważać, z kim się przyjaźni.

- Och, Lidio, dzieciak z ciebie. - Anna mówiła ostro, choć nie spuszczała oka z rozmawiających na widowni. - Lew wie, co robi. Kto dba o opinie tych głupców w zarządzie? To dworscy pochlebcy, którzy kompletnie się nie znają na sztuce. Jak chyba wiesz, świat się nie kończy na brzegach Newy.

- Łatwiej się o tym przekonać, jeżeli się miało okazję podróżować.

- Prawda, byłam parę razy za granicą, i co z tego? Nic na to nie poradzę, że ludzie chcą oglądać mój taniec.

Grupa szybko się rozpierzchnęła, nie lubiły wiecznie zadowolonej z siebie, starszej tancerki, która nie zważając na ich złośliwe gesty wdzięcznym krokiem ruszyła w stronę panów. Misza Aleksandrów pomógł jej zejść ze sceny, po czym sam wskoczył na deski.

- Lidio Aleksandrowna! Miałem nadzieję, że się tu spotkamy. A pani blond przyjaciółka? O tak, Maria, prawda? Chodźmy porozmawiać na stronę. - Pewnym ruchem ujął Lidię pod ramię i zaprowadził na tyły sceny, za dekoracje, wręcz wymarzone miejsce dla pragnących się ukryć tancerzy.

- Moje drogie, muszę wam złożyć gratulacje. Ten balet to absolutne cudo! Olśniewający, tak, olśniewający. Wszyscy mówią tylko o tym. Nasz mały Lew wyrośnie na gwiazdę. Miałycie ogromne szczęście, że was wybrał, mnie coś takiego nigdy się nie trafia. - Na jego szlachetnej twarzy o nieco ostrych rysach pojawił się wyraz smutku, przysiadł na drewnianym koźle. - A więc, moje drogie, chciałbym wam przekazać miłe zaproszenie. Paru moich przyjaciół - a wiecie, że mam szczęście do dobrych przyjaciół, wielu obraca się w najlepszych kręgach - będzie pomagało przy organizacji wieczoru, co należy do tradycji Gwardii Konnej - też na pewno słyszałyście o tym. Po wszystkim chcą urządzić małe przyjęcie w restauracji na cześć kilku spośród boskich tancerek, które były tak dobre i pracowały z całych sił...

- Och, Misza, wal prosto z mostu.

Kolia

167

- Moja droga, oni nie zapraszają prostaczek wyrażających się jak przekupki.
 - Misza, kochanie, nie gniewaj się. Maria naciągnęła ścięgno i od rana jest w fatalnym nastroju. Powiedz, gdzie ma się odbyć przyjęcie i kim są twoi utytułowani przyjaciele?
 - W Kubacie, a gdzieżby indziej? Gospodarzem będzie generał Rogożyn, więc przyjdzie jego bratanek Aleksy oraz jego kumple: Wasyl, Andriej, Pierre, ci co zwykle... - Zawsze sypał imionami jak z rękawa, tak że słuchacze obawiając się zdradzić swą ignorancję nie dopytywali się o nazwiska. Bratanka generała Rogożyna znały ze słyszenia, ponieważ wytrwale zabiegał o względy jednej z przyjaciółek Tati.
 - Aleksy Rogożyn to ten, który oszalał na punkcie Lulu Kiakszt?
 - Znacie wszystkie najnowsze ploteczki, co?
 - Misza, nie żartuj. A jeśli szwagier Marii nie pozwoli nam przyjąć zaproszenia? Gdyby znalazła się tam Lulu, to i Tati mogłaby przyjść, doskonale, bo Tamara Płatonowna słynie z przyzwoitego i właściwego zachowania.
 - Przebiegła lisica! Moja droga, jestem absolutnie pewny, że obie, i Lulu, i jej pruderyjna przyjaciółka, dostaną stosowne liściki. - Wszyscy troje przytaknęli, jako że otrzymać zaproszenie to jedno, a przyjść to zupełnie co innego.
 - Więc poprosisz szwagra o pozwolenie i dacie mi znać jutro, dobrze?
- Lidia i Maria porozumiawszy się bez słów odpowiedziały z wystudiowaną obojętnością i zgodziły się bez entuzjazmu. Aleksandrów odszedł wolnym krokiem zastanawiając się nad głupotą wszystkich małych dziwek, które przybierają pozę czystych dziewic, gdy tymczasem na sam widok munduru zachowują się niczym kotki w marcu. Jakby ilustrując jego myśli, Maria i Lidia piszcząc z radości padły sobie w ramiona, gdy tylko zniknął im z oczu.
- Nareszcie! Robimy krok do przodu!
 - Lidio, naprawdę sądzisz, że powinniśmy tam iść? Wiesz, co mówią o znajomych Miszy. Potrafią szaleć i przecież nie chcemy od razu zniszczyć sobie opinii.
 - Chyba żartujesz? Pierwsza okazja po dwóch latach czekania, a ty chcesz ją zaprzepaścić ze strachu o naszą reputację?
 - Wszystko jest możliwe. Nie powiedzie się nam tak dobrze jak mojej siostrze, jeśli wezmą nas na języki.
 - Głuptasie, będą o nas plotkować, jeżeli sobie na to

Celia Brayfield

zasłużymy. Wystarczy zachowywać się cnotliwie niczym dwie mniszki i wszystko pójdzie jak z płatka. Zaufaj mi.

- Kochana, tobie mogę ufać do końca świata, ja się martwię o siebie. Och, ci wszyscy wspaniali mężczyźni!

Dzień przedstawienia został pobłogosławiony przez Opatrzność. Lidia uzupełniła codzienne czynności tuzinem drobnych przesądów, najpierw zwracając uwagę na osoby spotkane po drodze na ulicę Teatralną. Tego ranka minęła garbuskę, co powinno przynieść większe szczęście niż para srok. Gdy doszła do schodów, to jej prawa noga trafiła na pierwszy stopień; w czasie lekcji Legat nie skrytykował jej ani razu, raczej normalne, skoro poruszała się niczym anioł. Zaś na sam koniec, jakby na ukoronowanie, w czasie ostatniej próby w Teatrze Jekatierińskim silny wiatr wyłamał ramę okienną, więc nawet Lew przyznał, że to ręka boska stłukła szybę na znak pomyślności.

Odkąd po raz pierwszy tańczyła solo, jako dziecko w Ermitażu, nadała sekretną nazwę uczuciu, które wtedy ją nawiedziło i od tego czasu wracało rzadko i niespodziewanie; poczuciu, że bierze ją we władanie i ożywia nadrzędna moc. Nazwała ją po prostu Cudownym Duchem. Gdy zakładała biały kostium do baletu *Plejady*, rozpoznała w kończynach fantastyczne wrażenie nadejścia Ducha, ale próbowała je stłumić obawiając się, że Duch może ją ukarać za zbytnią pewność i się nie zjawi.

Widzowie od pierwszej chwili dobrze przyjmowali balet, oklaski wybuchały bardzo często, więc dziewczęta zaczęły się wręcz obawiać, że spędzą więcej czasu na ukłonach niż na tańcu. Wśród audytorium działała klika Pawiowej, bez wątpienia opłacona przez Dandre, ale przy tak wielkim entuzjazmie i tak wielu hałaśliwych młodzieńcach wśród publiczności ich sztuczny entuzjizm ginął w powodzi braw.

Lidia wychodziła na scenę pewna siebie, choć trochę przygnębiona, bo - jak przewidywała - Cudowny Duch zniknął wypłoszony jej błaganiami. Wtem, wykonując ostatni skok z pierwszej serii, poczuła, że ogarnia ją jego cudowna siła - ciało utraciło wagę, mogła zrobić wszystko, i nim pofrunęła przez scenę w kolejnych ewolucjach, przez ułamek sekundy uchwyciła spojrzenie dyrygenta. Słyszała szmery i pomruki zachwytu, oklaski wybuchnęły, nim zdołała w pełni pokazać wirtuozerię tańca.

Kolia

169

Gdy wykonała ostatnie *pas*, publiczność ogarnęło zupełne szaleństwo, ponad światłami rampy dostrzegła, jak połowa widowni zerwała się na równe nogi bijąc brawo. Wykonała obowiązkowe ukłony: na prawo w kierunku carskiej łoży, w której zasiadali Dandre i generał Rogożyn, na lewo ku dyrektorowi - z przyjemnością stwierdziła, że wstał jak inni; dwa kroki do przodu i głęboki skłon dla łóż, spojrzenie w górę, uśmiech i ostatnie dygnięcie dla galerii. Zerkając w bok dojrzała w kulisach przyjaciół klaszczących z całych sił oraz śniadą twarz Lwa wykrzywioną z emocji. Słyszała gwizdy i pokrzykiwania, wołanie „Brawo!” i „Bis!”, żądania kolejnego tańca, ale rzuciwszy jeszcze raz okiem w kulisy spostrzegła Pawiową ukrytą w ciemnym kącie, o rysach zastygłych w wyrazie wciekłości.

Duch jej nie opuszczał i Lidia splatając ramiona jakby przygarnęła do serca uwielbienie tłumu, po czym skromnym, wdzięcznym ruchem, którego by wcześniej nie potrafiła wykonać, poprosiła, by pozwolili jej odejść. Po paru sekundach ludzie zaczęli siadać, oklaski przycichły jak grzmoty oddalającej się burzy, a ona zgrabnie usunęła się na bok i nastąpiła kolejna część *pas de deux*.

Duch zniknął i gdy tylko przedstawienie osiągnęło triumfalny finał, znieczcierpliwiona myślała tylko o tym, by się przebrać w suknię z różowego muślinu i jechać na kolację. Arogancko wyrzuciła Lwa, który pierwszy do niej przybiegł z pochwałami, tylko chwilę dłużej słuchała gratulacji Leona Samojłowicza, który pojawił się za kulisami z wysokim, siwowłosym mężczyzną, wybitnym koneserem sztuki baletowej, generałem, księciem Biezobrazowem - dzięki jego zamówieniom mogliby się wszyscy wzbogacić.

Aleksandrów, w oczach młodych kobiet zaledwie starzejący się tancerz, z każdym rokiem bardziej pretensjonalny, nieoczekiwanie wkroczył do garderoby. Wyglądał imponująco w stroju wieczorowym, monokl komicznie powiększał jedno z dużych, błękitnych oczu. Komplementując finezję ich występu poprowadził Marię i Lidię do otwartego landa, którym powoził gruby stangret z siedzącym obok chłopcem w liberii. Na ich widok dwóch mężczyzn zeskoczyło z tyłu pojazdu, by pomóc w zajęciu miejsc i okryć nogi ciężką, futrzaną derką.

Lidii szumiało w głowie od tańca, odniesionego sukcesu i ze szczęścia, bo oto zbliżały się długo wyczekiwane przyjemności. Aż drżała z napięcia, policzki zabarwił rumieniec, a od

Celia Brayfield

zimnego powietrza poczerwieniał jej nos. Nawet zwykle blada Maria pokraśniała, gdy zatrzymali się przed Kubatem. Była to najmodniejsza restauracja w mieście, tutaj nieodmiennie odbywały się ważniejsze przyjęcia po przedstawieniach baletowych i operach; na parterze ulokowano obszerną salę jadalną, a ponad nią galerię prowadzącą do labiryntu prywatnych saloników.

Misza doskonale potrafił się opiekować zdenerwowanymi dziewczętami. Zawsze opłacało się okazać im trochę dobroci i troski na początku - to nic nie kosztuje, a gdy odzyskają pewność siebie, będą bardziej towarzyskie. Przeprowadził je przez tłum olśniewających gości, delikatnie ujmując za ramię lub w tali, szepcząc do ucha wskazówki, gdzie iść, aż dotarli do szatni. Tu zdjęły płaszcze oraz aksamitne, wieczorowe kapturki, poprawiły włosy i po raz kolejny komplementowały nawzajem własne suknie.

- Żałuję, że wybrałam czerwoną. - Suknia Marii była ze szkarłatnego szyfonu obszytego paciorkami. - Wygląda strasznie wulgarnie, prawda?

- Nie, wcale, poza tym doskonale pasuje do twojej karnacji. W mojej wyglądam jak zblakła fotografia. Mario, wali ci serce? Moje tak się tłucze, że nie wyduszę z siebie ani słowa.

- Mój żołądek będzie mówił za mnie. Umieram z głodu. Chwyciły się kurczowo za ręce i ostrymi spojrzeniami odpowiedziały na, jak im się zdawało, krytyczny wzrok szatniarki, przechodzących obok kelnerów i kierownika sali, którzy w istocie zwrócili uwagę na ich świeżą urodę i nerwowe podniecenie. Aleksandrów objął je ramionami i siedł między nimi; zachichotały poznając ten gest - zawsze tak prowadził poloneza w *Borysie Godunowie*, wiodąc je na piętro szerokimi schodami pokrytymi dywanem. Lidia poczuła nagły skurcz strachu. Przez chwilę widziała morze białych stolików i setkę ludzi pod nimi, kelner otworzył podwójne drzwi wiodące do salonu i usłyszały, jak anonsuje ich nazwiska.

- Ten mały człowieczek przy Dandre to wasz gospodarz, generał Aleksander Mikołajewicz Rogożyn - Misza wymruczał Lidii do ucha ciągnąc ją do przodu.

- Na Boga, prawdziwy bankiet! Nigdy w życiu nie widziałam tyle jedzenia - wyszeptła Maria za jej plecami, gdy generał ujmował ją za rękę. Przez moment myślała, że ją ucałuje, ale tylko chwilę przytrzymał. Rogożyn był rzeczywiście drobnej postury, ale i tak onieśmiał, bo przód munduru

gęsto pokrywały odznaczenia, a brylantowa gwiazda carskiego orderu wisiała pod szyją.

- Szanowni państwo, oto *mademoiselle* Kuzmińskaja, nowa gwiazda na naszym nieboskłonie. - Najwidoczniej w ciągu paru sekund ocenił ją i zdecydował, jaki ma przyjąć sposób zachowania. Blisko czterdzieści osób zgromadzonych w pomieszczeniu przerwało prowadzone rozmowy i odwróciło się w jej kierunku, by powitać ją oklaskami. Większość stanowili mężczyźni w ciemnoniebieskich mundurach Gwardii Konnej.

- Ci tutaj właśnie przybyli prosto z teatru - Misza taktownie poprowadził swoje protegowane w kierunku małej grupki.
- Proszę pozwolić sobie przedstawić: bratanek generała, major Aleksy Rogożyn, major Wasyl Nikonow, major Andriej Łazariew.

Trzech oczekujących z boku młodych oficerów pochyliło głowy w ukłonie i Lidia wyczuwając porozumienie między nimi odgadła, że dwóch ostatnich poprosiło Aleksandrowa o zorganizowanie dla nich towarzystwa na wieczór. Wszyscy trzej charakteryzowali się pewnym podobieństwem, chociaż młody Rogożyn wyróżniał się twarzą niemowlęcia, Nikonow był ciemnowłosy i rumiany, a Łazariew blady, o zapadniętych policzkach.

- Musimy przyznać, że dotychczas nie pasjonowaliśmy się baletem, ale po pań wspaniałym występie obiecujemy, że obaj, Andriej i ja, nadrobimy stracony czas. - Nikonow pogładził gęste wąsy. Miał wąskie, bardzo czerwone usta, na których ciągle gościł uśmiech i z błyszczącymi, okrągłymi oczami wyglądał na impertynenckiego chłopaczka.

- O, tak. Skoro zdaliśmy sobie sprawę z przerażających braków w naszej edukacji artystycznej, mamy zamiar nadrobić je jak najszybciej. Może mogłyby panie nam poradzić, co powinniśmy przede wszystkim zobaczyć?

- Niech panie nie zwracają na niego uwagi, to głupiec. Po prostu będziemy przychodzić na każde przedstawienie zaszczycone pań występem, *mesdemoiselles*. Kiedy panie znów tańczą? Mam nadzieję, że wkrótce?

- Panowie, litości! Jeśli chcecie rzeczywiście poznać naszą gałąź sztuki, musicie bardzo ostrożnie wybierać przedstawienia. Lidio, jak sądzisz, czy powinni oglądać je w porządku historycznym? Zacząć od dawnych baletów romantycznych? - Maria zaczynała się dobrze bawić, choć nerwowe skubanie paciorków przy rękawie zdradzało jej zdenerwowanie.

Celia Brayfield

- To nie dla Andrieja! Żadnych romansów, biedaczek zbytnio ulega wpływom, a oficer nie może sobie pozwolić na zbytnią uczuciowość, która podkopuje morale.

Lidia oglądała z uwagą swój pantofelek i obwodziła jego czubkiem wzór na dywanie. W duchu mruczała jak zadowolona kotka - zawsze tak właśnie wyobrażała sobie prowadzenie kokieteryjnej, uwodzicielskiej rozmowy na wykwintnych przyjęciach.

- Zatem winnyśmy stwierdzić, że z was dwóch to pan ma twarde serce? - Zerknęła na Wasyla spod firanek rzęs.

- Oczywiście! - Andriej nie dopuścił kolegi do głosu. - W tym eleganckim otoczeniu może i sprawia wrażenie ucywilizowanego, ale niestety, Wasyl to w głębi serca straszny, nieczuły brutal.

- Kłamca. Proszę go nie słuchać. On mnie szkaluje. Jestem poważnym człowiekiem i tyle. Moje biedne serce odznacza się niezwykłą miękkością, dlatego muszę szczególnie dbać o nie. Tak łatwo je zranić, że nie chciałbym, aby trafiło w nieodpowiednie ręce.

- Chłopcy, opowiadacie głupstwa, a do tego bardzo niestosowne. Ledwo zostaliście przedstawieni damom, a już z nimi flirtujecie - zaszcebiotała rozzłoszczona Lulu Kiakszt na widok młodszej konkurencji. Podeszła do nich i zaborczym ruchem ujęła pod ramię swego wielbiciela. - Aleks, nie potrafisz ich utrzymać w ryzach?

Zapadła niezręczna cisza, którą przerwało pojawienie się kelnera z tacą zastawioną małymi kieliszkami.

- O, wódka, wspaniale! - Misza zachęcił Lidię stanowczym spojrzeniem. Gdy przelykała, na chwilę zapiekło ją w gardle.

- Proszę spróbować, *mademoiselle*, świetnie zaostrza apetyt.

- Na jego brak akurat nie narzekam - odparła Maria i oblała się rumieńcem tak czerwonym jak jej suknia, gdy donośne burczenie w brzuchu potwierdziło jej słowa.

- Błagam o wybaczenie! Umieracie obie z głodu, gdy tymczasem zabawiamy was nudną rozmową - Wasyl ruszył natychmiast w stronę bufetu, wzrokiem przywołując obsługę.

- Uroczą rozmową - poprawił go Andriej, podając Lidii ramię. - Czy możemy panią na coś namówić? Jeśli nie chce pani żadnej z tych potraw, proszę tylko szepnąć słówko. Kucharz spełni każdą zachciankę.

Przed nimi piętrzyły się stosy jedzenia. Obok lodowych

Kolia

173

rzeźb przedstawiających siedem gwiazd i srebrnych wazonów wypełnionych cieplarnianymi różami, stało co najmniej trzydzieści półmisków zakąsek, między innymi czarny i czerwony kawior, grzyby marynowane oraz pulpeciki w gęstym, śmietanowym sosie.

- Podają tu wspaniałe ryby - zachęcał Andriej. Wygłodzona Lidia powiodła błędnym spojrzeniem po rybach marynowanych, wędzonych, suszonych, solonych, rybach w ostrym sosie, w winie, w cieście, smażonych w ziołach, faszerowanych i kotletach rybnych.

- Musi pani tego spróbować - Na skinienie Andrieja, kelner uniósł srebrną pokrywę i uderzył ją ziołowy zapach gorącej potrawy. - Moje ulubione: kiełbaski smażone na maśle. I parę ziemniaczków, może w majonezie z oliwy? Lubi pani? Albo tamte, w kwaśnej śmietanie? Delicje. Może diabło-tki serowe, wprost niebiańskie, rozplływają się w ustach...

Wódka paliła ją w pustym żołądku i Lidia poczuła lekkie mdłości. Stojąca obok Maria uśmiechała się w niemym zachwycie, gdy kelner na polecenie Wasyla piętrzył na jej talerzu stos złożony z maleńkiej porcji każdej z potraw, a gdy góra wyrosła tak wysoko, że groziła upadkiem, zaczął układać jedzenie na drugim talerzu.

- Jeśli się pani nie może zdecydować, proszę spróbować wszystkiego po trochu - oświadczył poufnym tonem, jakby jej zdradzał największy sekret smakosza.

- To z serem jest dobre - zachęcał ją Misza, wyczuwając w powietrzu kłopoty.

- *Oliner mayonnaise* jest obowiązkowy, musisz skosztować - rzuciła Lulu przez ramię, nakładając sobie na talerz.

- Chyba jednak... - Andriej z uwagą chłonał każde jej słowo - ...powinam zjeść coś prostego. - Coraz bardziej utwierdzała się w tym przekonaniu. - Mam wielką ochotę na budyń ryżowy.

Wszyscy zamilkli zdumieni.

- Błagam, nie rób mi wstydu, bo pierwszy raz znalazłaś się w restauracji - Misza syczał pod nosem. Goście zamarli ze zdumienia.

- Budyń ryżowy, hmm... coś nowego - złośliwie prychnęła Lulu, oczekując wybuchu śmiechu. Ulżyło jej, teraz już nikt nie zaprosi tych prymitywnych dziewczyn na przyjęcie w wyższych sferach.

- Ale ja naprawdę chciałabym trochę budyń - nieszczęś-

Cetia Bray field

liwa Lidia zwróciła się do Andrieja. - Powiedział pan, że potrafią tu przyrządzić każdą potrawę.

- Na co czekasz? Natychmiast przynieś *mademoiselle* najlepszy budyń ryżowy w St Petersburgu. - Rozległ się spokojny, wyważony głos wysokiego mężczyzny. Lidia zwróciła na niego uwagę, gdy przerażona wchodziła do salonu, bo miał na sobie mundur innego koloru: jasnobłękitny w odcieniu wiosennego nieba. - Z dżemem?

- Malinowym, jeśli można prosić - przytaknęła, czując się zaskakująco pewnie.

- Oczywiście.

Szef kelnerów miękko klasnął w dłonie, pikolak wysunął się przez boczne drzwi i na nowo rozległy się szmery rozmów.

Aleksandrów, zmuszony do dokonania prezentacji, zakasłał zirytowany i szepnął pod nosem:

- Moja droga, złowiłaś księcia Orłowa, to ponury łajdak, więc niech nas niebo ma w swojej opiece. - Po czym ruszył ku niemu i dodał głośno. - Wasza Wysokość pozwoli sobie przedstawić: *mademoiselle* Lidia Aleksandrowna Kuzmińska, *mademoiselle*, oto Jego Wysokość książę Mikołaj Konstan-tynowicz Orłów.

- Moje uznanie, *mademoiselle*. - Ledwie dotknął jej uprzejmie wyciągniętych palców. - Nie mogłem znieść spokojnie, by tancerka zapowiadająca się na gwiazdę głodowała przy suto zastawionym stole.

- Wasza Wysokość jest zbyt łaskawy. - Lidie rozzłościło określenie „zapowiadająca się”, ale głód na chwilę zwyciężył gniew. Popatrzyła w górę na jego twarz o wysokim czole i mięsistym podbródku. Miał niedostępne oczy. Zawsze tak właśnie wyobrażała sobie przedstawiciela szlacheckiego rodu, który od pokoleń tkwił w otoczeniu carskiej rodziny. Sto pięćdziesiąt lat temu jego przodek, książę Grigorij, uzyskał swój tytuł jako jeden z najwybitniejszych w liczonym gronie kochanków carycy Katarzyny.

- Och, nie - zaprzeczył obojętnym tonem i już się więcej nie odezwał, mimo że Aleksandrów podejmował nieśmiało próby nawiązania towarzyskiej konwersacji. Przeszli do stolików umieszczonych z boku sali i nakrytych do posiłku. Gdy Maria, pod opieką Wasyla i Andrieja, kończyła drugi talerz zakąsek, wniesiono budyń w kryształowej czarze na srebrnym półmisku.

Orłów patrzył, jak Lidia żarłocznie zajada potrawę, metodycznie rozprowadzając dżem łyżką po wierzchu. Łykała

Kolia

175

w milczeniu, gdy wtem pomyślała, że powinna się wstydzić, ale wcale nie czuła zażenowania.

- Wyjątkowa rzadkość - odezwał się po dłuższej chwili. - Doskonale pani wie, czego pani chce, prawda?

- Czyżby to była rzadka cecha?

- Z całą pewnością u kobiety, przynajmniej ja tak sądzę. Nadal nie rozpoznaje pani mojego munduru?

- Proszę mi wybaczyć, ale mało wiem o sprawach wojskowych...

- Kiedy spotkaliśmy się w tak dramatycznych okolicznościach, sądziłem, że będzie mnie pani pamiętała po kres swoich dni.

- Pan sobie ze mnie kpi. - Nieoczekiwanie ogarnęło ją zmęczenie i niepokój. - Na pewno nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy.

- Muszę się niestety upierać, ponieważ mam rację i doskonale przypominam sobie pani nazwisko. Prawdę mówiąc, czasem się zastanawiałem, co się z panią działo po tym dniu i czy obcięła pani włosy.

Stopniowo ciepło, pełen żołądek i zmęczenie zaczęły wywierać na nią wpływ. Zapomniała o długich przygotowaniach do występu, złości na Lwa i niecierpliwym oczekiwaniu na przyjęcie, powoli zniknęła też jej normalna siła. Stłumiła ziewnięcie i z trudem obdarzyła księcia zawsze dobrze działającym na mężczyzn, nieśmiałym uśmiechem; jak mogła myślami błędzić gdzieś daleko i marzyć o śnie, skoro jeden z najbogatszych i najwykwintniejszych kawalerów w kraju twierdzi, że się znają?

- Moje włosy? Wielu je podziwia, jakżebym mogła zastanawiać się nad ich obcięciem? Wywołałoby to powszechną żalobę. - Jak na zamówienie jeden z loków wymknął się z upiętej fryzury i nim wsunęła go na miejsce, okręciła kilkakrotnie wokół palca.

- A zatem nie sprawiają dużych kłopotów? - powiedział to dziwnym tonem, jakby próbował zażartować, ale brakowało mu w tym wprawy.

- Hmm, przyznaję, że długie włosy ciążą w tańcu i muszą być mocno upięte przed wyjściem na scenę, ale kobieta zawsze cierpi dla urody i wolę mieć loki niż lekką głowę.

- Następna właściwa decyzja. Proszę mi powiedzieć, co by pani chciała teraz zrobić?

W sali było gorąco i hałaśliwie, aż dudniło od głośnego

Celia Brayfield

śmiechu oficerów. Maria podparła dłońmi opadającą głowę i spod zamykających się jej co chwila ze zmęczenia powiek zerknęła na swych wielbicieli. W myślach Lidii zamajaczył obraz jej miękkiego, białego łóżka.

- Pójść do domu - odparła i czując, że mogą ją uznać za niewdzięcznicę, szybko dodała: - Bawiłam się cudownie, to był po prostu boski wieczór i szkoda, że nie może trwać wiecznie, ale my, osoby pracujące w balecie, nie możemy sobie pozwolić na częste zarywanie nocy.

- Więc nie będzie pani tańczyła w Akwariu?

- To nocny klub, prawda? - Z przerażeniem zobaczyła, jak Maria kiwa się na krześle, a jej towarzysze zatopieni w rozmowie niczego nie zauważyli.

- Stepuje tam amerykański Murzyn. Bardzo zabawny, powinna go pani kiedyś zobaczyć.

- Nigdy by mi coś takiego nie przyszło na myśl. - Instykt jej podpowiedział, że powinna się od początku wysoko cenić. Jednak ku jej rozczarowaniu książę nie nalegał i rozejrzawszy się wokoło, ruchem głowy przywołał Aleksandrowa.

- Pańskie uroczę towarzyszek są bardzo zmęczone. Proszę skorzystać z mojego powozu - oświadczył stanowczo i pożegnał je sztywnym ukłonem. Lidia wychodząc spojrzała przez ramię - podszedł do wysokiej kobiety w bardzo modnej, aksamitnej sukni, która poruszała się wolno, sennie i wręcz ociekała kosztowną biżuterią.

Zamknięty powóz Orłowa miał rozmiary małego pokoju. Dzięki koszykom z żarzącym się węglem, umieszczonym pod siedzeniem, w środku było ciepło i pachniało przyjemnie, a choć nie potrzebowały okrycia, woźnica otulił je sobolowymi derkami. Maria natychmiast zwinęła się w kącik i przytuliła twarz do czerwonego, pluszowego obicia.

- Jedźmy szybko - błagała słabym głosem. - Czuję się okropnie.

- I tak też wyglądasz, moja droga. Lepiej otwórzmy okno. - Misza pociągnął za skórzany pasek odsuwając szybę, po czym z łoskotem padł na siedzenie.

- Nie złość się Misza, następnym razem pójdzie nam zgrabniej. - Lidia nagle pomyślała, że jej kariera w towarzysztwie kończy się nieodwołalnie.

- Chyba sobie nie zdajecie sprawy... Niby skąd, przecież zupełnie z was żółtodzioby... że gdy mi polecono was zabrać, rozmawiałem właśnie z księciem Lwowem. Między nim i Wac-

Kolia

177

ławem wszystko się ładnie układało, ale teraz się znudził. Ma teraz nowego przyjaciela, ale Waclaw - mój Boże, ten chłopak to idiota, cały rozum ma w nogach - jest przekonany, że to prawdziwa miłość i kręci się wokół Lwowa przewracając oczami... I wujek Misza musi zrobić porządek. Och, wierzcie mi, dziewczęta, zadowolić arystokrację to nie bułka z masłem. Ej, ty tam! Spokojnie! - Pędzący co koń wyskoczy powóz zakręcił ostro i wszyscy troje polecili w kąt.

- Nasz Waclaw? Waclaw Fomicz? Nie wiedziałam, że woli mężczyzn. - Zimne powietrze i okazja do plotek nieco ożywiły Lidie; stwierdziła, że ostatnio młody Polak zaczął nosić bardzo szykowne stroje.

- Dopiero odkąd Lwów zabrał go do Fabergego. A teraz się zakochał... Wszystkich to czeka, same się przekonacie. A zwłaszcza ty, droga Lidio, po tym jak Orłów natarł na ciebie niczym tatarskie hordy.

- Sądziłam, że był chłodny - rzuciła od niechcienia, próbując wyciągnąć od niego więcej informacji.

- Och, nie, on się tak zachowuje. Zawsze lodowaty, łatwiej wycisnąć wodę z kamienia niż jego zmusić do uśmiechu. Ponieważ studiował archeologię, więc uważa się za intelektualistę, przerastającego wszystkich o głowę. Chyba naprawdę jest dość wykształcony. Ale tobie udało się go nieco rozgrzać, gratulacje! Choć muszę przyznać, że mnie zaskoczyłaś. Od lat jest z pewną Niemką. Pewnie ją zauważyłaś - zawsze ubiera się zgodnie z najnowszą modą. Nigdy go nie złowi.

- Dlaczego nie? Jest piękna, nawet ty to musisz przyznać, Misza. - Przeważnie nie ufała jego opiniom, ponieważ bardzo rzadko mówił dobrze o kobietach, a zwłaszcza krytykował każdą polującą na męża.

- Za grosz klasy, stuprocentowa wieśniaczka. U Orłowa liczy się wyłącznie pochodzenie, a nie uroda. Zapamiętaj sobie dobrze, że tę grubą rybę złowisz wyłącznie na dwadzieścia stron w Almanachu.

- Jakim almanachu? - z kąta dobiegł drżący głos Marii. Powóz zarzucił po raz kolejny, kiedy skręcali na szeroki most na Newie i kołysał się rytmicznie, gdy konie nabierały szybkości.

- Jaki almanach! Słuchaj no, mój głupiutki koteczku. Warto cokolwiek sprawdzać tylko w jednym almanachu, Almanachu Gotajskim, tam są odnotowane wszystkie szlacheckie europejskie rodziny i dlatego stanowi lekturę obowiązkową

Celta Brayfield

każdej panienci w zachodnim świecie, początkującej w sztuce polowania na fortunę. Oho, znów lecimy! Kolejny gwałtowny podrzut i powóz skręcił w ulicę wiodącą wzdłuż kanału.

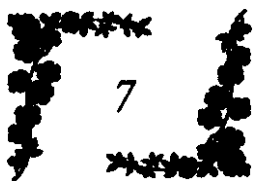
- Misza, niech on się zatrzyma! - Maria z trudem stanęła na równe nogi. - Będę wymiotować. Szybko!

Ich dobrotliwy opiekun, udając obrzydzenie, nakazał woźnicy krótki postój i ponieważ natychmiast wrócił na miejsce, Lidia uznała, że to ona winna pomóc podejść do brzegu rzeki Marii, która zataczała się na chodniku.

Gdy dziewczyna przechyliwszy się przez niski murek zwracała w nurty Newy cały wytworny posiłek, Lidia stała z boku osłaniając ją przed wzrokiem przechodniów. Zza obłoków wyglądała tarcza księżyca. I wtedy właśnie przypomniła sobie pierwsze spotkanie z księciem Orłowem.

Niechętnie przywoływała z najgłębszych pokładów pamięci straszliwe szczegóły tamtego dnia; wtedy miasto po raz ostatni spało spokojnie, wtedy po raz ostatni widziała swoją rodzinę. Na wpół świadomie potarła bok kolana, gdzie posiniaczyło ją końskie siodło. Nawet w tamtych okolicznościach ksiązę zachowywał się z lodowatym dystansem, chociaż wokół ginęli ludzie, a krew znaczyła te właśnie ulice.

Ponad promieniem księżycowego światła migoczącego na wodzie przeleciała w ciszy samotna mewa. Lidię ogarnęło głębokie poczucie, że oto rozstrzygają się jej losy. Zabrakło jej tchu i prawie się dusząc, głęboko zaczerpnęła powietrza. Misza może sobie mówić co chce, i rzeczywiście dzieli ich klasowa przepaść, ale nie miała najmniejszych wątpliwości, że jej przeznaczeniem jest kochać Orłowa.



Nicea, 1965

W willi Les Gazelles wszystko było przykryte. Na krzesła, niegdyś białą, skórzaną sofę i metalowe poręcze zarzucono wełniane szale, dziergane w jasny kwiatowy wzór na ciemnym tle. Czarny, chiński szal niemal w całości zakrywał fortepian, zasłaniając wypalone dziury, ślady po szklankach i łuszczący się orzechowy fornir. Nad dużymi oknami o metalowych framugach wisiały spłowiałe kordonkowe zasłony, chroniące przed promieniami słońca. Na gzymsie nad kominkiem leżał lniany bieżnik, wyhaftowany krzyżykowym ścięciem, z lampy zwisał różowy, szyfonowy szalik z wypaloną przez cygaro dziurą.

Alex Wolfe z niedowierzaniem rozglądał się dokoła. We wszystkich pokojach panował nieopisany bałagan.

Odnosiło się wrażenie, jakby przez dziesiątki lat, od czasu gdy dom został wybudowany, niczego stamtąd nie wyrzucano. Z pewnością mieszkanie niegdyś było modnie urządzone, do tej pory stały tam meble w stylu Odeon, teraz w opłakanym stanie, przykryte bieżnikami. Później jednak dodano tandetne rzeźbione stoły, szeszlony z wystającymi sprężynami, meble z wikliny i popękanej skóry, wszystko ustawione tak, aby między każdym zostało kilka centymetrów. W koszyku przy wygaszonym kominku chrapał stary czarny pies. Wzdłuż jednej ściany niemal do sufitu piętrzyły się sterty gazet. Na nich stała pusta klatka dla ptaka. Oprócz tego kilkanaście małych stolików - każdy przykryty - a na nich mnóstwo pożółkłych fotografii, drewnianych figurek zwierząt, szkatulek z laki, popielniczek i tanich, emaliowanych wazonów.

Na każdym załamaniu tkaniny widniał kurz, na podłodze i w kątach leżały „koty”, choć najwyraźniej podejmowano próby utrzymania porządku, bo niektóre fragmenty podłogi zostały wyfroterowane. Na ścianach, na których wisiały obrazy

Celia Brayfield

w ciemnych ramach, pajęczyny zaczynały się dopiero na wysokości metra osiemdziesięciu.

Babka i jej towarzyszka przy pomocy gestów i szybko wypowiedzianych francuskich zdań, z których Alex nie rozumiał ani słowa, dały mu do zrozumienia, że ma zdjąć plecak i usiąść na koślawej sofie. W stojącym powietrzu unosił się zapach perfum babki. Pierwszy raz zetknął się z tak egzotyczną wonią, nie była ona ani słodka, ani przyjemna, ale stanowiła zapowiedź świata, którego nie potrafił sobie wyobrazić, ale o którym wiedział, że istnieje gdzieś poza jego światem, poza Cleveland i Ohio, poza samą Ameryką.

Z początku babka usiadła przy nim, chwyciła go za rękę, całowała ją, przytulała do policzka mówiąc coś cicho do siebie i do swojej towarzyszki. Potem wypuściła dłoń chłopca i na wykrzywionych reumatyzmem nogach krążyła po pokoju, zbyt podniecona, by siedzieć. Alex mówił do niej *grand-mere*, a ona kazała to sobie raz po raz powtarzać, trzymając dłoń przy uchu, jakby słuchała śpiewu ptaka. - *Musiquel Musiquel* - Energicznie kiwała głową.

Swoją towarzyszkę przedstawiła najpierw jako Marie, potem, z przesadnie ozdobnym i niepewnym dworskim ukłonem, jako hrabinę Marię Stefanowną Nikonową, dodając do tego kilka zdań, których Alex nie rozumiał.

Kobiety uścisnęły się, śmiejąc się z jakiegoś żartu.

- *Je ne parle pas tres bien le français* - zaryzykował, odchrząknawszy.

Wybuchnęły piskliwym śmiechem, potem, uświadomiwszy sobie, że ich drogi gość może się poczuć dotknięty, objęły go, poklepując po ramieniu suchymi, kościstymi dłońmi.

Marie była masywna, z pewnością musiała nosić gorset, bo brzuch jej się nie trząsał, a przez opięty materiał sukni widać było kości biodrowe. Włosy, choć całkiem siwe, miała nadal gęste i gładkie; ładnie układały się wokół jej krągłej, opalonej twarzy. Ciężkim, kołyszącym się krokiem ruszyła do kuchni zrobić herbaty, ale mimo otyłości poruszała się lżej niż babka Alexa.

Marie przyniosła herbatę w srebrnym czajniczku, postawiła ją na poplamionym obrusie w jadalni i naląła do czerwonych filiżanek ze złotym brzeżkiem. Obie starszki zagadywały do Alexa, który uśmiechał się, wzruszał ramionami i nie rozumiał ani słowa. Nie potrafił sobie przypomnieć, jak po francusku jest mleko, a widząc, że kobiety piją herbatę tylko z cukrem, nie śmiał pytać. Między jego towarzyszkami toczyła się

Kolia

180

ożywiona dyskusja, popierana gwałtownymi ruchami ramion. Po jakimś czasie udało im się chyba dojść do porozumienia.

Marie wstała i podeszła do drzwi balkonowych. Zamek był zardzewiały, więc Alex pomógł jej otworzyć i podał jej ramię, gdy schodziła po kilku połamanych stopniach do ogrodu. Tam już sama ruszyła czerwoną ścieżką, wydając przenikliwe okrzyki. Nim doszła do końca muru, z willi naprzeciwko wynurzyła się inna starszuszka, piszcząc coś w odpowiedzi. U jej nóg kręcił się niewielki brązowy piesek o wyłupiastych ślepiach. Poskrzeczwały do siebie jak papugi nad fioletowymi pnączami, potem uniosły suknie i wróciły do domów.

- Ju-hu! - usłyszeli po jakimś czasie i ktoś niecierpliwie zastukał do drzwi wejściowych niepotrzebną, niklowaną, okrągłą kołatką.

Marie zerwała się z miejsca i wróciła z sąsiadką, która wyciągnęła do Alexa przezroczystą, piegowatą dłoń, z palcami powyginanymi przez artretyzm.

- Witaj, młodzieńcze, nazywam się Angela Partridge i, jak zapewne się domyślasz, jestem Angielką.

Była ubrana w plisowaną, popołudniową suknię w beżowy rzucik i w starannie zacerowane jasne pończochy. Pies usiadł u jej stóp i unióś łapę.

- A to jest sir Horace, gryfon, chciałby wymienić z tobą uścisk dłoni. O, tak.

- Mądry ma pysk.

Alex przykleknął i zrobił, co mu kazała. Zauważył, że kobieta jest o wiele czystsza od babki i Marie.

- Ja się nazywam Alexander Elliot Wolfe i przyjechałem z Cleveland w Stanach Zjednoczonych, ale to już pani prawdopodobnie wie.

- Ponieważ mówię podobnym do twojego językiem, twoja babka - bo rozumiem, że jesteś jej wnukiem, prawda? - poprosiła mnie, żebym służyła wam za tłumaczkę. Postaram się jak najlepiej wywiązać z tej roli. Mam nadzieję, że podróż nie była zbyt męcząca.

Usiadła na twardym krześle, sprawdzwszy uprzednio czy się nie rozpadnie.

- Leciałeś samolotem? Jakież to podniecające! Powiedz proszę, ile trwa lot?

Wszczęła z nim towarzyską rozmowę, którą kościelne przyjaciółki matki uznałyby za wyjątkowo finezyjną, bowiem nie poruszyli w niej żadnego osobistego tematu. Każde zdanie

Celia Bray field

tłumaczyła w fatalnej francuszczyźnie swoim towarzyszkom. Wreszcie babka zaczęła gwałtownie protestować i skierowała rozmowę na swój temat.

- A teraz - przetłumaczyła Angela, biorąc białą torebkę pod pachę - twoja babka chciałaby ci pokazać trochę zdjęć rodzinnych.

- Wspaniale! - Poderwał się, nie kryjąc entuzjazmu. Kobieta zerknęła na niego z zaskoczeniem i nutką cynizmu. - Pani nie rozumie. Nigdy nie widziałem zdjęć mojej rodziny. W domu, w Stanach, matka nie ma ani jednego. Co więcej, ani słowem nie wspomina o swojej rodzinie. O tym, że mam babkę, dowiedziałem się przypadkowo, przedtem nawet nie wiedziałem, czy istnieje. To znaczy, wiedziałem, że istnieje, ale nie miałem pojęcia, gdzie mieszka, kim jest, kim była, nic, zupełnie nic.

- Nie do wiary!

Do głębi poruszona Angela Partridge przetłumaczyła to szybko babce, wywołując pełne niedowierzania zdumienie słuchaczek.

- Doprawdy, niezwykła historia. To znaczy, że nie wiesz, kim była twoja babka?

- Kim była? - Wyglądał na zmieszanego. - Właściwie nie. Znam jej nazwisko, wiem, że jest Francuzką, choć Kuzmińska-ja to chyba nie francuskie nazwisko, prawda? Brzmi jak polskie, albo coś w tym rodzaju.

- Rosyjskie, drogi chłopcze. Nigdy nie nazywaj ich Polakami, uważają ich za głupców. Z daleka widać, że to Rosjanki, tylko się rozejrzyj, czy jakaś Francuzka mieszkałaby w czymś takim?

Wstała, ruchem ręki ogarniając zagracony pokój. Alex automatycznie podał jej ramię, ale ona pokazała, żeby pomógł się podnieść babce.

Słyszając jej słowa, poczuł, że przeszywa go dreszcz, ogarnia rozkoszne podniecenie na myśl o zakazanym owocu. Rosjanka! W Cleveland nie było żadnych Rosjan. Niektórzy - głównie Żydzi - mówili, że są Estończykami, Litwinami, ale nigdy Rosjanami. Jego rodzice twierdzili, że Rosjanie to wrogowie, szpiegowie, szatańskie nasienie, a ich celem jest obrócenie w ruinę Kuby, oderwanie Wietnamu i zniszczenie Ameryki oraz jej cywilizacji. I oto się okazuje, że w jego żyłach płynie ta niegodziwa krew!

- Zaś ty pochodzisz z naprawdę wyjątkowej rodziny. Twoja babka tańczyła w balecie, była wielką, wielką baleriną. Najlepszą z najlepszych. Tak wielką, że mówiono o niej po

Kolia

183

prostu Kuzmińskaja, bez imienia. Słyszałam o niej w młodości, choć oczywiście jestem od nich młodsza. Właśnie dlatego teraz jest taka powykęcana. Stanowiła istną ozdobę starego Petersburga. A ci jej kochankowie!

W jej ustach zabrzmiało to, jakby kochankowie stanowili wyłącznie elegancką ozdobę. Alex nigdy nie słyszał, żeby ktoś w rozmowie wspominał o kochankach, a już na pewno nie dobrze wychowana dama.

- Sam car przychodził na jej występy. Chodź, obejrzyj zdjęcia, to sam wszystko zrozumiesz.

Alex miał bardzo mgliste pojęcie o balecie, ale uważał go za coś wyjątkowego i egzotycznego, kolejny element nieznanego świata, na którego poszukiwanie wyruszył. Krążyli po pokoju, babka pokazywała mu jedno po drugim zdjęcia poważnych dzieci, grupki zadumanych dorosłych w długich kostiumach kąpielowych, fotografie portretowe czy studia tancerzy na scenie, ubranych w dziwne, stare kostiumy.

Babka wzięła zdjęcie chłopczyka w marynarskim stroju, jadącego w wózku zaprzężonym w białego kucyka.

- To twój wuj, Kola. Syn *madame* - poinformowała Alexa Angielka. - Oczywiście teraz jest już dorosły, mieszka w Paryżu. A to - ujęła portret jasnowłosej tancerki o miłym uśmiechu, ubranej w spódnicę do kolan - to hrabina jako młoda dziewczyna. Ona też była baletnicą, ale po wyjściu za mąż wycofała się ze sceny. Oto ona wraz z mężem. Marie położyła rękę na piersi, uśmiech niemal całkowicie zniknął pod zmarszczkami.

Następnie babka powiodła go w róg pokoju, na który do tej pory nie zwrócił uwagi. Na ścianie zobaczył półkę, na której stały dwie małe ikony. Pod nimi płonęły wieczne lampki w zielonych szklanych pojemnikach, wokół leżały porzrzucone wypalone świece. Nad półką wisiał portret przedstawiający wysokiego mężczyznę w mundurze obwieszonym baretkami i orderami, kobietę o drobnej twarzy, zastygłej w chłodnym wyrazie, ubraną w wyszukaną, jedwabną suknię, której koronkowy kołnierz sięgał aż do uszu, oraz cztery niemal identyczne nastolatki i jednego chłopca.

- Ten mężczyzna o pięknych oczach to ostatni car Rosji wraz z rodziną. Wszyscy oni zostali w okrutny sposób pomordowani. - Angela umilkła, a kobiety ciągnęły dłuższe wyjaśnienia. - Lidia mówi, że to prawda, jest tego pewna. Wszyscy, którzy twierdzą, jakoby któremuś z nich udało się

183 *Celia Brayfield*

zbiec, albo że to wszystko nieprawda, kłamia, bo ona osobiście rozmawiała z urzędnikiem, który po przyjeździe do Paryża prowadził specjalne śledztwo na ten temat. Opowiedział jej wszystko dokładnie i pokazał zdjęcia zamordowanych. Ich ciała znaleziono w dole. Drobiazgi i ozdóbki, które przy nich odkryto, przekazano rodzinie w Paryżu, która potwierdziła, że należały do cara i jego najbliższych.

Pod tym zdjęciem znajdowała się o wiele bardziej współczesna fotografia, przedstawiająca ciemnowłosą kobietę o pełnej, żywej twarzy w kształcie serca, mężczyznę o ostrym nosie i miłym, spokojnym spojrzeniu oraz małą dziewczynkę.

- To jest głowa carskiej rodziny na wygnaniu: wielki książę Władimir z żoną i córką, wielką księżną Marie. W Nicei żyje dość liczna grupa emigrantów z Rosji, a w Paryżu jeszcze więcej. Biedacy, serce się kraje, kiedy się na nich patrzy; stracili wszystko, może z wyjątkiem nadziei. Oczywiście, młodsze pokolenie patrzy na świat bardziej realistycznie. A ten mężczyzna na koniu to kochanek Lidii, książę Orłów, a tutaj ich wspólne zdjęcie w ich willi w Monte.

- Czy jest gdzieś tutaj zdjęcie mojego dziadka?

Alexa niezbyt interesowały postacie historyczne, w żaden sposób nie potrafił połączyć tej starej skulonej staruszki z młodą dziewczyną o szczupłej talii i z wysuniętym dumnie biustem, która, uśmiechnięta i beztroska spoglądała na niego ze starych zdjęć.

- *II demande son grand - pere* - przetłumaczyła władczy tonem Angielka.

Ku zdumieniu Alexa, babka, wyraźnie zadowolona, wybuchnęła długim potokiem słów i uznała za konieczne znów go ucałować. Potem trzymając go pod rękę kazała Marie uważnie mu się przyjrzeć.

- Twierdzi, że jesteś do niego podobny jak dwie krople wody, tyle że ty masz jasne włosy, podczas gdy on był brunetem. Szuka ich wspólnego zdjęcia.

Znalazła je na pianinie. Było to zdjęcie zrobione na scenie. Młody mężczyzna o baczym wejrzeniu klęczał z otwartymi ramionami, a piękna dziewczyna z kwiatami we włosach opierała się na jego ramieniu, stojąc na palcach jednej nogi w arabesce. Ciemny kostium partnera odcinał się wyraźnie od długiej, białej spódnicy tancerki, końce białego fontazia zawiązanego pod brodą spływały mu niemal do pasa. Za nimi można było dostrzec zarys dekoracji: fragmenty zburzonego

Kolia

185

mur, złamaną kolumnę i kilka gałęzi drzew. Całość wydała się Alexowi śmieszna, staromodna i sztuczna, poza tym nie mógł się dopatrzeć w mężczyźnie najmniejszego podobieństwa do siebie, może z wyjątkiem dziwacznym, spiczastych uszu, dokładnie takich samych jak jego własne.

- Niech mi pani opowie coś o tym zdjęciu. Gdzie je zrobiono? Pociągnął palcem po zdjęciu, zostawiając ślad na zakurzonej szybcie.

- Zrobiono je w Monte Carlo w 1914 roku, na początku sezonu Baletów Rosyjskich. Balet był zatytułowany *Sylfidy*. Twój dziadek tańczył, był też choreografem, nazywał się Lew Woliński. Był bardzo, bardzo utalentowany i zawsze uwielbiał twoją babkę, choć ona, jak mówi, była dla niego straszna i okrutnie okrutna... Ojej, no i mamy fontannę. Babka ciężko i rozpaczliwie opadła na stołek przy pianinie, ocierając łzy chusteczką wydobytą z kieszeni szlafroka. Z jej ust dobywał się ni to szept, ni to jęk.

- Czy dziadek jeszcze żyje? - Alex zwrócił się do Angielki, czując coraz większe zmęczenie.

- Na miłość boską, nie pytaj teraz. To straszna historia, zawsze ją rozstraja.

Po jakimś czasie staruszka się pozbierała i z trudem wstała ze stołka, strącając przy tym z pianina szklaną figurkę motyla. Z wysiłkiem podniosła ją z podłogi i odstawiła na miejsce, delikatnie muskając skrzydła owada. Potem ruchem głowy wskazała Alexowi i jego tłumaczcze, która powoli przybierała pozę męczennicy, identycznie oprawione zdjęcia zgrupowane w jednym miejscu na ścianie. Wszystkie one przedstawiały sceny baletowe.

- To twoja babka w roli *Salome* w balecie napisanym przez twojego dziadka, to ona jako królowna w *Śpiącej Królownie*, tutaj z Niżyńskim, a tu z twoim dziadkiem w *Don Kiszocie*, ale, jak widzisz, zdjęcie spleśniało, więc nie widać go wyraźnie. Tam z kolei twoja babka jest z Diagilewem, wielkim impresario, pewnie nigdy o nim nie słyszałeś, tu z Picassem i innymi osobistościami, a tu znowu z hrabiną, a tu z Anną Pawiową, musiałeś o niej słyszeć...

Tu babka ponownie przerwała im potokiem wzburzonej mowy.

- Zdaje się, że była wyjątkowo wredna; a to z kozą pochodzi z *Esmeraldy*...

- Czy jest gdzieś zdjęcie mojej matki?

Celia Brayfield

Żadne z tych nazwisk nic Alexowi nie mówiło, a z minuty na minutę robił się coraz bardziej zmęczony.

- Zapytam, ale ponieważ uciekła z domu... Ja żadnego nie widziałam.

Kobiety przez chwilę konferowały, rozglądając się po pokoju, wreszcie Marie pozęglowała w drugi koniec, skąd przyniosła długie zdjęcie, przedstawiające grupkę mężczyzn w białych flanelowych ubraniach i kobiet w okrągłych kapelusikach, siedzących na kocu w ogrodzie. W tle widać było dziewczynkę w czapce z daszkiem, z prostymi włosami zaczesanymi na jedną stronę. Dziewczynka trzymała wiklinowy koszyk niewiele mniejszy od niej.

- To niewiarygodne, niewiarygodne - stwierdził, nie chcąc przyznawać głośno, że sądząc z wyrazu twarzy, od dzieciństwa charakter niewiele jej się poprawił.

Przywiózł babce zdjęcie rodziców, ale wykazywała taki brak zainteresowania ich osobami, że postanowił go nie pokazywać.

- Po prostu nie mogę uwierzyć, że widzę to wszystko na własne oczy, tych ludzi, moją rodzinę.

- Twoja babka mówi, że to cud z niebios, i że wreszcie po latach samotności jej modlitwy zostały wysłuchane.

Wprost nie posiada się z radości, że ma cię przy sobie. Tak więc wszyscy są szczęśliwi. A teraz do rzeczy. Czy masz gdzie mieszkać? Sądzę, że będzie chciała cię ulokować w pokoju swojego syna.

Marie zaprowadziła go do niewielkiego, wysokiego pokoju w drugiej części willi, a babka utkwiała w rogu sofy i ze swojego starożytnego aparatu telefonicznego dzwoniła do znajomych, przerywając raz po raz, żeby wyplatać sznur z aparatu słuchowego. Angela Partridge ostrzegła chłopca, że należy się spodziewać przyjęcia i rzeczywiście, po kilku godzinach babka wynurzyła się ze swego pokoju odziana w zbyt luźną, czarną suknię bez rękawów. Wokół chudej szyi Lidia zaplatała kilka sznurów łuszczących się sztucznych pereł, rzadkie włosy spięła szpilkami. Zaczęli się schodzić goście - w większości podstarzali emigranci - przynosząc ze sobą jedzenie: rozgotowane, zimne jarzyny w majonezie, rybę w sosie winegret, zakalcowaty chleb i panierowane kotlety z białego mięsa. Potrawy szybko zapełniły stół. Otwarto pianino, przy którym zasiadł szczupły starzec.

- O, to wódka? - Ktoś włożył Alexowi do ręki kieliszek przezroczystego płynu. Spróbował go ostrożnie.

Kolia

187

- Nie, nie tak, drogi chłopcze. - Głos Angielki wzbiał się nad ogólny szmer protestu. - Jednym haustem, jak to się mówiło, do dna? Trzeba chlusnąć ją prosto do gardła. Goście pewnie potłuką kieliszki, to ponoć przynosi szczęście. Alkohol rozgrzał mu gardło. Mężczyzna z białym wąsem, zażółconym nieco od tytoniu, trzymający między wargami mocne, obcięte z obu stron cygaro, wyjął Alexowi z ręki kieliszek, zaniósł go ceremonialnie do kominka i rozdeptał. Nim chłopiec zdążył się zorientować, trzymał w ręku drugi kieliszek, do którego ktoś nalewał trunek z glinianego dzbana.

- To czystej wody morderczy samogon - donośnym szeptem ostrzegła go Angela Partridge. - Jeśli chcesz, mam w torbie trochę dżinu.

Alex był nieustannie komuś przedstawiany, całowany, ściskany i poklepywany po ramieniu. Chuda kobieta, w głęboko wyciętej czarnej sukni, z pękiem goździków przypiętych na ramieniu, stanęła ze skrzypcami przy pianinie i po krótkiej sprzeczce z pianistą zaczęła grać walca. Sam nie wiedząc kiedy, Alex niepewnie szurał po parkiecie z jedną drobną staruszką za drugą. Po jakimś czasie przestano zwracać na niego uwagę, więc skulił się z gryfonem w rogu kanapy i zasnął.

Miał wrażenie, jakby przyjęcie ciągnęło się przez wiele dni. Jego babka robiła się coraz bardziej pijana i co pewien czas była odprowadzana do sypialni, żeby wytrzeźwieć. Za to niestrudzona Marie cały czas z uśmiechem na twarzy krążyła wśród gości, od czasu do czasu podejmując nieskuteczne wysiłki w celu uprzątnięcia bałaganu. Jedni goście, po wielu uściskach i pocałunkach wychodzili, pojawiali się następni, równie ochoczo całując się na powitanie. W pokoju było gęsto od dymu. Z talerzy zeszkrobywano jedzenie, czasem je przemyto i układano na nich kolejne porcje jedzenia. Spragniony, z pulsującą z bólu głową, Alex wychylił haust wódki, nim się zorientował, że to nie woda. Mimo to nie odrywał ust od dzbanka i pił tak długo, aż musiał pobiec do łazienki z wymiotować. Przez zasłony docierało nieco światła, ale zbyt mało, żeby określić, jaka to pora dnia.

Wreszcie goście przestali się schodzić i pojawiła się młoda, ciemnowłosa dziewczyna o bardzo ciemnej cerze - zapewne służąca - która zaniósła sterty naczyń do kuchni i przystąpiła do zmywania. Angela Partridge i jej pies już dawno zniknęli, babka spała u siebie, a Marie ostrożnie spoczęła na stołku, założywszy jedną nogę na drugą i próbowała ściągnąć but z opuchniętej stopy.

188 *Cetta Brayfield*

Jako ostatni przyszedł wysoki mężczyzna o jasnych, przerzedzonych włosach. Natychmiast podszedł do okna i rozsunął zasłony. W ostrych promieniach słońca pokój stracił urodę, został tylko brud i bałagan. Mężczyzna umieścił cygaro między środkowym a wskazującym palcem lewej ręki, prawą wyciągnął do Alexa, który niepewnie odwzajemnił uścisk.

- Jestem wuj - oświadczył mężczyzna. Mówił z wyraźnym akcentem. - Mów mi Kola, Kola Kuźmiński. Witaj. Alex nigdy nie spotykał tego typu ludzi, w kontaktach z nimi mógł się kierować wyłącznie instynktem. Kola był przystojny, doskonale ubrany, promieniowała od niego aura sukcesu, a zaniedbany pokój jeszcze dodatkowo to podkreślał. Właściwie powinno się go określić mianem mężczyzny w średnim wieku, ale brakowało mu charakterystycznej dla tej grupy mężczyzn powagi, był giętki, otwarty. Uważnie, bez pośpiechu mierzył Alexa bacznym spojrzeniem jasnoniebieskich oczu, równocześnie spokojnie pałac cygaro. Mankiety koszuli spinały złote spinki, odrobinę - właśnie o tę decydującą odrobinę - za duże. Tak samo rzucik na jedwabnym krawacie był ociupinę zbyt jaskrawy. Mężczyznę otaczała aura fizycznej pewności. Alex nie mógł powstrzymać spojrzenia pełnego uznania, choć dziwnie się czuł na myśl, że podoba mu się inny mężczyzna.

- Jesteś synem mojej siostry, prawda?

- Tak mi się zdaje, proszę wuja.

- Nie: proszę wuja, po prostu Kola. Dlaczego tak ci się zdaje?

- Znalazłem list, który babka napisała do matki, proszę wuja.

- Masz list? Zechciej pokazać.

- Jest w sypialni, zaraz przyniosę.

Podczas gdy służąca energicznie krzątała się po pokoju, przywracając w nim porządek, Alex został poddany dokładnemu przesłuchaniu. Już wcześniej się do niego przygotował, przywiózł ze sobą wszystkie listy i dokumenty, które potwierdziłyby jego tożsamość. Wuj uważnie przyjrzał się zdjęciu jego rodziców, zrobionemu kilkanaście lat temu. Zadawał pytania dotyczące młodości matki Alexa i podejrzliwie przyjął odpowiedź chłopca, że właściwie nic nie wie na ten temat.

- Zawsze powtarzała, że jej życie zaczęło się z chwilą poznania ojca. Odniosłem wrażenie, że nie chciała wspominać dzieciństwa. Kim byli jej rodzice i że są Rosjanami, dowiedziałem się dopiero tutaj.

Kolia

189

- Ile masz lat?

- Szesnaście, proszę wuja.

- Mało. Do szkoły chodzisz?

- Tak, w Cleveland chodziłem do szkoły.

Wyglądało na to, że Kola podjął już decyzję, przynajmniej co do następnego kroku.

- Potrzebuję twój paszport. Przynies wszystkie dokumenty, proszę. Pójdziemy do mój przyjaciel, może i do konsul amerykański. Czystą koszulę masz?

Ciepła, ciężka dłoń opadła na ramię Alexa. Kola wskazującym palcem odchylił kołnierzyk koszuli chłopca. Musiał dostrzec na jego twarzy przerażenie, choć Alex usiłował nad nim zapanować, bo natychmiast cofnął rękę.

- Nie ma się czego bać.

Wytworzony w ten sposób nastrój konspiracji wydał się jeszcze bardziej niepokojący.

Kola miał małego, białego Mercedesa z otwieranym dachem, płytkiego jak pudełko papierosów. Samochód z pomrukiem ruszył obramowaną palmami drogą, szybko wydostał się z przedmieścia i wjechał w tętniące życiem śródmieście. Odwiedzili prawnika - spokojnego i, mimo młodego wieku, łysego człowieka, który wyglądał na dobrze obeznanego w kwestiach związanych z młodocianymi uciekinierami. Postanowiono, że Alex ma natychmiast wysłać do rodziców list, w którym uspokoi ich, że jest u babki, dobrze się czuje i zaspokoił swoją ciekawość w kwestiach rodzinnych. Po wizycie u prawnika Kola zabrał Alexa do eleganckiej restauracji z widokiem na morze.

Kiedy weszli, siedzący tam mężczyźni przerwali rozmowy i z ciekawością mierzyli Alexa wzrokiem.

Następne kilka tygodni upłynęło bez żadnych wydarzeń. Alex spędzał przyjemnie czas, wylegując się na kamienistej plaży i zwiedzając miasto. Nawiązał znajomość z dwiema dziewczynami z Bostonu, które studiowały na uniwersytecie w Aix-en-Provence, jednak brak pieniędzy sprawił, że rodaczki szybko przestały się nim interesować. Alex powoli zaczynał się budzić i coraz trzeźwiej patrzył na swoje nowe otoczenie. Kola wyjechał do Paryża, od czasu do czasu przyjeżdżał na weekend, zaś babka większość czasu spędzała drzemiąc przy telefonie. Służąca robiła zakupy i gotowała, Marie udawała cierpliwość i pisała listy do dzieci - syna w Biarritz i córki w Londynie.

Celta Bray field

W stosownym czasie Alex otrzymał gruby list od ojca. Ojciec stwierdzał w nim, że chłopiec złamał matce serce, zawiódł ich zaufanie i przyniósł wstyd wobec sąsiadów. *Jako twoi rodzice dotrzemy swoich zobowiązań i do twojej pełnoletności jesteśmy gotowi ofiarować ci u nas dach nad głową, ale ponieważ wyrzekłeś się nas i swojej ojczyzny, nie obchodzi nas, co się teraz z tobą stanie* - kończył Elliott Wolfe.

- Smutny list. Smutny człowiek. Bez miłości, bez życia. - Kola czytał list powoli, trzymając go w pewnej odległości, ponieważ pismo było niewyraźne, a on był zbyt próżny, żeby nosić okulary. - Czyli od tej pory twoje życie należy do ciebie. Co w takim razie zrobimy? - spytał zaskakująco ostro.

Alex nagle się przestraszył. Zachowanie Koli wyraźnie świadczyło, że wuj nie chce brać na siebie żadnej odpowiedzialności. Chłopiec nie spodziewał się, że drzwi do starego życia zostaną tak brutalnie zatrzęsnięte.

Reakcją było natychmiastowe poczucie wolności, ukłucie bólu po stracie rodziców i nieufność wobec nowo odkrytej rodziny. Zdążył się przyzwyczaić do nadpobudliwości babki, tym boleśniejsza wydała mu się lodowata odpowiedź ojca, w której wszelkie naturalne uczucia przełożono na język samousprawiedliwień.

Lunch z Kola stał się dla nich obu wyczekiwaną rozrywką, Alexowi nie przeszkadzał już fakt, że wuja wyraźnie bawi ciekawość przyjaciół, zaintrygowanych jego atrakcyjnym, nieznanym towarzyszem.

- Jaka była moja matka jako dziecko, Kola? Alex wypił już znacznie więcej wina, niż powinien. Wuj zastanowił się, grzebiąc widelcem w zupie rybnej.

- Zawsze nieszczęśliwa - odparł wreszcie, wyławiając kawałek ryby. - Rozumiesz, moja matka bardzo chorowała, jak ją urodziła, i potem nie mogła jej pokochać. Kiedy pierwszy raz ją zobaczyłem, to było już po wojnie, wyglądała jak Cyganka, żebraczka. Brudna, bosa. Nikt jej nie lubił. Matka winiła ją za wszystko złego, co się w jej życiu wydarzyło.

- Nie mogę jej sobie wyobrazić brudnej. Teraz ma po prostu obsesję na punkcie czystości. - Alex próbował się uśmiechnąć, ale nie przyszło mu to łatwo.

- Tak, tak, dokładnie. Kiedy podrosła, się uspokoiła i ciężko pracowała. Robiła wszystkiego w domu. Bo wtedy nie mieliśmy pieniędzy, a matka w życiu nie zaparzyła nawet szklankę herbaty. Właściwie to ona prowadziła dom. Ale

Kolia

190

zawsze nieszczęśliwa. Nienawidziła brudne rzeczy, pijani ludzie, kiedy palili papierosy, zapominali, byli głupi czy płakali, albo tańczyli. A tacy są Rosjanie.

- I wtedy uciekła?

Wydawało mu się, że to pierwsza rzecz, która łączy go z matką.

- Mielśmy większy dom, tam ludzie, którzy płacili za mieszkanie, lokatorzy. Też w większości Rosjanie. Pewnego dnia, twoja matka już nie jest dziecko, pojawia się ta kobieta, Ukrainka, z bardzo dobrej rodziny. Nauczycielka. Ma narzeczonego w Nowym Jorku. Ona i moja siostra zaprzyjaźniły. Jak siostry. Dlatego kiedy nauczycielka wyjeżdżała, zabrała ją ze sobą. Nigdy więcej ją nie zobaczyliśmy - ostatnie słowa powiedział z pewną pogardą. - Jeden list. Jeden list na dwadzieścia pięć lat, że wychodzi za męża, jest *stenographe*, pracuje w ubezpieczeniach.

- *Grand-mere* nigdy o niej nie wspomina.

Wuj wzruszył ramionami, jakby chciał w ten sposób powiedzieć, że ma prawo do swoich antypatii.

- Jeśli coś jej się nie podoba, przestaje dla nią istnieć. Twoja matka to kobieta, która nie umie być szczęśliwa.

Niemożliwość. W duchu zawsze krytykuje, myśli, co sobie inni pomyślą. Nie ma nic dla innych. Takie kobiety to koszmar. Kiedy dorośniesz, spotkasz je. Twoje przeznaczenie jest uszczęśliwiać kobiety, ale nie takie. - Uniósł żartobliwie brwi i pogroził palcem. - Moja rada: jeśli taką spotkasz, uciekaj.

- No, przecież uciekłem, nie?

Alex miał nadzieję, że się nie zaczerwienił. Czuł się pochlebiony, a równocześnie dotknięty tą życiową radą Koli.

- Tak, uciekłeś. Bardzo dobrze. Teraz musimy się zastanowić, gdzie masz pobiec. Oto kolejne pytanie. Ale najpierw garnitur.

Kilka tygodni wcześniej byli u krawca i oto Alex stał się posiadaczem wieczorowego garnituru i artystycznie plisowanej, białej koszuli. Tego wieczoru drogą wzdłuż wybrzeża mknęli do Monte Carlo. Czując się jak inny człowiek, Alex niepewnie rozparł się na tylnym siedzeniu Mercedesa i przyglądał mocno zaciśniętej na dźwigni zmiany biegów dłoni Koli, przysłuchując się, jak babka pokazuje mijane wille, wymieniając nazwiska ich dawno zmarłych mieszkańców, jej przyjaciół.

Sam garnitur i przejażdżka stanowiły nowe, wspaniałe przeżycie, ale to, co zobaczył w niewielkim, złoconym budynku

Celia Brayfield

opery, poruszyło w jego duszy jakąś głęboko ukrytą strunę. Tego wieczoru odbywała się tam gala, która zgromadziła w gmachu opery tłum przebogaty, elegancko ubranych ludzi. Kola natychmiast zanurzył się w ten wytworny świat. W jednej chwili otoczyły go kobiety - szczupłe, gładko uczesane w wysokie koki, z długimi sztucznymi rzęsami, jarzące się od klejnotów i cekinów. Alex dosłyszał szepty: „Kuzmińskaja” i po chwili oślepił go blask fleszy.

Prowadzona przez niego pod ramię babka nagle przestała się wydawać słaba i krucha. Zniknęło drzenie ręki, jej dłoń pewnie i spokojnie spoczywała na jego rękawie. Wyprostowała się, automatycznie poprawiła fałdy sukni i z uśmiechem witała znajomych. Miała na sobie dopasowaną w talii suknię z długimi rękawami, bogato przybraną dżetami. Patrząc na nią, Alex widział piękną, pełną wdzięku kobietę, a w oczach Koli, który nachylał się nad nią, pokazując jej kolejną twarz w tłumie, dostrzegł dziecinne uwielbienie.

Lokaje rozsuwali gości, żeby zrobić przejście Kuźmińskiej. Na Aleksie widok ludzi odsuwanych, żeby jego rodzina mogła przejść spokojnie, zrobił takie wrażenie, że potknął się o wyłożony czerwonym dywanem stopień i omal nie upadł.

- To będzie tylko mieszanka firmowa, nie prawdziwy balet - ostrzegł go wuj. - Trochę tego, trochę tamtego. A oto i nasza amerykańska księżna.

Orkiestra uniosła instrumenty i odegrała hymn narodowy Monaco. W ozdobionej kwiatami łoży księżęcej pojawiła się księżna Grace, odziana w wiśniową suknię z satyny.

Przedstawienie rozpoczęły fragmenty *Sylfid*. Oszołomiony Alex mógł przyrównać targające nim uczucia jedynie do miłości. To, co widział, było dla jego spragnionego umysłu niczym ulewa na pustyni. Wreszcie zaczął dostrzegać związek między wyblakłymi fotografiami z willi Les Gazelles a oszałamiającym światem wyrefinowanych bogaczy i sobą samym.

Kiedyś to samo tańczył mój dziadek, myślał, patrząc, jak w świetle księżycy poeta goni leśną nimfę.

W głowie pulsowały mu jeszcze dźwięki muzyki Szopena, kiedy orkiestra kilkoma ostrymi taktami rozpoczęła nowy akt. Na scenę wypadł mężczyzna w luźnych szarawarach. Wyglądał, jakby chciał kogoś zabić. Publiczność zaczęła bić brawo. Alex

Kolia

193

przyglądał się temu z napięciem. Pojawiła się balerina i gdy ona stapała leciutko w zawiłym *pas de deux*, jej partner miotał się i rzucał, jakby opadły go demony. Skakał cicho jak kot, przy każdym obrocie na jego plecach były widoczne strugi potu, który zmoczył także jego jasne włosy. Wyraźnie dawał z siebie wszystko, ale to nie wystarczało. W pewnej chwili zbiegł ze sceny, orkiestra dograła fragment do końca. Wreszcie na scenie ponownie zjawiała się baletnica.

- Kto to był? - spytał Alex wuja, kiedy po dziesiątym opuszczeniu kurtyny oklaski przycichły na tyle, że można się było usłyszeć.

- Nowy chłopak ze szkoły Kirowa, Nuriejew. Dobrze skacze, ale za toporny. *Grand-mere* uważa, że jest istny skandal.

- Moim zdaniem on jest wspaniały.

Kola zerknął na siostrzeńca, który w uśmiechu pokazywał białe, równe zęby amerykańskiego chłopca i serdecznie bił brawo, jakby był na meczu futbolowym.

Chłopak nie jest tępy, pomyślał. Brak mu tylko wykształcenia, klasy, ale tego należało się spodziewać. Nie jest na tyle sprytny, żeby być nieuczciwy, ale jest w nim coś, może to ta jego nieśmiałość. Widać, że nigdy nie stykał się z prawdziwą sztuką, może przeczytał kilka książek, a mimo to ma zdumiewająco wyrafinowany smak. Choć biorąc pod uwagę, kto był jego dziadkiem, to właściwie nie powinno dziwić.

Kola zawsze żałował, że urodził się synem najmniej interesującego spośród kochanków matki. Bolało go też, gdy matka często się skarżyła, że w młodości dokonała niewłaściwego wyboru. Nie dawało się jednak zaprzeczyć, że ten chłopiec stał się źrenicą jej oka i dlatego należy się o niego odpowiednio troszczyć.

Następnego dnia, kiedy Alex zasiadł, by wraz z babką i wujem zastanowić się nad własną dalszą edukacją, w duszy ciągle rozbrzmiewała mu muzyka i poezja. Babka obejmowała dłońmi jego rękę, podczas gdy wuj tłumaczył, że nie ma sensu posyłać chłopca do francuskiej szkoły, ponieważ w tak krótkim czasie nie pokona bariery językowej ani nie poradzi sobie z przerobionym programem. W mieście jest szkoła międzynarodowa, gdzie będzie mógł zrobić maturę z angielskiego, uznawaną prawie na całym świecie.

- Czy mógłbym zająć się baletem? - spytał z wahaniem, nie przyzwyczajony, żeby ktokolwiek liczył się z jego zdaniem.

Celia Brayfield

- Pomyślałem sobie... Biorąc pod uwagę dziedzictwo rodzinne i w ogóle... To mogłoby być zabawne.
- Możesz się uczyć na miejscu. Jest tu niewielkie muzeum, ale mają dość ciekawe zbiory. - Rozbawiony wuj machnięciem ręki ogarnął zagrożony pokój.
- Nie, nie chodzi mi o czytanie książek czy coś w tym stylu. Chodzi mi o to, żeby się tego nauczyć, robić to, jak to się mówi?
- Tańczyć. Chodzi ci o taniec.
- Ależ ze mnie głupek, oczywiście, tańczyć.
- Właściwie, czemu nie?

Po raz drugi został zmierzony baczny spojrzeniem jasnych oczu, tym razem wuj zwrócił uwagę na proste ramiona, szeroką pierś, lekką lecz dobrze uformowaną muskulaturę i lśniące oczy chłopca.

- Moja ciotka, Julie, ma swoje studio w Cannes. Oczywiście, o ile jeszcze żyje. Zawsze lubiła chłopcy, mili chłopcy. Kola przetłumaczył matce rozmowę. Lidia zerwała się od stołu i przetańczyła po pokoju z radosnym uśmiechem, a w końcu sięgnęła po telefon.

Na widok starej przyjaciółki okrągłe oczy *madame* Siedo-wej wypełniły się łzami. Kazała przynieść herbatę. Przez pół godziny kobiety oddawały się wspomnieniom z dawnych lat. Kola zabijał czas paląc papierosa. Wreszcie wypchnięto Alexa na środek pokoju, objaśniono, kim jest. Lidia uśmiechała się pewnie, Julie żartowała. W końcu przywołała koleżankę

- młodszą, mocno umalowaną kobietę w turbanie - i bladego, szczupłego, krótko ostrzyżonego szpakowatego mężczyznę w dżinsach. Przedstawiła im Alexa, potem kazano się chłopcu rozebrać i uważnie mu się przyjrano. Następnie mężczyzna zabrał chłopca, znalazł dla niego kostium i zaprowadził do wyłożonej lustrami sali. Tam poprosił, żeby powtórzył za nim kilka podstawowych ćwiczeń przy drążku.
- Zgodziła się - powiedział Kola po jakimś czasie, z ulgą odsuwając krzesło. - Masz przychodzić w środy i soboty i solidnie pracować. Mówią, że odziedzyczyłeś po dziadku uszy, ale módl się, żebyś nie odziedziczył jego kolan. Babka pokazywała na siebie, dając w ten sposób do zrozumienia, że chłopiec swoją wspaniałą sylwetkę niewątpliwie odziedziczył po niej.

Kolia

195

- Będziesz musiał codziennie ćwiczyć. Pamiętaj, codziennie. Zwykle dzieci zaczynają w wieku ośmiu lat. I błagam, postaraj się już więcej nie rosnąć.

Konkurencja obnaża całą bezwzględność środowiska baletowego. Wybór złotego medalisty, który będzie nosił nieoficjalny tytuł najlepszego tancerza świata, i szesnastu finalistów corocznej Prix Lausanne stanowił wręcz kliniczny tego przykład.

Zacząło się od leżenia po ośmiu w równych szeregach na podłodze przykrytej białą, plastikową folią, na której tle każda sylwetka rysowała się z ogromną wyrazistością. Dwunastu sędziów siedziało na estradzie w drugim końcu sali. Jeden po drugim wstawali i spacerowali między kandydatami, zauważając krzywe kolana i nierówne ramiona. Potem setkę młodych tancerzy z całego świata zamykano na trzy dni z nauczycielami i sędziami. Każdy z nich, przechodząc z sali do sali, niosąc worek z przepoconym kostiumem na plecach, zdawał sobie sprawę, że jego ciało jest nieustannie obserwowane i bezlitośnie oceniane.

Wolfe Alexander, z numerem 24 przypiętym do czarnego trykotu, przechodził przez tę katorgę z pogodą, nie okazując niepokoju; jedynie przelotny błysk szarych oczu ocienionych gęstymi rzęsami świadczył o tremie. Po wstępnych eliminacjach odpadła znaczna część jego rywali. Zaczęły się łyzy. Alex szybko się przekonał, że w tym środowisku płacze się niemal codziennie, czasem z podniecenia, ale najczęściej z rozczarowania, któremu bardzo łatwo poddawała się psychika osłabiona nieustanną krytyką i stawianiem niemożliwych do osiągnięcia wymagań fizycznych.

- Zrobimy to, żeby dać wam lekcję - wyjaśniała *madame* Siedowa Alexowi i swej najlepszej uczennicy, bezbarwnemu podrzutkowi, zadufanej w sobie Cecile. - Nauczycie się stawać przed publicznością, przekonacie się, jak wypadniecie na tle innych z całego świata. Nauczycie się panować nad nerwami. - Spojrzała na Cecile. - Dowiedziecie się, dlaczego musicie pracować.

Popatrzyła na Alexa, ale on tylko się uśmiechnął, pewny jej skrywanego poparcia. Od dwóch lat ciągle słyszał uwagi na temat swojej techniki, która wymagała nieustannej pracy. Równocześnie jednak zdawał sobie sprawę, że nie cisnęliby go tak, gdyby był do niczego.

Celia Brayfield

Obserwując *madame* w czasie konkursu, jak siedzi zadowolona z babką, skinieniem głowy witając znajomych, bądź przywołując do siebie innych nauczycieli, Alex doszedł do wniosku, że głównym powodem, dla którego startowali w Prix Lausanne, była jej chęć spotkania się ze starymi przyjaciółmi. Przestał się dziwić temu zamkniętemu, hermetycznemu światu, zdał sobie bowiem sprawę, że został doń dopuszczony i znalazł się w jego samym centrum wyłącznie dzięki swemu pochodzeniu.

Kontrolę nad większością środowiska nadal sprawowali znajomi rówieśnicy jego babki. Oto *madame* Jegorowa z Paryża, *madame* Sokołowa z Londynu, *madame* Niełaszewska ze Sztokholmu, *madame* Inkina z Rzymu i inne, młodsze albo z młodszymi asystentkami. Wszystkie one tłoczyły się, żeby odnowić znajomość, która, jak Alex zaczął sobie uświadamiać, miała dla nich ogromne, wyjątkowe znaczenie.

Już po kilku dniach wśród uczestników konkursu zawiązało się swoiste braterstwo. Kiedy Alex źle wylądował w czasie swej drugiej solówki, po zejściu ze sceny otoczyli go inni chłopcy, masowali skręconą kostkę, troskliwie dopytywali się, gdzie i czy bardzo boli i łączyli się z nim w bólu, który, jak przypuszczali, odczuwał, odpadłszy w ten sposób z konkursu. Jednak Alex nie rozpaczał. Nadal przepelniała go radość ze zrealizowania swego marzenia. Wystarczyło mu, że może tańczyć. Wierzył, że tańczy wyjątkowo dobrze i że pewnego dnia zostanie wybitnym artystą.

Sędziowie chwalili jego dobre proporcje, sylwetkę i sposób poruszania, dodając jednak, że jego technice brak precyzji. Cecile znalazła się w gronie finalistek. Alex przyglądał się uroczystości wręczania nagród, kiedy przez tłum przedarła się do niego potężna kobieta, w kwiecistej sukience. Po kilku komplementach i wyrazach współczucia z powodu pechowego upadku, poprosiła, żeby zapoznał ją ze swoją nauczycielką. Babka po akcencie domyśliła się, jakiej narodowości była kobieta i przeszła na rosyjski. Tak jak Alex się spodziewał, na kobiecie nazwisko babki zrobiło wrażenie, tak samo jak nazwisko *madame* Siedowej. *Grand-mere* natychmiast wdała się z nią w rozmowę, w czasie której nieustannie pojawiała się nazwisko jej i dziadka Alexa. Rosjanka, wyraźnie zachwycona, że jej ocena okazała się słuszna, ruszyła natychmiast w stronę *madame*, znacząco kiwając do chłopca głową.

- Alex, w poprzednim wcieleniu musiałeś być kotem.

Kolia

197

Zawsze spadasz na cztery łapy. - *Madame* niecierpliwie przepychała się przez tłum zdążający do wyjścia. - Umrę szczęśliwa, Lidio. To nauczycielka z kraju, chce, żebyś latem stanął przed komisją egzaminacyjną.

- Jaką komisją egzaminacyjną?

- Komisją egzaminacyjną do Państwowej Wyższej Szkoły Baletowej imienia Agrippiny Waganowej w Leningradzie. Widocznie szukają kandydatów do ról głupkowatych wieśniaków.

- Nie bądź okrutna, Julie, przecież on nic nie wie. Zresztą, skąd miałby wiedzieć? Teraz wszystko się zmieniło. Co za wspaniałe, wspaniałe wieści! Oczywiście, o ile to zaproszenie jest prawdziwe. - *Grand-mere* wsparła się na ramieniu Alexa, żeby zejść po schodach.

- Wiem, że co roku przyjmują kilku zagranicznych studentów i to po to, żeby ich naprawdę uczyć, a nie robić im pranie mózgow. Nie bój się, Lidia, nie zrobią ci z chłopaka małego Marksa.

Madame sztywno, ale samodzielnie schodziła po stopniach.

- O to się nie martwię, za bardzo lubi dobrze zjeść, żeby zostać komunistą. A więc wygląda na to, że nadal jeszcze mamy coś do powiedzenia?

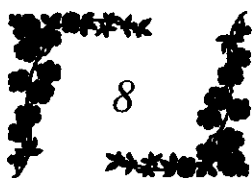
Alex widział na twarzach kobiet głęboką satysfakcję.

- Nadal nie rozumiem, co to za uczelnia?

- Szkoła Waganowej nosiła kiedyś nazwę Leningradzkiej Szkoły Baletowej im. Kirowa, a jeszcze wcześniej Carskiej Szkoły Teatralnej, która w ciągu dwustu czterdziestu lat istnienia wychowała najwspanialszych tancerzy klasycznych, w tym, nie da się ukryć, także moją przyjaciółkę Kuźmińską i mnie samą.

- I mojego dziadka?

- Tak, oczywiście. I tę idiotkę, Niełaszewską, nauczycielkę tej krowy, która dostała złoty medal, choć nasza Cecile tysiącokrotnie bardziej nań zasłużyła. No cóż, nie narzekajmy. Trzeba się brać do roboty. Tak, tak, gdyby cię przyjęli, trafiłaby ci się wyjątkowa szansa. Ale nie pozwolę, żebyś mi przyniósł wstyd przed tymi ludźmi, którzy, jako nieliczni, naprawdę znajdują się na rzeczy, a nie tylko udają. Wyprostuj się, nie garb. Zacząłeś z siedmioletnim opóźnieniem, nie stać cię teraz na marnowanie czasu.



Buckinghamshire, 1979

Niech to jasny szlag, czy to się nigdy nie skończy? -Hermione nadepnęła na ostrą, plastikową zabawkę, leżącą na wyfroterowanej, osiemnastowiecznej kamiennej posadzce kuchni jej siostry. - Czy te przeklęte bachory nie mogą odkładać swoich zasranych zabawek na miejsce?

- To chłopcy, kochanie. Chłopcy wszystko niszczą, takie jest prawo natury. - Babka, która weszła za nią z ogrodu z koszykiem ziół, schyliła się, żeby podnieść pozostałe elementy międzygalaktycznego transportu wampirów i wrzuciła je do kosza - ślicznego wiklinowego tokańskiego kosza, który Bianka ustawiła w rogu kuchni na obrzydliwe zabawki chłopców, starając się w ten sposób zachować estetykę pomieszczenia. - Wraz z pojawieniem się kolejnego chłopca ich możliwości destrukcyjne rosną w postępie geometrycznym, tak więc trzech chłopców potrafi zniszczyć dziewięć razy więcej niż jeden. Jest na to wzór matematyczny.

- Matematyka. Namiętności, kęśliwość, jang, lewa półkula mózgowa, to wszystko nieważne. - Hermione masowała gołą stopę, walcząc gniewnie z frędzlami czerwonej, hinduskiej spódnicy. - I co ty chcesz z tym wszystkim zrobić, Bianka?!

- Koper trzeba posiekać, miętę włożyć do słoika z wodą, tymianek można związać i powiesić do wysuszenia. - W kuchni wreszcie pojawiła się Bianka, niosąc koszyk pełen czerwonej i żółtej porzeczki. Choć słoneczny, majowy poranek ledwo się rozpoczął, już słaniała się na nogach. - Dlaczego nie włożysz butów?

- Lubię stapać po ziemi boso, dzięki temu nic nie blokuje energii, która przepływa wprost do kręgosłupa.

- Do którego słoika, kochanie?

Charlotte stała przed rzędem wiktoriańskich weków, francuskich słoików po konfiturach i nowoczesnych, kolorowych pojemników.

Kolia

199

- Do starej majoliki, jeśli tam jest.

Zbiory z ogrodu zostały zgrabnie rozmieszczone w przestrzennej kuchni, wnosząc powiew natury do idealnie urządzonego wnętrza.

- Ile osób Lovat tym razem zaprosił na weekend? Hermione ze zdumieniem przyglądała się życiu swej siostry.

Otoczona luksusem Bianka była wyraźnie nieszczęśliwa, co stanowiło kolejny dowód, że materializm to śmierć duszy.

- Sześć. Poza tym w sobotę na kolację przyjeżdża Joe z Shoną. I jeszcze ten twój przyjaciel z Paryża, Rosjanin...

Zapomniałam jego nazwiska, ten od ikon i Fabergego.

- Och, ale przecież... Chyba nie Kola Kuźmiński? - Charlotte złożyła dłonie na sercu. Gest ten miał z jednej strony wyrażać radosne oczekiwanie, a równocześnie ból, że młodzi tak szybko zapomnieli o jej przyjaciółach z przeszłości. - Kola to nie zwykły przyjaciel, był dla mnie jak syn! Opiekowałam się nim, kiedy był jeszcze maleńki. Nie wyobrażacie sobie, ile on dla mnie znaczy. Przecież razem uciekaliśmy przed rewolucją. Dlaczego nikt mi nie powiedział o jego przyjeździe? To dla mnie taka radość, znowu go zobaczyć. Nie widzieliśmy się od... zaraz, jakichś dziesięciu, dwunastu lat. Nie do wiary, mój mały Kola. Musicie go pamiętać. Zawsze kiedy był w Londynie, przychodził do mnie na herbatę. Jestem pewna, że go poznałyście.

- Cóż, zdaje się, że był wysoki i pachniał jakoś egzotycznie. Dziesięć lat temu byłam w ciąży i wszystko pamiętam jak przez mgłę. Kilka dni temu Lovat wpadł na niego w czasie jakiejś aukcji.

- Jakież to będzie wspaniałe spotkanie! Wspaniałe! Charlotte cieszyła się jak dziecko.

- Może byłoby i wspaniałe, gdyby nie trzeba było przyszykować dla nich wszystkich kolacji. Lovat zaprosił go, bo w przyszłym tygodniu mają przyjechać jacyś Amerykanie, którzy szukają Fabergego. Oprócz niego będą Bainbridge'owie, bo jego wujek z Grasse właśnie się przekreślił, zostawiając mu kilka obrazów Braque'a, i Llewellynowie, bo on kupuje różne rzeczy dla jakiegoś japońskiego banku. Poza tym Hugh, żeby mu pomóc dobić targu, i Joe, bo uważa Lovata za samego Pana Boga. A ja, żeby ostatecznie nie zwariować, ściągnęłam moją siostrę. Gniew wyładowała ciągnąc z hałasem wysoki stółek do dużego stołu na środku kuchni. Tam widelcem zaczęła żmudne

Celia Brayfield

wyciskanie mięszu na swój słynny kompot z czerwonych i żółtych porzeczek.

- Mmmm, wygląda przepyszenie. - Hermione wzięła gałązkę i połknęła jednym kęsem. - Powinam jeść więcej takich surowych, lekkich rzeczy. Zrobiła się ze mnie istna *kapha*, potrzebuję stymulacji. Co szykujemy na kolację? - Bez szczególnego pośpiechu Hermione wyjęła z szuflady widelec i podeszła, żeby pomóc siostrze.

- Marynowany łosoś, sarni udziec, sorbet agrestowy z owocami czarnego bzu... Pani Harris! Właśnie sobie przypomniałam, czy te kwiaty, które wczoraj ścięłam, wstawiłyśmy do porcelanowego wazonu w gabinecie muzycznym? Gospodyni, która w pokoju obok kuchni ustawiała na półkach buty chłopców, zawołała, że tak.

- To dobrze. Wlała pani wody? Świetnie.

Bianka dłońmi ścisnęła głowę, żeby przypomnieć sobie, co zostało do zrobienia przed przyjazdem gości.

- Czy położyłyśmy w pokoju bambusowym amerykańskie perkalowe prześcieradła? Zegar ogrodowy wrócił już z naprawy? Nie zapomnieliśmy go nakręcić? Czy dałam pani czek dla majstrów za naprawę basenu? Czy dzisiaj ja odbieram Orlanda ze szkoły, czy też ktoś go podwiezie?

- Założę się, że w starym, poczciwym Petersburgu życie nie było aż tak skomplikowane, prawda, Charlotte?

Patrzyła, jak porzeczką wypryskuje jej spod widelca i ląduje w drugim końcu kuchni. Postanowiła jej nie podnosić. W końcu myszy też należą do ekosystemu.

- Wszyscy mieli całe armie służących. Inaczej Bóg jeden wie, jak niektórzy z nich by sobie poradzili. Mężczyzna o pozycji Lovata zatrudniałby co najmniej dwadzieścioro ludzi.

Charlotte przyniosła koszyk upranej bielizny i zaczęła sortować skarpetki chłopców.

- Czy Kola jako mały chłopczyk też rozrywał swoje zabawki na strzępy i zostawiał je na środku pokoju?

Hermione nadal dokuczała bolącą stopą.

- Tak, ale nie ja musiałam to zbierać. Była niańka do dziecka, która z kolei miała do pomocy dwie pokojówki.

Oczywiście, wtedy nie było tych wszystkich urządzeń, jakie są teraz. Wszystko prało się w ręku i ktoś to musiał robić. Ale *madame* nawet by przez myśl nie przeszło, żeby zajrzeć do kuchni. Nie było takiego zwyczaju, żeby pani domu zajmowała się wszystkimi sprawami gospodarczymi. Nawet kiedy wyjeżdż

Kolia

200

dżali na wieś i bawili się w proste, wiejskie życie, nie ruszyła palcem. Ona miała w życiu inne cele.

- Szczęściara z tej *madame*.

Bianka wróciła na stołek i tępo wpatrywała się w stertę przygotowanych owoców, zastanawiając się, co ma jeszcze do zrobienia. Po chwili znowu wstała, przyniosła miedzianą patelnię i wrzuciła do niej jagody. Charlotte odłożyła pranie i podeszła, żeby pomasować wnuczce ramiona. Zaniepokoiła ją ich chudość.

- Zostaw to wszystko i połów się. Kiedy kobieta ma odpoczywać, jak nie w ciąży?

- To dopiero trzeci miesiąc, a ja mam tyle roboty. Muszę jeszcze skończyć dzisiaj coś w pracowni.

Bianka wiedziała, że ani Charlotte, ani Hermione nie przygotowują jedzenia, tak jak ona by to zrobiła. Pani Harris była prawdziwą wyreka, ale kucharka przyjdzie dopiero jutro przed główną kolacją weekendu. Zresztą Lovat lubił podawać gościom dania przygotowane osobiście przez żonę, to tworzyło rodzinną atmosferę, a poza tym jedynie Bianka tak naprawdę się starała, żeby wszystko wypadło jak najlepiej.

- Lovat się wścieknie, jeśli wszystko nie będzie na błysk, zasz go, wiesz, jaki jest. Chyba nie wyglądam na zmęczoną, prawda?

- Nie, kochanie, nie wiem, jak to robisz, ale nigdy nie wyglądasz na zmęczoną. Może tylko na smutną...

Bianka westchnęła. Charlotte jak zwykle miała rację i jak to ona, delikatnie dała do zrozumienia, że wie więcej, niż by się mogło wydawać. Od kilku tygodni Bianka była w głębokiej depresji, która wysysała z niej wszystkie siły, stępiała wszelkie uczucia. Wydawało się niepojęte, jak ktoś tak hojnie obdarzony przez los może czuć się nieszczęśliwy, i Bianka nawet sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać.

Ponieważ ich życie na zewnątrz wyglądało sielankowo, mało kto zdawał sobie sprawę, że Bianka i Lovat Whitburnowie od lat toczą między sobą wojnę. Oboje robili to, czego od nich oczekiwano - ona jako żona dbała o ognisko domowe, on jako mąż troszczył się o zapewnienie rodzinie dostatniego życia, tak więc nikt nie mógł im nic zarzucić, co więcej, znajomi często stawiali ich za przykład ludzi, którym naprawdę się powiodło i ułożyło.

Mieli dom w Londynie, w Holland Park, który co prawda stał zaledwie kilka przecznic od ich pierwszego wspólnego

Celia Brayfield

mieszkania, ale należał do zupełnie innego świata. Mieli stary wiejski domek w Dordogne z wieżyczką i basenem. Basen znajdował się także przy domu w Buckinghamshire, gdzie przez większość roku mieszkała Bianka z dziećmi. Niektóre jego fragmenty pochodziły z czternastego wieku, a ogród służył wśród ogrodników i co roku przez dwa dni był dla nich otwarty. We wszystkich domach stały antyczne meble, żyły rasowe zwierzęta i krzątała się zadowolona służba. Trzy samochody - pana domu, pani domu i gospodyni - przewoziły pracowników z miejsca na miejsce. Mieli trzech synów: wysokiego, ciemnowłosego i spokojnego Toma, Benedicta o puciołowatej buzi, zupełnie zwariowanego na punkcie futbolu, i pięcioletniego Orlando, nadpobudliwego chłopca, który wspinał się na każdy napotkany przedmiot. Dla każdego chłopca rodzice, po wnikliwej dyskusji, wybrali inną, dostosowaną do jego temperamentu i zdolności szkołę. Dlatego też Tom i Benedict uczęszczali do dwóch różnych prywatnych szkół w Oxfordzie, a Orlando, za zgodą i błogosławieństwem rodziców, roznosił miejscową podstawówkę i raz w tygodniu chodził do psychologa dziecięcego. Później miał uczęszczać do specjalnej szkoły dla dzieci o podobnych do jego temperamentach.

Każde z nich miało swoją karierę. Lovat pracował jako jeden z dyrektorów Berrisfordów, praktycznie zaś kierował firmą. Wkrótce po tym, jak pojawił się w zakurzonych, zagraconych pomieszczeniach na tyłach Jermyn Street, wezwał go do siebie sir Crawford-Pitt, który niemal dostał zawału na widok wyliczonych przez fiskusa należności podatkowych. Sapiąc z oburzenia na „cholernych socjalistów, którzy się uwzięli, żeby do reszty wykrwawić nasz biedny kraj”, kazał mu sprzedać całą kolekcję.

- Nie jestem krezusem - jęczał baronet, przyglądając się, jak jego obrazy znikają w pudłach. - Nie mam ani grosza w banku, żyję na kredyt, jak wszyscy. Cały mój majątek to ta kolekcja, którą odziedziczyłem po ojcu, który z kolei odziedziczył ją po swoim ojcu. A teraz muszę ją sprzedać i co mi to da? Że będę mógł umrzeć i zostawić coś synowi, podczas gdy rząd będzie płacił byle śmieciarzowi, bo mu się zechce zastrajkować.

Była to największa zdobycz w dotychczasowej historii Berrisfordów, dzięki niej firma natychmiast zdobyła pozycję na arenie międzynarodowej. Lovat szybko się zorientował, że

Kolia

203

sir John to tylko jeden z wielu przedstawicieli części brytyjskiego społeczeństwa, których bogactwo kłuło w oczy rząd. Ludzie ci szukali kogoś, kto ze zrozumieniem, choć bez nadmiernej skrupulatności pomógłby zamienić posiadane przez nich majątki na gotówkę. Jak się okazało, Lovat miał niemal niezawodny instynkt, dzięki któremu z daleka wyczuwał falsyfikaty.

- Ten twój mąż to istny czarownik - opowiadał Hugh Berrisford córce. - To wręcz podejrzanе, wiesz, że nie przepuści żadnego falsyfikatu? Przynieśli nam dzisiaj afrykańską statuetkę z brązu, wycenioną na pięćdziesiąt tysięcy. I jak myślisz, co on zrobił? Wziął spinacz i zadrapał figurkę - klasyczny sposób sprawdzania głębokości patyny.

Oczywiście chłopak o tym nie wiedział, pierwszy się przyznał, że nie ma bladego pojęcia o statuetkach z brązu, a już szczególnie afrykańskich, ale po prostu ma nosa i okazało się, że się nie mylił.

Bianka nie znosiła takich opowieści. Miała wrażenie, że Lovat za wszelką cenę stara się zdobyć w firmie taką pozycję, żeby móc zapanować nad całą rodziną.

Po roku pracy udało mu się namówić Hugh'a, żeby zatrudnili doradcę podatkowego. Berrisfordowie szybko zyskali opinię wspomożyciela ciemiejących właścicieli ziemskich, który wyzwał arystokratów z dybów prawa podatkowego. Pięć lat później firma, jak to określał Lovat, z kłusownika zamieniła się w gajowego i współpracowała z urzędem podatkowym, wyceniając dzieła sztuki oferowane jako wyrównanie podatkowe.

Lovat, który połowę czasu spędzał za granicą, a niemal każdy wieczór na spotkaniu w interesach, nie chciał, aby ktokolwiek mógł mu zarzucić, że uniemożliwia Biance artystyczną samorealizację. Tak samo Hugh i Oliwia nie uważali, aby zajmowanie się domem stanowiło odpowiednie zajęcie dla ich córki. Uznali więc, że znajomy kustosz kolekcji metaloplastyki w Muzeum Wiktorii i Alberta idealnie się nadaje na przewodnika Bianki. Dopóki mieszkała w Londynie, trzy razy w tygodniu jeździła do jego biura w Kensington, gdzie przyglądała się, jak drżącymi palcami wodzi po srebrach, emaliach art deco, jakby w ten sposób chciał sprawdzić ich pochodzenie. Kustosz lekko się jąkał i potrzebował Bianki głównie do odbierania telefonów. Praca była ciekawa i dość przyjemna, ale nie o takim zajęciu Bianka marzyła.

Przyjście na świat Orlanda, który przez pierwsze dwa lata

Celta Brayfield

nie sypiał dłużej niż po dziesięć minut, było dla Bianki idealną wymówką. Stwierdziła, że trzeba im więcej przestrzeni, spokoju i czystego powietrza. Wyprowadziła się na wieś i znowu chciała się poświęcić życiu domowemu. Tam jednak znalazła się pracownia i znów Bianka widziała zaciekawione twarze ludzi, którzy pytali: „A teraz czym się zajmiesz?”

Z poczuciem winy chwyciła się kolejnego środka, który pozwalał jej ukryć swe braki - kolązu. Lovat pokazywał znajomym te prace i, jakby jej własne dzieła sprzysięgły się przeciwko niej, okazało się, że zaczęły się dobrze sprzedawać. Ze ścinków papieru, sznurów i *papier mache* zrobiła cykl obrazów poświęconych macierzyństwu. Przedstawiały one zaokrąglone, uśmiechnięte kobiety o dużych piersiach i brzuchach, tulące do siebie dzieci. Dowcipne, feministyczne, utrzymane w przyjemnej kolorystyce prace, szybko zyskały popularność. Niewielka galeria mieszcząca się przy tej samej ulicy co ich londyńskie mieszkanie, zaproponowała Biance zorganizowanie wystawy, kiedy tylko przygotuje wystarczająco dużo prac.

Wszystko, co Bianka i Lovat posiadali, miało świadczyć o ich doskonałości. Ich samych miało podtrzymywać w przekonaniu, że są zadowoleni i szczęśliwi. Kiedy Lovat, siedząc w skórzanym fotelu swojego wyłożonego brzożową boazerią Ferrari, wjeżdżał przez bramę i widział przyjazny uśmiech starego, ceglanego domu, górującego nad wioską, czuł ukojenie, jak pod pieszczotliwym dotykiem ręki matki, i na chwilę zapominał o pustce swojego życia. Kiedy wybrał miejsce na lądowisko helikopterów, ulotniły się wszelkie wątpliwości, które go gnębiły od chwili, gdy udało mu się namówić teścia

1 resztę kierownictwa firmy do przyjęcia nowej strategii rozwoju, zmierzającej do przekształcenia domu w spółkę akcyjną. Bianka zaś widząc, jak chłopcy - każdy w specjalnie dla niego dobranym ubraniu: Tom w mundurku, Benedict w dżinsach, Orlando w miniaturowym stroju amerykańskiego futbolisty - biegną do szkoły, rozkoszowała się słodką, wspianą świadomością bycia dobrą matką, której samo macierzyństwo jej nie dawało.

Równocześnie zaś wszystkie nagromadzone dobra stanowiły oręż w prywatnej wojnie Bianki i Lovata. Nawet poczęcie dzieci było równoznaczne z aktem agresji. Pierwszym, nieświadomym kamieniem obrazy ze strony Bianki stał się Benedict. Przekonawszy się, jak bardzo to nie planowane

poczęcie poruszyło Lovata, jak wiele pochwał i uwagi mogła ku sobie przyciągnąć poprzez kolejne narodziny, a równocześnie zyskać na czasie w rodzinnym wyścigu po kolejny sukces, w krytycznych momentach małżeństwa. Bianka zachodziła w ciążę. Orlando przyszedł na świat dzięki codziennemu rytuałowi wyrzucania pigułki do kosza natychmiast po wyjściu Lovata do pracy. Trzy lata później pigułki lądowały na stercie kompostu w czasie porannych obchodów ogródka. Jak zwykle bardzo szybko zaszła w ciążę, ale poroniła w siedemnastym tygodniu. Dziecko, które teraz nosiła w łonie, było skutkiem wrzucania pigulek do starego źródła w zagrodzie dla koni. Tylko jej siostra wiedziała, że kolejne ciążę to nie „wypadki przy pracy”.

- Nigdy nic nie podejrzewał? - spytała Hermione, kiedy tylko Charlotte wyszła z kuchni, żeby zadzwonić, i siostry zostały same w oświetlonej reflektorami kuchni, wśród dekoracyjnych koszyków, dębowych szafek, lśniącej linii kuchennej i ręcznie malowanej, nowoczesnej porcelany. - Pewnie, każdemu się może zdarzyć, ale aż cztery wpadki? Przecież nie jesteś głupia ani tępa.

- Może i podejrzewał, ale co miał zrobić? Nie mógł mnie zmusić, żebym się ich pozbyła - odparła z uśmiechem Bianka, drylując porzeczkę na konfiturę, jej specjalność, słynącą w całym hrabstwie. - Choć trzeba przyznać, że tym razem próbował. Straszliwie się pokłóciliśmy.

Hermione wzięła nóż, wybrała żółtą gałązkę i wpatrzyła się w nią z zadumą.

- W Lovacie ciągle się gotuje, to widać po jego twarzy. Zauważyłaś, że zawsze ukrywa swoją *czakrę*, nie okazuje emocji? Za dużo białego chleba, powinien jeść pełnoziarniste pieczywo i warzywa, ostudzić, uciszyć ambicję.

Wyczuwam w nim mnóstwo negatywnej energii.

- Bądź spokojna, wczoraj przez telefon wyładował jej znaczną część. Klóciliśmy się przez pół nocy. - Przekroiła owoce i wrzuciła do wody. - Wiesz, co mnie najbardziej wścieka? Że zachowuje się tak, jakby to zależało wyłącznie ode mnie, tak jakbym sama z siebie zachodziła w ciążę. Nigdy, ani razu przez jedenaście lat, nie zapytał, czy stosuje jakąś metodę antykoncepcyjną. Jeśli nie chce mieć więcej dzieci, sam mógłby coś w tej sprawie zrobić, ale przecież on nawet palcem nie ruszy. Mężczyźni są tacy słabi, prawda? Ledwo znajdują się w łóżku, już chcą się pieprzyć.

Celia Brayfield

- Codziennie?

- Cóż, dzięki Bogu, teraz widujemy się tylko w weekendy. Ale nie ma mowy, żeby sobie odpuścił, choć ja jestem superpłodna, a on nie chce mieć więcej dzieci.

- Przynajmniej możesz być spokojna, że nie pieprzy się na lewo i prawo w Londynie, podczas gdy kochana żonka pilnuje ogniska domowego na wsi. W końcu tak to zwykle wygląda, prawda?

Bianka na chwilę przerwała obieranie owoców, rozmasowała krzyż, choć ciąża była jeszcze zbyt wczesna, żeby ją bolał.

- Nie byłabym taka pewna. Nie wiem, co on właściwie tam robi. Może robi to tylko dlatego, żebym nie zaczęła czegoś podejrzewać, gdyby przestał? Nie słyszałaś żadnych plotek?

- Nie lubię plotek, po prostu czuję negatywne prądy. Zresztą, co ja mogłabym usłyszeć w tym swoim grajdole? - Już chciała skierować rozmowę na swoje problemy, ale zrezygnowała, widząc na twarzy siostry prawdziwy niepokój. - Słuchaj, jestem pewna, że nigdzie się nie łajdaczy, cały czas spędza z Hughem i Olivią. Zawsze, kiedy dzwonię, jest u nich.

- Czasem mam wrażenie, że zastąpił ojcu syna, którego nigdy nie miał. - Bianca wyglądała na spokojniejszą. - Czy to nie dziwne, że mój mąż znacznie lepiej dogaduje się z moimi rodzicami niż ja? Pewnie masz rację, nie przyjmowałiby go tak, gdyby miał jakieś skoki na boki. A może i przydałby mu się jakiś romans? Żadna baba nie zgodziłaby się na takie pieprzenie, jakie mi urządza. Dwa razy dziennie, zawsze dokładnie tak samo. Odmiana byłaby równie miła jak odpoczynek.

- Dwa razy dziennie? Jeszcze? Wiesz co, może się zamienimy? Seumas na pewno by ci odpowiadał, on chce najwyżej raz na miesiąc.

- Raz na miesiąc? Czy u niego wszystko w porządku? Chciałam powiedzieć...

Bianka uważała Hermiona za uosobienie seksu. Pulchne, ruchliwe ciało, kołyszące się biodra, pełne piersi, miękkie uda jak poduszki, zapraszające, by na nich odpocząć. Nie wyobrażała sobie, żeby jakiś mężczyzna mógł pozostać obojętny na wdzięki jej siostry.

- Twierdzi, że jego energia bardzo osłabła. Daję mu afrodyzjaki. Próbuje medytować, żeby nabrać trochę siły. On to nazywa pobudzaniem pytona. Czerpie z ziemi siły witalne

Kolia

207

przez rdzeń kręgowy za pośrednictwem *czakr*. Nasze ciało to kanał, trzeba go otworzyć, przygotować na przyjęcie...

- Na twoim miejscu spróbowałabym pobudzić coś innego. Hermione wyczuła, że w tym momencie siostra ma minimalną tolerancję dla jej mistycyzmu.

- Dlaczego Lovat nie chce, żebyście mieli więcej dzieci? Kochacie je. Stać was na nie.

Bianka wytarła ręce w biały, duży fartuch, osłaniający ją niczym tarcza. Po trzech ciążach zachowała smukłą sylwetkę, kości wyraźnie rysowały się pod skórą. Uważała, że nago przypomina kozy z obrazów Picassa. Dzięki nieustannej gonitwie za trójką chłopców była szczupłą, nie przywiązywała szczególnej wagi do ubrań. Chodziła w dżinsach, zawsze za luźnych w talii i zwykłych bluzkach albo podkoszulkach ozdabianych przez starych przyjaciół.

- Ja za nimi szaleję, a Lovat kocha je na swój sposób. Kocha je, bo do niego należą, to wszystko. Ale nie kocha ich, bo są dziećmi, ani dla tego wszystkiego... - Ruchem ręki objęła półki z plastikowymi kubkami, sokami owocowymi, bułkami do hamburgerów, kosze pełne zabawek, świadectwa żyjącej, normalnej rodziny. - Kocha swoich synów, ale nienawidzi wpływu, jaki ich życie wywiera na nasze. Podejrzewam, że to budzi w nim obrzydzenie. Mój kochany małżonek zawsze był zbyt nieskazitelny, żeby splamić się zmianą pieluchy.

- Za to ty naprawdę to uwielbiasz. - Hermione podwinęła szeroką hinduską spódnicę i usiadła na stole. - Chcesz się utożsamiać z dziecięcym poziomem świadomości. Jesteś jak Demeter, karmicielka nowego życia, dla której jedynym celem jest widzieć, jak dorastają owoce jej łona, Demeter, której święte zadania współczesny świat traktuje z lekceważeniem.

Mitologia, ze szczególnym uwzględnieniem bogiń, stanowiła najnowszą dziedzinę, której zgłębianiu Hermione oddawała się z zapalem.

Hermione miała słabość do różnych teorii, tak jak inne kobiety miewają słabość do łajdaków - zawsze przekonane, że ten ich nie porzuci, natychmiast zapominające o ostatnim rozczarowaniu. Szczerze wierzyła, że dana teoria wytłumaczy wszelkie tajniki życia i nagrodzi jej ufność, przynosząc to, czego w danej chwili potrzebowała. Po astrologii przerzuciła się na medytację transcendentálną, później przyszła kolej na *New Age Therapy*, celtyckie pogańskie obrządki, teorię Janova

Cetta Brayfield

i amerykański szamanizm. Każdemu takiemu odkryciu towarzyszył nowy sposób odżywiania, który natychmiast zostawał wprowadzany w życie, co zaowocowało otwarciem i bankructwem restauracji ze zdrową żywnością niedaleko Portobello Road, wyjąłowieniem i upadkiem organicznej farmy w Somerset, pogłębiającą się depresją drugiej połowy Hermione - Seu-masa oraz pełną zjadliwości biurokracją pomocy społecznej, od której otrzymywali zasiłki.

- Dajże spokój, Herm - Bianka posłała siostrze wątlę uśmiech. - Może później zniosę te boginie, ale nie teraz, nie przed lunchem.

- Bronisz się! - Hermione groźnie wyciągnęła palec. Jej piersi zakołysały się pod rdzawą podkoszulką. Dla Hermione stawianie oporu było największym grzechem. - Musisz się wyzwolić, Bea. Być sobą, taką jaką naprawdę jesteś. Jeśli człowiek się przed czymś broni, to będzie ciągle do niego wracało. Jesteś źródłem siły życiowej, pełnią podobną księżycowi, dojrzałością jesieni. Chodzi o to, żebyś naprawdę się tym stała, a nie goniła na oślep za zachciankami jaźni... - Z potępieniem wrzuciła do pełnego już garnka jedyną garstkę obranych przez siebie owoców.

- Jeśli już za czymś ganim, to za chłopcami.

- Nie, nie, czy ty tego nie rozumiesz? Ten dom, ogród, pozostałe domy. Posiadanie to nie dla ciebie, Bianka. Posiadanie to pułapka, która wysysa z ciebie siłę duchową... Pomyśl, ile czasu spędzasz zamartwiając się o nie, urządzając je, sprzątając, naprawiając, doglądając...

Bianka, dzięki dziewięcioletniemu treningowi w noszeniu dzieci, bez trudu wzięła ciężki rondel i postawiła go na dużej, czerwonej kuchni. Z najniższej półki piekarnika wyciągnęła blachę rozgrzanego cukru i wysypała kryształki do garnka, potem sięgnęła po olbrzymią drewnianą kopyść i zamieszała. Uderzyło ją, że choć siostra zwykle plotła od rzeczy, czasami ta jej gadanina bywała wyjątkowo trafna.

Po lunchu przeszła przez wybieg dla koni i udała się do przerobionej stodoły, w której mieściła się jej pracownia. Wszędzie walały się obrazy tłustych kobiet i szklane paciorki, z których robiła zabawne, okrągłe oczy. Niebieskie szkiełka czekały na doklejenie do prawie skończonego kolażu, który leżał na stole.

Klej zasechł w tubce. Bianka wzięła szpilkę, żeby przebić skorupę. Przy nakłuwaniu dłoń się jej obsunęła i skaleczyła

Kolia

209

się w rękę. Nie zwracając uwagi na ból ani na kroplę krwi, która spłynęła z przedramienia, wzięła szczypce i zaczęła przyklejać paciorki do papieru. Skończywszy pierwsze oko, usiadła, niechcący rozsmarowując krew na piersi kobiety z obrazu. Chciało jej się płakać. Głęboko zaczerpnęła tchu i pochyliła się, żeby dokończyć oczy.

Pomyślała, że powinna spróbować zetrzeć plamę, zanim wyschnie, ale nim zdążyła cokolwiek zrobić, cały świat nagle się rozplątał i łzy trysnęły jej z oczu. Usta wykrzywiły się boleśnie. Płakała, najpierw cicho, potem głośno, urywanym szlochem. Spazmatyczne łkanie odbijało się echem o wysoki strop pracowni. Ze złością cisnęła szczypce, oderwała ramię lalki. Obraz i tak był do niczego. Rzuciła go w kąt, potem usiadła na podłodze zawodząc w głos. Równocześnie zaś cząstką świadomości zastanawiała się, co ona, u licha, wyprawia.

- Co ty, u licha, wyprawiasz?

W drzwiach stanął jej mąż, ubrany w granatowy garnitur. Mimo swego stanu zauważyła, że w jego ubraniu pojawił się kolejny element - złoty łańcuszek do zegarka, biegnący od dziurki w marynarce do najwyższej kieszonki.

- Bianka, czy wszystko w porządku?

- Nie wiem.

Co za idiotyczne pytanie! Nie może być z nią wszystko w porządku, skoro płacze i zawodzi. Lovat oczekiwał wyjaśnienia. On zawsze czegoś oczekiwał.

- Musisz wiedzieć. Powiedz, o co chodzi?

Ruszył przez porozrzucone ścinki i uklęknął obok żony.

- Ktoś ci zrobił przykrość? Powiedz.

- Nikt mi nic nie zrobił. Dlaczego muszę wiedzieć? Wcale nie muszę wiedzieć.

- Jasne, że nie. Już dobrze. Wszystko będzie dobrze. Położył jej dłoń na ramieniu, ale natychmiast ją strząsnęła.

- Mówisz do mnie jak do dziecka.

- Przepraszam, nie chciałem.

- O tak, chciałeś. Ty zawsze robisz dokładnie to, co chcesz i tak jak chcesz. A może byś dla odmiany poszedł i porozmawiał ze swoimi synami?

Klęczał przy niej w milczeniu i czekał. Po jakichś pięciu minutach uspokoiła się nieco, wstała i przyjęła podaną chusteczkę do nosa.

- Jesteś zmęczona - oświadczył, jakby cała ta scena

Celia Brayfield

stanowiła ostateczny dowód na słuszność teorii, którą od pewnego czasu rozwijał. - Dziś wcześniej się położymy.

- Nie możemy, mamy gości, czyżbyś o tym zapomniał? A w ogóle co ty robisz w domu o tej porze?

Zwykle Lovat pojawiał się w domu w piątek około szóstej, tuż przed przybyciem gości, tak że zaledwie miał czas na umycie się i przebranie. Bianka na wszelkie sposoby przeciwstawiała się zwyczajowi podejmowania gości firmy, ale jak zwykle argumenty Lovata były pozornie nie do odparcia.

Doprowadzało to do błędnego koła, typowego dla ich małżeństwa. Początkowo Bianka wykręcała się od chodzenia do restauracji, gdzie spotykali się ze znajomymi z branży, twierdząc, że po całym dniu z małym Tomem i Benedictem jest zbyt zmęczona. W trosce o nią Lovat zaproponował, żeby w takim razie przyjmowali gości u siebie. To z kolei pociągnęło za sobą konieczność posiadania większego domu, wytwornego umeblowania, serwowania bardziej wyszukanych dań. Na to wszystko trzeba było więcej pieniędzy, co oznaczało, że Lovat coraz więcej czasu spędzał w pracy, a jeśli chciał choć trochę bywać w domu, musiał przyjmować u siebie coraz więcej gości. Bianka skarżyła się, że przy wiecznie czuwającym Orlandzie nocne przyjęcia kosztują ją zbyt wiele nerwów, poza tym trzem ruchliwym chłopcom potrzeba więcej przestrzeni, dlatego zaproponowała, żeby przeprowadzili się na wieś. Na co Lovat odpowiedział organizowaniem towarzyskich spotkań w weekendy, rozsądnie argumentując, że inaczej musiałby zostawać w Londynie i wtedy widywałby się z rodziną raz w miesiącu.

Teraz we wszystkich stolicach handlu dziełami sztuki na całym świecie wysoko ceniono sobie zaproszenie do Kinbourne Manor. Lovat Whitburn słynął z umiejętności dobierania gości, którzy docenią jego gościnność i siebie nawzajem, a równocześnie możliwość ogrzania się w ciepłe jego, jak im się wydawało, idealnej rodziny. Podziwiano także spryt, z jakim potrafił wybrać chwilę po partyjce tenisa czy w przerwie meczu krykietowego między gośćmi a lokalną drużyną, czy też w czasie przechadzki po sadzie w blasku księżyca, żeby posiać w umyśle gości swoje ziarno. Dwa, trzy razy do roku wydawał huczne przyjęcia. Zaczynały się one od występu orkiestry dętej - stopniowo lokalna wspólnota została wciągnięta w strefę jego wpływów - a kończyły fajerwerkami. Były też imprezy w stylu światło i dźwięk, występy renomowanych artystów albo dyskoteka pod namiotem na trawniku, zależnie od

Kolia

211

składu gości. Powszechnie też chwalono Biankę - gospodynię tych wspaniałych przyjęć. Ona jednak nie mogła się pogodzić z otwieraniem domu, będącego jej królestwem, dla interesu, który stanowił terytorium Lovata.

Nie wiadomo kiedy jej mąż stał się dojrzałym mężczyzną. Miejsce wysokiego chłopaka, za którego wyszła za mąż, zajął masywny mężczyzna o pełnej, pobrużdżonej twarzy. Oczy zawsze spoglądały z powagą, a opadające powieki, które kiedyś uważała za seksowne, teraz nadawały jego twarzy charakter pewnej wyniosłości. Ciemne włosy, zawsze starannie przyczesane, miał krótko ostrzyżone. Jego ubiór - nieskazitelnie czysty i starannie wyprasowany przez pokojówkę pod czujnym okiem Bianki - zawsze miał oficjalny charakter, nawet dżinsy czy strój tenisowy, który wkładał w czasie weekendów. Był przystojny i pociągający, Bianka wiedziała, że inne kobiety uważają go za atrakcyjnego, ona jednak już od kilku lat pozostawała nieczuła na jego wdzięk.

- Wróciłeś wcześniej - oskarżyła go ponownie.

- Tak. Chciałem z tobą porozmawiać, zanim zjadą się goście.

W stodole zrobiono nową, betonową posadzkę, a nad połową pracowni wybudowano galerię, na którą prowadziły metalowe schodki. Bianka przysiadła na trzecim stopniu, zakładając ręce na brzuchu.

- O czym chcesz ze mną porozmawiać, Lovat?

- Wiesz, jak jest, kochanie. Wczoraj w nocy trochę się posprzecaliśmy o to nowe dziecko, prawda?

Skinęła tylko głową, nie ułatwiała mu zadania.

- Pamiętam doskonale. Stwierdziłeś, że powinnam się go pozbyć.

- Nie mówiłem tego poważnie. Byłem zdenerwowany. Ale później myślałem o nas... o naszym życiu i w ogóle. Czy ty jesteś szczęśliwa?

- Przecież powinnam. Mam wszystko, o czym kobieta może zamarzyć.

- Ale czy jesteś szczęśliwa?

Coraz silniej ogarniało ją poczucie, że została przyparta do muru, że z każdym zdaniem, z każdym słowem zamyka się nad nią pułapka. Uświadomiła sobie, że płacząc zdradziła się przed nim.

- Nie mogę być szczęśliwa, skoro siedzę na podłodze i płaczę. Może to po prostu hormony albo co?

Celta Brayfield

Przechadzał się po pracowni, pustym wzrokiem spoglądając na jej kolaże. Luźno zwieszona ręce kołysały się wzdłuż tułowia.

- Zastanawiałem się, czy nie powinniśmy się wybrać...

- Dokąd? Kto by nas przyjął z trójką chłopców?

- Nie, miałem na myśli poradnię albo coś takiego - odezwał się ostro, zatrzymując się w miejscu, uderzając pięścią w otwartą dłoń, zły, że musi wejść na niepewny grunt uczuć, gdzie nigdy się nie znajdowało prostej odpowiedzi.

Wiedział, że w Biance coś się zmieniło, jeszcze nim ona sama to sobie uświadomiła. Od pięciu lat czuł się straszliwie samotny we własnym domu. I nie miało znaczenia w którym, bowiem mianem domu określał miejsce, gdzie przebywała jego żona. Bianka - osoba, którą chciał mieć przy sobie, żeby móc się z nią dzielić swoimi niepokojami, która widziałaby jego słabości, leczyła jego rany i umacniała wiarę w siebie przez zwykłe zainteresowanie - stała się dla niego nieosiągalna. Miał wrażenie, że znalazła się za szklaną szybą. Niby taka sama, a jednak nie mógł jej dotknąć.

- Jaką znowu poradnię? Mażeńską?

- Niekoniecznie, może jakiś psycholog? Albo terapeuta...?

- Powiedz od razu, że uważasz, że zwariowałam i powinnam się leczyć! - Dostrzegła tylko jeden powód tej propozycji i natychmiast to z siebie wyrzuciła. - Chcesz, żebym poszła do kogoś, kto namówi mnie do usunięcia ciąży, tak?

- Nie, nie, to nie tak, źle mnie zrozumiałaś.

Ogarnęło go zniechęcenie. Nie sposób wygrać z kimś, kto od razu nadaje słowom zupełnie inne znaczenie i wykorzystuje je przeciwko ich autorowi. Matka Lovata uważała za obowiązek żony zgadzanie się z mężem. Lovatowi wydawało się, że obowiązkiem żony jest posiadanie niezależnego umysłu, ale nigdy nie przypuszczał, by Bianka mogła się z nim nie zgodzić.

- Pomyślałem tylko, że nie czujesz się szczęśliwa...

- To znaczy, że ty nie czujesz się ze mną szczęśliwy. Czego ty jeszcze chcesz, Lovat? Wychowuję chłopców, prowadzę domy, maluję, co więcej, ludzie to kupują. Robię wszystko, czego się ode mnie oczekuje, wszystko, co chcesz... - Wstała, podciągnęła spodnie i odrzuciła długie włosy podpięte grzebykami. Żeby zająć czymś ręce, wyciągnęła grzebyk i ponownie go wpięła. - Nie wiem, co jeszcze mam zrobić. Oprócz usunięcia ciąży. Do tego ani

ty, ani nikt inny nie potrafi mnie zmusić. Jak możesz choć przez chwilę o tym myśleć, patrząc na nasze dzieci?
Wyobraź sobie, że zabijasz kogoś z chłop

Kolia

213

ców, rozszarpujesz go na kawałki i wyrzucasz do rynsztoka, może wtedy zrozumiesz, co czuję.

- Za bardzo to sobie bierzesz do serca. Ja nic takiego nie powiedziałem. - Rozpaczliwie starał się odzyskać panowanie nad sytuacją. - Przyznaję, nie chciałem kolejnego dziecka, ale szanuję twoje uczucia. I zależy mi na tobie, Bianka, przecież wiesz, że tak jest. Zdaję sobie sprawę, że nie czujesz się szczęśliwa.

Wyprostowała się, ostrym ruchem ręki strzepnęła brud ze spodni.

- Jestem w ciąży, to wszystko. Wtedy każdą rzecz bierze się do serca.

Popatrzył na nią. Argumenty związane z funkcjonowaniem kobiecego organizmu stanowiły broń nie do odparcia, jako że w tej dziedzinie Bianka zawsze miała nad nim przewagę.

- Jak sobie życzysz - mruknął, cofając się w stronę jej stołu do pracy. Odwróciwszy się, dostrzegł zniszczony obraz i porozrzucane narzędzia. - Co tu się działo?

- Nic.

- To skąd się wzięły te poszarpane kawałki obrazu?

- Przestań mną rządzić, Lovat! Ciągłe się do wszystkiego wtrącasz.

- Ja tylko pytałem, co się stało. Widzę podarty obraz, każdy by się spytał.

- Nie twój interes. - Ruszyła w stronę drzwi, starając się zapanować nad drżącym głosem. - I byłabym wdzięczna, gdybyś łaskawie przestał się doszukiwać wszędzie dowodów, że zwariowałam. Twoja kolacja jest już niemal gotowa. Twoje dzieci bawią się w ogrodzie. Twoje dywany leżą równo, meble są wypolerowane, a wieczorem twoja elegancko ubrana żona z uśmiechem przywita gości. Sam widzisz, że nie ma powodów do niepokoju.

Pewnym krokiem opuściła pracownię, kierując się w stronę domu. Lovat został sam, siedząc na krawędzi stołu i myśląc. Nie lubił, kiedy coś się psuło, szczególnie jeśli nie widział klarownego sposobu rozwiązania problemu.

Sypialnia Lovata i Bianki wraz z przyległymi osobnymi garderobami i łazienkami zajmowała niemal całe drugie piętro. Dzięki temu państwo Whitburnowie mogli się przygotować na przyjęcie gości, nie zamieniając ze sobą ani słowa. Godzinę później Bianka ubrana w jasną, lnianą sukienkę autorstwa kolejnego japońskiego geniusza, stała na zachodnim tarasie,

Celia Brayfield

czując, jak powiew wieczornego wiatru muska jej świeżo umyte włosy.

Jako pierwszy przyjechał samochód Kuźmińskiego. Z wozu wynurzył się młody mężczyzna o ciemnych kręconych włosach, który pomógł wysiąść swojemu towarzyszowi. Widząc czarne spodnie z koźlęcej skóry i złotą bransoletkę, Bianka zakłęła pod nosem i cofnęła się do domu, żeby zadzwonić do kuchni.

- Pani Harris, proszę dodać jeszcze jedno nakrycie i wysłać kogoś do bambusowego pokoju, trzeba posłać łóżko dla dwóch osób. Jeden z gości przywiózł ze sobą przyjaciela.

Po chwili, uśmiechnięta i pogodna, była już na zewnątrz, w samą porę, żeby dostrzec, jak z samochodu wysiada zgarbiony mężczyzna w płaszczu z wielbłądziej wełny.

- Kola Kuźmiński! Jak wspaniale, że zechciał pan przyjechać. Oczywiście pamiętam pana sprzed wielu lat. Zawsze tyle o panu słyszeliśmy.

- Ale jeszcze wspanialej jest się tutaj znaleźć, *madame* Berrisford. Jak miło z pani strony, że zechciała mnie pani zaprosić. Jakże tu pięknie!

Z trudem się wyprostował i opierając się na lasce ze srebrną gałką przyglądał się ceglanym ścianom błyszczącym w wieczornym świetle, gęstym krzakom róż pnących się po kratkach, jaskółkom wyglądającym spod okapu. Miał pulchną twarz człowieka, który lubi używać życia, niegdyś puciołowate policzki zwisały nad drobnymi ustami.

- A gdzie jest moja *Nounou!*

- Tutaj, tutaj.

Charlotte, ubrana w niebieskie jedwabne spodnie, wybiegła z domu szybko, choć z pewnym wysiłkiem, drobiąc w stronę wychowanka.

- *Comme tu es bienvenu, mon petit.*

Objęli się ze śmiechem, bo choć zwracała się do niego „mój malutki”, mężczyzna górował nad nią wzrostem i wyglądali na rówieśników - mimo że on liczył sobie prawie siedemdziesiąt lat i był schorowany, a ona miała ich osiemdziesiąt i zachowała dobrą kondycję, choć jej twarz pokrywała gęsta sieć zmarszczek.

- Schudłeś, czy ty w ogóle coś jesz, kochany? Byłeś takim potężnym mężczyzną...

- Aż za dużym, przynajmniej tak twierdzą lekarze - ze smutkiem poklepał się po brzuchu. - Ale nie martw się, jestem pod dobrą opieką, oczywiście nie aż tak dobrą jak twoja, ale

Kolia

215

wystarczającą dla starego człowieka. Na pewno pamiętasz Etienne Sokołowa.

Młodzieniec wysunął się naprzód i przywitał z kobietami. Bianka dostrzegła jego jasne, bezpośrednie spojrzenie, które wyrażało pewność, że jego pozycja jest równa, a sumienie niczego mu nie wyrzuca, mimo że ludzie mogą go źle osądzać, ponieważ zaprzyjaźnił się z o wiele bogatszym i starszym od siebie mężczyzną.

- Wejdz do środka, kochany, usiądziemy sobie i poplotkujemy po rosyjsku, póki nie przyjedzie reszta gości.

Charlotte ujęła go pod ramię, z drugiej strony podpierał go Etienne, i tak po nierównych schodkach ruszyli do drzwi balkonowych.

- Mówią, że z sercem nie jest tak źle, ale żyły są w fatalnym stanie. Szczególnie w nogach. Papierosy! - Jakby dla podkreślenia tych słów zatrzymał się i gwałtownie zakaszał. Mówił z silnym akcentem, każde zdanie kończył świst przypominający jęk starej harmonii. - Kazali mi rzucić palenie, ale wolę umrzeć szczęśliwy z papierosem w ręku, zamiast męczyć się jak potępieniec bez żadnej przyjemności.

- Bzdury! Nie wspominaj o śmierci, a już na pewno nie przy mnie...

Przy kolacji szybko usadowiono go na honorowym miejscu. Kiedy tylko zasiedli, rozłożył sobie na kolanach serwetę, wygładził ją i przez chwilę milczał. Potem uniósł głowę i utkwiał w Lovacie spojrzenie wodnistych oczu starego człowieka.

- A więc, młody *monsieur*, mężu wnuczki mojej *Nounou*, co byś zrobił, gdybym ci powiedział, że słyszałem, gdzie może być jedno z zagubionych jajek Fabergego?

- Poprosiłbym, żeby mi je pan pokazał - odparł zwyczajnie Lovat, wkładając do ust porcję ryby. Jadał bardzo szybko, jakby szkoda mu było tracić cenny czas na jedzenie. - W przyszłym tygodniu ma przyjechać z Ameryki pewien klient, który mógłby się tym zainteresować, pod warunkiem że klejnot będzie prawdziwy. O którym jajku pan mówi?

- O Róźyczce. To byłoby cenne znalezisko. Autentyczny carski wzór, zrobione w 1895, ślubny prezent cara dla małżonki. W archiwach Warckiego, opublikowanych w 1952 roku, jest zdjęcie. Wzór dość nowoczesny, nie przeładowane, złote laurowe girlandy, brylantowe strzałki, koronki... Ale ja jeszcze tego nie widziałem. Pewien mój znajomy w Paryżu, Armeńczyk, twierdzi, że zna posiadacza.

Celia Brayfield

Zadowolony z zainteresowania, jakie wzbudził, ponownie zajął się jedzeniem i nałożył porcję łososia na widelec.

- A co panu mówi intuicja?

Lovat opróżnił już talerz i całą uwagę skierował na starca.

- Że sprawa jest czysta. Od wielu lat współpracuję z War-taninem, on nie traci czasu. Tak, myślę, że intuicja mnie nie zawiedzie.

- Wie, jak poruszyć przeciwnika, co? - szepnęła do babki Bianka siedząca na drugim końcu stołu. Jej uwaga została przyjęta szerokim uśmiechem.

- Co to jest, to zagubione jajko Fabergego? - zapytała żona kolekcjonera obrazów Braque'a, blondynka o dużych, okrągłych oczach, która, jeśli wierzyć plotkom, przed małżeństwem była striptizerką.

- W Rosji tradycyjnie na Wielkanoc robiono pisanki. Ubożsi malowali zwykłe jajka, ale bogacze zamawiali pisanki ze złota i drogich kamieni. Faberge był carskim jubilerem w Petersburgu. Jego pisanki zrobione dla cara... Przypuszczam, że to najcenniejsze pojedyncze przedmioty na świecie

- wyjaśnił Lovat, za wszelką cenę starając się uniknąć mentorskiego tonu. Źle wybrał, kobieta przywykła do tego, że wszyscy mężczyźni usiłują z nią flirtować, i poczuła się dotknięta przez, jak to odebrała, kompletny brak zainteresowania ze strony najmłodszego przedstawiciela płci przeciwnej w tym towarzystwie.

- Skoro są takie cenne, jak to się stało, że zaginęły?

- zwróciła się do Hugh'a, którego rezerwa wyraźnie stopniała po ich wcześniejszej rozmowie.

- W czasie rewolucji zaginęło mnóstwo cennych przedmiotów. - Hugh, oczarowany swą towarzyszką, natychmiast skorzystał z okazji, by zrobić na niej wrażenie. - Na szczęście, jeśli chodzi o biżuterię i pisanki, ich twórcy prowadzili dokładny rejestr swoich dzieł, często nawet dołączali szkice. Dzięki temu teraz wiemy, co wyszło spod ich ręki. Wiele skarbów zostało po prostu zniszczonych przez ludzi zbyt ciemnych, by się poznali na ich wartości.

- Albo tak nienawidzących arystokracji, że niszczyli wszystko, co im ją przypominało. Ogromnie bolesne. Perwersja motywów postępowania.

Ryba, choć delikatna, wyraźnie była zbyt twarda dla Kuźmińskiego. Siedzący u jego boku Etienne wziął talerz i szybko, zgrabnie pokroił ją na drobne porcje.

Kolia

217

Olivia skłoniła głowę do męża, pragnąc sprowadzić konwersację na właściwe tory. Zadźwięczały jej złote kolczyki. W przeciwieństwie do córek nigdy nie poruszała typowo kobiecych spraw związanych z prowadzeniem domu, za to często, jeśli chciała, sprzymierzała się z mężczyznami, kierując rozmowę na tematy, które obiecywały konkretne korzyści.

- Ale, Kola, biżuteria, niewielkie przedmioty, łatwe do ukrycia... Czy wiele z nich nie zostało po prostu ukradzionych?

- Bez wątpienia tak - podjął jej mąż. Stanowili doskonale zgraną drużynę. - I to nie tylko przez robotników w czasie rewolucji. W latach dwudziestych rząd radziecki rozpaczliwie potrzebował pieniędzy, dlatego opróżnił wszelkie skrytki bankowe i zawartość sprzedał na aukcjach.

Kuźmiński potaknął. Płomienie świec odbijały się na jego wysokim, łysym czole. Przerzedzone włosy wyglądały jak biała aureola wokół jego głowy.

- Ja sam w młodości jeździłem do Niemiec na aukcje. Pod czujnym okiem marynarzy albo żołnierzy do skrzynek wpadały cudowne, wprost bezcenne rzeczy. Potem dawali ci dowód sprzedaży; widać było, że to niemal analfabeci. Za złoto drogo sobie liczyli, bo wiedzieli, co to jest, ale na biżuterii kompletnie się nie znali. „Drobne przedmioty osadzone kolorowymi kamieniami” - tak brzmiał ich opis, a chodziło o brylanty i szmaragdy!

Wszyscy siedzieli zasłuchani, więc starzec przerwał opowieść, żeby skończyć jedzenie, tak aby służba mogła uprzątnąć talerze. Po wniesieniu i podzieleniu udźca, wokół stołu znów rozpoczęły się ożywione rozmowy. Bianka półświadomie odnotowała, że pieczeni, galarecie ani sposobowi podania mięsa niczego nie można zarzucić i przyglądała się, jak goście biorą się do jedzenia. Wydawali jej się drobni, odlegli niczym aktorzy na scenie, jak przez mgłę dobiegał ją szmer rozmów prowadzonych w trzech językach.

Zauważyła, że matka jest wyjątkowo ożywiona. Zdaniem Bianki Olivia nic się nie zmieniła - zawsze nieznośnie gładka, o czujnych ruchach. Dzięki operacjom plastycznym, o które wszyscy ją podejrzewali, a których publicznie się wypierała, choć pod pozorem wakacji regularnie jeździła do pewnej francuskiej kliniki, zachowała urodę. Bianka odnosiła wrażenie, że matka wcale się nie postarzała, ale postronny obserwator dostrzegłby lekko zamazane rysy twarzy, głębsze zmarszczki wokół oczu i nienaturalnie prostą linię szczupłych ud. Ostatnio

Celia Brayfield

miała chyba mniej kochanków albo mniej się z nimi afiszowała. Wszystkie wysiłki nadal skupiała na zdobyciu podziwu mężczyzn, jeśli nie mogła zdobywać ich samych. Dziś jednak odgrywała rolę wzorowego gościa, zabawiając i wciągając do rozmowy Etienne'a. Młodzieniec cały czas siedział mile uśmiechnięty, ale uwagę skupiał przede wszystkim na Kuźmińskim, choć wymienił z nim tylko kilka słów po rosyjsku.

Nagły wysoki, dziewczęcy pisk Olivii - rzecz zupełnie nie w jej stylu - zagłuszył szmer rozmów pozostałych gości. Bianka dostrzegła, że matka utkwiała spojrzenie błękitnych oczu w Lovacie, wyraźnie chcąc przyciągnąć jego uwagę. - Wiesz, że Etienne nie zna historii, jak Kola i Charlotte uciekali z Petersburga? Chyba pamiętasz, że matka Koli była wielką baleriną? O tak, jestem pewna, że tak. Wspaniała opowieść i bardzo na temat. Kola, proszę, opowiedz ją raz jeszcze. Proszę!

Widać było, że Kola nie miał ochoty wracać do wspomnień, ale wpadł w pułapkę. Etienne uśmiechał się tak wyczekująco...

- No, cóż, miałem wtedy siedem lat - zaczął, biorąc długi, urywany oddech. - Ta pani mieszkała wtedy u nas w Petersburgu, jak wiecie, była moją guwernantką. Który to był rok? 1917?

- Tak, to było wiosną 1917 roku. - Charlotte z nostalgią zapatrzyła się w dal. - Wtedy Petersburg nazywał się Piotro-gród, bo Rosjanie z chwilą rozpoczęcia wojny znienawidzili Niemców i zmienili nazwę. W Europie ciągle toczyły się walki i twoja matka zachorowała gdzieś na południu Francji.

- Ojciec Koli był księciem - poinformowała Olivia zgromadzonych, wiedząc, że on sam krępowałby się o tym wspomnieć. - I wysokim urzędnikiem rządowym, więc wiedział, na co się zanoszą.

- To był bardzo mądry człowiek, wiecie? Potrafił przewidzieć przyszłość. Większość arystokracji nie miała pojęcia, co ich czeka.

- Wybuchła rewolucja - podjął Kuźmiński, utkwivszy wzrok w obrusie, bo wspomnienia były zbyt bolesne, żeby zwracać się do konkretnej osoby. - Mnie, małemu chłopcu, wydawało się, że to wszystko zabawa: żołnierze, strzelanina, ciężarówki pełne ludzi wymachujących czerwonymi sztandarami, przejeżdżające pod naszymi oknami. Ale ojciec uważał, że lepiej będzie, jeśli pojedziemy do Londynu, a potem do Monte Carlo, gdzie wówczas mieszkała moja matka.

Kolia

218

- Wiedział, że car będzie abdykował - dodała Charlotte. - Pamiętam, jak wezwał mnie do salonu. Stał z jedną ręką opartą na kominku. „Kaiser albo czerwoni, to jedyny wybór, jaki nam pozostał”, powiedział. „Bóg jeden wie, czym to się skończy, Charlotte, ale wszystkie cenne przedmioty musimy natychmiast ulokować w bezpiecznych miejscach.” Pamiętam, ile się nabiegaliśmy, ja i jego pokojowiec, zanosząc srebra do banku, a numizmaty do Towarzystwa Ubezpieczeniowego.

- Niesamowite - szepnęła dziedziczka obrazów Braque'a Hughowi, który z powagą nastawił ucha. - Ta para to żywa historia, prawda?

- Ale nie pozbył się wszystkiego, prawda? - Olivia najwyraźniej знаła koniec i widać było, że nie spocznie, póki go z Koli nie wyciągnie.

- Nigdy nie zapomnę... - posłusznie wrócił do opowiadania Kola, ale nagle się rozkaszał. Etienne nalał mu wody do szklanki, a kiedy atak minął, położył mu dłoń na ręce, delikatnie zaciskając szczupłe palce na wykrzywionych palcach starego mężczyzny. - Nigdy nie zapomnę, jak przyniósł do mnie biżuterię matki. Nie wyobrażacie sobie, jakie miała wspaniałe klejnoty. Istne góry cennych kamieni. Przez chwilę mój pokój wyglądał jak Sezam. Wziął klejnoty i wysypał na stół, gdzie jadłem kolację, a kobiety wszywały je do moich ubrań.

- Cóż za romantyczna scena - młoda kobieta była wyraźnie pod wrażeniem opowieści.

- Nic w tym nie było romantycznego - ucięła ostro Charlotte. - Zajęło to nam całą noc, a kiedy skończyliśmy, miałyśmy całe ręce w bąblach.

- A ja byłem wściekły, bo musiała rozciąć mojego misia, właściwie to był lew, żeby w nim schować wielką brylantową kolbę. Och, jakież ja byłem zły!

Wszyscy się roześmiali. Bianka przywołała na twarz słaby uśmiech. Zauważyła, że matka się odchyła, żeby szeptem wymienić kilka słów z Lovatem.

- A na koniec, już po rozpruciu brzucha mojego ukochanego lwa, okazało się, że kolia jest za duża i nie da się jej tam schować, tak żeby jej nie wymacano. A ty - widelcem dźgnął w stronę Charlotte - powiedziałaś, że wrogowie na pewno odkryją sejf, więc lepiej schować wszystkie cenne przedmioty gdzieś indziej. Dlatego mój ojciec, który nigdy przedtem nie trzymał w ręku młotka, sam wybił dziurę w kuchennej ścianie,

Celia Brayfield

schował tam wszystkie kosztowności, zamurował i ułożył cegły tak samo jak przedtem. A kiedy po wielu miesiącach strasznej, pełnej niezliczonych niebezpieczeństw podróży dotarliśmy do Monte Carlo, matka była wściekła, że nie przywieźliśmy jej kolii.

- Przecież był pan tylko małym chłopcem - Hermione promieniowała współczuciem. Pochyliła się, niechcący zanurzając w talerzu czerwoną, jedwabną apaszkę i dotknęła ramienia starca. - Jakież to musiało być dla pana straszne przeżycie.

- Moja droga, toczyła się wojna, rewolucja, ludzi spotykały znacznie gorsze rzeczy niż wybuch gniewu rozzłoszczonej matki.

Ale i tak dobrotliwie poklepał Hermione po ręce, wzruszony intensywnością uczuć, jakie w niej wzbudziły jego wspomnienia.

- Nie wiem, czemu moje dzieci miałyby uważać, że rozgniewana matka to coś gorszego niż wojna i rewolucja. - Olivia ze zgorzaniem pokręciła głową, dzięki czemu znowu rozdzwoniły się jej kolczyki i znowu skupiła na sobie uwagę gości. Kola ciągle jeszcze nie doszedł do najważniejszego elementu opowieści. - Dalej, Kola, powiedz im, co się stało z tymi kosztownościami.

- Cóż, Rosjanie zabili ojca i skonfiskowali majątki arystokracji, tak że zostaliśmy bez środków do życia. Najpierw matka zastawiła naszą willę, potem sprzedawała biżuterię, jedną błyskotkę po drugiej... Było to bardzo smutne, bardzo dla niej ciężkie. Jedna po drugiej znikwały pamiątki po moim ojcu, wspomnienie jej kariery, cudownego życia, które wiodła jako młoda dziewczyna. Dlatego ja zanosłem jej biżuterię do antykwariuszy, po pewnym czasie przyjaciele też zaczęli mi powierzać swoje kosztowności, bo mi ufali - byłem jednym z nich, Rosjaninem. W ten sposób sam zacząłem handlować tymi rzeczami. Kupiłem sklep w Paryżu, rozwinąłem interes i dalej jakoś poszło... Ot, i całe moje życie.

Jego głos dźwięczał w cichym pokoju. Charlotte siedziała bez słowa, ze zmartwiałą twarzą. Biankę ogarnęła fala melancholii i wyrzutów sumienia, że uważała babkę za otaczającą się murem spokoju staruszkę, a nie dostrzegała w niej wrażliwej dziewczyny, która pokochała cudze dziecko, a później musiała je oddać jego naturalnej matce. Bianka czuła, że Olivia postąpiła niewłaściwie, z zimną krwią wyciągając z Koli całą

Kolia

220

tę historię tylko po to, żeby dodać chwały nazwisku Berrisfordów, na co Kuźmiński zgodził się wyłącznie dlatego, żeby rozpalić Lovata i zapewnić sobie kupca na jajka Febergego.

Po kolacji towarzystwo przeniosło się na kawę do saloniku muzycznego. Etienne niemal od razu zaprowadził Kuźmińskiego na górę do łóżka, twierdząc, że starszy pan jest wyczerpany, choć Bianka podejrzewała, że tak naprawdę w ten sposób chciał uchronić Kole przed wścibstwem obcych.

Kiedy odwracała się, pożegnawszy Kole i Etienne'a, kątem oka dostrzegła, że matka wyprowadza Lovata z pokoju. Wzięła go pod rękę i coś mu szeptała do ucha. Bianka widziała tę scenę już wielokrotnie - w ten sposób Olivia wybierała ze stada upatrzonego mężczyznę. Być może tym razem upatrzyła sobie Lovata.

Skoro już raz ta myśl się pojawiła w głowie Bianki, nie chciała jej opuścić. Wspomnienia szybko ułożyły się w logiczny ciąg, świadczący, że jej matka i mąż są kochankami, i to może już od wielu lat. Poczowała ból, ogarnęła ją panika. Rozpaczliwie chciała uciec gdzieś, gdzie nie będą jej prześladować te straszne uczucia.

W głębi ducha słyszała cichy głosik, mówiący, że to wszystko absurd, wytwór wyobraźni, który bierze się z jej zmęczenia i przygnębienia. W poszukiwaniu kogoś, czyj rozsądek ugasiłby płomienie szaleństwa, gwałtownie rozejrzała się za siostrą, ale ta gdzieś zniknęła. Charlotte także już poszła spać. Ojciec stał przed kominkiem i rozmawiał z bankierem i arystokratą. Stella Bainbridge siedziała na niewielkiej sofie i z dobrze udawaną ciekawością wypytywała żonę bankiera, gdzie kupuje suknie. Włączenie się do ich rozmów wydałoby się nienaturalne, a im dłużej tak stała w drzwiach, tym dziwniej wyglądała.

- Wybaczcie państwo, ale położę się już do łóżka. Zauważyła, że wszyscy ci ważni wspólnicy w interesach, dla których tak pracowicie dziś rano obierała porzeczeki, w najmniejszym stopniu nie wydawali się poruszeni jej odejściem.

- Zdaje się, że Olivia zaanektowała mojego męża. Hugh, będziesz tak miły i pożegnasz ją ode mnie?

Idąc wolno w stronę ojca, czuła się, jakby stąpała po cienkim lodzie, ale pamiętała, żeby patrzeć mu prosto w oczy. Jeśli te straszliwe podejrzenia, od których nie potrafiła się wyzwolić, mają jakiś związek z prawdą, może uda się jej to

Celia Brayfield

dostrzec w jego twarzy. Ojciec odwrócił się gwałtownie, wyglądał, jakby się czegoś wystraszył.

- Oczywiście, moja droga. Masz za sobą ciężki dzień. Pozwól, że teraz ja się wszystkim zajmę.

Ruszył w jej kierunku.

- Może trzeba coś na jutro przygotować w kuchni? Czy pani Harris już poszła do domu? Przepraszam państwa na chwilkę - zwrócił się lekko do Llewellynów i Bainbridge'ów, po czym wraz z córką opuścił pokój.

- Wyglądasz na bardzo zmęczoną - powiedział, kiedy szli przez łagodnie oświetlony hall.

Bianka potknęła się o róg dywanu, chwycił ją za łokieć. Ponieważ zdaniem Lovata żaden prawdziwie dobrze urodzony Anglik nie dopuści, by podłogi w jego domu zasłaniały wykładziny, w ich mieszkaniu nierówne, wyfroterowane posadzki z dębu bądź kamienia pokrywały orientalne dywany o jeszcze mniej regularnej powierzchni.

- Bo jestem zmęczona.

- Bianco, na pewno dobrze się czujesz? Martwię się o ciebie. Siedzisz na tej zabitej wsi sama przez cały tydzień...

- Są ze mną chłopcy, wcale nie jestem sama.

- Ale to przecież tylko dzieci...

- Lubię dzieci. Wiesz, że spodziewam się kolejnego? Przyzwyczajona do wiecznego zamieszania i chaosu w jej rodzinie, przestała zwracać uwagę na drobiazgi i teraz nie pamiętała, czy powiedziała już rodzicom o ciąży, czy nie. Ojciec przystanął i nagle ją objął. Tylko on potrafił sprawić, że uścisk wydawał się czymś groźnym.

- Nie, moja droga, nic nie wiedziałem. Lovat nie wspomniał o tym ani słowem. Ale to chyba dopiero pierwsze miesiące, jesteś chuda jak patyk.

- Tylko nie próbuj mnie namawiać do usunięcia, dobrze? Boże, dlaczego mężczyźni nienawidzą dzieci?

- Ależ Bianco, nawet mi przez myśl nie przeszło, że miałbym w taki sposób wtrącać się do twoich osobistych spraw. Przecież wiesz, że uważam, że każda kobieta ma prawo w ramach dostępnej nam wiedzy medycznej kontrolować te sprawy...

- Hugh, doskonale wiem, co naprawdę uważasz, i wiem, że to co myślisz i to co robisz, to dwie zupełnie różne sprawy. A teraz, proszę, puść mnie już. Jestem zmęczona. Dobranoc.

Wspięła się na palce, sucho pocałowała go w policzek

I szybko, nie oglądając się za siebie poszła na górę.

Kolia

222

Kiedy wrócił Lovat, udawała, że śpi. Potem leżała u jego boku, myśląc o ich małżeństwie. Przypomniała sobie dzień, gdy Lovat oświadczył, że będzie pracował w Domu Berrisfordów. Do dziś uważała tę decyzję za swoistą zdradę, jej i jego ambicji. Pragnęła, żeby uwolnił ją od jej rodziny, a tymczasem on z powrotem oboje ich poddał pod jej wpływ. Może chciał być bliżej jej matki. Podziw, komplementy, żarty, chłód Ohvii, staranie Lovata, aby nigdy w żadnej sprawie nie stanąć po stronie teściowej - Bianka we wszystkim znalazłaby dowody na potwierdzenie swych podejrzeń.

Rano Lovat przekręcił się na bok, układając się na Biance. Zwykle zaczynał dzień od szybkiego, czysto użytkowego rżnięcia. Jego wyrachowanie budziło w Biance wstręt - Lovat nigdy i nigdzie się nie spóźnił z powodu tych porannych igraszek. Zdawało się, że wie co do sekundy, ile czasu zajmie mu dojście do orgazmu. Czy w ogóle by zauważył brak odpowiedzi partnerki?

Ręką głaskał jej nogi, zmuszając żonę do położenia się na plecach, rozchylając jej uda. Kiedy namacał łechtaczkę, paznokciem zawadził o jej wierzchołek. Przenikliwy ból ostatecznie dobudził Biankę. Zamknęła oczy, ręce trzymała nieruchomo na poduszce. Teraz wsadził w nią palce. Gest nie miał w sobie nic z pieszczoty, chodziło wyłącznie o upewnienie się, czy pochwa jest na tyle wilgotna, żeby mógł w nią wejść. Bianka jednak wiedziała, że pochwę ma prawie całkiem suchą, a ona sama nie czuje najmniejszego podniecenia, jedynie obojętność. Do wzbudzenia namiętności i chęci wystarczyłoby kilka minut uwagi, której się nie spodziewała.

Lovat nieco się uniósł, wysunął palce, po czym kilkakrotnie niecierpliwie zaatakował na ślepo. Raz czy dwa żołądź trafił w wargi sromowe, wreszcie udało mu się wejść. Bianka ponownie poczuła na sobie ciężar ciała męża. Drapał ją jego nieogolony policzek. Gwałtowne pchnięcia stawały się coraz trudniejsze do wytrzymania. Bianka leżała bez ruchu, zastanawiając się, czy dzięki polecanym przyszłym matkom przez fizykoterapeutów ćwiczeniom, które miały na celu wzmocnienie mięśni miednicy, jej pochwie udało by się wyrzucić go z środka.

Średnia Lovata - Bianka obliczyła ją już jakiś czas temu - wynosiła dwadzieścia dwa ruchy frykcyjne. Po dwunastym zatrzymał się, lekko uniósł i ponownie namacał jej łechtaczkę.

- Nie trzeba - mruknęła natychmiast.

Celia Brayfield

- Na pewno?

- Tak.

Starła się sprawiać wrażenie zaspanej, mając nadzieję, że mąż nie będzie żądał wyjaśnień.

Jeszcze cztery pchnięcia i było po wszystkim. Ucałował jej zamknięte wargi, z uprzejmości odczekał pół minuty, potem wstał i poszedł do swojej łazienki.

Po chwili Bianka poszła do swojej i przyjrzała się sobie w lustrze.

- Więcej już chyba tego nie zniosę - powiedziała do swojego odbicia.

- Mamusiu, dlaczego mówisz do siebie?

W drzwiach pojawił się ich najstarszy syn, czysty, ubrany w strój sportowy, z piłką do krykieta w ręku. Bianka uświadomiła sobie, że powinna się o nich martwić. Gdyby rzuciła Lovata, albo on ją, niewykluczone, że chłopcy mogliby z tego powodu cierpieć. Oto Tom, jak zwykle opanowany, ale w końcu ciągle jeszcze dziecko, a jednak nic nie czuła. Nie potrafiła wzbudzić w sobie miłości. W tej chwili jedyną reakcją na widok syna było lekkie zaciekawienie, co mogło spowodować jego wizytę o tej porze.

- Bo miałam na to ochotę. Co się stało, kochanie?

- Dziś rano mamy trening. Zapomniałem ci powiedzieć.

- I musisz na nim być? Potaknął.

- Idź do ojca i poproś, żeby cię zawiózł.

- Mówi, że nie może. Stłumiła gniew.

- Co oznacza, że tego nie zrobi. Mógłbyś poprosić panią Harris? Powiedz, że ja przygotuję śniadanie.

- Zgoda.

Pobiegł, a ona przystąpiła do codziennych, rutynowych obowiązków, wdzięczna za każde najdrobniejsze zajęcie, dzięki któremu mogła zapomnieć o pustce w sercu.

W miarę jak mijał dzień, robiła się coraz bardziej milcząca, za to Olivia coraz bardziej rozkwitała. Choć nie należała do kobiet, które przepadały za towarzystwem homoseksualistów, teraz robiła mnóstwo szumu wokół Kuźmińskiego i jego młodego towarzysza i wyciągała z Koli następne wspomnienia z okresu rewolucji bolszewickiej. Kiedy wszyscy wybrali się na wyścigi konne w Newmarket, nie odstępowała starca, który cały czas siedział w jednym miejscu, podczas gdy Hugh i pozostali goście rozproszyli się po trybunach.

Kolia

225

Bianka wyruszyła na poszukiwanie Shony, zawsze obecnej tam, gdzie pojawiali się przedstawiciele szlachty - o ile mieściło się to w promieniu dwóch godzin jazdy z Londynu - i obcało-wującej policzki swoich przyjaciółek. Joe pięć lat temu otworzył własną firmę doradczą i teraz, straciwszy połowę włosów i przybrawszy kilkanaście kilo na wadze, osiągnął taką pozycję na rynku, że szykował się do wypuszczenia akcji spółki.

- Czuję się oszukana - promieniejąc oświadczała Shona każdemu, kogo spotkała. - Marzyłam, żeby uciec z artystą bez grosza przy duszy, a ten się dorobił milionów. Czy to nie prawdziwy pech?

- Czy ja mam jakieś powody, żeby czuć się oszukana? - spytała ją Bianka, wykorzystując moment, kiedy stały same przy wybiegu dla koni.

- Co masz na myśli? To coś poważnego?

- Chodzi mi o Lovata. Jesteś w Londynie, Shona, może coś ci się obilo o uszy. Podejrzewam, że ma romans.

- Rany, wydawałaś mi się jakaś taka blada. Nie, nigdy nic o nim nie słyszałam z wyjątkiem pochwał, jak świetnie mu się wiedzie. Ostatnio rzadko się widują z Joem, choć mój mąż nadal czci ziemię, po której Lovat stąpa. Chcesz, żebym się popytała...? Oczywiście dyskretnie, to jasne.

- Tak, jeśli możesz.

- Żaden problem. Masz to u mnie. My, kobiety, musimy się trzymać razem.

Wszystko to poszło zbyt lekko, zbyt frywolnie i niewiele miało wspólnego z bólem, który czuła. Przez otwartą, niemądrą twarz Shony przebiegł cień, dając Biance dowód, że Lovat musi ukrywać jakąś tajemnicę, o której ona nie wie.

Wieczór był niemal dokładną kopią poprzedniego, tyle że w sobotę kolacja była oficjalna, a stary Kuźmiński wspominał Paryż z okresu okupacji. Wraz z Etienne'em wycofał się o tej samej porze. Bianka wróciła do muzycznego salonu z nadzieją, że zobaczy męża i matkę w pokoju, ostentacyjnie siedzących daleko od siebie, ale oni znowu byli razem i znowu szli na taras.

- Lovat. Stój.

Czuła się jak uczennica, recytująca tekst z jakiegoś kiepskiego melodramatu. Ale jej mąż zatrzymał się i obrócił. To samo zrobiła Olivia.

- O co chodzi, Bianka? Coś się stało?

Tak, nie miała wątpliwości - nie patrzył szczerze i z trudem usiłował nadać głosowi ton wyższości.

Celia Brayfield

- Tak, sądzę, że coś się stało. Co właściwie zaszło między tobą a moją matką?

Kątem oka dostrzegła, że Charlotte unosi dłoń do ust.

- Nic, kochanie. Po prostu chcieliśmy wyjść zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Za tym kryje się coś więcej.

Mdłości, które nękały ją cały dzień, zniknęły i Bianka poczuła, że w jej ciało znowu wstępuje siła. Spojrzała na matkę. Matka postąpiła krok do tyłu, wysokie obcasy zaplątały się w rąbek długiej, drapowanej sukni z szarego jedwabiu. Nagle pobrzydła, niezręcznie walczyła o utrzymanie równowagi. Oczy jej się zwęziły, twarz znieruchomiła w grymasie urazy.

- Postawmy sprawę jasno: czyżbyś wysuwała jakieś oskarżenia pod moim i OHvii adresem?

- Tak, właśnie dokładnie to robię.

- A więc twoje oskarżenia są po prostu śmieszne. Rzucił niezręczne spojrzenia na gości, którzy zsuwali się z krzeseł, przygotowując się do taktownego opuszczenia sceny. Hugh, który wcześniej zajął swoje ulubione miejsce obok kominka, stał i wpatrywał się w czubki butów, ściskając w dłoniach kieliszek koniaku.

- Nie, nie są. Tym razem nie możesz mi tego zarzucić, Lovat. Zawsze twierdzisz, że wszelkie moje pomysły są idiotyczne, ale nie tym razem.

- Kochanie, właśnie, że tak...

Szybko przeszedł przez pokój, żeby ją objąć i uspokoić, a przede wszystkim, żeby zabrać z salonu, nim dodatkowo pogorszy tę i tak upokarzającą scenę.

- Powiedz jej prawdę - niemal krzyknął Hugh.

Lovat znieruchomiał z ramieniem na barkach Bianki, wodząc wzrokiem od Hugh'a do Ohvii.

- Powiedz jej teraz. Powinieneś był to zrobić na samym początku. Pora z tym skończyć.

- Dziękuję ci, Hugh.

Przez chwilę Bianka rozkoszowała się ciepłem pierwszego objawu ojcowskiej miłości, jakiego w życiu doznała, ale zaraz zdała sobie sprawę, że ten ruch nie wypływał z lojalności, a tym bardziej troski czy miłości, lecz z chęci osłonięcia klanu. Pojawiło się też w niej nowe, nieznanne uczucie - świadomość własnej władzy, uczucie tak olśniewające, że przygłuszyło i uleczyło drobne ukłucia bólu czy miłości.

Kolia

227

Lovat zacieśnił uścisk. Wyrwała mu się ze złością.

- Sądzę, że część gości czułaby się lepiej w drugim salonie. Jestem pewna, że ogień w kominku jeszcze nie wygasł - powiedziała.

Shona wstała i wyprowadziła czwórkę gości, wznosząc oczy ku górze, kiedy mijała Biankę.

- Lovat, ja czekam.

- Nie mogę... - wyjąkał. Twarz mu się wykrzywiła, przestał nad nią panować. Wargi zawsze tak pewne, tak dumnie wygięte, teraz zmiękły, rozchyliły się.

- Jestem pewna, że możesz. Czy słowa mogą być gorsze niż czyny?

Prychnął z wściekłością i Olivia, wyraźnie już przestraszona, niezręcznie ruszyła w stronę córki.

- Nie, Lovat, nie złość się. Pozwól, niech ja wytłumaczę. Bianka, cała wina jest po mojej stronie. Może porozmawiamy w cztery oczy...

- Nie. Powiesz, że wszystko zmyśliłam. Znam cię, nie zapominajmy, że jesteśmy rodziną, nie zapominajmy. Zostańcie na miejscach.

Bianka założyła ręce. Nie mogła dopuścić, żeby poczuć litość nad matką, która teraz tak rozpaczliwie, tak bez wprawy, usiłowała być dobra.

- To było wiele lat temu, Bianka. Jeszcze zanim się pobraliście. Zanim w ogóle się poznaliście. Ktoś przyprowadził go do nas na przyjęcie, Lovat za dużo wypił, ja zresztą pewnie też... Wiesz, jakie życie wtedy prowadziłam. To było tylko jeden raz...

- Nie wierzę ci - odparła natychmiast, wiedzona wyłącznie instynktem. Lovat siedział na stołku przy pianinie, twarzą do ściany. - Oczywiście, że wiem, jakie życie prowadziłaś. I zawsze myślałam, że sprawia ci to dużą przyjemność.

Olivia nie dała się sprowokować.

- Może i przyszedł jeszcze raz, ale do niczego nie doszło, do niczego. Nie pasowaliśmy do siebie...

- Chcesz przez to powiedzieć, że pomyślałaś sobie, że to prymityw z Północy, poniżej twojej godności, tak?

Lovat nagle się odwrócił.

- Daj spokój, to dla niej i tak niełatwe - oświadczył swym zwykłym, pełnym wyższości tonem.

Bianka otworzyła usta i poczuła, że z piersi jak wiatr wyrывa jej się niczym nie skrępowana, czysta furia. Olivia ze

Celia Brayfield

szlochom opadła na krzesło, a ona stanęła nad matką, z wściekłością zarzucając jej popełnienie straszliwej zbrodni. Wyczerpawszy ten temat, z pasją przerzuciła się na wspomnienia z dzieciństwa, kiedy zachowując pozory uległości, w duchu buntowała się, szukała sposobów ucieczki, planowała ją i szykowała się do niej.

Później zaatakowała ojca, ale on dobrze zniósł jej pogardę, przyznał, że częściowo ponosi winę za swoje nieudane małżeństwo i współdziałał w spisku, mającym na celu utrzymanie przed nią całej sprawy w tajemnicy. Zresztą mógł uniknąć właściwej odpowiedzialności, zrzucając ciężar winy na innych. Charlotte uciekła w milczenie. Nie znajdowała na to słów. Szarpiące nią uczucia przygniatały ją, nie pozwalały jasno myśleć. Natychmiast przybrała starczy, urażony wyraz twarzy. Joe, który siedział skulony w kącie, przyznał się, że od początku o wszystkim wiedział. Bianka dała mu spokój, wiedząc, że będzie się zasłaniał lojalnością wobec Lovata.

Wreszcie przeszła do swojego męża, ojca trojga - nie, czworga ich dzieci, człowieka, który zdobywał ją z taką słodyczą, miłością i stylem, cały czas zdając sobie sprawę, że popełnił straszliwą zbrodnię, która zaciąży na każdym dniu ich małżeństwa. Gdy dała się ponieść uczuciom, odkryła, że są bliskie nienawiści, ale zaczęła panować nad słowami, widząc, że Lovat się uspokaja i szuka poparcia u teścia, wyraźnie obawiając się o przyszłość swej bezcennej kariery, swoją rolę elegancko odzianego sługusa, której ponoć nigdy nie chciał. Oczywiście, tylko to tak naprawdę go niepokoiło. Nie obchodziło go, że jest wściekła, że okłamał ją i zdradził, spłodził dzieci, nie przejmując się, że swoje wspólne życie zbudowali na oszustwie. Szukała broni, dzięki której mogłaby skruszyć zbroję jego egoizmu.

- Wszystko skończone - powiedziała spokojnie i bardzo wyraźnie. - Chcę rozwodu. Chcę, żebyś natychmiast wyniósł się z tego domu i żądam rozwodu.

- Porozmawiamy o tym rano - brzmiała jego odpowiedź, a na ustach zagościło coś w rodzaju uśmiešku.

- Ja nie żartuję. Masz się natychmiast stąd wynosić i chcę się z tobą rozwieść.

- Lepiej zrób, jak ci każe.

Hugh skinął na niego głową. Na fotelach błękitne pastereczki w sukniach z tiurniurą biegły za kędzierzawymi barankami. Z wazonu, w ciszy podobnej do ciszy po bitwie, opadały

Kolia

229

na stół płatki białych peonii i róż. Joe ciężko uniósł się z krzesła.

- Możesz przenocować u nas - zaproponował, wyciągając rękę do Lovata.

- Dzięki, ale zostanę tutaj.

Hugh wreszcie opuścił neutralne stanowisko przy kominku i nie zwracając uwagi na żonę, stanął między Bianką a Lo-vatem.

- Lepiej będzie, jeśli zrobisz tak, jak mówi Bianka. Położył mu dłoń na ramieniu i zięć spojrzał na niego, gniewnie marszcząc gęste brwi. Potrafił natychmiast wyczuć rozkład sił i zrozumiał, że Hugh go zostawił.

- Po czyjej stoisz stronie?

- Mojej córki.

- Na to wygląda. Widać masz jakieś powody po temu.

- Nie muszę mieć powodów. - Moralizatorski ton Hugh'a mógł doprowadzić do pasji. - Bianka jest moją córką.

- Nie opowiadaj bzdur. Krew gęstsza od wody, silniejsza niż ustępliwość, niż pieniądze, niż wszystko, co dla ciebie zrobiłem i tak dalej, co? A więc dobrze. Doskonale. Zrobię, jak chce. Ale jeśli wyjdę z tego domu, już do niego nie wrócę, a ty zobaczysz mnie u Berrisfordów dopiero w dniu, kiedy przyjdę przejąć tę cholerną firmę.

Teraz Hugh pobladł i zacisnął zęby z gniewu, ale starał się zachować pozory opanowania.

- Porozmawiamy w poniedziałek. Teraz po prostu wyjdź.

- Dobrze.

Lovat zerwał się na równe nogi i po chwili już go nie było. W powietrzu dźwięczało echo jego kroków na schodach.

- Miło z twojej strony, Joe - Hugh chciał jakoś wypełnić ciszę.

- Nic takiego nie zrobiłem. Uspokoi się, zobaczycie. Znam go, zawsze taki był, musi się wywściekać. Nie można traktować poważnie tego, co mówi w gniewie.

Znowu zapadło niezręczne, bolesne milczenie i Bianka poczuła, że rano ona też może się zastanowić nad swoimi pospiesznie wypowiedzianymi słowami. Ze złością uświadomiła sobie, że awantura, którą wszczęła jako poszkodowana, niewinna ofiara, przerodziła się w końcu w walkę dwóch mężczyzn, zmaganie, w którym ona ani jej uczucia zupełnie się nie liczyły.

- Nie myślcie sobie, że jestem taka jak wy - wypaliła.

Cetta Bray field

- Mówiłam poważnie. Chcę rozwodu. Dziesięć lat żyłam w kłamstwie i nie zniosę tego ani chwili dłużej.

Znowu rozległ się tupot i w pokoju pojawił się Lovat, trzymając w ręku torbę w ubraniami.

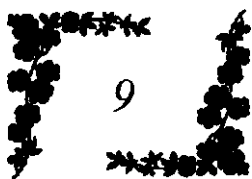
- No to jedźmy - skinął na Joego.

Niechętnie, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego, mając jeszcze nadzieję na jakieś pojednanie, Joe pożegnał się z Charlotte i Bianką, OHwią, która nawet go nie słyszała i Hughem, który chciał ich odprowadzić do drzwi.

- Sami trafimy - powstrzymał go Lovat. - Rano prześlę ci rezygnację.

Bianka zobaczyła już tylko jego plecy, usłyszała, jak otwierają się, a potem z hukiem zatraskują drzwi wejściowe.

Poczuła się lekka, miała wrażenie, że mogłaby fruwać. Satysfakcja to rzadkie uczucie i poprzysięgła sobie, że postara się częściej go doznawać.



St Petersburg, 1910

Drogi Mikołaju, moja jedyna miłości - skreśliła Lidia na górze strony i przez chwilę podziwiała pióro z przezroczystego, białego agatu wysadzone brylancikami. Zawsze z wielką przyjemnością nim pisała, szczególnie tego ranka, gdy miała zagrać o najwyższą stawkę z mężczyzną, od którego je dostała.

Błagam, pozbadź się wszelkich wątpliwości, jakoby moje serce wzdragalo się przed spełnieniem z całą namiętnością Twych żądań. Przez całe życie będę przechowywać w pamięci, niczym najcenniejszy skarb, wspomnienie chwil, które razem spędziliśmy, i Twoje zainteresowanie uważać za szczególny komplement. Przy Tobie zawsze doświadczam pełni szczęścia i wiem, że nigdy żaden afekt nie zmniejszy mych uczuć do Ciebie. Ale musisz wiedzieć, że nie mogę obdarzyć Cię tym, o co prosisz. Pochodzę z prostej rodziny, wiodę niepewną egzystencję artystki, co sprawia, że nie wolno mi kierować się w życiu pragnieniami mego serca.

Przerwała i posunęła kartkę ku Aleksandrowowi, który czytając kiwał głową.

- Nie za długi? - zapytała go, bardzo blada.

Była dziewiąta rano i zaledwie parę godzin wcześniej wróciła z szalonej wyprawy z księciem Orłowem na kolację w Wyborgu, odległym o ponad sto dwadzieścia kilometrów. Razem z dużą, hałaśliwą grupą znajomych wsiedli do sań i otuleni w futra pomknęli przez lodowatą noc, popijając wódkę dla rozgrzewki.

Od ponad roku Orłów zabiegał o jej względy, w ciągu ostatnich kilku miesięcy niemal co tydzień zapraszał ją na kolację, zawsze z wystudiowaną obojętnością i zawsze, zgodnie z zasadami przyzwoitości, w towarzystwie innych. Zauroczył ją w czasie wakacji, gdy połowa zespołu rozbiła się obozem

Celia Brayfield

w pobliżu letniego pałacu cara. Książę regularnie bywał na próbach i ich związek rozkwitał w tej swobodnej atmosferze.

Obsypywał ją prezentami, poczynając od drobiazgów, jak na przykład to pióro, by później przejść do składania hołdu jej kobiecości - nefrytowe flakoniki perfum, biały, pokryty emalią zegar do buduaru, zdobiony kokardkami i pączkami róż z rubinów. W stosownym czasie zaczęła przyjmować biżuterię - brylantowe kolczyki w kształcie liści winnego krzewu, na urodziny piękną broszkę wysadzaną przymglonymi syberyjskimi szmaragdami i brylantami, a później szmaragdowy naszyjnik do kompletu.

Ubiegłej nocy podniecenie długą, szybką jazdą saniami oraz godziny spędzone w samotności, jeśli nie liczyć obojętnych pleców woźnicy, przełamały obojętność, charakterystyczną dla zachowania Orłowa. Mężczyzna całkowicie się zapomniał. Wspomnienie mocnych dłoni obejmujących jej talię paliło niczym żelazo do piętnowania. Raz po raz przelykała ślinę; ciągle czuła na ustach jego wargi.

Kiedy go odepchnęła, najpierw wybuchnął gniewem, a potem zapadł w głębokie milczenie. Wreszcie, gdy wjeżdżali na przedmieścia, złożył deklarację. „Musisz być moja” - zaczął gwałtownie, ale Lidia, nadal przerażona, błagała, by zamilkł i nic więcej nie mówił. Zdezorientowana natychmiast posłała po Aleksandrowa i rod raz się uspokoiła, gdy zamiast skarcić ją za głupotę, zatarł ręce sugerując, że jeden dobrze napisany list może zakończyć całą sprawę w sposób wręcz doskonały.

- Idealny pod każdym względem - zapewnił ją wymachując kartką, aby osuszyć atrament. - Właściwa mieszanka namiętności i patosu. On zna procedurę, wszyscy ją znają. Chcemy tylko, aby dobrze zdał sobie sprawę, ile straci rezygnując. Zakończ długim, łzawym pożegnaniem i wysyłam od ręki.

- Ja naprawdę go uwielbiam. Z całej duszy wierzę, że jesteśmy dla siebie przeznaczeni. Wiem to, zawsze to czułam - powtórzyła z przekonaniem, jakby chciała samą siłą tych słów zapewnić szczęśliwe zakończenie miłosnych perturbacji.

- Moim zdaniem ten list da nam to, co chcemy, postawiłbym na tó niezłą sumkę - mrugnął do niej znacząco, gdy podawała mu skończony list.

- Żadna pociecha, skoro ciągle to robisz. - Pieniądze, które Misza pobierał od swych kompanów za organizowanie spotkań z członkami zespołu baletowego, nigdy nie zagrzały miejsca w jego kieszeni, bo ostatnio z lubością grywał w ruletkę.

Kolia

232

- Ale tylko na czarne lub czerwone, więc, moja droga, nie sądź zbyt surowo starego przyjaciela. I kiedy już się urządzisz w swoim uroczym domku, z biżuterią, automobilem i całą resztą, pamiętaj tylko, kto cię trzymał za rączkę, gdy grałaś o najwyższą stawkę, jasne?

- Dobrze robie, prawda?

Ku jej zdumieniu Misza wziął ją w objęcia i przytulił do torsu obleczonego w doskonale skrojony surdut.

- Twój stary wujek Misza prowadził wiele nieśmiałych dziewcz niebezpieczną drogą miłości, ale żadna nie stapała po niej tak wdzięcznie jak ty. Muszę przyznać, że jestem z ciebie dumny. Wierzę, że kochasz tego człowieka, choć, na Boga, nie mam pojęcia, dlaczego. Zachowałaś zimną krew i nie pozwoliłaś, by romantyczne głupoty lub gorące uczucia popsęły ci szyki w przeprowadzeniu dobrego interesu. Lidio, jesteś prawdziwą gwiazdą. A teraz idź się położyć, napij się herbaty z werbeny i wybierz kolor munduru dla swojego szofera.

- Nie mogę, tańczę dziś wieczorem i już jestem spóźniona na lekcję.

- Ale nie zmrużyłaś oka!

- Wiem, wyśpię się później, ale dziś nie mogę być sztywna.

- Cóż za oddanie sztuce! W którym balecie dziś występujesz?

- *Don Kichot*. Tańczę główną rolę i dziś premiera!

- O mój Boże! I Orłów na pewno będzie na widowni, prawda? Chcesz, żebym ci coś załatwił? - Misza w liczonym gronie znajomych miał paru farmaceutów doświadczonych w robieniu pożytecznych mikstur, które potrafiły wzmocnić siły balerin, usmierzyć ból, zmniejszyć łaknienie albo wzmóc potencję.

- Kochany Misza, naprawdę mógłbyś? Myślę, że dziś rzeczywiście tego potrzebuję. - Lidia nie wahała się ani minuty.

Wnuczek gospodyni Aleksandrowa, inteligentny, schludny chłopczyk, oddał list odźwiernemu w pałacu Orłowa i gdy książę wstał wczesnym popołudniem, przyniesiono mu pismo do gabinetu. W urządzaniu wnętrza hołdował klasycznym gustom - gładkie, jasnożółte ściany były ozdobione płaskorzeźbami, kolumny wykonano z czerwonego jaspisu, a biało--złoty fryz przedstawiał splecione militaria. Jako dwudziesto-parolatek namiętnie wręcz kolekcjonował antyki z Grecji i Rzymu, dlatego w pokoju znalazły się wybrane okazy. Nad kominkiem ustawiono wazy, posążki ozdabiały niskie biblio

Celia Brayfield

tecзки, a popiersia czterech greckich filozofów umieszczono na marmurowych postumentach w niszach. W specjalnej kasecie w kształcie okrągłego stołu rozłożono jego pierwszy nabytek: kolekcję medali, którą odziedziczył po dziadku. Najcenniejszy przedmiot - figurka z brązu - zaledwie dwudziestocentymetrowy Hermes, stał gotów do walki na prostym, mahoniowym biurku.

Aleksandrów niesłusznie ocenił księcia twierdząc, że piękno go nie interesuje. W rzeczywistości tylko ta cecha potrafiła poruszyć jego serce i umiał ją dostrzec w sztuce na równi z naturą. A jednak umysłem panował nad temperamentem. Uczucia, doznania, a nawet zaspokojenie uważał za przyjemności destrukcyjne i zdrowym rozsądkiem potrafił szybko opanować pobudzenie zmysłów.

Kuźmińska - jak powszechnie już nazywano Lidie samym tylko nazwiskiem - wywarła na nim wrażenie, które oparło się mocy jego rozsądku. Nisko cenił balet uważając go za rozrywkę nie wymagającą intelektu i pogardzał znajomymi, którzy bez reszty oddali się na służbę balerinom i aktorkom. Powtarzał sobie, że to ciekawość i względy towarzyskie skłoniły go do przyjęcia zaproszenia do loży generała Rogożyna parę tygodni po spotkaniu tancerki na kolacji.

Wystąpiła w krótkiej scence poprzedzającej główną sztukę, nazwanej „Ożywiony Ogród”, która akurat obrazowała jedno z jego młodzieńczych marzeń. Nieszczęśliwy poeta łka w ogrodzie przy świetle księżyca, a poruszone jego smutkiem kamienne posągi nimf przemieniają się w żywe kobiety i jedna po drugiej zstępują z cokołów, by go pocieszyć. W miejsce , tandetnych melodyjek orkiestra grała utwory barokowe. Choć głośno krytykował stroje sprzeczne z prawdą historyczną - tancerze byli absurdalnie i przesadnie ubrani ze względu na zasady dobrego tonu i tradycję - to w jego oczach na zawsze pozostał zarys kształtów Kuźmińskiej i jego intelekt zabawiał się dowodzeniem tezy, że ciało tancerza to żywe dzieło sztuki.

Gdy ponownie wyszła na scenę i zewsząd posypały się bukiety kwiatów, a galeria zatrzęsała się od braw, uległ kolejnej słabości. Orłów, chociaż wywodził się ze szlacheckiego rodu, jednak był czuły na poklask tłumów; wobec dworu wyrażał pogardę dla zainteresowania, jakim zwykli ludzie darzyli jego osobę i nie przyznawał się, że budzi to jego wdzięczność, a tymczasem jego pychę pobudzał nawet taki drobiazg, kiedy przechodzień rozpoznawał herb umieszczony na drzwiach jego powozu.

Kolia

234

Spędzał kilkumiesięczny urlop przed objęciem stanowiska w Ministerstwie Obrony. Ponieważ doskonale poznał strategię teoretycznie, lecz nie potrafił dowodzić żołnierzami, dlatego z radością przyjął taką drogę kariery. Skoro zima utrudniała podróżowanie, miał zamiar spędzić wolny czas na czytaniu ulubionych łacińskich tekstów. Wziął z biblioteki tomy Cicerona i Cezara, a przy okazji *Sztukę kochania* Owidiusza i natychmiast spostrzegł, że poezja wymaga od niego większego wysiłku intelektualnego niż proza.

Krok po kroku wspaniałały umysł wiódł go ku erotycznej fascynacji. Wmówił sobie, że w pełnieniu obecnej roli pomoże mu nawiązanie doskonałych koneksji z jak największą grupą wyższych oficerów, i generał Rogożyn, dla którego najważniejszy moment w tygodniu nadchodził wtedy, gdy oglądał czterdzieści par krągłych kolanek migających pod krótkimi spódniczkami, z chęcią świadczył uprzejmości nieopierzonemu mężowi stanu o olśniewającej przyszłości.

Po sukcesie *Plejad* dyrekcja zespołu doceniła talenty wschodzących gwiazd Kuźmińskiej i Lwa Wolińskiego. Krze-sińska akurat skupiła swą uwagę na budowie nowej, wspaniałej rezydencji w mieście, następnie na gruntownej przebudowie letniego pałacyku i wreszcie na sezonie w Paryżu zorganizowanym przez Siergieja Diagilewa, gdzie, jak twierdziła, odniosła wyjątkowy sukces, choć mówiono, że Wacław Niżyński i Tati Karsawina cieszyli się większym od niej powodzeniem. Trudno ocenić, kto miał rację, niemniej wszystkie te sprawy zmniejszyły jej wpływy w balecie krajowym i Lidii wreszcie zaczęto dawać role, w których mogła pokazać swe możliwości. Role te były także w przedstawieniach Michaiła Fokina i Lwa, którzy ze wszystkich sił starali się rzucić wyzwanie tradycji oraz rozwijać nowe idee. Lidia, spowita w białe koronki jako Kolombina, wyglądała prześlicznie; mimo protestów do roli perskiej wróżki włożyła szaty z gazy i baletki bez puent i ku swemu zdumieniu dowiedziała się, że jest uważana za tancerkę utalentowaną w wyrażaniu pogańskiego erotyzmu. Utworami Schumanna i Rimskiego-Korsakowa można było równie łatwo pogardzać, jak i dziełami słabszych kompozytorów. Orłów siedząc w łoży Rogożyna docenił artystyczne osiągnięcia obu choreografów. Otaczali go nowi znajomi, znalazł w ich gronie kobiety i mężczyzn o niewątpliwie głębokiej kulturze, chętnie udzielających wyjaśnień czy dyskutujących nad wartościami nowego stylu.

Celta Brayfield

Zawsze uważał głębokie zaangażowanie, uczuciowy odzew wywoływany w widzach przez balet za rodzaj szaleństwa, skoro wielbiciele tego rodzaju sztuki sami nazywali się baletomanami, sugerując manię czy obłąd. Teraz odkrył w tym zapamiętaniu ton romantyczny i często przebywał w ich gronie, aby lepiej poznać gatunki swego nowego hobby. Dokonywała się właśnie rewolucja artystyczna i znalazł się dokładnie w jej centrum. Jego niemiecką książniczkę, chociaż obdarzoną doskonałym gustem, jeśli chodziło o biżuterię, nudziła ta nowa pasja; choć Poiret i Paquin, mistrzowie mody, starali się ze wszystkich sił, nie potrafili ukryć faktu, że miała nieproporcjonalnie krótkie nogi. Orłów coraz wyraźniej dostrzegał podobieństwo między kochanką a jej ulubionym jamnikiem.

Lidia Kuzmińska w jego oczach przypominała żywe wcielenie greckiej bogini. Jej nogi stanowiły absolutną doskonałość. Zarys jej nadzwyczajnych łydek przypominał wydłużone brylanty. Fascynowała go czysta wymowa jej kolan, filigranowa delikatność kostek i giętkie, wysmukłe uda. Uwielbiał jej białe ramiona, długą szyję i gołębi wykrój żeber. W spoczynku była piękna, w ruchu - boska. Jej wyjątkowy wdzięk wabił go niczym śpiew syren, obiecując ekstazę przekraczającą doznania śmiertelników. Gdy począł zabiegać o jej względy, bez ratunku utonął w powodzi seksualnej obsesji, do której przywiodła go jego własna intelektualna arogancja.

Obracał w dłoniach list od Lidii, czując, że właściwie nie musi go otwierać. W głębi ducha bowiem już podjął decyzję. Nie ulegało wątpliwości, że zapłaci za posiadanie tego skarbu, istniało tylko pytanie, ile ona zażąda, natomiast inna część jego umysłu, oceniwszy Aleksandrowa, oszacowała cenę już wcześniej. Nigdy nie przywiązywał wagi do pieniędzy - ród Orłowych zawsze wydawał ogromne sumy, a teraz pomagały znaczne pożyczki z kasy carów, skoro władcy uznali, że powinni osłonić swą rozległą rodzinę arystokratyczną, przejmując na siebie finansowe konsekwencje przemienienia milionów chłopów pańszczyźnianych w posiadających ziemię rolników.

Bardziej przejmował się tym, ile ucierpi jego poczucie godności, gdy uczyni tancerkę baletową oficjalną metresą, ale ponieważ był przyzwyczajony do zaspokajania każdej zachcianki, więc rozumiał, że to jedyne wyjście. Był gotów przyłączyć się do grupy arystokratów, którzy utrzymywali stosunki z wytwornymi kobietami artystycznego *demi-monde*,

Kolia

237

choć nie zamierzał się posuwać tak daleko jak wielki książę Gabriel, który zamieszkał pod jednym dachem z baleriną Niną Niestorową i zapraszał tam połowę carskiego dworu, oferując szlachetne wina, doskonale jedzenie i partie pokera aż po świt.

Gabriel był głupcem o słabej woli jak jego brat Igor, który kochał tylko konie i powinien się urodzić chłopcem stajennym. Orłów uważał siebie za poważnego człowieka i mimo praktykowanego hedonizmu z podejrzliwością się odnosił do przyjemności. Wiedział, że w końcu wypełni obowiązek wobec rodu i się ożeni, ale do tego czasu potrzebował raczej całkowitego zapomnienia niż rozrywek. Niemiecka księżniczka przejawiała pierwotny apetyt seksualny, który z przyjemnością zaspokajał, ale w jej ramionach nigdy nie zatracił się bez reszty. Dręczyła go świadomość własnej niedoskonałości, a czasem widząc beznadziejność całej ludzkiej egzystencji czuł, że nie warto żyć. Szukał schronienia przed tymi prawdami i w młodości próbował uciekać w sport, alkohol i opium, ale nie potrafił przyjąć dyktowanego używkami stylu życia.

Może u boku kobiety odnalazłby spokój. Prostytutki i wiejskie dziewczki budziły w nim obrzydzenie, natomiast kobiety posiadające w sobie coś egzotycznego zawsze go fascynowały. Przez kilka lat razem ze znajomymi oficerami odwiedzał cygański kabaret na przedmieściach. Tam dawał upust żądzy w towarzystwie jednej czy paru śpiewaczek, mocnych dziewczyn o błyszczących, czarnych oczach, które cuchnęły potem i dymem papierosowym, klęły jak szewc i pracowały z przekonaniem, że trzeba każdemu dać to, co mu się należy za jego pieniądze. Gdy obdarowywał Lidę, ta chwytiała upominek niczym dziecko żebrzące na ulicy, zdumione jego naiwnością, co budziło w nim podobne uczucia.

Przełamał pieczęć jej listu, dostrzegając z niezadowoleniem, że do kawy posypał się tani воск. Szybko przeleciał wzrokiem tekst, po czym zadzwonił po lokaja, aby przyniósł czystą filiżankę i skończywszy śniadanie usiadł przy biurku, żeby napisać odpowiedź. Wyznał wieczną admirację, wyraził zrozumienie dla jej sytuacji, a także zapewniając, że jej dobro leży mu na sercu, proponował spotkanie z jego rządcą i jej opiekunem, by znaleźć odpowiadające im wszystkim rozwiązanie.

Na tym upłynęło mu niemal całe popołudnie, potem przebrał się w strój wieczorowy i doskonale znaną trasą

237 *Celia Brayfield*

pojechał do Teatru Maryjskiego, gdzie usiadł w swoim stałym fotelu w kącie łoży generała Rogożyna, a od przestronnej łoży carskiej dzieliła go tylko pozłacana kolumna.

Balet *Don Kichot* nie przedstawia bynajmniej starca z kart utworu Cervantesa, opętanego marzeniem o rycerskich czynach; jego istotę stanowi sen o Hiszpanii, który śni każdy zimnokrwisty mieszkaniec Północy, czarno-czerwoną mozaikę gorącej krwi, płomiennych uczuć, ognistych kobiet i dumnych mężczyzn. W centrum romansu w rytmie flamenco znajduje się żywiołowa, młoda bohaterka - rola jakby specjalnie stworzona dla Lidii, co musieli przyznać nawet najsurowsi krytycy. Orłów niemal co chwila zrywał się na równe nogi bijąc brawo razem z całą widownią wyniesioną na szczyty ekstazy, gdy po ostatnim *pas de deux* doszło do niespotykanego wydarzenia. Lidia razem z partnerem powtórzyła kodę na bis. Publiczność gwizdząc i tupiąc domagała się następnego i po skromnych protestach, dzięki którym złapali oddech, zatańczyli ponownie.

To, zamiast uspokoić szaleństwo w teatrze, rozpętało nową falę oklasków i widzowie głośnymi okrzykami „Bis! Bis!”, dobiegającymi ze wszystkich stron biało-złotej sali, domagali się kolejnego wyjścia artystów.

- Na litość boską, jeśli mamy powtórzyć jeszcze raz, zróbmy to szybko. - Lew, partner Lidii, wyszeptał do niej pochylając się, by ująć ją za rękę i poprowadzić na skraj sceny. - Marzną mi nogi i jak nic naderwałem ścięgno podkolanowe.

Lidia nigdy nie troszczyła się o innych, więc nie zwracając uwagi na jego słowa dalej kłaniała się na wszystkie strony.

- Musisz mieć pozwolenie na trzeci bis. No już, idź, poproś! - wysyczał, gdy zwróciła się ku carskiej łoży.

Dopiero wtedy przypomniała sobie, że tego wieczoru gdy czekała za kulisami, Mikołaj Legat pocałował ją na szczęście i wymamrotał dobrodusznie, by nie mogła go oskarżać, że nastawia ją tylko na rozczarowanie: „Mała, pamiętaj o zezwoleniu, gdyby chcieli trzeci bis”.

Gdy prostowała się po głębokim dygnięciu, poczuła, że nogi się pod nią uginają. Car z powodu choroby syna spędzał coraz więcej czasu w pałacu na wsi i tego wieczoru w łoży siedziała jego matka, imperatorowa Maria Fiodorowna. Jej urodę przyćmiewał zwykle smutek przedwczesnej wdowy, ale dziś promieniała razem z całą widownią. Lidia niczym we śnie szybkim, wymownym gestem poprosiła o zgodę i skłoniła się błagalnie, dodając natychmiast trzeci ukłon, gdy caryca skinęła

przyzwalająco. Orłów, stojący o parę kroków od niej, bezskutecznie próbował uchwycić spojrzenie Lidii. Kiedy wreszcie *Don Kichot* się skończył, fala ludzi wypłynęła na plac przed teatrem, ale tłum wcale nie zamierzał się rozejść. Orłów poszedł za generałem Rogożynem, który chciał złożyć hołd swej ulubienicy przez okno jej garderoby, wychodzące na prywatne drzwi rodziny panującej. Otoczyła ich ciżba najwytrwalszych baletomanów, którzy ustawili się wokół budynku i przedarli do wejścia dla artystów. Młodzieńcy regularnie oglądający przedstawienia z galerii, przezwani „kogucikami”, skandowali nazwisko Kuźmińskiej. Orłów rozpoznał mundurki wszystkich najznakomitszych szkół Petersburga i uśmiechnął się z wyższością widząc, jak studenci w wyjściowych, szarych paltach podkreślają pierwszego wąsa. Słuchacze ostatnich lat, w eleganckich paltotach, patrzyli na nich z góry skrobiąc rymowane peany w świetle lamp ulicznych.

- Okropnie długo zajmuje tym damom zmycie makijażu, nie sądzisz? - zagadał świeżo upieczony, dwudziestoletni intelektualista do znacznie starszego kolegi, który wymruczał coś przez obłok dymu papierosowego, płynącego z głębin bobrowego kołnierza.

Wreszcie otwarto drzwi i z teatru zaczęli wychodzić muzycy, szczelnie otulając się płaszczami przed zimnem. Pojawiły się szczupłe, skromne tancerki i czereda z szacunkiem się rozstąpiła robiąc im przejście. Publiczność czekała na gwiazdy i jeśli będzie trzeba, postoją na śniegu i pół nocy.

- Idzie! Idzie! - zawołał ktoś przy drzwiach dojrzwawszy w korytarzu uwielbianą postać.

- Idzie Kuzmińskaja! - podawano sobie z ust do ust w głąb ulicy. Wtem pojawiło się krzesło, zwyczajne, drewniane, pochodzące z jakiejś kawiarni, setki mocnych dłoni przekazywały je sobie ponad głowami tłumu, stanęło w końcu przy wyjściu.

Orłów patrząc na to z boku aż się trząsł z dumy na widok tej demonstracji uwielbienia. Niemal się rozpląkał z wdzięczności, widząc, że Lidia, obiekt tych płomiennych uczuć, założyła etolę z błękitnych lisów, którą jej dał niedawno. W miękkim obramowaniu futra jej twarz była samą słodyczą, a on w duchu przyobiecał, że obsypie ją wszystkimi błamami dostarczonymi z Arktyki.

Zawołała coś zdumiona stając przed zgromadzonymi, którzy rozstąpili się z szacunkiem jak wzburzone morze, by

239 *Celia Brayfield*

zrobić jej miejsce. Nie zdawała sobie sprawy z obecności księcia ukrytego w cieniu kolumny, śmiała się, gdy usadzono ją na krześle, a wkoło nieustannie rozbrzmiewały okrzyki uwielbienia i wołanie „Brawo!”. Pисnęła przestraszona, kiedy uniesiono ją do góry. Maria z siostrą i szwagrem postępowali za nią, niczym orszak panny młodej, niosąc kwiaty i zbierając następne bukiety, które wciskano im ze wszystkich stron.

- Gdzie powóz? - zapytali głośno wielbicieli.

- Kochani chłopcy, nie mam powozu!

- Bzdura! - odrzyknęli uważając, że się z nimi droczy. - Każda balerina ma powóz!

- Ale ja jeszcze nie jestem baleriną, dziś był mój debiut.

- Niemożliwe!

Orłów jak zauroczony przyglądał się całej scenie, ale obok rozległ się ostry głos generała Rogożyna.

- *Mademoiselle*, proszę mi pozwolić. - Mówiąc to wystąpił zdecydowanie do przodu.

Młodzieńcy natychmiast zamilkli.

- Proszę przyjąć mój powóz, *mademoiselle* Kuzmińskaja. Stoi tu blisko, z boku pałacu.

Lidia niemal zaniemówiła z zachwytu, z trudem opanowała się na tyle, by przyjąć propozycję, i krzesło zataczając się szaleńczo natychmiast ruszyło we wskazanym kierunku.

- Czy jest pani bezpieczna? - Rogożyn przekrzyczał hałas gromady.

- Oczywiście, że jest! - zawołali studenci unisono. - To nasza bogini, przy nas nic jej nie grozi.

- Niech dama mówi sama za siebie! - rozkazał.

- To na pewno wygląda przerażająco i ja też się tak czuję, ale całkowicie ufam drogim panom - wykrztusiła, a w jej oczach jaśniało całkowite szczęście. Orłów później sobie uświadomił, że na niego nigdy tak nie patrzyła.

- Niech żyje Kuzmińskaja! - zawołał wysoki blondyn, który jedną wielką dłonią trzymał przednią nogę krzesła, a drugą dyrygował wiwatami, gdy tancerkę niesiono przez plac.

- Twoja mała doskonale sobie radzi z motłochem. - Rogożyn zmierzył Orłowa zazdrosnym spojrzeniem. - Szybko dostanie awans, nawet jeśli w tym kraju ma być więcej balerin niż generałów.

- Jeszcze nie jest moja. - Orłów cenił sobie precyzję.

- To na co u licha czekasz, człowieku?

- Na jutrzejszy ranek, generale.

Kolia

241

Aleksandrow i Paweł przyszli z wizytą wcześniej, pyszniąc się jeszcze świeżym wspomnieniem wczorajszego triumfu Lidii. Tylko trochę onieśmieleni splendorem pałacu, zasiedli razem z księciem i jego zarządcą, mocno zbudowanym mężczyzną w średnim wieku o gęstej, przedwcześnie posiwiałej czuprynie.

Ich zuchowatość okazała się niepotrzebna i już po godzinie przywdziewali palta uśmiechając się szeroko. Zanieśli Lidii ofertę księcia: zamieszka w stosownym domu w najlepszej dzielnicy, urządzonym dokładnie wedle jej wskazówek, dostanie służbę, powozy, konie - jeśli zechce również automobil - małą drewnianą daczę na wsi w niewielkim parku i znaczny kapitał złożony w banku na utrzymanie całości. Paweł ścisnął piszcącego, czarnego szczeniaka - mopsa z błękitną obrozą wysadzaną brylantami. Aleksandrów zakończył recytowanie listy hojnych darów zaproszeniem, aby na wiosnę towarzyszyła księciu w wyprawie do Francji i Włoch.

Lidia siedziała przy stole jedząc śniadanie i słysząc to wszystko zbladła tak bardzo, że na tle jej twarzy biały, wełniany szlafrok, który miała na sobie, wyglądał jak żółty. Przez moment mężczyźni myśleli, że odmówi pod jakimś idiotycznym pretekstem. Maria sądziła, że przyjaciółka zemdleje i na wszelki wypadek podbiegła do niej. Lidia jednak bez słowa wyciągnęła ramiona do pieska, który umościwszy się na kolanach węszył dookoła w poszukiwaniu okruchów.

- Więc... - odezwał się w końcu Aleksandrów. - I co na to powiesz?

- Nie wierzę własnym uszom. - W jej oczach malował się prawdziwy niepokój. - To nie żart?

- Skądże, wszystko zapisane i pieczęcie położone.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Zamyślona odciągnęła szczeniaka od szklanki z herbatą.

- Nic mnie nie obchodzi, głuptasie, czy w to wierzysz. Pytam się, czy się zgadzasz. - Zirytował się Aleksandrów.

- Och, tak! - I spiskowcy padli sobie w ramiona. Posłali po szampana powtarzając, że niedługo będą się mogli w nim kapać, jeśli im się tak spodoba.

Gdy książę zaoferował za nią tak wysoką cenę, Lidie ogarnęły straszne wątpliwości, czy sprostą tak wielkim wymaganiom.

- O Boże, jaka szkoda, że nie mam matki, z którą bym mogła porozmawiać - zwierzyła się Marii, gdy w przeddzień przeprowadzki do nowego domu upychały jej skromne zasoby

241 *Celia Brayfield*

do pudełek i koszyków. - Czego on ode mnie oczekuje? A jeżeli nie potrafię tego znieść?

- Przyzwyczaisz się, jak każda inna kobieta - pocieszyła ją Tatiana, siostra Marii, która weszła z naręczem świeżo upranych halek. - Oczywiście, na początku może to być nieprzyjemne, jak i inne rzeczy w życiu. Pij dużo szampana i po wszystkim weź porządną, gorącą kąpiel, a poczujesz się lepiej. I moim zdaniem, jak przywykniesz do kochania, będziesz za tym przepadać. Widzę po twoich oczach, że należysz do takich kobiet.

- A ja? Czy ja też jestem stworzona do miłości? Widzisz to w moich oczach? - Maria żartując ciągnęła siostrę za rękaw.

- Och, siedź cicho! Sądząc po tym, co wyprawiasz z Wasylem, to ty sama mogłabyś pouczać innych!

- Kpi sobie ze mnie, moja starsza siostra zawsze sobie ze mnie kpi!

Oficer gwardii, Wasyl Nikonow żarliwie zabiegał o względy Marii od czasu kolacji w Kubacie po premierze *Plejad*. Lidia usiadła na skraju wąskiego łóżka i z zazdrością słuchała przekomarzania przyjaciółek. Mieszkając z kochającymi się siostrami coraz boleśniej odczuwała świadomość, że nigdy nie czuła się tak blisko i swobodnie w towarzystwie innych ludzi.

- I będziesz lepiej tańczyła - ciągnęła Tania z przekonaniem, składając ubrania.

- Niemożliwe. Ona już teraz robi stuosiemdziesięciostop-niowe *penchee* - odparła Maria, stając na jednej nodze i podciągając drugą do ucha, by zilustrować swoje słowa. - Książę będzie miał doskonałą zabawę.

- Jak możesz być tak okrutna? Straszysz biedne dziecko. Im szybciej Wasyl uwolni mnie od odpowiedzialności za ciebie, tym lepiej, bo robisz się niemożliwa. Miłość na pewno pomoże ci stać się lepszą artystką, maleńka. Kiedy w pełni zrozumiesz istotę namiętności, będziesz ją umiała prawdziwiej wyrazić na scenie. - Lidia przytaknęła. - Och ty, niewinna lilijko, zupełnie nie wiesz, o czym mówię, ale nie martw się, wszystko pójdzie dobrze. Chyba że zajdziesz w ciążę, wtedy dopiero zaczną się kłopoty. Znajdzie się i na to rada. Pójdziemy do mojej Finki, ona zna się na ziołach, to ci pomoże.

Orłów wszystko w życiu robił elegancko i powściągliwie, tak też przystąpił do objęcia nowego nabytku. Sprawdzał w programie teatru, kiedy Kuzmińska miała kilka dni wolnych i przy-

Kolia

243

szedł do jej nowego domu z kwiatami oraz prezentem - wieczorową torebką wyszywaną złotem z brylantową zapinką. Zaprosił na kolację Marię i Wasyla, aby pomogli stworzyć lekką, przyjacielską atmosferę. Na nowym serwisie malowanym w różowe kwiaty powoju, o turkusowych i złotych brzegach, lokaj i pokojówka podali doskonały, lekki posiłek przygotowany przez Denisa, szwajcarskiego kucharza. Z piwnic przyniesiono wytrawnego francuskiego szampana, w którym Lidia ostatnio zagustowała.

- Podoba ci się twój dom? Jesteś szczęśliwa? - zapytał. Siedziała zwinęta na nowym szezlongu karmiąc pieska tureckimi smakołykami, grymasiła wybierając je po troszku czubkami palców i strzepywała drobiny cukru z białych koronek bluzki - portret istoty całkowicie rozpuszczonej luksusem. Od razu pojęła jego intencje i na jej twarzy odmalował się strach, który natychmiast pokryła wymuszoną słodyczą. Wyraz lęku był tak żaloszny, że parsknął śmiechem, a potem ucałował lepką dłoń.

- Wybacz, cóż za banalne pytanie i jakież nietaktowne. Nie martw się...

- Uwielbiam mój dom, ale... Okropnie mnie to złości! Jak mam być spokojna, kiedy wszyscy mi mówią, żeby się nie martwić? - Niezręcznym ruchem zdjęła szczeniaka z kolan. Zostali na chwilę sami, bo za moment mieli rozpocząć zabawę w szarady i Wasyl z Marią przeszli do sąsiedniego pokoju, by przygotować swoją zagadkę.

- Moja maleńka, nie powinnaś się wypierać swych obaw. Są bardzo naturalne...

Poczuła, że się dusi i w oczach zakręciły się jej łzy. Przez głowę przebiegła jej myśl, którą zdusiła niemal w zarodku, że okazywanie nieśmiałości Orłów może uznać za niewdzięczność, jednak cały czas wiedziała, że nie zachowuje się tak, jakby on tego chciał. Ta nieufna, skryta osoba w niczym nie przypominała odważnej kobiety, która poprzedniego wieczoru samą swą obecnością zachwyciła setki mężczyzn.

- Wiesz, że chcę tylko sprawić ci przyjemność - zwróciła się do niego.

- Jesteś najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem

- mówił ze śmiertelną powagą, jakby recytował katechizm.

- Uwielbiam każdy twój ruch, każde wypowiedziane słowo, a każda minuta w twoim towarzystwie to rozkosz.

Zauważył, że drobny mięsień zadrzał pod skórą jej szyi i pochyliwszy się do przodu ucałował delikatnie to miejsce.

Celia Bray field

Jego usta były miękkie i ciepłe, pomyślała, że to musi być bardziej przyjemne niż liźnięcia mokrego języczka szczeniaka.

- Moja kochana, żyj chwilą, to sekret prawdziwego szczęścia. Podczas kolacji dbał o to, by lokaj ciągle dolewał jej do

kieliszka; ich znajomi tworzyli parę urodzonych komików i przed północą Lidię ze śmiechu wręcz rozboleły zebra. Maria postanowiła wyjść wcześniej, bo miała tańczyć następnego dnia, i gdy Lidia odprowadzała ich po marmurowej posadzce hallu, podziwiając swoje własne chińskie wazy wypełnione kwiatami z jej własnej oranżerii, myśląc o ślicznej sypialni w stylu angielskim, całej w jedwabiach i falbankach, po raz pierwszy w życiu poczuła, że niczego jej nie brakuje i jest w pełni sobą. Nagle postanowiła oddać siebie kochankowi z taką samą totalną wspaniałomyślnością, jaką on jej nieustannie okazywał. Odprawiła służbę i kiedy tylko za przyjaciółmi drzwi się zamknęły, pobiegła do salonu i radośnie rzuciła się w ramiona Orłowa.

Jej ciało otulone w suknię z jedwabnej mgiełki było lekkie i giętkie; szczupłymi ramionami objęła szyję Orłowa, zrzuciła satynowe pantofelki ruchem uszczęśliwionego dzieciaka. Przyzwyczajona do twardych uścisków partnerów scenicznych niemal rozpułyła się w ostrożnych objęciach księcia.

Dotykał jej delikatnie, jego palce zaledwie muskały jej skórę. Czekają na nich białe łoża, ciepłe i pachnące, różowa narzuta została odsunięta, pod nią kłębiło się morze obszytych koronką poduszek. Lidię tak zachwyciło piękno pościeli i tak jej szumiało w głowie od szampana, że z początku ledwie wyczuwała jego pieszczoty.

Powoli całował jej usta, podbródek, uszy, szyję, i znowu od początku, w tej samej kolejności. Zatraciła się w doznaniach niczym we śnie. Spinki wypadły jej z włosów na poduszki, guziki z dziurek, a pończochy ześlizgnęły się ze stóp.

- Chyba tego nie potrzebujesz, prawda? - zapytała z uśmiechem, a namiętność dodała jej odwagi. Nim miał czas odpowiedzieć, zdjęła negliż i spróbowała ściągnąć mu surdut z ramion. - I dlaczego masz na sobie to idiotyczne ubranie? Nie uwierzę, że się kładziesz do łóżka w butach.

I gdy jej ciało wynurzyło się z cieniutkiej bielizny, uległ zupełnie oczarowaniu, odkrywając ciepłe, mocne kształty mięśni, delikatne, błękitne żyłki, kości tak mocno zarysowane, że mógł wsunąć palce w ich wyżłobienia. Jej drobne piersi przypominały marmurowe białe kropelki upuszczone poniżej kruchej linii obojczyka. Orłów po raz ostatni dotykał kobiet

Kolia

245

w dobrej formie fizycznej, gdy w młodości zabawiał się z krzepkimi wiejskimi dziewczkami. W porównaniu z tą żywiołową, prężącą się z rozkoszy istotą, która gardłowo jęczała przy każdym nowym dotknięciu, wszystkie wcześniejsze kochanki wydały mu się na wpół martwe.

Kiedy objął ją w pasie, nikły cień dawnego lęku powiększył jej pragnienie i z gotowością przyłgnęła do jego dłoni, wyczekując nieuchronnego ruchu w dół. Pod jego pieszczotą skwapliwie rozchyliła wąskie, ciepłe uda, raczej zapraszając niż tylko zezwalając, by odkrył jej najgłębsze tajemnice. Orłów wcześniej postanowił się nie spieszyć, a teraz dołączyła do tego niemal mistyczna świadomość, że to ceremonia, którego mogą dokonać tylko raz, a więc zwlekał, ignorując ostre żądania własnego ciała, i powolnym ruchem gładził jej kobiece sekrety.

- Skrzydła aniołów... jakby dotykały mnie skrzydła aniołów - wyszeptła na poły do siebie, obracając głowę złożoną na poduszkach. - Kochany, jestem w niebie. Nie mogę wytrzymać, nie potrafię czekać już ani minuty dłużej. Nie dbam, może i boleć, tylko błagam, zrób to teraz... teraz.

I gdy wszedł w nią, najpierw uczył tylko krótkie napięcie mięśni, a potem nie napotykał żadnego oporu, otaczało go jedynie jej gorące ciało, a plecy wygięły się w odpowiedzi na wezwanie instynktu i rozkoszy. Wtedy ekstaza wchłonęła go niczym biały płomień.

Wkrótce zapadli w sen, ale po godzinie Lidia się obudziła i nakazała służbie przygotowanie kąpieli - przez całe życie wypełniała reguły dbałości o fizyczną sprawność, ponieważ były dobre i korzystne dla niej. Wróciła potem do łóżka, ale spała krótko, szybko się przekonała, jak spełniają się wszystkie przepowiednie Tatiany. Zachwycony Orłów zgodził się spędzić cały dzień w sypialni, skoro prosiła go o to wdzięczna uczennica, która oświadczyła, że chce natychmiast posiąść wszystkie tajniki sztuki uprawiania miłości.

- Kochany, nie sądzisz, że jestem do niej stworzona? Tak samo, jak wiem, że urodziłam się, by tańczyć. A moim przeznaczeniem jest ciebie kochać, wiesz o tym? - Zapadał już zmierzch i nad miastem szalała śnieżycą, ale w sypialni cicho rozkwitały róże, zaś kochankowie pokrzepiali siły ciastkami i czekoladą.

- Nie wierzę w głupie gadanie o przeznaczeniu - odparł lekkim tonem, zdumiony chciwością, z jaką do czysta wyjadała okruszki oraz ziarenka maku z talerzyka.

Celia Brayfield

- Nie wierzysz, że moim przeznaczeniem jest ciebie tak całować? I jeszcze tak...
- To twoja wola, nie przeznaczenie. Robisz to, bo tego chcesz.
- Hmm, prawda, ale ty już od dawna chciałeś mnie, ale nie było ci przeznaczone, więc nic z tego nie wychodziło.
- Siedziała mu na kolanach wierząc się kusząco, a szal zsuwał się jej z ramion, więc nie zamierzał się z nią spierać.
- Nie, ale teraz moja wola nakazuje mi całować cię o tak... - Mała, różowa sutka wyprężyła się pod dotknięciem jego warg.
- Nie możesz tego robić. Przecież nikt się tak nie zachowuje.
- A właśnie, że tak. Lubisz to?

Z zamyśleniem przeciągnęła się w jego ramionach i udawała, że się zastanawia.

- Och, do wytrzymania...
- Aha, w takim razie przestanę. „Do wytrzymania” to stanowczo za mało. Tylko najwspanialsze pieszczoty są godne mojego skarbu.
- O, nie, dalej!
- Dalej! Przypominasz mi mojego staruszka, nauczyciela konnej jazdy.
- Cóż za wykwintny komplement! Dziękuję panu bardzo!
- odskoczyła aż na środek pokoju trzymając w rękach połowę ciasteczka, a piesek pobiegł za nią na krótkich, grubych łapkach.
- Błagam o wybaczenie! Nie to miałem na myśli! - Gdy wstawał, by ruszyć za nią, nagle popatrzył na siebie oczami przypadkowego obserwatora - szanowany, wykształcony mężczyzna wygaduje głupstwa do tancerki; zauważył, jak przepaść między nimi dodała uroku zwykłej przyjemności.

Rozpoczął się taki okres w ich życiu, gdy uważali, że są w sobie zakochani do szaleństwa. Trzymali się z dala od ludzi, nikogo nie widywali, nigdzie nie wychodzili i, poza wyprawami Lidii do teatru, spędzali czas w jej uroczym domku w samotności *a deux*. Zgodnie z zapowiedzią Tatiany, ciało Lidii szybko zdołało nadać wyraz nowo nabytej wiedzy, a dzięki zmysłowej ospałości otrzymała kolejną, główną rolę, tym razem w *Korsarzu*. Orłów po każdym przedstawieniu zasypywał ją orchideami i podarował jej parę brylantowych bransoletek.

Zazwyczaj w maju ruszał w doroczną podróż po Europie

Kolia

246

i aby wyjechać z nim przed końcem sezonu Lidia udała, że ma kontuzję kolana i wybłagała miesięczne zwolnienie z baletu. Wprawdzie nie zwiodła tym dyrektora, który jednak zgodził się ją puścić wyłącznie ze względu na wpływy księcia.

Gdy zajmowali miejsca w pociągu do Paryża, musiano dołączyć dodatkowy wagon na ich bagaże. Mops wylegiwał się na najwygodniejszych posłaniach europejskiego kontynentu, a kochankowie sprawdzali, jak na żar miłosny wpływają wyszukane podniety. W Paryżu było to *foie gras* i Cartier, w Monte Carlo homary i baccarat, w Wenecji znaleźli lustro tak duże, że nie zmieściło się w gondoli, zaś z Florencji zapamiętali trufle oraz zakup nowych kufrów do zapakowania ostatnich nabytków. We wszystkich tych miastach Lidia ziewała przy zwiedzaniu katedr, spała na operach i skrytykowała obrazy starych mistrzów, ponieważ przedstawiały wyłącznie grube kobiety, a Orłowa absolutnie zachwyciła jej ignorancja. Uznał za całkowitą stratę czasu poprzednie wyprawy, gdy spędzał czas na czytaniu lub szkicując starożytne ruiny.

Wróciwszy we wrześniu do St Petersburga rozlokowali nowe skarby i postanowili, że będą podróżować co roku, skoro kraj rodzinny jest tak okropnie zacofany i prymitywny. Lidia z przerażeniem odkryła, jak bardzo przybrała na wadze, i przyrzekła nie zamawiać żadnych nowych sukien, dopóki nie wróci do dawnej sylwetki.

- Krześcińska robi tak co roku, to mogę i ja - oświadczyła nawiązując do obyczajów primabaleriny, która latem dogadzała sobie, by później całymi tygodniami się gimnastykować i odchudzać przed pierwszym występem na jesieni. Lidia zaczynając lekcję zauważyła znaczną utratę formy. Nakazała więc pokojówce zrobienie na drutach pończoch, które zakładała, by się wypocić. Od fińskiej zielarki kupiła cały zestaw szatańsko cuchnących środków przeczyszczających, moczopędnych oraz specyfików mających rozpuścić tłuszcz i zmniejszyć apetyt, ale szybko znów ją wezwała do siebie, bo okazały się nieskuteczne i dostawała mdłości. Stara wiedźma o brązowej twarzy pooranej zmarszczkami niczym kora dębu, najpierw wbiła jajko do miski z wodą szukając uroków, potem obejrzała oczy i język Lidii, wreszcie położyła jej na dłoniach skrzyżowane gałązki, które potem spaliła.

- To nie tusza, *madame*, będzie dziecko - oświadczyła na koniec.

Lidia zupełnie się nie spodziewała takiej diagnozy i przez

Celia Brayfield

długą chwilę siedziała w milczeniu z szeroko otwartymi ustami.

- Chcesz? - Starucha sięgnęła do wielkiej torby z czarnej, popękanej skóry, w której nosiła zioła. - Chcesz to dziecko czy nie?

- Nie wiem - odparła roztargniona. - Nie myślałam... Przecież dałaś mi coś, żeby zapobiec?

- Tak, ale... - W zapadniętych, jasnoniebieskich oczach pojawił się wyraz niechęci. - To nie działa w czasie podróży poślubnej. Było za romantycznie, co?

- Och, daj mi spokój! Poślę po ciebie, jak będę cię znów potrzebowała. - Lidia szybkim krokiem przeszła z salonu do oranżerii, gdzie wielki krzew jaśminu oszukany przez ogrodnika rozkwitł napełniając ciepłe powietrze piękną wonią. Orłów czytał gazetę i myślał, czyby nie pójść do ministerstwa. Postanowiła natychmiast poradzić się lekarza; ta stara wiedźma na pewno się myli.

- Dziecko pod choinkę, na to mi wygląda. - Doktor bez wahania potwierdził, że zaszła w ciążę. - Niech się droga pani nie martwi. Chciałbym, aby wszystkie moje pacjentki cieszyły się tak doskonałym zdrowiem. Jest pani młoda, zdrowa, proszę dużo odpoczywać, a obiecuję, że na Wielkanoc całkowicie wróci pani do siebie.

- Ale mój... - urwała, zdając sobie sprawę, że nie potrafi wymówić słowa „mąż”, i nagle zachciało się jej płakać.

- Jego Wysokość będzie na pewno zachwycony. Panowie zwykle tak reagują i, o ile się nie mylę, to jego pierwszy potomek. Wiem z doświadczenia, że mężczyźni duma z latorośli, gdy już się urodzi, w pełni kompensuje tych parę trudnych miesięcy.

Wcale jej nie przekonał, zbyt dobrze wiedziała, jak bardzo kochanek ceni sobie jej urodę, ale na początku wydawało się, że lekarz miał rację. Orłów głośno wyrażał swój zachwyt i z radością pozwolił Lidii upajać się kupowaniem wszelkich modnych drobiazgów dla oczekiwanego maleństwa. Wybrali pokój dziecienny, który został odmalowany, szybko wypełniły go zabawki, wprawdzie absurdalnie nieodpowiednie dla niemowlęcia, ale za to budzące zachwyt w pozbawionej szczęśliwego dzieciństwa Lidii. Siadywała co dzień na bujanym koniku, aż zrobił się dla niej za mały. Wynajęli niankę i ponieważ w każdym porządnym domu w St Petersburgu pracowała francuska lub angielska guwernantka, Lidia z po-

Kolia

249

mocą żony młodego dyplomaty z ambasady brytyjskiej sprowadziła dziewczynę z Londynu.

Poród odbył się w dzień po Bożym Narodzeniu i choć krótki, okazał się tak okropny, że Lidia przysięgła z całego serca nigdy więcej nie zgodzić się na taką męczarnię. Kiedy zaproszono Orłowa, by mu pokazać niemowlę, ledwie rzucił na nie okiem i natychmiast podszedł do łóżka, by dotknąć jej twarzy. Leżała straszliwie nieruchoma, cerę miała matową, oczy zapadnięte i martwe. Wykonała drobny, bezradny ruch ręką, próbowała się uśmiechnąć, ale tylko zapłakała.

- Co oni ci zrobili, moje biedactwo? Cóż ja ci zrobiłem?

- Objął ja niezręcznie, przerażony wiotkością jej ciała.

- Nie ma jeszcze dość sił, by odpowiedzieć. - Lekarz ujął go za ramię. - Wasza Wysokość, matka natura jest niezwykła, zabierając, zawsze daje coś w zamian. *Madame* bardzo szybko wróci do zdrowia, zapewniam z całą stanowczością. I ma pan mocnego, zdrowego syna; duży chłopak, jego rozmiar przysporzył matce niemałych kłopotów.

- Czy będzie mogła tańczyć?

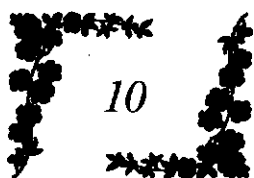
- Za miesiąc może zacząć lekkie ćwiczenia, stopniowo coraz trudniejsze. Ale musi uważać, by się nie przemęczać.

- Położna widząc, że nikt się nie interesuje noworodkiem, wzięła go na ręce, by zanieść do pokoju dziecinnego, ale Orłów przypomniał sobie, że ma syna.

- Niech go zobaczę - zażądał. Czerwony, krągły malec, którego oczy niemal ginęły w tłustych fałdkach, zamrugał do ojca. - Jaki śliczny! Cudowny! Piękne kolorki! I ma czarne włosy jak moja matka. - Spiskowcy zebrani wokół łóżka wymienili porozumiewawcze spojrzenia. - O tak, dobrze zajmiemy się obojgiem, może być pan tego pewien, doktorze.

- Chociaż udawał takie zainteresowanie, nowy nabytek go oszołomił.

Niemowlę w niepokojąco silny sposób wywierało wpływ na otoczenie. Mikołaj Mikołajewicz Kuźmiński, tak został ochrzczony sześć tygodni później, już w kołysce okazywał swoje wrodzone cechy charakteru. Orłów wyczuwał, że w jego życiu zjawiała się osoba, której nie wybierał, i instynkt mu podpowiadał, że ta osoba znajduje się całkowicie poza zasięgiem jego kontroli. Narodziny dziecka przemieniły fascynującą kusicielkę, którą ulokował w domu jako swą metrese, w z mordowany cień. Pierwsze spotkanie z synem wstrząsnęło nim do głębi.



Leningrad, 1968

Urodziny Ani, urodziny Ani - Alex śpiewał pod nosem do wtóru tonów fortepianu w sali ćwiczeń, opierając się na drażku. - Będzie impreza, będzie impreza. Przyniosę wódkę i kielbaski, a z walizki wyjmę prezent. Wszystkiego najlepszego, Aniu! Kocham moją Aneczkę, jest taka pięćęćka!

- Cicho! Wszyscy cię usłyszą - zaczerwieniła się i zawstydzona odwróciła do ściany, odrywając kawałek kremowej tapety czubkiem palca. Pierwsza grupa studentów skończyła lekcję i stanęła z boku. Szare, nagie deski podłogi wyszlifowała nieprzeliczona rzesza uczniów, którzy wycierali na nich buty.

Ania dmuchnęła na kręconą grzywkę jasnych włosów mając nadzieję, że nie przykleją się do spoconego czoła, i wyszła na środek sali. Patrząc na ruchy jej bioder uznał, że jest zadowolona. Alex uważał jej okrągłą twarz i wydatną górną wargę za absolutnie urocze.

- Kiedy tak dmuchasz na grzywkę, przypominasz złotą rybkę puszczającą bąbelki.

- Urocze. Jak mnie upuścisz, to powiesz, że to moja wina, bo jestem zbyt mokra i śliska.

- Myślałem, że akurat do tego zabierzemy się później.

- Jak śmiesz robić pornograficzne aluzje w czasie lekcji *pas de deux*?

- Przepraszam, kiedy byś więc chciała słyszeć pornograficzne aluzje?

- Cisza! - nauczyciel znany z pełnej rezerwy wyniosłości, zmierzył ich spojrzeniem spod gęstych, czarnych brwi. -

Pamiętajcie dzieci, że *pas de deux* zawsze wyraża miłość i harmonię. Wasze ruchy muszą się splatać i rozwijać razem. - Złączył dłonie ilustrując słowa. - Wszystkie ruchy, ich równowaga, wykonanie w tym samym czasie, u obojga winny być niczym u jednego ciała. - Zawsze go krepowało, gdy

Kolia

251

musiał to wyjaśniać klasie, w której znajdowała się para rzeczywistych kochanków; Kiryłowa i ten amerykański chłopiec szepcząc do siebie po angielsku tworzyli obraz szczenięcej miłości i wstydził się tych pouczeń. Nawet jeśli wziąć poprawkę na młodzieńcze uczucia, Wolfe miał dar ukazywania delikatności. Jego lenistwo doprowadzało pedagogów do rozpacz, tak przystojny, z arystokratycznymi manierami i wrażliwym temperamentem miał przed sobą dobrą przyszłość. Nauczyciel głośno klasnął w dłonie. - Zaczynamy na cztery. I raz!

Pięć dziewcząt stanęło na puentach, a partnerzy podtrzymywali je w pasie. Na pary tańczące na środku sali patrzyła z wiszącego na ścianie portretu twarz Agrippiny Waganowej, pierwszej dyrektorki szkoły po rewolucji. Inne obrazy pokazywały jej długi, pękaty nos, wysokie czoło i rzadkie włosy, a tylko przyjemny uśmiech sprawiał, że nie była zupełnie brzydka, ale na tym portrecie artysta upiększył ją tak nieudolnie, że studenci żartowali, że jego prawdziwym powołaniem było malowanie zwłok wysokich rangą urzędników przed wystawieniem ich na widok publiczny.

Ania poddała się mocnemu uściskowi dłoni Alexa, dziękując Bogu za niego. Partnerzy wybierali ją niechętnie do tańca, bo jej hormony przechytryły wielowiekowe doświadczenie, z jakim egzaminatorzy Szkoły Waganowej wybierali uczniów. Przez osiem lat była jak inne dziewczęta - lekka, szczupła,

● wysmukłych kończynach, a w ostatnim roku zaczęła się tragedia. Z dnia na dzień nabierała pełnych kształtów. Okrągłe uda i piersi popsuły linię jej ciała, uda miały niemal zarys połci szynki. Nawet jej kości stawały się coraz bardziej grube i ciężkie. Chłopcy unosili ją z wielkim trudem. Zgodnie z kanonami urody szkoły baletowej uznano ją za brzydką, straciła dotychczasową wysoką pozycję i szanse na realizację ambicji. Rozwiały się marzenia o legendarnym zespole Kirowa; przy takim rozwoju sytuacji będzie mogła mówić o szczęściu, jeżeli zostanie przyjęta do zespołu tańca ludowego.

Amerykanin wcale się nie przejmował tymi sprawami. Zupełnie oszalał z miłości do niej, z każdych odwiedzin u rodziny w Paryżu przywoził jej ubrania, kosmetyki, środki antykoncepcyjne i lekarstwa. Im bardziej rosły jej piersi, tym większym uczuciem ją darzył. Był tak silny, że gdyby chciał, to mógłby rzucać nią jak piłką, ale traktował ją z cudowną delikatnością, tak różną od zachowania rosyjskich młodzieńców, którzy uważali klapsy za istotną część zalotów. Ania

Celia Brayfield

upajała się jego rycerskością na sali ćwiczeń i poza nią. Inne dziewczęta zafascynowane jego osobą twierdziły, że wobec tego musi mu brakować męskości, ale w szkole nie dawało się ukryć nawet bardzo intymnych sekretów i osoby, którym ciekawość nie dawała spać, potwierdziły jej ocenę, że potrafi niemal codziennie wytrzymać w siodle przez parę godzin.

Alex był najlepszy w *pas de deux*, inne lekcje sprawiały mu kłopoty. Bez wątplenia urodził się jako cudowne dziecko z niezwykłą siłą, ale również nieoczekiwanie wyrósł, najpierw wyskoczył w górę niczym młode drzewko, potem rozrosły się jego ramiona, zaś teraz tracił szybkość i lekkość. Szczyt jego możliwości mógł przyjść później - jak to się zdarzyło u wielu innych tancerzy, nawet u Konstantina Siergiejewa, dyrektora zespołu Kirowa i wszechwładnego pana ich świata - ale musiałyby dużo pracować, zaś Alex był niezdolny do ciężkiej pracy. Nie umiał uparcie wierzyć w siebie w roli tancerza i skupić na tym całej uwagi. W chwilach, gdy czuł się przynależny do tego miejsca, potrafił w tak wysublimowany sposób wyrażać się w tańcu, że nikt nie zwracał uwagi na niedostatki; gdy zaś w głębi serca czuł, że jest tylko głupim, amerykańskim dzieciakiem z absurdalnymi, artystycznymi pretensjami, brakiem panowania nad swoim ciałem budził nie skrywaną pogardę u innych chłopców i rozpacz u pedagogów.

Brakowało mu również właściwego podejścia do szkoły. Na wymagania dyscypliny reagował ze szczególną arogancją, delikatnie, ale stanowczo. Każdy ze studentów Szkoły Waga-nowej był bezgranicznie wdzięczny za przyjęcie w poczet uczniów, ale na Aleksie ten zaszczyt nie robił wrażenia. Nie objawiał należnego szacunku dla tej instytucji. Nieustanne krytyczne uwagi pedagogów, które powinien był ochoczo przyjmować, wpuszczał jednym uchem, a wypuszczał drugim, jakby nie mógł uwierzyć, że czegoś mu jeszcze brakuje do doskonałości. Sprawiał wrażenie dziecka, które nie może zrozumieć różnicy między tańcem a podskakiwaniem w rytm muzyki.

Baletmistrz zmarszczył brwi patrząc na uczniów kończących ćwiczenie i podszedł do wyjątkowo szczupłej dziewczyny z ciemnymi włosami z przedziałką na środku i ujął ją za rękę.

- Chłopcy! Co to jest? - popatrzyli na niego zaskoczeni. - Zwłoki? Nie! A wy kim jesteście? Posługaczami w kostnicy? Nie! To piękna kobieta, kobieta, którą kochacie i chcecie

Kolia

252

całemu światu pokazać jej urodę... Co więc robicie? Przerzucacie ją przez ramię jak trupa? Nie! Wolfe, proszę do mnie... - Wszyscy w szkole nazywali go „Wołk”, wilk po rosyjsku, na początku drażnili się z nim przypisując jemu i jego ojczyźnie krwiożercze instynkty.

Baletmistrz gestem nakazał Alexowi przyjęcie pozycji za ciemnowłosą, która czekała niecierpliwie z zadowolonym uśmiechem na wąskich wargach, dzięki któremu jeszcze bardziej przypominała Giocondę.

- Wszyscy patrzcie, tu się wszystko zaczyna. Ułożenie dłoni: naturalne, wrażliwe, proste niczym westchnienie, ale wszystko się od niego zaczyna. I wtedy, gdy podnosisz - ręką wskazał, że mają zademonstrować mały skok - to jest jak czary, sztuczka magika. Z większą lekkością, to musi wyglądać, jakby się robiło samo. - Dziewczyna wyskoczyła w powietrze i jakby niechętnie spłynęła ku ziemi.

- Ale to się nie dzieje samo, prawda? Dzieje się tak, bo używasz tego... - Klepnął Alexa tam, gdzie biała, bawełniana koszula stykała się z czarnymi trykotami. - Plecy! Centrum dowodzenia! Nie tutaj! - uszczypnął go w mięsień ramienia. - I wy, dziewczęta! Wasze *plies*! W tym tkwi wasza siła, źródło waszych ruchów! Nie bójcie się zostawić całej roboty chłopcom. A wy przede wszystkim musicie korzystać z tego - Złożył ręce na piersiach. - Serce. Kochaj tę kobietę. Uwielbiaj ją. Pokaż ją widowni niczym kwiat rozwijający się w promieniach słońca. Powtarzamy. Proszę pierwszą grupę.

W obrażonym milczeniu uczniowie zamienili się na miejsca i ciemnowłosa powróciła do stałego partnera. Nadia z dwóch względów była oczkiem w głowie pedagogów - wspaniale tańczyła i była wtyczką partii. Za twarzą renesansowej Madonny kryła się sprzedajna dusza. Spod spuszczonej powiek posłała Alexowi kuszące spojrzenie, ale nawet go nie zauważył. Dla niego istniała tylko Ania.

Witia, z którym Alex dzielił pokój, wybuchnął śmiechem i przytulił partnerkę obsypując ją lubieżnymi pocałunkami począwszy od czubków palców, a kończąc na uchu. Alex przyłapał wrogie spojrzenie innych chłopców, ale zbył to pogardliwym wzruszeniem ramion. Wiedział, że ich zdaniem nie zasłużył na wyróżnienie; w czasie pozostałych lekcji pedagodzy ciągle wykazywali jego braki. Przyjaźnił się tylko z Witią, o krępej sylwetce i zabawnej, choć bardzo przypomi-

Celia Brayfield

nającej świński ryjek, twarzy, chłopcem, który już dawno przestał zabiegać o względy płci przeciwnej.

- Aleksiej, zapewne odziedziczyłeś siłę po swojej babci

- zwrócił się do niego na zakończenie lekcji baletmistrz.

- Szkoda, że wzięłeś po niej także głuchotę. Słuchaj muzyki. Ta biedna kobieta nie gra dla własnej przyjemności.

Akompaniorka popsowała efekt, niepedagogicznie kiwając głową i uśmiechając się tak szeroko, że aż jej oczy zniknęły w fałdkach tłuszczu. Chłopcy nie lubili Alexa Wolfe'a jeszcze z jednego względu - w jego obecności kobiety przypominały kotki w marcu na widok kocura.

Człapał ponury korytarzem do szatni, znudzony, gdy skończyły się lekcje i dodatkowo przygnębiony panującym wokół zaniedbaniem i ubóstwem. Osiemnaście miesięcy temu przekroczył progi szkoły - opisywanej jako święta kolebka sztuki baletowej - przez łuk bramy, z której połowa stiuków odpadła, a resztę pokrywał grzyb. Symetryczne fasady na ulicy Rossiego pomalowane na jasnobrzoskwiniowy kolor pokrywała warstwa brudu. Niemal od razu zniknęło pod- ' niecenie życiem w zakazanym kraju. Zwrócił uwagę na bezkształtne odpady wypełniające rynsztoki, i że sama ulica jest nie zamieciona.

Stanowisko dyrektora zajmowała kobieta i często później spotykał jej podobne. Fotografie w kostiumach i makijażu pokazywały młodą, piękną twarz, ale nawet wtedy jej spojrzeniu brakowało niewinności, jej ustom miękkości, a całej postaci wrażliwości widocznej u współczesnych jej tancerek. Kariera pełna drobnych zdrad i mizernych zapłat, lata służenia sobie, nie sztuce, i niewolnicza uległość legionom politycznych satrapów skradły cię urody z jej twarzy. W średnim wieku, o rysach ostrych, bez wyrazu, siwe włosy farbowała na jaskrawy żółty kolor i ruszała się niezgrabnie, utraciwszy cały wdzięk.

Alex w czasie pierwszego semestru zauważywszy, że ten rodzaj brzydoty króluje w środowisku administracji, uznał korupcję za kiepskiego strażnika urody. Porównywał te kobiety ze swoją babcią, która choć dwa razy starsza, to jednak zachowała żywotność, siłę wyrazu, i chociaż delikatna, to jednak nosiła się z dumą. Zauważył także, że po każdym przekazaniu informacji o antyradzieckim zachowaniu kolegów, czyli marnowaniu ciepłej wody pod prysznicem, czyste rysy donosicielki Nadii zaczynają twardnieć i nabierać ostrości.

Kolia

255

Fascynowało go odkrycie związku między urodą kobiety a jej prawością i zaczął tworzyć teorię, że tylko one są zdolne do prawdziwego dobra, gdy tymczasem mężczyźni są skazani na bezskuteczne walczenie z egoistycznymi instynktami. Nie miał sposobu przekazać tych myśli, brakowało mu też potencjalnego słuchacza. W samotności upajał się skarbami wzbogacając kolekcję mitów na temat niewiast i podświadomie przypisał te wszystkie cechy swojej ukochanej.

Natychmiast po oficjalnym powitaniu został zaprowadzony do muzeum znajdującego się przy gabinecie dyrektorki, po którym oprowadziła go kustosz, kobieta w średnim wieku, lecz pełna naiwnego oddania. Na pierwszy rzut oka rozpoznał byłą tancerkę - trzymała się prosto, z gracją, ale z powodu nadmiernego wysiłku nóg stała sztywno.

W muzeum poznał oficjalną wersję życiorysów tych duchów, które zdawały się nieustannie błąkać po korytarzach przy ulicy Rossiego. Na białych ścianach w chronologicznym porządku wisiały fotografie sławnych ludzi, których nazwiska przewijały się w nostalgicznych rozmowach babci, a dyrektorka i kustosz mówiły o nich jak nie tylko o żywych, ale także bliskich przyjaciółkach.

- Karsawina: bardzo utalentowana, ale bez techniki, jej nogi się nie ustawiały na zewnątrz. Nigdy nie zrobiła trzydziestu dwóch *fouettes*, ale zawsze pracowała nad sobą, rozwijała charakter. I z wad zrobiła zalety - powiedziały wpatrując się z aprobatą w zdjęcie myślącej twarzy przybranej jedwabnymi kwiatami. - Pawłowa: wszędzie, gdzie pracowała, zostawiła część rosyjskiego baletu, zbierała wokół siebie dzieci i uczyła je podstawowych ćwiczeń.

Wielka, romantyczna balerina, ale słaba, z mnóstwem braków. Umarła we właściwej chwili, gdy młodsze tancerki zaczęły odnosić większe sukcesy. Następna, Spiesiwcewa, ostatnia carska balerina, pierwsza nowoczesna. Diagilew mówił, że ona i Pawłowa to dwie połówki tego samego jabłka, ale to na nią padł promień słońca. Jej rodzina wsadziła ją na trzydzieści lat do szpitala psychiatrycznego, żeby wyciągnąć z niedobrego romansu.

Z dumą wykazywały ciągłość tradycji aż do ich czasów. Oto Christian Johanson, który uczył Mikołaja Legata, który uczył Agrippinę Waganową, która uczyła je obie, a one z kolei przekazały wiedzę Kołpakowej, Osipienko i Makarowej, teraz tańczącym w zespole, a także - tu kustoszka ściszyła głos - Nuriejewowi. Po jego ucieczce z tej artystycznej rodziny na

Celta Brayfield

polecenie władz dyrektorka zdjęła jego fotografie ze ściany. Oczywiście, z punktu widzenia patriotyzmu było to właściwe potępienie za dezercję, ale osobiście uważały, że biurokraci mogliby łagodniej osądzić słabości geniusza. W Aleksie maleńkie, puste baletki, martwe kostiumy, popiersia i rzeźby, brązowy odlew prawej stopy Pawłowej nie budziły cudownego oczarowania baletem. Najbardziej pociągały go portrety. *Grand-mere* została namalowana w całej okazałości, niemal w rozmiarach naturalnych, w różowej, wydekoltowanej sukni wieczorowej, pióra zdobiły jej włosy i uśmiechała się do niego niezwykle wprost pełna życia.

- A, tak, Kuzmińskaja. Wspaniała tancerka o doskonałych warunkach fizycznych, ale chciała, by to muzyka jej słuchała, nie odwrotnie, więc każdy dyrygent dostawał szału.

Znalazły także fotografię jego dziadka w złotej ramce poniżej znacznie większych portretów Michaiła Fokina i Leona Baksta. Wiedział dość o życiu Lidii Kuźmińskiej w St Petersburgu; by rozumieć, że musiałby dowodzić swego pochodzenia od człowieka, którego uważano za jej partnera i choreografa, a nie za kochanka, i ponieważ znał wtedy zaledwie parę rosyjskich słów, więc nie próbował opowiadać o tym związku, a jedynie zadawał pytania. Poinformowały go ze smutkiem, że w Związku Radzieckim nie wystawia się żadnego z baletów Lwa Wolińskiego. *Legendę o Salome* nadal pokazywano na Zachodzie, stwierdził z uprzedzającą grzecnością, i ma nadzieję kiedyś zobaczyć *Plejady*.

Później przy innej okazji poznał szczegóły śmierci Wolińskiego. Alex został złapany na wagarowaniu z zajęć z historii baletu i sędziwy pedagog postanowił nauczyć go pokory przypominając, z jakiego środowiska się wywodzi.

- Wiesz, Wolfe, że urodziłeś się na ziemi jałowej? W Ameryce artyści nie mają warunków do rozwoju. Pracą musisz nadrobić braki w kulturze. Na przykład nasz choreograf, Woliński, człowiek całkowicie oddany baletowi, bardzo znaczący twórca. Wiesz, co się z nim stało w Ameryce?

- Nie, proszę pana - odparł Alex ze skruchą.

- Kiedy w Europie wybuchła wojna, pojechał z Diagilewem do Ameryki, ale ten, gdy już wylansował artystę, przestał się nim interesować, a poza tym chciał zrobić ze swego kochanka, Miasina, głównego choreografa. Znudził się Wolińskim, któremu zaproponowano pozostanie w USA i utworzenie własnej szkoły baletowej. Miał już wtedy rodzinę, w ojczyźnie

Kolia

256

wybuchła rewolucja, więc postanowił przyjąć tę ofertę, a razem z nim wielu innych, podobnie odepchniętych przez Diagilewa.

- Gdzie się osiedlił? - miał nadzieję skierować wywody na historię swojej rodziny.

- Na pustyni! W środku stanu całkowicie pokrytego polami. A z nim inni. Teraz zobaczysz, Wolfe, że tancerze to wieczne dzieci. Świat jest nie dla nich. Nie zrobią majątku. A do tego Amerykanie nie rozumieją sztuki, nie szanują kultury. Balet to dla nich przemijająca moda, też im się znudził po paru latach. I Woliński zbankrutował. Jego przyjaciele doświadczyli straszliwej porażki - musieli udzielać lekcji tanga na prowincji, tańczyć w kabaretach, prowadzić zajęcia z grubymi kobietami, które chciały schudnąć. Diagilew umarł, Niżyński oszalał. A Woliński napisał ostatni list do bezrobotnego Fokina, którego nadal uwielbiał, po czym pojechał nad wielki wodospad i rzucił się z brzegu w odmęty.

- Wodospad Niagara? - Alex patrzył na niego szeroko otwierając oczy, ogarnięty szczególną radością, bo w jego przeszłości znalazło się tak romantyczne wydarzenie współgrające z jego własnymi uczuciami. W pierwszych dniach pobytu w Leningradzie tak bardzo doskwierała mu samotność, że gnębiły go samobójcze myśli.

Pedagog, który nie słyszał nigdy o wodospadzie Niagara, nie zrozumiał pytania i dalej pouczał go o niedostatkach kulturowych Ameryki. Alex potem, żeby jeszcze raz usłyszeć tę historię, zapytał o szczegóły kustoszkę i dowiedział się, że pustynia, na której osiadł zdesperowany dziadek, nazywała się Cleveland. Miesiącami zachwycał się romantycznym wydźwiękiem tego zbiegu okoliczności. Wreszcie zdołał ułożyć całą historię swego życia łącząc swą przeszłość, nudną młodość i wyjątkowe pochodzenie.

Alex ściągając przepocone trykoty i stojąc pod rozlatującym się prysznicem, myślał wyłącznie o Ani. Uwielbiał ją z taką siłą, że słabł na samo wspomnienie o niej. W jej osobie widział połączone wszystkie legendarne Rosjanki. W jej zamglonych oczach nie dostrzegał krótkowzroczności, lecz delikatność Anny Kareniny. Kiedy upinając wysoko włosy narzekała na niesforne loki, widział setki bohaterek Czechowa i Turgieniewa, jak siedzą przed lustrem. Z poważnym wyrazem twarzy - przybierała go w czasie zajęć - była władczynią kochaną przez Iwana Groźnego, której śmierć przywiodła tyrana do szaleńczej destrukcji. A w nocy, gdy przekupili jej koleżankę z pokoju,

Celia Brayfield

żeby sobie poszła i Ania odsunawszy kołdrę zapraszała go do ciepłego łóżka, stawiała się kaukaską księżniczką Lermontowa.

Wytarł się i ubrał starannie układając na wpół stwardniały penis w szortach obiecując mu w myślach, że wieczorem zajmie się nim porządnie. Przy drzwiach wejściowych posiwiła woźna tupiąc otrzepywała botki ze śniegu pokrzykując:

- Zimno, zimno! - próbowała dopiąć jego kurtkę i nalegała, by wyjął czapkę z kieszeni i natychmiast wciągnął na głowę.

Padał śnieg, lekkie płatki niczym obłoki pudru spływały na dachy, gęstniejąc bliżej ziemi. Wiatr się uspokoił. Ledwo majaczył koniec krótkiej ulicy, a nieba wcale nie było widać. Odetchnął głęboko i poczuł wilgotny strumień przenikający jego ciało. Wilgoć tak bardzo przenikała atmosferę tego miasta, że w bezwietrzne dni, jak dzisiejszy, z trudem wypełniał płuca powietrzem. Zdawało się, że nie ma w nim tlenu, jest niemal plastikowe; przeszedł paręset metrów i zrobiło mu się ciepło, rozpiął kurtkę, by uwolnić klatkę piersiową.

Skręcił na plac Łomonosowa i gnał pustymi ulicami w stronę brzegów Fontanki, nie rozglądał się na boki; zbliżanie pojazdu obwieszczwały hałasy z silnika niosące się po lodzie i odbijające od budynków.

- Na rogu ulicy Kamieniewskiej i prospektu Rymskiego--Korsakowa, potem miniesz pałac Jusupowa z pięknym ogrodem, bzy latem pachniały tak mocno, że było je czuć po drugiej stronie kanału. Tam gdzie kanał wpada do rzeki, pójdziesz wzdłuż brzegu. - *Grand-mere* narysowała mapę, którą trzymał teraz w palcach, widział, gdzie grube kreski ołówka natrafiały na szpary w drewnianym stole.

Szedł wolno dobrze znając drogę. Kiedy po raz pierwszy jechał do Leningradu, nie chciała z nim rozmawiać o tym mieście. Wrócił zachwycony niemal pustymi alejami, a równocześnie wstrząśnięty widokiem liszajów na budynkach; zaszokowało go straszliwe zaniedbanie, zamknięte na klucz cerkwie, pałace przerobione na biura, gdzie nikt nie zamiatał marmurowych posadzek, a stiuki na sufitach potrzaskano, żeby założyć obrzydliwe oświetlenie.

Zamęczał ją pytaniami o okres przed rewolucją. Odmawiała odpowiedzi unosząc ręce, jakby odpychając jego pytanie, i z wysiłkiem odwracała głowę na sztywnym karku, jakby uchylając się przed ciosem.

- To bez sensu, nic dobrego z tego nie wyniknie. Powiesz mi, że wszystko co piękne, zniknęło. Nie znam tego miejsca, o którym mówisz.

Kolia

258

Teraz zrozumiał jej słowa; obawiała się usłyszeć, że ta Rosja, którą tak dokładnie pamiętała, już nie istnieje. Przypominała matkę żołnierza, która dawno temu otrzymała zawiadomienie, że jej syn zaginął w czasie bitwy, ale ciągle obawia się usłyszeć, że poległ.

- Miasto, które znałam, zniknęło - oświadczyła. - Życie, które wiodłam, skończyło się. Ludzie, których kochałam, umarli. Żyliśmy wśród piękna, rozumiesz? Wiem, że teraz jest tam inaczej, wszędzie zapanowała brzydota. Nie musisz mi jej opisywać, wiem bez tego. Przeszłość to przeszłość, minęła, zamknięta karta. - Tylko w moim sercu, w sercach nas wszystkich jest wieczna. Ale nie próbuj mi opowiadać o tym mieście, o Leningradzie. Nigdy tam nie mieszkałam. I nie posłałam cię tam, żebyś mi sprawił przykrość.

Aby ją ośmielić, zaczął wtrącać do rozmowy drobne szczegóły, wspominał o blasku słońca na złotych kopułach świątyń albo rzeźbie w parku, aż po paru tygodniach, gdy obudziła się z popołudniowej drzemki, zażądała nagle:

- Bombardowanie. Co zniszczyli? Podobno niewiele.

- Niemcy, w czasie wojny?

- Mówią, że nie dotarli do centrum miasta.

- Tak, *grand-mere*. Linia frontu ciągnęła się o pięć kilometrów od centrum, zawieźli nas tam.

- A co ze śródmieściem?

- Stoi.

I zaczęła go przepytować o każdą ulicę, przysunęła krzesło do stołu i na papierze, w który owinięto chleb, skrobała plany, aż wyczerpały się jego wspomnienia, a ona się upewniła, że większość budynków ocalała, choć teraz nosi inne nazwy. Marie przycupnęła obok i chciała się włączyć do rozmowy, ale nawet nie zdołała sobie przypomnieć nazwy ulicy, na której kiedyś mieszkała. Ta nieoczekiwana porażka bardzo nią wstrząsnęła, siedziała w milczeniu gładząc siwe włosy.

- Kiedy wrócisz, masz iść obejrzeć mój dom - poleciła Lidia. Zatemperował jej ołówek starym scyzorykiem, który leżał zwykle na emaliowanej tacce obok dwóch pawich piór i noża do papieru z kości słoniowej. - Narysuję ci mapkę. Znajdziesz go, jeśli plac Turgieniewa ocalał. Jak zobaczysz mój dom, to zrozumiesz, kim byłam, kim była prawdziwa Kuzmińskaja. Musisz zrobić zdjęcie swoim aparatem. Ale nie pokazuj, jeżeli bardzo zbrzydł.

Później pomyślała jeszcze o innej sprawie.

Celta Brayfield

- Nie spodziewaj się pałacu. Wiesz, że zarekwirowali mój dom, nikt mi wprawdzie nie powiedział, ale i tak doszło do mnie. Zmusili moją kucharkę, by im gotowała, wypili całe moje wino, zabrali samochód. Kto wie... Miałam takie piękne rzeczy, bardzo piękne. Na pewno spalili meble, może nawet i podłogi. Ściany salonu kazałam pokryć żółtym jedwabiem, bardzo dobre w północnym klimacie, ten kolor stwarza pozór słonecznego światła.

- Bardzo słusznie - przyznała Angela Partridge, która przyszła z wizytą po miesięcznej przerwie. Była w szpitalu, gdzie leczyła złamaną w przegubie rękę. - Ma pani całkowitą rację. Pamiętam, że to samo mówiła moja matka. Oczywiście, w Anglii też rzadko widzimy słońce.

- Meble miałam od Melcera, każdy u niego kupował. Tylko brązy i inne drobiazgi przyszły z Paryża. Kto wie, co dzisiaj z tego zostało? Tylko ja mogłam się pochwalić własnym sejfem na biżuterię. Nawet Krzezińska trzymała cenne klejnoty u Fabergego. Co za mordęga, wysyłać ciągle kurierów tam i z powrotem. Strasznie mi zazdrościła mojego małego sejfu. Jedź i popatrz: róg ulicy Kamieniejskiej i prospektu Rymskiego-Korsa-kowa. Każdy chciał tam mieszkać, bardzo modna dzielnica.

- Żadnych fabryk - Marie z radością dorzuciła jedno wspomnienie. - Ceny strasznie podskoczyły w górę, Wasyla nie było na to stać.

- Moim zdaniem to chyba niemożliwe, żeby dom tam jeszcze stał. - Angielka ułożyła zabandażowaną rękę na stole pomagając sobie zdrową kończyną, dzięki czemu zdołała się odwrócić ku chłopcu i wyszeptać do niego. - Ale poszukasz go, dobrze? To tak wiele znaczy dla twojej babci. Odkąd ją poznałam, wspominała o nim co dzień. Kiedy Alex po raz pierwszy wyruszył na ulice z mapką babci, odkrył, jak słabo pamiętała okolice. Gdy kustoszka znalazła mu uproszczony plan śródmieścia z okresu przed rewolucją, stwierdził, że prawidłowo odtworzyła nazwy ulic, ale zupełnie pomieszała ich wzajemne powiązania. Odszukał prospekt Rymskiego-Korsakowa, przecinał go mały kanał i sześć ulic, ale żadna z nich nie nazywała się Kamieniejska.

Parę dni po tym, jak się natknął na tę trudność, Ania zaproponowała rozwiązanie.

- Sześć skrzyżowań, dwanaście rogów... Może byś wziął swój małeńki aparat i sfotografował wszystkie budynki na rogach? I babcia sama wybierze swój dom?

Kolia

261

- Zaaresztują mnie. - W amerykańskim konsulacie ostrzeżono go, że robienie zdjęć należało do wielu czynności zabronionych w Rosji.

- Nie, a jeśli już, to cię potrzymają pół godziny, aż się dowiedzą, kim jesteś. Ukryj aparat w kieszeni i zachowuj się swobodnie, nie rób wokół tego szumu. Chcesz, żebym z tobą poszła? Będziemy wyglądać jak zwyczajna para.

- Kochana jesteś, ale wolę to zrobić sam - rzucił szybko, chcąc uniknąć wyjaśnień. Wiedział, że jeśli ich złapią, ona poniesie znacznie poważniejsze konsekwencje niż on.

Umieścił aparat w zapinanej na guzik kieszeni kurtki, wepchnąwszy na dno parę rękawiczek, by obiektyw znalazł się na odpowiedniej wysokości. Mógł robić zdjęcia udając, że poprawia kołnierz, by osłaniał mu uszy. Oczywiście zdjęcia mogą się okazać źle wykadrowane, ale postanowił zmarnować jeden film na próbne przejście. Ruszył szybkim krokiem wzdłuż prospektu Rymskiego-Korsakowa. Ludzie na ulicach Leningradu poruszali się sprawnie i w jasno określonym celu, w ciągu dnia trzykrotnie, w porze zmian fabrycznych, milczące stadka pędziły do stacji metra i z powrotem.

Aby nie wzbudzić zainteresowania zbyt częstym przechodzeniem przez ulice, postanowił zrobić serię zdjęć najpierw po jednej stronie, a potem po drugiej. Życie w Rosji przemieniło ludzi w paranoików; ludzie z zasady szpiegowali się nawzajem, zwykłe czynności uznawano za przestępstwa, a lęk przed KGB nadawał kształt egzystencji. Z wielką ulgą stwierdził, że za kanałem znajdowało się ostatnie wejście do kolejki podziemnej i dalej szli tylko nieliczni przechodnie skupieni na własnych sprawach, z głowami wciśniętymi w kołnierze i skuleni przed zimnem.

Uspokoił się minąwszy cerkiew św. Mikołaja, złote kopuły na wysmukłych wieżyczkach z jednej strony, nawietrznej, pokrywała warstewka śniegu. *Grand-mere* przecież powinna mu opowiedzieć o tak ważnym obiekcie, jeśli nawet był mniejszy od śródmiejskich katedr. I jeżeli okna domu wychodziły na kanał, też powinna mu o tym nadmienić. Ale jej wspomnienia miały bardzo emocjonalny charakter. Postanowił z całkowitą konsekwencją zrobić zdjęcia każdego z budynków, nawet skromniejszych, bo jeśli nawet nie są poszukiwaną willą, to może chociaż pobudzą jej pamięć.

W drodze powrotnej, gdy cerkiew ponownie pojawiła się w polu jego widzenia, niemal zapomniał o strachu i spokojnie

261 *Celta Brayfield*

przystąpił do fotografowania budynku, którego fronton częściowo osłaniały rusztowania. Przeczytał, że renowacja Pałacu Młodych Pionierów postępuje dwa tygodnie przed terminem. Pośród robotników kujących oskardami pomalowaną na zielono fasadę znajdowały się kobiety; ten widok najpierw go zaszokował, a potem zaciekał. Począł, aż jedna znalazła się w polu widzenia aparatu, uniosła w górę kilof i z profilu przypominała figury z płaskorzeźb zdobiących radzieckie pomniki.

Nim nacisnął spust migawki, rozległy się ostrzegawcze okrzyki i z wnętrza budynku dobiegł łoskot. Z otworu, gdzie kiedyś było okno, wyleciał obłok białego kurzu i zasłonił heroiczną robotnicę. Alex czekał, aż pył opadnie, by zrobić wymarzone ujęcie.

Usłyszał krzyk: „Stać!” i trzech mężczyzn wybiegło z drzwi znajdujących się tuż przed nim; zmartwił ze strachu. Pokrywała ich warstwa białego pyłu z tynków, byli bardzo podekscytowani; czwarty wyskoczył za popękany próg i chwycił za ramię stojącego najbliżej.

- Gdzie leciecie, głupcy! - powiedział ciszej. - Chłopcy, tylko pomyślcie. Czy chcecie...

Alex się uspokoił zrozumiawszy, że nie odkryto jego poczynań. Robotnicy nie zwracali na niego uwagi, choć dzielili ich tylko metalowa konstrukcja rusztowań.

Pochylili się ku sobie szepcząc konspiracyjnie, a ich zachowanie rozbawiło Alexa. Rosjanie normalnie wyrażali swoje uczucia zamasztytymi gestami niczym aktorzy w niemych filmach, dlatego też nauczycielka ekspresji aktorskiej uważała jego subtelną grę za drewnianą. Nie rozumiała, że na Zachodzie publiczność wybuchnęłaby śmiechem, gdyby zrobił to, co mu nakazywała.

Mężczyźni oglądali coś, co jeden z nich ukrywał pod kurtką. Najwyraźniej doszli do porozumienia, bo zaczęli się klepać po plecach, aż z ich ubrań wzbily się obłoki białego kurzu i natychmiast wrócili do środka. Kobieta na rusztowaniu zamachnęła się kilofem. Alex odstąpił krok, by zrobić dobre zdjęcie, nim ruszył dalej.

Pół godziny później zakończył swoją misję. Mróz szczypał go w policzki i czubki palców, więc, by się rozgrzać i pobudzić krążenie krwi, pobiegł szybko na północ ulicą Ogrodową, chociaż na chodniku leżała warstwa lodu.

Zdązał do małego mieszkania nad sklepem rybnym na

Kolia

263

Newskim Prospekcie, gdzie dwa razy w tygodniu uczęszczał na lekcje rosyjskiego. Wystawa sklepu go śmieszyła, gdy był w beztroskim nastroju, ale najczęściej działała nań przygnębiająco. Przyozdabiały ją płaskie, drewniane łodzie, rybacy i Neptun, pomalowani na szarawe odcienie błękitu. Pomędzy łodziami rozpięto kawałek prawdziwej sieci, w której znajdował się połów - pudełka udające puszki z łososiem i śledziami. Dziś uśmiechnął się na ten widok, rozbawiły go stare wilki morskie z radosnym grymasem na płaskich, dwuwymiarowych twarzach. Odetchnął z ulgą zobaczywszy pusty sklep; któregoś dnia stała przed nim długa kolejka i zniecierpliwieni ludzie uznawszy, że się bezprawnie przepycha do przodu, już się brali do bicia, gdy ekspedientka uratowała go krzycząc na nich i wyjaśniając, że to tylko uczeń jej teściowej.

Nauczycielka miała sześćdziesiąt lat, choć żywotność i puszyste, czarne włosy przeczyły metryce. Alex mówił i rozumiał po rosyjsku dość dobrze; posługując się w miarę swobodnie trzema językami już nie myślał o sobie jako o człowieku, któremu brakuje języka w gębie. Gdy słyszał siebie mówiącego bez trudu po francusku i rosyjsku, tak cieszył się z umiejętności porozumiewania, że nie zwracał uwagi na rozbieżność między głębokimi uczuciami a prostymi słowami, jakich jedynie mógł używać.

Na widok słowa pisanego tracił pewność siebie. Nauczycielka kazała mu przeczytać artykuł z leningradzkiego wydania „Prawdy”, a potem streścić na piśmie cyrylicą. Wypadł żałośnie. Pomyślał, że w takim razie może rzeczywiście gdzieś znajdował się napis ulica Kamieniewska, ale go nie odczytał. Poprosił nauczycielkę, by mu to napisała; powiedziała, że zna tę nazwę, ale nie zdołała jej znaleźć na planie miasta. Alex wiercił się i marzył, by się jak najszybciej wyrwać. Kiedy się dowiedziała o urodzinach jego dziewczyny, puściła go wcześniej obdarzywszy dwoma pierogami z grzybami i radosnym uśmiechem.

W akademiku szkoły baletowej wyjąwszy film z aparatu, ukrył go w letnich butach płóciennych i ruszył dokończyć przygotowania do imprezy. Po drugiej stronie korytarza znajdował się pokój nazywany Małym Kaukazem, gdzie mieszkało dwóch armeńskich chłopców i Andriusza, Gruzin, który właśnie wrócił z pogrzebu krewnego w Tbilisi. Wszyscy Gruzini handlowali, umiejętnie korzystając z sieci znajomości i ułatwień, potrafili załatwić wszystko za odpowiednią cenę.

Celia Brayfield

Amerikanin dostarczył Andriuszy parę lewisów w jego rozmiarze i butelkę whisky, w zamian chłopak przywiózł z domu czereśnie, lepkie ciasteczka miodowo-migdałowe i słoiczek kawioru. W walizce znajdowała się także kiełbasa oraz wędzone wyroby tak pachnące i apetyczne, o wspaniałej, różowej barwie, że zaproponował klientowi zjedzenie ich na miejscu. Jego zdaniem byłoby to mądre posunięcie, skoro na widok takiej wędliny Ania może zmienić obiekt swych uczuć. Alex słysząc to oblał się rumieńcem.

- Do diabła, co ja takiego powiedziałem? Popatrz na niego, czerwony jak burak. - Zaskrzypiało metalowe łóżko, gdy Andriusza się podnosił odrzucając z czoła gęstą, czarną grzywkę. - Wybacz, proszę, przyjacielu, że zraniłem twoje delikatne uczucia tak nieprzyzwoitą sugestią. Zapomniałem, że mamy tu do czynienia z miłością, a nie zwykłym pożądaniem. Hmm, co ja tu jeszcze mam dla ciebie... O, tak... chwileczkę.

Wyszedł z pokoju i wrócił niemal natychmiast niosąc bukiet wspaniałych, czerwonych róż owiniętych w gazetę.

- Schowałem je w moim tajemnym zakamarku w końcu korytarza, gdzie przy szparze we framudze okna jest zimno.

- O rany, ależ one piękne.

- Oczywiście. Moja siostra zna kogoś, kto pracuje w gospodarstwie, gdzie je uprawiają. Kiedy tylko zechcesz dać swojej dziewczynie taki bukiet, wystarczy, jak zastrzelisz jednego z moich krewnych, z przyjemnością wyskoczę do domu i ci przywiozę. W moim kraju mamy wszystko, co jest najpiękniejsze na świecie: kobiety, róże, kiełbasę...

- Muszę ci coś za nie dać.

- W żadnym razie, to prezent dla ciebie. - Andriusza dał mu w ten sposób do zrozumienia, że przy innej okazji powoła się na tę okoliczność. - Wypełniam tylko swój patriotyczny obowiązek. Kiedy wrócisz na Zachód, będziesz mógł wszystkim opowiadać, jak tu, w Rosji, wiemy szczęśliwą egzystencję. Przecież ci godni pożałowania Amerykanie nie mają pojęcia o radości życia, co chłopaki?

Ormianie wyciągnięci na łóżkach czekali na puentę.

- Jak mogą zrozumieć uciechę faceta, który zdobył tanio kiełbasę dla przyjaciela, a na dodatek sprzedawczyni w mięsny pociągnęła mu koguta? Czysta radocha, nie? Jak można porównywać tak wysublimowane doświadczenie z nędznym położeniem paru dolarów na ladzie sklepowej?

Kolia

265

Następnie Alex poszedł do koleżanki z pokoju Ani, chudej jak szczapa Iriny, która na szczęście odpoczywała przez dwa dni po nadwerężeniu ścięgna i dlatego zdobyła chleb, za co zapłacił szminką od Diora. Szampana przywiózł sam, wódkę dostarczyła najlepsza przyjaciółka Ani, Elena, której ojczym pracował w KGB i mógł dostać wszystko, co najlepsze. Poprosiła go o pończochy, przywiózł jej rajstopy, przyjęła je po długich perswazjach, gdy dowiedział, że na Zachodzie tylko staruszki nadal noszą pończochy.

Pozostali goście również mieli przynieść wiktuały na imprezę, włączając w to Witę, z którym Alex mieszkał w pokoju. Był synem pary weteranów zespołu Kirowa, obsesyjnie przejmował się swymi brakami fizycznymi; ponieważ wielokrotnie pomagali sobie przy zacieraniu śladów często popełnianych drobnych wykroczeń, więc mimo jego charakteru Alex uważał go za przyjaciela. Tylko samobójca nie okazałby względów komuś, kto mógł się kiedyś zemścić.

Zebrali się, gdy tylko reszta studentów poszła do stołówki. Alex miał adapter, na którym puszczał płyty wybrane przez resztę zgromadzonych, z rzadka próbując narzucić swój wątpliwy gust i słuchać utworów Steppenwolf czy Fleetwood Mac. Ania posłusznie nuciła razem z tymi zespołami, choć sama wołała Rolling Stonesów. Włożyła prezent, który od niego dostała - sweter z różowej angory z perłowymi guzikami, wspaniale pasujący do jej pospolitego typu urody.

Przez parę godzin jedli i pili radośnie, Alex poprzestawał na szampanie, reszta korzystała ze zgromadzonych zapasów wódki.

- Człowieku! Daj spokój, wypij wreszcie zdrowie dziewczyny jak się należy - Andriusza podał mu kieliszek wódki.

- U mnie w domu zawsze piło się toast urodzinowy szampanem. Wiesz, że nie jestem przyzwyczajony do mocnych alkoholi tak jak wy, a poza tym dziś wieczorem się oszczędzam.

- Po co? - zapytał jeden z Ormian, mając nadzieję na dalsze rozrywki.

- Nie po co, idioto - rozzłoszczona Irina wymierzyła mu klapsa w udo. - Ale dla kogo! - Chłopcy nadal patrzyli zdumieni.

- Stary, amerykański zwyczaj - wyjaśniła Ania, przytulając się z zadowoleniem do ramienia Alexa. - Urodzinowe dymanie. Specjalne. Jubilatka może dostać wszystko, co zechce. - Przewróciła błękitnymi oczami.

Celta Brayfield

- Absolutny idiotyzm - oświadczył Witia dolewając do kieliszków. - Daj kobiecie, to, czego chce, i się od niej nie odczepisz. Dogadzając nie utrzymasz jej w ryzach. Sekret polega na tym, żeby zawsze czekała na więcej.
- Irina splunęła wdzięcznie do metalowego kosza na śmiecie. Mimo subtelnej urody zachowywała się jak dorożkarz.
- No, Witia, jeśli się postarasz o kobietę, która będzie marzyła o kolejnym razie z tobą, to uwierzemy w twoje teorie.
- Uniosła głowę, by lepiej się przyjrzeć nowej szmince patrząc w małe lusterko.
- My, Gruzini, jesteśmy inni. - Andriusza, który uwielbiał blondynki, pozornie rzucał słowa w przestrzeń. - Nie zgadzamy się na tak surowe podejście. Moja mama zawsze powtarza, że w ciepłym klimacie rodzą się cieplejsi ludzie, kochający przyjemności, wrażliwi... a nasza kultura nadal pozostaje pod silnymi wpływami indo-europejskimi, we krwi ciągle mamy erotyczne niuanse Kamasutry.
- Bzdury - mruknął Witia z trzaskiem stawiając butelkę na blacie. - Nie mogę ścierpieć takich głupot. Przepraszam, ale nogi mam tak sztywne, że zaraz oszaleję z bólu. Skoro żadna z dziewcząt nie chce mi zrobić masażu, sam będę się tym musiał zająć.
- Za mało dymasz, Witia, na tym polega twój problem. Żeby się rozluźnić potrzebujesz większego przepływu hormonów.
- Specjalista się odezwał. Gdyby dymanie miało z tym coś wspólnego, to nasz Wolfe nigdy więcej nie usłyszałby słowa krytyki na lekcji, nie? - Usiadł na podłodze i zaczął boksować pięściami udo, przerywając co chwilę, by napić się wódki. Nikt nie zwracał na niego uwagi, bo Witia ciągle narzekał na spięte mięśnie i ciągle próbował nowych, jego zdaniem absolutnie skutecznych, sposobów ich rozluźnienia.
- Elena nastawiła swą ulubioną, zdartą płytę Johnny Mathisa i zaprosiła do tańca jednego z Ormian.
- Czy kiedykolwiek robiłaś to, kiedy byłaś naćpana?
- wyszeptał Andriusza do Iriny. - Masz tak maleńkie uszka, że przypominają płatki róż.
- Jak to naćpana?
- Po wypaleniu trawki.
- Nie paliłam.
- Ty? Nie wierzę, zawsze nadążasz za ostatnią modą. To wspaniałe uczucie.
- Przysięgam, nigdy. A co? Masz trawkę? - Jej oczy aż

Kolia

267

Isniły z podniecenia i radości na taki komplement. Andriusza uznał, że rybka chwyciła haczyk.

- Ciii... Nie wystarczy dla wszystkich. - Ruchem głowy wskazał resztę gości.
- A solenizantka pewnie będzie chciała mieć dla siebie nasz pokój dzisiejszej nocy. Gdzie to masz? Przy sobie?
- W moim pokoju.
- Ach tak...
- O co ci chodzi?
- Co z twoimi kolegami? Rozmawiamy o trawce czy grze w stokrotki?
- Gra w stokrotki? Nie rozumiem.

Irina uśmiechnęła się do siebie i założyła kosmyk włosów za ucho. Stokrotki to ulubiona zabawa złotej młodzieży Leningradu; Andriusza nie był więc tak bardzo na fali, jak udawał, jeśli o niej nie słyszał. Bardzo prosta gra - trzy dziewczyny, sześć nóg rozłożonych jak płatki kwiatu, trzech chłopców, każdy ma orgazm, gdy pada ustalone hasło. Przynajmniej tak twierdzą grający.

- Och, nie takiego. A więc tylko nas dwoje?
- Oczywiście.
- OK, to na co czekamy? Idziemy.

Wyszli po cichu z pokoju, życząc Ani szeptem dobrej nocy. Elena próbowała tańczyć z Ormianinem na środku pokoju i gdy okazało się, że są zbyt pijani, aby skoordynować ruchy, samotnie ślaniała się po pokoju. Witia leżał na podłodze, nogi wyciągnął ku górze i oparł o ścianę.

- Leniuch - Alex zbeształ go po przyjacielsku.
- O co ci chodzi? Jestem za bardzo zmęczony, żeby stanąć. Moje nogi są jak struny skrzypiec. A poza tym w ten sposób najlepiej je wyciągać. Aleksiej, pożyczysz mi ciężarki?
- Jasne.
- Mam tak czekać całą noc? Jak dajesz, to już.

Alex wywłókł spod łóżka ciężarki, każdy ważył kilogram, miały kształt obręczy wypełnionych metalowymi kulkami i wsunął je zgrabnie na kostki przyjaciela. Witia rozsunał stopy tworząc szerokie V i lekko ugiął nogi w kolanach czując napinanie mięśni wewnątrz ud.

- Świetne. Pół godziny i jutro będę nowym człowiekiem. Andriusza, jak widzę, wprowadza teorię w czyn, co? Mam na myśli dymanie. Może to rozluźnia dziewczyny, ale chłopaka nigdy w życiu.

268 *Celia Brayfield*

- Zajdź w ciążę, Witia, to najlepsze - Elena odbiła się sennie od ściany.
 - Pieprzona biologia! Czemu do cholery zawsze mam pod górkę, nigdy z górki. A teraz podajcie mi butelkę.
 - Chyba już powinieneś przestać.
 - W żadnym razie. Od tego się rozluźniam. Dawaj. Strzelił palcami i z zadowolenia przymrużył oczy. Alex postawił butelkę wódki w zasięgu jego ręki i dał znak Ani, że czas wychodzić. Przenieśli się do jej pokoju i ułożyli w łóżku. Od dawna marzył, by pocałunkami doprowadzić ją do orgazmu. Odnosiła się sceptycznie do tego pomysłu, przede wszystkim uważając obszar między nogami za nie nadający się do takich zabaw, i nie wierzyła, by rzeczywiście sprawiałoby mu przyjemność oblizywanie jej. Przekonał ją, by mu raz pozwoliła i uznała, że musi go to widać podniecać, skoro miał potężną erekcję. Alex wyczuwając u niej namiętną osobowość, widział, jakie sobie stawia bariery i chciał ją wyprowadzić za nie, by w pełni odkryła swe erotyczne możliwości. Minęła północ, gdy przestała kontrolować zachowanie i poddała się rozkoszy; wreszcie usłyszał cichy okrzyk i pod wargami czuł pulsowanie jej sromu, a językiem dotykał wszystkich tajemnych zakamarków płci.
- Leżeli spoceni w ciemności. Ania zastanawiała się, jak najlepiej zacząć temat małżeństwa. Czy powinna okazać słabość i zagrać na jego sympatii - musi być bardzo zadurzony, skoro bez przerwy jej chce - czy potraktować go lekko, może nawet poflirtować z innym, niech za nią potęskni, a wtedy przydusić o pierścionek. To najlepszy sposób na wyjazd z kraju, muszę go złapać, obiecała sobie.
- Alex wspominał ich pierwsze spotkanie w małej sali, gdzie poszedł ćwiczyć, pogrążony w otchłani samotności i rozpaczony w pierwszym miesiącu pobytu w szkole. Kiedy stanął na środku pomieszczenia, otaczająca pustka przytłoczyła go tak strasznie, że zalał się łzami. Gdy parę minut później weszła tam Ania, również na ćwiczenia, na jego widok bez słowa podbiegła i objęła ramionami. Poczł, jak otacza go łagodna kobiecość i jego ból ucichł natychmiast. Teraz, gdy całkowicie posiadał jej ciało i na dowód tego w ustach czuł jej rozkoszny, słonawy smak, był absolutnie spokojny.
- Szczyście trwało krótko. Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi i do pokoju wtoczyła się Irina.
- Szybko, wstawaj i ubieraj się. Ta dziwka, Nadia, robi piekło.

Kolia

269

- O co chodzi? - Ania podniosła głowę znad poduszki i próbowała się uwolnić z objęć Alexa.

- Szukała Eleny i ktoś jej powiedział, że jest w pokoju Alexa. Widać tam weszła, bo tylko usłyszeliśmy krzyk, że Witia jest połamany. Bogu dzięki, że narobiła tyle hałasu.

- Alex, lepiej się pośpiesz, ta idiotka miota się jak szalona w poszukiwaniu dyrektorki. - W smudze światła padającego z korytarza stanął Andriusza. Po głosie sądząc na ustach miał ciągle triumfalny uśmiech.

- Dobra, za sekundę będę gotowy. - Niechętnie wyszedł z łóżka i wypychając Irinę za drzwi szukał przełącznika.

- Niech Ania lepiej tu zostanie - poradził Gruzin. - Przynajmniej tylko jedno z was wpadnie w tarapaty.

Biegiem wrócili do pokoju, gdzie ujrzeli groteskowy żywy obraz. Jeden z Ormian zwinął się w kącie, drugi bardziej artystycznie upozował się na łóżku. Elena osunęła się na krzesło i wymiotowała na podłogę; w powietrzu unosił się kwaśny odór. Przy ścianie leżał nieprzytomny Witia, obok wyciągniętej ręki poniewierała się pusta butelka po wódce. Jego nogi przypominały kończyny pajaca, jedna zgięta w kolanie i dziwacznie oparta o ścianę, druga leżała niemal płasko na podłodze pod straszliwie nienaturalnym kątem.

- O mój Boże! Witia! On jest nieprzytomny. Czy ona ma rację, że się połamał? - przerażony Alex zwrócił się ku Andriuszy szukając oparcia w jego ironii.

- Noga na pewno wyskoczyła ze stawu biodrowego. Może nawet poszły wiązadła. Słyszałem, że ludziom się przytrafiały takie historie, ale nigdy w to nie wierzyłem.

- A jeśli umarł? - Od czubka głowy po koniuszki palców przeleciał mu powiew lodowatego chłodu.

- Umarł? Skądże. Nie słyszysz? Chrapie jak świnia. Nie możemy go ruszyć, boby to jeszcze wszystko pogorszyło, a Nadia i tak wychłapie. Przynajmniej zabierzmy stąd chłopców. No, już, przestań dygotać i pomóż mi.

Zdrowy rozsądek kolegi nieco uspokoił Alexa i razem zaciągnęli nieprzytomnych przez korytarz do ich własnych łóżek. Irina ściągnęła kołdry i przykryła ich nie rozbierając nawet z butów. Wcześniej otworzyła na całą szerokość podwójne okna, by wywietrzyć zapach trawki, a teraz Andriusza zamknął je starannie, zanim temperatura w pomieszczeniu spadła poniżej zera. Irina już wcześniej wróciła do siebie.

- I Elena, ją też musimy odprowadzić - nalegał Alex pod

Celta Bray field

wpływem okropnych wyrzutów sumienia, że dziewczyna, która z taką radością pomagała mu urządzić przyjęcie dla ukochanej, może z tego powodu napytać sobie biedy.

- Ładnie będziemy wyglądali, jeśli w korytarzu natkniemy się na dyrektorkę. - Andriusza ściągał koszulę i bieliznę, żeby się przebrać w piżamę. - Moim zdaniem i tak jest przechlapana. Nadia doniesie jej ojcu. Będziemy mieć szczęście, jak się obejdzie bez śledztwa.

- Andriusza, proszę cię, i tak już wpadliśmy po uszy.

- Sam ją zanieś, jak cię to tak martwi. Nie jest taka ciężka, użyj tego! - klepnął Alexa w plecy z wyraźną zazdrością. Alex nie tracąc ani minuty pobiegł do swojego pokoju i ściągnawszy dziewczynę z krzesła wziął ją w ramiona. Przełożył ją przez ramię jak worek, modląc się, by już więcej nie wymiotowała. Nieprzytomna zdawała się ważyć więcej, niż kiedy razem ćwiczyli *pas de deux*.

W korytarzu nie spotkał nikogo i bez kłopotów złożył Elenę w jej własnym łóżku. Gdy wrócił do siebie, w tej części akademika paliły się światła i na progach stawiali zaspani studenci, dopytując się, co to za hałasy. Dyrektorka, która zdążyła się ubrać, stała na środku pokoju Alexa słuchając wrzaskliwego opisu sytuacji zastanej przez Nadie, a tymczasem jeden z pedagogów w brzydkim, brązowym szlafroku przyklęknął obok Witii i delikatnie gładził go po twarzy:

- Możemy go ocucić, ale po co? - mówił właśnie, gdy Alex stanął w drzwiach. - Biedny chłopak będzie tak cierpiał, że pewnie znów zemdleje. Lepiej zostawić go w spokoju. Kiedy zadzwoniliście po pogotowie? Już powinni być w drodze.

- O, jest! - wrzasnęła Nadia widząc Alexa. - To jego wina, to on kupił wódkę! - Wszyscy się odwrócili i już dopadł go ten mężczyzna, bijąc pięściami po głowie gdzie popadło.

- Fiedia, przestań. Posiniaczysz go, to niemądre. - Dyrektorka postąpiła ku nim, ale zatrzymała się w obawie, że sprowokuje większą bójkę. Ponieważ ludzie nie znaczyli dla niej wiele, więc wedle jej opinii nic takiego się nie stało. Przecież rodzice Witii to głupcy, którzy sądzili, że jako artyści są wolni od politycznych zależności; dobrych dziesięć lat temu popadli w niełaskę i będą się wlec w ogonie, aż starość lub alkoholizm zmusi ich do zakończenia kariery.

- Niemądre! A kiedy ten zwyrodnialec, kryminalista, niszczył przyszłość jednego z naszych chłopców, to było mądre? W jakim chorym mózgu mogła powstać taka myśl?

Kolia

271

Też byłeś pijany, co? Jasne, ale to żadne usprawiedliwienie. Nawet pijak w rynsztoku lepiej troszczy się o kolegę. Nie jesteś człowiekiem, bydlaku...

Alex zamarł z przerażenia, zaatakowany z tak wielkim gniewem. Otworzył usta, żeby zaprotestować, bo przecież złamał jedną, drobną zasadę, a nie popełnił morderstwa, ale nie umiał skłecić zdania po rosyjsku. Wiedział, że jeśli będzie próbował mówić we własnym języku, to ich jeszcze bardziej rozwścieczy. Uratowało go dwóch sanitariuszy, którzy człapali po korytarzu z noszami, a za nimi szedł znacznie starszy pedagog powtarzając, by bardzo ostrożnie przenosili chorego.

W parę minut później pojawiło się dwóch innych mężczyzn w średnim wieku, ubranych w garnitury i potoczyła się rozmowa, z której niewiele zrozumiał. Nadal nieprzytomnego Witię położono na noszach i wyniesiono, a za nim poszli obaj nauczyciele. Dyrektorka podziękowała Nadii za sprawną akcję i kazała jej się zgłosić rano do gabinetu, by spisać raport. Po czym reszta zgromadzonych udała się do biura dyrektorki, mieszczącego się po drugiej stronie ulicy. Zostawiła Alexa przed gabinetem pod opieką nowo przybyłych i sądząc po licznych dzwoneczkach i stukotach dobiegających zza przymkniętych drzwi, rozmawiała przez telefon z wieloma osobami.

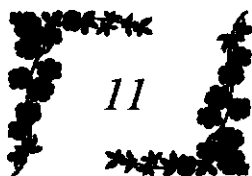
Otępiął ze zmęczenia, ale nie mógł się zdrzemnąć, bo paraliżował go strach, że będzie przesłuchiwany, poddany torturom i wysłany do obozu. Z całej duszy marzył o rozmowie z Anią, wmawiał sobie, że chce ją uspokoić, ale naprawdę pragnął pociechy, jaką dawało dotknięcie jej rąk.

Po kilku godzinach za oknem zajaśniał wschód słońca, choć nadal padający śnieg tłumił światło i niedługo potem podjęto decyzję w jego sprawie. Przybył mężczyzna z bardzo krótko obciętych włosami, niższy rangą urzędnik amerykańskiego konsulatu. Po rozmowie z dyrektorką wezwał po rosyjsku Alexa, by wszedł do gabinetu.

- Został pan wydalony - oświadczył nosowym głosem. - Rosjanin wylądowałby w więzieniu. I my, i oni chcemy uniknąć kłopotów, więc tylko pana wyrzucają. Pójdziemy spakować rzeczy i może się pan zatrzymać u jednego z naszych ludzi, dopóki nie wsadzimy pana do samolotu.

- Czy mogę się pożegnać z moją dziewczyną? Mężczyzna popatrzył na niego, jakby był żywym okazem głupoty.

- Jeśli pan musi...



Anglia, 1979

Kiedy słońce weszło nad wsią, Bianka już nie spała. Stała w oknie sypialni i przyglądała się, jak wypływa zza dachów, rozgrzewając ceglane ściany domków. Z gałęzi drzew uciekały ostatnie nietoperze, by się schronić pod dachem jej pracowni. Srebrny pstrąg na wieży kościelnej lśnił jak żywy i wydawało się, że za chwilę machnie ogonem i wślizgnie się w niebo.

Dom, niczym magnacka siedziba, stał w najlepszym miejscu w okolicy niedaleko kościoła, górując nad skromniejszymi majątkami. Nigdy więcej, obiecała sobie w duchu Bianka. Koniec odgrywania roli łaskawej kasztelanki, która w czasie parafialnych pikników i bożonarodzeniowej kwesty na rzecz ubogich kroczy u boku małżonka rozdzielając między mieszkańców wioski uśmiechy i komplementy. Zresztą ci ludzie, podobnie jak ona i Lovat, większość czasu spędzali w Londynie. Ich także bawił udział w tej feudalnej pantomimie, dzięki której malownicza dziura na prowincji stawała się kompleksem luksusowych domów wypoczynkowych.

Bianka obudziła się przed świtem. Gładząc poduszkę i prześcieradło, rozkoszowała się świadomością, że łóżko należy wyłącznie do niej i Lovat nie ma doń dostępu. Nie potrzebowała już osłony koszuli nocnej. Zrzuciła z siebie nobliwe, koronkowe szkaradziejstwo i włożyła dżinsy. Poczucie wolności kipiało jej w żyłach.

Słońce rozświetliło ogród. Krzaki porzeczek rozpięte na kratkach, chyliły się zapraszająco, ale ona nie zwróciła na nie uwagi. Miała nadzieję, że zaproszeni goście poczuli się na tyle skrepowani niezręczną sytuacją, że nocą opuścili dom. Zabawianie ich przestało już być jej obowiązkiem.

Z dziecinnego pokoju na górze dobiegało tupanie małych nóżek: to Orlando zaczął się bawić. W dalszej części domu

Kolia

273

rozległo się kasłanie - długi, ciężki kaszel starego człowieka. To Kuźmiński starał się oczyścić zrujnowane płuca.

- Nie ma czasu do stracenia, muszę uciekać, szepnęła do swego odbicia w lustrze i śmiejąc się cicho zbiegła na dół. W hallu piętnastowieczna, dębowa komoda na próżno domagała się wypolerowania.

W pracowni przyjrzała się wiszącym dokoła kolażom. Idiotyczne gęby wytrzeszczały okrągłe szklane oczy, zatrzymane w tańcu ramiona lalek nagle wydały jej się groteskowe. Znowu ogarnęły ją mdłości. Przyciągnęła taczkę, wrzuciła na nią płótna i biegiem ruszyła do śmietnika. Wystarczyła jedna szczapa, i obrazy zajęły się ogniem. Płomienie były niewidoczne w promieniach porannego słońca. W nieruchomym powietrzu wzniosła się w górę smuga śmierdzącego dymu.

- Płonące szczyty Buckinghamshire! - zawołała ubrana w różowy szlafrok Hermione, która pojawiła się po drugiej stronie ogniska. - Cóż takiego puszczasz z dymem?

- Śmiecie. - Na ustach starszej siostry zagościł figlarny uśmiezek.

- Ależ to twoje obrazy! Bea! Co ci się...? Dobrze się czujesz?

- Wspaniale. To nie obrazy, to zwykła makulatura. Kupa nudnego, nieoryginalnego, zakłamanego chłamu. Rzygać się chce na ich widok. Robiłam je, bo wszyscy oczekiwali, że będę coś tworzyć. A teraz niech się zwyczajnie ode mnie odczepią.

- Rozumiem, śmierć i powtórne narodziny, wiecznie powtarzający się cykl. Jak Persefona musiałaś zstąpić do krainy ciemności, żeby powtórnie się narodzić.

Bianka poczuła pod przeponą znajome szturchnięcie, pierwszy ruch jej dziecka. Zapomniała, że jest w ciąży; teraz uświadomiła sobie, że nosi w sobie źródło zagrożenia, coś, co mogłoby zrujnować nową, wznoszoną przez nią delikatną konstrukcję, od początku bowiem została uwiązana do Lovata i stała się niewolnicą swego ciała. Tak dawno już uznała je za coś, co niezależnie od jej woli kieruje jej życiem, że w końcu w to uwierzyła. Teraz gorąco zapragnęła odzyskać nad nim władzę. Czy już za późno na usunięcie ciąży? Czy nie znalazłby się jakiś pretekst, usprawiedliwienie, dzięki któremu mogłaby się wyzwolić? Czy naprawdę kocha dzieci, czy też miłość do nich była jej kolejnym przebraniem?

Radosne uniesienie ustąpiło miejsca kwestiom praktycznym. Wczoraj w nocy wygrała z rodziną, dziś powinna zabezpieczyć owoce zwycięstwa.

Cetia Brayfield

- Są tu jeszcze?

- Kto? Goście? Tak, Charlotte wszystkim się zajęła. Chłopcom powiedziała, że Lovata wezwano do Londynu w sprawach służbowych. Czyż ona nie jest niesamowita? Śniadanie podano jak zwykle. Właściwie nie tak jak zwykle, bo Charlotte ugotowała kaszę dla Rosjan. I była tak diabelnie opanowana; można by pomyśleć, że jej wnuczka codziennie wyrzuca z domu męża, oskarżając go o kazirodstwo.

- To nie było kazirodstwo i sami się do tego przyznali. Wszyscy to potwierdzili, zapomniałaś? I wiedzieli o tym od początku.

- W pale mi się to nie mieściło.

W głosie Hermione Bianka usłyszała tylko szczere współczucie, co bardzo ją uspokoiło. Przez głowę jak w kalejdoskopie przelatywały jej różne myśli i przez chwilę dopuszczała możliwość, że Hermione także należała do rodzinnego spisku.

Zawiązując mocniej pasek szlafroka, Hermione obeszła ognisko, żeby lepiej przyjrzeć się siostrze. Bianka odmłodziła. Hermione nie dostrzegła na twarzy siostry goryczy ani złości. Mimo dramatycznych wydarzeń ubiegłej nocy Bianka starannie zmyła makijaż i uczesała włosy. Z pewnością nie płakała, świadczyły o tym jasne oczy - ciemniejsze w słabym świetle wczesnego poranka - których nieustanny ruch dowodził, że w jej głowie aż się kłębi od myśli.

- Och, Bea, ty rzeczywiście bierzesz się z życiem za bary. Ja po prostu daję się unosić nurtowi, chwytam, co mi przyniesie.

Z ognia wypadł płonący kawałek ramy. Bianka kopnęła go z powrotem do ogniska.

- Po prostu uważam, że gdy trzeba coś zrobić, nie ma sensu się długo zastanawiać. Umierałam, Herm. Wczoraj naprawdę miałam wrażenie, że gasnę, staję się tylko cieniem. Musiałam się wyzwolić, to wszystko. Ty już jesteś wolna i na tym polega różnica. Twoje życie naprawdę do ciebie należy, jest takie, jakie chcesz.

- Tyle że najczęściej nie wiem, czego właściwie chcę.

W milczeniu wpatrywały się w ogień, dopóki papier się nie wypalił i zostały tylko fragmenty ram. Zgarnęły kopące się kawałki drewna.

- Myślisz, że będzie próbował cię przekonać?

- Kto? Lovat? Nie, Herm. Lovat odszedł już wiele lat temu. Wyrzucenie go z domu było tylko usankcjonowaniem

Kolia

275

stanu faktycznego. Może nigdy naprawdę ze mną nie był? Ze mną, przy mnie, dla mnie, u mego boku. Byliśmy tacy młodzi, a ja tak bardzo chciałam uciec jak najdalej od rodziny. Teraz trudno sobie przypomnieć, jak to wtedy wyglądało. Wiem, że wierzyłam, że mnie kocha, ale może po prostu mnie tylko potrzebował.

Przez ogród przeszedł lekki podmuch wiatru, kierując na nie dym z ogniska. Bianka cofnęła się, nagle zrobiło jej się zimno, skrzyżowała na piersiach ręce i ruszyła w stronę domu.

- Wcale nie był jednym z tych agresywnych twardzieli z Północy.

Wspomnienie Lovata stojącego niezgrabnie w salonie w Chelsea i nerwowo wyłamującego palce na chwilę złagodziło uczucia Hermione.

- Kiedyś myślałam, że po prostu śmiertelnie się boi tego całego londyńskiego światka.

- Lovat nigdy niczego się nie bał. Kiedyś to w nim kochałam - że nie pozwalał się zepchnąć i nie dawał sobą rządzić. Sądziłam, że to zasługa talentu, że dzięki temu człowiek nie ma wątpliwości. Wydawało mi się, że go kochałam. I to tak bardzo, że miłość wypełniała mnie jak noszone pod sercem dziecko - nie ma miejsca na jedzenie, oddychanie, człowiek czuje się jak naczynie, w którym złożono skarb. Ale znowu... To samo - może po prostu go tylko potrzebowałam.

Lojalna Hermione, przepelniona teraz nienawiścią do Lovata, szukała czegoś, żeby wyrwać siostrę z tego drażniącego spokoju.

- Martwisz się o chłopców?

- Nie, nie będzie im brakować tego, czego i tak nigdy nie mieli. - Widząc, że siostrze brak tchu, przystanąła na stromej ścieżce. - Podejrzewam, że Lovat w pewien sposób ich nienawidził. Nie tylko jako dzieci, ale jako elementu mego życia, nad którym nie mógł zapanować. Skoro już rozmawiamy szczerze, powiedz mi coś... - Szaroniebieskie oczy uważnie badały twarz siostry. - Jaką rolę w tym wszystkim odegrała matka? Sądzisz, że specjalnie to zrobiła?

- Uwiodła Lovata? Sama się nad tym głęboko zastanawiałam. Trzeba przyznać, że nie uznawała żadnej z nas za kobietę, ewentualny obiekt pożądania. - Palcami odgarnęła z twarzy długie włosy i ruszyła dalej ścieżką. - Dla niej zawsze najważniejsza była ona sama, jej wygląd.

- Oboje przysięgali, że to się wydarzyło, zanim spotkałam Lovata, ale co innego mogli powiedzieć? - Bianka zaśmiała się

Celta Brayfield

ostro. Po raz pierwszy okazała napięcie. - Tyle lat... wszyscy doskonale o tym wiedzieli i nikt nie powiedział ani słowa.

Kiedy dochodziły do drzwi kuchennych, rozległo się bicie dzwonów, wzywających na poranne nabożeństwo. Ponieważ wieża była niedaleko domu, dźwięk wdzierał się do uszu. W kuchni i jadalni panował bałagan, któregoś z dzieci zostawiło na schodach nie dokończoną grzanekę. Bianka poczuła nagle pragnienie posiadania swojego własnego domu, swojego własnego ciała. Jedyne, co mogła na razie zrobić, to pozbyć się gości; natychmiast przystąpiła do uprzejmych przeprosin. W zaproszeniu, skierowanym do Anglików, by zostali i rozkoszowali się leniwą niedzielą na wsi, zawarła dokładnie wyważoną dawkę szczerości, dzięki której mogli odmówić bez obawy, że obrażą gospodynię. W ten sposób o jedenastej szczęśliwie miała dom już prawie pusty. Charlotte zajęła się chłopcami, dopilnowała, żeby się przyzwoicie ubrali, i wraz z Kuźmińskim i jego towarzyszem wyprawiła ich do kościoła. Tak więc Biance pozostali tylko rodzice.

Niczym w jakiejś sztuce, siedzieli w dwóch końcach salonu, największego pokoju w domu. Olivia ubrała się jak zwykle starannie, ale jej zestaw w ulubionym ostatnio stylu kowbojskim - bluzka z koronkowym kołnierzem i zamszowa spódnica z frędzlami - był jakiś wymęczony, a ona sama zgarbiona i wymizerowana; wyglądała, jakby w nocy gnębiły ją koszmary.

- Wyglądacie jak z rysunku Hogartha.

Matka tak słabo zareagowała na powitanie córki, że niewiele brakowało, a współczucie dla kobiety zgnębionej przez wstyd i porażkę sprowadziłoby Biankę z obranej drogi.

- Po małżeństwie *a la mode*, rozwód *a la carte*, co?

- roześmiał się Hugh ze swego dowcipu, nie spiesząc się, by ruszyć z pomocą żonie. Zapanowała między nimi obcość, ale nie chłód.

- Czeka nas trudny okres, każdego z nas z osobna i nas jako rodziny - zaczęła Bianka oficjalnym tonem i instynktownie zajęła miejsce na środku pokoju, tyłem do kominka.

- Przede wszystkim chciałabym, żebyście wiedzieli, że moim zdaniem cała wina spoczywa na Lovacie. Oczywiście, czuję się.... - urwała, szukając właściwego słowa, świadoma, że wreszcie ma nad nimi przewagę - ...zraniona. Nie tyle tym, co się stało, ale waszym milczeniem przez te wszystkie lata. Jednak od początku obowiązków powiedzenia mi o tym spoczywał na Lovacie i dlatego uważam, że to on mnie zdradził.

Kolia

277

Znowu przerwała, żeby zebrać myśli, sprawdzając swoją władzę nad rodzicami.

Jeśli potrafię stłumić ich protesty, jeszcze nim otworzą usta, wygrałam, powietrze będzie czyste i nigdy już nie wejdą mi w drogę, pomyślała.

Ku jej zdumieniu ojciec się nie odezwał.

- Jestem pewna, że gdybyśmy nie pobrali się tak szybko i w dodatku podczas waszej nieobecności, wszystko by się ułożyło inaczej. Przypuszczam, że w ten sposób chciałam się zbuntować i okazać swoją niezależność. - Ojciec gwałtownie przytakiwał. Na jego twarzy pojawiła się lekka ulga. - Wszystko, co powiedziałam ubiegłej nocy, mówiłam poważnie. Nie mogę dłużej żyć z Lovatem i chcę jak najszybszego rozwodu. W poniedziałek pojedę do Londynu do adwokata. A dziś, sądzę, że lepiej bym się czuła sama z chłopcami i Charlotte.

- Moim zdaniem to... twoje żądanie jest jak najbardziej zrozumiałe - szybko wtrącił Hugh. - I cieszę się, że sama zechciałaś w ten... ten jasny i klarowny sposób przedstawić swoje stanowisko.

Mówił jak nauczyciel komentujący pracę domową ucznia, ale wysiłkiem woli stłumiła gniew.

- Sądzę, że wszyscy musimy ochłonąć i zastanowić się nad kolejnymi krokami.

Ciekawe, czy on też dorósł do zmian, zastanowiła się Bianka. Przez tyle lat, mimo kąśliwych uwag, z taką godnością przyjmował ostentacyjną niewierność żony, że dopiero teraz uświadomiła sobie, że miał aż nadto powodów, by wystąpić o rozwód.

Olivia odchrząknęła. Automatycznie uniosła do szyi obwieszoną srebrnymi bransoletkami dłoń, żeby zasłonić zmarszczki.

- Bianka, kochanie, chciałabym, żebyś rozumiała jedno... Ogarnął ją gniew, ale od razu nad nim zapanowała.

- W tej chwili nie mogę o tym rozmawiać. Wydaje mi się, że na razie to, co wiem, mi wystarczy.

- Pora ruszać - odezwał się ojciec.

Zabrzmiało to jak rozkaz. Żeby wzmocnić wrażenie, Hugh przeszedł przez pokój i ujął żonę pod łokieć. Wstała niepewnie

I dała się poprowadzić do drzwi.

Kiedy reszta towarzystwa, zmęczona i zaczerwieniona po spacerze pod górę w upalny letni dzień, wróciła z kościoła,

278 *Cetta Brayfield*

zobaczyli przed domem białego Mercedesa Berrisfordów. W środku, sztywno jak lalka, siedziała Olivia. Hugh czekał, żeby pożegnać się z matką. Potem uściśnął ramię Bianki.

- Zachowałaś się wspaniale w całej tej sprawie, kochanie. Z godnością i spokojem, wielkodusznie, jak przystało prawdziwej kobiecie. Sądzę, że przez wzgląd na twoją matkę, słuszne było pozostawienie przeszłości w spokoju. Byłem z ciebie dumny. Chcę, żebyś to wiedziała. - Wściekła na siebie, uśmiechnęła się z wdzięcznością. Pierwszy raz w życiu usłyszała z jego ust pochwałę. - I nie martw się o przyszłość, szczególnie przez najbliższe miesiące. Spróbuj odpocząć i radośnie oczekuj swego dziecka. Wiem, że tak zrobisz. Będziemy po twojej stronie. Zapomnijmy o przeszłości, mamy okazję zacząć od początku.

Bianka przyglądała się, jak podchodzi do samochodu i odjeżdża, niechętnie przyznając się przed sobą do przebłyску współczucia.

- I cóż, moja droga, krążysz po domu niczym anioł zemsty. Na kogo teraz kolej? Nas także chcesz się pozbyć?

- W hallu, chłodnym i ciemnym w porównaniu z upałem panującym na zewnątrz, na niskim parapecie przysiadła babka, żeby zmienić buty. Spojrzała bystro na wnuczkę. Do kościoła włożyła brązową sukienkę, stanowiącą dość dziwne połączenie jedwabnych falbanek i peplum, które tylko podkreślały jej chłopięcą sylwetkę. - Poważnie mówię. Jeśli chcesz zostać sama, zabiorę gdzieś chłopców. Kola po lunchu pewnie się zdrzemnie, więc nikt ci nie będzie przeszkadzał.

Zostawiła Rosjan na tarasie, gdzie zasiedli w cieniu młodej glicynii i ostrożnie sączyli Pimmsa z wysokich szklanek.

- Chcę, żeby chłopcy tu byli.

W zachowaniu babki nie było śladu skruchy i Bianka, ciągle jeszcze żadna zemsty, szukała w jej spokojnej twarzy jakichkolwiek uczuć.

- Nie patrz tak na mnie. Chciałam ci powiedzieć, ale na mnie naskoczyłaś.

Wstała i ostrym ruchem poprawiła na karku sukienkę w nadziei, że materiał sam się właściwie ułoży.

- Nie pamiętasz?

- Nie. - Jakie to denerwujące, kiedy ktoś czyta człowiekowi w myślach i natychmiast obnaża słabość jego argumentów.

- Widać niezbyt mocno się starałaś mnie przekonać.

- Nie miało sensu, i tak byś mnie nie słuchała. Byłaś w nim zakochana po uszy, widać było gołym okiem.

Kolia

279

Biankę nagle tak zainteresowało, co naoczny świadek mógł powiedzieć o stanie, w jakim się znajdowała, kiedy oddała się Lovatowi, że jej złość gdzieś się ulotniła.

- Naprawdę, Charlotte? Nie pamiętam.

- Cała się rozjaśniałaś, gdy o nim mówiłaś, a kiedy znaleźliście się razem w jednym pomieszczeniu... Cóż, trudno było wtedy tam wysiedzieć, to pamiętam z całą pewnością. - Na jej pergaminowych policzkach wykwitły dwie czerwone plamy. Całe życie, obserwując, jak namiętność potrafi niszczyć ludzi, dziękowała losowi za swoje chłodne usposobienie. Z trudem przychodziło jej nawet mówienie o gwałtownych uczuciach. - Miało się wrażenie, że jest w was jakiś magnes, który was do siebie przyciąga.

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Teraz względem Lovata czuła jedynie potężną siłę odpychania.

- I nadal go kochasz, choć nie zdajesz sobie z tego sprawy. Po prostu w twoim i jego życiu ostatnio zbyt wiele się wydarzyło.

Nie zdążyła zaprzeczyć, bo do hallu wpadł Benedict z piłką futbolową. Próbując ją odbić, potknął się o dywan, wyrócił się, podniósł, krzyknął: „Lunch już gotowy!”, po czym uświadomiwszy sobie, że boleśnie uderzył się w łokieć, zaczął płakać. W zamieszaniu towarzyszącym uspokajaniu dziecka kobiety straciły wątek.

Wszyscy, to jest troje dorosłych, trójka dzieci i dwoje starszych państwa, zasiedli do lunchu z apetytem, pobudzonym jeszcze przez ostatnie wydarzenia, tak że bez trudu uporali się zjedzeniem przygotowanym dla podwójnej liczby gości. Bianka chciała wyekspediować Kuźmińskiego i jego przyjaciela zaraz po obiedzie, ale czas płynął tak szybko, a Charlotte ich towarzystwo sprawiało tak niekłamaną przyjemność, że zrezygnowała. Goście taktownie skryli się za swoją słabą angielszczyzną.

Po posiłku towarzystwo się rozproszyło. Bianka zawsze z przyjemnością obserwowała, jak gości pociąga tajemniczy urok jej ogrodu, jak chodzą z jednego zakamarka w drugi, wybierając w końcu miejsce, które najbardziej pasowało do ich nastroju. Kola i jego młody towarzysz podążyli do sadu, chłopcy z Hermione ulotnili się w kierunku basenu, a Bianka dołączyła do babki, która wygrzewała się na słońcu nad sadzawką, gdzie wielkie ważki fruwały pod olbrzymimi

Celia Brayfield

liśćmi tanguskiego rabarbaru sprawiały, że świat nabierał jakichś fantastycznych rozmiarów.

Wietrzyk przycichł i upał, potęgowany jeszcze przez gęsty żywopłot z cisów, stał się nie do zniesienia, tak że po chwili kobiety schroniły się w cieniu.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo bym chciała móc się zdrzemnąć. - Charlotte, która nie znosiła bezczynności, wyjęła z koszyka kłębek różnokolorowych wełnianych nici i zaczęła je rozdzielać. - Powinnam móc zasnąć po południu, jak każdy w moim wieku, a tymczasem proszę - siedzę tu przytomna i w ogóle nie chce mi się spać. To nie w porządku.

- Kiedy Hugh i Olivia się pobrali... - Bianka nie zrezygnowała z naciągnięcia babki na wspomnienia. - Czy byli tacy sami jak Lovat i ja?

- O, nie. Hugh jest dokładnie taki sam jak jego ojciec. Nie tyle zimny, bo wszystko przeżywa naprawdę głęboko, ale pełen rezerwy. Tak, to właściwe słowo. I straszliwie dumny, straszliwie. Ta duma go kiedyś zgubi. A Olivia oczywiście była w młodości bardzo piękna. Och, złudzenie, że piękność jest bóstwem! Mężczyźni nieustannie mu ulegają, a już twój ojciec na pewno.

- Nigdy jej nie lubiłaś, prawda?

- Kwestia lubienia albo nielubienia nie miała nic do rzeczy. To Hugh wybrał ją sobie na żonę. - Zacisnęła wargi, jakby chciała powstrzymać się od jakiegoś nielojalnego stwierdzenia. Zaczęła wyciągać nitkę i sięgnęła do torby po okulary. Charlotte zawsze nosiła przy sobie wielką, czarną torbę, w której otchłaniach ginęły różne potrzebne jej rzeczy. - Nie wzdychaj tak. Wiesz, że ja jestem jak Szwajcaria, zawsze neutralna.

- A ja pewnie będę jak Włochy pod panowaniem Borgiów

- trzydzieści lat wojny, terroru, morderstw i rozlewu krwi.

- Bianka zmarszczyła się, po raz kolejny czując ruchy dziecka. - I takie Włochy przyniosły światu Michała Anioła, Leonarda da Vinci, dały początek renesansowi. Podczas gdy Szwajcaria po pięciuset latach demokracji i pokoju co przyniosła światu? Zegar z kukułką.

- Co to za dziwaczne porównanie?

- Nie moje. Orsona Wellesa.

W odpowiedzi Bianka usłyszała pogardliwie prychnięcie. Na Charlotte nic, co amerykańskie, nie mogło zrobić wrażenia.

- Nie życzę sobie być typową teściową. Nie można się

Kolia

281

wtrącać do cudzego życia. Raz spróbowałam i popełniłam straszliwy błąd. Zapamiętałam sobie tę lekcję na zawsze.

- Nigdy nie rozmawiasz o niej z Hughem?

- Tylko raz, i to on zaczął rozmowę.

Chwyciła koniec różowej nici i jednym, triumfalnym ruchem nawlekła ją na igłę, dumna, że w tym wieku potrafi tego dokonać.

- To było niedługo po waszym ślubie. Ojciec naprawdę cię kocha, Bianco, na swój sposób. Pamiętaj o tym.

Przypuszczam, że na początku nic nie wiedział o twojej matce i Lovacie, zresztą wszystko wskazuje na to, że nie było to nic poważnego. Ale powiedziała mu i się wściekł - nigdy nie widziałam go tak zdenerwowanego. Twarz miał białą jak kreda. Nazwał ją dziwką, choć nigdy nie używał takich słów. A potem powiedział: „Takiej urody nie znajde u innej kobiety w jej wieku i nie będę robił z siebie pośmiewiska ganiając za jakąś młodą lalką”.

- To wszystko, co o niej powiedział?

- Ty stanowiłaś główny temat naszej rozmowy, moja droga.

Igła trafiła dokładnie w maleńką dziurkę w materiale.

- I wtedy uknuliście swój spisek i pozwoliliście mi dalej żyć w kłamstwie?

Czy nic nie wywoła u babki reakcji?

- Nikt nie uknuł żadnego spisku. Co więcej, wzięłam na siebie obowiązek powiedzenia ci o całej sprawie. Widać, nie najlepiej się do tego nadawałam. - Na materiale pojawił się kolejny ścieg wielkości łebka od szpilki. - Ale chyba byłam zadowolona, że źle się spisałam. Nie wierzę w te nowomodne poglądy Hugh'a - żadnych niewiadomych, kawa na ławę. Rodzina potrzebuje sekretów, one wiążą ludzi. Oczywiście wszyscy wiedzą, że istnieje jakaś tajemnica, ale nie wszyscy wiedzą, jaka. Jednak wszyscy się zgadzają, że rodzina jest ważniejsza niż coś, co się wydarzyło w przeszłości.

Kilka miesięcy sprawiło, że Bianka zaczęła być wdzięczna ojcu ze jego dynastyczne ambicje. Zwracał na nią uwagę, lecz nie tak jak kiedyś, w raniący jej godność sposób, ale okazując pełne szacunku, a nawet dobroci zainteresowanie, dzięki czemu separacja jako taka nie przysporzyła jej żadnych kłopotów. Jej adwokat - specjalista od prawa rodzinnego

Celta Brayfield

- pracował w firmie, która reprezentowała interesy domu Berrisfordów. Bianka nie wiedziała nawet, na ile opiewało jego honorarium, a Hugh tak delikatnie spytał, czy może je zapłacić, że się zgodziła. Olivia wykonawszy kilka niepewnych kroków pojednawczych, odfrunęła do Nowego Meksyku, pod pozorem rocznego kontraktu w jednym z nowych college'ow artystycznych.

Początkowo życie Bianki biegło tym samym torem co wcześniej, ale ojciec, niemalże jako w dowód szacunku, zaczął z nią rozmawiać o interesach. Ponieważ zajęła mu tyle czasu swoimi kłopotami, wydawało jej się to uczciwą wymianą. Bianka czuła, że Hugh jest osamotniony, może nawet zawsze był. W odpowiedzi na rozwód córki Olivia pojawiła się na krótko w Anglii promieniejąca, odmłodzona - niewątpliwy skutek kolejnej operacji plastycznej. Potem znowu zniknęła i po kilku miesiącach spokojnie wystąpiła o rozwód.

Hugh właściwie nie miał obok siebie nikogo naprawdę bliskiego. Teraz, kiedy po raz pierwszy spotkali się jako dorośli, niezależni ludzie, Bianka ze wzruszeniem odkryła, że ojciec to niespokojny mężczyzna, któremu trudno przychodzi podejmowanie decyzji. Kilkakrotnie na jego prośbę przyjechała do Londynu, żeby ocenić jakiś budzący wątpliwości obraz albo towarzyszyć mu na przyjęciu.

Lovat właściwie się nie spierał, tak więc bardzo szybko dopełnili formalności separacyjnych, po których dwa lata później miał nastąpić rozwód. Kiedy Lovat się dowiedział, że Bianka chce sprzedać cały ich majątek, zaproponował, że kupi ich londyńskie mieszkanie, żeby nie pozbawiać chłopców rodzinnego domu, ale ona wykręciła się, że najpierw chce się pozbyć posiadłości w Buckinghamshire. Środowisko londyńskich handlarzy dziełami sztuki było tak skonsolidowane, że nawet konkurenci Berrisfordów nie zaproponowali Lovatowi pracy, w obawie żeby spór w łonie rodziny nie przeniósł się do ich własnych sal aukcyjnych. Grupa japońskich finansistów zaproponowała mu stanowisko konsultanta, które przyjął na rok.

Ciąża stawała się dla Bianki coraz uciążliwsza, tym bardziej że nie chciana. Każda część ciała dawała jej się we znaki i każda na inny sposób - ramiona jej drętwiały, w nadgarstkach rwało, nękała ją zgaga, odczuwała ostre bóle żołądka, a nogi piekły ją i szczypały, jeśli stała kilka minut. Któregoś wieczoru Bianka popatrzyła na nie w lustrze i ogarnęło ją

Kolia

283

przerażenie na widok grubych, nabrzmiąłych żył. Popsuła jej się także cera - zawsze gładka, a w czasie poprzednich ciąż wyjątkowo piękna, tym razem pokryła się krostami. Dziecko też nie dawało jej spokoju, kręciło się, było nieprawidłowo ułożone i najwyraźniej kpiło sobie z zapewnień lekarza, że wkrótce przekreśli się główką w dół.

Przyszłość już zaplanowała i niecierpliwie oczekiwała chwili wprowadzenia swych zamiarów w życie.

Przeprowadzi się do Somerset, tam dzięki jej pieniądzom ona i Hermione przekształcą nieopłacalną owczą fermę w kompleks szklarni, gdzie będzie się uprawiać rzadkie, stare odmiany roślin, które obie kochały. Już teraz w oranżerii w Kinbourne Manor kiełkowały bratki i rosły okazy dziwnych ziół. Seumas, który zdaniem Hermione sam wegetował niczym jakaś roślina, otoczył się murem pochodzących z okresu wojny podręczników o uprawie roślin i starożytnymi zielnikami, przebąkiwał coś o kordiałach i nalewkach, środkach ochronnych przeciwko chorobom rzepy, schorzeniach, które można wyleczyć przy pomocy mieszanki złocienia i płucnego ziela.

Dziecko przyszło na świat w równie drażniący sposób, w jaki sprawowało się przez cały okres ciąży. Bianka lubiła szybką jazdę samochodem, nawet ciężkim do prowadzenia Range-Roverem. Pędząc po wiejskich drogach między Somerset a domem zapominała o całym świecie. Pierwszą niespodzianką był wóz policyjny, który ją wyprzedził, drugą nagły ból w podbrzuszu, kiedy otwierała drzwiczki samochodu.

Posterunkowy - najwyżej dwudziestotrzyletni młodzian o silnym akcencie z Hampshire - udzielał jej właśnie nauki moralnej, kiedy poczuła kolejny skurcz i jeszcze jeden, i następny. Sama konieczność zwrócenia się do policjanta z prośbą o odwiezienie do najbliższego szpitala była dostatecznie upokarzająca, ale okazało się, że jeszcze gorsze było jego niedowierzanie. Bianka zwymyślała policjanta, wgramoliła się do samochodu i popędziła do szpitala. Dziecko urodziło się na wózku na parkingu wiejskiego szpitalika. Pielęgniarka ciągle domagała się, żeby ktoś sprowadził męża Bianki. Większość pacjentów liczyła sobie ponad siedemdziesiątkę

1 wszyscy byli poruszeni rykiem syreny policyjnej.

- Nie wygląda na wcześniaka, prawda? Dzięki Bogu, inaczej by mnie tam przetrzymali. Miesiąc przed terminem...

Zawsze rodziłam o czasie - broniła się Bianka, podając

Celia Brayfield

Hermione małego potworka i wyciągając z bieliźniarki prześcieradła do dzieciennego łóżeczka.

- Każda dusza wybiera sobie swój własny moment przyjścia na świat.

Hermione niezręcznie kołysała noworodka. Zawsze się bała trzymać niemowlęta.

Bianka jedną ręką rozesłała prześcieradła na małym antyalergicznym materacyku, a drugą dorzuciła na miejsce francuską poduszeczkę-walek ozdobioną maleńkimi żaglóweczkami.

- Dobrze, to wystarczy. Możesz go już położyć.

- Ją.

- Rany, to dziewczynka. Ciągłe zapominam.

Hermione delikatnie położyła dziecko na brzuszku, gwałtownie odpychało się drobnymi rączkami, usiłując unieść główkę. Zaczęło płakać.

- Może nie lubi leżeć na brzuchu.

- Dzieci trzeba kłaść na brzuchu, inaczej mogłyby się zakrztusić i udławić.

Niemowlę zanosilo się płaczem, krztusząc się i dławiąc. Bianka ze zdziwionym wyrazem twarzy zatrzasnęła bieliźniarkę.

- I tak zaraz się zadławi.

- Niemożliwie.

Jak na noworodka, a już szczególnie wcześniaka, krzyk był wyjątkowo donośny. Dziecko wyglądało tak, jakby za chwilę miało się udusić, buzia i karczek spurpurowiały.

- Niech będzie, położymy go na boku. Ją na boku. Mam nadzieję, że nie będzie taka straszna jak Orlando.

- Jestem pewna, że dziewczynki są inne. - Hermione uniosła kocyk i pozwoliła siostrze wziąć roztrzęsiony tobołek.

- Jakoś nie widzę, żeby ta była inna.

Uspokojone i położone z powrotem do łóżeczka dziecko natychmiast zapadło w sen.

Dziewczynka, jak się okazało, pod wieloma względami przypominała Toma - chowała się zdrowo, pogodnie, ale mimo to Bianka musiała przyznać, że była inna. Ponieważ Bianka nie spodziewała się córki, minęło kilka tygodni, zanim wybrała dla niej imię. W końcu zdecydowała się na Elizabeth, ponieważ sama zawsze marzyła o takim imieniu - zwykłym, popularnym i tradycyjnym. Po namyśle dodała do tego Marjorie, imię swojej byłej teściowej, co zdaniem wszystkich

Kolia

285

stanowiło miły gest w kierunku podtrzymania - mimo rozvodu - więzów rodzinnych, a naprawdę było wyborem dokonanym z czystej złośliwości, ponieważ wiedziała, że Lovat uważał je za rozpaczliwie pretensjonalne. Maleńka Lizzie przejawiała wszelkie przymioty, których brakowało Biance. Najwyraźniej wywierała magnetyczny wpływ na każdego mężczyznę, który znalazł się na jej orbicie. Hugh twierdził, że to jedyne naprawdę ładne dziecko, jakie kiedykolwiek widział. Orlando koniecznie chciał pchać jej wózek. Benedict, najspokojniejszy z trójki chłopców, ciągle zgłaszał się do jej pilnowania „w razie gdyby coś ją przebudziło ze snu”, zaś Tom, który prawie nigdy nie rządził braćmi, był przekonany, że nikt lepiej nie obroni siostrzyczki przed ich nadmiernym entuzjazmem. Jednak najbardziej urokowi Lizzie uległ Lovat. Zajmował się nią z miłością, której Bianka tak bardzo pragnęła dla pozostałych dzieci i nigdy się nie doczekała. Uważała to za straszną niesprawiedliwość, ale nic nie mogła na to poradzić i powstrzymując cisnące się na usta gorzkie słowa, przyglądała się, jak chłopcy instruowali ojca, jak najlepiej kołysać, karmić i przewijać siostrzyczkę. Chciała zachować dziecko wyłącznie dla siebie. Wiele wysiłku kosztowało ją zmuszenie się do rozsądku i przyjmowanie Lovata z pogodą. Zresztą coraz więcej czasu spędzał w Ameryce i miała nadzieję, że przeprowadzi się tam na stałe.

Po kilku miesiącach intencje Lovata stały się jasne. Przy Piątej Alei otwarto nowy dom aukcyjny Whitburn-Tuttlingen. Czekać na wizytę u dentysty Bianka w jakimś barwnym magazynie zobaczyła fotografie z uroczystości otwarcia i poczuła ukłucie wrogości. Jak na tak drobną kobietę, Cheri Tuttlingen miała strasznie dużo zębów. I ta szopa włosów, odcinająca się wyraźnie od ciemnego garnituru Lovata. W notatce określano ich mianem „wieloletnich współników”, cokolwiek by to miało oznaczać. Zaczęli od wystawy kolekcji otomańskich zbroi i broni - co stanowiło prawdziwą pasję Lovata - wyjątkowo pięknych okazów, a wszystko to bardzo fotogenicznie zaprezentowane na wynajętych chłopcach, choć to z pewnością nie wystarczało, żeby Nowy Jork potraktował firmę poważnie. Nigdy jeszcze Bianka nie była tak zadowolona, słysząc, że lekarz już może ją przyjąć.

Wkrótce znalazły się o wiele poważniejsze powody do złości na Lovata.

Celta Brayfield

- Wybierasz się może w przyszłym tygodniu do Londynu? - Ojciec starał się mówić lekko, ale na jego czole dostrzegła głęboką zmarszczkę. - Chciałbym, żebyś, o ile będziesz miała chwilę czasu, na coś zerknęła.

- Nie możesz mi po prostu o tym powiedzieć?

Hugh najwyraźniej uważał, że sprawy związanej z jakimś przedmiotem nie da się załatwić, jeśli się go nie zobaczy na własne oczy. Nigdy też nie poprosiłby wprost Bianki o towarzystwo.

- To nie jest zwykła rzecz. Co więcej, z tego, co mi powiedziano, wynika, że to wręcz unikat.

- No cóż, wygląda na to, że Lizzie już mnie nie potrzebuje. Dziecko z wręcz nieprzyzwoitym zapałem i bez wahania pogodziło się z butelką.

Tą rzeczą okazała się niewielka, spłowiała kasetka, mogąca sobie liczyć trzysta lat, pokryta satynowymi wstawkami haftowanymi jedwabnymi nićmi. Choć kolory wyblakły, uroda pozostała. Na pokrywce siedział lew i jednorożec. Na pierwszym planie wśród kwiatów widać było kobiece postaci przedstawiające Wiarę, Nadzieję i Miłość, tło zaś stanowił krajobraz ze zwierzętami, owadami i rybami. Bianka natychmiast rozpoznała, z czym ma do czynienia.

Najcenniejszy okaz z kolekcji haftów wykonanych przez niejaką Mary Hodlin między ósmym a dwunastym rokiem życia. Kilka lat temu Dom Berrisfordów w imieniu jednego z potomków hafciarki zorganizował zamkniętą aukcję tych dzieł. Kolekcję kupił jeden z najbogatszych ludzi w Anglii, członek bardzo starego cechu hafciarzy i przekazał ją muzeum cechu. Lovat był wyjątkowo dumny, ponieważ udało mu się wynegocjować podwójne umorzenie podatku.

- Muzeum postanowiło sprzedać kolekcję, przynieśli ją do nas, poprosiliśmy o ekspertyzę tego samego człowieka, który zrobił ją dla nas kilka lat temu. I wyobraź sobie, że przyszedł do mnie i tu, w tym gabinecie, powiedział, że bardzo mu przykro, ale zmienił zdanie. Nowe techniki, nowe testy... Prawdopodobnie jest to wiktoriańska podróbka, co najmniej o dwieście lat młodsza. Zupełnie nie wiem, co zrobić. Jeśli sprawa się rozejdzie... Od samego początku mówiłem Lovatowi, że to nie nasza specjalność.

Bianka przyjrzała się szkatułce, zastanawiając się, jak ktoś mógł próbować podrobić przetarty jedwab i ściegi tak drobne, że praktycznie niewidoczne. Cała kolekcja, tuzin próbek i kilka

Kolia

287

szkatulek ozdobionych paciorkami, była utrzymana w jednym stylu, wszędzie w rogu wyhaftowano inicjały MH. Powtarzały się też niektóre motywy, na przykład biedronka i ślimak. Dziewczynka w nagrodę za swoją pracę otrzymała srebrny medal i pisemną pochwałę szkolnego inspektora. Bianka pokazała hafty Tomowi i Benedictowi, wiedząc, że tylko dziecko potrafi zrozumieć wizję innego dziecka, nawet jeśli tamto żyło trzy wieki wcześniej.

- Wtedy, to była zasługa Lovata, sprawa została bardzo nagłośniona, a teraz czeka nas skandal. Na pewno nas zaskarżą i wygrają.

Hugh gestykulując krążył po gabinecie. Bianka czuła, że starał się nie dopuścić myśli o tym, że i na nim spoczywa część odpowiedzialności za całą sprawę.

- Kto dokonał ekspertyzy? Chyba go pamiętam, to ten sprytny, niezbyt uprzejmy Szkot?

- Powiedziałbym raczej, że cholernie nieuprzejmy. I do tego jeszcze strasznie się namordowaliśmy, zanim go znaleźliśmy. Okazało się, że pracuje w Waszyngtonie. Musieliśmy mu zafundować przelot; zadowolił się jedynie Concorde'em.

- A jakie to były te nowe testy, które przeprowadził?

- Nie wiem, jak się bada ręczne robótki.

Wypluł to słowo z pogardą i Bianka uświadomiła sobie, że dla Hugh'a haft to po prostu kobiece zajęcie, sposób spędzania czasu, bez najmniejszej wartości artystycznej ani historycznej, coś, czym nie warto sobie zawracać głowy. Dlatego tak łatwo spanikował i dał się złapać na prostą sztuczkę, którą w wypadku malarstwa bądź rzeźby natychmiast by przejrzał.

- Czy kasetka dostanie zezwolenie na wywóz?

- Wiktoriańska podróbka przecież nie będzie go w ogóle potrzebowała.

- A czy cała kolekcja bez tej szkatułki dostanie zezwolenie na wywóz?

- Przypuszczam, że tak. Bez niej kolekcja zupełnie traci na wartości. Wyjątkowość zbioru polegała na tym, że stanowił organiczną całość i jako taki przechodził w rodzinie z pokolenia na pokolenie. No i sama szkatułka jest wyjątkowo piękna.

- Cóż, moim zdaniem powinniśmy zasięgnąć opinii drugiego eksperta, i to mieszkającego w kraju. Przecież w Anglii musi być chyba choć jeden powszechnie szanowany specjalista w dziedzinie haftu?

- Moje drogie dziecko, nie możemy dopuścić, żeby sprawa się rozniosła...

Celta Brayfield

W jego głosie brzmiało śmiertelne przerażenie. Bianka uspokajająco dotknęła jego ręki.

- Hugh, instynkt mi mówi, że szkatułka jest jak najbardziej oryginalna. Gdyby chciał ją kupić jakiś zagraniczny kolekcjoner, a powiedzmy sobie szczerze: zbiór jest unikalny, a ta kasetka to istne cacko, zrobiłaby się wokół tego wrzawa i z pewnością nie wydano by zgody na wywóz. Ale gdyby się okazało, że szkatułka to falsyfikat... Żadnych problemów. Moim zdaniem ten spryciarz ma nagranego kupca, sztuka ludowa cieszy się przecież w Stanach ogromną popularnością, prawda?

Hugh przez chwilę przyglądał jej się ze zdziwieniem, próbując się oswoić z myślą, że pracę domową jakiejś dziewczynki można określić mianem sztuki ludowej. Pokręcił głową.

- To zbyt ryzykowne. Wiesz, jak szybko rozchodzą się plotki. Wystarczy szepnąć komuś słówko przy śniadaniu, a w południe będzie o tym wiedziała cała Bond Street.

- No to zablefujmy. Zadzwoń do niego i powiedz, że w zaistniałej sytuacji zastanawiasz się nad zorganizowaniem kolejnej zamkniętej aukcji. Poczekaj, jak zareaguje. Jeśli powie, że może znaleźć kupca, wiesz już wszystko.

- Nie mogę tego zrobić!

Uśmiechnęła się, czując lekki dreszczyk podniecenia, i sięgnęła po telefon.

- W takim razie pozwól, że ja się tym zajmę. Jaki jest numer?

Przełączyła rozmowę na głośnik, tak żeby Hugh ją słyszał. Ojciec stanął w drugim końcu pokoju, jakby się bał, że gdyby podszedł bliżej, to rozmówca by go zobaczył. Po pięciu minutach wiedzieli, że ich podejrzenia okazały się słuszne. Hugh niemal zemdlał ze szczęścia i koniecznie chciał zaprosić Biankę na kolację. Bianka cieszyła się, że jednak miała rację, była podniecona i szczęśliwa, że zasłużyła na pochwałę ojca. Uważała jednak, że jedynie wsparła go w chwili niezwykłego dlań wahania.

Sprzedaż Kinbourn Manor powoli, acz systematycznie zmierzała do szczęśliwego zakończenia, jednak Bianka nie mogła znaleźć w Somerset domu wystarczająco dużego, żeby pomieścić ją i czwórkę dzieci, który znajdowałby się blisko domu Hermione i do tego był taki, jaki sobie wymarzyła. Dodatkowym problemem były szkoły dla chłopców

- albo zbyt daleko położone, albo o zbyt wysokim jak dla Orlanda,

Kolia

289

a zbyt niskim jak dla Benedicta poziomie. Ciągłe jej coś nie pasowało - teren okazywał się to zbyt płaski, to znów zbyt pagórkowaty. Pośrednicy z coraz większym znużeniem przypatrywali się, jak odrzucała jeden prześliczny domek za drugim, nie mogąc na dobrą sprawę określić, co jej w nich nie odpowiada.

Hermione i Seumas, w ramach przygotowań do wejścia w bezwzględne środowisko biznesmenów, udali się na wyspę w północno-wschodniej części Anglii, gdzie uczęszczali na kurs zatytułowany „Duchowe pieniądze”, i przy pomocy pasm przędzy oraz starożytnych celtyckich kamieni ofiarnych zgłębiali świat interesów. Umocniwszy w ten sposób pozytywne nastawienie i pogłębiwszy znajomość praw kosmosu, wrócili i na całej farmie porozwieszali rozmaite hasła. Na lustrze w łazience można było przeczytać: „Jestem potentatem finansowym”, na lodówce: „Powiększanie to prawo kosmosu”, kartka na telefonie głosiła: „Kocham moją pracę i ta miłość przyniesie mi majątek”.

Biankę zirytował fakt, że przed wyjazdem zapomnieli włączyć system nawadniania w szklarni i większość nasion wyschła.

- Przemawia przez ciebie myślenie w kategoriach strat

- z powagą tłumaczył jej Seumas. - Kiedy uświadomisz sobie, że świat jest pełen wszelakiej obfitości, że masz nieograniczoną moc twórczą, wtedy zrozumiesz, że będą następne nasiona.

- Co nie zmienia faktu, że ktoś będzie musiał je podlewać

- stwierdziła oschle Bianka, chwytając Lizzie, która sięgała po strzykawkę z antybiotykiem dla owieq, leżącą pod ławką w szklarni.

- Słuchajcie, mam świetny pomysł - oświadczył Seumas.

- Podział pracy. Ty na przykład mogłabyś się zająć uprawą, a Herm i ja sprawami organizacyjnymi, prowadzeniem ksiąg i tak dalej. Co ty na to?

- Nie znosi marznąć i moczyć sobie nóg - mruknęła jej siostra, kiedy spacerowały po miejscu, gdzie miały być wyznaczone rabaty z ziołami. Od dłuższego czasu ciągle padały deszcze i teren przypominał pole bitwy z pierwszej wojny światowej - błoto, doły i wertepy. Bianka czuła, że jej entuzjazm do ogrodnictwa gaśnie. Może było to kolejne kobiece zajęcie, w którym się wyspecjalizowała, ponieważ wszyscy to pochwalali i ponieważ, mówiąc szczerze, jej matka go nie znosiła. Zdecydowanie, duże, pięknie wyrosnięte *eryth-ronium* nie było już jej największym marzeniem.

Celta Brayfield

Hugh coraz częściej jej potrzebował, tak że prawie codziennie jeździła do Londynu. Zdała sobie sprawę, że jego zainteresowania nie ograniczają się do samej firmy. Podziwiał działalność Krajowego Funduszu Kolekcji Dzieł Sztuki, organizacji, która ofiarowywała muzeom i galeriom środki, dzięki którym mogły kupować ważne dla narodu dzieła, i często służył jej radą. Równolegle powstawała też analogiczna fundacja europejska, badał więc możliwości ujednolicenia obowiązujących w EWG przepisów związanych z wywozem dzieł sztuki. Swój czas dzielił między podróże, rozmowy z politykami i urzędnikami państwowymi a biuro firmy, i obawiał się, że traci nad nią panowanie. Biura Berrisfordów, ich sale wystawowe i skarbcze - niegdyś obce i groźne - stały się dla Bianki trzecim domem, a pracujący tam ludzie jej przyjaciółmi. Od wielu już lat nie brakowało * w jej życiu przyjaciół - osób, z którymi łączyłoby ją pokrewieństwo zainteresowań i charakterów. Ich funkcje spełniali rodzice przyjaciół chłopców i ludzie, z którymi Lovat robił interesy.

Kiedy podpisała umowę sprzedaży Kinbourne Manor, Hugh zaproponował, żeby przeszła do firmy. Odmówiła, ale następnego dnia zadzwonił do niej jeden z dyrektorów. O Martinie Pownallu mawiano, że nikt w Londynie nie potrafi ubijać interesów lepiej niż on. Był to wysoki, ciemnowłosy, pogodny mężczyzna, którego Bianka faworyzowała, ponieważ Lovat za nim nie przepadał i określał mianem „śliskiego”.

- Bardzo bym chciał, żebyś zmieniła zdanie, Bianco - zaczął. - Hugh obiecał, że jeśli się zgodzisz, da mi ciebie.

- Gdzie my jesteśmy? Na Mayfair anno domini 1980 czy na targu niewolnic w Algierze?

Zachichotał jak typowy wychowanek angielskiej szkoły, który na każdy dwuznacznik o seksualnym podtekście reagował śmiechem, żeby pokryć zmieszanie.

- Przyznam, że długo się targowałem. Żarty na bok. Sam poprosiłem. Gdyby nie ty, nigdy byśmy nie zdobyli tych postimpresjonistów.

Bianka wiedziała, że to prawda. Ojciec przez swoje nieśmiałe zachowanie niechęć zraził do siebie młodego prawnika z prowincji, który, jako wykonawca testamentu, czuł się zmuszony prowadzić rozmowy z zarozumiałymi mieszkańcami stolicy, których nie znosił. Wiedząc, że zawalił sprawę, Hugh

Kolia

291

poprosił córkę, żeby poszła z prawnikiem na lunch. Wybrała Caprice, rozmawiała z nim o malarstwie, pokazała mu Tinę Turner przy stoliku w głębi sali i, nieświadomie, kokietowała go jak szalona.

- No to jak? Pozwoli nam pan sprzedać te obrazy czy nie? - spytała w końcu, uważając, że niewiele by była warta, gdyby nie spróbowała.

- Cóż, tak, chyba tak. - Ze zdumieniem usłyszała wyjąkaną odpowiedź. - Gdybyś pracowała dla mnie, chyba nie można by już tego było nazwać nepotyzmem, prawda?

Martin trafnie ujął główny powód jej odmowy.

- Nie, już nie. - Podjęła decyzję. - Dobrze, powiedz mu, że wykręciłeś mi rękę.



St Petersburg, 1912

Charlotte, zabierz tę Klęskę i niech pokojówka przyniesie nam herbaty. - Lidia podniosła syna jak przedmiot, który trzeba wyczyścić, i wetknęła w ramiona guwernantki; jej spokojna twarz pod gładko zaczesanymi włosami nie wyrażała zdumienia, gdy jej podopieczny został przyrównany do katastrofy. Dziecko natychmiast zaprotestowało krzykiem i rzuciło na podłogę drewnianego żołnierzyka. - Zrób coś z nim, na miłość boską, tańczę dziś wieczorem i potrzebuję odrobiny spokoju.

- Masz, malutki. - Tati schyliwszy się zebrała z podłogi drewniane zabawki i włożyła je do kieszonki marynarskiego ubranka chłopczyka. - Jesteś słodki, ale teraz już pora się bawić na górze.

- Chcesz go? - Lidia mówiła poważnie. - Kochana, weź go, jest cały twój, zapakuj go do torebki i zabierz ze sobą. Módl się tylko, żeby nie zrujnował ci życia, tak jak zniszczył moje. Charlotte, pospiesz się, od tego ryku boli nas głowa. A potem możesz do nas przyjść na herbatę.

Dziewczyna nie zdradzając żadnych uczuć dygnęła i wyszła obarczona rozkrzyczanym malcem.

- Jakaż ona spokojna. - Tati podeszła do Marii stojącej przy oknie i kobiety wymieniły znaczące spojrzenia, zastanawiając się, jak służba wytrzymuje w tym nieporządnym domu.

- Charlotte? To prawdziwy skarb, bez niej moje życie zmieniłoby się w obłęd. Wiem, że zrobiłam głupstwo wynajmując guweraatkę do niemowlęcia, ale nikt mnie nie ostrzegł. Postanowiłam jednak ją zatrzymać, kataloguje księciu bibliotekę. - Mops, który wyrósł na czarną futrzaną kulkę, z trudem wysunął się z ukrycia pod sofą i wdrapał się na nią z posapywaniem. - Ona go częściej widuje niż ja. Ale to mnie akurat nie niepokoi, ona jest uodporniona na miłość. Podobno

Kolia

293

wszyscy Anglicy są tacy. Och, może ta nasza Kłęska przyniesie choć jedną dobrą rzecz!

- Lidio, nie mów tak o swoim synu. - Brązowe, bizantyjskie oczy starszej tancerki spojrzały na nią ze współczuciem.

- Masz urocze maleństwo, i właściwie cóż takiego utraciłaś?

- Przede wszystkim jego ojca - Lidia padła na szezlong ruchem pełnym rozpacz. - I przynajmniej z pół tuzina baletów, dzięki którym mogłam już zostać primabaleriną. Moją młodość, urodę, siłę. I co mi zostało, Tati? A wszystko przez tę Kłęskę.

- Urodę i młodość! - Perlisty śmiech odbił się echem od ścian salonu. - Nie chcę słyszeć ani słowa więcej, chodź tu do mnie natychmiast. - Maria ujęła Lidię za obie dłonie i pociągnęła do lustra. - Popatrz na siebie i jeśli nie przyznasz, że jesteś bardziej czarująca niż kiedykolwiek, to cię uszczypnę.

Twarz w lustrze - tym, które podczas pierwszej wyprawy kochanków w Wenecji niemal zatopiło gondolę - wyrażała złowieszczy smutek. Przez ostatnie dwa lata Lidia była śmiertelnie obrażona na życie. Zniknęła uprzednia kokieteria i niemal każdego zniewalał roztaczany przez nią złowrogi czar

- w głębi oczu czaiła się groźba; srogo wygięte wargi i nawet w najbardziej wytwornych gestach ukryta wściekłość. Jednak Kuzmińska nie dostrzegała własnego uroku i bolała nad utratą dawnego, delikatnego niczym kwiat, powabu.

- Nie ma się co dziwić - wzruszyła ramionami, poprawiając kokardę ze wstążki w biało-czarną kratkę zdobiącą przód jej eleganckiej sukni. - Wyglądam jak stara wrona. Nic dziwnego, że mnie zaniedbuje, kto by chciał coś takiego?

- Przecież dziś ma przyjść, prawda? - zapytała Tati uspokajającym tonem.

- Późno, tak powiedział Charlotte. Wiesz, co to znaczy:

- późno albo wcale. Tati, i co ja mam zrobić? Na pewno znalazł inną, jakąś mężatkę albo chociaż nie taką koszmarną klacz rozplodową... - w kącikach oczu Lidii pojawiły się łzy.

- Wszystko przez to dziecko, wszystko! Gdy tylko wydob-rzałam, od razu wyczułam, że coś jest nie w porządku. Zachowywał się jak obcy, nie poznawałam go. Próbowałam być słodka, ale wszystko się zmieniło, nic dziwnego. A byliśmy w niebie, Tati, przysięgam. Nie przypuszczałam, że takie szczęście, jak nasze, w ogóle istnieje... - Nie potrafiła dłużej powstrzymać łez, które spływały jej po policzkach. - A teraz nawet nie umiem sobie tego przypomnieć, jak to jest być tak

Celia Brayfield

absolutnie szczęśliwą. Wiem tyle, że to miałam, a teraz to zniknęło i pozostała pustka.

Maria, która w końcu wyciągnęła oświadczyzny z Wasyla Nikonowa, podała przyjaciółce chusteczkę do nosa. W jej błękitnych oczach pojawiły się łzy współczucia; użalała się także nad sobą, skoro widziała, że w małżeństwie czekają ją bardzo ciężkie chwile.

Spotkały się tego popołudnia, żeby mały Kola odwrócił uwagę Tati i pomógł jej się odprężyć przed premierą *Giselle*. Zamiast tego życzliwa Tamara Płatonowna odsunęła na bok własne niepokoje i pocieszała Lidię. Tłumaczyła jej, że to przecież naturalny proces: miłość dojrzewa, a związek pogłębia się, umacnia i dlatego też, co nieuniknione, zmienia. A przecież dziecko tworzy więź, której żaden mężczyzna, a już na pewno nie ktoś o charakterze Orłowa, nie potrafi zignorować.

- I to dobry człowiek, szlachetny, poważny, intelektualista...

- A ja nie, więc się znudził i uciekł do jakiejś sawantki, żeby z nią rozmawiać o poezji...

Pokojówka wniosła herbatę i wymknęła się pospiesznie, wyczuwając napiętą atmosferę w pokoju. Rozzłoszczona *madame* potrafiła rzucać przedmiotami. Mops, również czując, co się święci, postanowił przezornie ukryć się pod kanapą. Charlotte pojawiła się kilka minut później i bez słowa zajęła miejsce w pełnej szacunku odległości od łkającej pracodawczyni.

- Och, kochanie, nie płacz. - Tati, też niemal we łzach, objęła mocno Lidię. - Nie możesz tańczyć *pas de deux* z oczami czerwonymi jak u królika.... - Lidia miała tańczyć u boku Lwa drugoplanową rolę w pierwszym akcie.

- Gdybym musiała, zatańczyłabym to z zamkniętymi oczami! Gram tę przeklętą wieśniaczkę od czterech cholernych lat! Tati, czemu nie dostaję czegoś lepszego? Od czasu awansu dali mi tylko dwie nowe role. Powiedz prawdę, znasz się na tym dobrze i nie skłamiesz: czy jestem skończona?

- Oczywiście, że nie! Nigdy nie tańczyłaś tak dobrze jak teraz.

- Wszyscy przyznają, że ciągle się rozwijasz - przytaknęła Maria.

- Sama już nie wiem. Czuję się inaczej, całe moje ciało... - szukała odpowiednich słów. Czowała wobec własnego ciała ten rodzaj nienawiści, który zwykle żywi się wobec niewiernego

przyjaciela. Chociaż niemal natychmiast po urodzeniu dziecka odzyskała dawną sprawność, nie potrafiła jednak przebaczyć instrumentowi - na który kiedyś liczyła, że przyniesie jej powodzenie w życiu - najpierw zdrady, gdy odkrywała zmysłowość, a potem w okresie ciąży i samego porodu, kiedy wbrew jej woli zmieniał się całkowicie, a tymczasem ona, rzeczywista właścicielka, utraciła nad nim wszelką władzę. Nadal drżała na wspomnienie dziwnej giętkości stawów w czasie pierwszych tygodni po powrocie na lekcje.

- Wierz mi, jesteś tak silna jak dawniej, nic nie straciłaś, a tylko pomyśl, ile zyskałaś. - Tati upierała się przy swoim z zapalem, który wpłynął na Lidię znacznie silniej niż pełne współczucia uzalania innych znajomych. - Jesteś wspaniała, cudowna, wszyscy się tobą zachwycają - wybacz, że wspomnę o nieprzyjemnym aspekcie, ale to smutna prawda w naszym życiu, życiu artystów - choć już tak fantastyczna, będziesz jeszcze lepsza dzięki obecnemu cierpieniu. Tylko wtedy, gdy sama doświadczysz gwałtownych uczuć: bólu, wściekłości i żalu aż do szaleństwa, powstaną w twojej duszy głębie, z których będziesz mogła czerpać. Lidio, wierz w Opatrzność. Wszystko w końcu prowadzi ku dobremu.

Lidia ucałowała przyjaciółkę i podziękowała za mądre rady, gryząc się w język, by nie powiedzieć, że są czysto hipotetyczne, skoro przeznaczeniem Tamary Płatonownej najwyraźniej było rozkochiwanie wielu, lecz nieuleganie żadnemu. Maria w ponurym milczeniu rozmyślała nad tragicznym życiem artystów. Guwernantka bez słowa dołała herbaty do szklanek, a Tati ciągnęła dalej.

- Zapewniam cię, że nie zostałam przeoczona i jeżeli ktoś przeciw tobie spiskuje, mam na myśli większą niż zwyczajna złośliwość, to ja o tym nie słyszałam. Masz zaledwie dwadzieścia trzy lata. W twoim wieku nie byłam jeszcze nawet baleriną. Cierpliwości, wszystko we właściwym czasie. Krytycy cię wychwalają pod niebiosa, galeria szaleje, gdy się tylko pokażesz. I masz paru bardzo wybitnych wielbicieli, jak sama o tym wiesz.

- Niby kogo? - Lidia potarła nos chusteczką.

- Siergiej Pawłowicz cię podziwia, sam mi o tym wspominał. Powiedział, że tańczysz jak płomień ognia, czyż to nie piękny komplement? A właściwie... - Przerwała, a jej oliwkową skórę zabarwił ciemny rumieniec. Tati nie umiała robić aluzji. - Poprosił, żebym zapytała, czy nie wzięłabyś pod uwagę przyłączenia się do jego zespołu.

Celia Brayfield

- Szynszyl? Jakiego zespołu? - Lidia poirytowana wyprostowała się na szezlongu rezygnując z pełnej smutku pozy. Czyżby Tati tylko udawała sympatię i zainteresowanie jej synem, aby wkraść się w jej zaufanie, a potem przekazać propozycję Diagilewa?

- Wiesz, że spędziliśmy dwa sezony w Paryżu jako Balety Rosyjskie? I odnieśliśmy oszałamiający sukces. - Widząc sceptycyzm malujący się na twarzy Lidii wymawiała każde słowo ze śmiertelną wręcz powagą. - Och, ludzie plotkują o jego długach, aleja tam byłam, Lidio, widziałam publiczność, wiem... że sezony w Paryżu to absolutna sensacja. Siergiej Pawłowicz otrzymał propozycje z całej Europy: z Niemiec, Anglii, Austrii, Szwecji, Monte Carlo.

- Rodzice napisali mi z Londynu, że ludzie przepadają za Baletami Rosyjskimi - potwierdziła guwernantka cichym głosem. - Walczyli o bilety, sprzedawano je na czarnym rynku.

- Siergiej Pawłowicz uznał, że podczas wakacji z Teatru Maryjskiego nie zdołamy pojechać wszędzie, gdzie nas zaproszono, i znudziło mu się poleganie na łasce dworu, kiedy szuka tancerzy, dekoracji i kostiumów do przedstawień klasycznych. A więc buduje swój własny zespół z choreografem Michaiłem Michajłowiczem. W lecie będę tańczyła na gościnnych występach, wszystko zostało załatwione oficjalnie, z uczciwymi kontraktami. Mówił, że Anna Pawłowa i Krzesińska też się mają przyłączyć. A ty mogłabyś zrobić to samo.

- Michaił Michajłowicz odchodzi? - Maria wzięła mopsa na kolana. - Zatem będzie wystawiał te swoje idiotyczne balety na bosaka?

- Tak, już złożył rezygnację. A z nim paru innych. - Tati wymieniła nazwiska: dwie młode kobiety i Adolf Boml, który wprawdzie często jej partnerował, ale jego kariera dobiegała kresu. Lidia skrzywiła się pogardliwie.

- Adolf wprawdzie w mniejszym zespole dostanie lepsze role, ale chyba oszalał, straci emeryturę i co dalej? Poza tobą wśród ludzi Szynszyla nie ma nikogo, kto by rzucił publiczność na kolana. - Lidia z uśmiechem samozadowolenia przekreśliła szanse powodzenia nowego przedsięwzięcia. - A co z Wacławem?

- Zastanawia się. Odpowie mi dziś wieczorem. Na pewno się przyłączy. Szaleją za nami wszystkimi, ale dla Francuzów Niżyński jest pierwszy po Bogu.

- A Szynszyl wszędzie wychwala go pod niebiosa. - Maria

Kolia

297

westchnęła unosząc oczy ku górze. - Zupełny degenerat, a ty skaczesz w jego cyrku, wcale to do ciebie nie pasuje, Tati.

- Uważam, że to ostra niesprawiedliwość, gdy ktoś obrzydliwie nazywa przypadłość wynikającą ze zwichnięcia natury. - Balerina odstawiła szklanę, jej usta zacisnęły się w surową linię. - Moim zdaniem ludzie mają prawo do spokojnego życia prywatnego. Kiedy myślę o geniuszu

- i Lidio, ten człowiek to geniusz, choć sam nie jest tancerzem, ma tak wielką kulturę, tak wiele pomysłów i fascynującą wizję, czym może być sztuka rosyjska - reszta staje się zupełnie nieistotna. On tyle dla mnie zrobił. Ma tak niezwykłą intuicję, wystarczy że powie: „Podyskutujmy chwilę nad tym”, i zaczynasz widzieć, że sama znasz rozwiązanie wszystkich własnych problemów. - Zauważyła, że jej entuzjazm nie trafiał do opornych słuchaczek. Lidia zdjęła dwa pierścionki i przymierzała je na inne palce.

- Cóż, to tyle. Wywiązałam się z obietnicy, zaproponował ci przyłączenie się do nas. Dostyc kłótni, trzeba się zdrzemnąć przed dzisiejszym przedstawieniem.

- Odpocznę w oranżerii, wśród tych przepięknych kwiatów. - Lidia wstając wyciągnęła rękę na całą długość, podziwiając nową kompozycję pierścionków. - Charlotte, przynieś mi mój nowy szal z kaszmiru i dopilnuj, żeby Klęska nam nie przeszkadzał. Może weź go na spacer, zresztą rób, co chcesz.

Gdy tylko przybyły do teatru, Lidia natychmiast wyczuła panującą tam dziwną atmosferę. Zwyczajny hałas towarzyszący przygotowaniom był jakby przytłumiony. Pracownicy techniczni i garderobiane uwijali się w milczeniu, nie żartując jak zwykle. Nawet Misza Aleksandrów nie plotkował, tylko stał bez słowa za kulisami, ciasno owinąwszy się peleryną myśliwego, i spoglądał na boki pustym wzrokiem.

Lew, partner Lidii, pojawił się w ostatniej chwili, na jego twarzy malowało się przejęcie.

- Gdzie Waclaw? - wyszeptała, gdy zaczęto uwerturę, a Niżyńskiego ani śladu.

- Wybuchła kłótnia o jego kostium. Bądź cicho - odparł ponuro.

Waclaw pojawił się na parę chwil przed wyjściem na scenę, ubrany w krótki, aksamitny kaftan i trykoty; sprawiał wrażenie

298 *Cetta Brayfield*

bardzo wyciszonego. Przemierzał kulisy wpatrzony w podłogę niczym dziecko, które ma nadzieję, że nikt go nie zobaczy, dopóki samo nie będzie na nikogo patrzeć. W jego stroju brakowało skąpych, renesansowych pantalonów z aksamitu i pod cienkimi trykotami z przeraźliwą dokładnością rysowała się dolna część jego tułowia.

- Głupiec, zapomniał włożyć pantaloney, tylko durny Polak jest zdolny do czegoś takiego - wyszeptała Lidia z chichotem.

- Lew, idź mu powiedz.

- Nie, on nie zapomniał. Ten kostium zaprojektowali na Paryż.

- Ależ to obrzydliwe. Widać... hmm, wszystko. Nawet szwy na trykotach.

- Wiem. Twierdzi, że to daje lepszą Unię. Wszyscy się z nim spierali.

- Ma rację, bez spodni linia jest rzeczywiście czystsza, bardziej *esthetique* - wysyczała tonem pełnym wyższości Inna, stojąca obok wśród piątki tancerek występujących w roU przyjaciółek głównej bohaterki.

Rozstała się z Niżyńskim, bo nie podzielał jej uwielbienia dla Isadory Duncan, i nawiązała romans z Lwem. Pobrali się, gdy Lidia podróżowała z Orłowem, ale Kuzmińskaja tak dalece to ignorowała, że nawet nie złożyła im gratulacji. Lecz w ciągu ubiegłego roku zauważyła, że Inna zawsze pilnuje, by nie zamieniła nawet dwóch słów sam na sam z jej mężem.

- Wacław absolutnie nie może tańczyć w takim stroju!

- wymruczała lekceważąc uwagę Inny. - Ludzie się oburzają, a na widowni jest dziś caryca!

- On nikogo nie posłucha.

Inspicjent obrzucił ich ostrym spojrzeniem, zamilkli, wiedząc, że ich głosy słyhać ponad cichnącą orkiestrą.

Niżyński, z natury nieśmiały, zawsze trzymał się na uboczu, a talent i sukcesy w Paryżu przyniosły mu wspaniały awans w Maryjskim. Niewielu dwudziestojednoletków ośmieliłoby się debiutować w bardzo trudnej roU w *Giselle*. Przed każdym przedstawieniem koncentrował się tak bardzo, że sprawiał wrażenie na wpół przytomnego i oto nagle stawał się cud -krępy młodzieniec o wąskich oczach wzlatywał ku światłu i przemieniał się w bóstwo. Tego wieczoru, gdy obgryzając paznokcie czekał na wejście, wyglądał, jakby się jeszcze głębiej schował we własnym świecie.

W czasie pierwszego aktu wybuchały gwałtowne oklaski

Kolia

299

i jeśli nawet publiczność z obrzydzeniem patrzyła na niezwykle skąpo odzianego Księcia, to nie dała tego po sobie poznać. Lidia i Lew z radością dwukrotnie bisowali i Tati, która, by uniknąć sińców, przez dwa tygodnie ćwiczyła na materacu osuwanie się w agonii, upadła bez niepotrzebnego bólu.

Za kulisami w czasie przerwy rozszalała się burza i sam dyrektor wtargnął przez drzwi wiodące do jego łóży, poły fraka furkotały za nim, gdy ruszył w pościg za Wacławem.

Lidia, która nie występowała w drugim akcie, umyła się i przebrała, a uniesienie wywołane przedstawieniem powoli cichło. Miała nadzieję na kwiaty od Orłowa, ale wszystkie bukiety pochodziły od innych wielbicieli. Żeby przysłał choć jedną różę, pomyślała. Czy jest sens pędzić do domu i przygotowywać się na jego przyjscie późnym wieczorem? Rozum podpowiadał, że to głupie. Nie przyjdzie. Garderobiana, która zawsze podziwiała jej stroje, czule pogłaskała pelisę z soboli, zanim narzuciła ją na ramiona Lidii, by nie zmarzła, ale nic nie mogło rozgrzać jej serca.

W drodze do wyjścia minęła jedno z pomieszczeń biurowych, gdzie Aleksandrów, nadal w kostiumie, siedział zatopiony w rozmowie z innym mężczyzną, niewidocznym za biurkiem.

- Misza, jesteś pewny? Naprawdę była urażona? Z mojego miejsca nie widzę carskiej łóży - rozległ się głos dyrektora.

- Absolutnie. Wszystko widziałem, z wrażenia zbladła jak ściana. Moim zdaniem nie wywołała skandalu przez szacunek dla innych artystów, to taka wspaniała osoba, zawsze głęboko się zastanawia nad reperkusjami.

Lidia zatrzymała się nadstawiając uszu.

- Słyszałeś, co mówiła? Gdybym tylko wiedział na pewno... Wacław to cudowne dziecko, wiele mu uchodzi, ale gdyby caryca poczuła się dotknięta, to przebrałby miarę. Jeżeli ten głuptas spowoduje dworski skandal, będę musiał złożyć rezygnację... Głupiec, u boku Diagilewa wpadł w złe towarzystwo. To jeszcze dziecko, nawet sobie nie zdaje sprawy, że nim manipulują.

- A może byś mi pozwolił się wywiedzieć? Znam na tyle dobrze damę dworu carycy, że mogę ją zapytać. Ale ja nie mam cienia wątpliwości. Nigdy wcześniej nie widziałem, by się tak przerażyła, jak wtedy, gdy wszedł na scenę. Jeśli późnym wieczorem pozwolisz mi skorzystać z twojego telefonu, to się dowiem wprost u źródła.

Celia Brayfield

Lidia usłyszała szelest jego ciężkiej peleryny, gdy wstawał, i uciekła, nim ją dostrzegli. Ku swemu zdumieniu zobaczyła, że przy portierni czeka na nią Lew, również przebrany w normalne ubranie.

- Pomyślałem... - Urwał raptownie, ale widać zmienił zdanie, bo znów się odezwał. - ...Czeka na ciebie tłum wielbicieli, więc pomyślałem, że cię odprowadzę do powozu. Inna tańczy w drugim akcie, wyjdzie później. Zdziwiła ją radość, jaką odczuła na jego widok, i chwyciła za serce jego troskliwość. Ekstazyne chwile jej pierwszych triumfów wprawdzie już minęły, lecz na zewnątrz czekała wierna, choć niewielka grupa oddanych adoratorów, jednak zbyt mała, by rzeczywiście potrzebowała eskorty.

- Dobry sposób na zabicie czasu. Co robisz zwykle, gdy musisz na nią czekać? - zapytała lekkim tonem, składając autografy na pliku pocztówek z jej zdjęciem podsunętym przez wytwornego, starszego pana z laską o kryształowej gałce.

- Tu obok jest bar Pod Zabłąkanym Psem.

- Może tam pójdziemy? - rzuciła mu zalotne Spojrzenie, kładąc ostatnią kartkę na dłoń w zamszowej rękawiczce; uśmiechnięta wesoło ujęła go pod rękę. Zawahał się zakłopotany.

- Hmm... na pół godzinki - mruknął prowadząc ją na drugą stronę placu.

Pod Zabłąkanym Psem bardziej przypominał nocny klub niż bar - w obszernym, zadymionym pomieszczeniu aż huczało od rozmów, które niemal zagłuszały trio saksofonowe, grające na małej scenie. Lidia zadowolona z wrażenia, jakie zrobiły jej sobole, odważnie ruszyła przez zatłoczoną salę do stolika w kącie.

- Lew, powiedz, czy widziałeś, jak caryca zareagowała, gdy Wacław wszedł dzisiaj na scenę?

- O co chodzi? Ani drgnęła, ale trudno coś zobaczyć z kulis...

- Misza puszcza plotki, że była oburzona.

Kelner bezceremonialnie postawił przed nimi wódkę i Lew nalał do jej kieliszka. Przy sąsiednim stoliku wysoka, melancholijna kobieta spowita w liliowy jedwab, o grzywce opadającej nieporządnie na rzymski nos, żaliła się swemu towarzyszowi, że szczęście ją ogłusza i nie może go znieść.

- Bzdury. - Lew wypił jednym haustem, nie odrywając od niej oczu. - Robota Siergieja Pawłowicza.

Kolia

301

- Jakim cudem? Przecież on jest w Paryżu.

- Nie udawaj głupiej, to wcale do ciebie nie pasuje. Oboje wiemy, że ten człowiek ma długie ręce.

Kobieta o rzymskim nosie zamaszystym ruchem narzuciła na ramiona czarny szal i Lidia musiała się uchylić, by się w niego nie zaplątać.

- Wiesz, że organizuje swój własny zespół?

- Oczywiście. I padnie bez Niżyńskiego, w Paryżu to jego karta atutowa, a ci tutaj nigdy nie pozwolą mu odejść.

Wprawdzie jest wspaniały, ale równocześnie zbyt młody i nieśmiały, żeby się targować z dyrektorem.

- Wszystko jasne: Waław wywołuje skandal, Misza dostał pieniądze, aby rzecz rozdmuchać, dyrektor zostaje zmuszony do wyrzucenia tancerza...

- ...który swobodny jak ptak leci się przyłączyć do Siergieja Pawłowicza. Cwane, nie?

Lidia dopiła wódkę i zamyślona posunęła kieliszek w stronę Lwa, żeby jej dolał.

- Ostro się pije z arystokratami, prawda?

- Po co ta gorycz?

- To nie gorycz, lecz zdumienie. Sądziłem, że francuski szampan co noc będzie płynął strumieniami.

- No i płynie. Dziś wieczorem miałam ochotę na coś innego. Czy poprosili cię, abyś się przyłączył do sławnego zespołu Diagilewa?

- Tak.

- I... - Zrobiło się zamieszanie, bo do kobiety o rzymskim nosie przysiadło się dwóch mężczyzn. Z teczek powyciągali kartki papieru, puścili je w obieg wokół stołu i zaczęli głośno czytać tekst.

- I odmówiłem.

- Ale przecież u niego mógłbyś zrobić, co tylko zechcesz, zrealizować wszystkie marzenia, nowe pomysły, pracować nad nowym stylem...

- Wiem, kusilo mnie to, ale łatwo podjąłem decyzję. Poprosił też Innę, ona się przyłączy, ale ja potrzebuję stałej pensji. Z Fokinem w zespole działałbym niewiele. Leon Samojłowicz odszedł od niego, miał pełnić funkcje dyrektora artystycznego i teraz Siergiej Pawłowicz musi znaleźć kogoś na jego miejsce. I choć tak świetnie potrafi przekonywać, to nie zdobył naprawdę pierwszorzędnych tancerzy. Krzesińska zerwała kontrakt, bardzo to wymowne. A wszyscy musimy

Cetta Brayfield

z czegoś żyć. Ma na pewno Tati, myślę, że Lulu Kiakszt spędzi z nim jeden sezon, a on się uwija po Moskwie poszukując ludzi i nawet pojechał do Warszawy szukać ludzi do ról drugoplanowych. Fatalne. Oni przecież nie umieją dobrze tańczyć.

Wiersze czytane przy sąsiednim stoliku powoli przebijały się ponad gwar rozmów w ich kącie sali i coraz więcej ludzi milkło, żeby ich posłuchać. Lidia sączyła wódkę bez słowa, jej myśli błądziły chaotycznie. Czy w tej dziurze ktoś może ukraść jej sobole? Czy jeśli jej związek z Orłowem zupełnie się rozpadnie, to będzie szukała rozrywek w tak obskurnych miejscach? Czy rzeczywiście jest w takiej rozpacz, by szukać oparcia w biednym Lwie?

- Poszedłbym do Diagilewa, gdybyś i ty się do niego przeniosła - oświadczył nagle, rzucając jej jedno ze swych dawnych, przenikliwych spojrzeń.

- Nie przejdę. Nienawidzę go, nie ufam za grosz, nie wierzę w te paryskie historie i chcę zostać tu, w Petersburgu... Gdy mówiła, cień smutku wokół jej oczu jeszcze się pogłębił. Słyszał plotki, że jej protektor ją zaniedbuje, ale postanowił się nie dopytywać w obawie przed wybuchem jej gniewu.

- Wyglądasz dziś wyjątkowo pięknie.

- Frazesy.

- Chyba nie. Chciałabyś, aby jeden z tych poetów stał się moim Cyrano i dał mi lepsze słowa?

Słaby uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Ależ oni są brzydki. Popatrz na tego ze spiczastą głową, przypomina jajko z nogami.

- A jego dusza?

- Przecież jej nie widzę. Wiem tyle, że jego widok mi przeszkadza.

Oboje zamilkli, spojrzała ukradkiem na małe zegarek wysadzany brylantami - minęła już niemal godzina.

Pocieszyła ją myśl o Innie szalejącej z zazdrości.

Lew przelał resztkę wódki z karafki do kieliszka i wychylił jednym haustem jakby dla kurażu.

- Dostałem duży balet do wystawienia po Wielkanocy, poważna robota.

- Gratuluję.

- *Salome* zawsze mnie pociągała.

- Podobno mocno wpływała na mężczyzn.

Kolia

303

- Leon Samojłowicz ma robić scenografię.

- Tym lepiej dla ciebie. - Ich oczy się spotkały, jakby się umówili. Poeci zakończyli czytanie do wtóru pojedynczych oklasków i tupania.

- I czyją głowę Kuzmińskaja będzie chciała dostać na tacy?

- Lepiej nie pytaj - uśmiechnęła się i nim zdała sobie sprawę z tego, co robi, przechyliła się ponad stołem i ucałowała go w same usta.

Była w tak ponurym nastroju, że dwa dni później niemal zmieniła zdanie. Orłów ją odwiedził, ale tylko by uprzedzić, że przez parę tygodni będzie podróżował po kraju, a poza tym miał niewiele więcej do powiedzenia. Zachwycał się dzieckiem, objął ją na krótką chwilę, ale szybko uwolnił szyję z uścisku jej rąk i odszedł.

Lidia popadła w przygnębienie. Setki razy powtarzała sobie w myślach ich rozmowę, szukając ukrytego znaczenia słów kochanka, a potem zaczęła wątpić w podjęte decyzje. Czy rozsądnie zrobiła godząc się na występowanie w kolejnym balecie Wolińskiego? Wykazał się wprawdzie talentem, ale wszyscy wiedzieli, że w głębi duszy to taki sam reformator jak Fokin i taki związek na pewno jej zaszkodzi. W jego dwóch ostatnich baletach główną rolę tańczyła Inna, która bez wątpienia przeceniała swoje umiejętności. A skoro Tati i parę innych przyłączyło się do Diagilewa, to więcej dobrych ról przypadnie młodszym tancerkom. Z drugiej strony to dzięki sukcesowi u Diagilewa Tati awansowała i tak wspaniale rozwinęły się jej możliwości w ciągu ostatniego roku; czy w takim razie dobrze zrobiła odrzucając jego zaproszenie?

- *Madame*, czy pani się dobrze czuje? - spytała guwernantka słysząc, jak Lidia głęboko wzdycha. Późnym popołudniem Charlotte jak zwykle przyprowadziła Kole, by bawił się z matką, ale już dawno przestała oczekiwać, że ta się nim zainteresuje. Obserwowała chłopca pilnie, gdy wesoło tupał po pokoju. Stoliki aż się ugiwały od bibelotów: tabakierki, obrazki w ramkach, zwierzątko z agatu z brylantowymi oczkami, które w szczęśliwszych czasach księżę kupował u Fabergego, by czarować swoją *maitresse*. Gdy nikt nie zwracał na niego uwagi, dzieciak zabawiał się wrzucaniem ich do ognia na kominku.

Celta Brayfield

- Tak, Charlotte, tylko życie jest takie trudne. Kiedyś wszystko było łatwe, a dziś zupełnie nie umiem podjąć decyzji. Jak sądzisz, czy powinnam przyjąć rolę w nowym balecie Lwa Wolińskiego?

- Och tak, *madame*. - Dziewczyna zawsze zdecydowanie wyrażała swoją opinię, używając paru słów, w których brzmiała absolutna pewność. - Powiedziała mi pani, że to najlepszy młody choreograf w całym zespole i to powszechna opinia.

- Ale będę musiała ciężko pracować i boję się, że przez to stracę okazję wystąpienia w dużym, klasycznym utworze.

- Ale ta premiera zwróci powszechną uwagę.

- Prawda, ale... - już miała dodać, że gdyby w księciu odżyły dawne uczucia, to musiałaby mu poświęcić cały swój czas, jednak taki obrót wydarzeń nie wydawał się prawdopodobny.

- Jego Wysokość zawsze podziwiał dzieła *monsieur* Wolińskiego - Charlotte odgadła bieg jej myśli. - Zdaje się, że mi wspominał, jak poznaliście się państwo dzięki jego pierwszemu baletowi.

- Tak. - Lidia ponownie westchnęła. Wiedziała, jak niestosowne jest omawianie swego życia uczuciowego z guwernantką, ale skoro co dzień chodziła pracować w bibliotece pałacu Orłowa, to może obły jej się o uszy interesujące plotki.

- Charlotte, powiedz mi, jakie na tobie zrobił wrażenie Jego Wysokość? Co ludzie mówią? - Poczowała, że nie potrafi dalej panować nad swymi uczuciami i zachowywać się chłodno.

- Wiesz, co mam na myśli... Co się dzieje? Czy ja coś źle zrobiłam? Czy on w ogóle o mnie wspomina choć słowem? Jestem zagubiona, nie wiem, co mam robić... - zamilkła obawiając się, że wybuchnie płaczem.

Dziewczyna wyprostowała się, najwyraźniej te pytania jej nie zaskoczyły.

- Bardzo go zajmuje jego praca.

- Ach, to...

- Zlecono mu wprowadzenie w życie zaplanowanej przez cara reorganizacji całych sił zbrojnych, *madame*. To ogromna odpowiedzialność, więc mówi wyłącznie o tym.

- Ależ, na miłość boską, to mu nie może zajmować całego czasu!

- Dawidów, kamerdyner, czeka na jego powrót z ministerstwa czasem aż do północy. *Madame*, zapewniam panią, że gdy uda mu się wyjść o normalnej godzinie, to odwiedza

Kolia

305

wyłącznie panią i nikogo innego. I jeśli chcę go o coś zapytać, to czasem mijają tygodnie, nim zechce ze mną rozmawiać.

Lidia wiedziała, że to prawda, choć zupełnie nie potrafiła zrozumieć tej sytuacji. Charlotte była absolutnie uczciwym stworzeniem, całkowicie pozbawionym umiejętności wymyślania kłamstw, nawet gdyby grzeczność nakazywała takie postępowanie.

- Jednak gdyby mnie kochał, to znalazłby sposób, żeby spędzać ze mną więcej czasu, bardziej się mną interesować - mruknęła na wpół do siebie.

- *Madame*, Jego Wysokość z prawdziwą dumą wspomina wszystkie pani role. Często podkreśla, jak wiele przyjemności daje mu pani taniec i jak nieporównany jest pani talent.

Pochlebstwo również przekraczało możliwości dziewczyny, więc Lidia się zastanowiła nad znaczeniem tych uwag.

- Więc byłby zadowolony, gdybym spróbowała czegoś nowego?

- Moim zdaniem na pewno tak.

Ten pomysł, niczym promień słońca, rozproszył zupełnie jej przygnębienie. Natychmiast podjęła decyzję.

- A więc tak zrobię.

Młoda guwernantka nie mogła tego zgadnąć, a Lidia wolała się nie zastanawiać nad bardziej osobistymi powodami wygasania ich miłości. Obojgiem wstrząsnęło cierpienie i szpetota, jakie towarzyszyły narodzinom ich dziecka, ale postanawiając nigdy więcej nie narażać Lidii na takie doświadczenie, musieli ograniczyć okazywanie namiętności. Hamowanie się wpłynęło fatalnie na uczucia księcia. Chciał się zatracić w uprawianiu miłości, a tymczasem konieczna ostrożność mu to uniemożliwiała. Zbyt zajęty obliczaniem najmniej płodnych dni w cyklu kochanki i baczna obserwacją własnych reakcji, by nie dopuścić do zapłodnienia jej, nie potrafił całkowicie oddać się rozkoszy. Lidia też się zmieniła. Zniknęła gdzieś radość, jaką na początku znajdowała w kochaniu się z księciem; większość jej uczuć umarła, a zastąpił je paniczny lęk, przyprawiający wręcz o mdłości.

Orłów, jako dumny mężczyzna o wybitnym poczuciu odpowiedzialności, nie potrafiłby rozwiązać problemów swego libido przez odepchnięcie metresy i dziecka. Gdyby go zapytała wprost - a Lidia świadomie unikała konfrontacji - zapewniłby ją o gorącej miłości. Wypoczywał spędzając z nią krótkie chwile, ale na dłuższą metę raczej go drażniła. Chociaż zajęcia

Cetia Brayfield

intelektualne nie potrafiły stłumić pożądanego, jakie w nim budziła, jednak silniejsze okazało się wezwanie, by służyć władcy, chronić ojczyznę i zastosować swą mądrość w porządkowaniu maleńkiej części chaosu, na który składała się praca rządu. Wypełniając carski rozkaz, by zreorganizować siły zbrojne całej Rosji, nie tylko znalazł ukojenie obecnej frustracji, ale także ujście dla wcześniej doświadczonej rozpacz. Zatopił się w nowej obsesji, nie zdając sobie nawet sprawy, że pierwsza już minęła.

Orłów pokonał bezmierne obszary imperium, sam nałożywszy na siebie obowiązek sprawdzenia, jak są wypełniane jego rozkazy. Podróż go rozczarowała. Armia razem z rezerwą liczyła ponad sześć milionów ludzi, dodatkowy milion służył w marynarce wojennej tragicznie zdziesiątkowanej w przegranej wojnie z Japonią. Obrońcy Rosji pochodzili ze wszystkich jej krańców i w kakofonii języków słyszał te same narzekania, a dochodził do nich cynizm dowódców polskich ułanów, fatalizm Kałmuków w Mongolii, przywódcze namiętności stwardniałych w bojach Kozaków, którzy ze złością smagali batami wysokie cholewy butów, całkowity spokój mieszkańców Kaukazu pokładających ufność w Allachu i przebiegła dyplomacja admirałów dowodzących tymi resztkami floty bałtyckiej i Pacyfiku, ocalałymi z japońskiego pogromu.

Wszyscy ci ludzie zachowywali ostrożność wiedząc, że wysoki urzędnik z Petersburga nie odwiedza dalekiej prowincji tylko po to, by zobaczyć, jak wprowadzają w życie jego plany. Gdy wreszcie zdobył ich zaufanie, przekazywali mu identyczną opinię. Jego planu nie można było zrealizować. Cały nacisk położono w nim na mobilizację, zupełnie nie zajmując się problemem zaopatrzenia wojska na polu walki. W ten sposób ich bardzo ważne potrzeby zostawały nie zaspokojone. W oddziałach zdarzały się bunty prowokowane przez bolszewików, anarchistów i demokratów. Dowódcy potraktowali je ostro, ale brutalnością chcieli zaleczyć objawy, nie samą chorobę. Armia miała niskie morale i koniecznie potrzebowała właściwego przeszkolenia. W tym momencie jego rozmówcy zwykle milkli i patrząc z namysłem na czubki butów lub gładząc wąsa, po chwili z największą delikatnością poruszali temat braku wyszkolonych oficerów, zwłaszcza wyższych stopni, tych potrzebowali najbardziej, zwłaszcza odkąd - tu rozmówcy nabierali pewności siebie - tak wielu doświadczonych dowódców bohatersko poległo w wojnie z Japonią.

Orłów wrócił do St Petersburga przerażony, ale pełen nowych pomysłów. Plan wymagał natychmiastowych modyfikacji, ale ponieważ został nieopatrnie zatwierdzony przez parlament, gdy tylko Jego Carska Wysokość wyraził swoją wolę, więc książę poważnie się zastanawiał, w jaki sposób doprowadzić do przyjęcia jego idei. Niestety, zabrakło mu umiejętności dyplomatycznych i jego przełożeni zaalarmowani odrzucili propozycje zmian. Człowiek cieszący się jego pozycją nie mógł być oczywiście skierowany do zadań, które się zwykle zlecać osobom utrudniającym pracę rządu, na przykład do kierowania obozami pracy na Syberii czy garnizonem we Władywostoku. Miesiąc po powrocie został awansowany do funkcji oficera administrującego regimentami stacjonującymi przy carskim dworze i Jego Wysokość osobiście odznaczył go diamentową gwiazdą Orderu Św. Gabriela.

Mimo to gdy w wieczór premiery *Salome* poprzez kwietniową pluchę jechał do Teatru Maryjskiego, trafił go niepokój. Uczestniczenie w takich wydarzeniach kulturalnych uważał za jeszcze jeden obowiązek, płynący z jego pozycji towarzyskiej. Lidia zaprosiła do łoży gości: generała księcia Biezobrazowa, erudyte, starego teatromana, z którym bardzo lubił rozmawiać w pierwszym okresie zainteresowania baletem, razem z małżonką. Wyczuli nastrój księcia, który myślami przebywał bardzo daleko, i wymieniwszy kilka grzecznościowych uwag, zamilkli w oczekiwaniu wspaniałego spektaklu.

Orłów próbował ułożyć sobie w myślach fakty w zadowalającym porządku. Jako arystokrata nie rozumiał, czym są osiągnięcia, a więc i nie docierała do niego świadomość porażki, jednak zraniono jego dumę. Coraz częściej popadał w rozpacz nad tym, co widział za zewnętrznymi objawami. Jaka przyszłość czeka tę nieszczęsną federację narodów, rządzoną przez tak wiele nędznych miernot? Jak sam zobaczył, dzieło oświecenia gaśnie w takiej powodzi niczym zdmuchnięta zapalka. Morze krwi wsiąknęło w rosyjską ziemię. Przez całe życie obserwowała straszliwe wydarzenia: wojny, powstania, masowe egzekucje i najstraszniejsze tragedie, gdy gromady zebrane na pokojowym wiecu popadały w szal samozniszczenia i praktycznie same się mordowały.

Przypomniał sobie, jak będąc młodym oficerem przewodził w małym miasteczku rozdawaniu na rynku pamiątkowych kubków z okazji koronacji cara. Tłum przerwał kordon żołnierzy otaczający plac budowy, ludzie powpadali jedni na

Celia Brayfield

drugich do wykopanych fundamentów, zginęło trzysta osób, połowę stanowiły nieporadne dzieci. Gdy jego przełożony, minister spraw wewnętrznych, otrzymał raport z kolejnej demonstracji robotników w syberyjskich kopalniach złota, która przerodziła się w masakrę, powiedział tylko: „Zawsze tak było i będzie”. Orłów, chociaż potrafił zimną logiką chłodzić żar uczuć, zaczął się zastanawiać, dlaczego Rosjanie nigdy się nie potrafią przyzwyczaić do takich scen rzezi, a ich serca zawsze odpowiadają wulkanicznym wręcz wybuchem żalu i wściekłości.

Siedział w fotelu, nie zwracając uwagi na wspaniałe otoczenie. Kurtyna unosząc się odsłoniła dekorację Baksta do *Karnawału*, śliczną, wytworną interpretację scenerii komedii delFarte. Rolę Kolombiny kreowała omdlewająca Olga Spie-siwcewa i Orłów, pamiętając kokieteryjną interpretację Lidii, uznał ten taniec za nudny.

- Biedactwo, obsadzone w niewłaściwej roli - obok zabrzmiał ochrypy głos Biezobrazowa. - Brak jej techniki.

Michaił Michajłowicz wymaga od tancerzy znacznie więcej, niż się powszechnie uważa.

Widownia podzielała jego zdanie, wszyscy oczekiwali na wydarzenie wieczoru. Krążyły pogłoski, że *Salome* to sensacja. Publiczność wręcz drżała z niecierpliwości.

Książę został w loży na czas przerwy. Przyniesiono szampana i gdy przyglądał się widowni, zauważył, że widzowie bacznie go obserwują. Dolatywało go szeptane jego nazwisko, co chwila w szklach lorgnonów skierowanych na niego odbijało się światło licznych kryształowych żyrandoli. Biezobrazow, który zwracał powszechną uwagę wysoką, imponującą sylwetką i grzywą śnieżnobiałych włosów, wychylił się głęboko prowadząc długą rozmowę ze Swietłowem, krytykiem, którego niegdyś obdarzała względami Pawłowa. Orłów widząc konspiracyjne uśmiechy domyślił się, że mówią o Lidii. Na jego ramiona pochylone pod ciężarem rozczarowania spłynął płaszcz chwały, na który składała się jego dawna osobowość -książę Orłów, esteta, wielbiciel baletu, właściciel wielu bezcennych dzieł sztuki, protektor wielkiej baleriny.

- Och, nareszcie - Biezobrazow wiercił się w fotelu, gdy światła zaczęły przygasać. - No, mój przyjacielu, mam nadzieję, że wreszcie zobaczymy naprawdę coś wspaniałego.

Orłów uchwycił w jego głosie nutkę przygany.

- Generale, proszę mi wybaczyć, ale jestem dziś nieco roztargniony.

Kolia

309

- Proszę mi wierzyć, wiem, co to znaczy dźwigać brzemień odpowiedzialności. - Starszy koneser sztuki pocieszająco dotknął jego ramienia. - Ale przecież może pan na chwilę o tym zapomnieć, co? Na godzinę się oddać we władanie Terpsychory.

Gdy tylko kurtyna się uniosła, *Salome* od razu wzbudziła zachwyty publiczności. Dekoracje Baksta składały się z przepastnych draperii w kolorze indygo upiętych w ogromne, zachodzące na siebie zasłony, natychmiast przywodząc na myśl welony Salome. Na tronie w centrum sceny zasiadał Herod, zatrwożony złowróżbnymi przepowiedniami na temat jego panowania. Kiedy wchodzili tancerze, oświetlały ich promienie rozcinające wprawdzie ciemności, ale pograżające wszystko wokół w jeszcze większym mroku. Gdy pojawiła się Lidia, jej skóra połyskiwała perłowo przez cieniutkie, karmazynowe szaty.

Cały zespół uważał, że młody Woliński zrobił wspaniały użytek z cierpień, jakie zadała mu ta trzpiotka bez serca, Kuzmińskaja. Znalazł odwagę, by w pełni przyjąć nowoczesny styl i osiągnąć prawdziwe wyżyny ekspresji. W zmysłowym tańcu brzmiał krzyk rozpaczony, a równocześnie uwodzicielska pieśń; skorzystał z małości charakteru samej Lidii, by stworzyć *Salome* - potwora skupionego wyłącznie na sobie. Muzyka wspaniale ilustrowała mroczne namiętności, składały się na nią fragmenty utworów kameralnych i operowe *intermezzo* Rimskiego-Korsakowa. Pierwszy akt kończyło długie *pas de deux*, w którym kusicielka znęca się nad nieszczęsną ofiarą; w tle rozbrzmiewały doskonale dobrane przez Lwa dwie części sonaty wiolonczelowej - łkające *adagio* i gniewne *rondo allegro*. Przerazająco dobrze spełniły swoje zadanie. Od razu rozpoczęły się bisy i gdy *Salome* stanęła sama w powodzi światła przysięgając zemstę, jaka spadnie na głowę młodego, niezłomnego proroka, publiczność jednogłośnie wyrażała swe uwielbienie.

- Ależ to cudo, ta twoja dziewczynka! - przekrzyczał aplauz Biezobrazow.

Gdy wyszła podziękować, na scenę posypały się wiosenne kwiaty, z których admiratorzy Lidii rano ograbili cały targ, i kiedy rozpoczęła pierwszą sekwencję ukłonów, instynktownie popatrzyła z triumfalnym uśmiechem na twarzy na Orłowa. Jego serce przepełniła duma.

Tymczasem Biezobrazow automatycznie kłaniał się na wszystkie strony, jakby spłynęła na niego część chwały baleriny

Celia Brayfield

tylko dzięki znajomości z jej kochankiem. Wokół rozbrzmiewały okrzyki: „Nieporównana!, Boska!” i Orłów aż drżał z radości, że ten cudowny obiekt zachwytów należy do niego. Każdy ze zmysłowych obrazów tanecznych powstał dzięki rozkoszy, którą jej dał. Doskonałość jej ciała, wdzięk zapierający dech w piersiach, precyzja płynnych ruchów, stalowa siła i giętkość, żywiołowość, miękkość, urok, delikatność, wszystkie te dary za parę godzin złoży w jego dłonie.

Rozpływały się ponure rozważania, jakim się oddawał przez ostatnie dwie godziny. Oskarżał się o zaniedbywanie najcenniejszego skarbu i jego wyobraźnią nagle zawładnęło poczucie winy i lęk, wręcz panika. Potrafi tak czarować bez niego - co będzie, jeśli nie będzie jej potrzebny, jeżeli inny, bardziej wymowny admirator w tajemnicy zdobył jej serce? Te wszystkie myśli prowadziły do jednego - specjalny prezent. To najlepszy sposób, by umocnić jej miłość. Jakimż się okazał niewdzięcznym głupcem, tak się zamykając we własnym świecie, że zaniedbał zwykły, szarmancki obowiązek wybrania stosownego drobiazgu dla upamiętnienia triumfu swej ukochanej. Za godzinę wielbiciele obsypią ją kwiatami i prezentami, gdy tymczasem ona będzie na próżno czekać na dar od niego, który winien przewyższyć inne upominki. Sprawi jej ból, rozzłości ją, a sam się okryje wstydem.

Wielka księżna, wdowa po Włodzimierzu, skinęła mu na powitanie z sąsiedniej łoży, zwrócił uwagę na diadem z rubinów, pośrodku lśnił rubin Beauharnais, należący kiedyś do Napoleona; to dzieło sztuki jubilerskiej pocieszało ją w pierwszym okresie samotności. Natychmiast przypominał sobie szkatułę czekającą na jego przyszłą żonę. Wysłał woźnicę na poszukiwanie Dawidowa, który, jak zwykle spokojny, zjawił się, gdy w teatrze światła gasły przed ostatnim aktem. W parę sekund Orłów skreślił i zapieczętował konieczne dyspozycje.

Po zakończeniu przedstawienia na widowni rozszalała się burza oklasków, trwająca blisko godzinę. Księcia przytłoczył ten wybuch entuzjazmu, usunął się nieco w głąb łoży, potem zaś uznał, że jako pierwszy musi złożyć osobisty hołd uwielbienia.

Mocno ściskając w dłoniach prezent niemal biegł zimnymi, szarymi korytarzami teatru, znalazł ukryte drzwi prowadzące za kulisy i zadyszany wpadł do jej garderoby, gdzie pokojówka zajmowała się stosami kwiatów powtykanymi we wszelkie możliwe naczynia, reszta leżała wprost na ziemi.

Kolia

311

Wyrównał oddech, przyglądził włosy i wybrał miejsce na toaletce, gdzie złożył swój dar. Przyjrzał się innym upominkom od publiczności, które piętrzyły się na bocznym stoliku. Było ich ponad pięćdziesiąt. Bileciki pochodziły od przedstawicieli wszystkich grup społecznych, poczynając od pracowicie wykaliigrafowanej listy kolejarzy z podpisem „Twoi oddani wielbiciele”, aż po grawerowane na tabliczkach nazwiska jego własnych przyjaciół i znajomych.

Wreszcie na końcu korytarza rozległ się hałas i po paru sekundach Aleksandrów szeroko otworzył drzwi; weszła Lidia, jej blada cera kontrastowała z czarnym kostiumem wyszywanym złotem i perłami. Do piersi przyciskała pęk bzów. U jej boku kroczył troskliwie pochylony dyrektor. Za nimi postępowali choreograf i scenograf, a dalej dwóch portierów scenicznych, spoconych pod białymi perukami, dźwigało stopy bukietów.

W tym momencie Orłowa wypełniła najczystsza radość posiadania. Odwrócił się od stołu z podarkami i wyciągnął ramiona, a bogini pofrunęła w nie wprost od drzwi. Od miesięcy nie potrafił zamienić z nią choćby paru zdań, a tu nagle z jego ust popłynął bez trudu potok zachwyty, zaś ona, ciągle odurzona, odpowiedziała z wyćwiczoną gracją. Aleksandrów, Bakst, Woliński i dyrektor stali z boku. Panowie, tylko chwilę - polecił im poufnym tonem i wyszli natychmiast, Woliński przeszywając go pełnym nienawiści spojrzeniem jasnych oczu. Pokojówka wypchnęła portierów za drzwi i wysunęła się za nimi, kręcąc biodrami pod czarną spódnicą, dzieląc w ten sposób ogólne podniecenie.

Lidia z dłońmi złożonymi na piersiach patrzyła na niego wyczekująco. Wracając do codziennego życia po przedstawieniach przez jakiś czas nadal używała przesadnych gestów scenicznych. Po tańcu wypełniała ją euforia, kołysała się lekko na piętach, twarz pokrywał rumieniec, oddychała głęboko, a jej oczy lśniły. Ucałował ją w czoło, pot miał słony smak.

- Nic, co posiadam, nie dorównuje tobie pięknnością

- zaczął sięgając po płaską kasetkę z brzożowego drewna, którą wcześniej położył przed lustrem. - Ani nie mam na świecie nic cenniejszego od ciebie. To nasz klejnot rodowy, czekał na moją przyszłą żonę... - Otworzył pudełko i z zadowoleniem zobaczył jej zdumienie na widok tak wielu brylantów.

- Ale wiem, że nikt nie zasłuży sobie bardziej na ich noszenie niż ty dziś wieczorem. Proszę, zrób mi ten zaszczyt i przyjmij tę kolie, a z nią całą moją miłość - teraz i na zawsze.

Cetia Bray field

Przez moment nad Lidia zapanowała jej dawna, chciwa natura, balerina postąpiła do przodu, by chwycić zdobycz; wtem zatrzymała się, triumf opromienił ją nowym wdziękiem, w podnieceniu nie potrafiła myśleć jasno, zdecydować, jak teraz postąpić. Niebiańska moc wypełniała ją całą.

- Tak wyjątkowy klejnot... Nie mogę wykrztusić słowa - wyszeptała w końcu, odrywając wzrok od naszyjnika, by szybko spojrzeć na jego twarz. - Ja... kochany, wybacz, ale to za wiele, moje serce jest przepełnione...

- Nic nie mów, kochana. Czy włożysz ją teraz? Nie śmiem marzyć...

- Nie, nie do tego skromnego kostiumu. Popsuje cały efekt... - Tak jak i on, chciała pokazać światu kolię w pełnym blasku. - Pozwól, że wezwę pokojówkę i się przebiorę, wtedy będę mogła założyć naszyjnik. - Przez mgłę odurzenia zaczęło do niej docierać znaczenie tego daru. - Ale najpierw... mój ukochany, mój cudowny, tak hojny, Mikołaju., niech cię ucałuję.

Musiała podskoczyć, by objąć go ramionami za szyję, a w nim na nowo obudziło się oczarowanie, z jakim kiedyś patrzył na jej ciało. Kostium sporządzony przez doświadczone ręce szwaczki tak, by wytrzymał gwałtowne ruchy, został zerwany przez dwie pary równie namiętnych dłoni - na czerwonej, pluszowej kanapie w rogu pokoju Orłów schronił się między jej gorące, drobne piersi, widząc kątem oka w lustrze, jak unoszą się białe uda i gniotą jego wieczorowe ubranie. Powrócili do siebie, jakby chcieli się stopić w jedno, a niepokoje minionych lat zbladły stając się tylko wątlm wspomnieniem.

Minęło sporo czasu, nim powrócili do rzeczywistości; Lidia uparła się, by przywieziono jej z domu suknię z innym dekoltem, aby jak najlepiej pokazać naszyjnik. Drzwi otwarto dopiero po godzinie, ale tłum admiratorów czekał cierpliwie i wsunęli się pokorni, by wręczyć upominki. Lidia wracała z przyjęcia na jej cześć obarczona srebrną wazą od kolejarzy oraz czarnym wachlarzem z piór, podarunkiem od ucznia, który błagał, by, jeśli ma choć odrobinę współczucia dla jego nieszczęśliwej miłości, wzięła go na scenę tańcząc następnym razem w *Paquicie*. Dyrektor dał jej brylantową broszkę w kształcie strzały, a Lew otrzymał złotą lirę, również wysadzaną brylantami. Biezobrazow wręczył jej nowoczesną broszkę o opływowym kształcie, zdobioną błękitnymi topazami,

Kolia

313

ametystami i perłami. Od carycy-wdowy, Marii Fiodorowny, która zasiadła w monarszej łoży, dostała przybranie na głowę z piór spiętych brylantami oraz własnoręcznie skreślone życzenia. Piszcziała z radości na widok tych podarunków, gdy rozpakowywała je przed małą widownią, wtłoczoną między bukiety kwiatów, ale za każdym razem patrzyła z uwielbieniem w oczy Orłowa, który się cieszył, że dał jej część swego dziedzictwa.

Przez niskie, ciężkie chmury z trudem przebijały się pierwsze promienie słońca, gdy w sypialni zwróciła się do księcia mając na sobie tylko naszyjnik i z dziwnym, wręcz ekstatycznym błyskiem źrenic zapewniła go, że radość, jaką sprawił jej ten dar, stokrotnie przewyższa przyjemność z prezentów od pozostałych wielbicieli.

Rozpoczął się dla nich nowy okres szczęścia, wprawdzie głębszego i dającego pełniejszą satysfakcję niż pierwsze miesiące ich odurzenia, ale również skazanego na rychły kres. Przez rok Lidia uważała, że nic jej nie brakuje i nawet w wieczności nie zazna takiej ekstazy. Zrozumiała wreszcie, że jej życie publiczne stanowi najsilniejszy magnes przyciągający do niej kochanka. Zniknęły niepokoje pożerające jej energię w okresie, gdy Orłów jej unikał, i z żelazną siłą powróciła do tańca. Triumfy następowały jeden po drugim i zdawało się, że Opatrzność jej sprzyja.

Dyrektor przydzielił jej role w nowych baletach: *Jeziorko łabędzim*, *Coppelii* i wreszcie partię w *Esmeraldzie*, której zrzekła się dla niej starzejąca się Krzesińska.

I wtedy właśnie Viktor Dandre został aresztowany i oskarżony o zdefraudowanie milionów rubli z kasy miejskiej.

Gdy wyszedł za kaucją, natychmiast uciekł z kraju zabierając ze sobą Annę Pawłową, więc musiano rozdzielić jej role. Diagilew też na tym ucierpiał, skoro Pawłowa stawszy się wolną artystką, od razu i z nim zerwała kontrakt.

Karsawina zniknęła na coraz dłużej, innych solistów skusiły wysokie gáže płacone za sezon z Baletami Rosyjskimi, a młodsze tancerki w Teatrze Maryjskim zobaczyły, że nie muszą wcale długo czekać, by zająć miejsca odchodzących na emeryturę balerin. Olga przejęła bardziej romantyczne role, zaś Lidii przypadły wymagające większej brawury.

Uczyła się z cudowną szybkością, tak bardzo zależało jej, by partiom, które jej konkurentki dostawały ze względu na swoją pozycję, przywrócić właściwą ekspresję oraz by pokazać własne możliwości.

314 *Celia Brayfield*

Publiczność ją uwielbiała, najlepsi krytycy chwalili, a dwór cenił wysoko. Jak nigdy przedtem zasypywano ją zewsząd zaproszeniami; tak dużo czasu poświęcała scenie, że większości musiała odmawiać. Na rogach ulic sprzedawano jej fotografie, Orłów w gabinecie ustawił jej posąg naturalnej wielkości odlany w brązie, trzech innych wielbicieli zamówiło portrety, bankier wysłał z Moskwy malarkę i opłacał jej pobyt w najlepszym hotelu, aż skończyła obraz.

Diagilew uparcie o nią zabiegał.

- Nigdy nie daje za wygraną - ostrzegła ją Tati, pakując się przed wyjazdem na wakacje do Europy. - Kiedy on któreś chce, to balerina dostaje telegramy przy każdym posiłku, aż się podda.

Lidia odkryła, że nie jest jeszcze dostatecznie zaprzyjaźniona z osławionym impresario, by miał obsypywać ją telegramami. Zamiast tego używał pośredników, którzy przedkładali jego prośby, gdy Balety Rosyjskie odbywały triumfalne tournée po Europie, a potem, ku wielkiemu podnieceniu Tati, wybrały się w długą podróż morską do Ameryki Południowej.

Tati wróciwszy na zimę do Petersburga nie przestała ani na chwilę wyśpiewywać wobec Lidii hymnów pochwalnych na jego cześć, ale miała dość rozumu, by nie atakować wprost. Natomiast Leon Samojłowicz był bardziej bezpośredni, gdy wreszcie otrzymał pożądaną funkcję dyrektora artystycznego.

- Jest młoda, piękna i wielka, wielka artystka... Dlaczego więc Kuzmińskaja chowa się w nieucywilizowanym kraju, skoro należy do całego świata? - dopytywał się patrząc wesóło znad *pince-nez*, co łagodziło ostrość słów. Gdy spotykali się w salonach St Petersburga lub na ciągle zraszanych trawnikach przed letnimi pałacami imperatora, kusił szepcząc z wyraźnym, przydechowym akcentem. - A może by pani chociaż przyszła któregoś wieczoru do mnie do domu na spotkanie z członkami rady artystycznej? Tak bym chciał, żeby pani usłyszała o planach Siergieja Pawłowicza na przyszły rok, są bardzo interesujące...

Rada stworzona przez Diagilewa miała zebrać fundusze na tournée Baletów Rosyjskich, funkcję przewodniczącego piastował generał Biezobrazow, którego, nie bacząc na pogarszające się zdrowie, zwerbowano również do kampanii na rzecz zdobycia Lidii. Książę przyjął inną taktykę.

- Popłakałaby się pani na widok hołdów, jakie odbiera Anna Pawłowa, gdzie się tylko pokaże: Londyn, Wiedeń,

Kolia

315

Mediolan, nawet Paryż, bo tam zobaczyli wreszcie prawdziwy balet. Sam chciałbym wycić ze wstydu, kiedy słyszę, jak ludzie nie mający pojęcia, co naprawdę potrafi się zrodzić na naszej ziemi, okrzykują to słabiutkie stworzenie największą rosyjską baleriną wszechczasów.

Ten argument przekonał nawet Orłowa zafascynowanego wizją żywej, pełnej namiętności sztuki rosyjskiej, która rozbija wytarte schematy panujące w Zachodniej Europie. Jednak kiedy wyjechali w letnią podróż po Europie i za jego namową poszli obejrzeć Balety Rosyjskie w nowym programie Niżyńskiego *Święto wiosny*, całkowicie zmienił zdanie.

- Jakże mogłem kwestionować twój osąd - powiedział Lidii z głęboką skruchą. - To nie balet, lecz chaos. Przypomina dworzec w Moskwie w chwili wjazdu pociągu. I to nie muzyka, lecz hałas, kakofonia, niczym na stacji kolejowej. Nic dziwnego, że z premiery wyszła połowa widzów! Najwidoczniej Diagilew uznał, że spodoba im się każda awangarda, bez względu na jej wartość artystyczną, ale on nie zna paryżan, to nie są głupcy. Moja kochana, musiałaś mnie uważać za całkowitego aroganta, klócić się z tobą na temat baletu!

- Wybaczam ci - oświadczyła łaskawie. - Powinnaś była pamiętać, jakim niezdarą jest Wacław, zaczął mi deptać po palcach, jak miałam dziesięć lat. Cóż za absurdalny pomysł, żeby on się wziął za choreografię! Obiecujesz, że w przyszłości będziesz słuchał mojego skromnego zdania?

Ale macki Diagilewa opłatywały ją coraz szczelniej. Wszędzie, gdzie się znalazła, zawsze ktoś wychwalał go pod niebiosa i podważał słuszność jej decyzji trzymania się od jego zespołu z daleka. Lew był ostatnią kroplą, która przepełniła dzban. Gdy Lidia zachowywała się jak artystka nie dręczona przez żadne wątpliwości, siła jego postanowień zaczęła słabnąć. Kiedy Fokin przyłączył się do Baletów, chętnie zajął miejsce w próżni powstałej po jego odejściu, ale gdy już znalazł się na szczycie, zaczęli go ciągnąć w dół. Kurczowo trzymał się Lidii traktując ją niemal jak talizman, tworzył wyłącznie dla niej i gdy wątpił we własny osąd, pozwalał jej szybować w chmurach przesłaniających jego horyzonty i instynktownie znaleźć dla nich obojga drogę wyjścia. W ciągu dwóch lat stworzył cztery balety, każdy następny wywołał większą sensację niż poprzedni. I wtem ku jej przerażeniu oświadczył, że planuje zmianę warunków umowy i w przyszłym roku będzie pracował z zespołem Diagilewa.

Cetta Brayfield

- Tutaj, w Maryjskim, się duszę - powiedział unikając jej wzroku. - Chcę wypróbować nowe pomysły, nową muzykę... I chcę zwiedzać inne kraje. Mój mózg tu zamarza, potrzebuję bodźców. Ale nie mogę tworzyć bez ciebie, Lidio. Wiesz o tym, zawsze tak było. Może byś się przyłączyła, tylko na lato? Proszę, tak bardzo ciebie potrzebuję. Widząc, jak ten interesujący i wspaniały mężczyzna tak pokornie błaga o jej pomoc, Lidia poczuła swoją siłę, jednak bardzo stanowczo odmówiła.

- Wolimy spędzić lato na podróżowaniu. - Wiedziała, że robiąc tak intymną aluzję do swego kochanka, sypie sól na rany Lwa. - Książę nie zniosłby rozstania ze mną na tak długo, kiedy bym się włączyła z miejsca na miejsce z koczującą karawaną. A i tak konam ze zmęczenia po tylu przedstawieniach w Petersburgu. Po prostu nie mogłabym jeszcze ciężiej pracować. To prawdziwy cud, że w ciągu ostatnich paru lat nie miałam żadnej kontuzji.

Z jej ciała niemal promieniowało uwielbienie i chwała, jakie na nią spływały; stanowiło instrument o fantastycznej sile i ekspresji, który sprostał trudnym zadaniom zrzuciwszy resztki dziecinnej pulchności, i przeobraziło się w konstrukcję z wiotkich, choć niezwykle wytrzymałych kości oplecionych filigranową siatką mięśni oraz ścięgien. Pracowała z radością niczym wół roboczy, choć rano budziła się obolała i sztywna. Każdego ranka Lidia kierowała spojrzenie w lustro nie na twarz, która, jej zdaniem, chudła coraz bardziej, lecz na coraz piękniejszą sylwetkę. Wreszcie dostrzegła tajemnicze przedłużenie geometrii kończyn, a od dawna to stanowiło cel jej wysiłków.

Gdy nie zakładała koliai na najważniejsze okazje — a ponieważ była jej ulubionym klejnotem, więc nosiła ją i na mniej ważne przyjęcia - to chowała ją w sejfie mieszczącym się w ścianie gabinetu, za sutymi fałdami draperii z brzoskwiniowego adamaszku. Tak cenną biżuterię na ogół trzymano w skarbcu u Fabergego, lecz balerina tak często decydowała się ją założyć w ostatniej chwili, że Orłów ustąpił wreszcie jej naleganiom i polecił zainstalować skrytkę w domu. Naszyjnik spoczywał tam już od ponad roku, gdy jej pokojówka, bladolica Łotewka, która niezwykle łatwo się rumieniła, zapytała Lidie, czy ma coś do uprania.

- Nie - odparła bez namysłu, gdy wtem przypomniała sobie, że od dawna nie widziała w szafie szczególnie wykwin-

Kolia

317

tnych koszulek. Miała bowiem w zwyczaju kupować tuzinami bieliznę, która jej się wyjątkowo spodobała. -
Dlaczego pytasz? Czegoś brakuje?

- Nie, *madame*. Zawsze wszystko dokładnie sprawdzam, a i prачkę mamy dobrą, ostrożną i solidną. Ale wspominała w zeszłym tygodniu... a i ja wcześniej zauważyłam... - Dziewczyna oblała się krwawym rumieńcem i ciągnęła zduszonym głosem. - Oczywiście, nie ośmieliłybyśmy się omawiać takich spraw, *madame*, ale wydaje mi się, że pani już od jakiegoś czasu nie daje nam serwetek do prania.

- Mój Boże, naprawdę? - Pokojówka mówiła o podkładach z płótna opatrunkowego i gazy, których Lidia używała w trakcie okresu. Automatycznie spojrzała na dół brzucha, jakby miała się tam natychmiast zaznaczyć nieoczekiwana ciąża, ale szybko się opanowała. - W każdym razie to nie twoja sprawa. - Dziewczyna wycofała się w stronę drzwi, a Lidia zdała sobie sprawę, że w tak naiwny sposób okazała jej troskliwość. - Hmm... powinnam ci być wdzięczna, że zwracasz baczną uwagę na wszystko. Sprawdź więc, czy się zgadza liczba serwetek, a przy okazji poszukaj mojej nowej koronkowej koszulki z błękitnymi wstążkami, chcę ją włożyć dziś wieczorem.

Lidię ogarnął niepokój, choć instynkt jej podpowiadał, że nie jest w ciąży. Stara fińska wiedźma dała jej nowy środek, przysięgając, że zabezpieczy ją przed zapłodnieniem. Maria i Tatiana również z niego korzystały i jak dotąd okazał się skuteczny. Wezwała zieleń, która ją uspokoiła, ale na wszelki wypadek sprowadziła również lekarza.

- Jest pani bardzo chuda - zauważył ze zwykłą bezpośredniością.

- Balerina nie może być gruba - odparła zirytowana.

- Ma pani dobry apetyt?

- Doskonały, ale co z tego? Tyle tańczę, że niknę w oczach. Obejrzał jej gałki oczne, język, zmierzył puls i ciśnienie, zapytał o czynności fizjologiczne i pobieżnie obmacał płaski brzuch.

- Nic nie wskazuje na stan błogosławiony. Niedożywiona kobieta ma często trudności z poczęciem; zdarza się to zwłaszcza młodym, chorowitym dziewczętom oraz cierpiącym na neurastenię, ale pani cieszy się doskonałym zdrowiem. Zauważyłem ostatnio, że wiele moich pacjentek, które również służą Terpsychorze, co jakiś czas uskarża się na zanik kobiecej

318 *Celia Brayfield*

przypadłości. Jeśli *madame* życzy sobie powiększyć rodzinę, radziłbym więcej odpoczywać i pozwolić ciału odżyć po wysiłkach, do jakich zostało przymuszone.

- Kiedy będę myślała o powiększeniu rodziny, na pewno się zastosuję do pańskich rad, doktorze. - Obdarzyła go miłym uśmiechem i zadzwoniła, by podano herbatę. Zawsze starała się nie zwierzać mężczyznom, a ponieważ lekarz pracował dla Orłowa, tym bardziej nie zamierzała przekazywać mu żadnych informacji, które mogą zostać przeinaczone, nim dotrą do uszu księcia.

- I skoro ma pani zamiar podróżować tego lata, radziłbym przemieszczać się powoli. Niech się pani da skusić europejskim luksusom, najlepszy byłby wypoczynek u wód. Może Dax, doskonałe źródła na wszelkie dolegliwości, zwłaszcza ortopedyczne - musimy myśleć o przyszłości, *madame*, a z Dax tylko parę kroków do Biarritz.

Ton głosu lekarza ją zaalarmował. Książę nie myślał o podróży w lecie, a przeciwnie, przy ostatnim spotkaniu zmęczonym głosem oświadczył, że jego obowiązki uniemożliwiają tegoroczny wyjazd. Strajki wybuchały coraz częściej. Aby poprawić nastroje wśród ludności, car ogłosił zniesienie podatków na alkohol, ale parlament zareagował nerwowo; premier, człowiek podziwiany przez Orłowa, złożył rezygnację

1 spodziewano się wybuchu dalszych zamieszek. A tymczasem jego lekarz mówi o przyszłości, jakby wszystko zostało dawno ustalone.

Kiedy została sama, zdała sobie sprawę z targającego nią gniewu. Żyjąc w wielkim świecie obrosła twardą skorupą. Mało przejmowała się możliwością, że Mikołaj przestał ją kochać. Nie miała też zamiaru płakać nad śmiercią własnych uczuć. Nie była dziewczyną, która po zakończeniu romansu zniknie z towarzystwa, musiała raczej zastanowić się nad perspektywą publicznego upokorzenia. Przede wszystkim postanowiła naradzić się z Aleksandrowem, który za parę dni wyjeżdżał do Paryża z Krzesińską i wielkim księciem And-riejem.

- Ach, moja droga, więc to prawda? - Zapytał współczująco, ujmując jej dłoń.

- Jaka prawda? Słyszałeś o czymś? Wiem tylko, że ten przeklęty doktor sądzi, że wyjeżdżam, a kiedy zapytałam Mikołaja wprost, to zaprzeczył. Powiedział, że musi się zająć sprawami państwowymi. Oczywiście okazałam mu zatroskanie

i rozczarowanie. Ale jeśli skłamał i robi ze mnie idiotkę... Misza, kawa na ławę, co się dzieje za moimi plecami? Stręczyciel działający w tym bujnym, wykwinnym środowisku nabierał umiejętności, których mógłby mu pozazdrościć dyplomata. Aleksandrów w powodzi wyszukanych komplementów i zastrzeżeń przemycił smutną wiadomość, że księżę Orłów ostatnio otaczał szczególnymi względami żonę jednego z sekretarzy, towarzyszących francuskiemu prezydentowi w oficjalnej wizycie w St Petersburgu.

Lidia stała się konieczną ozdobą każdej większej gali rządowej, nowym skarbem narodowym pokazywanym, gdy osoba należąca do rozgałęzionego rodu monarchów europejskich odwiedzała rosyjskich kuzynów. Od niedawna zaczęto z taką samą pompą organizować wizyty głów obcych mocarstw. Odwiedziny prezydenta Francji uhonorowała pojawieniem się jako bogini mórz, Tetyda, na widowisku w ogrodach pałacu w Pawłowsku, ponieważ car z rodziną niemal zupełnie usunął się z Petersburga i mieszkał w letnich pałacach za miastem. Lidia wystąpiła na lustrze umieszczonym na tratwie płynącej po jeziorze i wyglądała, jakby sunęła po jego tafli.

W bardzo dusznym powietrzu również tancerzy ogarnęła senność; belerina ucieszyła się, gdy przeciągnięto ją w nieco chłodniejsze miejsce zraszane wodą z fontanny. Była bardzo spokojna, kłopoty zniknęły gdzieś w oddali. Przedstawienie zostało przygotowane specjalnie na takie okazje i składało się z serii imponujących żywych obrazów, prezentujący je musieli wykazać się dużą sprawnością fizyczną, zaś reszta zespołu tańczyła później ogniste mazurki. Po zakończeniu występów car Mikołaj osobiście wręczył podarki tancerzom. Prawie zupełnie wyłysiał nad szerokim czołem, a zmartwienia wyżłobiły zmarszczki na jego twarzy. Towarzyszyły mu wszystkie jego dzieci. Cztery księżniczki o gęstych włosach i okrągłych policzkach były bardzo do siebie podobne, ubrane w koronkowe suknie przypominały grządki białych kwiatów. Carewicz, wbrew plotkom o jego straszliwych chorobach, okazał się dobrze zbudowanym chłopcem o figlarnej buzi i inteligentnych, wąskich oczach.

Lidia rozmawiała z nimi przez dłuższą chwilę i musiała chwalić się dookoła swym prezentem - mahoniową szkatułkę ze złotymi okuciami wypełniały żółte diamenty. Na dołączonym bileciku widniał napis: „Dla Kuźmińskiej na wymarzone klejnoty”. Gdy wreszcie dołączyła do tłumu gości rozmawia-

Celia Brayfield

jących w przestronnej sali, przebrana w suknię od Lanvina z ciemnoczerwonej tafty haftowanej w złote lilie, a na jej szyi lśniła kolia - jedyna biżuteria tego wieczoru - wszystkie obawy napłynęły ku niej niczym chmury gradowe. Z początku wśród blasku złocień i świateł odbijających się w lustrach nie mogła dostrzec księcia, ale gdy go w końcu wypatrzyła, okazało się, że stoi pogrążony w rozmowie z kobietą doskonale odpowiadającą opisowi Aleksandrowa - wysoka, o bujnych kształtach, bardzo ciemna i elegancka w tym samym, rzucającym się w oczy stylu, który cechował jego poprzednią kochankę. Jej turkusową suknię zdobiły wielkie, stylizowane róże z czarnego aksamitu; przy tak awangardowej kreacji wszystkie inne, włączając także toaletę Lidii, wyglądały tandetnie i bez polotu. Orłów dokonał prezentacji. Nazywała się *comtesse de Chalus-Lupiac* i okazała się tak pretensjonalna, jak Lidia się tego spodziewała.

- Jakie urocze widowisko - zaszczebiała patrząc z góry na Lidię. - Oczywiście widzieliśmy w Paryżu występy słynnych Baletów Rosyjskich, ale to bardzo ciekawe obejrzeć, jak tańczycie tutaj, przed swymi rodakami. Czy naprawdę dostała pani szkatułkę diamentów? Taki jest zwyczaj?

- Tak, na specjalnych uroczystościach jak ta.

- Tylko pani, jako primabalerina, zostaje tak obdarowana...

- Dziś mój partner, Lew Woliński, otrzymał złoty zegarek wysadzany brylantami, dwie tancerki występujące w rolach nimf morskich - emaliowane puderniczki o złotych brzeżkach, a pozostali członkowie zespołu - srebrne czary. W Rosji okazuje się uznanie artyście przez skromny upominek.

- Czy to oznacza, że car osobiście...

- Może dla wybranych twórców przy szczególnych okazjach. Zwykle szambelan dyskretnie dowiadyuje się od dyrektora, co stanowiłoby wymarzony lub właściwy prezent.

- I płaci za to car?

Lidia aż zaniemówiła z wrażenia słysząc tak wulgarnie pytanie, po czym wymamrotała, że nie wie dokładnie.

- I co ma pani zamiar zrobić z tych kamieni? Naszyjnik? Ale przecież ma już pani piękną *collier*... - *Comtesse* zdała sobie sprawę z popełnionego nietaktu i próbowała załagodzić sytuację komplementem. Lidia nie zamierzała okazać się wspaniałomyślna.

Kolia

321

- O tak. - Uniosła dłonie ujmując kolię pełnym szacunku gestem. - To *collier* Orłowych, najcenniejsza rzecz, jaką posiadam. Od pokoleń w rodzinie Mikołaja - urwała, dając Francuzce okazję do pełnego zrozumienia aluzji. Twarz księcia nie zdradzała żadnych uczuć; krępowała go ta sytuacja; jego metresa postanowiła się mścić, a *comtesse*, którą podziwiał, chociaż nie pożądał, wykazała krępującą nieznamość zasad protokołu towarzyskiego w takich okolicznościach.

- Doprawdy - powiedziała zakłopotana. - W takim razie ma pani szczęście, że ją pani może teraz nosić. Wymieniły jeszcze parę zdań lodowatym tonem, a po chwili podszedł do nich paż, oznajmiając, że wielka księżna Ksenia, siostra cara, oczekuje Lidii w sąsiednim salonie. Odchodząc w ślad za nim Lidia zrozumiała przyczynę obraźliwego zachowania kobiety. Francuzi, jak i większość cudzoziemców, nie umieli pojąć, że w Rosji zasady formalne stanowiły tylko fasadę przyjętą na benefis świata zewnętrznego i związku uczuciowe traktowano równie poważnie, jak więzi oficjalne, czyli małżeństwo. Dlatego metresie przyznawano taki sam status jak żonie, a nawet większy, jeśli równocześnie zdobyła samodzielnie wysoką pozycję. W Petersburgu nie hołowano zwyczajowi odsyłania wszystkich artystów do *demi-monde*.

Ku wściekłości Lidii Orłów poprowadził *comtesse* do stołu i zatańczył z nią dwukrotnie, później zapraszał inne damy, nim wreszcie zajął się swoją kochanką.

- Mam cię przeprosić w imieniu *comtesse*. Ponieważ część spraw, jakie jej mąż tu prowadzi, dotyczy ustalenia warunków pożyczki od Francji, zdumiało ją bogactwo prezentowane na tej sali. Wyjaśniłem jej, że car ma prywatny majątek oddzielny od skarbu narodowego, a zdaje się, że nawet i dobrze urodzonej mieszkance republiki niełatwo coś takiego zrozumieć. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

- Oczywiście, że nie - zapewniła Lidia z uroczym uśmiechem. - Uznałam po prostu, że zazdrość przez nią przemawia, skoro założyła tak skromną biżuterię.

Zaś *comtesse* - z cynizmem, który zachwycił Orłowa, gdy na głos wypowiadała uwagi, jakich on nie śmiał nawet sformułować w myślach - zauważyła dziwaczność sytuacji, kiedy słynne osiągnięcia i oszczędność chłopów francuskich służy, by ulżyć cierpieniom rosyjskich wieśniaków, gdy tym

Celia Brayfield

czasem ich monarcha i arystokraci mogliby osiągnąć to samo, gdyby tylko zmniejszyli wystawność życia.

Dwa dni później wspomniał Lidii lekkim tonem, że na jesieni ma wrócić do ministerstwa spraw wewnętrznych, zaś w czasie wizyty prezydenta Francji ustalono, że w lecie zostanie wysłany do Paryża w składzie delegacji doradców militarnych wyższych rangą. Sprzymierzone Rosja, Francja i Anglia z przerażeniem stwierdziły, że znalazły się w wyścigu zbrojeń przeciw Niemcom i cesarstwu austro-węgierskiemu. Postanowili więc przeznaczyć większe fundusze na uzbrojenie i okręty wojenne oraz związać się zbrojnym przymierzem, nim cała sytuacja wymknie się spod kontroli. Księżciu zaproponowano ważne stanowisko i przyjął je z dumą. Pogratulowała mu z ciepłym uśmiechem na ustach, ale lodowatym sercem, myśląc o nadchodzącej walce.

Natychmiast podjęła stanowcze kroki. Od dyrektora zażądała zwolnienia na lato i szybko znalazła Lwa, który wychodził z sali po rannych lekcjach - ostatnio został mianowany baletmistrzem zespołu.

- Błagam o przebaczenie - dotknęła jego ramienia i spuściła oczy, wyglądała jak wzruszający obraz skruchy. - Chyba oszalałam, żeby walczyć z własnym przeznaczeniem. Odnieśliśmy razem tyle sukcesów, że ogarnęła mnie zazdrość na myśl, jak teraz beze mnie podbijesz nowy świat. Jadę z tobą. Powiedz Siergiejowi Pawłowiczowi, że zwyciężył.

- Cieszę się - odparł z prostotą. - Wiedziałem, że powstrzymują cię rzeczy drugorzędne. Chcę ci tylko jedno powiedzieć... Miłość może umrzeć, ale sztuka jest wieczna.

Ze złością pomyślała, że widać i do niego dotarły plotki, i już miała złośliwą uwagą ukrocić jego pychę, ale z czystej przewrotności wyciągnęła dłonie pytając:

- A więc to tak ci się układa w domu? Nie, nie odpowiadaj. Nie mam prawa o to pytać. Nie zwracaj na mnie uwagi, gadam dziś głupstwa.

W jego oczach zobaczyła strach przez zranieniem i zdała sobie sprawę, że odgadła jego tajemnicę, a on jak zwykle był zbyt skupiony na sobie, żeby poznać jej sekret.

Kilka miesięcy później w okrągłym hallu jej domu piętrzyły się kufry, Lidia stała z Charlotte sprawdzając listę bagaży, a Kola uparcie wspinał się na górę pakunków pod okiem pilnującej go niańki. Meble w salonie osłonięto już pokrowcami, a pokójówki stały na drabinach obszywając zyrandol

Kolia

323

perkalem. Rzeźby również starannie pozakrywano. Przed drzwiami czekał powóz ciągnięty przez trzy szare konie ze stajni Orłowa. Mikołaj wyruszył wcześniej do Londynu w sprawach państwowych i niechętnie zgodził się spotkać z kochanką w Paryżu.

- Dawidów! Nareszcie! Gdzie zniknąłeś? - Niecierpliwym okrzykiem powitała lokaja księcia.

- Bardzo przepraszam, *madame*. Sprawdziłem najpierw na stacji, czy pociąg odjedzie. - Dyszał ciężko, a rude loki pot przykleił mu do czoła, wycierał je gwałtownymi ruchami.

- Wprawdzie strajk zakończono, ale panuje zamieszanie i minie parę dni, nim wszystko wróci do normy. To mój pakunek?

- wskazał na walizeczkę z jaszczurczej skóry z mosiężnymi okuciami, którą Charlotte mocno trzymała w ramionach. Znajdowały się w niej najcenniejsze klejnoty baleriny, które firma Faberge miała przesłać specjalnym kurierem do paryskiego biura. Najważniejsze były żółte brylanty od cara, na jej polecenie opracowane zostały w bardzo ekstrawagancki naszyjnik - prostą obrozę okrywającą niemal całą szyję. Na ich tle jej skóra lśniła perłowo, a kształt podkreślał piękno jej długiej szyi.

- Co z pokwitowaniem? - Guwernantka zwykle wpadała w panikę, gdy trzeba było zmieniać jej starannie opracowane plany. - Już nie zdążysz pójść do Fabergego i go nam przynieść?

- Wyślę je przez konnego posłańca, który będzie czekał na stacji w Pskowie. Już zatelegrafowałem do zawiadowcy. Niech się *madame* nie martwi.

- Ja się nigdy nie martwię. - Uśmiechnęła się ujęta jego miłym tonem. Jeśli najbardziej zaufany sługa księcia nadal wychodzi ze skóry, żeby jej dogodzić, to wyraźnie musi mieć jeszcze ciągle znaczenie dla jego pana.

- Jestem pewien, że cały Paryż będzie mówił o kolii

- poklepał walizeczkę dłonią w rękawicze.

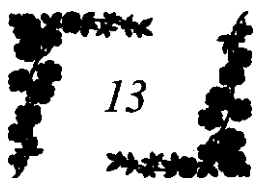
- Nie chciałabym cię rozczarować, ani tym bardziej pary-żan - ale *collier* zostaje tutaj. - Przeczytała jeszcze raz spis zawartości przesyłki, zanim mu ją podała. - Nie śmiem jej zabrać ze sobą. To dziedzictwo, część historii rodu Orłowych, a nawet historii Rosji, i wiele dla mnie znaczy. Nie powinna opuszczać swego kraju. Jest bezpieczna w sejfie i niech sobie odpocznie, kiedy wyjadę. Biorę brylanty, które mi podarował Jego Carska Wysokość.

- Tak jest, *madame* - przybrał obojętny ton służącego i ukłoniwszy się wyszedł.

Celia Bray field

Charlotte wzięła mniejszy neseser z mosiężnymi okuciami, zawierający klejnoty codziennego użytku.

- A poza tym - Lidia mówiła jakby w powietrze, bo chociaż w ciągu minionych dwóch lat guwernantka stała się zaufaną osobą i w pełni rozumiała znaczenie podróży swej pani, to krępowały ją bezpośrednie zwierzenia - kiedy cały Paryż padnie do moich stóp, księżę pożałuje, że mnie zaniedbywał. Wpadnie w szal, gdy zobaczy na mojej szyi brylanty od innego, choć nie będzie mógł okazać zazdrości, skoro pochodzą od cara. Przecież muszę mieć choć jeden porządny klejnot, prawda? A teraz, mała Klęsko... - Kola zeskoczył z ostatniego kufra, bo portier zaczął go wyciągać na zewnątrz - chodź tu i pocałuj mamę na pożegnanie. Nie zrujnuj domu, kiedy mnie tu nie będzie. Niedługo wrócimy z papą. Chodź mi pomachać i życzyć szczęścia.



13

Francja, 1968

Jak sądzicie, czy nasze pisklę dorosło już, żeby wyfrunąć z gniazda? A jeśli tak, to dokąd powinno wyruszyć? Siedząc na honorowym miejscu przy stole w swoim zagraconym salonie Lidia przewodniczyła zebraniu, zwołanym, aby zdecydować o przyszłości jej wnuka. Alex, który coraz bardziej doskonalił swoją wrodzoną znajomość natury kobiecej, przywiózł babce z Paryża tkany, mohairowy szal z pojedynczymi, ciemnymi wełnianymi nićmi. Otulał teraz jej ramiona niczym toga, swoim przypychem potwierdzając jej niegdysiejszą świetność.

Po jej prawicy siedziała ciotka Julie ze swoim baletmistrzem u boku. Alex został do nich wysłany natychmiast po powrocie. Przekonany, że prawdziwy powód opuszczenia Leningradu nigdy nie wyjdzie poza granice ulicy Rossiego, oświadczył, że nie wytrzymał samotności, a ponieważ niekorzystnie wpływało to na jego postępy, dyrekcja uczelni pozwoliła mu wrócić do domu.

Staruszki przyjęły tę opowieść ze współczuciem, przywodziła ona im bowiem na myśl ich własną, smutną młodość. Baletmistrz sceptycznie popatrzył na wyższego i szerszego w barach Alexa i stwierdził, że ta tęsknota to nic w porównaniu z gorzką samotnością, towarzyszącą człowiekowi w czasie długich wyjazdów z zespołem. Następnie zaproponował, żeby Alex przyszedł na zajęcia i pokazał, czego udało mu się nauczyć.

Marie, która siedziała w drugim końcu stołu, zajęła się szykowaniem herbaty. Przez ostatnie kilka miesięcy zmieniła się bardzo niepokojąco. Zniknęła gdzieś masywna, dobrze zbudowana kobieta, teraz suknia na niej wisiała, ramiona opadły.

- Nie mam apetytu - skarżyła się z głupkowatym uśmiechem. - Ostatnio w ogóle nie mogę jeść. Sama nie wiem, czemu.

326 *Celia Brayfield*

W obradach uczestniczyli jeszcze trzej mężczyźni, ponieważ *grand-mere* uważała, że żadna decyzja nie jest ostateczna, jeśli jakiś mężczyzna przynajmniej jej nie przytaknie. Przy stole siedział więc bardzo stary Rosjanin, który cały czas palił i nie odzywał się ani słowem* równie wiekowy, choć nieco bardziej ożywiony Francuz, pisujący od czasu do czasu recenzje z baletów dla „Nice-Matin”, który z kolei zezował na swoje buty, jakby się zastanawiał, czy dobrze zawiązał sznurówki. Z drugiej strony z wyrazem pełnej znużenia wyższości zasiadł wysoki, elegancki mężczyzna koło sześćdziesiątki, jak się okazało jeden z ostatnich kierowników dogorywającej kompanii *Ballets Russes*.

O wyrażenie swej opinii poproszono najpierw baletmistrza.

- No cóż, jego technika nigdy nie będzie doskonała. Jego obrotowość znacznie się poprawiła, ale trzeba by nad nim jeszcze popracować, a z takim brakiem nasz Alex nigdy nie osiągnie naprawdę dobrej pozycji. Nic już na to nie poradzimy, jego ciało jest ostatecznie ukształtowane, proces wzrostu się zakończył. Moim zdaniem powinien zacząć pracować. Jest przystojny, może do czegoś dojść.

- Do czegoś dojść?! Nasz chłopiec na pewno jest wart o wiele więcej! - *Grand-mere* zmierzyła mówcę i Julie piorunującym wzrokiem, jakby chciała dać przyjaciółce do zrozumienia, że zatrudniła debila. - To cudowne dziecko, prawdziwa sensacja! Ilu chłopcom przyznano stypendium w Leningradzie? Pomyśl o jego dziedzictwie, nazwisku, reklamie...

- Może powinien spróbować szczęścia w Londynie? - ciągnął nauczyciel, nie dając się zbić z tropu. - Nie będzie miał problemów z językiem, a tam zawsze szukają dobrych chłopców.

- Mówiono mi, że od kiedy mają Nuriejewa, sytuacja się zmieniła - oświadczył krytyk, spoglądając z góry na zebranych.

- Tak, ja też się zetknąłem z tą opinią - potwierdził elegancki mężczyzna. - Nagle się okazało, że potrafią skakać.

- Ale chyba najpierw powinien spróbować w Paryżu

- powiedziała *madame* Siedowa. Jej obfity biust był jak tarcza, o którą musiałyby się rozbić wszelkie próby podważenia jej autorytetu. - Jestem pewna, że Lifar z Opery Francuskiej zgodzi się obejrzeć Alexa.

- Obejrzeć obejrzy, ale czy przyjmie to inna sprawa

- wzruszył ramionami baletmistrz.

- Może chłopiec powinien szukać przyszłości w balecie współczesnym - zaproponował krytyk, unosząc palec.

Kolia

327

- Nienawidzę baletu współczesnego - mruknął zaniepokojony Alex z głębi pokoju.

- Nie wymaga takich umiejętności - stwierdził nauczyciel, ze zrozumieniem kiwając głową.

- Nienawidzę go. Ta cała współczesna muzyka... Wszyscy zgodnie westchnęli, przyłączając się do tej opinii.

Zaczęto rozważać możliwość podjęcia przez Alexa pracy na mniej słynnych deskach baletowych Paryża, potem krótko rozprawiono się z Amsterdamem, Stuttgartem i Mediolanem, żeby znowu wrócić do Paryża.

- Tak, to musi być Opera Francuska. Jutro zadzwonię do Lifara.

Madame Siedowa zdawała się być spokojna o przyszłość Alexa, ale ten, widząc ostrożną powściągliwość nauczyciela, wiedział, że baletmistrz nie sądzi, aby miał duże szanse powodzenia.

- Ach, cóż za tragedia! Ledwo zdołałam odzyskać mego ślicznego chłopca, znów okrutny los mi go zabiera. Chodź, niech cię ucałuję...

Babka podniosła się z trudem i objęła go, w oczach lśniły łzy zmieszane z tuszem do rzęs.

- Nowe życie! Zupełnie nowe życie! Dla ciebie to podniecające, ale dla nas, starych kobiet, które będą musiały czekać przy telefonie... Oto, do czego teraz sprowadza się moje życie. Cóż, w takim razie zadzwonię do Koli i powiem, żeby na ciebie czekał.

Alex został wycalowany, wyściskany, skropiony łzami, zasypywany dobrymi radami i kolejnymi błogosławieństwami.

Wypili jeszcze trochę herbaty, wypalili więcej papierosów, wspominali i plotkowali, wreszcie Marie wyjęła z wysiłkiem z rzeźbionego bufetu kwadratowe, żółte butelki zubrówki i kieliszki.

Kiedy przynosiła z kuchni dania, każde osobno zapowiadała, często przerywając, gdy zabrakło jej tchu.

- Pulpety w sosie śmietanowym, a tutaj naleśniki, zrobione przez dziewczynę, ale ona zawsze smaży za cienkie. Korniszony, które drogi Kola przywozi z Paryża, i kotlety rybne. Próbowalam tych francuskich ryb, ale one się nie nadają. Mimo to zrobiłam, co mogłam.

Usiadła, po szyi mimo chłodu spływały jej krople potu.

- Och, i jeszcze sałatka ziemniaczana, ostatnio o wszystkim zapominam, i kiszzone ogórki... Jedzcie, proszę, wszyscy muszą spróbować. I chałwa, wiedziałam, że gdzieś musi być...

Celia Brayfield

Alex jadł, czuł się pocieszony. Mimo że strata Ani nadal bolała niczym otwarta rana, wiedział, że w świecie babki, choć przygaszonym i zamkniętym, znajdzie ukojenie jak w ramionach matki. Przekonał się już, że te zgromadzenia stanowiły dla Rosjan rytuał, dzięki któremu wspólnota emigrantów podtrzymywała swoją tożsamość. W tym gorącym klimacie szukali przydymionego światła i jedzenia, które miało chronić przed chłodem. Żyjąc w ubóstwie, stworzyli swoje własne społeczeństwo, elitę bardziej zamkniętą niż jakikolwiek klub. Przebywając wśród obcych zachowywali się z przesadą, jakby przez nadmierne picie i uczuciowość chcieli potwierdzić, że nadal są Rosjanami, choć już nigdy nie zobaczą swej ojczyzny.

Późnym popołudniem towarzystwo się rozeszło. W korytarzu baletmistrz, który oprócz dobrego serca miał także jasny osąd, wziął Alexa na bok i zasugerował chłopcu, że może lepiej by sobie poradził w rewiach i komediach muzycznych. Na kartce z notatnika nabazgrał kilka numerów telefonów i wyszedł razem z *madame* Siedową. Marie westchnęła, po czym dźwignęła się z krzesła i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Dobrze, że przestała tyle jeść - powiedziała *grand-mere* Alexowi. - Zawsze była łakoma, sam wiesz. Dobrze, że po wyjściu za mąż przerwała karierę, inaczej mogłaby mieć kłopoty. A kiedy zaczęły się sypać dzieci, zupełnie sobie popuściła. Ja nigdy sobie na coś takiego nie pozwoliłam, nawet po urodzeniu twojej matki.

Złożyła dumnie dłonie na małym, okrągłym brzuchu.

- Droga Lidio, gdyby twoja przyjaciółka nie była choć odrobinę łakoma, nigdy by nie wyrosła na taką wspaniałą kucharkę. - Podmuch świeżego powietrza i tupot łap gryfona zwiastowały nadejście Angeli Partridge, która poddała się rytuałowi obcałowywania, nim wreszcie zajęła miejsce na swym ulubionym krześle. - A wtedy obie byście *simplement* umarły z głodu. Zobaczyłam, że teren jest wolny, więc pomyślałam, że zajrzę na chwilę. Jak się dziś czujesz, Marie? W takie chłodne dni pewnie trochę ci lepiej, prawda?

- Mówisz, że dziś jest chłodno?

Marie tak intensywnie się pocila, że w miejscu, gdzie kwiecista sukienka dotykała jej ciała, natychmiast pojawiała się plama.

- Jak dla mnie jest upał. Jedz, proszę, zostało trochę sałatki i świeżego chleba.

- Usiądź, sama sobie nałóżę.

Kolia

329

Angielka nie była głodna, nie przemawiała też przez nią troska o przyjaciółkę, ale wiedziała, że u Rosjan nie sposób odmówić jedzenia. Wróciła z kuchni z talerzem, na który przemyślnie ponakładała sobie maleńkie porcyjki jedzenia.

- I cóż słyhać u naszego młodzieńca? Cieszysz się, że wróciłeś, nim stary Breżniew zdążył cię wsadzić w kamasze i wysłać do Czechosłowacji? - Przeszła na angielski i wyciągnęła z Alexa ocenzone wersję przyczyn opuszczenia Rosji. - I powiedz koniecznie, czy znalazłeś stare mieszkanie babki? Umieram z ciekawości.

- Chyba byłem dość bliski. Odszukałem ulicę Rimskiego--Korsakowa, Prospekt, czy jak ją tam zwał, ale druga ulica musiała zostać przemianowana, po prostu jej nie znalazłem.

- A brama? Żelazna brama ze zwieńczeniami w kształcie gałązek oliwnych? Niesamowicie elegancka, przypuszczam że nawet i dziś.

- Przed żadnym z budynków nie było bramy ani łańcuchów. Jakiś staruszek powiedział, że kiedy zabrakło żelaza, wszystkie je zerwano i przetopiono na gwoździe albo inne rzeczy. Dlatego też zrobiłem zdjęcia wszystkich narożnych budynków. Pomyślałem, że może *grand-mere* rozpozna jakiś zachowany element jej dawnego mieszkania.

- I co, rozpoznała?

- Prawdę mówiąc, pani Partridge, od mojego powrotu tyle się działo, że nawet nie miałem okazji jej pokazać.

- W takim razie zróbmy to teraz! Natychmiast! Moja najdroższa Lidio, twój pałac! Chłopiec odnalazł twój pałac!

- Nie zapomniałam - padła wyniosła odpowiedź. - Marie o wszystkim zapomina, ale nie ja. Po prostu czekałam na właściwy moment, żeby zapytać.

Z pokoiku w głębi domu Alex przyniósł kopertę z odbitkami i ponownie, tym razem po francusku, wyjaśnił, jak rozwiązał problem ulicy Rimskiego-Korsakowa. Następnie położył na stole dwanaście zdjęć.

- Nie są nadzwyczajne, na niektórych nie zmieścił się dach, ale cóż, tam nie za bardzo można paradować po mieście z aparatem fotograficznym.

Marie wstała i pochyliła się nad Lidia, żeby obejrzeć zdjęcia, tłumiąc kichnięcie, kiedy gruby mohairowy szal połaskotał ją w nos. Obie kobiety w milczeniu przypatrywały się fotografiom.

- Śnieg - odezwała się wreszcie *grand-mere*.

Celia Brayfield

- Tak, to dodatkowo utrudniło zadanie.

Alex wepchnął ręce w kieszenie dzinsów. To, co w Leningradzie uważał za wspaniały pomysł, teraz wydawało mu się idiotyczne.

- Ułożyłem je po kolei, od niewielkiego parku do miejsca, gdzie się łączą kanały. Może pamiętacie położenie pałacu względem kościoła, albo przy którym stał skrzyżowaniu...

- Nie ten.

Coś na kształt dawnego, dobrego uśmiechu rozjaśniło błyszczącą twarz Marie, kiedy palcem wskazała jedno ze zdjęć.

- Z pewnością nie ten.

Grand-mere pogardliwie odsunęła fotografię betonowej willi.

- Może ten.

Marie wzięła zdjęcie Pałacu Pionierów. Kobieta na rusztowaniach musiała się gwałtownie poruszyć, bo stanowiła tylko zamazaną plamę. *Grand-mere* mrugając, w milczeniu przyglądała się zdjęciu.

- Dajcie, niech obejrzą.

Angela Partridge otworzyła torebkę i z małego etui, w którym znajdował się też kawałek irchy, wyciągnęła okulary.

- Co za próżne stworzenia! - Chwyciła zdjęcie i uważnie mu się przypatrzyła. - Praktycznie nic nie widzą, ale w domu nie uświadczysz szkła powiększającego. Ach! Och, drogi chłopcze, czyż to nie wspaniałe zdjęcie? Połowy domu nie ma, na tym, co zostało, rozstawione rusztowania, ale widać, że budynek jest zielony. Bardzo ładny odcień, taki ogórkowy. Na środku portyk z białymi kolumnami, schody i symetrycznie rozmieszczone jedno, dwa, trzy... cztery okna po każdej stronie, a nad gankiem jedno małe, okrągłe.

- Daj mi to zdjęcie, daj! - zawołała *grand-mere*.

Usta drżały jej z niecierpliwości, kiedy wyrwała Angeli fotografię, a później, po namyśle, wyciągnęła rękę po okulary.

- Tak, tak. Spójrz, Marie, widzisz! Bóg był miłosierny, że zachował mój dom przez te wszystkie lata. Nie ma ogrodu zimowego, dlatego nie od razu go rozpoznałam, ale tylko u nas był ganek z takimi schodami. Nasze małe okno *oeil-de-boeuf*, żeby klatka schodowa nie była za ciemna. Och, nie ma z ciebie żadnej korzyści, nic nie pamiętasz.

Marie nie odpowiedziała.

- Dobrze się czujesz?

Pani Partridge, która stała z tyłu, z dłońmi na biodrach,

Kolia

331

nagle podeszła do Marie i przytrzymała ją, kiedy ta próbowała usiąść na krzesło. Krzesło odsunęło się ze zgrzytem i kobieta upadła na podłogę.

- O, Boże, tego właśnie się obawiałam.

- Co się dzieje, co jej się stało?

Lidia nie od razu zrozumiała i mówiła gniewnie, jakby podejrzewała, że przyjaciółka stroi sobie z niej żarty.

Upadając, Marie mocno uderzyła głową o podłogę, teraz leżała z przechyloną głową, niewidzące oczy miała szeroko otwarte, z kącika ust sączyła się ślina. Alex podbiegł do staruszki, próbował ją podnieść. Przez sukienkę czuł dotyk chłodnego, bezwładnego ciała.

- Zostaw ją na podłodze. Możemy obrócić ją na bok. Nie bój się, kiedyś byłam pielęgniarką. Uważaj, połóż delikatnie głowę. Teraz podciągnij jej kolana, o tak... - Angielka ujęła Marie za nadgarstek, potem przycisnęła palce do jej zwisającego drugiego podbródka. - Coś czuję, ale puls jest bardzo słaby. Musimy wezwać karetkę.

- Czy ona jest chora?

Grand-mère stanęła u stóp Marie, mocniej owijając się szalem. W jej oczach zagościł niepokój.

Pani Partridge stała przy telefonie. Cała jej znajomość francuskiego zawiodła, kiedy niecierpliwie przyzywała karetkę.

- *Mai au coeur, tres grave. Une femme de quatre-vingts ans.* - Jej głos przechodził w krzyk.

Wreszcie widocznie została zrozumiana, bo ucichła i odwiesiła słuchawkę.

- Nie ma osiemdziesięciu lat, to niemożliwe. Przecież jesteśmy rówieśnikami. - Lidia ciągle stała nad przyjaciółką. - Ani słowem nie wspomniała, że się źle czuje.

- Kochaneczko, już od tygodnia źle się czuła, ciągle brakowało jej tchu. Sama mi to powiedziała. Wystarczyło na nią spojrzeć, żeby się domyślić.

- Ale ona zawsze się skarżyła.

- Na jej miejscu każdy by się skarżył. Orałaś w nią jak w łysą kobyłę. - W jej głosie nie było wyrzutu, ale stwierdzeniu nie towarzyszyło uniesienie brwi i krzywy uśmiech, które zwykle oznaczały żart.

- Jesteśmy Rosjankami, co ty możesz zrozumieć? - Lidia sztywno przeszła nad nogami przyjaciółki, żeby zająć miejsce na środku pokoju. Uniosła wysoko ramiona, jakby chciała zwrócić na siebie uwagę publiczności. Końce szala zafurkotały,

Cetia Brayfield

poruszając papiery na stole. - Kiedy ogarnie nas smutek, płaczemy. Jeśli nasze serca przepelnia radość, kochamy. Nasze dusze są niezgłębione, targane namiętnościami...

- Na miłość boską, daj spokój z tymi bzdurami. Jeśli chcesz coś zrobić, wezwij ojca Wasyla, tak się on chyba nazywa?

- Po co?

- Czy w waszym kraju nie sprowadza się kapłana do umierających?

- Oczywiście że tak, nie jesteśmy barbarzyńcami.

- No to chyba by się tutaj przydał, prawda?

- O co ci chodzi? Powiedz, o co ci chodzi... Przecież ona nie umiera. Nie może!

Wychudzone ręce, tak szczupłe, że najszerszym ich miejscem był łokieć, zawisły w powietrzu, potem opadły, wróciwszy na piersi.

- Tak, Lidio, wydaje mi się, że ona umiera. Nie widziałas, jak wyglądała? Nigdy wcześniej nie widziałas tego wyrazu twarzy? Tak wyglądają ludzie, kiedy nadchodzi śmierć. Nie są jeszcze pewni, bo nigdy przedtem tego nie przeżywali, wiedzą jedynie, że nie rozumieją, co się z nimi dzieje. W czasie wojny rzadko się coś takiego widuje, pewnie dlatego, że żołnierz cały czas jest przygotowany na śmierć, ale nawet i wtedy spotyka się takich, którzy wierzyli, że ich to nigdy nie spotka. Kiedyś myślałam, że to jedna ze sztuczek Natury - pomagać ludziom odpływać w śmierć, a nie odchodzić w przerażeniu. Czy to karetka? Alex, ty masz młodsze uszy, wyjdź i nasłuchuj.

Po paru minutach zza zakrętu wyskoczyła biała karetka i zatrzymała się przed domem. Alex usłyszał ze środka zawodzenie babki:

- Nie! Nie!

Marie wyniesiono na noszach - okrągła sylwetka pod czerwonymi prześcieradłami, spod których wyglądał tylko siwy kosmyk włosów. Alex widział ją wtedy ostatni raz. Umarła tej samej nocy i pop, ze względu na upały, odradził tradycyjne wystawienie zwłok w domu.

W czasie pogrzebu w cerkwi Alexa dusił i gryzł w oczy dym kadzidła. Z trudem powstrzymywał się od kaszlu, oczy mu łzawiły. Miał wrażenie, że zaraz zemdleje, chętnie więc przystał, żeby Kola sam poprowadził babkę do otwartej trumny. Wokół leżały wieńce i bukiety, brzeg trumny ozdabiały białe goździki. Lidia od śmierci przyjaciółki nieustannie

Kolia

334

plakała. Ukryte pod welonem policzki były mokre, ale ona sama zachowywała się spokojnie, poruszała się jak w transie. Kiedy odsunął się ostatni żałobnik, Kola delikatnie wyjął z rąk matki niewielką ikonę w srebrnej ramie i włożył do trumny.

Następnego dnia Lidia była spokojna, pierwsze kwaśne uwagi przekonały ich, że jej egoizm uchronił ją przed zbytnim bólem i cierpieniem.

- Ta dziewczyna przynajmniej wie, jak porządnie wycinać filety, Marie zawsze musiała je rozbabrać - brzmiała jej odpowiedź, kiedy Kola wyjaśniał, że umówił się z pokojówką, że będzie przychodziła codziennie i zajmie się gotowaniem oraz innymi pracami, które wykonywała Marie.

- Nie powinienesz być mi wyrywać ikony z rąk - zaczęła wyrzekać po kilku godzinach. - Nie chciałam jej tam wkładać. To był prezent od Siergieja Pawłowicza. Chciałam ją zatrzymać.

Kola mruknął coś pod nosem.

- Wyobrazasz sobie, jak to wyglądało, kiedy byłem mały - zwrócił się do siostrzeńca, kiedy wyszli z salonu. - Jak myślisz, kto dawał mi jeść, zauważał, że wyrosłem z butów i chodził na targ tuż przed zmrokiem, kiedy wszystko można było kupić za połowę ceny?

- Nie *grand-mere*.

- Z pewnością nie ona. Jest moją matką, ale to Marie mi matkowała. Właściwie troszczyła się o nas wszystkich jak matka. A teraz okazuje się, że maleńka ikona to dla niej za dużo.

To była jedyna ostrzejsza wypowiedź na temat matki, jaką Alex usłyszał z ust Koli.

Rankiem staruszka obudziła się bardzo wcześnie i zaczęła się kręcić po domu, co zmusiło Alexa do wstania z łóżka. Babka w nowej czarnej sukni siedziała wyprostowana na kanapie.

- Jest bardzo szczęśliwa, że połączyła się z Wasylem i swoimi maleństwami. - Umalowane krzywo wargi wygięły się w pogodnym uśmiechu. - Była tutaj, siedziała pół nocy. Niepokoila się, czy sobie bez niej poradzę. Dlatego musiała wrócić i sama sprawdzić. Ale widziałam, że jest szczęśliwa. Nareszcie spotkała wszystkich swoich bliskich, nawet córeczkę, którą musiała zostawić i która umarła na zapalenie płuc. Podoba ci się moja suknia? Żałoba nie musi być brzydka, wystarczy się postarać.

Celia Brayfield

- Czy ona jest normalna? - spytał wuja, gdy tylko ten się pojawił. - Twierdzi, że w nocy widziała Marie.

Kola aż się cofnął, słysząc, jak chłopiec beztrósco przypisuje babce szaleństwo.

- Zawsze tak robi po śmierci kogoś bliskiego. Twierdzi, że odwiedza ją duch zmarłego. Nie potrafi się pogodzić z ich odejściem i w ten sposób udaje, że nadal żyją. Postaraj się ją rozerwać i nie sprzeciwiaj się jej.

Następnego dnia babka okazywała swoją żalobę w bardziej konwencjonalny sposób.

- Moja przyjaciółka! Moja jedyna prawdziwa przyjaciółka! Wiesz, że kiedy byliśmy młode, uroczyście przysięgaliśmy sobie przyjaźń? Była moją jedyną prawdziwą przyjaciółką.

- Wróciła do sypialni i siadła przed poplamioną toaletką z klonowego drewna, grzebiąc w zaśmieconych szufladach w poszukiwaniu jakichś pamiątek. - Dobrze, że nie mam już biżuterii, skoro nie mam córki, której mogłabym ją zostawić po śmierci. Wiem, że niedługo przyjdzie pora na mnie. Po co żyć, skoro nikt już człowieka nie kocha? Przyszły inne przyjaciółki, ale po chwili poprosiła Kole, żeby je odesłał.

- Nic ich nie obchodzę! Chcą tylko zobaczyć, co mam. Pazerne stroki! Tymi chciwymi ślepskami będą wypatrywać, co by tu ukraść po mojej śmierci.

- To dobry znak - powiedział Alexowi Kola na osobności.

- Zaczyna robić zamieszanie wokół swoich majątkości. Myślę, że za kilka dni będziemy mogli wrócić do Paryża. Alex starał się nie okazać nadmiernego entuzjazmu. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie przystąpi do szukania pracy, i bał się, czy nie zostanie wydelegowany do pozostania z babką, dopóki ta nie otrząśnie się po stracie przyjaciółki. Ale, tak jak przewidywał Kola, po trzech dniach mogli już wyjechać.

W Paryżu Alex zobaczył inną wspólnotę rosyjskich emigrantów - większą, bardziej zróżnicowaną, nastawioną raczej na robienie interesów, a nie picie wódki i pogrążanie się w nostalgii. Swoich współplemieńców dzielili na dwie grupy: Rosjan, czyli emigrantów, i Rosjan z Rosji. Wuj Kola znajdował się w centrum społeczności emigracyjnej; każdy przybysz był do niego przyprowadzany.

- Znasz Kole Kuźmińskiego? Koniecznie musisz go poznać! Zna go każdy Rosjanin w Paryżu. Jego matka była

Kolia

335

wielką baleriną, niektórzy twierdzą, że największą w tamtych czasach. Kola zajmuje się handlem antykami - Faberge, srebro, tego typu rzeczy. Codziennie je lunch w restauracji na rogu, a po zamknięciu sklepu znajdziesz go w barze *vis-à-vis*. Wpadnij, żeby go poznać, będzie zachwycony.

Powitanie w domu wuja polegało na tym, że Alex został spędzony na dół po wyłożonych miękkimi dywanami, nieskazitelnie czystych schodach, po których przed chwilą weszli na górę, i wyprowadzony na ulicę.

- Znajdujemy się teraz - zaczął Kola belferskim tonem - na placu zwanym kiedyś placem Królewskim, a teraz, Panie zmiłuj się, placem „des Vosges”. A wiesz dlaczego? Zanim odpowiesz, przypomnij sobie, że jesteś we Francji.

- Eeee... Od tego czasopisma? - zaryzykował Alex, zmęczony po długiej podróży. Marzył o czymś do picia, najchętniej coli.

- Czasopisma? Nie, nie, drogi chłopcze. Wogezów, nie „Vogue”. Musisz uważniej słuchać. Francuski to precyzyjny język, nie jak rosyjski, który został stworzony, by w nim krzyczeć albo mamrotać. Nie, ta enklawa architektonicznej harmonii, ten klejnot renesansowej zabudowy został tak nazwany od departamentu Wogezów, ponieważ po Rewolucji Francuskiej obywatele tej części kraju byli na tyle głupi, żeby jeszcze przed wszystkimi zapłacić podatki. Oto, co się we Francji liczy, te ich parszywe podatki. A teraz pozwól, że ci pokażę co ciekawsze budynki...

- Czy mógłbym wnieść bagaże? - Alex grał na zwłokę, ale się przeliczył.

- Oczywiście, zostaw je pod drzwiami konsjerżki, ona ich przypilnuje. Rozejrzyj się dokoła. Widzisz? Plac składa się z trzydziestu sześciu budynków, każdy ma po cztery łuki. Nie są one identyczne, ale łączy je subtelne podobieństwo szczegółów, styl, sposób wykończenia, szczyty i tak dalej. Jeśli zaczniemy tutaj, pod szóstką, domem, w którym kiedyś mieszkał Victor Hugo...

Wycieczka trwała prawie godzinę. Alex niemal zasypiał już na stojąco. Po czterech latach wyętej pracy fizycznej wyczerpywał go wszelki wysiłek umysłowy. W mieszkaniu wuja zdążył przelotnie dostrzec bardzo wysokie okna, masywne, ciemne meble i dywany, po czym natychmiast zapadł w nowoczesny, skórzany fotel i przymknął oczy.

W podobny sposób upłynęły pozostałe dni weekendu,

Celia Brayfield

który Kola wielkodusznie zarezerwował dla siostrzeńca i poświęcił na jego edukację. Alex posłusznie dał się prowadzić z muzeum do muzeum, od jednego pomnika do drugiego, usiłując połączyć informacje, którymi wuj go zasypywał, z posągami, obrazami, szczegółami architektonicznymi, które przesuwały mu się przed oczami, zlewając w jedną niewyraźną plamę.

Sklep Kuźmińskiego mieścił się w podwórzu domu przy *rue Jacob*. Niemal co dzień studenci Sorbony znajdowali powody, by wylec na ulice, ale tylko wyjątkowo głośne demonstracje zakłócały spokój cichego zaułka. Kola nie zaniechał troski o rozwój intelektualny siostrzeńca. Alex dopiero za dziesięć dni miał się stawić na przesłuchanie w Operze Francuskiej i w cichości ducha marzył, że będzie mógł się oddawać swojemu ulubionemu zajęciu, czyli do późna wylegiwać się w łóżku. Był jednak rozczarowany, ponieważ co rano poddawano go dalszej edukacji kulturalnej. Po kilku dniach znalazł wymówkę w postaci konieczności codziennych ćwiczeń, ale wuj i tak oczekiwał, że chłopiec będzie z nim spożywał lunch w jego ulubionej restauracji, a potem zasiądzie przy stoliku z lapis lazuli w galerii, podczas gdy on w gabinecie na zapleczu będzie się spotykał z klientami.

Kiedy Alex lepiej poznał tryb życia wuja, przekonał się, że uprzejmość Koli nie jest zupełnie bezinteresowna. Lidia co dzień rano dzwoniła do syna. Pytała o Alexa, na co ten lekko, choć tonem sugerującym lenistwo czy wręcz upadek moralny, odpowiadał, że wnuka nie ma. Ani słowem nie wspomniał Alexowi o telefonach, nie przekazywał też pozdrowień babki.

Z typową młodzieńczą bezmyślnością Alex sam nie zadzwonił do babki, która szybko uruchomiła całą swoją koterię, żeby wyjaśnić kwestię domniemanego zejścia wnuka z dobrej drogi. Sprawa wyszła na jaw, kiedy Angela Partridge, która raz w miesiącu odbywała pielgrzymkę do Paryża, by odwiedzić siostrzenicę, pracującą w brytyjskiej ambasadzie, złożywszy o dziewiątej rano wizytę w mieszkaniu przy „Place des Vosges”, zobaczyła, jak Alex spiesznie wybiega na poranne ćwiczenia.

- Na twoim miejscu postarałabym się sama dbać o utrzymanie kontaktu z babką - poradziła mu po niezręcznym lunchu d *trois*, w którym towarzyszył im Kola. - Jaka ona jest, taka jest, ale twój wuj świata poza nią nie widzi. Nie zapominaj, że do chwili, kiedy tak nagle się pojawiłeś w jej życiu, przez pół wieku to on był jej beniaminkiem. Nic dziwnego, że może być odrobinę zazdrosny.

Kolia

337

- Twierdzi pani, że z zimną krwią nie dopuszczał, żebym z nią rozmawiał? - Alex ze zdumienia szeroko otworzył jasnoszare oczy.

- Nie. Ale jeśli chodzi o Kolę, wiecznie coś się przytrafia, choć nie jest to robione z zimną krwią. Jego prawica jest wyjątkowo ślepa na to, co czyni lewica.

Popołudniami cisza, która panowała w sklepie, działała uspokajająco. W nieruchomym powietrzu unosił się zapach papierosów Koli. Kilkaset metrów dalej ludzie tłoczyli się na szerokich chodnikach bulwaru St Germain. Ci, którzy szukali jakiegoś drogiego prezentu, przemieszczali się na lewy brzeg Sekwany, gdzie znajdowały się sklepy z antykami. Rzadko się zdarzało, żeby ktoś z nich zabłąkał się na podwórze przy *rue* Jacob. Ludzie, którzy tu zagłądali, zwykle przychodzili, żeby spotkać się z Kolą. Sklep, mimo delikatnego oświetlenia, dziewczczo białych ścian i nieskazitelnie czystych szklanych gablotek, w których umieszczono istne skarby, pełnił właściwie funkcję atrapy. Obroty firmy, które - jak z lękiem i czcią odkrył w pewnym momencie Alex - sięgały miliardów franków rocznie, pochodziły niemal wyłącznie z transakcji zawieranych nad herbatą w gabinecie na zapleczu. Dla Alexa, który siedział wyciągnięty na niewygodnym krześle między kasetką z bezcennymi drobiażdżkami Fabergego a szkatułką z biżuterią moskiewskiej szkoły art deco, największym wydarzeniem popołudnia było, jeśli z drzewka w donicy opadł liść.

Kiedy dzwonił do babki, często sprawiała wrażenie pijanej, nawet jeśli była trzeźwa. Zdarzało się, że nie miała pojęcia, czy to zima, czy lato, czy jadła coś, czy nie, jaki jest dzień tygodnia. Czasem prosiła, żeby zawołać Kolę, który brał słuchawkę z leciutkim zmarszczeniem brwi.

Co wieczór o siódmej Alex przeżywał kolejną nieprzyjemną chwilę - od strony wydziału prawa pojawiał się kochanek wuja. Wedle wszelkich reguł gry, to Kolę, którego włosy rzedły, a pod wytworną, szytą na zamówienie koszulą zarysowywał się brzusek, powinien trawić lęk, czy jego śliczny chłopiec nie zakocha się w jego równie pięknym siostrzeńcu. Tymczasem to Etienne zdawał się okazywać zazdrość, którą starszy mężczyzna skrywał. Cały wieczór trzymał kościstą rękę na ramieniu Koli, nie spuszczać wzroku z intruza. Przez ostatnie kilka lat, od chwili rozpoczęcia studiów, za które płacił jego opiekun, szerokie ramiona Etienne'a się przygarbiły, a on sam - z gładkimi, gęstymi ciemnymi włosami i słabością

339 *Cetia Brayfield*

do czarnych golfów - z wyglądu zaczął nieco przypominać mrocznego sępa.

Alex uważał swój występ w Operze Francuskiej za udany. Jednak, ku jego złości, egzaminatorzy - dwóch mężczyzn i kobieta - oświadczyli chłodno, że jest za wysoki. Natychmiast zadzwonił do Cannes, do *madame* Siedowej.

- Koniecznie musi pani coś zrobić. Na przesłuchaniu nie było Lifara, tylko jego zastępca i *regisseur*. Przypuszczam, że nawet nie wiedzieli, z kim mają do czynienia.

- Moje biedactwo, wiedzieli i to doskonale - usłyszał jej gardłowy głos. - Lifar wczoraj do mnie dzwonił. Zdaje się, że nie byłeś zupełnie szczery, kiedy mówiłeś, dlaczego opuściłeś Akademię? Pewnie ci się wydawało, że kilka głupich staruszek nigdy się nie dowie prawdy? Ale świat jest bardzo mały i wcześniej czy później wszystko wychodzi na jaw.

- Przecież nie zrobiłem nic złego!

Niemal zupełnie wymazał z pamięci wspomnienie wypadku Witii.

- Złamałeś regulamin, a to najgorsze, co w ich oczach można zrobić. Wiesz, ilu chłopców dałoby wszystko za taką szansę? A ty ją zniszczyłeś. Nie powiem o tym twojej babce, dość się już nacierpiała. My wszyscy zresztą też. A ten biedak zostanie kaleką na całe życie. Na domiar nieszczęść dziewczyna jest w ciąży.

- Jaka dziewczyna? Niemożliwe, nie Ania, przecież przywiozłem jej... - Przypomniawszy sobie, że pupilka *madame*, Cecile, której rodzice byli ginekologami, dała mu lewe recepty na środki antykoncepcyjne, środki, od których w tak ogromnym stopniu zależało jego szczęście. - Nieważne, powiedzmy, że odpowiednio się o nią zatroszczyłem. Jeśli zaś chodzi o chłopaka, wina leży wyłącznie po jego stronie, mnie nawet przy tym nie było.

Usłyszał, że *madame* wciąga głęboko powietrze, wyobraził sobie, jak jej pierś nadyma się z oburzenia pod jedną z jej ulubionych szyfonowych bluzek.

- A więc to wszystko prawda. Jak śmiesz próbować się usprawiedliwiać! I jak śmiałeś nas wszystkich tak okłamać! Wiesz, na jaką idiotkę wysłałem, kiedy Lifar zadzwonił? Nikt nie przyjmie tancerza z taką reputacją - po pierwsze niedyscyplinowany, po drugie łajdak. Zepsucie szybko się szerzy. Moim zdaniem powinieneś wrócić do szkoły i spróbować ich przekonać, że się zmieniłeś, albo dać sobie spokój i poszukać

Kolia

339

pracy w kabarecie. Dla człowieka z twoją moralnością może się to okazać jedynym właściwym miejscem.

Gwałtownie odwiesiła słuchawkę. Alex cisnął telefon w kąt i krążył po pokoju, dopóki nie zapanował nad gniewem i rozczarowaniem. Wyobrażał sobie, że pobyt w Leningradzie odpłynie w niepamięć, że tamtejsza szkoła baletowa, niczym jakiś zamknięty zakon, nie ma kontaktu z zewnętrznym światem, tak że jego grzechy tam popełnione nigdy nie wyjdą na jaw. Po raz drugi został wypędzony z rodziny, kolejnej rodziny, do której właściwie nie należał, która obnażyła jego złe serce i odrzuciła próby przystosowania.

Spłoszony usiadł przy biurku wuja i napisał do sześciu małych grup objazdowych, których adresy dostał od nauczyciela. W drodze na lunch zajrzał do fotografa i zamówił dodatkowe odbitki swoich zdjęć. Jego wspianiała, złota przyszłość nagle rozviała się niczym fatamorgana, a terażniejszość stawała się niepewna.

Choć wuj był wobec niego serdeczny, Alex czuł się niezręcznie, mieszkając z nim pod jednym dachem. Skrajnie różnili się w swoich poglądach na kobiety. Kuźmiński miał przyjaciółki, grupkę szalenie eleganckich pań w jego wieku, które towarzyszyły mu na wystawach, otwarciach galerii i innych wydarzeniach towarzyskich. Pełniły w jego życiu funkcję podobną do rzeźb - wymagał, aby były piękne i podziwiane. Jeśli kiedykolwiek żądały zainteresowania, czegoś więcej niż szarmanckiego traktowania albo oczekiwały współczucia i zrozumienia, Kola stwierdzał, że są żalotne, neurotyczne, niezaspokojone emocjonalnie i stawiał je za przykład beznadziejnej niższości ich płci.

Z wyjątkiem tych kilku kobiet, które nawet nie zdawały sobie sprawy, jak bezlitośnie są krytykowane za plecami, środowisko Koli składało z homoseksualistów i wiódł on życie nudne i uporządkowane. Oprócz występów oficjalnych, na które Kola zabierał swoje przyjaciółki, on i Etienne krążyli po stałej orbicie, uczestnicząc we wszelkich wydarzeniach, przynajmniej w minimalnym stopniu związanych ze światem sztuki. W czasie weekendów ich приятели urządzali przyjęcia na poziomie, na którego widok Alex ze zdumieniem otwierał usta, jednak najczęściej pojawiali się tam wyłącznie homoseksualiści.

Alexa drażniła ciągle konieczność potwierdzania własnych preferencji seksualnych. Przekonał się, że jeśli choć na chwilę odejdzie od Koli, będzie nagabywany. Pewnego wieczoru na

340 *Celia Brayfield*

przyjęciu wydawanym przez znajomego dyrygenta poznał rówieśnika, młodego Amerykanina, który wraz ze swoim chórem przyjechał na występy do Paryża. Wdali się w długą, interesującą rozmowę i Kola, który, jak później wytłumaczył, nie chciał mu przeszkadzać, wyszedł z przyjęcia z Etienne'em.

Kiedy nad ranem towarzystwo powoli się rozchodziło, Alex stwierdził, że znalazł się sam na sam z gospodarzem, który oświadczył, że o tej porze taksówki nie jeżdżą, następnie przyciągnął chłopca ku sobie i wycisnął na jego ustach pocałunek.

- Och, będziesz przewspaniały... Poczekaj. Najpierw jeszcze trochę szampana - zarządził, wyciągając rękę, jakby chciał obudzić roztargnionego solistę, uznając brak odpowiedzi oniemiałego ze zdumienia Alexa za zgodę.

Kiedy udał się na poszukiwanie butelki, Alex rzucił się do drzwi, pootwierał liczne zasuwki i wybiegł na ulicę. Nie powiedział nic wujowi, ale ten następnego wieczoru poradził mu, aby w przyszłości zachowywał się rozsądniej.

Jednak chłopak przestał ufać krewniakowi, szukając w niemal każdym jego zdaniu ukrytych znaczeń.

- Taki jesteś ostatnio blady, źle się czujesz? - spytał Kola pewnego wieczoru, kiedy wrócili do domu, żeby się przebrać przed wyjściem do teatru.

Ta serdeczna troska natychmiast postawiła Alexa w stan alarmu.

- Ależ nie, czuję się świetnie.

- Moim zdaniem kwiecień sprzyja wyczerpaniu. Pogoda jest taka zmienna. Zaprosiłem kilku przyjaciół na kolację po występie, ale jeśli wolałbyś odpocząć, nie będę cię zmuszał. Byłeś taki milczący, zastanawiałem się, czy nie czujesz się trochę zmęczony.

- No cóż, rzeczywiście. I słuchałem, co mówiłeś o tych emaliowanych drobiazgach, które dzisiaj kupiłeś.

Wspominałeś coś, że Faberge wprowadził kolory do biżuterii.

- Tak, to prawda, dzięki emaliom i kamieniom takim jak nefryt, jadeit, kwarc i kamieniom półszlachetnym jak rubiny i szafiry. Wcześniej jubilerzy gardzili tanimi kamieniami, dlatego pod względem kolorystycznym wybór był niewielki. Ale dość o tym, rozmawialiśmy o tobie. Usiądź, odpocznij, napijemy się czegoś.

Wskazał mu sofę, na której piętrzyły się poduszki, potem sięgnął nad ramieniem Alexa i nacisnął dzwonek. Z dalszej części domu przyszedł służący, żeby przyjąć zamówienie.

Kolia

341

- Bardzo cię przepraszam, wiem, że dałem się ponieść tematowi, podziwianie wspaniałych przedmiotów sprawia mi taką rozkosz i czuję, że ty także nie pozostajesz obojętny na piękno. Zresztą, któż z nas przeszedłby obok niego obojętnie? W końcu to naturalne. Ale zastanawiam się, czy nie jesteś odrobinę smutny? Rozczarowało cię przesłuchanie w Operze? Czy odezwały się inne grupy?

- Nie, same złe wiadomości. Dwie od razu odpisały, że na razie nikogo nie potrzebują, od pozostałych brak odpowiedzi, a minęło już kilka tygodni.

- Dopiero co była Wielkanoc, ludzie ciągle jeszcze nie powracali z urlopów. Może bym się popytał tu i ówdzie. Mam kilku znajomych, którzy mogliby ci pomóc.

- O, nie, proszę, nie zwracaj sobie mną głowy. I tak wiele już dla mnie zrobiłeś. - Alex, który zdążył się już przekonać, jak skutecznie homoseksualiści pomagają sobie w robieniu kariery, bał się, żeby go nie wciągnęli w swą sieć. - Po prostu ostatnio sporo mam na głowie.

- Czyżby dolegało ci coś jeszcze?

- Właściwie tak, jest jeszcze jedna sprawa. - Wpadła mu na myśl wspaniała wymówka. - Bardzo tęsknię za moją dziewczyną z Leningradu. Nie mieliśmy... Cóż, nie mogliśmy się pożegnać, jak trzeba. A jej oczywiście trudno napisać. Ciągle o niej myślę i zastanawiam się, co się z nią dzieje. Dotarły do mnie plotki, że jest w ciąży, więc naprawdę się niepokoję.

- Nie mogliście się pożegnać jak trzeba... Co masz na myśli?

- No, że ona... Nie było jej, kiedy wyjeżdżałem, nie mogłem jej znaleźć.

Prawda wyglądała tak, że choć wyrwał się pracownikowi ambasady i pobiegł do akademika dziewcząt, Ania była tak głęboko uśpiona, że nie mógł jej dobudzić. Rozmawiali, wyjaśnił jej wszystko, wymamrotała kilka słów, ale wątpił, czy rano będzie cokolwiek pamiętała.

- Ale chyba wiedziała, że wyjeżdżasz?

Czy przez wuja przemawiała prawdziwa troska, czy też wiedział, że Alex wymyślił historyjkę o tęsknocie za dziewczyną i teraz próbował go złapać na nieściskościach.

- Tak, oczywiście, tylko że nie spodziewała się, że wyjadę właśnie wtedy, rozumiesz, co mam na myśli. A przynajmniej tak mi się wydaje, że to był prawdziwy powód.

342 *Celia Brayfield*

- Rzeczywiście, niewykluczone. Ale nie powinieneś się tym zbytnio przejmować. Z własnego doświadczenia wiem, że Rosjanki tak łatwo nie wypuszczają z rąk okazji.

- Nie, nie, Ania nie jest taka.

- One wszystkie są takie same, drogi chłopcze, sam się przekonasz.

Alex poczuł się dotknięty tym stwierdzeniem, a wyraz jego twarzy mówił wyraźnie, że nie wierzy w doświadczenie wuja z kobietami jakiegokolwiek narodowości.

- Wierz mi, Alex, wiem, co mówię. Moje życie nie zawsze wyglądało tak jak teraz. Dwanaście lat byłem żonaty, mogę cię zapewnić, że nie był to udany związek, ale nie z mojej winy.

- Czy twoja żona też była Rosjanką?

Alexa zacięła się goryczy w głosie wuja.

- Tak, prawie. Litwinką, one słyną z głupoty. Miałem dwadzieścia sześć lat, byłem dość zamożny i matka ciągle marudziła, żebym się ożenił. Wszystkie starsze kobiety chcą zostać babkami. - Wybrał jedno z nowoczesnych krzesel, niską konstrukcję ze skóry i chromu, i zapadł w nie, krzyżując nogi i wygładzając idealnie wyprasowane flanelowe spodnie. - Wycinała ogłoszenia matrymonialne z dziennika emigrantów, „Ilustrowannaja Rossija”. To była jej prawdziwa namiętność, widzę to nawet teraz... - Pogardliwym ruchem ręki narysował w powietrzu prostokąt.

- „Samotna Rosjanka z Litwy chciałaby nawiązać korespondencję z gotowym jej wysłuchać Rosjaninem z Paryża i dostać jego zdjęcie. Powinien mieć poniżej czterdziestu lat, stałą pracę, lubić muzykę i sztukę.”

- Niezbyt wygórowane żądania.

- Tak się wydawało. No i mama napisała do tej dziewczyny, podała adres sklepu i zaprosiła do mnie. Wieczna swatka, nawet jeśli mieszkała w drugim końcu kraju. No i, żeby jej sprawić przyjemność, ożeniłem się z dziewczyną. Po czym przekonałem się, że nie ma większej samotności niż mieszkać pod jednym dachem z kimś, z kim nie sposób się porozumieć.

- Taka była milcząca?

- Wręcz przeciwnie, ciągle gadała, bezustannie, od rana do nocy. To wspólna cecha wszystkich kobiet. Na szczęście często musiałem wyjeżdżać w interesach, ale wtedy jeszcze nie znałem prawdy o sobie. To znaczy, gdzieś w głębi serca to przeczuwałem, takie rzeczy się wie, ale odkryłem to dopiero w wojsku, kiedy wybuchła wojna. I tak w wieku trzydziestu pięciu lat rozpocząłem nowe życie.

Kolia

344

Tu wuj niezauważalnie zawiesił głos, robiąc pauzę tak krótką, że niemal niewyczuwalną, zupełnie jak wermut w ich martini. Jednak Alex, podziwiając subtelne podejście Koli, odrzucił zaproszenie do wszczęcia rozmowy o swoich preferencjach seksualnych.

- Rozwiedliście się?

- Szczęśliwie nie było takiej potrzeby. Przyszli Niemcy, ludzie zaczęli uciekać z Paryża. Mama chciała, żeby moja żona z dziećmi przyjechała do niej, do Nicei, ale żona nie przepadała za swoją teściową. Dwie kobiety nie mogą rządzić w jednej kuchni, choć w wypadku mojej matki to nie ma nic do rzeczy, bo ona chyba w ogóle nie wie, jak wygląda kuchnia. Dlatego moja żona do ostatniej chwili nie chciała opuścić Paryża, wreszcie postanowiła zabrać się z przyjaciółmi ich samochodem. Drogami wiodącymi na południe ciągnęły miliony ludzi. Niemcy bombardowali ich i ostrzeliwali. Wszyscy z tego samochodu zginęli.

- Jakież to smutne.

Ten uprzejmy wyraz żalu nie spotkał się z żadnym odzewem. Alexa do głębi zmroziła pozbawiona wszelkich uczuć, chłodna narracja wuja. W tej samej chwili pojął, że nie potrafi żyć w eleganckim, zimnym, niechętnym kobietom świecie Koli Kuźmińskiego. Jego dusza niczym tlenu potrzebowała ciepła i troski - kobiecego ciepła i troski. Czuł, że bez tego umrze.

Minęło kilka tygodni. Jego stary nauczyciel nalegał, żeby zaczął chodzić na lekcje jazzu i stepowania, ale Alex nie chciał się rozstawać ze swoimi marzeniami o balecie klasycznym. Poszedł na jedno zajęcia, uznał, że to mu nie odpowiada. Biorąc prysznic usłyszał, jak starzy bywalcy w brzydki, małostkowy sposób, który budził w nim odrazę, wymieniają plotki o nowych filmach i pogłoski o przesłuchaniach.

Otrzymał kilka odpowiedzi na swoje listy. Niewielka grupa baletowa w Lyonie zaprosiła go na przesłuchanie.

Wyruszył pełen nadziei. Zetknięcie z szarą rzeczywistością ponurych, źle wyposażonych sal, niskich płac i klaustrofobicznej grupy ludzi zżeranych przez zawiść sprawiło, że zatańczył grubo poniżej swoich możliwości.

Mimo to zaoferowano mu pracę, której nie przyjął.

I oto pewnego ranka w mieszkaniu zadzwonił telefon.

- *Mamasza* jest w szpitalu - oznajmił Kola, pospiesznie wiążąc krawat i idąc po walizkę. - Wyjeżdżam natychmiast, zadzwonię do Etienne'a, a ty musisz pójść do sklepu i zrobić

345 *Celta Brayfield*

następujące rzeczy; weź kartkę i zapisz. Na moim biurku leży kalendarz. Zadzwoń do wszystkich, z którymi byłem umówiony na dziś albo jutro i przełóż spotkania. Wiesz, gdzie są numery telefonów. Następnie w środkowej szufladzie po lewej stronie jest niewielka kasetka z pieniędzmi, znajdziesz w niej trochę dolarów. Zanieś je do banku *Societe Generale*, książeczka leży pod kasetką. Jeśli uda ci się dodzwonić do wszystkich, zamknij sklep i wywieś informację, że właściciel musiał wyjechać na kilka dni w sprawach rodzinnych. Jeśli nie, zostań w sklepie i czekaj. Jasne? Zapamiętałeś?

Nie zdążył nawet potaknąć, bo Kola wybiegł z domu, po drodze wciągając na siebie płaszcz.

W pustym sklepie Alex zasiadł w krześle wuja i dzwonił do poszczególnych klientów. Na czwartą Kola zapisał cyrylicą niejakiego Gotza, którego Alex nie znalazł w notesie z telefonami. Musiał więc całe popołudnie spędzić w sklepie. Po kilku godzinach myślenia o błahostkach, zaczęło do niego docierać, że jeśli *grand-mere* umiera, Kola po raz ostatni będzie próbował ją mieć wyłącznie dla siebie. Zadzwoił do swego sprzymierzeńca, pani Partridge, ale jej nie zastał.

Götz okazał się pulchnym ciemnowłosym, lekko łysiejącym na skroniach mężczyzną około czterdziestki. Mimo to, kiedy zdjął kapelusz, grzywka opadła mu aż na oczy. Należał do kategorii Rosjan z Rosji, ale otaczała go aura zamożności, która pozwalała się domyślić, że w kraju musiało mu się dobrze powodzić, ale że równocześnie był przyzwyczajony do Zachodu.

- Pewnie jesteś tym siostrzeńcem?

Alex przywitał go po rosyjsku. Słyszac swój język, mężczyzna zerknął nań ciekawie wilgotnymi, ciemnymi oczami.

- Tak, rzeczywiście. Muszę pana przeprosić, wuja niestety nie ma, choroba w rodzinie... Staralem się do pana dodzwonić...

- Przecież Kuźmiński nie ma rodziny... Ach, oczywiście! Matka! Mam nadzieję, że to nic poważnego?

Na jego twarzy malowało się ogromne zainteresowanie.

- Nie wiem, ale to prawie osiemdziesięcioletnia kobieta...

- Powiedziałbym raczej, że co najmniej osiemdziesięcioletnia. Raz ją widziałem, wiele lat temu. Ta to miała życie, co? Teraz nawet nie potrafimy sobie tego wyobrazić. Kola wyjechał wczoraj?

- Dziś rano.

Kolia

345

- To pewnie jeszcze nie dojechał. Babka mieszka w Cannes, prawda? Nie, nie, w Nicei, już sobie przypominałem. No cóż, mam w Paryżu mnóstwo spraw do załatwienia. Zadzwoń przed wyjazdem, żeby się dowiedzieć, czy wrócił. Pozdrów go ode mnie serdecznie, dobrze?

Ponownie umieścił kapelusz na głowie, naciągając na oczy rondo, potem skocznym krokiem opuścił sklep, jakby właśnie usłyszał wspaniałą wiadomość.

Alex zasunął metalowe żaluzje i przed wyjściem jeszcze raz wykręcił numer Angeli Partridge. Zastał ją w domu. Od razu potwierdziła jego obawy.

- Drogi chłopcze, podejrzejawą zawał. Odzyskała przytomność, ale jest strasznie osłabiona i oczywiście istnieje niebezpieczeństwo kolejnego ataku. Jakaż ze mnie idiotka, spodziewałam się, że obaj przyjedziecie. Powinnam była porozmawiać z tobą osobiście. Jedź najbliższym pociągiem, o świcie powinieneś być na miejscu.

Klinika znajdowała się na cyplu poza miastem. Rozciągał się z niej widok na fale Baie des Anges i lśniące w promieniach słońca morze. Alex wziął taksówkę ze stacji i dotarł do szpitala w chwili, kiedy ubrane w białe fartuchy pielęgniarki szykowały pacjentów do śniadania. *Grand-mere* była sama, leżała na płask w niewielkiej separacie. Obok łóżka wisiał zbiornik z tlenem, z drugiej strony stał monitor. Woskowo-błądą twarz, szyję i ramiona kobiety przecinały niebieskie, nabrzmiałe żyły, płaska pierś unosiła się i opadała w chrapliwym oddechu.

- Czy jest przytomna? - zahaczył nieśmiało jakąś pielęgniarkę.

Kobieta szeleszcząc wykrochmaloną spódnicą podeszła do łóżka i pochyliła się nad drobną sylwetką na łóżku.

- Może. Zdawało mi się, że usłyszała mnie, kiedy przyszłam sprawdzić, czy nie chce czegoś do jedzenia. Wczoraj trochę mówiła. *Madame*, przyjechał do pani wnuczek.

Brak odpowiedzi. Pielęgniarka wyciągnęła rękę i zacisnęła wokół jej nadgarstka czerwone, stwardniałe od szorowania palce. Po chwili nacisnęła dzwonek nad łóżkiem.

Alex usłyszał tupanie gumowych podeszew i do pokoju weszły dwie zakonnice z nową butlą tlenową. Postawiły ją obok łóżka i nałożyły pacjentce maskę. Po chwili do separatki wpadł lekarz i kazał Alexowi czekać na zewnątrz.

Właśnie tam godzinę później zobaczył Kole, który pewnym

Celia Brayfield

krokiem przemierzał korytarz. W jasnych oczach wuja zamigotał gniew, ale ukrył złość zapalając papierosa. Nie odezwał się ani słowem, dopóki z pokoju nie wyszedł lekarz, wyjmując z uszu słuchawki.

- Kolejny zawał - potwierdził. - Poważniejszy, znacznie poważniejszy. Oczywiście, nigdy nic nie można twierdzić na pewno, ale wygląda na to, że zbliża się koniec. Jej stan pogarsza się z minuty na minutę.

Czuwali przy jej łóżku; oni dwaj po jednej stronie, po drugiej zaś zakonnica, w milczeniu wpatrując się w nierówny wykres na monitorze. W separacie było gorąco i duszno, unosił się zapach choroby. Ruch klatki piersiowej i oddech chorej niemal całkiem ustały. Alex siedział śmiertelnie znudzony, w duchu wyrzucał sobie, że nie stać go na bardziej stosowne odczucia. Utkwił wzrok w nieruchomej sylwetce pod prześcieradłem, próbował sobie wyobrazić, jak wyglądała, kiedy jej ciało było silne i prężne, krew swobodnie przepływała przez żyły, skóra jaśniała zdrowiem, a wyćwiczone mięśnie wykonywały każdy ruch.

Spokój zakłócił nagły ruch siostry. Zerwała się, ponownie zbadała puls chorej i znowu nacisnęła dzwonek. Tym razem przyszedł tylko lekarz.

- Odeszła od nas - stwierdził, i Alex zauważył, że w jego głosie brzmiało rozdrażnienie, jakby *grand-mere* umyślnie go przechytrzyła. Kola skurczył się pod marynarką. Lekarz lekko położył mu dłoń na ramieniu. - Mózg niewątpliwie został poważnie uszkodzony, to najlepsze, co ją mogło spotkać. Śmierć była dla niej wybawieniem.

Jego słowa wywołały łzy. Kola odwrócił się, sięgając po chusteczkę. Przez chwilę wydawało się, że zwymiotuje.

Alex dostrzegł jednak, że wuj kilkanaście razy zaciska i otwiera pięść. Powoli się prostował, choć drżał, starając się opanować. Kiedy się odezwał, początkowo nie mógł zapanować nad głosem. Pierwsze sylaby wyjąkał, potem wyszeptał, wreszcie niemal krzyknął.

- Jest pan pewien?

Lekarz, przyzwyczajony do najdziwniejszych reakcji na śmierć, odparł spokojnie:

- Nie ma co do tego wątpliwości. Ustały wszelkie oznaki życia. To już koniec.

- Czy nie można...?

Szeroko otwarte, wytrzeszczone oczy Koli świadczyły o wysiłku, z jakim starał się zapanować nad uczuciami.

Kolia

347

- Nic więcej nie da się zrobić.

Kola postąpił w stronę łóżka, zatrzymał się, jakby się bał, że upadnie, potem schylił się i wziął w ramiona drobne, bezwładne ciało. Pielęgniarka dyskretnie odłączała przewody, które łączyły je z monitorem. Kiedy Kola objął matkę, z ust zmarłej wyrwał się straszny, lepki dźwięk, ostatni oddech wydobyty z płuc przez uścisk syna.

Słyszając ten odgłos, Alex instynktownie odskoczył w tył, ale jego wuj zaczął mamrotać bez ładu i składu, jakby uspokajał dziecko.

- Cii, śliczny aniołku, już dobrze, już dobrze. Nie zmarzniesz, aniołku, wiem, jak się boisz zimna. Tropikalny kwiecie, moja biała orchideo, zimno nie jest dla ciebie. Lubisz ciepło, wiem, wiem. I będziesz wyglądać pięknie, przepięknie. Wspaniała biała suknia z lśniącego jedwabiu, do tego perły, jak panna młoda... - Z obrzydzeniem ujął rąbek szpitalnej koszuli nocnej, jakby dopiero teraz ją zauważył. - Wszystko, co lubisz, moja biała orchideo, zajmujemy się tobą.

Poszukał jej ręki i przycisnął ją do serca.

Lekarz ruszył w stronę drzwi. Widząc znieruchomiałego Alexa przy stoliku, lekko dotknął jego ramienia. Cicho wyszli z pokoju, za nimi wysunęła się siostra.

Mimo upału Kola nalegał, żeby ciało matki wystawić w domu. Odnosiło się wrażenie, że już dawno zaplanował całą uroczystość w najdrobniejszych szczegółach. Alex został zapomniany z chwilą, gdy się pojawił Etienne, który przywiózł z Paryża znajomego, projektanta wystaw w Galeries Lafayette. Zapuszczona, zagracona willa zmieniła się nie do poznania pod metrami udrapowanego jedwabiu i donicami palm. Ponieważ stół za bardzo się chybotął i mógłby nie wytrzymać ciężaru trumny, ustawiono ją na kozłach, osłoniętych kolejnymi metrami jedwabiu i ozdobionych orchideami.

Z paryskiego mieszkania Koli Etienne przywiózł portret Lidii w białym kostiumie z *Sylfid*, który postawiono w głowach trumny. Dokoła porozstawiano zdjęcia, drobiazgi i album z pożółkłymi recenzjami prasowymi.

Doszło nawet do sprzeczki - pierwszej sprzeczki, jaką Alex widział między Kola a kochankiem - o właściwe nakrycie głowy dla zmarłej. Kola optował za przybranym klejnotami i sznurami pereł stroikiem, który nosiła w roli Salome. Etienne radził zaś, by ubrać ją w kokosznik, tradycyjną rosyjską koronę ozdobioną perłami i brylantami z welonem zarzuconym

Celia Bray field

na twarz. Po całym dniu pełnego urazy milczenia między kochankami, kiedy trumna pozostawała zamknięta, przyjechała z Cannes *madame* Siedowa i wezwała patriarchę, aby rozsądził spór. Ten przyznał co prawda, że tą rolę Kuźmińska podbiła Zachód, ale ponieważ Salome była pogańską królową odpowiedzialną za śmierć świętego, głosował za koronę. Kola przybrał obojętny wyraz twarzy i trumnę otwarto.

Wkrótce pokój wypełnił się kwiatami, które szybko więdły w upale. Z głośników rozlegały się tony VI Symfonii Czajkowskiego. Przez willę przesuwiał się wręcz niewyobrażalny tłum ludzi. Większości z nich Alex nie znał, choć znaczna ich część niewątpliwie była tancerzami, a reszta zaliczała się do grona wielbicieli sztuki. Licznie reprezentowane też było środowisko Koli - szczupli, pomarszczeni mężczyźni i kobiety w wytwornych ubraniach plotkowali z ożywieniem, jakby wybierali się na obiad albo kolację.

- Oddanie czci zmarłemu musi być dla nich niczym najwspanialszy aperitif. Zdaje się, że to świetnie wpływa na poprawę apetytu. Boże, jak ci Francuzi uwielbiają jedzenie. - Dla podkreślenia swoich słów Angela Partridge głośno zamknęła swój wachlarz z plastiku, udającego kość słoniową. O tym, że coś przeżywa, świadczyły jedynie zaczerwienione policzki i ściśnięte gardło. Bezceremonialnie wyproszona przez Kolę z salonu, schroniła się z Alexem do kuchni i tam wraz z pokojówką zasiedli przy samowarze. - Mam nadzieję, że Lidii, gdziekolwiek teraz jest, podoba się ten cyrk. Jeśli w cerkwi będzie tak samo gorąco, wszyscy pomdleją.

Wkrótce znowu znaleźli się w pachnącym kadzidłem wnętrzu cerkwi, gdzie w ledwie ciepłe, mimo panującego na dworze czerwcowego upału, powietrze wznosiły się melodie hymnów. Alex przepchnął się do trumny, postanowiwszy, że tym razem nie da się zastąpić wujowi w spełnieniu swego obowiązku, ale nie mógł się zmusić, żeby spojrzeć na twarz umarłej. Suche dłonie zaciśnięto wokół bogato zdobionego krucyfiks, obok niej leżały zniszczone jedwabne baletki.

Po powrocie do Paryża Alex miał coraz dotkliwsze poczucie zawieszenia. Nie było żadnych odpowiedzi na jego listy, nawet odmownych. Dni mijały jak przedtem i Alex trzymał się kurczowo nudnej rutyny, bojąc się, że inaczej zupełnie się rozplynie w anonimowym tłumie. Pojawiła się Angela Partridge, jak zwykle ubrana w jedwabną popołudniową sukienkę i starannie cerowane pończochy. Przy-

Kolia

349

niosła starą, tekturową teczkę, w której znajdowały się podpisane kopie najsłynniejszych portretów baletowych Kuźmińskiej i plany jej starego domu.

- Obiecałam, że ci to wyjaśnię - wyszeptała Angielka, jakby się bała, że zostaną podsłuchani.

- Wujka nie ma - uspokoił ją Alex.

- Lidia nie potrafiła znieść myśli, że nie ma nic, co by ci mogła zostawić. Oczywiście, wszystko, co mieli, sprzedali wiele lat temu. Powiedziała, że Kola sam sobie poradzi, ale rozpaczliwie chciała zrobić coś dla ciebie. Dlatego zostawiła

- tu wyciągnęła największy arkusz, rysowany fioletowym atramentem - te plany. Oto plany parteru ich domu, a to - pokazała gwiazdkę w rogu - miejsce, gdzie znajdował się sejf, w którym przechowywano wszystkie klejnoty, w tym słynną kolię podarowaną jej przez Orłowa. Widzisz ją na tym portrecie. Tak więc, drogi chłopcze, wystarczy, że pojedziesz do Rosji, znajdziesz dom, wysadzisz ścianę i otworzysz skrytkę, a zdobędziesz istic królewski majątek. Roześmiali się niepewnie, wzruszeni tym ostatnim dowodem wiary Lidii w bogactwo materialne.

Alex ze zdwojoną energią zaczął szukać pracy. Wstawał wcześniej na zajęcia, popołudnia spędzał przy stoliku z lapis lazuli. Przed sobą miał kartki z adresami i numerami telefonów, które spisał z tablicy ogłoszeń w studiu i stertkę nowych odbitek. Perspektywy nie były oszałamiające. Poszukiwano tancerzy do pracy na statku wycieczkowym na Karaiby. Organizowano przesłuchanie dla aktorów na objazdowe wykonanie musicalu *Hair*. W Evian dyrektor kabaretu występującego w kasynie szukał wysokich chłopców. Alex pisał listy i zaraz je darł. Chodził na przesłuchania, spóźniał się, zachowywał się beczelnie i robił wszystko, żeby dostać jak najmniej ofert pracy. Sława i bogactwo, o których zawsze marzył, zdawały się nieosiągalne. Kola stopniowo tracił cierpliwość i Alex codziennie spodziewał się, że wuj z udanym smutkiem oświadczy mu, że niestety ich drogi muszą się rozejść.

Ciszę lipcowego popołudnia przerwał jakiś odgłos. W drzwiach stała wysoka kobieta w nasuniętym na czoło słomkowym kapeluszu. Cała - od równych ramion po kostki

- była spowita w dwurzędowy płaszcz z jakiegoś mięsistego jedwabiu we wzór naśladowujący skórę pytona. Alex przyzwyczał się do widoku wspaniale ubranych kobiet, ale to, co zobaczył, odebrało mu na chwilę mowę.

Celia Bray field

- Czym mogę pani służyć? - wydusił wreszcie po chwili. Jej twarz ginęła pod rondem kapelusza, Alex widział tylko pełne, smutne wargi i kanciastą brodę.

- Chciałabym coś kupić, ale sama nie wiem co.

- Czy to ma być coś na prezent?

Ponieważ Kuźmiński najczęściej robił interesy z innymi handlarzami, rzadko się trafiało, żeby ktoś kupował coś dla siebie. A już po raz pierwszy Alexowi zdarzyło się widzieć tu samotną kobietę, bez towarzystwa.

- W pewnym sensie.

- Jakaś ozdoba do sukni balowej, a może drobiazg z okazji urodzin...

Alex ruszył w stronę gablotki z biżuterią, szukając kluczyka w wewnętrznej kieszeni marynarki, którą na wyraźne żądanie Koli musiał nosić nawet w upalne dni. Czasem, wpatrując się w naszyjniki i diademy, wyobrażał sobie, jak by wyglądały na elegancko ubranych kobietach, które widywał wyłącznie na zdjęciach w „Paris Match”.

- Nie. Z okazji rozwodu.

Oszołomiony wykonał rutynowe czynności: zamknął drzwi, wyłączył alarm.

- Rozvodu...

Usta rozchyliły się w smutnym uśmiechu, ukazując równe zęby.

- Mojego rozwodu. Dziś ostateczna rozprawa, no i... Musiałam się czymś zająć, więc czemu by czegoś nie kupić?

Zawsze chciałam mieć jakiś drobiazg, który by coś znaczył, z którym by była związana jakaś opowieść czy romantyczna historia...

- W takim razie trafiła pani do właściwego sklepu.

Na twarz przywołał dworny uśmiech, mając nadzieję, że kobieta nie zauważyła jego zdumienia. Kola rzadko zwracał sobie głowę mówieniem, ile kosztują poszczególne przedmioty, ponieważ wszystkie transakcje przeprowadzał osobiście. Alex oczywiście pytał o ceny i wiedział, że w sklepie nie ma rzeczy wartej mniej niż dwadzieścia tysięcy franków.

- Czy upatrzyła sobie pani coś konkretnego?

- Och, nie wiem... Niech spojrzę.

Stała obok niego przy gablotce i pokazała broszkę w kształcie kokardy z dużym mleczonebieskim kamieniem w środku.

- Co to za kamień w tej broszce? O, tam w głębi?

Kolia

352

- Faberge określał go mianem kamienia z Mekki. Właściwie nazwa ta nie jest poprawna, gdyż kamień z Mekki to rodzaj różowawego karneolu, a ten to przezroczysty, niebieski chalcedon.

- Wygląda jak kawałek księżyca.

- Rzeczywiście, prawda? - Chciał jej powiedzieć, że musi mieć poetycką naturę, skoro dopatrzyła się w kamieniu takiego podobieństwa. - Zaś otaczające go diamenty mają szlif fasetkowy, żeby pokreślić jego blask. To była nowość wprowadzona przez pracownię Fabergo.

- Doskonale się pan orientuje w tych sprawach. Czyżby pan uczył się jubilerstwa?

- Nie, ten sklep należy do mego wuja. Jestem tancerzem, a przynajmniej taką mam nadzieję.

Bez trudu wyciągnęła z niego podstawowe informacje o sobie, cały czas wodząc wzrokiem od jego twarzy do biżuterii. Coraz goręcej pragnął, żeby zdjęła kapelusz. Jakby czując to pragnienie, po chwili go zdjęła. Na ramiona opadła fala prostych, jasnobrązowych włosów.

- Sprawdźmy, jak będzie wyglądał ten naszyjnik.

Jeden po drugim rozpięła wszystkie guziki płaszcza. Pod spodem miała beżową suknię bez ramion. Pomógł jej zdjąć płaszcz i położył go na krześle.

- O ile wiem, kosztuje około dwóch milionów franków. Głos mu się załamał z niepokoju.

- Nie kupię go. Uznałam, że odpowiednią rekompensatą za utratę męża na rzecz jakiejś meksykańskiej dziwki jest coś w granicach pół miliona.

- A, tak, rozumiem.

Z rewerencją wyjął naszyjnik z brzozonej szkatułki i podszedł do kobiety. Miała cętkowane zielone oczy, które przywodziły na myśl niektóre syberyjskie szmaragdy, jednak dopóki się nie uśmiechnęła, czaił się w nich smutek.

Prawą ręką przytrzymała włosy, żeby mógł zapiąć naszyjnik. Na delikatnej, gładkiej skórze dostrzegł lekką opaleniznę. Musiał jej dotknąć. Musnął palcami jej nagie ramię, w ostatniej chwili starając się nadać dotykowi przypadkowy charakter. Mimo to kobieta natychmiast uniosła głowę i dostrzegła w lustrze jego spojrzenie.

- A więc co mogę tutaj dostać za pół miliona franków? Pytaniu towarzyszyło spokojne spojrzenie i lekki uśmiezek. Alex czuł, że gwałtownie czerwienieje. Całą uwagę skupił na odpinaniu sprzączki naszyjnika i odkładaniu go do kasetki.

Celta Bray field

- Nie znam wszystkich cen, będę musiał spytać wuja. Szybko poszedł na zaplecze, zastukał i bezmyślnie zerknął zza drzwi.

Mężczyzn tak pochłaniało ich zajęcie, że nawet go nie usłyszeli. Alex zawahał się, rychło w czas przypominając sobie, że Kola kazał sobie nie przeszkadzać, jak zresztą zawsze w takich sytuacjach - większość transakcji zawieranych w gabinecie była nielegalna.

Na ścianach tańczyły barwne plamy. Ich źródłem były kamienie oświetlone przez bardzo mocną lampę. Kola badał je za pomocą swojego najlepszego sprzętu. Po drugiej stronie biurka siedział Götz, handlarz z Moskwy. Na jego czole perlił się pot. Mimo upału miał na sobie szary wełniany płaszcz.

- Ten kurz jest okropny - powiedział Kola wyszukany, staroświeckim rosyjskim. Delikatnymi muśnięciami pędzla usiłował oczyścić kamienie. - Straszne, jak on się do wszystkiego przyczepia.

- Czego chcesz? Jeśli się rozbije starą ścianę, musi być kurz. Ale szlif nadal jest rozpoznawalny, prawda?

Götz okazywał typowy niepokój sprzedawcy, który zetknął się z chłodnym, legendarnym już sposobem targowania Kuźmińskiego.

Kola nie odpowiedział, przeniósł uwagę z klejnotów na otwarte książki, które leżały na biurku. Zawsze porównywał potencjalne nabytki z opracowaniami, katalogami wystawowymi i kopiami rejestrów Fabergego, które miał w swojej bibliotece. Alex zauważył też na biurku otwarte albumy ze spłowiałymi okładkami z niebieskiego jedwabiu, w którym zgromadzono pamiątki i zdjęcia z występów Kuźmińskiej.

- Niewątpliwie, szlif jest stary. Ale to nie zda się na wiele. Gdyby kolia pochodziła z dwudziestego wieku, miałbym dokumentację pracowni, ale z tych maleńkich fotografii... - Pokręcił głową.

Przez uchylone drzwi Alex widział, jak kobieta krąży po sklepie. Powinien przerwać targ, czy też lepiej poczekać, aż skończą?

- Dali mi dokładny adres. - Götz wysunął szczękę, jakby chciał dać do zrozumienia, że w swoim czasie łamał i większych twardzieli.

- Niestety, nigdy właściwie go nie znaleźliśmy - odparł niespiesznie Kola. - Jej pamięć...

Kolia

353

- Ale na pewno jest w archiwach przy ulicy Rossiego. Można porównać, nic prostszego.

Kola ostrożnie dmuchnął na błyszczące kamienie. Na albumie osiadła cienka warstewka pyłu. Kobieta wyglądała przez okno wystawowe, z niezadowoleniem marszcząc brwi. Cierpliwość Alexa się wyczerpała. Chrząknął.

- Czego, u diabła, tu szukasz?

Kola gwałtownie przykrył kamienie rogiem białej szmatki, na której wcześniej je rozłożył. Götz prawie wyskoczył ze skóry z przerażenia.

- Rany, strasznie przepraszam, Kola, zapomniałem, że prosiłeś, żeby ci nie przeszkadzać.

- No więc teraz ci przypomniałem. Spadaj stąd, później do ciebie przyjdę. I zamknij te cholerne drzwi!

Wuj tak rzadko przeklinał, że Alex poczuł się, jakby został spoliczkowany. Ledwo zatrzasnął za sobą drzwi, usłyszał dźwięk zamykanych od środka, ciężkich zasuw.

- Bardzo panią przepraszam, *madame*, ale wuj ma teraz ważne spotkanie i...

- Co on panu takiego powiedział? Wygląda pan na zmartwionego.

- Och, nieważne. Chyba go rozzłościłem.

W palcach obu rąk trzymała broszkę z kamieniem z Mekki, podziwiając tajemniczy blask, migoczący w głębi, niczym światło księżyca. To skojarzenie dodało mu śmiałości.

- To, co pani powiedziała o tym kamieniu, było piękne. Sądzi pani, że Księżyc naprawdę tak wygląda?

- Wkrótce się przekonamy, prawda? Pańscy rodacy powinni tam dzisiaj dotrzeć.

Nabrała pewności siebie, z jej oczu zniknął ból.

- O rany, to już dzisiaj?

- Niech pan sobie wyobrazi, pierwsi ludzie na Księżycu. Skąd pan pochodzi?

- Widać nadal mam okropny akcent.

- Nie, świetnie pan mówi, ale ja mam wyczulone ucho. Przed ślubem byłem aktorką.

Odłożyła broszkę i sięgnęła po płaszcz.

- Jest tak gorąco, umieram z pragnienia. A może pan by się ze mną wybrał? Przynajmniej nie będzie pan przeszkadzał wujowi.

Szybko odłożył broszkę na miejsce, otworzył drzwi, włączył alarm i razem wyszli na dziedziniec. Nim minęła godzina,

Celia Brayfield

uznał swoją towarzyszkę za najpiękniejszą, najlepszą, najmądrzejszą i najdowcipniejszą osobę pod słońcem. A nawet gdyby nigdy nie miał się z nią kochać, dzięki tej rozmowie jego życie stało się bogatsze. Po dwóch godzinach poznała całe jego życie i streściła ostatnie kilka miesięcy swojego. Jego serce przepełniała czułość, współczucie dla jej bólu. Głośno wyraził smutek, że nie jest zawodowym bokserem. Wtedy dałby temu brutalowi, jej mężowi, wycisk, na jaki sobie zasłużył. Po kolejnej godzinie wyznał jej prawdę o swojej ostatniej nocy w Leningradzie i poczuł niewysłowioną ulgę. Zaprosiła go do siebie do domu, żeby wspólnie obejrzeć lądowanie na Księżycu.

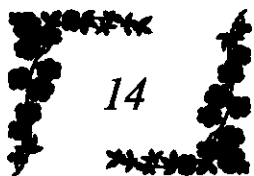
- Powierzchnia przypomina delikatny proszek. Jest piękny swoją własną, delikatną urodą - relacjonował Neil Armstrong.

Jego zachrypnięty głos płynął z Księżycza na Ziemię, z przylądka Kennedy'ego z powrotem do satelity, a stamtąd do odbiornika telewizyjnego w rogu sypialni. W błękitnawej poświacie telewizora widać było dwa splecione ciała i rozrzucone prześcieradła.

- Jest piękna swoją własną, delikatną urodą. - Alex wodził ustami po jej brzuchu i pocałował pępek. Na palcu poczuł odpowiedź jej ciała - skurcz wilgotnych, rozpalonych jedwabistych warg. Po nadgarstku spłynął mu sok i poczuł się pijany jej zapachem.

Kobieta pomyślała, że owa delikatna uroda to efekt czterdziestu dwóch lat życia i posiadania dzieci, ale nic nie powiedziała. Wydawał jej się taki szczery. Nigdy dotąd nie spała z takim młodym chłopakiem, pochlebilo jej to, podnieciło. Sądząc po jego zdenerwowaniu i nieśmiałości, chyba rzeczywiście był tym, za kogo się podawał. Przecież w namiętności żigolaka nie kryłoby się tyle czułości...

Był taki piękny, że kiedy przymknęła oczy, wydawało jej się, że między jej udami spoczywa marmurowy posąg Apolla. Pierwszym razem za bardzo się spieszył, żeby oddać sobie sprawiedliwość; widziała jednak, że znów jest gotowy. Zaś w tamtym miejscu miał budowę bardziej niż klasyczną. Usiadła, pocałowała go, gładząc po piersi. Czowała, jak pod dotykiem jej palców jego sutki twardnieją, ze złączonych warg kochanków wyrwał się jęk. Uznała, że nawet jeśli rzeczywiście będzie ją kosztował pół miliona franków, wart jest swojej ceny. Nawet gdyby tylko za jedną noc.



Nowy Jork, 1984

W myślach Lovat nieustannie rozmawiał ze swoją żoną. Jak mogłaś mi to zrobić, ty suko? Jak mogłaś to zrobić naszym dzieciom? Czy jesteś kompletnie pozbawiona uczuć, nie rozumiesz, że zniszczyłaś rodzinę? Zrujnowałaś życie pięciu osób, równie dobrze mogłaś je zabić, na to samo by wyszło. I po co? Żeby mieć przyjemność postawienia na swoim. Jesteś największą, najstraszniejszą egoistką, jaką świat widział. Nie nadajesz się na matkę, sama zachowujesz się jak dzieciak. Szurnięta psychopatko, nic cię nie obchodzi dobro ani zło. Złamałaś wszystkie obietnice, uciekłaś przed odpowiedzialnością. Byle tępy zwierzak postąpiłby mądrzej od ciebie.

Wszystkie te dywagacje sprowadzały się do jednego pytania: dlaczego? Słowo to dudniło mu w uszach, kiedy rano wstawał z łóżka. Dlaczego? Przecież był dobrym mężem. Kochał ją, kochał się z nią, dał jej dzieci, wygodne życie, wszystko poświęcił dla niej, ofiarował jej wszystko, czego zapragnęła. Jak kobieta mogła zrobić coś takiego?

Kobiety nie niszczą rodzin, one je budują, walczą o nie, za nie. Bianka postąpiła wbrew wszelkim prawom natury. Pytanie pojawiało się we wszelkich jego rozmowach, szczególnie rozmowach z kobietami, które, jak uważał, powinny lepiej zrozumieć istotę tego samego gatunku. Z Lovata emanowała taka wściekłość, że często przekonywał się, że mówi w próżnię albo do uprzejmię odwróconego ramienia.

- Nie wiem, dlaczego, Lovat! - Irytacja wzięła wreszcie górę nad dobrymi manierami Shony. - Przestań wiecznie to wałkować, chyba masz obsesję na tym punkcie. Ile razy przyjdiesz, łazisz za mną, pytając czemu? Sam powinienes wiedzieć, w końcu to ty byłeś jej mężem.

Źle sypiał, wcześniej się budził. Otwierał oczy i natychmiast je zamykał, nim zdążyła go powalić brzydota urządzonej bez

Celta Brayfield

smaku sypialni jego wynajętego mieszkania, i wyobrażał sobie, jak zgładzi Biankę. Seria z karabinu maszynowego, kiedy będzie stała na schodach przy sadzawce; strugi krwi płynące po pięknych, porośniętych mchem stopniach i skapujące do wody. Albo zadźgać ją w wannie. Krew będzie się rozpryskiwać po wyłożonych marmurem ścianach i spływać w dół niczym krople deszczu po szybach. Bianka zakrwawionymi rękami chwytą się kranów, wreszcie pada na podłogę. A może rąbnąć ją w głowę pogrzebaczem? Czy będzie wystarczająco ciężki? Nie, młotek będzie lepszy. Duży młot, jeden cios i po wszystkim! Miazga z mózgu i kości czaszki na biało-niebieskich fotelach saloniku muzycznego. Wtedy jego koszmar się skończy, zamieszka z dziećmi i drugą żoną - niewyraźną postacią w tle, na razie nie zastanawiał się nad tym dokładniej - i znowu będzie żył szczęśliwie.

Czasem nasuwało mu się inne rozwiązanie. Zmuszał się do jego odrzucenia, nawet w wyobraźni ani przez chwilę nie dopuszczał możliwości pojednania. W tym scenariuszu Bianka zjawiała się w jego okropnym brązowawo-brzoskwiniowym pokoju, kiedy siedząc w bambusowym fotelu oglądał wiadomości. Wyglądała tak samo jak zaraz po porodzie - koścista, blada, choć widać było, że zdobyła się na wysiłek i starała się wyglądać atrakcyjnie. Histerycznie szlochając mówiła, że była głupia. Teraz zdała sobie sprawę, że na całym świecie nie ma wspanialszego mężczyzny, lepszego ojca ani męża niż on; nie może bez niego żyć; błaga o przebaczenie i chce, aby wrócił.

Niewzruszenie oglądałby dalej telewizję, ostatecznie zaszczyciłby ją spojrzeniem pełnym najwyższej pogardy. Zaczęłaby krzyczeć i szlochać, padłaby na kolana, całowała jego stopy, błagała, żeby jej pozwolił wziąć w usta jego członek, żeby chciał się z nią kochać, ten ostatni raz. A przekonawszy się, że zraniła go ponad wszelką miarę, wybiegłaby na Bayswater Road i rzuciła się pod samochód - zwykle był to pomalowany jaskrawo Ford Escort prowadzony przez jakiegoś przyszczatego szczeniaka, który wyobrażał sobie, że jest rajdowcem. Ciało wyleciałoby wysoko w powietrze i zawisło na ogrodzeniu Hyde Parku.

W czasie owych strasznych tygodni po zerwaniu małżeństwa, potrafił snuć tego typu fantazje przez godzinę, niekiedy nawet dwie. Potem z nowymi siłami, choć nieco zawstydzony, wstawał z pseudobambusowego łóżka i ze spokojem stawiał czoło wyzwaniu, jakim było podciągnięcie brązowo-brzoskwiniowych żaluzji w sypialni.

Kolia

357

Przerażała go siła jego nienawiści. Bał się, że gdyby spędził zbyt wiele czasu w towarzystwie żony i gdyby rzuciła jedną z tych swoich obraźliwych uwag, straciłby panowanie nad sobą i zrobił to, co tak często sobie wyobrażał. Kipiał w nim taki wulkan nienawiści, że sama myśl o prowokacji była niebezpieczna, dlatego trzymał się z dala od żony i starał się zachować uprzejmość. Bianka uważała, że jak zwykle nic nie potrafiło go poruszyć, a i ich separacja nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia; dalej żył sobie spokojnie, myśląc wyłącznie o sobie, tak samo jak przez cały okres ich małżeństwa.

Lovat chciał także podtrzymać swój wizerunek skrzywdzonej niewinności, żeby w każdej chwili móc z czystym sumieniem stanąć przed dziećmi i powiedzieć:

- To nie był mój wybór, ani tego nie chciałem, ani na to nie zasłużyłem. To wasza matka zgotowała nam taki los. To oraz duma sprawiło, że mimo rad prawnika przyjął wszystkie warunki separacji. Chciał, żeby chłopcy wiedzieli, że to on miał rację, nie matka, a dla dzieci czyny więcej znaczą niż słowa. Zawsze byli tacy milczący, z wyjątkiem Orlanda, który nieustannie odgrywał przed nim jakieś historyjki obrazkowe. A mówiąc szczerze, nigdy nie wiedział, o czym z nimi rozmawiać.

Jeśli chodzi o jedyny występki, o który został słusznie oskarżony, Lovat właściwie o nim zapomniał. Przez dłuższy czas na wspomnienie, jak na wpół pijany i śmiertelnie przerażony jej władzą miotał się po podłodze z o wiele od siebie starszą kobietą, ogarniało go przemożne poczucie winy. Jedyne, co zapamiętał, to kłaczki białego wełnianego dywanu w nosie i ustach. Dopóki nie poznał Bianki, nie przywiązywał żadnej wagi do swoich związków z kobietami. Olivia była jedną z kierowniczek szkoły. Spotkali się na przyjęciu w pracowni jednego z nauczycieli i Lovat w swej naiwności uważał, że jeśli Olivia sobie tego zażyczy, musi się z nią przespać, albo wyleci ze szkoły.

Później jednak nabrał do niej szacunku, ponieważ kiedy się okazało, że stał się kimś ważnym w życiu jej córki, pomogła mu przełamać jego wstyd i zmieszanie, przejęła inicjatywę i zaproponowała, by dla dobra Bianki zapomnieli o całym epizodzie. Wydawało się to takie naturalne i rozsądne. Właśnie takiego postępowania należało się spodziewać po inteligentnych, cywilizowanych i myślących ludziach takich

Celta Brayfield

jak Berrisfordowie. Czemu więc teraz ponosił straszliwą karę za dawno zapomniany czyn, w którym on sam na równi z innymi był ofiarą?

Rozwód był dla niego klęską, a to oznaczało wstyd. Ojciec chlubił się kiedyś, że nie zatrudnia w swoich fabrykach rozwódek. Oczywiście Bianka uznałaby to za skrajne mieszczaństwo, ale zdaniem Lovata coś w tym było. W głębi ducha uważał, że rozwodnicy to ludzie słabi, ludzie, którzy nie potrafią dotrzymać obietnicy i tak naprawdę nie kochają swoich dzieci.

Paniczny lęk przed utratą pracy - oto kolejne dziedzictwo wyniesione z domu. Na Północy każda rodzina miała w zanadrzu jakąś opowieść z czasów wielkiego kryzysu. Dla zwykłych ludzi była to katastrofa większa od którejkolwiek wojny światowej. Ojciec często opowiadał, jak, kiedy był młodszy niż syn teraz, musiał zwolnić setki pracowników, dorosłe kobiety, na których barkach spoczywał cały ciężar utrzymania rodziny.

- Szef wysłał mnie do tej brudnej roboty, ponieważ byłem młody i sympatycznie wyglądałem, ale one z dokładnie takich samych powodów rzuciły się na mnie i, nim zdążyłem się podnieść z podłogi, miałem złamany nos.

Kiedy Lovat otworzył wypchaną kopertę ze znakiem firmowym Berrisfordów, znalazł w niej odpawę. Do pieniędzy - pięciocyfrowej kwoty - została dołączona krótka, odręcznie napisana przez Hugh'a notka, wyrażająca żal z powodu utraty tak dobrego współpracownika i najlepsze życzenia na przyszłość. To ostatecznie mu uświadomiło, że stracił pracę; Lovata ogarnęła pasja i rozpacz, choć musiał przyznać, że nie grozi mu jeszcze stanie w kolejce po zasiłek.

Cieszył się ze stanowiska konsultanta, które pozwalało mu dwa razy w miesiącu jeździć do Japonii i unikać swoich byłych współpracowników. Kompleks, że korzysta z łaski rodziny żony, skutecznie tłumiony przez wiele lat, teraz wybuchnął ze zdwojoną siłą. Czy znalazłby wtedy jakąś inną pracę? Czy teraz ktoś go zatrudni?

Nigdy, przenigdy nie chciał się pakować w ten beznadziejny, sztuczny układ ze spotykaniem się z dziećmi raz w tygodniu, bycie niedzielnym ojcem, który na próżno usiłuje nadążyć za nimi w czasie wspólnych wypraw, które nie cieszyły ani jego, ani chłopców, bo nie miał tej - chyba typowo kobiecej

- umiejętności nawiązywania kontaktów z dziećmi, dzięki której słowo „dom” nie oznaczało budynku, ale rodzinę.

Wybrał się w odwiedziny do siostry, która wyszła za

Kolia

360

zawodowego dżokeja. Mieszkali w Yorkshire. Mały synek kręcił się przy niej, kiedy wrzucała siano do żłobów i myła wiadra.

- Uciekaj z Londynu. Musisz dać chłopcom szansę wybiegania się na dworze - poradziła.

Pod byle pretekstem wpadał w weekendy do Joego i Shony. Shona otworzyła niewielką firmę zajmującą się urządzaniem wnętrz i bez przerwy siedziała przy desce kreślarskiej, czasem tylko odrywając się od niej, żeby przejrzyć próbki. W domu była jednak młoda Hiszpanka, która zajmowała się dziewczynkami. Lovat bacznie się jej przyglądał. Ze swoich obserwacji wywnioskował, że kuchnia stanowi dla dzieci najlepsze, naturalne środowisko, poza tym dobrze oglądać durne programy w telewizji i nie spieszyć się ze zbieraniem rozrzuconych rzeczy. Oprócz tego miał wrażenie, że opiekunka nieustannie psoci z małymi, łaskocze je, czemu towarzyszyły ciągle wybuchy radości.

Próbując wprowadzić w życie te metody, Lovat czuł się jak ostatni idiota. W kuchni nie potrafił sobie znaleźć miejsca, a, jak szybko się przekonał, prowadzenie rozmów z Tokio, kiedy chłopcy rzucali w siebie frytkami, stanowiło samobójstwo zawodowe. Wystarczyło, że spróbował ich dotknąć, a chłopcy uciekali.

- Ben wcale nie ma łaskotek - poinformował go z powagą Tom. - Właściwie to żaden z nas za nimi nie przepada.

Dobrze się czujesz, tato? Możesz pójść się położyć i odpocząć trochę, my sobie poradzimy.

Potem przyszło na świat ostatnie dziecko i Lovat miał wrażenie, że żona specjalnie urodziła je wcześniej, okopała się na swoim terytorium, nie dając mu szansy uczestniczenia w tym wydarzeniu. Rzuciła mu niemowlę w ramiona, jakby to było coś, o co się wyklócał, a z czego ona teraz kąśliwie życzyła mu dużo radości. Dziewczynka spojrzała na niego, potem odwróciła wzrok, na jej policzkach dostrzegł cień uśmiechu. Czy dziecko może być nieśmiałe? Bo przecież kilkutygodniowe maleństwo nie może chyba z zimną krwią kokietować?

Poczuł delikatne poruszenie, jakby podobało jej się, że trzyma ją blisko siebie. Pamiętał, że chłopcy miotali się i wrywali, nie mogli się doczekać, kiedy ich wypuści. Nagle ogarnęło go przerażenie na myśl, że ta niewinna kruszynka mogłaby wyrosnąć na drugą Biankę. Wyobraził sobie długowłó-

Cetta Bray field

są dwudziestoletnią szatynkę, której życiową misją jest postępować wbrew rozsądkowi, wszelkim zasadom i społeczeństwu. Jeśli ją straci, może się tak stać. Ale cóż on, samotny mężczyzna, mógłby robić z dzieckiem? Donald Tuttlingen zadzwonił do niego w niedzielę rano.

- Jestem w hotelu Dorchester - oznajmił.

Jego lekki akcent z Georgii przypomniawszy Lovatowi, jak to dziesięć lat temu, w początkach małżeństwa z Bianką, zdarzało mu się odebrać telefon w galerii przy Mount Street i słyszeć ten sam lekko ironiczny głos, który pytał: „Mojej żony zapewne nie ma?”

- Pomyślałem sobie, że skoro już jestem w Londynie, zadzwonię - ciągnął. - Może byś wpadł, zjedlibyśmy razem lunch? Mam kilka pomysłów, które chciałbym z tobą omówić. Słyszałem o tobie i twojej żonie. Straszna szkoda. No i duży kłopot, biorąc pod uwagę, że pracowałeś u teścia. Dużo na tym stracisz? - Lovatowi zabrakło słów. Pół metra od niego Orlando szykował się, żeby uderzyć łyżką w miskę pełną suchych płatków kukurydzianych. Tom zmarszczył się i podał bratu mleko. - Pewnie jeszcze sam nie zdajesz sobie sprawy, ile straciłeś. Chłopcy są u ciebie? Wydawało mi się, że coś słyszę.

- To telewizja.

Orlando w zadumie przyglądał się przyklejonym do łyżki płatkom. Benedict w ogóle nie ruszył śniadania.

- A może weź ze sobą chłopców? Zjemy tutaj, w tym mieście w niedzielę nigdzie nie można się ruszyć. Spotkamy się w restauracji. Kiedyś wołałem taras, ale ostatnio za dużo tam roślin.

Orlando pacnął łyżką i papka mokrych płatków wylądowała na Tomie, który rzucił się przez stół, rozwalając wszystko dokoła i trafiając Benedicta w twarz.

- Spokój! - ryknął ich ojciec, odwieszając słuchawkę. - Wynoście się stąd, umyćcie i przebierzcie, idziemy na lunch.

- Ja chcę do McDonalda! - wrzasnął Orlando.

- W co się mamy przebrać? Mamy tylko piżamy - spytał Benedict.

- Tato - Tom już się rozglądał za ścierką - zdaje się, że Benedictowi znowu leci krew z nosa.

Ponieważ Lovat przypuszczał, że Amerykanin chce najwyżej zasięgnąć jego rady, odczuwał tylko lekkie zakłopotanie, wkraczając z trójką chłopców - z czego dwaj byli brudni,

Kolia

361

a jeden miał na sobie górę od pizamy - do wykwintnej sali restauracyjnej Dorchester.

- Cóż, Lovat, prawdziwa szkoda, że zaprzestałeś dalszych wysiłków; mógłbyś się dochować drużyny piłkarskiej - stwierdził z uśmiechem Donald Tuttlingen, kiedy kelnerzy rozkładali serwetki.

- W Anglii grywamy raczej w rugby - poinformował go Tom. - Drużyna liczy piętnastu zawodników. Istnieje obawa, że nasza matka mogłaby tego nie wytrzymać.

- Rzeczywiście, o tym nie pomyślałem.

Tuttlingen znad karty dań mrugnął do Lovata, jakby chciał powiedzieć, że my, dorośli mężczyźni, wiemy, że nie ma rzeczy, której była żona by nie wytrzymała. Tuttlingen miał chłopięcą twarz, typową twarz amerykańskiego polityka

- szeroki uśmiech, białe zęby, błękitne oczy i krótkie, jasne włosy zaczesane do góry. Lovat pamiętał, że go lubił.

Przywodził mu na myśl ojca, tak samo jak on szczyił się, że jest zwykłym handlarzem, nie krył się ze swoim prostym i niewyszukanym smakiem. Charakteryzowało go trochę złośliwe poczucie humoru, tak że w jego towarzystwie zawsze się trzeba było mieć na baczności.

Między stolikami niczym stadko owiec błąkała się jakaś arabska rodzina z Kuwejtu. Jej przewodnik starał się nie zawadzić rąbkiem szaty o brudne nogi krzeseł.

- Tato - rozległ się przenikliwy, spokojny głos Toma. - Tato, dlaczego ta kobieta w długiej, czarnej sukni ma na twarzy skrzynkę na listy?

- Chłopcy wychowywali się na wsi - stwierdził Lovat w formie wyjaśnienia.

- To zakonnica, tępaku. Kto chce moją bułkę?

- Nie rzucaj jej, Ben, zostaw ją na talerzu.

- Jak ta kobieta zje obiad?

- Nie będzie jeść, ona pości. Właśnie dlatego ma to coś na twarzy, prawda, tato?

Kiedy chłopcy mieli buzie pełne wołowej pieczeni i zapiekanki z ziemniaków, Tuttlingen nachylił się do Lovata i przeszedł do rzeczy.

- Zastanawiałem się nad rozszerzeniem działalności galerii mojej żony. Jak sądzisz, w jakim kierunku powinienem pójść?

- A co chciałbyś dzięki temu zyskać? Pieniądze? Pretekst do podróżowania? Zagospodarować nadmiar gotówki? Zakładał, że dostarczenie rozrywki Cheri przestało być celem pierwszoplanowym.

Celia Bray field

- Podróże możesz sobie darować.

- U Berrisfordów najważniejszym punktem były inwestycje. Zaczyna się tworzyć wielki międzynarodowy rynek zbytu. A w tym interesie najważniejsza jest podaż. Popytem można w większym lub mniejszym stopniu manipulować.

Mężczyźnie podobał się ten pomysł.

- Na twoim miejscu dałbym sobie spokój z rzeźbą, tutaj nie sposób czegokolwiek przewidzieć. Skup się raczej na malarstwie i to dobrze sprzedawalnym; takim, które się podoba, jest zrozumiałe, łatwe do udokumentowania, a trudne do podrobienia. Coś, co dopiero rusza, jest modne, ale może jeszcze nie na skalę międzynarodową. Znajdziesz tego całe hałdy.

Dostrzegł zmarszczkę na czole Amerykanina i postanowił uściślić.

- Na przykład, nie późny Tycjan, wszystkie obrazy są już w muzeach, do sprzedania znalazłoby się tylko kilka. Albo Rembrandt - to bym w ogóle skreślił z listy. Zająłbym się impresjonistami, bankierzy po prostu ich uwielbiają. I to szybko. Na razie rynek jest trochę niemrawy, ale szybko się pozbiera. Biorąc pod uwagę ekspansję EWG, Francja będzie musiała za kilka lat się otworzyć. A teraz po zmianie przepisów podatkowych niewiele rzeczy ucieknie z kraju.

Przerwał i spojrzał na swoje prawie nietknięte jedzenie. Kelner sprzątnął talerz. Lovat kątem oka dostrzegł, jak Tom popędza braci, żeby złożyli sztuce i wytarli usta. Widelec z wbitym w niego ziemniakiem spadł na podłogę, kiedy Orlando próbował podać kelnerowi swój talerz. Tuttlingen popatrzył na to wszystko i przywołał szefa sali.

- Gaston, czy mógłbyś przed deserem oprowadzić tych młodzieńców po kuchni?

Chłopcy posłusznie acz z niepokojem dali się zaprowadzić na zaplecze.

- Europa? - podrzucił Tuttlingen.

- Tak. Wszystkie możliwe pieniądze zainwestuj w impresjonistów i stopniowo wypuszczaj na rynek. A tymczasem zacznij rozwijać nowe rynki. Drobny antykwariusz potrafi dokładnie się wyprzedzić, kiedy coś drgnie w jego specjalności. Mógłbyś się rozejrzeć za pamiątkami z okresu wiktoriańskiego, preraphaelitami, rzemiosłem artystycznym, fotografią...

- Zaczynam łapać.

Lovat poczuł przyływ natchnienia. Od kiedy stracił

Kolia

364

kontakt z Hughem Berrisfordem, brakowało mu kogoś, kto by wysłuchał pomysłów, które kłębiły mu się pod czaszką. Zresztą przez ostatnie parę miesięcy był w takiej fatalnej formie, że jego myśli nie nadawały się do głośnego wypowiedzenia. Tuttlingen czasem podrzucił słowo czy dwa, ale, jak Lovat sam ocenił, sondował go z wielką wprawą. Ponieważ jego rozmówca nie znał się na świecie sztuki, Lovat naszkicował mu to środowisko, porównując rynek dzieł sztuki do rafy koralowej - szerokiej, złożonej i pięknej symbiozy sprzedawców, sal wystawowych, instytucji, prywatnych kolekcjonerów, muzeów i rządów wielu państw.

- A kogo zalicza się do grupy rekinów? - Amerykanin odchylił się w masywnym krześle z wysokim oparciem, wyraźnie doskonale się bawił. - Chciałbym być rekinem, wielkim, białym rekinem.

- Do rekinów zalicza się tych, którzy pierwsi dorwą się do rafy i zjedzą konkurencję. Mógłbyś nim zostać. Sotheby's mają w tym momencie duże kłopoty, za dużo zainwestowali w Stanach. Myślę, że miliard powinien wystarczyć.

- Dolarów? Aż tyle?.. - Tuttlingen widać do tej pory nie doceniał możliwości drzemających w niewielkiej ubocznej działalności swojej żony.

- Tato, spójrz, co mi dał kucharz.

Benedict bezszelestnie wyrósł obok ojca i podsunął mu pod nos rybę wyciętą z marchewki.

- Widziałem, jak to robił. Błyskawica... Teraz wycina dla Orlanda.

I odbiegł równie cicho, jak się pojawił.

- Byłeś bardzo wyrozumiały dla naszej czwórki. - Lovat wyczuł, że celem tego spotkania nie było wyłącznie spędzenie czasu i zasięgnięcie opinii.

- Znam ten ból. Kiedy rozstałem się pierwszą żoną, mieliśmy dwójkę dzieci. Zabrała je do Chicago, nie powiem, żebym przepadał za tym miastem, ale kobieta w sądzie wywalczy sobie wszystko, a przynajmniej tak było kiedyś. Trzeba sobie jakoś radzić.

Zapadła cisza. Słońce wyszło zza chmur, pyłki kurzu tańczyły w jego ukośnych promieniach.

- Nie przypuszczam, żeby Cheri kiedykolwiek udało się ciebie uwieść? - Brzmiało to raczej jak stwierdzenie niż pytanie i było prawdziwe, ale Lovat poczuł się dotknięty i wyprostował się w krześle. - Przepraszam, wtykam nos w nie

Celta Bray field

swoje sprawy. Cheri ciągle powtarzała, że nie widzisz świata poza żoną, i wiedziałem, co to znaczy. Policzyłem ci to na plus, Cheri nie należy do kobiet, które łatwo się poddają. Podejrzewam jednak, że nie życzysz sobie rozmawiać na ten temat, prawda?

- Nic takiego...

- Zapomnijmy o tym. Sądząc po twojej minie, nie powinienem był w ogóle poruszać tej sprawy. Kiedy pracowałeś u Cheri, galeria przynosiła spore zyski, to też Uczyłem ci na plus. Powiedz mi, Lovat, jak sądzisz, czy odważyłbyś się znowu skoczyć na głęboką wodę?

- Jasne, myślę, że ożenię się powtórnie. Na pewno. To dla mnie naturalne środowisko. Cała ta historia z Bianką to nie moja wina; ja byłem w małżeństwie bardzo szczęśliwy i wydawało mi się, że ona też. Widocznie było coś, o czym nie wiedziałem...

Lovat wygłaszał to oświadczenie przynajmniej trzy razy dziennie. Zaczynał się zastanawiać, czy nie brzmi zbyt sztucznie. Sądził, że ludzie będą na nie reagować współczuciem, tymczasem oni patrzyli na niego z wyrazem wzroku, po czym zmieniali temat. Musi się postarać, żeby brzmiało szczerze, prosto z serca - widocznie nabrał zbyt wiele wprawy i stracił siłę przekonywania. Don wyraźnie mu nie wierzył, kręcił głową.

- Czy źle się wyraziłem? Już dawno powinienem był się nauczyć, że w moim wypadku subtelność to strata czasu - tylko wszystko dodatkowo gmatwam. Proponuję ci pracę. I co ty na tę prostą, klarowną ofertę?

Lovat zamrugał oczami. Ten ułamek sekundy wystarczył, żeby zobaczył ich spotkanie w zupełnie innym świetle, poczuł głęboki wstyd za wygląd i zachowanie synów, ocenił propozycję, rozważył za i przeciw i podjął decyzję.

- Bardzo chętnie, Don, przypuszczam, że by mi to odpowiadało.

- Świetnie. - Podali sobie ręce. - Chciałbym, żebyś przyjechał do Nowego Jorku, zorientował się w sytuacji, a potem się zastanowimy, jaka pensja będzie potrzebna, żeby twoje przypuszczenia zmieniły się w pewność. Zgoda?

Możemy przejść do deseru? Ich suflet z passiflory rozplywa się w ustach. Zwykle mówię, że jest słodszy niż pocałunek anioła, ale nie lubię kłamać w niedzielę, a w końcu nigdy jeszcze się nie całowałem z aniołem.

Kiedy podano cygara, Lovat postanowił dołączyć do

Kolia

366

swego gospodarza i wybrał cygaro Romeo y Julieta. Za ledwie pięć minut rozkoszował się jego chłodnym, aromatycznym dymem, kiedy senny Orlando wdrapał mu się na kolana i złamał cygaro na pół.

Do hotelu przyszli na piechotę - Lovat miał nadzieję, że spacer przez park dostatecznie rozładuje energię chłopców - teraz okazało się, że są zbyt zmęczeni, żeby wracać pieszo do domu i trzeba było złapać taksówkę. Kiedy schodził po nieskazitelnie czystych schodach hotelu Dorchester, z nosa Benedicta znowu popłynęła krew. Pierwszy taksówkarz odmówił wzięcia ich do samochodu. Portier patrzył na czubki drzew. Lovat zauważył szofera, który czystą szmatką czyścił białą limuzynę Mercedesa, ale uznał za zbyt wielki wstyd, żeby podejść do niego i poprosić o jej pożyczenie. Wreszcie zlitowała się nad nimi jakaś starsza kobieta, pokojówka, i dała im trochę chusteczek higienicznych.

- Lovat, całe szczęście, że masz zamiar powtórnie się ożenić. - Jego przyszły pracodawca stał na najwyższym stopniu i przyglądał się całej sytuacji z uśmiechem, jednak odrobinę mniej szerokim niż uśmiech szczerego rozbawienia. - Rodzina to świetna rzecz. Nie trać czasu. Nowy Jork na pewno ci się spodoba, na każdego normalnego mężczyznę poniżej sześćdziesiątki przypada osiem wolnych kobiet. Do zobaczenia za tydzień.

Lovat kątem oka dostrzegł swoje odbicie w szybie hmuzyny

- włosy miał za długie, zdaje się, że ostatnio zbyt długo przytył. A ten ślad na krawacie od Paula Smitha to wypalona dziura czy krew?

Dwanaście miesięcy później szedł w lekkiej mżawce Piątą Aleją, skręcił w Czternastą Ulicę i podał strażnikowi wypisane złoconymi literami zaproszenie, zaś parasol i płaszcz chłopcu w różowych spodniach żuawów i złocistym pasie; wziął kieliszek czerwonego, wytrawnego wina kalifornijskiego i zastanawiał się, czemu wyobrażał sobie, że coś przyjemnego może go spotkać na kolejnym otwarciu kolejnej wystawy prac kolejnej dobrej malarki, której obrazy się nie sprzedawały.

Miał dwa powody, żeby tutaj przyjść. Po pierwsze artystka była jego starą znajomą z Chelsea i obiecał jej, że wpadnie; już po roku pobytu w Nowym Jorku wyrobił sobie taką markę, że jego obecność na otwarciu wystawy uważano

366 *Celta Brayfield*

za wysoce pożądaną. Po drugie, choć przyznawał się do tego z niejakim wstydem, przyjęcie stanowiło najlepszą okazję znalezienia sobie panienki na noc.

Jego poranione libido wykurowało się w chwili, kiedy po raz pierwszy wszedł do samochodu Tuttlingenów na lotnisku Kennedy'ego. Teraz prowadził dwa oddzielne życia. W Londynie żył spokojnie w cnocie i stanowił wzór oddanego ojca. Co pewien czas łączono jego nazwisko z jakąś inteligentną, miłą, czarującą kobietą, on jednak był zbyt odpowiedzialny, aby się angażować, dopóki się nie upewni, że trafił na właściwą kandydatkę, i zbyt poważny, aby pozwolić sobie na przypadkowe kontakty seksualne. W Nowym Jorku zaś, jak często z goryczą wyrzucała mu Cheri, widział tylko dupy i każda przyzwoita gospodyni przedstawiając go powinna wszystkich ostrzec, że stanowi zagrożenie dla życia i zdrowia. Wyłącznie dobrej prezencji i pełnym galanterii manierom Europejczyka zawdzięczał, że ta opinia nie była ogólnie podzielana. W jego nowojorskim mieszkaniu stało wielkie, rzeźbione, osiemnastowieczne łóżko. Lovat najczęściej zmierzał do jednego - jak najszybciej pozbyć się z niego dziewczyny, zanim się przekona, co jego partnerka brała; odnosił wrażenie, że one wszystkie ćpają.

Na stoliku w rogu znalazł księgę gości, wpisał się, poprosił o coś porządnego do picia i rozejrzał się po ścianach. Trudno było cokolwiek dostrzec przez zbity tłum gości, ale wyglądało na to, że płótna są poświęcone przede wszystkim tematyce erotycznej w gigantycznych rozmiarach. Pierwszy obraz, który mu się udało obejrzeć, przedstawiał szeroko rozchylone, błękitnawe uda ponad metrowej długości, a z kępki jasnych włosów wyrastał fioletowy penis.

- Ten facio w głębi, po lewej stronie. - Zadzwieczyły srebrne kolczyki, kiedy wyższa z dwóch drobnych kobiet stojących w drugiej części sali pochyliła się, żeby dotknąć nagiego ramienia towarzyszki.

- Gdzie? Nie widzę.

Na wypadek gdyby mężczyzna ją zobaczył, Izza McKinnon uniosła dłoń obleczoną w czarną rękawiczkę i poprawiła krótko ostrzyżone rude włosy, sprawdzając efekt w wielkim lustrze na całą ścianę, w którym odbijało się wejście do sali.

- Ogląda to fioletowe świństwo. Granatowy garnitur, ciemne włosy. Może nawet ósemka.

- Gdzie takiemu menelowi do ósemki?

Kolia

368

- Jestem pewna. Ósemka, ani kreski mniej.
- Gina, tamtemu nudziarzowi wczoraj też dałaś osiem, a maszt miał, że pożał się Boże.
- Nie widziałam go z profilu.

Gina wyciągnęła pasemko ciemnych włosów i szybko okręcała je w palcach.

- Zresztą ty samemu Richardowi Gere dajesz najwyżej dziewięć i pół. Dziany był?
- Oni wszyscy są dziani. W końcu pracował w ubezpieczeniach na Florydzie.

Izza uznała, że jej kariera osiągnęła punkt, w którym przydałby się jakiś mężczyzna, żeby popchnąć ją dalej. Gdyby był tylko bogaty, cierpiałaby na syndrom Ivany Trump. Potrzebowała mężczyzny inteligentnego - ponieważ ona też potrafiła myśleć - o pewnej pozycji, żeby udowodnić jej wysoki status towarzyski. Torbaczy od razu skreślała; mianem torbacza określała mężczyznę, z którym można się było pieprzyć wyłącznie wtedy, gdy zarzucił na głowę torbę. Koniec przypadkowych stosunków pozamałżeńskich, mających na celu popchnięcie kariery. Jeśli to miał być długotrwały, monogamiczny związek, musiała znaleźć kogoś, kto przy odrobinie wysiłku mógłby jej się wydać atrakcyjny.

- Daję im jeszcze dziesięć minut. Jeśli niewidzialny facio to wszystko, na co ich stać, spadam. Rany, gdzie ci fotoreporterzy? - Izza uważała dzień za zmarnowany, jeśli w czasie kolacji, za którą sama musiała zapłacić, nie spotkała nikogo sławnego ani nie została sfotografowana.

Dwadzieścia lat straciła, żeby się wyrwać z południa Australii, kolejne pięć, żeby rzucić Sydney i jeśli się nie pospieszy, w wieku trzydziestu lat nadal będzie nikim. A wtedy pozostanie jej tylko harakiri. Jej życiowe cele sprowadzały się do znalezienia pracy w krajowej stacji telewizyjnej, wydania kilku powieści, może sztuki i znalezienia się na okładce „Rolling Stone”. Albo „People”. Plus przynajmniej wzmianka w „Architectural Digest” o jej pomysłowo urządzonej mieszkanie. Teraz pracowała w nowojorskiej telewizji, ale cierpiała na kryzys osobowości, bowiem w Sydney traktowano ją niemal jak gwiazdę, a tutaj jak kolejnego zwariowanego dzieciaka, który robi wszystko, żeby go zauważono. Jej sukcesy prasowe sprowadzały się na razie do kilku fotografii na jakimś rockowym koncercie dobroczynnym, ponieważ reporter mylnie wziął ją za Cyndi Lauper.

Celia Bray field

Długie, fioletowe paznokcie Giny znowu spoczęły na jej ramieniu.

- Teraz ściska prawicę Wampirzycy.

- Przestań mnie poklepywać, pomyślą, że jesteśmy lesbami. Wreszcie zlokalizowała Lovata, który grzecznie poddawał

się zimnemu, lepkiemu uściskowi dłoni gospodyni, odzianej w zestaw od Miyake, która poprowadziła go w stronę malarki, pulchnej kobiety w lnianym komplecie w kolorze khaki.

- Dobra, namierzyłam go.

Romantyczny, pochmurny, wysoki, ciemnowłosy. Buty od Gucciego, skóra nie skażona promieniami ultrafioletowymi, może odrobinę za masywny. I było w nim coś tragicznego. Obrączki brak. Przyjaciół artystki? Ściskał obie jej dłonie. Homo? Nie wyglądał.

- Ekstra, już wiem. Taki Heathcliff, tyle że trochę bardziej cywilizowany, co? Dobra, ruszamy do boju.

- To ty ruszaj.

Gina utkwiała wzrok w dwóch młodzieńcach w skórzanych kurtkach, którzy piszcząc i pociągając nosami wynurzyli się z łazienki. Przeszawała się nadawać na współniczkę łowów. Pracowały razem nad kabaretem, *Placenta Pizza* - późnopun-kowskim, postfeministycznym i jak się ostatnio Izza przekonała, niewystawialnym programem.

Dziewczyna nie miała żadnego celu w życiu; jeśli miała do wyboru seks albo narkotyki, za każdym razem wybierała to drugie. Wystarczyło, że zawiąło trawkę, a jak po sznurku ruszała w tamtą stronę.

- To na razie, później do ciebie dołączę. - Izza zniknęła niczym wzywana odgłosem natury ważka.

Lovat do końca żył w przekonaniu, że po prostu dostrzegł w tłumie tę niesamowicie oryginalną dziewczynę, przyjaciółkę jakiejś starej znajomej, przekonał się, że jest ogromnie miła i zaprosił na kolację. Posiadanie zaledwie metra sześćdziesięciu wzrostu i drobnej sylwetki ma tę niewątpliwą zaletę, że nawet jeśli się będzie gdzieś na siłę wpychać, nigdy się nie zostanie uznana za bezczelną.

Kolację zjedli w restauracji One-Fifth, którą Izza uważała za rozpaczliwie niemodną, a kelner polecając im wino, twierdził, że ono każdemu rozwiąże język, na co Izza wybuchnęła perlistym śmiechem.

- Dlaczego wyjechałam z Australii? Tam po prostu nie ma żadnej kultury. Szczególnie mężczyźni - uważają, że sztuka to dobre dla zboczeńców. Za dużo tam słońca, nadmiernie

Kolia

370

wysusza im mózg. A jeśli chodzi o kobiety, traktują je tak samo jak owce - wskoczyć, dorwać, zeskokczyć i policzyć nogi. Wiesz, jak Australijczycy nazywają wstępną grę miłosną? Strzyża.

Lovat uznał ją za najdowcipniejszą ze wszystkich znanych mu kobiet.

Izza oceniła go jako nudziarza, może nawet śmiertelnego nudziarza; jeśli chodzi o pozycję w środowisku, zaliczyła go do wagi piórkowej, ale przyjrzawszy mu się z boku, stwierdziła, że odpuszczenie sobie czystej ósemki w mieście takim jak Nowy Jork, byłoby igraniem z opatrnością. Piorun z jasnego nieba trafiłby ją na miejscu.

- Nie chciałabym wtrącać nosa w nie swoje sprawy, ale co się stało z twoją żoną?

Wysłuchiwała odpowiedzi, wychwyciła wrogość w jego głosie i zerknęła na zegarek. Niektórzy faceci potrafili tak smędzić godzinami, a Izza nie lubiła upijać się w sztok i zostawać porzucona przez jakiegoś facia opuszczonego przez żonę. Pijąc podwójną filiżankę kawy bezkofeinowej, stłumiła ziewanie. Największy problem z długoterminowymi, monogamicznymi związkami to nie tyle ich znalezienie, ile zawracanie głowy, które towarzyszy całej imprezie.

Następnego ranka trzy po siódmej Lovat usłyszał starannie modulowany głos dziennikarza telewizyjnych wiadomości.

- Jeśli chcecie się państwo dowiedzieć, co o naszych radosnych wiadomościach sądzą inni, wysłuchajcie opinii, które zebrała nasza reporterka w terenie, Isabela McKinnon. Dokąd to dziś zawędrowałaś, Isabel?

- Pozdrawiam z alei Kolumba, z odcinka zwanego Wąwozem Yuppies, bo na chodnikach można znaleźć więcej facetów w garniturach od Armaniego niż karaluchów w chińskiej restauracji. Umarłam i znalazłam się w niebie łakomczuchów. Oto Pignozzi, miejsce, gdzie podają najwspanialsze *fettucine* w mieście, a to mój przyjaciel, Zbigniew. Dobrze wymówiłam? Zib, mogę do ciebie mówić Zib? No, nie bądź żyła. Dobra, Zib, moje pytanie brzmi: co sądzisz o inwazji Stanów Zjednoczonych na Grenadę?

- Pierdoły. Ten sam głos.

Zdziwiony Lovat ostrożnie uchylił powieki. Gdzieś przed sobą dostrzegł nagie plecy, wąskie jak u dziecka ramiona, uniesioną rękę, która przeczesywała płomiennie czerwone

Celia Bray field

włosy. Druga ręka wymachiwała pilotem, niczym Darth Vader wiodący do boju lekką kawalerię.

- Rany, naprawdę zaatakowaliśmy Grenadę? Dobrze zrozumiałem?

- Pierdoły!

Nieco dalej na ekranie zobaczył Izzę w puszystym, jask-raworóżowym kostiumie i opasłego, ciemnowłosego mężczyznę z kucykiem. Za nimi przechodnie z koszykami gapili się w kamerę, a kilka osób z oddaniem grzebało w jarzynach na straganie.

- Masz rację, Zib, nie można tego uznać za najradośniejszą z radosnych wieści, prawda? Teraz druga wiadomość: urodziny Martina Luthera Kinga staną się świętem narodowym. Co o tym sądzisz?

- Świetnie, uważam, że to naprawdę świetny pomysł. Wprost przepadam za świętami narodowymi, szczególnie latem. Lubię się wyrwać na Fire Island...

Poczuł, że Izza zeskakuje z materaca. Zebrała z podłogi ubrania i zniknęła w łazience. Na ekranie ruchliwa figurka w różowym kostiumie wykrzywiła się do widzów.

- Bomba, Zib. A teraz rozmawiamy z... Możesz powtórzyć, jak się nazywasz?

Kolczyki zadzwięczały o mikrofon, kiedy Izza wyciągnęła z tłumu chichoczącą kobietę w czerwonych spodniach elastycznych.

- June, mała.

- June Mała. A więc, June Mała, co myślisz o tej kobiecie z Eugene w stanie Oregon, która po kuracji środkami farmakologicznymi urodziła siedmioro dzieci? Co ty na to, June?

Kobieta serdecznie roześmiała się do kamery.

- No cóż, cieszę się, że to nie ja.

- Dobra! A teraz zobaczmy, co tam masz u siebie w koszyku? Widzę mąkę tortową, pomidory, awokado, nieskażone awokado, dziewiczo czystą oliwę z oliwek. Powiedz szczerze, June, masz jakąś obsesję na punkcie czystości?

Na łóżko padł promień światła. Izza gwałtownie otworzyła drzwi łazienki i zobaczyła, że Lovat już nie śpi. Miała zamiar wyjść, nim się obudzi, i dać sobie spokój z porannymi formalnościami. W myślach zdążyła go już skreślić.

- Boże, wolałabym umrzeć niż dopuścić, żebyś obejrzał te bzdury. Wstydzę się tego śmiertelnie.

Kolia

371

Oparła nogę o łóżko, żeby zasunąć zamek w krótkich kozaczkach.

- Czemu? Jesteś naprawdę dobra, to jest zabawne.

- Tylko tak mówisz. To bzdury i śmieć.

Zmieniła nogę i zanim pociągnęła suwak, wygładziła pończochę. Na ten odgłos krew zaczęła szybciej krążyć Lovatowi w żyłach.

- Nie wierzę, że to naprawdę ja - ta idiotka, która tam stoi i zdaje kretyńskie pytania. W Sydney prowadziłam program kulturalny. Rozumiesz - wystawy, opera, te rzeczy. I późną nocą, więc można było poruszać interesujące tematy, trochę kontrowersyjne. Tutaj nie ma o czymś takim mowy, to zupełnie wyprana z tematów pora.

Umilkła. Doszła do wniosku, że Lovat nago wygląda lepiej. Trochę za błądy i krągławy, ale ostatecznie ujdzie w tłoku. Do tego delikatny i uprzejmy, a to zawsze jakaś odmiana.

- A może byś wyjechała do Londynu? - wyrwało mu się. Sam nie wiedział, jak to się stało. Słowa padły bez jego woli. - Znam tam parę osób z telewizji...

Londyn stanowił jej drugi wybór. Była tam już kiedyś i onieśmieliła ją tradycja, stałość tamtego świata. Anglicy nie zrobili na niej dobrego wrażenia - nieszczerzy, chłodni, a konkurencja wyglądała na zagorzałą; to co w Sydney uważano za straszliwe bezguście, tutaj nosiło się na co dzień. Gdyby jednak miała odpowiednie wejście, sytuacja mogłaby się nieco zmienić...

- Masz coś, na czym mogłabym usiąść?

- Hę?

Ściągnęła z Lovata koldrę, podczas gdy on ciągle jeszcze się zastanawiał, gdzie mogły się podziać krzesła.

- Myślałam o czymś dużym, twardym i gorącym... Może to będzie dobre.

Rękę miała tak drobną, że mimo długich paznokci zaciśnięte wokół jego członka palce się nie stykały.

- W tym momencie chyba ci nie jest do niczego potrzebny? Zawsze przed śniadaniem lubię się trochę przejechać, to mi ustawia cały dzień. - Wolną ręką grzebała w torebce w poszukiwaniu prezerwatywy. Kiedy wchodziła na łóżko, sukienka jej się podwinęła. Teraz kobieta wolno opadła na niego, obejmując mocno szczupłymi udami. -

Zauważyłeś, że to kolejna rzecz, której nie robią w Nowym Jorku? Poranna,

Celia Bray field

przelotna igraszka. Tutaj wszystko się kręci wokół jednego. Trochę ćwiczeń przed pracą, najpierw praca, potem życie. *A propos*, ty też się możesz ruszać, to nie jest karalne. Ooo, właśnie tak! Gdybym ja miała godzinami siedzieć w biurze, chciałabym siedzieć na czymś przyjemnym. Do roboty, chłopcze, przeleć mnie porządnie, czeka mnie długi dzień.

Na początku pobytu w Ameryce pracowała jako „dziwka przez telefon”. Po tygodniu szef ją wywalił, bo rozśmieszała koleżanki, ale zdobyte tam doświadczenie bardzo jej się przydało.

W Londynie natychmiast rzuciła się w wir życia towarzyskiego, od którego Lovatowi zaczynało się kręcić w głowie. Izza uważała Londyn za szachownicę, po której zamiast figur poruszają się gwiazdy. Pierwszym razem była tam zaledwie pionkiem, jako towarzyszką Lovata stała się figurą, zdolną poruszać się po całej szachownicy. To takie proste. Chce się dostać do telewizji. Wystarczy wybrać kanał, dowiedzieć się, na którym przyjęciu będzie obecny dyrektor danej stacji, zmusić Lovata do pójścia tam i w pół godziny załatwić sprawę. Po miesiącu zaczęła dostawać własne zaproszenia i nie musiała już grzebać w stertach zaproszeń na półce nad kominkiem.

Lovat nigdy nawet nie wziąłby pod uwagę ożenku z o piętnaście lat od siebie młodszą Angielką, ale fakt, że Izza pochodziła z Australii, całkowicie zmienił sytuację. Dowcipna, energiczna, tryskająca pomysłami i robiąca wszystko, żeby je wprowadzić w życie, wydawała mu się równorzędną partnerką. A przecież - zupełnie obca w nowym mieście - przez kilka tygodni całkowicie była zdana na niego.

Ten okres przejściowy dobrze wpłynął na jego poczucie własnej wartości, ale bardzo szybko się skończył. Izza znalazła sobie w Chelsea mieszkanie nad sklepem jakiegoś projektanta mody i spędzała tam niepokojąco wiele czasu. Nocny program w telewizji oznaczał jej nieobecność przez cztery wieczory w tygodniu, radiowa niedzielna audycja poranna dokładnie psuła weekend. Izza podpisała także umowę na napisanie książki o angielskim stylu i choć zatrudniła pracownika do zbierania materiałów, w jej kalendarzu pojawiły się nazwiska różnych modnych gwiazd. Była otoczona przyjaciółmi - większości z nich nie aprobował - młodymi, nieokrzesanymi, dziwacznie ubranymi ludźmi. I wszyscy mężczyźni, podobnie jak i on sam, uważali ją za czarującą, dowcipną towarzyszkę.

Kolia

374

W początkach ich romansu Lovata zdumiewała jej umiejętność osiągnięcia w błyskawicznym tempie orgazmu - wystarczały jej niecałe trzy minuty, albo i mniej. Teraz wydawało mu się to raczej sztuczką. Przez swoją drobną budowę przypominała dziecko i jego pragnienie powoli zaczynało ustępować. Dotykanie jej nie działało podniecająco, brakowało mu ciała, które można by objąć, wyraźnych kształtów, które można by pieścić. Przekomarzanie się, które początkowo tak go podniecało, zastąpiły ostre szarpnięcia i powierzchowna zmysłowość. Nie mogli dojść do zgody w kwestii prezerwatyw. On oskarżał ją, że używa ich dlatego, że to modne, ona oskarżała go o staroświeckie poglądy i brak odpowiedzialności. Kiedy otrzymał rozwód i stał się wolny, Izza stała się jeszcze bardziej nieuchwytna.

- Wybieram się z chłopcami na weekend do Northumberland, może do nas dołączysz? - Benedict i Orlando podzielali jego opinię, że Izza to najciekawsza ze znanych im przedstawicielek płci odmiernej. Tom, choć niepokoiła go jej kaśliwość względem ojca, także pozostawał pod jej urokiem. - Nagrasz program wcześniej. Przecież już tak się zdarzało.

- Po prostu bomba. Pół roku zasuwu, a teraz jeszcze chcesz, żebym pilnowała twoich dzieciaków. Co się stało, niańka odeszła? - Izza uważała opiekuńczość Lovata względem rodziny za osobistą obrazę; nie życzyła sobie ciężaru w postaci dzieci - niezależnie od tego, czyim były potomstwem - a już szczególnie tych rozkosznych, wiecznie wyjątych trzech budrysów i marudnej smarkuli. - Możesz mnie skreślić. Muszę sprawdzić, jak wyszły próbne zdjęcia.

Paniczny lęk ścisnął Lovatowi żołądek na myśl o kolejnym odrzuceniu, tym razem jeszcze głośniejszym, ponieważ Isabel w swym marszu po towarzyskiej szachownicy ustawiła ich na dość wysokiej pozycji. Co gorsza, nie miał na nią żadnego wpływu, ponieważ w ogóle nie liczyła się z jego zdaniem i śmiechem reagowała na krytykę. Jedyne stałym punktem jego życia stały się interesy. Starocie nie interesowały Isabel, nie doceniała też uroku i wartości, jaki miały dla niego przedmioty, które sprzedawał, ani jak słodki był smak zwycięstwa. Z trzech różnych źródeł Lovat pożyczył pół miliarda funtów, dodał do funduszy Dona Tuttlingena, dzięki czemu od drobnego francuskiego antyk-wariusza mogli kupić pejzaż Van Gogha. Ilekroć Lovat spojrział

374 *Celta Brayfield*

na obraz, miał świadomość - a pewność ta napełniała jego serce radością - że obraz jest o wiele lepszy, niż sprzedawca przypuszczał. Wiedział też, że nowojorskie Muzeum Sztuki szuka eksponatów do wystawy prowansalskich pejzaży tego artysty. Zadbał więc, aby szepnąć odpowiednim osobom słówko o swoim nabytku. Obraz znalazł się na wystawie, a potem został sprzedany za niezłą sumkę. Lovat jeszcze przez kilka miesięcy trzymał w gabinecie katalog, otwarty na stronie, gdzie w miejscu właściciela pejzażu figurowało jego nazwisko.

- Ubezpieczyli go na miliard dolarów. - Na Isabel nie robiło to najmniejszego wrażenia. - Istne szaleństwo. Jak kawałek płótna i trochę farby może być wart miliard dolarów?

- Nie rozumiesz, w czym rzecz. Wyceny obrazu dokonują zwykle domy aukcyjne, które podają najwyższą cenę, żeby podtrzymać przekonanie o jego ogromnej wartości na rynku. W ten sposób łatwiej ludzi skusić do sprzedania. Lovatowi wydawało się, że pomaga Izzie lepiej zrozumieć sytuację.

- To oszustwo - oświadczyła bez wahania. - W takim razie, może po prostu go ukradnij i zaoszczędź na pośrednikach. A pieniądze z ubezpieczenia poślij na głodujących w Etiopii.

Mimo to na otwarciu pojawiła się u jego boku, ubrana w strój torreadora i kapelusz.

Rynek dzieł sztuki coraz bardziej zaczynał przypominać kasyno, gdzie będzie więcej przegranych niż zwycięzców. Lovat na tyle stał się snobem, żeby smakować tę sytuację, choć dla antykwariusza ta gra mogła się skończyć tak kłeską, jak i wygraną. Wielkie domy aukcyjne starały się omijać zawodowców i sprzedawać bezpośrednio. Aukcja, niegdyś spokojne i dyskretne miejsce spotkań antykwariuszy, stała się wydarzeniem towarzyskim, na które przychodzili goście w strojach wieczorowych i oklaskami nagradzali kolejne stawki, jakby to były solowe popisy artystów operowych. Modę tę zapoczątkował Dom Berrisfordów sprzedając obrazów z okresu preraphaelowskiego, a ponieważ Lovat wiedział, że to zupełnie nie w stylu Hugh'a, podejrzewał w tym rękę swej byłej żony. Szampan lał się strumieniami, a dział reklamy - Berrisfordowie wcześniej nawet by nie dopuścili myśli o tak wulgarnym przedsięwzięciu - postarał się, aby o aukcji napisano w „Vo-gue'u”.

- Skończona idiotka, po co się pcha do interesów? Nie

Kolia

376

wiem, czego tam szuka. Zawsze twierdziła, że tego nie znosi, nie zna się na tym i przy pierwszej lepszej okazji doprowadziłaby firmę do bankructwa.

Nie zdawał sobie sprawy, że kiedy to mówił, na jego ustach zagościł uśmiech, ale takie znaki nigdy nie uchodziły uwagi Isabel, która spytała po prostu:

- Dlaczego wiecznie tak na nią najeżdżasz? Większość facetów skacze z radości, kiedy ich stara znajdzie sobie jakąś pracę.

Isabel nie widziała powodów, dlaczego miałyby w jakikolwiek sposób pomagać mu w interesach. Co więcej, głośno się na to uskarżała.

- Nie muszę i nie chcę chadzać na kolacje z jakimiś obrzydliwymi bankierami - twierdziła. - Rzygać mi się chce na ich widok. Czy trzech faceci koniecznie potrzebują kobiety, żeby rozmowy szły gładko? A w ogóle jaki masz do nich interes?

- Chcę, żeby firma mogła udzielać pożyczek i potrzebuję zabezpieczenia.

- Chcesz pożyczać ludziom pieniądze, żeby kupowali płótna, na które ich nie stać? Lepiej kup sobie jeszcze jedną szarą komórkę, ta twoja musi się strasznie nudzić bez towarzystwa, biedaczka.

Im bardziej była krnąbrna i samowolna, tym bardziej go pociągała i tym bardziej pozbawione sensu i puste wydawało się życie bez niej. Isabel zaś uważała Lovata za świetną odskocznię, dzięki której osiągnie kolejny szczebel w swej karierze, i postanowiła za niego wyjść, bo tam, dokąd zmierzała, przydadzą jej się wszystkie możliwe dojścia. Mimo to uważała za idiotyzm zmianę zachowania i postępowanie jak na przyszłą małżonkę przystało.

Ponieważ jedynym darem, który Lovat mógł jej ofiarować i który by przyjęła, była jego pozycja społeczna, na oświadczyzny wybrał najwspanialszą scenerię. W Monte Carlo miała się odbyć aukcja dzieł Fauve'a i późnych impresjonistów, z której dochód przeznaczono na dziecięcy szpital księżny Grace. *Clou* aukcji stanowiły płótna Cezanne'a. Jeden z dawnych współpracowników, Japończyk, upoważnił Lovata do zakupu jednego z nich, zaś sam Lovat upatrzył sobie kilka rysunków Matisse'a, co do których miał dobre przeczucia. Udało mu się przekonać Isabel, żeby zarezerwowała dla niego pięć dni, i wynajął jacht.

Celta Bray field

Do Londynu wrócili opaleni, wypoczęci i jako małżonkowie. Ślubu udzielił im na Morzu Śródziemnym brytyjski konsul, który całe życie marzył, aby pewnego dnia obudziła go romantyczna para kochanków, proszących o zgodę na ślub. Pomysł był Isabel.

- Po co czekać? Skoro mamy to zrobić, zrobmy to zaraz. Gdybyśmy wrócili i zaczęli planować, nie wymyślilibyśmy niczego choć w połowie tak romantycznego jak to, ty stary, przemądrzały koalo.

Czy sprawiła to ciasnota kabiny, czy słówko „stary”, czy nagle wyciągnięcie się Isabel na plecach i oczekiwanie, że przeniesie ją w siódme niebo - jako że to ich noc poślubna - grunt, że skonsumowanie małżeństwa przysporzyło Lovatowi mnóstwo trudu.

W gabinecie czekała na Lovata kolejna nieprzyjemna niespodzianka - fax od przewoźników, którzy informowali, że cofnięto zgodę na wywóz obrazu Cezanne'a. Odmowę francuskie ministerstwo kultury i komunikacji uzasadniało swoją zależnością od Fundacji Dziedzictwa Europejskiego. Lovat sądził, że jest to któraś z organizacji EWG, i zlecił asystentowi jej odnalezienie, przekonany, że wystarczy jeden telefon do właściwej osoby, a obraz będzie mógł wyruszyć do swego nabywcy.

- Obawiam się, że nie będziesz zadowolony. - Do gabinetu wsunął się młody człowiek z naręczem faxów. - Sprawdziłem zarząd, w większości to ludzie z muzeów, kilku polityków, naukowców, ale tutaj... Spójrz.

Położył na stole papier firmowy Fundacji, palcem wskazał listę kuratorów na dole i cofnął się w stronę drzwi. Lovat natychmiast dostrzegł nazwisko, o które chodziło - Hugh Berrisford.

- Skoro Hugh Berrisford chce wojny, będzie ją miał. Niech sobie nie myśli, że może mnie obrobić na dwa miliony! A jeśli tak sądzi, to jest głupszy, niż myślałem.

Lovat sięgnął po telefon i wystukał bezpośredni numer Hugh'a. Kiedy odebrała Bianka, krew w nim zawrzała.

- Nie możesz rozmawiać z ojcem, jest w Paryżu. - W jej głosie brzmiała chłodna, obojętna nuta, która doprowadziła go do pasji. - Wiem o całej sprawie, załatwiałam ją w jego imieniu, ale nic nie możemy poradzić, Lovat. To była decyzja zarządu... Nie miała nic wspólnego z nami.

- Przestań gadać bzdury. Ten obraz nie ma wielkiej wartości.

Kolia

377

Gdyby była w to zamieszana, stanowiłoby to bez wątpienia przejaw wrogości. Nie wystarczyło jej, że zniszczyła jego życie osobiste, teraz vendettę przeniosła także na interesy. Pewnie tylko dlatego zaczęła pracować u ojca. Gniew na dobre rozgorzał w Lovacie, palił się równym[^] mocnym płomieniem.

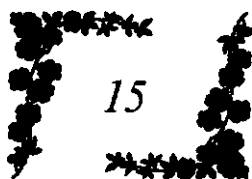
- Zdaniem zarządu tak. Wnieśli o nieudzielenie zgody na wywóz, ale ostateczna decyzja należy do Francji i ministra. Możesz wnieść odwołanie...

- Nie pouczaj mnie, co mogę zrobić.

- Lovat, przestań na mnie krzyczeć.

Zaczerpnął głęboko tchu. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiała groźba.

- Przestańmy się oszukiwać, dobrze? Przecież doskonale wiesz, co jest grane. Jeśli uda ci się dziś wygrać, Bianka, zrujnuję cię. Jesteś na tyle arogancka i głupia, żeby dać się pogryźć i pociągnąć za sobą cały Dom Berrisfordów. A jeśli nawet sama nie doprowadzisz siebie i firmy do upadku, ja to zrobię za ciebie. Tak czy owak, zginęłaś, obiecuję. A ja, jak wiesz, zawsze dotrzymuję obietnic.



Monte Carlo, 1914

Osoba, która dopiero od niedawna pławi się w luksusach, z największą przyjemnością ukazuje innym drogę korzystania z przyjemności. Lidia odbyła długą podróż koleją przez Polskę, Niemcy, Belgię, Holandię i Francję w prywatnym przedziale, otoczona wszelkimi wygodami; poza udogodnieniami, które sama zamówiła, czekało na nią rzeźbione wiaderko pełne kawioru, czekoladki, mała ikona w srebrnym puzderku i bukiet, który się nie mieścił na stoliku, z bilecikiem zapewniającym, że Siergiej Pawłowicz Diagilew niecierpliwie oczekuje jej przybycia do Monte Carlo. Lew, jadący tym samym pociągiem, miał bilet drugiej klasy opłacony przez impresario; Lidia, wyłącznie by przerwać monotonię, zapraszała go do siebie co dzień i zwracała jego uwagę na niemal każdą kopkę siana za oknem, aby podkreślić egzotykę obcych krajów.

Wyjeżdżali z Rosji w trakcie przedwiośnia, gdy na skraju pól leżały jeszcze płaty śniegu, a kawałki kry płynęły w falach rwących rzek. Tu i ówdzie pokazywały się nieśmiałe, pierwsze listki lub z nasiąkłej wodą ziemi wychylały się cienkie źdźbła traw, ale cały krajobraz tchnął zimowym ogołoceniem.

Kiedy ekspres gnał na południe, mieli wrażenie, że mknie przez pory roku. Za Warszawą wszędzie wyczuwało się radość wiosny, osady tonęły w powodzi kwitnących sadów. W przydrożnych rowach płynęły strumyczki. Na semaforach przysiadły ptaki, głośnym śpiewem obwieszczając czas zalotów. Na łąkach ciągnących się wzdłuż torów cieleta przerażone straszliwą lokomotywą patrzyły łagodnymi oczami i tupały młodymi racicami.

Lidia umiała wesoło spędzać czas i Lew chętnie odkładał książkę, by grać z nią w karty. Siedziała z mopsem zwiniętym w kłębek na fałdach jej niebieskiego stroju podróżnego z aksamitu i z głębokiego kufierka pokrytego skórą i z mosięż-

Kolia

380

nymi okuciami - w tym samym stylu co neseser na biżuterię - wyciągała jeden po drugim nowe drobiazgi dla rozrywki. Co chwila wybuchała śmiechem, a jej oczy lśniły spod małego toczka pokrytego rozetkami z lazurowoblękitnych wstążeczek. Rozpoczęcie nowego okresu w życiu i miłość, która odżyła na nowo, sprawiły, że niecierpliwie, z zapalem chciała się rzucić w wir pracy. Zasypała Lwa lawiną informacji, potokiem słów po niemiecku i włosku, opisów czekających go przyjemności.

O wjeździe do następnego kraju najdobitniej mówiły coraz lepsze potrawy przynoszone przez pokojówkę z wagonu restauracyjnego. Gdy pędzili przez Niemcy, w miejsce kapusty i dziwacznie przyrządzonego mięsa zjawily się smakowite pieczenie i ziemniaki, a za granicą belgijską Lidia mogła go uraczyć *foie grass* i *trouffle poussin*. Lew przy niej wykazywał entuzjazm, ale gdy wracał do niewygodnego, wąskiego przedziału, ogarniało go przygnębienie i bezlitośnie siebie krytykował.

Wiedział, że gryzie go zazdrość, nie potrafił zapomnieć, iż każdą nową przyjemność, jaką go obsypuje, wcześniej dzieliła z Orłowem. Zazdrość świadczyła, jak bardzo ją nadal kocha, chociaż z głupiutkiej dziewczyny, której pragnienie lepszego życia można było usprawiedliwić, wyrosła na bywałą w świecie egoistkę o wręcz karygodnej lekkomyślności. A do tego był żonaty, poślubił zadaną kobietę wartą tysiąca Lidii, więc dlaczego serce podskakiwało mu w piersiach każdego ranka, gdy słyszał miękki głos Antre, łotewskiej pokojówki, gdy z trudem pokonywała korytarze w pędzącym pociągu, by go zaprosić do przedziału Kuźmińskiej?

Po czterech dniach przybyli do Monte Carlo, gdzie, zgodnie z nowo przyjętym zwyczajem, Balety Rosyjskie rozpoczynały sezon.

- Och, nareszcie! Lew, czujesz? Boski zapach Riwiery! - Wychyliła się z okna, a powiew balsamicznego wiatru wydał jej lekką, muślinową bluzeczkę. Choć było jeszcze wcześniej, słońce rzucało ostre cienie na peron stacji. Nad niskim budynkiem kołysały się palmy. - Patrz, jak jasno, jak gorąco! Kocham to wszystko! Widzisz te kwiaty? Możesz zobaczyć stąd morze. Dzięki łagodnemu klimatowi będę tutaj znacznie lepiej tańczyła. Wiesz, moim zdaniem w Rosji nawet w czasie największych upałów nigdy nie jest nam naprawdę ciepło, nasze biedne kończyny nie mogą zapomnieć ostrego mrozu zimy.

Celia Bray field

Lew milczał. Kropelki potu pojawiły się od razu u nasady włosów, poprawił niewygodnie uciskający kołnierzyk. Pośród wielu ludzi w pastelowych, miękkich ubraniach, którzy czekali na wjazd pociągu, znalazła się Inna; natychmiast chwyciła męża w ramiona i obsypała pocałunkami, a Sierioża Grigoriew, menażer zespołu, na powitanie wręczył Lidii mały bukiet. Diagilew był w Moskwie i miał wrócić po rozpoczęciu sezonu.

- I pamiętaj, jak się tutaj zjawi, pod żadnym pozorem nie wspominaj mu o Waławie - poradziła jej Inna z protekcjonalnym uśmiechem.

- Dlaczego?

- Nie słyszałaś? Zapomniałam, że w Petersburgu jesteście zupełnie odcięci od świata. Okropnie się pokłócili. Niżyński uciekł i ożenił się w W Buenos Aires z jakąś Węgierką. Grom z jasnego nieba. Szynszyl wpadł w szewską pasję. Podobno przez całą zimę nie mógł dojść do siebie. Nie dotknęło go to osobiście, i tak ich drogi już się rozchodziły, ale zespół na tym ucierpiał. Przysiągł, że go zrujnuje, i równocześnie wychodzi ze skóry, żeby zdobyć kogoś wyjątkowego na ten sezon.

Zrobiła wyraźną aluzję do Lidii, na co ta w zamieszaniu panującym na stacji nie zwróciła uwagi. Inna uwiesiła się na ramieniu Lwa.

- Przynajmniej nie będziemy się już więcej musieli męczyć z choreografią Waławia. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. A ty, moja droga, na pewno zostaniesz gwiazdą sezonu.

Podczas ostatniej podróży z Lidią księżę Orłów kupił dom w Cap d'Ail, nazwał go Villa Cassandra dla względów, których ona nie rozumiała, a jemu sprawiały cyniczną radość. Pojechała do niej prosto z dworca, ciekawa kortu tenisowego, który na jego polecenie miał być wybudowany w parku, i żeby zobaczyć zleczone przez siebie zmiany. Służba mieszkała tam na stałe i telegraficznie zawiadomiono ich o jej przyjeździe, a ponadto Grigoriew i Tati dzień wcześniej starannie sprawdzili, czy wszystko jest przygotowane bez zarzutu.

Budynek robił duże wrażenie - okolone balustradami tarasy schodziły ku morzu po stromym stoku wzgórza, a między czerwonymi skałami spływały kaskady dziko rosnących krzewów bładoniebieskiego zawciągu. Na najwyższym piętrze znajdowały się cztery pokoje gościnne, niżej apartament Lidii i Orłowa, za nim obszerny salon, na parterze pomiesz

Kolia

382

czenia dla służby i garaż. Do posiadłości wiodła kręta droga łącząca ją z szosą biegnącą wzdłuż wybrzeża. Willa nie zawiodła oczekiwań Lidii - była czarująca. W jej wystroju dawało się zauważyć skłonność Orłowa do klasycyzmu; artysta właśnie zakończył prace nad *trompe-l'oeil* w suficie jadalni, repliką starorzymskiej mozaiki przedstawiającej Neptuna i baraszkujące delfiny. Główna łazienka została również wykonana w tym stylu, a Lidia celowo zażądała dokładnego skopiowania umywalni Krzesińskiej w jej nowym, petersburskim domu - starzejąca się balerina tak bardzo lubiła to pomieszczenie, że regularnie urządzała w nim przyjęcia.

Zamówione w Paryżu brązy, empirowe lampy i obicia wyglądały dokładnie tak, jak je sobie wyobrażała. Od ciemnych drewnianych podłóg płynął miły zapach wosku i lawendy; chłodne, cieniste wnętrza przyjemnie kontrastowały z ostrym światłem słonecznym na zewnątrz, a delikatny podmuch rozwiewał białe zasłony na drzwiach balkonowych.

Lokaj dał jej w prezencie młodą gołębicę o cynamonowo--brązowym upierzeniu, która rankiem wleciała do ogrodu. Była wycieńczona, więc uznali, że przyfrunęła z Afryki i Lidia nazwała ją Dodo. Ptak szybko wypoczął i po kilku dniach tak się oswoił, że rano przylatywał na taras dziobać z białego obrusa okruszki *croissantów*. Samotność przygniatała Lidie. Nie pozwalała sobie na tęsknotę za Orłowem, aby nie tracić sił przed rozgrywką w Paryżu. Bardziej dolegał jej brak Charlotte; potrzebowała teraz nieustannej publiczności, osób, które by odpowiadały na każde słowo i oklaskiwały najmniejszy ruch.

Czuję się, jak ktoś, kto spojrzawszy w lustro nie widzi tam nikogo, albo jak Narcyz rozpaczający po nimfie Echo - pisała do guwernantki syna. - Jest tu wielu Anglików, ale nie interesują się baletem. Mówiono mi, że nie chodzą do teatru na przedstawienia, a Lulu Kiakszt i Pawiowa zostały zmuszone w Londynie do występowania w przerwach między popisami komików. Jednak gdy słyszę ich akcent, zawsze myślę o Tobie. Zakleiła kopertę, ale przypomniawszy sobie o czymś, rozerwała ją i namazała post scriptum: Ucałuj ode mnie Kolę trzy razy i powiedz, że przywiozę mu naszą gołębicę.

Każdego ranka zawożono ją przez miasto do sali prób mieszczącej się w kwadratowym, pięciopiętrowym budynku w kolorze ochry, stojącym na samym brzegu Morza Śródziemnego. Pokoje chłodziła nadmorska bryza. Promienie

Celia Brayfield

słońca, wpadające przez okiennice zamykane z powodu upału, rysowały na podłodze pasiasty wzór. Tancerze rano mieli lekcje, po południu odbywały się próby albo długie, męczące przymiarki kostiumów.

Lidia miała zadebiutować w Paryżu imponującym *pas de deux* ze *Śpiącej Królowny* a potem *pas de deux* Czarnego Łabędzia z *Jeziora łabędziego*; na partnera wyznaczono niezawodnego Adolfa Bolma. Razem z Tati miały zatańczyć w *Sylfidach* Michaiła Michajłowicza. Nowe odkrycie Diagile-wa, nieśmiały, wielkooki osiemnastolatek z Moskwy, Leonid Miasin, był jej partnerem w *Szeherazadzie* oraz nowym balecie *legenda o Józefie*, w którym tańczyła rolę Putyfary; planowano wystawienie *Salome* ze specjalnie wydłużoną dla niej solówką w finale. Lidia ku swej wściekłości odkryła, że ma występować na zmianę z Inną.

- Lidia, przysięgam, to nie moja robota - jasne oczy Lwa patrzyły błagalnie, ale nie straciła nawet chwili na analizowanie jego ewentualnych motywów. Musiała być primabaleriną nie zagrożoną przez nikogo, prócz oczywiście Tati, która i tak była od niej sześć lat starsza.

- Inna nie może tańczyć Salome - oświadczyła stanowczo. - Jest krucha i kanciasta, a nawet kij od szczotki ma więcej zmysłowości niż ona. Tymczasem mi opowiadasz, że nowy taniec to szal, pełen zwierzęcej seksualności i ma wywołać reakcje, które kiedyś prowokował Niżyński? Inna sobie z tym nie poradzi, będzie wyglądała wręcz absurdalnie.

- Wiem, wiem, ale co mam zrobić? Siergiej Pawłowicz jej obiecał.

Z przyjemnością zauważyła, że Lew w najmniejszym stopniu nie zakwestionował niskiej opinii o erotycznym potencjale żony.

- Jako nagrodę za wciągnięcie ciebie do zespołu. Tym zajmiemy się później. I tak to, co się tutaj dzieje, nie ma najmniejszego znaczenia.

Skupiła całe swoje siły na przyszłości, na Paryżu, na tej chwili, gdy będzie ją oklaskiwać wielkie audytorium w Operze, najbardziej wymagający widzowie świata w samym centrum modnego szaleństwa, którym stał się sezon Baletów Rosyjskich, a książę Orłów po raz kolejny będzie się musiał przyznać do niej wobec nich wszystkich.

Tymczasem wiele innych rzeczy rozpraszało jej uwagę. Tancerzy uznawano za ozdobę sezonu. Bogaci i dobrze

Kolia

384

urodzeni walczyli o zaszczyt organizowania im rozrywek. Na całej Riwierze modne panie słysząc na przyjęciu zapowiedź „Przyjechali tancerze z Baletów Rosyjskich!” zieleniały z zazdrości. Do biura Grigoriewa płynął strumień zaproszeń na bale, kolacje i bankiety, do znanej willi, na słynny jacht, do klubu sportowego, hotelu Eden, a członków zespołu zachęcano do ich przyjmowania, zgodnie z zaleceniem Diagilewa, aby przez zręczne zaprezentowanie się w towarzystwie stwarzali atmosferę sukcesu. Wiele osób z międzynarodowego kręgu petersburskiego przybyło już do pobliskich rezydencji i Lidia dodatkowo była zapraszana przez księżniczki i wielkie księżne, które w Rosji ledwo zauważały jej istnienie.

W ciągu dnia Kuzmińska pracowała jak maszyna. Myślami błądziła daleko i robiła Wolińskiemu piekielne awantury, bo ją na początku nieustannie krytykował. W trakcie pierwszych prób jeszcze raz powtórzył wszystko, co kiedykolwiek jej zarzucano.

- Tępa, nie douczona! Boże, czemu ja się zgodziłem z tobą pracować? Mną gardzisz, dobrze, ale nie mogłabyś okazać muzyce odrobiny szacunku? Tyle w tobie uczucia, co w wiatraku. Jak tak dalej pójdzie, to widownia umrze ze śmiechu.

Na szczęście jego uwagi spływały po niej niczym woda po gęsi.

- Och, zlituj się, Lewrusza - odpowiadała spokojnie. - Mam kaca, wiesz, ile szampana wypiałam ubiegłej nocy.

Przecież sam tak troskliwie mi dolewałeś!

- Nie rozumiem, jak możesz się tak zachowywać. Odkąd przyjechałaś, tylko jesz i pijesz. Popatrz na siebie!

- Ten homar był boski... I widziałam, że go sobie nie żałowałeś.

- Tyjesz, niszczysz Unię.

- A więc przyznajesz, że mam chociaż trochę urody do zniszczenia?

- Na miłość boską, przestań żartować. - Nie zrezygnował z ostrego tonu, ale nieoczekiwanie jej nieśmiały flirt jak za dawnych lat podziałał na niego uspokajająco. Słoneczne, pełne przyjemności życie w Monte Carlo niepokoiło go i, ponieważ na razie nie mógł zająć wysokiej pozycji wśród artystów, czuł się zdezorientowany i onieśmielony pracując u boku twórców zachowujących się bardziej swobodnie w nowatorskiej atmosferze Baletów Rosyjskich. Pomysły uważane w St Petersburgu za niebezpiecznie

Celta Brayfield

nowoczesne, tu były normą, awangarda flirtowała z kubizmem, surrealizmem i jazzem, a on tych tendencji nie rozumiał. W grupie panowało przekonanie, że Michaił Michajłowicz skończył się jako choreograf; należało przedstawić publiczności balety Fokina, które osiągnęły powodzenie w pierwszych latach, jak *Sylfidy* i *Szeherezada*, ale teraz należały do kategorii starych, nudnych klasyków i Diagilew ciągle groził, że je sprzeda - dekoracje, kostiumy, wszystko. Chociaż Lew nadal szanował swego byłego pedagoga, nie śmiał go bronić.

Nawet codzienne zakupy pogłębiały jego poczucie niższości. Szybko się przekonał, że mówi po francusku ze złym akcentem i aby go zrozumiano, musi starannie wymawiać poszczególne słowa, a w kawiarni nigdy nie wiedział, czy powinien zostawić napiwek i jak duży. W zespole znaleźli się tancerze z całej Europy, o najróżniejszych stylach i przedziwnych oczekiwaniach. Gdy się mylił, Inna bezwzględnie go poprawiała. Ciągłe się kłócili i czuł, jak życie wymyka mu się spod kontroli.

Lidia, wcale nie zamierzając okazać mu serdeczności, wprowadzała go w ten zatrważający, obcy świat tak samo wdzięcznie, jak uczynił to wcześniej Orłów w jej przypadku. Miał wrażenie, że ona zawsze staje po jego stronie, podpowiadając lekkim tonem następny ruch; wspaniałomyślnie nie podkreślała jego braku ogłady towarzyskiej, choć mogła, skoro podczas przyjęcia nie potrafił zapamiętać więcej niż dwóch nowych nazwisk.

- Możesz zostawić koktajl, kelner go przyniesie - szeptała i praktycznie to ona prowadziła go do stołu. - Jak miło, posadzili cię między naszą gospodynią i markizą Passano, jej mąż to ten z czarną brodą; mają willę na Cap. To Rosjanka, córka pisarza, Szczedrina.

Tak samo zachowywała się podczas wspólnej pracy.

- Każ woźnym teraz przestawić fortepian - radziła, gdy zbliżało się południe. - Wrócą dopiero o czwartej, mają sjęstę po lunchu. Możemy pozwolić, by ta pozycja przepłynęła w przygotowanie do następnej. Tutaj, inaczej niż w Rosji, nie czeka się na bisy.

Tłący się płomień jego miłości rozgorzał jeszcze bardziej dzięki nowemu tańcowi Salome, który wywoływał w nich obojgu łańcuch erotycznych inspiracji, jakich nigdy nie znaleźli w samym akcie seksualnym. Salome miała tańczyć z głową Jana Chrzciciela tak, by wykazać, że jej niewinność dziecka została na zawsze zniszczona w dekadentckim otoczeniu dworu Heroda.

Kolia

386

Taniec wyrażał pierwszą namiętność jej ciała, która tragicznie ulegała wypaczeniu zmieniając się w całkowite posiadanie zdobyczy - na koniec składała długi pocałunek na martwych, zakrwawionych ustach.

Po paru dniach wahań cały taniec powstał w ciągu jednego popołudnia i żadne z nich do końca nie wiedziało, co się między nimi wydarzyło. Zgodnie z życzeniem Siergieja Pawłowicza, była to fantastyczna sekwencja, zaczynająca się od wariacji na temat tańca zasłon, dzięki któremu Salome otrzymała zdobycz, a rozpływająca się w lubieżnym skreście na podłodze. Lidia wiedzona intuicją dodała element, którego Lew nie śmiał głośno zaproponować.

Najpierw biegła na nogach drżących z pożądania, po czym zamierała z tułowiem wygiętym w zwierzęcej namiętności i składała głowę na piersiach ruchem subtelnym, choć tak szatańskim, że wstrząsał nimi do głębi.

Wieczorami ćwiczyli razem aż do całkowitego wyczerpania, tak że już nawet nie mogli mówić. Potem przebrawszy się szli na kolację do restauracyjki z tarasem wychodzącym na zatokę, a po godzinie mijało dziwaczne zauroczenie wspólną pracą i Lidia zachowywała się normalnie.

- Spróbujmy każdego sera, jaki mają w karcie - zaproponowała patrząc na niego oczami dużymi jak u dziecka. - Zawsze chciałam to zrobić.

- Lidia, jak możesz? Po tej czekoladowej mieszance? Utyjesz, a teraz ci nie wolno. - Jednak musiał przyznać, że wyglądała lepiej przybrawszy na wadze; warstwa tłuszczu nigdy nie odkładała się u niej na nogach, lecz na szyi i ramionach. Z okrągłymi policzkami i maleńkim podbródkiem przypominała apetyczny kąsek.

- Ta mieszanka nazywa się *bavarois*, mój drogi. Absolutnie boska, prawda? Nie rozumiem dlaczego, tyle razy brałam od nich przepis do domu, ale Denis jakoś nie umie tego przyrządzić. Twierdzi, że czekolady w Petersburgu są do niczego. A teraz nam powiedz... - skinęła rękawiczką na kelnera - Co to za ser, ten z czarną skórką? Dobry? Wygląda na ostry... Kozi? Lew, jakim cudem potrafisz się im oprzeć? Spróbuj kawałek. Korzystaj ze wspaniałej okazji... U nas kozy są na Kaukazie, w kraju nie dostaniesz takich delicji.

Nie zdając sobie sprawy z tego, jak zmieniają się jej uczucia, dostrzegła nieporadnego chłopczyka pod maską twardego intelektualisty z St Petersburga i rozkwitł w niej

Celta Bray field

instynkt macierzyński - którego nie wzbudził w niej własny syn - nakazując jej teraz wygładzać ścieżkę pod stopami Wolińskiego. Z przyjemnością zauważyła, jak przydają mu się te cechy, którymi zawsze najbardziej w niej pogardzał. I z rozkoszą się z nim drażniła.

- Twój problem polega na tym, że nie widzisz różnicy między trywialnym a frywolnym - pouczała go, gdy pewnej niedzieli siedział przygnębiony na plaży.

W dzień wolny od pracy połowa grupy wybrała się razem do prywatnej zatoczki, należącej do amerykańskiego milionera, który zbiwszy majątek na wieprzowinie, przeszedł na emeryturę i postanowił się teraz skupić na pięknie. Gdy pozwolono mu uwielbiać dwie czy trzy młode tancerki, z radością zaczął przyjmować tuzinami ich przyjaciół.

- To jest to samo. - Lew puścił parę kaczek w lazurowej wodzie, a teraz szukał w kupce piasku odpowiednich kamyków.

- Nie, i na tym cała rzecz polega. Całe życie można poświęcić rzeczom frywolnym, ale trywialność to śmierć. Oto pytanie: na przykład baccarat jest trywialny czy frywolny?

- Lew, nie odpowiadaj, to zbyt głupie. - Inna naciągając głębiej kapelusz popatrzyła na nich z naganą i wygodniej ułożyła się na leżaku z książką przed nosem. Mąż wyciągnięty leniwie na piasku zerkał na Lidię spod nisko spuszczonej powiek. Jego dojrzałą twarz cechował demoniczny, ostry wyraz, choć rzęsy pozostały po dziecinnemu długie i gęste.

- Baccarat? Frywolny, zwłaszcza kiedy przegrywam.

- Dobrze. W nagrodę dostaniesz muszlę. - U jego stóp wylądowała cieniutka, różowa muszelka. - Jedzenie truskawek?

- Małych czy dużych?

- Dużych.

- Z oranżerii czy ogrodu?

- Spróbujcie sobie wyobrazić taką rozmowę w Petersburgu! - Tati słuchała z na wpół odwróconą w ich kierunku głową, zmysłowy uśmiech igrał na ustach wygiętych w zgrabną linię. Jej spaniel ciężko dyszał schowany w cieniu pod leżakiem.

- Nie umiem - odparła Inna. Rozzłoszczona przypominała wronę. - Ludzie tak rozmawiają tylko na Riwierze i Bogu dzięki. Widać jest tu coś w wodzie, od tego popadają w dekadencję.

- Z oranżerii czy ogrodu? - zamruczał Lew patrząc Lidii w oczy.

Kolia

387

- Z ogrodu.

- Frywolne. Ale tylko wtedy, gdy je zjadasz w ogrodzie.

- Znów prawidłowa odpowiedź. - Druga muszelka upadła obok pierwszej. - A teraz trudne pytanie: romans?

Unikał jej wzroku i wpatrywał się w piasek. Popołudniowe słońce wiszące nisko nad horyzontem kładło długie cienie i w jego promieniach wyraźniej rysowało się muskularne, rzeźbione ciało mężczyzny.

- Trywialny.

- Dobrze. Widzę, że brałeś gdzieś lekcje. - W nagrodę dała mu drugą połówkę różowej muszli.

- Przecież to oczywiste - oświadczył wyniosłym tonem wszechwiedzącego znawcy, tak samo przemawiał trzy miesiące temu wobec zgromadzonych w barze Pod Zabłąkanym Psem, twierdząc, że premier jest jedynym uczciwym człowiekiem w świecie rosyjskiej polityki i dlatego car musiał go zdjąć ze stanowiska. - Romans ma tylko wtedy znaczenie w życiu człowieka, gdy rozwija jego zalety, inspiruje do tworzenia wielkiej sztuki, okazania odwagi lub szlachetności. Sam w sobie jest bezwartościowy.

Wtedy właśnie przyszedł jej do głowy pomysł, żeby go uwieść. Psota, aby rozproszyć smutek tego okresu *reculer pour mieux sauter*, wyzwanie postawione jej kobiecości, ćwiczenie przed zadaniem czekającym na nią w Paryżu, spotkanie z przeznaczeniem, które odwlekała może nazbyt już długo - znalazła tuziny powodów, dla których należało wcielić tę myśl w życie. Leniwie wyciągnęła nagą stopę i zaczęła nią gładzić jego kostkę.

- Lew, jestem pod wrażeniem. Naprawdę wspaniale chwytasz niuanse tej wiedzy.

- Wszystko zawdzięczam nauczycielce. - Jej stopa, o białej skórze i wypukłych paznokciach, wydała mu się niezwykle egzotyczna. Trzymał ją tysiące razy w trakcie tańca, ale teraz była zupełnie inna, tajemniczo pociągająca.

- No proszę, zadaj mi następne pytanie.

- Zgoda: dekadencja. Trywialna czy frywolna? - połaskotała go pod stopą dużym palcem.

- Frywolna.

- Jesteś pewny?

Poczuł słodki ucisk. Na jej dotknięcie zareagował częściową erekcją i krótkie spodenki, choć luźne, zaczęły go opinać. Straszliwie zażenowany usiadł obejmując kolana rękami, by ukryć zarys nabrzmiewającego penisa.

Celia Brayfield

- Naturalnie. - Powietrze uciekło mu z płuc i musiał niezręcznie odkaszląć. - Dekadencja jest frywolna, bo sztuka oczyszcza się i odnawia tylko przez szukanie dekadencji. Następne pytanie.

Wolno przejrzała kolekcję muszelek i wybrała drobny, mały okaz.

- Jaka śliczna, prawda? Można by z niej zrobić wisiołek.

- Wyjątkowa, ale ponieważ odpowiedziałem na pięć pytań, więc proszę o nagrodę specjalną. - Zerknął na żonę, która udawała, że nie słucha. W ostrym świetle Południa wydawała się zupełnie inną osobą. Zamiast interesującej, poważnej kobiety, którą poślubił, a w jego wyobraźni posiadającej tajemnicze centrum grawitacji, żyłę pradawnej mądrości sterującej jej czynami, widział niepewną siebie, pozującą na kogoś innego dziewczynę, żarłocznie pochłaniającą luksusy Zachodu bez zwracania uwagi na ich rzeczywistą wartość.

- Sędziowie muszą to przedyskutować. - Lidia uniosła jedwabiste ucho mopsa, coś w nie szepnęła, a pies parsknął i aż podskoczył. - Co chcesz jako nagrodę specjalną?

- Sam postanowię, gdy wygram. - Intuicja jej podpowiadała, że ma zamiar prosić o pocałunek.

- Punkt karny za arogancję! - Zabrała połówkę różowej muszli. Próbował ją powstrzymać.

- niesprawiedliwość! Oszustwo! - krzyknął i chwycił za rękę. Straciła równowagę i oboje osunęli się na piasek, chichocząc i siłując się jak dzieci. Mops odskoczył na bok. Inna ciężko westchnęła.

Lidia usiadła i otrzepała piasek z pasiastego kostiumu.

- Sędziowie nie oszukują. Masz przeprosić i przynieść nam lemoniady, albo za karę odbierzemy ci wszystkie zdobyte punkty.

Lew wstał posłusznie i wezwał służącego, który czekał pod parasolem na polecenia gości swego pracodawcy. Inna zamknęła książkę i położywszy ją ostrożnie na leżaku zaproponowała Tati spacer wzdłuż plaży. Lew i Lidia wypili przyniesiony napój, po czym przez chwilę w milczeniu słuchali pokrzykiwań przyjaciół i szczekania psów chlapiących się w wodzie. Oboje czuli napięcie, nastrój konspiracji, ale gdy zabrakło hamującej obecności Inny, krępowała ich siła wzajemnego przyciągania.

Minęło kilka dni i po paru fałszywych alarmach oraz licznych opóźnieniach wreszcie zjawił się Diagilew. Jego pociąg

Kolia

389

miał przyjechać wieczorem, ale już od rana zespół ogarnęło podniecenie. Lew zgromadził wszystkich na próbę sceny finałowej w *Salome*, i oto impresario zjawił się niczym duch w rogu pomieszczenia, stając obok fortepianu. Był wyższy i lepiej zbudowany, niż go Lidia pamiętała z St Petersburga, włosy przerzedziły mu się na skroniach, miał czarujący wąsik i pełne, gładko wygolone policzki.

- *Mademoiselle* Kuzmińskaja, nareszcie! Czy potrafi mi pani wybaczyć? - Najpierw przywitał się z nią całując podaną dłoń. - Musi się pani zastanawiać, co to za mężczyzna ze mnie, skoro wyciągnąwszy tak wielką i cenioną artystkę z St Petersburga, zaniedbuje ją potem wręcz karygodnie. To przez moje liczne zajęcia. Nigdy mi nie wystarcza czasu na zrobienie wszystkiego, co trzeba. Ale wreszcie przybyłem. - Rozłożył ramiona i uniósł gęste brwi uśmiechając się szeroko.

Lidia odpowiedziała z lodowatą uprzejmością. Słuchając przez lata opowieści Tati o jego machinacjach, uznała, że jego charakter składa się w trzech czwartych z cech Lorenzo di Medici, a reszta to wady dwuletniego dziecka - jeśli przebiegłością nie osiągnął celu, robił piekielną awanturę. Na szczęście celowała w obu tych metodach. Planowała natychmiastowy atak, by wykorzystać element zaskoczenia.

- Och, jestem zachwycona, wreszcie się spotkaliśmy

- stwierdziła bez przekonania. - I mam nadzieję, że wśród wielu zajęć znajdzie pan chwilę czasu, by rozwikłać moje drobne problemy. - Nic w jej zachowaniu nie wskazywało, jak bardzo ją te sprawy trapiły.

- Zamieniam się w słuch. Proszę mi zaraz powiedzieć, co mogę uczynić, aby panią całkowicie uszczęśliwić?

- Niestety, to nie leży w pana możliwościach. Jednak mam nadzieję, że zdoła pan naprawić niektóre z okropnych krzywd, jakie mi wyrządzono.

- Krzywd? - Jego ukradkowe spojrzenie na otaczających ich tancerzy zdradziło Lidii, że zdaje sobie sprawę z wagi jej oskarżenia. - Żałuję z głębi serca i natychmiast wszystko doprowadzimy do porządku, ale... czy to właściwy moment?

- gestem wskazał resztę grupy.

- Tak, choć może nie najwłaściwsze miejsce.

- Oczywiście. Lew, czy możemy gdzieś tu porozmawiać? Budynek miał osłonięty taras od strony lądu i znalazłszy się na nim, do wtóru melodii cykad płynącej w gorącym, wonnym powietrzu, wpadła w szal oskarżając Diagilewa

Celia Bray field

O zdradę i spiskowanie. Salome to jej rola, stworzona nie tylko przez nią, ale również dla niej przez Lwa i nikomu innemu nie wolno jej kreować. Jak śmiało zaproponować, by dzieliła ją z inną tancerką, nie mówiąc już, że z kimś tak nieodpowiednim jak Inna i, aby ją jeszcze bardziej obrazić, to Grigoriew przekazuje jej tę wiadomość? Jej nazwisko wypisano na plakatach fatalnie, kostium Czarnego Łabędzia uszyto szkaradnie i jeżeli sądzi, że ona w Paryżu zatrzyma się w jakimś hotelu, a nie w Ritzu, to... cóż, nigdy w życiu nie była tak dogłębnie zszokowana.

- Przepraszam z całego serca - odparł spokojnym tonem. - *Madame Wolińska* zapewniła mnie, że wielokrotnie tańczyła tę partię w Teatrze Maryjskim i oczywiście nie miałem powodu jej nie wierzyć. Zgadza się co do pani uwag na temat jej stylu, ale ponieważ jest jedną z najbardziej oddanych pracownic *Ballets Russes*, to chciałem wynagrodzić jej starania. Na pewno zdaje pani sobie sprawę, jak z początku trudno mi przychodziło znalezienie dobrych baletnic.

- Czemu się pan dziwi? Jeżeli powtarzają później takie historie w Petersburgu... Przestrzegano mnie, że przypomina pan lorda Byrona - szalony, zły i niebezpieczny dla bliskich. Odparłam, że nie wierzę, bo jest pan szczerym, kulturalnym i odważnym człowiekiem, wierzącym w swe posłannictwo pokazania Zachodowi sztuki rosyjskiej. Teraz oczywiście przeklinam siebie za własną głupotę i naiwność. Poleciałam mojej pokojówce, by zaczęła mnie pakować po południu, gdyby się to okazało konieczne...

Udało się jej wyraźnie pokazać, że lepiej wyjdzie na próbie uspokojenia baleriny niż na kłótni. Nie popełnił błędu i nie starał się bagatelizować żadnego z jej zastrzeżeń.

- *Mea culpa, madame, mea maxima culpa* - powiedział ujmując ją za rękę. - Powiniennem tu być i wszystkiego sam dopilnować. Pokonała mnie pani, zasłużenie zgmiotła na miazgę. Proszę mi dać dzień, może dwa, a naprawię szkody.

- Bardzo dobrze, *monsieur* Diagilew, dwa dni.

- Proszę mnie uspokoić w jednej kwestii, oczywiście jeśli się już pani na mnie nie gniewa. Czy podobają się pani te nowe, cudowne wariacje, które dodaliśmy do *Salomei*

- Ależ tak, bardzo jesteśmy z nich oboje zadowoleni. Chyba byłam w połowie jednej z nich, gdy pan wszedł do sali prób? Widział je więc pan na własne oczy. Moim zdaniem

Kolia

392

zrobią furorę. Jak pan na pewno wie, wszystkie prace Lwa są nadzwyczajne, ale ta wykracza dalej niż stworzone wcześniej.

- Nie jest za trudna?

Spostrzegła, że chce ją zaniepokoić - obsypuje komplementami, a równocześnie sieje ziarno wątpliwości.

- *Monsieur* Diagilew, tego zwrotu nie ma w moim słowniku. Robię wszystko, czego wymaga choreograf, bez względu na stopień trudności. Tak, to stanowi dla mnie wyzwanie i mam w nim wiele *attitude*, które trzeba długo utrzymać, ale jak słyszałam w Paryżu, będziemy występować na zmianę z operą i mam nadzieję, że moje stopy się z czasem przyzwyczają.

- Doskonale. Oczywiście przyjdzie do mnie pani z każdym problemem, choćby najmniejszym? Chyba pani wie, że chcę, aby pani zdobyła Paryż szturmem?

- Mam taki sam zamiar.

- A Paryż ma wymagania. Nasz pierwszy sezon to był cud. Ludzie nie widzieli takiego tańca i tancerzy jak nasi, ani *mise en scene*, łączącej wspaniałą muzykę z dekoracjami najznakomitszych artystów. Wszędzie, gdzie się pojawiliśmy, zapłonął święty ogień. Na scenie znajdowało się wszystko, co olśniewające, odurzające, zachwycające i kuszące. Dzieje tego sezonu są spisane złotymi zgłoskami i jak dotąd rokrocznie powtarzaliśmy ten sukces. Ale ludzie są nienasycony, ciągle chcą czegoś nowego...

Zauważyła[^] że mówił na poły do siebie, przekonując o czekającym na nich, wspaniałym przyjęciu.

- W Petersburgu *Salome* zawsze otrzymywała wielkie brawa - przypominała spokojnym, równym tonem. - Zdaniem wszystkich Woliński to większy choreograf niż Fokin. Moim zdaniem ma pan wszelkie dane, by spodziewać się następnego triumfu, *monsieur*.

Rozstali się w przyjaźni, każde zadowolone, bo trafiło na godnego siebie przeciwnika, a Diagilew dotrzymał słowa przychodząc do jej willi wieczorem, dwa dni później, w towarzystwie Grigoriewa. Przyjęła ich na tarasie, a zachodzące słońce rzucało pomarańczowe blaski zza czarnego szczytu wzgórza.

Pokazał jej nowe plakaty do *Salome*, *Szeherazady* i *Legendy*

O *Józefie*, na których jej nazwisko wypisano dużymi literami,

i ponieważ miały egzotyczny, pseudoarabski krój, więc może były nawet większe niż te w nazwisku Karsawiny.

Celia Brayfield

- I *madame* Wolińska zrozumiała sytuację. *Salome* należy wyłącznie do pani. A skoro mieliśmy prawdziwie rosyjską kłótnię, płacze, burzę i krzyki na cały budynek, to możemy się teraz równie serdecznie pogodzić, prawda?

Otworzył szeroko ramiona, ucałowała go w oba policzki, czując niezwykły, magnetyczny urok bijący od tego człowieka - wiele słyszała o tym czarze, a teraz właśnie ją próbował nim usidlić. Potężne ciało niczym u przemysłowca czy bankiera i wymowna twarz z oczami kuszącej odaliski stwarzały pociągającą kombinację.

- To zazdrość kieruje Inną - oświadczyła nagle spragniona szczerości. - Lew Siergiejewicz, nim ją poślubił, zabiegał o moje względy i dlatego teraz ona nie potrafi mi zaufać.

- O tak, to wiele tłumaczy. Szkoda, że pani za niego nie wyszła, wtedy oboje należelibyście do mnie. Lew Siergiejewicz to bez wątpienia geniusz. Lubię obserwować ludzi jak on, tuż przed odniesieniem oszałamiającego sukcesu, gdy jeszcze mają w sobie tyle nieśmiałości. On nie zdaje sobie sprawy ze swego talentu. Ale, *mademoiselle*...

- Proszę mi mówić po imieniu. Po tym, co razem przeszliśmy, te formalności nie mają sensu.

- Lidio, jestem zaszczycony. Z niepokojem oczekuję twojej opinii na temat drugiego Lwa, młodego Miasina z Moskwy. Co o nim sądzisz?

- Bardzo przystojny chłopak, i jak na jego wiek, niezwykły. Jest inteligentny i zabawny, pasują do niego partie komediowe, szybko się uczy, ma dobrą technikę. Może niektóre z jego pomysłów wydają się trochę dziwne...

- Co takiego?

- Lubi zwalniać tempo, pianista zawsze na to narzeka. Ale w Moskwie wszystko robią inaczej, moim zdaniem nowy repertuar stanowi dla niego wyzwanie.

- Ty jesteś inna, masz we krwi zmagania z wyzwaniem. Przytaknęła patrząc na niego ponad brzegiem kieliszka z szampanem i zastanawiała się, czy mówi prawdę. Nie umiała tego odgadnąć. Czowała, że pyta o nowego protegowanego, bo rzeczywiście chce jak najpełniej rozwinąć jego talent.

- Jest trochę prowincjonalny - ciągnął. - Ale szybko sobie z tym poradzimy. Czy powinienem go wysłać do Cecchettiego, gdy będziemy występować w Mediolanie?

- Może... Ale moim zdaniem styl włoski bywa przeceniany. Niewiele pomaga, kiedy trzeba tańczyć według choreografii

Kolia

393

Wolińskiego. Chociaż Miasinowi przydałoby się parę lekcji *pas de deux*.

- Bardzo delikatnie powiedziane... Sierioża? - menażer zespołu wyglądał na zakłopotanego. - Czyli rzucał tobą jak workiem ziemniaków i cała jesteś w sińcach?

- Nie, nie jest aż tak źle. Przecież to tylko chłopiec, musi nabrać mięśni, trochę się rozwinąć...

- Więcej *pas de deux* i od jutra na salę gimnastyczną! Dziękuję ci, moja droga. Nim dotrzemy do Paryża, będziesz miała zupełnie innego partnera. Jak tu uroczo! Jak wspaniale urządzonego dom. Czy książę przywiózł coś ze słynnej petersburskiej kolekcji?

- Nie, ale w zeszłym roku kupił trochę antycznych szkielec i parę rzeźb. Chciałbyś je obejrzeć?

Był to pretekst, aby pokazać całą willę. Diagilew tak się zachwycił otoczeniem, że podsunął Lidii pomysł: zaprzęgnęła, by wielu ludzi tak chwaliło jej wnętrza.

- Zawsze chcieliśmy z Mikołajem wydać wielkie przyjęcie, gdy się tu urządzimy, ale on tkwi w Paryżu, a ja tak bym chciała zaprosić tu gości przed rozpoczęciem sezonu. Wszyscy są tacy dla nas mili, wręcz noszą nas na rękach.

- Jakaż wspaniałomyślność - odparł, natychmiast oceniając wysoko znaczenie jej związku z Orłowem w kręgach towarzyskich Riwiery. - I ponieważ jesteś równie wspaniałą gospodynią jak artystką, będzie to wydarzenie tej wiosny. Kiedy książę Orłów o tym usłyszy, pożałuje, że tak bardzo się zajął liczeniem karabinów w Paryżu.

- Bez wątplenia. Czy twój sekretarz pomógłby mi zrobić listę gości? Znam oczywiście wszystkich naszych rosyjskich przyjaciół, ale nie wiem dokładnie, kogo zaprosić z grona tutejszych wielbicieli Baletów Rosyjskich. Lidia zaczęła się zastanawiać, ile naprawdę wie Siergiej Pawłowicz? Tati odparłaby: „wszystko” i skoro na pewno wyciągnął każdą, najmniejszą plotkę z tej słodkiej, otwartej istoty, to Lidia uznała, że na pewno zna wszystkie sekrety, które powierzyła przyjaciółce.

Zgodnie z jego przepowiednią i dzięki jej staraniom, bankiet uznano za największe wydarzenie sezonu. Doskonale wiedziała, że następnego popołudnia po liniach telefonicznych z Riwiery do Paryża popłynie fala plotek o wykwintnym stylu,

Celta Brayfield

w jakim nowa primabalerina przyjmuje gości; uważała to przyjęcie za ważną część planu, by w stolicy Francji odnieść prawdziwy sukces. Ostentacja najbardziej przemawiała do Lidii; wiosna na Riwierze stanowi ciąg bali i rozrywek, więc by pozostawić ślad w pamięci ludzi, musiała wysilić całą wyobraźnię.

Automobile wypełniły sosnowy lasek ponad willą i nawet brzegi szosy dojazdowej i wysiadło z nich dwustu gości: książęta, arystokracja, milionerzy, wielbiciele baletu i, ze względu na ich urodę, parę tuzinów świeżych jak kwiaty debutantek, wspartych na ramionach młodych mężczyzn.

Lidia usłyszawszy, że w Nicei gości wielki skrzypek z Moskwy, Misza Elman, ubłagała go, aby zagrał u niej. Wynajęła reflektory i krzesła, przemieniając nowy kort tenisowy w widownię. Miasin z trzema początkującymi w zespole tancerkami przedstawił na tle cyprysów i marmurowych kolumn *Przebudzenie Flory*. W powietrzu unosiła się woń płynąca od setki krzewów mirtu, rozstawionych dookoła.

Ogród rozjaśniały pochodnie nadając pogański charakter wieczorowi, który bez nich byłby zaledwie eleganckim przyjęciem. W bufecie serwowano homary przyrządzone przez kucharza wypożyczonego od wielkiej księżnej Mecklenburg-Schwerin, mieszkającej na wybrzeżu w Eze. O północy zapłonęły ognie sztuczne. Lidia miała na sobie złotą tunikę spiętą na ramionach złotymi paciorkami, pod nią zaś udrapowane zwoje przetykanej złotem, ciemnoczerwonej, jedwabnej krepy. Ponieważ ku jej wściekłości kolia Orłowów została w Petersburgu, a złote diamenty od cara pojechały do Paryża, więc włożyła pięć sznurów perełek spiętych rubinami osadzonymi w złocie, a jej francuska pokojówka - Łotewka była na to zbyt niezdarna - zrobiła jej opaskę na głowę: czerwoną, jedwabną szarfę przyozdobiła obrożą z brylantów i maleńkich rubinów oraz jednym czarnym piórem.

Diagilew zadbał, by jego zespół dobrze wypoczął przed premierą następnego dnia i o drugiej dał hasło do zakończenia bankietu zabierając Tati, Miasina, Bolma i Grigoriewa. Jean, młody artysta, który zaprojektował plakaty, natychmiast wysunął się z tłumu i ujął impresario pod ramię z pozorną niedbałością. Diagilew przywołał jeszcze dwóch Niemców, autorów sztuki, na podstawie której powstała *Legenda o Józefie*, oraz Pabla, młodego, hiszpańskiego malarza, którego przekonywał, jak można połączyć kubizm

Kolia

396

z baletem. Tyły pochodni zamykała drobna figurka w okularach - Igor Strawiński. Z równie niepozorną żoną u boku, szedł protestując nieśmiało, twierdząc, że w Rosji przyjęcia naprawdę zaczynają się po drugiej w nocy.

W ciągu godziny tłum imponujących gości się rozplątał, przekonywali sobie nawzajem, że głęboko rozumieją balet, a tancerze muszą w trakcie pracy przestrzegać surowej dyscypliny, by osiągnąć tak niezziemskie piękno. Zostało tylko kilka par pograżonych w czułych rozmowach, a na korce mała grupa ustawiała pozłacane krzesła w krąg i prowadziła gorącą dyskusję na temat muzyki.

Zachwycona Lidia przechodziła z pokoju do pokoju dozorując służbę z niezwykłą u niej dobroduszością. Sześć godzin nieustannych komplementów płynących ze wszystkich stron niemal ją zaspokoilo. Ogarnęło ją cudowne upojenie.

Stała na tarasie, gdy w ciepłym powietrzu rozległ się wybuch śmiechu, przechyliła się przez balustradę - grupa z kortu szła w kierunku kamiennych schodów, mężczyźni rzucali w krzaki końcówki cygar. Ostatni kroczył człowiek najwidoczniej przezorny, bo starannie przydeptywał wszystkie niedopałki. Natychmiast go rozpoznała po niezwykłym napięciu widocznym w ruchach. To był Lew.

- Jesteś wspaniały - stwierdziła, gdy wszedł po stopniach na taras, a ona przyjęła go z wyciągniętymi ramionami. - Jak się cudownie o mnie troszczysz. Każdy się doskonale bawił myśląc wyłącznie o własnych przyjemnościach, a Lew Sier-giejewicz wykazał przezorność i to dzięki niemu uniknęliśmy pożaru lasu.

- Drobiazg - mruknął najwyraźniej zadowolony. Kiedy podszedł bliżej, zauważyła kropelki potu na jego czole i nad górną wargą. Nie mógł oderwać od niej oczu, gdy przysunęła się ku niemu. Rozpląnęła się jego ostrożność i napięcie; widocznie upił się wódką. Rozpoznała natychmiast te oznaki. W pobliżu nie było nikogo z gości.

- Drobiazg! Ale bez ciebie, mój kochany, ogród spłonąłby doszczętnie. Rozmaryny i lawenda, moje krzaki mirtu... Lubisz je? Pachną tak delikatnie i słodko. Wszystko by zginęło w płomieniach, żar zniszczyłby całe wzgórze... - Złożyła na jego ustach długi pocałunek obejmując go za szyję.

- Przesadzasz. - Był oczarowany, niezdolny do najmniejszego ruchu.

Podeszła do balustrady patrząc, jak ją obserwuje.

Celia Brayfield

- Jak długo się znamy? Wiesz, że już prawie dwadzieścia lat? - Słowa spływały z jej ust niczym zefirek. - Tak się cieszę. Na myśl o tym czuję się cudownie, rozumiesz?

Jego mózg był zupełnie pusty. Znów się poruszyła, obchodząc go kocimi ruchami. Może jeśli będzie stał bez ruchu, nie odwróci ku niej twarzy, to nic się nie stanie. Ciepły oddech połaskotał go w kark, ucho. Znalazła się za nim.

Dłońmi gładziła jego ramiona. Ponad nimi księżyc lśnił niczym nowo wybita moneta.

- I kim ja bym była bez ciebie... A ty beze mnie? Och, Lew, rośniemy jak dwie gałązki winorośli, nasze losy się ze sobą splatają. Zawsze będziesz w moim życiu, prawda? Bez względu na to, co się stanie?

- A cóż się może stać? - rozzłościł go dziecinny strach, który dosłyszał w jej głosie.

- Wszystko, Lew.

Lidia uniosła się na palcach, przytuliła do jego pleców. Ugryzła go w ucho. Jej usta spoczęły mu na karku, słyszał jej oddech. Nadal trwał bez ruchu. Zrozumiała, że ma go zupełnie w swojej mocy i Lew zrobi wszystko, co ona zechce. Poczul, że się odsuwa i zrobiło mu się zimno. Na jego torsie pojawiła się para dłoni, które rozpięły guziki marynarki i zdjęły ją. Przez moment dotknęło go jej ciepłe ciało, gdy rozsupłała i odrzuciła krawat, a potem rozpięła kołnierzyk koszuli i ustami musnęła nagi kark. Natychmiast odstepiła, a on stał kołysząc się z pożądania, aż znów się o niego otarła. Zaszleścił osuwający się na ziemię jedwab i coś delikatnie pogładziło jego biodro. Jej dłonie wsunęły się pod koszulę, plecy owiało ciepłe powietrze nocy i poczul, jak przywiera do niego jej nagie ciało, palące, a równocześnie bardzo miękkie.

- Zawsze będziesz ze mną, wiem, i ja zawsze będę z tobą. Jesteś w mojej duszy, nie możemy się rozstać. Opierałam ci się długo. Bałam się życia, przede wszystkim szukałam poczucia bezpieczeństwa. Ale teraz nie ma się przed czym bronić. Nasze dusze się połączyły i zawsze będą razem. Już staliśmy się jednością. I nie wierzę w walkę z Przeznaczeniem, jest niemożliwa. Chcę teraz zniknąć w tobie i chcę, byś ty się rozpląnął we mnie i tam, gdzie byliśmy samotni, powstanie nowa osoba. - Jej ręce powoli gładziły jego nagi tors, wygięła się, ocierała piersiami o jego plecy, po czym ujęła go za ramię i odwróciła twarzą do siebie. - Lew, popatrz na mnie. I tak mnie zapamiętaj - tylko ty mnie taką widzisz. Tylko z tobą taka jestem.

Kolia

397

Suknia spoczywała u jej stóp niczym złota kałuża. Na szyi migotał naszyjnik z pereł i rubinów, uniosła białe ramiona i zaczęła wyciągać spinki z włosów. Spadały na ziemię jedna po drugiej, cichy, metaliczny brzęk rozplątywał się w melodii cykad. W świetle księżyca lśniły jej jasne pończochy, ale skóra była od nich bielsza. Wyjęła ostatnią wsuwkę i potrząsnęła lokami, wiedząc, że przy takim ruchu zakolyszą się jej piersi.

Lwem targały dwa sprzeczne uczucia - nienawiść, gdy widział, jak profanuje jego święte uczucie miłości, którą pogrzebał głęboko w sercu, a jednocześnie rozpierała go radość, pragnął tylko jednego - chwycić ją w ramiona. Chciał paść przed nią na kolana, ale obawiał się jej pogardy. W końcu pokonał bezwładność i rzucił się do jej stóp całując zapamiętałe to, na co natrafiły jego wargi - pantofelki, kolana, podwiązkę, uda. Jej nogi dygotały. Od razu je rozsunała, poczuł słodki zapach jej kobiecości, chwyciła go za włosy i pociągnęła do góry, by ją pocałował w usta. W sypialni uwierzył, że przez kochanie się z nią może ją całkowicie posiadać, uczynić swoją na zawsze. Chętnie poddała mu swe ciało; po miękkich, znanych kształtach Orłowa podniecały ją twarde mięśnie, tętniące siłą i mocą. Drapała, dyszała niczym zwierzę. Spadli z łóżka i nie przejmując się tym, na podłodze doznali pełni rozkoszy. Lew zapadł w drzemkę, Lidia zostawiła go leżącego z rozrzuconymi ramionami i prześcieradłem zaplątanym wokół nogi, przypominał ofiarę masakry na obrazie Delacroix. W willi panowała cisza, wszystko wróciło do normalnego ładu i czystości. Szła przez pokoje, nogi się pod nią uginały od zmęczenia, skoro zaspokoila już pożądanie. Na myśl o koniecznym zajęciu się posiadłością wróciły jej siły, zaczęła sprawdzać porcelanę i srebra, które miały zostać schowane. W wyobraźni widziała siebie za miesiąc, w Paryżu, z Mikołajem. Widziała, jak oddaje mu się ze zwierzęcą zajadłością, którą właśnie odkryła. Zapomniała o Lwie, dopracowując szczegóły erotycznego przedstawienia na cześć Orłowa.

Lew obudził się godzinę później, zziębnięty, na podłodze. Zdawało mu się, że jego serce przypomina różę rozkwitłą w promieniach słońca. Wypełniało go absolutne szczęście, choć bolało go całe ciało i zaschło mu w ustach. Znalazł wodę w łazience, po czym ruszył na poszukiwanie Lidii.

Była w kuchni, gdzie deski do krojenia jeszcze nie wyschły, a w powietrzu błąkała się woń potraw; stała na środku

Celta Brayfield

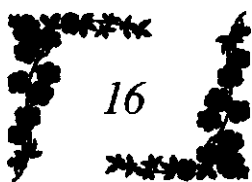
pomieszczenia w czarnym kimonie i ze zmarszczonymi brwiami patrzyła na potłuczony kieliszek, który zgodnie z jej poleceniem zostawiono na śmietniczce, by mogła go obejrzeć.

- A, Lew, dobrze. Skoro już wstałeś, to poszukam kierowcy. - Obrzuciła go spojrzeniem dobrze wychowanej pani domu, patrzącej na nowo poznanego gościa.

- Ale poczekaj... - Straszne przeczucie zabiło natychmiast całą radość. Zrozumiał, że to, co niedawno robili, dla niej nic nie znaczy. Była przecież tak płytka. Po dwudziestu latach powinien przynajmniej tyle o niej wiedzieć. Jego oczy w ciemnej oprawie patrzyły z niedowierzaniem.

- Wszystko w porządku - zapewniła go, źle rozumiejąc jego przejęcie. - Uprzedziłam go, żeby się nie kładł, bo został jeszcze jeden gość. Możesz poszukać swojego ubrania? - Podeszła do wewnętrznego telefonu wiszącego w kącie i ujęła słuchawkę. - Gaston, podstaw samochód za pięć minut.

Duma Lwa dorównywała wściekłości szaleńców, chociaż niszczyła tylko jego. Lidia traktując go z lodowatą uprzejmością, nie zwróciła uwagi na to, jak napięcie znów owładnęło jego mięśniami, oczy zapadły się głęboko, a usta zacisnęły tak mocno, że skóra nad nimi pobieliała. Zamknęły się drzwi wiodące do jego duszy, ukryły łagodne cechy jego charakteru. Po raz kolejny pogrzebał swoją miłość, uważając ją teraz za stwora, którego nie można zabić, wampira wysysającego życiodajną krew, chyba że znajdzie skuteczny egzorcyzm. Choć przez całe życie był ateistą, kierowany wątłą nadzieją, kazał się zawieźć do katedry i został na pierwszej tego dnia mszy.



16

Londyn, 1986

Walka Bianki Berrisford i Lovata Whitburna przypominała zmagania dwóch przywódców, którym towarzyszyły zachęcające okrzyki obu armii. Ich osobista kampania stanowiła część wojny, która wybuchła między aukcjonerami a handlarzami dziełami sztuki. Walczyli o nowych klientów, których Hugh Berrisford określał pogardliwym mianem gatunku *Bil-lionaris ignorans*, ludzi, którzy zaczęli myśleć o sztuce dopiero wtedy, gdy stali się bogaci. Aby uzyskać coraz wyższą cenę, wprowadzili nową broń - finanse, i na rynek dzieł sztuki przenieśli strategię rynku akcjami. Sztuka stała się inwestycją. Wystarczyło kupić odpowiedniego Picassa, a można było spokojnie przyglądać się, jak jego wartość - netto, po odliczeniu wszelkich kosztów - rośnie w zawrotnym tempie dwudziestu procent rocznie. Co więcej, sztuka była podniecająca, dzięki niej natychmiast zyskiwało się pozycję; kupowanie obrazów gwarantowało powszechną uwagę. Płótna, rzeźby, meble, ceramika, dywany - każdy taki przedmiot mógł oznaczać grube pieniądze.

Sprzedawcy wykorzystywali swoje wypracowane na konieserach sztuczki, żeby zdobyć bankierów. Domy aukcyjne oferowały potencjalnym nabywcom pożyczki - połowa ceny zakupu plus czteroprocentowe odsetki. Nikt nie był na tyle głupi, żeby się skarżyć, że obrazy stają się kolejnym środkiem płatniczym, a o ich wartości świadczy jedynie ich cena, skoro przy każdej sprzedaży rosła coraz bardziej. Spora grupa niezadowolonych kustoszy muzeów, którzy nie mogli nawet marzyć o zakupie większych dzieł sztuki, kiedy znalazły się na rynku, gorzko przypominała, że sztuka stanowi wspólną własność ludzkości, ale ich głosy nikły w zgiełku bitwy.

Europa zmieniła się w jeden wielki dom aukcyjny, ponieważ gatunek *Billionaris* nie występował tutaj, lecz w Stanach

Cetia Brayfield

Zjednoczonych, Japonii, Hongkongu i Australii. Hugh Berrisford wraz z Fundacją Dziedzictwa Europejskiego nie ustawał w wysiłkach, podczas gdy jego współpracownicy pisywali do swoich periodyków gorzkie artykuły, oskarżając go, że przy-gania kocioł garnkowi, a kiedyś sam dobrze smolił. Wystawiony na pełne hipokryzji ataki rywali, stopniowo zaczął się godzić z traktowaniem sztuki jako inwestycji, co początkowo tak go raziło. Zawsze sprzedając obrazy Van Gogha w głębi ducha czuł się niezręcznie, bo wiedział, że autor za życia nie sprzedał ani jednego płótna. W ramach zadośćuczynienia firma robiła co mogła, aby obraz został niedaleko miejsca powstania, albo był udostępniony publiczności w muzeach. Nie przejmując się krytycznymi artykułami drukowanymi w różnych czasopismach tylko ze względu na jego pozycję, nie ustawał w wysiłkach, aby choć nikła część milionów, które płacono za dzieła dawno zmarłych twórców, trafiła do kieszeni współczesnych artystów, którzy nie mogli wyżyć z uprawiania sztuki.

Kiedy Sotheby's otworzyli dział finansowy w Nowym Jorku, u Berrisfordów pojawiły się głosy, że konieczne są zmiany, a najgłośniej mówił o tym Martin Pownall. Bianka nigdy jeszcze nie spotkała człowieka o tak wspaniałym darze przekonywania, on zaś wszystkie wysiłki skierował na przeciągnięcie jej na swoją stronę - wiedział bowiem, że Hugh nie potrafił sam podejmować decyzji i polegał na opinii wybranego, lojalnego współpracownika. Rolę, którą niegdyś pełnił Lovat, teraz przejęła Bianka. Mimo pozorów pewności siebie, Hugh'a gnębiły wewnętrzne rozterki, ona zaś posiadała dar przekonywania. Ojciec ufał jej mimo jej niewiedzy i braku doświadczenia.

Drobny, wiecznie ruchliwy Pownall niesiony żądzą kupowania, krążył po całym świecie w poszukiwaniu kolekcji i zbiorów. Namawiał, schlebiał, upewniał w podjętej decyzji. Miał wyczucie czasu porównywalne do refleksu matadora i zawsze potrafił wybrać właściwy moment, żeby docisnąć opornego kontrahenta i uzyskać jego zgodę.

Dobiwszy targu, ruszał w pogoń za kolejną zdobyczą, wszelkie szczegóły pozostawiając Biance. Ta podążała za nim zagrzebana po uszy w papierkowej robocie, którą uważał za stratę czasu i marnowanie jego zdolności.

- Nuudy - podśpiewywał, bazgrząc na liczących sobie zaledwie miesiąc fiskach: „dla BB”. Rzucił jej na kolana stertę papierzyk i sięgał po telefon, aby namierzyć kolejny cel.

Kolia

402

Uczestnicząc w negocjacjach wykazywała się refleksem, jasnym osądem i dobrym instynktem. Ich pierwszym zwycięstwem był zbiór Tollemache'a - kolekcja rzeźby neoklasycznej zebrana w dziewiętnastym wieku przez ekscentrycznego milionera, który zrobił majątek na herbatnikach. Kupował pod wpływem impulsu, tak że obok wspaniałych dzieł stały nic nie warte śmieci. Jego wnuk odziedziczywszy ten chaotyczny zbiór zaproponował kolekcję Berrisfordom, po czym zmienił zdanie.

- Konkurencja zagwarantowała mu przyzwoitą cenę - wyjaśnił Martin, kiedy wyszli z gabinetu. - Musimy zaoferować mu przynajmniej tę samą kwotę, albo go stracimy. To coraz częstsza praktyka. A do tego drań jest sprytny. Spokojna głowa, że ma jeszcze parę innych ofert za pazuchą.

- To znaczy, że już się nie zajmuje produkcją herbatników? Bianka pierwsza wsiadła do taksówki, pokazując zgrabne nogi. W swoim nowym, czerwonym kostiumie czuła się jak skąpo odziana dziewczyna, dyrygująca orkiestrą na defiladzie. Swoją drogą ciekawe, że kobiety interesu wręcz powinny nosić krótkie, jaskrawe kostiumy, podczas gdy od matek oczekiwano bezbarwnych, nudnych ubrań.

- Nie, ojciec sprzedał firmę spółce międzynarodowej, całe pieniądze włożył w farmę w Kenii i stracił je po odzyskaniu przez ten kraj niepodległości. Dzieciak siedzi w handlu nieruchomościami i zdaje się, że nieźle sobie radzi.

- Tacy nigdy nie mają dość, prawda?

Mężczyzna liczył koło trzydziestu pięciu lat, był schludny i pewny siebie. Jego biuro mieściło się w zaadaptowanym magazynie w Hackney, który modny architekt podzielił na niewielkie klitki poprzecinane stalowymi konstrukcjami. Z wielkich okien rozciągał się widok na rozwalające się rudery, zanieczyszczoną rzekę i dźwigi. Bianka, którą interesowały wszelkie przejawy sztuki, zerknęła na plany na desce kreślarskiej. Zobaczyła tam szkic zatytułowany „Nutmeg Wharf: Część II”, który przedstawiał elewacje trzydziestopiętrowego budynku z łamanymi frontonami, wykładanego czarnym marmurem.

- My, u Berrisfordów, unikamy gwarancji. - Martin skrzyżował pającze nogi i przybrał ton dobrego wujaszka. - Doświadczenie lat siedemdziesiątych nauczyło nas, że tworzą one fałszywy rynek i powodują inflację.

- To już państwa zmartwienie. Mnie to nie dotyczy, ja sprzedaję tylko raz.

Cetta Bray field

Cel ich ataku rozparł się w stalowym fotelu za czarnym marmurowym stołem i pokazał zęby w złośliwym uśmiešku.

- Ale niewątpliwie zależy panu na uzyskaniu jak najlepszej ceny. A w ten sposób jej pan nie zdobędzie, bo sprzedawca weźmie dodatkowo prowizję.

- Liczby mówią same za siebie. Zagwarantowano mi trzy miliony trzysta za siedem sztuk, więc co mam do stracenia? Na jednym z trzech telefonów zamigotało światelko, przeprosił ich i podniósł słuchawkę.

- Powiedz mu, że to zajmie jeszcze najwyżej kilka minut

- odezwał się, nie zadając sobie trudu ściszenia głosu.

Bianka uznała, że coś za bardzo stara się ich przekonać, że już podjął decyzję. Wstała i zaprowadziła Martina do drugiej części pomieszczenia, gdzie mogli porozmawiać swobodnie.

- Wie, że my możemy sprzedać to lepiej. Może zagwarantujemy mu cenę za całą kolekcję? Gwałtownie potrzebuje gotówki i nie chce zamieszania. A co zrobi, jeśli zostanie mu ten koszmarny Pegaz z jednym skrzydłem? Przecież tutaj go nie postawi. Jeśli zrobimy wokół aukcji wystarczająco dużo szumu, słabsze rzeczy pójdą po wyższej cenie, niż na to zasługują.

- Zgoda, ale ty to zaproponuj.

Martin był zły na siebie. Facet zamiast poczuć się bezpiecznie, powierzając sprzedaż znanej firmie o ustalonej renomie, uznał, że został potraktowany z góry.

Bianka nie usiadła, z nie skrywaną odrazą przyglądając się oprawionym szkicom koni wiszącym na ścianach. Kiedy klient skończył rozmowę, podjęła bez pośpiechu.

- Rozumowanie jest proste - szczerze mówiąc połowa tej kolekcji to bezwartościowe śmiecie, których cena nie pokryłaby nawet kosztów przechowania. Moglibyśmy coś na to zaradzić

- wokół dużej aukcji zwykle robi się dużo szumu. Często sam fakt włączenia danego przedmiotu podnosi jego wartość. Oczywiście, coś takiego nie będzie miało miejsca, gdy przedmioty będzie się sprzedawało oddzielnie. W takiej sytuacji moglibyśmy panu zagwarantować cenę za całą kolekcję. Nazywamy to rezerwą globalną.

- Ile?

Panował nad swoim ciałem, zachowując pewną siebie pozę, ale zdradził go niespokojny ton głosu.

- Musielibyśmy się skonsultować z działem rzeźby, ale przypuszczam, że jakieś trzy miliony siedemset.

Kolia

404

Nie należał do ludzi, których dałoby się podbić skromnością.

- Zgoda. Kiedy zadzwonicie?

- Dziś po południu.

Pół minuty później czekali na szklaną windę.

- Co to znowu za rezerwa globalna? - spytał Martin, ledwie drzwi zdążyły się zasunąć.

- Wymyśliłam to na poczekaniu - posłała mu szatański uśmiezek. - Drażnił mnie ten szcurzy pyszczek.

Martin wziął na siebie zadanie przekonania Hugh'a do oferty, ale widząc znajomy, zamknięty wyraz twarzy ojca, wiedziała, że nie dotrą do niego żadne argumenty.

- Czy nam się to podoba, czy nie, rodzi się konkurencja i to coraz bardziej bezwzględna - tłumaczył Martin. - Nic w tym nowego, domy aukcyjne od lat pożyczają pieniądze. To ogólnie przyjęty sposób podtrzymania rynku.

- Ale nie u nas. Nigdy nie musieliśmy się parać pieniędzmi. Hugh bawił się białym agatowym nożem do papieru, co stanowiło wyraźną oznakę zdenerwowania.

- Jeśli ten kowboj z Chicago, który kupił Sotheby's, chce nadmiernie pobudzić rynek, to jego sprawa. W ostatecznym rozrachunku szaleńcza inflacja nikomu nie wyjdzie na dobre.

- Tym gorzej dla nas, jeśli nie potrafimy za tym nadążyć. - Bianka wiedziała, że jeśli w grę wchodziła duma, Hugh'a nie wzruszały żadne argumenty. - Musimy się pogodzić z przegraną, Martin. To moja wina, powinnam była trzymać język za zębami. Facet zrobi błąd, oddając to sprzedawcy, ale trudno, jak jest głupi, to nic się na to nie poradzi.

Wykonała ruch, jakby chciała wyjść.

- Myślisz, że jest głupi?

Hugh poczuł się odpowiedzialny za kardynalny błąd, który tamten mógłby popełnić.

- Nie głupi bo głupi, tylko nie zna się na sztuce. Jak zresztą miałby się znać, skoro się wychował w Kenii.

Oczywiście, jesteśmy po to, żeby takim ludziom doradzać, ale jeśli nie ufają naszym sugestiom, to trudno.

- Nie ufają?

Teraz Hugh bał się o dobre imię firmy.

- On zna się wyłącznie na finansach. Ze swojego punktu widzenia nie potrafi dostrzec, na czym polega trudność.

Dlatego zastanawia się, jakie naprawdę są nasze motywy. Jest budowniczym, przyzwyczyił się do bezwzględności w interesach.

Celta Brayfield

- Rozumiem.

Złączył czubki palców - gest, który zawsze doprowadzał Biankę do szału. Odwróciła wzrok, wiedząc, że jakikolwiek nacisk z jej strony przechyliłby szalę na złą stronę.

- W pewnym sensie masz rację, Martin. Gwarantowana suma sprzedaży to coś, co już robiliśmy. Było to sporo lat temu, ale rzeczywiście się zdarzało. W kolekcji jest kilka ważnych prac, nie chciałbym, żeby najlepsze z nich sprzedano, nie dając właściwym ludziom szansy kupna. To by nie było właściwe. - Zmarszczone z niepokoju czoło Martina zaczęło się wygładzać. - Chyba musimy uratować tego gościa przed nim samym.

Żeby Hugh nie mógł się wycofać, Bianka jeszcze z gabinetu zadzwoniła do klienta i w pokoju unosiła się atmosfera ekspansji.

- Pożyczanie sprzedawcom to tylko ryzyko na własny koszt. - Na ruchliwej twarzy Martina zagościł uśmiech.

- Kolejnym krokiem będzie pożyczanie kupcom. Prefinansowanie. Rynek na pewno pójdzie w kierunku wyznaczonym przez Sotheby's.

- Moim zdaniem to spowoduje wyłącznie konflikt interesów i zmniejszy zaufanie, jakie ludzie w nas pokładają - brzmiała sztywna odpowiedź Hugh'a.

- Kupców, z jakimi mamy teraz do czynienia, ten argument nie przekonana. Oni po prostu nie rozumieją, sądzą, że jeśli mogą pożyczyć pieniędzy, żeby sfinansować dowolną inwestycję, to czemu nie sztukę? Jeśli nie dotrzynamy kroku, dopiero wtedy stracimy zaufanie. Może nawet spaść nasza wartość.

Zapadło milczenie, kiedy Hugh przetrwał tę straszliwą możliwość.

- To zdarzało się wcześniej. Martin szybko zweryfikował poglądy.

- Musimy stworzyć mechanizm kredytowy, musimy ożywić naszą działalność i musimy wygryźć z rynku pojedynczych sprzedawców.

- Kiedy byłaś mała - wyjaśnił Biance później - twój ojciec był znacznie odważniejszy i raz się na tym sparzył.

Zagwarantował cenę jakiegoś niewielkiego podejznanego Canaletta i obraz za siebie nie zapłacił. Zwyczajna pomyłka, każdemu się zdarza. Ale twój ojciec został publicznie upokorzony, no i firma też na tym straciła. Nigdy nie zapomniał tej nauczki.

- Jakież to dziwne; nigdy bym nie pomyślała, że może być

Kolia

405

konserwatywny, jako rodzice byli tak nowocześni, że często nas to zawstydzalo.

- Nie określiłbym go mianem konserwatysty. Myśli nowocześnie, ale nie lubi podejmować ryzyka. Jeśli mierzy się wysoko, nie wolno patrzeć w dół, to osłabia wolę.

Operację odświeżenia Berrisfordów powierzono Biance, która została mianowana kierownikiem do spraw marketingu. Ona jednak nie potrafiła znaleźć nic porywającego w oczyszczaniu katalogów firmy z żargonu zawodowego ani zmienianiu wystroju budynku przy Mayfair, by przestał przypominać rupieciarnię, a zaczął wreszcie wyglądać jak siedziba międzynarodowej spółki. Sprzedaż kolekcji Tollemache'a przyniosła ponad cztery miliony funtów i w świeżo odnowionych korytarzach zapanował duch optymizmu.

Zaznawszy jednak rozkoszy podebrania rywalom klienta, Bianka chciała przeżyć ten dreszczyk raz jeszcze. Kiedy całą uwagę skupiła na tej nowej dla siebie dziedzinie, odkryła, że miała wiele użytecznych wspomnień z okresu małżeństwa z Lovatem. Wydawało się nieuniknione, że stał się przeciwnikiem, który najczęściej przekonywał się, że najwięcej kłopotów przysparza mu Martin Pownall od Berrisfordów. Jedna przegrana - chodziło o cykl zamglonych pejzaży Sekwany Deraina, na którego Lovat miał więcej niż chętnego kupca w Kanadzie - wystarczyła, żeby Lovat poszukał nowych sposobów.

Znalazł poparcie innych handlarzy dziełami sztuki, którzy zapomnieli o wzajemnych niesnaskach, jednocząc się w walce przeciwko wspólnemu wrogowi. W czasopiśmie pojawiły się artykuły redakcyjne, prowadzono konsultacje z pracownikami rządowymi, stworzono lobby polityczne, postawiono sprawę na forum Izby Reprezentantów. Po kilku miesiącach Berris-fordowie otrzymali list z Wydziału Handlu i Przemysłu, w którym zapowiadano zmianę przepisów i polityki względem domów aukcyjnych.

Wkrótce też na Mayfair pojawiła się komisja, której zadaniem było przeniknąć mur dżentelmeńskiej zmowy milczenia, za którą ukrywały się obyczaje, które w każdej innej dziedzinie uznano by za bezwzględne praktyki, jeśli nie zwykłe oszustwo. Członkowie komisji wyrazili dziecięce oburzenie na utajnianie cen wywoławczych albo podawanie wymaginowanych kwot w czasie licytacji, które miały na celu podniesienie ceny. Z pełnym oburzenia cynizmem wypowiedali się też na

Celia Brayfield

temat morale całego środowiska. Bianka, która do tej pory uważała te praktyki za wątpliwe, dołączyła do chóru obrażonych i zapewniła, że urzędnicy rządowi nie rozumieją mechanizmów działania tego rynku. W raporcie Berrisfordowie uniknęli szczególnej krytyki, ale dołączyli do większych domów w kontrataku. Minister obiecał zaostrzenie regulacji, stworzono .komitet, ale po osiemnastu miesiącach sprawa ucichła.

W tym czasie Lovat i Bianka spotykali się rzadko i starali się jak najmniej komunikować. Podjąwszy decyzję o wejściu do firmy, Bianka przeniosła się z rodziną do Londynu. Dwaj starsi chłopcy zostali przyjęci do szkoły w zachodniej części miasta, Orlanda zapisała do specjalnej szkoły dla dzieci dyslektycznych w pobliżu ich starego domu na północ od parku.

Na wyborze nowego mieszkania zaważyła jej stara niechęć do Chelsea. O swoim domu z dzieciństwa myślała z taką nienawiścią, że chciała, aby jej nowa siedziba znajdowała się jak najdalej od niego. Charlotte wyszukała jej wysoki budynek z okresu Regencji w Hammersmith. Dom stał nad rzeką i kiedy słońce padało na wodę, na suficie w salonie migotały cienie fal. Charlotte odbierała Orlanda ze szkoły i prawie codziennie odwiedzała wnuczkę, przyciągana do domu magnetyzmem, którego ta początkowo nie rozumiała.

Gdyby Olivia nie ograniczyła swego macierzyństwa wyłącznie do wydania na świat córek, jej odraza byłaby dla nich podwójnym ciosem. A tak, Bianka przeszła przez okres lęku i nienawiści wobec matki, potem osiągnęła etap, kiedy zobaczyła matkę jako człowieka tak przerażonego, że nie sprosta tradycyjnym wymogom, że z punktu je odrzuciła, skazując się na wieczną rebelię. Bianka odkryła, że może się litować nad matką. Charlotte, która często musiała w sobie tłumić chęć matkowania opuszczonemu, zagubionemu dziecku, teraz mogła ofiarować jej macierzyńską troskę, jakiej potrzebowała.

W ten niesamowity, cudowny sposób zaleczyły się w jej duszy rany - potrzeby, które od dzieciństwa pozostawały niezaspokojone. Bianka niczym w promieniach słońca wygrzewała się w ciepłe babcinej troski, z której czerpała energię. Charlotte dbała o nią, przejmowała się nią, radziła, zawsze była pod ręką, choć nigdy się nie narzucała.

Kiedy zdawało się, że nie sposób zaplanować weekendu, zawsze się pojawiała, przyjmując na siebie rolę łącznika między wrogimi, skłóconymi rodzicami. Każdy nowy krok w życiu Bianki przyjmowała,

Kolia

408

jakby wcześniej go przewidziała. Jej proste „O, tak” towarzyszyło pierwszym szytym na miarę kostiumom, które wyparły ubrania z okresu małżeństwa, i podróżom do Genewy albo Nowego Jorku, które zastąpiły spotkania w Jacob Sheep Society. Charlotte rzadko się odzywała, ale pełniła funkcję bufora w kontaktach między członkami rodziny, pomagając im dopasować się do nowej sytuacji tak, aby wyrwa po odejściu Lovata została załatwana jak najmocniejszą nicią.

Bianka rozkwitała. Zupełnie zapomniała o straszliwym wyczerpaniu, które towarzyszyło ostatnim miesiącom jej małżeństwa. Dni, które kiedyś ciągnęły się w nieskończoność, zlewały się teraz w nieustanny ciąg wydarzeń i kończyły zbyt szybko. Gniew na Lovata przeniosła na ojca i mężczyzn--współpracowników, przybrał on postać nowych pomysłów i bezwzględnej walki. W głowie nieustannie rodziły jej się nowe pomysły i natychmiast zostawały wprowadzane w czyn. Pozbywała się prac na miarę Herkulesa i z równą łatwością składała na innych zadania, które zbyt ją obciążały, instynktownie wybierając dla siebie to, co miało największy udział w tworzeniu zysków Berrisfordów. Jej cera jaśniała, oczy błyszczały, ciało szybko nabrało zręczności i gibkości.

Niewyczerpana macierzyńska cierpliwość, która do tej pory stanowiła jej główną zaletę, bardzo szybko się ulotniła. Lovat ze zdumieniem przekonał się, że jej tolerancja na zmiany planów w ostatniej chwili drastycznie spadła. Bianka nabrała ostrości języka i złośliwego charakteru. Lovat często był zmuszony odwołać albo przesunąć spotkania z chłopcami, ponieważ współpracownicy w ogóle nie liczyli się z jego rodzicielskimi uczuciami. Bianka, która przecież pracowała w tej samej branży, powinna to zrozumieć, ale ona nie przyjmowała tego do wiadomości.

- Nie będę się wyzywać na dzieciach - mówiła sobie i każdemu, kto chciał słuchać. - Muszę postępować jak człowiek cywilizowany, nawet jeśli ich ojciec zawala sprawę.

- Moje dzieci dość już wycierpiały, niezależnie od moich osobistych uczuć, byłoby nieuczciwie z mojej strony, gdybym nastawiał je przeciw matce - wyjaśniał Lovat Isabel, której to w ogóle nie interesowało.

Żadne z nich nie potrafiło postępować zgodnie z tymi górnolotnymi oświadczeniami.

Zła atmosfera między rodzicami najgorzej wpłynęła na Benedicta, który coraz więcej czasu spędzał przed komputerem,

Celta Brayfield

ale pozostali chłopcy także utracili pewność siebie. Tom po prostu wyglądał na zaniepokojonego, a na jego świadectwie, gdzie do tej pory widniały same celujące, pojawiło się kilka ocen dobrych. Orlanda rozsadzała taka energia, że, aby mógł wysiedzieć w szkole, trzeba go było przedtem porządnie zmęczyć i dlatego codziennie przychodził pół godziny wcześniej na intensywne ćwiczenia.

Dziewczynka stanowiła oczko w głowie Bianki i nieświadomy cierń w sercu swego ojca. Lovat nigdy właściwie nie rozumiał, dlaczego posiadanie dzieci oznacza, że drzwi są zastawiane nieestetycznymi płótkami, szafki pozamykane na klucz, a sprzęt muzyczny ustawiony na najwyższych półkach. Nie widział także powodów, dlaczego ze względu na obecność dzieci w domu miałyby skracać ważne rozmowy telefoniczne.

Pierwszy przeblysłk zrozumienia pojawił się, kiedy Lovat prowadził długą rozmowę z Donem, próbując sfinalizować sprawę Deraina, a Tom nieśmiało zasugerował, że jego siostra chyba wyszła przez drzwi od garażu. Lovat znalazł ją na ruchliwej ulicy niedaleko ich domu. Stała przed ciężarówką jakiegoś murarza, purpurowa ze złości i krzyczała na cały głos:

- Zły kot! Zły kot!

Na chodniku owczarek alzacki żuł jej bucik. Murarz, dwie Hinduski na przystanku autobusowym i skin, który trzymał psa na smyczy, złajali Lovata za jego niedbałość.

Ocalona Lizzie płakała jeszcze przez godzinę i w żaden sposób nie dawała się uspokoić. Charlotte, która pojawiła się jakiś czas potem, zasugerowała, że może trzeba by jej dać ziółek, ale Lizzie nie chciała połknąć płynu, a w końcu wymiotowała. Kiedy mokra i krztusząca się wróciła do domu, Charlotte musiała się bardzo namęczyć, żeby powstrzymać wściekłą Biankę od zadzwonienia do swojego prawnika.

Innym razem Lovat właśnie kładł w garderobie świeżo uprasowane koszule, gdy zadzwonił telefon i musiał zbiec na dół, żeby wyjąć z aktówki katalog. Kiedy po dziesięciu minutach wrócił na górę, Lizzie siedziała wśród rozrzuconych kosmetyków Isabel i wysmarowanych nimi koszul ojca. Dziecko radośnie wzbijało tumany pachnącego pudru. Puder był dobrej jakości, świetnie się trzymał i w żaden sposób nie dawał się zmyć ze ściany. Zasłony trzeba było oddać do pralni chemicznej, samo ich zdjęcie trwało pół godziny. Koszule wymagały kolejnego prania, a niektóre garnitury należało oczyścić i ponownie wyprasować.

Kolia

410

Dostało mu się i od Lizzie, i od Isabel, a Isabel dodatkowo uderzyła dziecko tak mocno, że dziewczynka upadła. Zdumiony Lovat stracił cierpliwość, ale Izza nie wydawała się szczególnie poruszona.

- Przestań się na mnie wydzierać, bo sam nie potrafisz zapanować nad swoimi obrzydliwymi dziećmi. Głupku, nie widzisz, co tu się dzieje? Będę musiała nadal paradować w tym świństwie, którym mnie umalowali. I tak już jestem spóźniona, spadam. Po czym z obrzydzeniem minęła wyjąca Lizzie i wyszła z domu. Wróciła dopiero następnego dnia, ale Lovatowi gniew nie minął i nie rozmawiali ze sobą przez tydzień.

Te historie były niczym w porównaniu z tym, jak pewnego dnia Lizzie wróciła od ojca z małym plastikowym woreczkiem wśród różnych szpargałów w jej ukochanej torebce.

- Ziakupy - oświadczyła i wysypała torebkę na stół kuchenny.

Hermione, która spodziewała się pierwszego dziecka i była w czwartym miesiącu ciąży, wzięła torebkę między palec wskazujący a kciuk.

- Tom! - zawołała do biegnących chłopców. - Skąd Lizzie to wzięła?

- Nie wiem.

Bracia kierowali się do pokoju telewizyjnego.

- To ważne, chłopcze. Chodź tu i postaraj się sobie przypomnieć.

W kąciakach torebki widać było resztki białego proszku. Hermione dmuchnęła, żeby ją otworzyć i powąchała zawartość.

- Czy znalazła to u waszego ojca?

- Wiem, skąd to wzięła. Leżały na podłodze w łazience na parterze. Całe mnóstwo.

Benedict nie chciał przegapić meczu, który miał się rozpocząć lada chwila.

- Bea, chodź tu, coś ci pokażę. Słuchaj, Benny, powiedz, czy była pusta, czy coś w niej było? Cukier, albo coś w tym stylu?

- Nie wiem - patrzył szeroko otwartymi oczami.

- Widziałeś, żeby coś jadła albo lizała?

- Ona wiecznie coś żre - włączył się Orlando.

- Ale mi chodzi o dzisiejsze popołudnie. I czy jadła coś z tej torebki.

Chłopcy wzruszyli ramionami, Hermione odwróciła się do siostry i zniżyła głos.

410 *Celia Brayfield*

- W tym była kokaina, a cała torebka wystarczyłaby, żeby małą zabić. Dzwonię do szpitala.

Rozsądek podszeptował Biance, że siostra zachowuje się paranoidalnie, jak każda ciężarna, a gdyby Lizzie spróbowała choć trochę narkotyku, byłoby to po niej widać. Pomyślała też o zamieszaniu i biurokracji, nieodłącznie związanych z wizytą w szpitalu. Jednak wizja znalezienia czegoś na Lovata była zbyt kusząca.

- Powiedzieli, żeby natychmiast przywieźć ją na ostry dyżur. - Hermione odłożyła słuchawkę, w szeroko otwartych oczach malował się niemal zabobonny lęk. - Lovat nigdy, przenigdy nie tknął narkotyków. Myślisz, że ta Australijka go wciągnęła?

- Kto to może wiedzieć, czym ostatnio zajmuje się Lovat?

Bianka wzięła kurtkę córki, usiłując nie okazać rozpierającej jej radości, że będzie mogła oskarżyć męża o poważne przestępstwo. Po trzech godzinach odsuwania się od pijaków w stanie delirium i całej nocy czuwania w szpitalu, rozsądzał ją słuszny gniew. Do tego młody lekarz - chłopak mógł sobie liczyć najwyżej dwadzieścia pięć lat - odkrył, że ma do czynienia z pracującą matką, która samotnie wychowuje czwórkę dzieci. Nie zwróciwszy uwagi, że owa samotna matka ma na sobie bluzkę od Chanel i drogie džinsy, poprosił ją do pustej sali i przesłuchał, najwyraźniej podejrzewając, że jest narkomanką, handlarką narkotyków i nie nadaje się na matkę. Wróciła do domu w stanie lodowatej pasji, zrelacjonowała sprawę prawnikom i kazała im poinformować Lovata, że od tej pory nie ma dostępu do dzieci.

Następnego dnia w progu domu pojawiła się kobieta, którą Hermione określiła jako „typową burżujkę z opieki społecznej, która miała oczy na szypułach i była przekonana, że trafiła do jakiejś jaskini handlarzy narkotyków, gdzie odbywa się rytualne gwałcenie dzieci”.

Postępowanie Hermione Bianka, choć rozwścieczona, określiła mianem „niegodnego”. Jej młodsza siostra bowiem usadziła kobietę na poduszkach z Aubusson, pokazała jej autoportret Waltera Berrisforda z wnukami, poczęstowała herbatą Earl Grey w kubku firmy Bridgwater i kiedy ta już ostatecznie przekonała się o bogactwie duchowym i materialnym mieszkających tu osób, zaczęła rozważać możliwość, że ta dziwaczna reporterka telewizyjna o różowych włosach i strasznym głosie - macocha dzieci - może nie tylko brać kokainę, ale także nią handlować.

Kolia

412

Wściekłość Lovata, kiedy o czwartej rano zajechał mikrobus pełny policjantów, którzy przeszukali mu mieszkanie, nie dawała się porównać z historycznym wybuchem pasji Isabel.

- Nie biorę narkotyków! Moi przyjaciele nie biorą narkotyków, twoja pieprzona była chce, żeby mnie deportowali, a ty, kurwa, nawet palcem nie kiwniesz! - wrzeszczała. - Rany boskie! Może od razu utnij sobie jaja i wrzucić jej do miksera!

Dopiero po pięciu miesiącach pozwolono mu spotkać się z dziećmi w towarzystwie ich babki albo opiekunki. Za pieniądze, które wydał na prawników, można by kupić dobrą angielską akwarelę, oprócz tego ucierpiała poważnie jego godność własna.

Ucierpiał też jego związek z Isabel, ale to uznał niemal za błogosławieństwo. Rozmawiała z nim tylko w miejscach publicznych, kiedy chciała, żeby pokazał się z nią na jakimś przyjęciu, a dotykała go, wyłącznie jeśli chciała z nim uprawiać seks. Dlaczego to robiła, nie pojmował. Nie czerpała z tego żadnej przyjemności, ale to zdawało się składnikiem jej osobowości, którą stworzyła na własny użytek. Mniej ważnym niż rude włosy, dziwaczne ubrania i wulgarny język, po prostu kolejnym nieprzyjemnym elementem pobocznym, dzięki któremu jej kobiecość wydawała się prawdziwa. Twierdziła, że wolałaby poddać się operacji podwiązania jajowodów niż mieć dzieci.

Równocześnie zaś jej drobne, kanciaste ciało w niepokojąco słaby sposób pociągało Lovata. Nie zapraszało, by je zbadać, nie miało ciepłych konturów, które można by pieścić, nie spoczywało obok miękko, ciężko, gotowe przyjąć żar jego pożądania. Isabel posiadała technikę, znała wszystkie sztuczki i pozycje. Może było to i skuteczne, ale nie miało żadnego związku z przyjemnością. Odnosił wrażenie, że potrzebowała go tylko dla jego bezużytecznego nasienia.

Wkrótce Lovat i Bianka znaleźli się w bezpośredniej opozycji. Martin Pownall został dyrektorem finansowym Berrisfordów, zaś Bianka miała przejąć jego dotychczasowe funkcje. Lovat, który zdobył już tyle akcji, ile mu było potrzeba, przeszedł do kolejnego punktu planu - wybrania i otwarcia nowego rynku.

. Choć różnymi drogami, ale doszli do tych samych wniosków. Lovat widział wyraźnie, że spośród wszystkich opcji, które mógłby wybrać, dzieła rosyjskiej awangardy z początku wieku wręcz idealnie spełniały wszelkie warunki sztuki, która

Celia Brayfield

gwarantuje zysk. W Rosji od czasów Stalina przetrzymywano ogromne zasoby obrazów, rzeźb, materiałów i ozdób. Teraz spoczywały w zapomnieniu jak nie odkryte złoża ropy, a pierwsza osoba, która do nich sięgnie, otworzy źródło niewyczerpanego bogactwa.

Bianka całe życie była ogromnie wrażliwa na piękno wszystkiego, co rosyjskie. Byle kieliszek do wódki zdawał się promieniować urokiem. Wszystko tam było: tragizm, chorobliwe namiętności, szaleńcza radość i rozpacz. Otoczona dziedzictwem wszelkich narodowości, zawsze nastawiała ucha na dźwięk rosyjskiego i czuła, że inni reagują podobnie. Potrafiła nawet zrozumieć Malcolma Forbesa i pomniejszych kolekcjonerów jajek Fabergego, którzy poszukiwali tych wysadzanych brylantami drobiazgów tak dla ich wartości artystycznej jak i historii.

Oboje, Bianka i Lovat, identycznie reagowali na artystyczną wartość prac, którymi chcieli się zająć - zachwycały ich czyste, chłodne barwy, żywotność tryskająca z każdego dotknięcia pędzla, odwaga artystów, którzy uważali się za proroków nowego ładu. W porównaniu z ich energią, zachodni twórcy tego samego okresu wydawali się słabi, dekadency, pozbawieni miłości do świata, która biła z rosyjskich płócien.

Zastanawiając się nad przyszłością, oboje mieli tę samą wizję, zarysowaną przez lata kontaktów Charlotte ze starszym pokoleniem emigrantów i potwierdzoną wielomiesięcznymi rozmowami z przedstawicielami dobrze poinformowanych źródeł. Stara gwardia Moskwy wkrótce wymrze, przynajmniej częściowa liberalizacja wydawała się nieunikniona, a wtedy Anglię zasypie lawina prawdziwych arcydzieł.

Charlotte stała się sprężyną w życiu ich obojga, ale odnosiło się wrażenie, jakby postanowiła odrzucić to nieoczekiwane wyróżnienie w najbardziej skuteczny sposób. Zaczęła powoli gasnąć. Z dnia na dzień chudła, z jej i tak bladych oczu i twarzy ginął wszelki blask. Nie miała apetytu, a kiedy coś zjadła, skarżyła się na niestrawność.

Miesiącami broniła się przed pójściem do lekarza, ale pewnego dnia Bianka po przyjściu do domu zastała ją w kuchni. Babka przyglądała się swoim dłoniom, ocierając je, jakby były zakurzone.

- Nie mogę spojrzeć w lustro. - Pierwszy raz w życiu wyglądała bezradnie. - Moje ręce nabrały dziwnego koloru.

Powiedz mi, Bea, jak z moją twarzą?

- Jest lekko żółtawa.

Kolia

413

- Przypuszczam, że raczej bardzo żółta, prawda? Nie pierwszy raz w życiu widzę żółtaczkę.

- No, dobrze. Jesteś żółta, a szczególnie oczy. Pozwolisz mi wreszcie wezwać lekarza, czy nie?

- Tak, będę musiała - odparła spokojnie, choć w jej głosie brzmiała nie tyle rezygnacja, ile złość.

Lekarze podejrzewali raka. Po raz ostatni Bianka widziała babkę, jak leżała na wózku - drobna figurka przykryta prześcieradłem - i uśmiechała się łagodnie, oszołomiona zastrzykiem znieczulającym. Po otwarciu jamy brzusznej, lekarze stwierdzili raka trzustki i wątroby. Kiedy chirurg zastanawiał się, czy usunąć guz, ciśnienie krwi Charlotte gwałtownie opadło, puls stał się nierówny, serce przestało pracować. Po kilku minutach nie żyła.

Jej zgon był ciosem dla Bianki i zdumiał dzieci, które do tej pory żyły w przekonaniu, że śmierć dotyczy wyłącznie czworonogów. Jedno po drugim budziło się w nocy, albo zasypywało matkę bezładnymi pytaniami, próbując pogodzić się ze stratą.

Życie z niej zakpiło. Ofiarowało jej kilka kropel macierzyństwa i cofnęło butelkę, nim zdążyła zaczerpnąć choć łyk matczynej miłości. Na czyjej miłości będzie mogła teraz oprzeć swoje życie? Będzie kochała dzieci i one będą ją kochały, ale to nie to samo co miłość drugiej kobiety, dająca siłę i pokarm. Jej siostra to wieczne dziecko, przez małżeństwo straciła kontakt z przyjaciółkami.

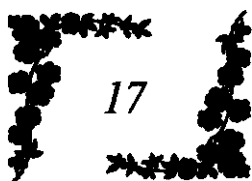
Jeśli zaś chodziło o miłość mężczyzny, zdaniem Bianki coś takiego nie istniało. Dla nich to słowo oznaczało coś zupełnie innego. Mogli twierdzić, że kochają, ale ich czyny świadczyły o czymś przeciwnym. Oczekiwali, że kobieta będzie ich kochać, co dnia szykować uczyt troskliwości, współczucia i zrozumienia, stroić i przyozdabiać swą duszę zgodnie z ich pragnieniami, podczas gdy oni w zamian rzucają jej ochłapy uwagi i jeszcze będą się spodziewać wdzięczności.

Hermione po urodzeniu dziecka zapadła w głęboką depresję, ale Bianka była tak pogrążona we własnym bólu, że nie mogła jej pomóc. Tylko jeden człowiek - ostatni, którego by o to podejrzewała - zdawał się doskonale rozumieć jej uczucia.

- Była taka cicha - powiedział Hugh Berrisford w chwili, kiedy ogarnęła ją kolejna fala smutku. - Czasem myślałem, że właściwie się jej nie zauważa, ale to nie była prawda. Spójrz, jaka wyrwa została po jej odejściu. Wiem, że za jakiś czas ona się zapełni, ale w tej chwili po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Celia Brayfield

To właśnie Hugh przekazał Lovatowi wiadomość o śmierci Charlotte. Zasugerował też, że lepiej, by nie przychodził na pogrzeb, ale może się pokazać na nabożeństwie ku jej pamięci, które odbędzie się następnego miesiąca w Chelsea Old Church. Lovat poczuł się głęboko dotknięty. Choć sugestia wyszła do Hugh'a, uznał, że to z pewnością decyzja Bianki, pełnej niehumanitarnej, typowo kobiecej złośliwości. Żeby mu dokuczyć, gotowa była obrazić pamięć babki, bo Charlotte miała zbyt wielkie serce, nie stać by jej było na takie okrucieństwo. Poczuł chłodny dotyk lęku, lęku mężczyzny przed kobietą, istotą niepojętą, nieodgadnioną i bezlitosną. Zbyt nie hamował - przez wzgląd na lojalność wobec dzieci i spokój ducha Charlotte - i odsłonił. Teraz pora uderzyć i nic już go nie powstrzyma.



Paryż, maj 1914

We wtorek czternastego maja Balety Rosyjskie Diagilewa otworzyły szósty sezon w Paryżu europejską premierą *Salome*.

- Witaj na dworcu Opera. Uwierzysz, że ponad setka architektów stworzyła tak szkaradny budynek? - Leon Sa-mojłowicz wydawał się jeszcze drobniejszy, przypominał wytworną laleczkę, gdy stał na monumentalnych schodach prowadzących do wejścia, by powitać Lidię przybywającą na pierwszą próbę. - Ale choć tak brzydkie, to miejsce nas kocha, więc i my powinniśmy odpowiedzieć tym samym, prawda? Chodź, pokażę ci drogę do wejścia za kulisy. Jak teraz ruszymy, chyba dojdziemy przed południem.

Gigantyczne rozmiary Opery przytłaczały nawet stałych członków zespołu, którzy przy poprzednich wizytach oswoili się z jej kolosalną wielkością. W trakcie pierwszej próby nie umieli się znaleźć na przepastnej scenie, wobec otchłani kanału orkiestry i ogromu pustej widowni. Lew bez końca domagał się wyrazistszych gestów i odważniejszej mimiki oraz przeklinał Fokina, który nie ostrzegł go dostatecznie, że charakterystyczne dla jego stylu subtelności zginą w większym teatrze.

Tancerze co dzień gubili się w płątaninie korytarzy, tysiącach klatek schodowych i niezliczonych salach ćwiczeń tego piętnastopiętrowego gmachu. Trafiali to do pomieszczeń szwaczek, magazynów peruk, biur, to do klas tutejszej szkoły baletowej, maszynowni oraz składu instrumentów muzycznych, gdzie harfy i wiolonczele w pokrowcach przypominały egipskie mumie. Pytali o drogę jednego spośród dwóch tysięcy pracowników zatrudnianych nawet w czasie lata, ale zakłopotani nie umieli się posłużyć wskazówkami, ogarnięci strachem przed zabłądzeniem lub spotkaniem ze sławnym duchem, w końcu ktoś na nich trafiał przypadkiem i odprowadzał całych we łzach, niczym zagubioną owieczkę do stada.

Celta Brayfield

Nielicznych szczęśliwców oprowadzonych przez znajomych po całym terenie, jeszcze bardziej onieśmialo odkrycie takich cudów jak stajnie, gdzie ulokowano białe konie wytrenowane do poruszania się na scenie oraz podziemne jeziorko w piwnicach; każdej nocy zasysało z niego wodę urządzenie hydrauliczne podnoszące kurtynę. Maryjski nie wytrzymał konkurencji z wielkim foyer o wysokim, malowanym suficie i w porównaniu wyglądał jak teatr dla lalek.

W dzień premiery na monumentalnej widowni zasiadł kwiat paryskiego towarzystwa, a za rosyjskim zespołem przybyło grono petersburskich wielbicieli - miłośnicy baletu, zaprzyjaźnieni artyści, krytycy, kochankowie i admiratorzy. Najważniejszym członkom grupy pozwolono wysunąć się przez boczne drzwi do najbliższej łoży i obserwować napływ publiczności.

- Moi drodzy, jak zwykle wszystkie bilety wyprzedane. Gratulacje! - Misza Aleksandrów skierował lornetkę teatralną na fotele parteru. Utył i wyglądał jak przystojny mężczyzna, który stanął wobec wielu pokus i żadnej się nie oparł. Występował rzadko, bardziej zajmował się życiem towarzyskim, wierząc, że to błękitna krew, a nie umiejętność znajdowania kochanek arystokratom czynią go lubianym. Przyjechał z Cannes w towarzystwie Krzesińskiej i wielkiego księcia Andrieja, powracającego z oficjalnej wizyty we Włoszech, oni ruszyli dalej do St Petersburga, on zatrzymał się w Paryżu. -1 co za publiczność! Żal mi tych paryżan, których tu nie ma. Nie przyjąć na pierwszy występ zespołu Diagilewa to oznaka śmierci towarzyskiej.

- Nasz Siergiej Pawłowicz jest taki mądry, popatrz, jak wszystko zaplanował. - Tati już gotowa do pierwszej sceny stała u boku Lidii w stroju złotego motyla, wskazując na twarze, które powinna nauczyć się rozpoznawać. - Każda z tych osób została osobiście wybrana przez niego. Daje bilety tym, którzy go wcześniej poparli i ewentualnym przyszłym protektorom, a łoże obiecującym artystom bez względu na rodzaj uprawianej sztuki, bo wie, że pewnego dnia oplącze ich swymi mackami i wciągnie do baletu!

- O mój Boże, co za widok! Kim są te damy bez eskorty? - W blasku wielkiego żyrandola Lidia widziała, jak eleganckie kobiety, jedna po drugiej, zajmują fotele parteru.

- Prawda, jakie olśniewające? Czy widziałaś tyle piękności na raz? Pięćdziesiąt biletów dla najurodziwszych kobiet Paryża,

Kolia

418

tak porozsadzanych, by obok siebie nie znalazły się dwie o takim samym kolorze włosów. Na ten pomysł wpadł w pierwszym roku jeden z jego protektorów. Biedaczysko, oczywiście zbankrutował. Ale czy to nie sprytne, zaprojektować widownię podobnie jak się przygotowuje dekoracje na scenę? Żadnych dżentelmenów w nudnych, czarnych strojach wieczorowych. Ze względu na klejnoty i śliczne twarzyczki ludzie mówią o tym rzedzie Diamentowa Podkowa lub Kosz Kwiatów.

Oczy Lidii przebiegały ogromną widownię szukając wysokiej, nieruchomej postaci Orłowa. W Ritzu zajmowali osobne apartamenty, bo nie chciała obniżyć swojej pozycji u Diagilewa pozwalając, by na niej zaoszczędził. Odkąd przybyła dziesięć dni temu z całą grupą, spędzili razem wszystkie wieczory i noce, ale mimo to była przekonana, że dostrzeża typowe zachowanie zdradzającego kochanka - roztargnienie, ogólnikowe napomykanie o przyszłości, a przede wszystkim najbardziej wymowny objaw - nowy sposób obejmowania

I dotykania, który jej zdaniem świadczył o więzi z inną kobietą.

Książę Orłów z całą pewnością myślał o innych sprawach, ale nie wspaniałej *comtesse*, jak się obawiała Lidia.

Francuzka flirtowała z nim w St Petersburgu wyłącznie z nudów, na tle paryskiego towarzystwa wydał jej się zagubiony i sztywny, a poza tym całkowicie zajmował ją wieloletni kochanek. Orłowa przygniatała sucha rezerwa Francuzów; by się wyrwać z przygnębienia, potrzebował wokół siebie ludzi uczuciowych, dlatego z radością przywitał Lidie, bo z nią przyjechał radosny szczebiot i żywiołowa energia.

Jego myśli nieodmiennie zaprzętała zlecona misja, czyli stworzenie roboczej wersji umowy o ograniczeniu zbrojeń, ciągle wyłaniały się nierozwiązywalne paradoksy, nad którymi biedził się jego umysł i które przygniatały jego ducha. Z jednej strony koledzy w Rosji argumentowali, że wszelkie wojny europejskie w przyszłości może zrodzić wyłącznie rywalizacja angielsko-niemiecka, dlatego mając niemiecką carycę i niezliczone więzi z tym krajem, nie powinni łączyć się z Anglią. Wiele czasu spędził w towarzystwie pewnego męża stanu i co dzień w uszach brzmiało mu ostrzeżenie: „Tylko Żydzi na tym skorzystają!” Tymczasem na Zachodzie znalazł się w gronie osób liczących zawartość arsenałów, które wystarczyłyby na spowodowanie apokalipsy, i rozmawiał z urzędnikami minis-

Celta Bray field

terstwa obrony narodowej, którzy chwalili się, że na każdą zamówioną przez Niemców strzelbę sami mogą kupić dziesięć.

Z roztargnieniem obiecał przyjść na premierę. A teraz Lidia szukała go wzrokiem pośród tysiąca twarzy i gdy wreszcie znalazła, z trudem go rozpoznała, bo jak zwykle był pogrążony w myślach i choć obecny ciałem, duchem przebywał gdzieś daleko. Tati nie zdając sobie sprawy z jej niepokoju, paplała dalej.

- Zobaczysz *comtesse* de Greffuhle, Roberta de Montes-quiou, małżonków Ephrussy, którzy zawsze na koniec sezonu wydają na naszą cześć *fete champetre*, a w lożach wszystkich naszych przyjaciół i każdego artystę, o spotkaniu którego-kiedykolwiek marzyłaś. Maurice Ravel jest tutaj, widzisz? Pracuje nad muzyką dla nas. A tuż za nim Rodin. O, spójrz, Jean z tą piękną Misią Sert. Co roku nas wyciąga z opalów

i pokrywa rachunki. Jaka urocza! Wszyscy ją malują, a jej pierwszy mąż nadal za nią szaleje, to bardzo korzystne, bo do niego należy „Le Matin”. Mój Boże, patrz, kto z nią przyszedł. Waclaw!

- Niemożliwe! - Wszyscy zgromadzeni wyteżając wzrok starali się dojrzeć Niżyńskiego w głębi łoży Sertów. Stał z tyłu, najwyraźniej sam.

- A więc nie wytrzymał. - Misza ucieszył się, bo trafiła mu się wspaniała plotka do rozpuszczenia po Petersburgu. - Ciekawe, czy wróci?

- Nie odważy się. Mimo sukcesów nie nabrał śmiałości. Mam nadzieję, że nie przyjdzie, rozgniewałby Siergieja Pawłowicza. Jak smutno czasem układa się ludziom życie! Byliśmy takimi dobrymi przyjaciółmi. Pomacham, kiedy spojrzysz w tę stronę... - Tati dotrzymała słowa i przesłała pocałunek w powietrzu, gdy pozbawione wyrazu spojrzenie skośnych oczu powędrowało w jej kierunku. - Och, Lidia, popatrz, twój *monsieur* Paquin...

- Wprawdzie kupiłam od niego parę kreacji, ale on sam do mnie nie należy. - Lidia odparła nieoczekiwanie ostrym tonem.

- Och, kochanie, denerwujesz się? Przepraszam, rozgadałam się o tych wielkich ludziach. Nie martw się, na pewno rzucisz ich na kolana. Chodź, wrócimy za kulisy, trochę się przejdziemy i rozćwiczymy stopy.

Starsza przyjaciółka delikatnie pociągnęła Lidie, która przelatykając ślinę poczuła, że zaschło jej w gardle.

Rzeczywiście ogarnął ją paraliżujący strach, nigdy w życiu tak się nie bała. Pod narzutką oblała się lepkiem potem.

Kolia

419

Kiedy ich pociąg zatrzymał się na Gare de Lyon, jedna z najmłodszych tancerek zemdląła z wrażenia, bo oto znalazła się w sławnym Paryżu. Dla wszystkich była to mekka stylu i elegancji, magiczne miasto, gdzie ulice wypolerowano niczym posadzki w sali balowej, a domy wzniesiono ze srebra. Nagle wydało jej się śmieszne, wręcz żalosne, że ośmieliła się marzyć o zdobyciu szturmem najbardziej wymagającej wspólnoty artystycznej na świecie.

Godzinę później czekała w garderobie na wezwanie inspicjenta. Wszystko ją irytowało, doprowadzając niemal do szału. Mimo polecenia Lidii, garderobiana nie popuściła szwów kostiumu i teraz uciskał ją pod pachami. W drugim akcie miała zamiar wyjść na scenę w naszyjniku z żółtych brylantów, ale przyniesione od Fabergego również okazały się za ciasne. Nie starczyło czasu na przeróbkę, więc związała je z tyłu jedwabną nitką i teraz wydawało jej się to zbyt ryzykowne.

Z trudem łapała oddech, trema ścisnęła ją za gardło niczym żelazna dłoń. Odkąd zaczęła odnosić wspaniałe sukcesy, coraz rzadziej Cudowny Duch brał ją we władanie i nawet nie zwrócił na to uwagi. Kiedy zwierzyła się jednej z nauczycielek ze szkoły przy ulicy Teatralnej, że nie miewa już uczucia natchnienia, staruszka zbyła ją machnięciem ręki. „Moje dziecko, zawsze działasz dzięki natchnieniu, ale moim zdaniem wyćwiczyłaś się na tyle, by przychodziło, gdy go potrzebujesz, nie musisz już polegać na jego kaprysach. Nie bój się, to cecha prawdziwych artystów.”

Zapomniała też o przesądach i wróżbach, szła przez życie swobodnie, a żadne wątpliwości nie tłumili jej pewności siebie. Teraz jednak czuła się zupełnie bezradna i przerażona. Chciała, żeby obecność Charlotte, jej chłód i spokój podniosły ją na duchu, tęskniła za głupią wiernością swego psa. Chciałaby zwrócić się do Lwa po pociechę, ale umarł dla niej i żałowała wyrządzonej mu krzywdy. Na toalecie stała mała ikona, którą dostała na powitanie od Diagilewa - tamte wydarzenia zdawały się jej bardzo odległe w czasie - i jej własna, większa, przedstawiająca św. Mikołaja. Ustawiła je na pustym stoliku

i położywszy na podłodze ręcznik, aby nie zabrudzić kostiumu, uklękła do modlitwy.

Gdy znalazła się za kulisami, trema przeszła w gorączkowe podniecenie. Widziała, że Lew pod makijażem jest kredowo biały, a Miasin, zbudowany niemal wyłącznie z długich

420 *Celta Brayfield*

kończyn i wielkich oczu, słysząc nieoczekiwany dźwięk, podskakuje niczym żrebak. Inna, która niechętnie przyjęła rolę Herodiady, byle tylko znaleźć się w nowym przedstawieniu, będącym na ustach całego Paryża, wyglądała jeszcze mniej pociągająco - rzucały się w oczy jej sterczące łokcie i kolana. Zabrzmiały pierwsze takty uwertury, Lidia ucałowała ich oboje w oba policzki, wyzwalając swój niezwykły magnetyzm i próbując go im przekazać. Niemniej, początek baletu był mało zachęcający. Lew zapomniał o fragmencie mimicznym i o sześć taktów wyprzedził orkiestrę. Lidia popatrzyła mu w oczy - po raz pierwszy od wspólnej nocy w willi - i zobaczyła, że ten błąd zupełnie zniszczył jego metodyczną naturę i za chwilę ulegnie atakowi paniki. Stanowczym ruchem położyła mu dłoń na ramieniu i dodała parę gestów, by wypełnić powstałą próżnię.

Widzowie, którzy wątlymi oklaskami nagrodzili scenę z motylami, ujrawszy to, co ich zdaniem stanowiło istotę baletu rosyjskiego - bajeczny spektakl pierwotnych wrażeń, feerię barw, szaleństwo, erotyzm - natychmiast żywo zareagowali. Pod koniec pierwszego aktu Lidie i Miasina powitały brawa, które odbijając się od łóż i płynąc aż po sklepienie przypominały grzmot fal oceanu.

Gdy zbliżał się finał drugiego aktu, poczuła, że triumf ma w zasięgu ręki. Mały niewolnik w turbanie przyniósł jej na tacy głowę Jana Chrzciciela, chwyciła ją za grzywę włosów i zaczęła nową partię solową. Na ogromnej sali zapadła zupełna cisza. We Francji nigdy nie przerywano biegu przedstawienia, by bisować, i dzięki naleganiu Fokina również Balety Rosyjskie przyswoiły ten zwyczaj, a widownia oklaskiwała występ na końcu.

Lidie na początku dziwił brak głośnych objawów zachwyty, ale stopniowo odurzona przestrzenią sceny, oddzielona smugą światła od zespołu upozowanego po bokach, poczuła, jakby wchodziła w samą siebie. Wszystkie płomienne uczucia, które zwykle przekazywała widzom w tańcu, jakby skupiły się w jej kończynach, a nawet w kościach, i jej ciało przemieniło się w płomień białego ognia.

Nigdy wcześniej nie miała w sobie takiej mocy ani nie czuła takiej wolności. Perwersyjny erotyzm tańca był nieważnym ozdobnikiem wobec czystego istnienia w czasie i przestrzeni. Jej siła woli rozcinała powietrze niby miecz, wy

Kolia

422

krawając w nim piękne kształty przez moment migoczące przed oczami myśli, nim przepłynęły w inną formę. Wydawało się jej, że jest egzotyczną lilią z oranżerii, która rozwija się z pączka, kwitnie, potem gubi płatki w dusznym powietrzu, umiera wreszcie, by natychmiast się odrodzić. Złudzenie było tak silne, że miała wrażenie, jak jej własny pyłek, ciepły, pachnący puder zawierający samą istotę jej ducha, opada na jej piersi i wyciągnięte ramiona. Lew, który przez cały balet był sztywny ze strachu, postąpił do przodu i nakazał stracenie Salome, gwardziści Heroda unieśli ją do ostatniego *tableau*. I wtedy stało się coś niewyobrażalnego - Lidie nieoczekiwanie zawiodła jej słynna siła. Ustępował trans, w którym tańczyła ostatnie solo, a przyspieszyły to brutalne ruchy strażników. Miała tylko trwać sztywna i bierna, gdy unosili ją nad głowami, lecz wtem jej stawy zmiękły jak z gąbki, a mięśniom zabrakło mocy. Zaczęła przerażająco dygotać. I gdy kurtyna opadała, zupełnie utraciła kontrolę nad swoim ciałem i osunęła się na ramiona mężczyzn, którzy zatoczyli się pod nieoczekiwanym ciężarem. Nie mogli jej utrzymać i nie wiedząc co zrobić, upuścili ją. Jeden chwycił ją pod ramię. Kiedy oparła stopy na deskach, odzyskała nieco koordynacji ruchów i stanęła na chwiejnych nogach.

- Dobrze się czujesz?

- Co się stało?

- Lidia, biedactwo, có ci jest?

- Jest chora, na pewno, ale to solo było wspaniałe, nigdy nie widziałem, by tańczyła tak doskonale.

- Możesz coś powiedzieć, maleńka? Dziecino? Co się dzieje?

Otoczył ją tłum - na scenę wbiegli chyba wszyscy przyglądający się członkowie zespołu. Za kurtyną grzmiały oklaski i głosy ze wszystkich stron wykrzykiwały jej imię. Lidia rozejrzała się dookoła zdumiona, nadal nie rozumiejąc, co się dzieje. Diagilew, czarna, niezgrabna postać drepcząca na małych stopach, pędził do niej.

- Nie bój się, dziecino, nikt nic nie widział. Wyglądało, jakbyś to zaplanowała, bardzo wzruszające. Jak się czujesz?

Możesz wyjść do ukłonów? - Jego głęboki głos uspokajał wszystkich zebranych.

- Nie wiem... - ruchem dłoni nakazała, by przytrzymujący ją mężczyzna odsunął się, i stanęła o własnych siłach, wy-

Celia Bray field

próbowała obie nogi wyciągając ręce do przodu. Postąpiła parę kroków. - Myślę, że tak. Poczułam się bardzo zmęczona, i tyle. Wszystko nagle zaczęło odpływać.

- Lew, Lewrusza, obaj weźcie ją pod ręce, macie ją podtrzymywać. A teraz wszyscy ze sceny!

Tłum rozproszył się tak szybko, jak się zebrał, tylko Bakst przystanął na moment poprawiając skraj podwiniętej dekoracji. Lidia wspierana przez Lwa i Miasina upozowała się do ukłonów, głęboko zaczerpnęła powietrza i skinęła czekającemu w kulisach Diagilewowi, który nakazał uniesienie kurtyny. Oklaski ich ogłuszyły. Stała na mocnych nogach, zawroty głowy ustąpiły, wszystko na pozór wróciło do normy.

- Uwielbiają nas - wyszeptał jej do ucha Miasin ściskając dłoń, za którą ją trzymał. - Wielki, wspaniały sukces, prawda?

Nie była pewna, nie wiedząc jak rozumieć reakcje obcej widowni, dopiero gdy pojawił się dyrygent, a po nim Diagilew uśmiechający się szeroko ze szczerej radości, Lidia zdała sobie sprawę, że odniosła triumf, którego tak rozpaczliwie pragnęła.

Pierwszy wniesiono bukiet od księcia Orłowa - ogromną kompozycję bladżółtych róż *Glorie de Dijon*, i kiedy wróciła do garderoby, Mikołaj już tam na nią czekał. Jego normalną, sztywną rezerwę opromieniało zadowolenie z udziału w jej chwale - od razu rozpoznała te uczucia. Słabość ustąpiła miejsca irytacji, ale odruchowo stłumiła emocje i wtuliła się w jego ramiona doskonale udając zupełnie szczęśliwą. Tym razem wręczył jej wisiorek w kształcie ryby, tułów był z owalnego szafiru z Indii, oprawionego w platynę, łeb, ogon i płetwy wykonano z brylantów i tak sprytnie połączono, że poruszały się bardzo naturalnym ruchem. Był to uroczy klejnot, ale Lidia wiedząc, że Orłów nie przepada za biżuterią w kształcie zwierząt, nabrała podejrzeń.

- Pozwolisz mi zostać, gdy się będziesz przebierała? - Nigdy wcześniej o to nie prosił, lecz się zgodziła; usiadł sztywno na pokrytej błękitnym adamaszkiem sofie przeznaczony dla gości i rozmawiał z nią patrząc jej w oczy za pośrednictwem lustra, kiedy garderobiana przystąpiła do długiej czynności odpinania jej przybrania głowy. Pragnął chwili bliskości, ale niestety rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Diagilew.

- Moja droga, byłaś absolutnie cudowna. Nigdy nie widziałem takiej publiczności, myślałby kto, że ich fotele płoną, tak szybko zerwali się do braw na końcu. - Ignorując

Kolia

424

Orłowa usiadł na stołku. - Ale martwię się o ciebie, tak zbladłaś...

- To jej naturalny kolor, Kuzmińskaja zawsze słynęła z doskonałej cery. - W głosie Orłowa brzmiało zniecierpliwienie. Mężczyźni wstali i podali sobie ręce, po czym wymieniwszy nieszczerze komplementy zajęli poprzednie miejsca.

- Jak się czułaś od przyjazdu do Francji? Od przybycia do Paryża? Może mój doktor powinien cię zbadać... - Impresario najwyraźniej już widział oczyma duszy, jak zwraca pieniądze w całej Europie, jeżeli jego nowa gwiazda zerwie kontrakt.

- Czuję się wspaniale, Siergieju Pawłowiczu. Czy mogłoby być inaczej? Spełniły się moje marzenia.

- Dobrze się odżywasz? Co jadłaś na lunch?

- Jedliśmy tutaj, nie pamiętasz? Przesłałaś nam jedzenie z restauracji, w której byliśmy wczoraj, na pociechę, skoro musieliśmy pracować bez przerwy cały dzień. Zjadłam ostrygi, pasztet, kurczaka i sałatę.

- Ostrygi! Ot i zagadka rozwiązana! Minął już na nie sezon, to one musiały ci zaszkodzić. Żadnych ostryg, to rozkaz.

- Zadowolony, że odkrył przyczynę nagłego zaślabnięcia gwiazdy, wstał i poprawiając monokl ruszył ku drzwiom.

- Moja droga, Wasza Wysokość, zostawiam was samych, do zobaczenia później w ambasadzie. Samochód już czeka, szofer zna adres.

Rosyjski ambasador zawsze po premierze wydawał przyjęcie na ich cześć.

- Zawsze tak gna jak do pożaru? - zapytał gniewnie ksiązę, zezłoszczony, bo stracił okazję do czułej chwili, za którą nieoczekiwanie zatęsknił. - I o co mu chodziło? Przecież nie jesteś chora.

- Nic takiego, pomyliłam się na scenie, ot i wszystko. Jednak czuję się trochę słabo, czy moglibyśmy wyjść wcześniej?

- Pomyślała spokojnie, że skoro nie zauważył jej upadku, to wobec tego i cała widownia też go nie widziała.

- Może wyczerpanie nerwowe? Za dużo podróży, za dużo ciężkiej pracy... Teraz i ja zgadzam się z opinią innych o tym człowieku - wyciska ze swoich tancerzy ostatnie poty.

- Praca i nerwy! Jesteś taki mądry i znasz mnie doskonale. To na pewno dlatego. - Wstała szybko, by ucałować jego chłodny policzek, trochę podniosła ją na duchu widoczna troska kochanka.

Celia Bray field

Reszta miesiąca upłynęła jak we śnie. Barbarzyński wdzięk Baletów Rosyjskich po raz kolejny podbił Paryż, a jego mieszkańcy znów tracili głowy i serca dla nowej, boskiej tancerki. Lidia odniosła kolejny sukces w *Legendzie o Józefie*, wszędzie na ulicach otaczał ją tłum, gdy wchodziła do jakiegokolwiek pomieszczenia, od razu rozlegały się brawa i okrzyki zachwytu. Co dzień koperty z listami pełnymi uwielbienia, hołdu, zaproszeniami, a nawet wierszami, wypełniały jej przegródkę przy wejściu dla artystów. Ku rozbawieniu Orłowa jeden z przemysłowców posunął się w swym szaleństwie tak daleko, że cały dzień czekał na nią, by osobiście wręczyć jej zaproszenie. Co dzień salę ćwiczeń wypełniali wpływowi znajomi Diagilewa, a w kącie siedział malarz szkicując wytrwale. Nieustannie też pozowała do zdjęć we wspaniałych kostiumach oraz w kreacjach od ulubionych francuskich krawców do numerów „La Mode Illustree”. Codziennie publikowano nowe rysunki: żywy portret skreślony przez Pabla, dowcipna karykatura Jeana, szkic węglem samego Baksta.

Jak się tego spodziewała, jej kochanek znów był nią oczarowany i z niezwykłą dumą woził ją kabrioletem, aby łowić pełne zachwytu spojrzenia przechodniów. Uspokajało go i cieszyło obserwowanie, jak ludzie zajmują się innymi sprawami niż wojna i zapomniał o własnych niepokojach. Pewnego dnia tłum młodzieńców, nie brudnych uliczników, lecz schludnie ubranych kadetów z szacownej akademii biegł za nimi przez całą długość Avenue de l'Opera wiwatując i krzycząc: *Vive la belle Kuzmińskaja!* Obserwowanie uwielbienia gawiedzi budziło w nim pragnienie posiadania jej na nowo, raz nawet pchnął ją na podłogę garderoby tak gwałtownie, że wrzasnęła i go ugryzła, po czym wybuchając płaczem oskarżyła o koszarowe maniery.

Po *Legendzie o Józefie* odbyła się premiera kolejnego przedstawienia eksperymentalnego, *Złotego kogucika*, łączącego balet z operą, w choreografii Fokina, z muzyką Rimskiego--Korsakowa. Też je oklaskiwano, choć z może mniejszym entuzjazmem, ale bez wątpienia był to kolejny sukces Baksta. Cały zespół płaWił się w potokach sławy, wszystkich ogarnęła radość, zniknęły stare urazy, a na twarzach wszystkich - od prostego gońca do samego Siergieja Pawłowicza - wykwitły uśmiechy.

Kolia

426

Lidia wprawdzie więcej już nie zemdląła jak w trakcie pierwszego występu, ale uważała na ewentualne oznaki słabości i nie sądziła, aby zawiniły ostrygi, które co roku jadła w znacznych ilościach bez szkody dla zdrowia. Nadal czasem szumiało jej w głowie, ale nie martwiła się tym, skoro cały zespół chodził jakby na lekkim rauszu ze szczęścia.

Jak zwykle sezon zakończyło przyjęcie w ogrodach małżonków Ephrussy. Na trawniku wystawiono *Ożywiony ogród*, tło stanowiły pergole obrosnięte białymi różami, a w otwierający balet żywy obraz wkomponowano między tancerki parę siedemnastowiecznych posągów pasterek naturalnej wielkości, bo wyrzeźbione były z takim doskonałym wyczuciem ruchu.

Powietrze stało nieruchome, było duszno i parno. Daleki grzmot rozbrzmiał ponad szmerem rozmów. Orłów stał sztywno u boku Lidii, która ujęła go pod ramię, wolną ręką zaborczo trzymał jej dłoń, zadowolony uśmiechał się i kłamał, gdy ona tymczasem szczebiotała do gości. Zaczęło ją niepokoić, że tak łatwo i chętnie pozwalał jej jaśnieć w towarzystwie; odkryła, że paryskich wielbicieli baletu śmieszył sznur arystokratów ciągnący za rosyjskimi balerinkami i zupełnie nie zdając sobie sprawy z długotrwałości ich związku, przewali Mikołaja Lodowym Księciem. Zezłoszczona próbowała go wciągnąć do rozmowy.

- Tak, jedziemy teraz do Londynu, ale księżę zostanie w Paryżu, prawda mój najdroższy? Jeszcze nie skończyłeś w ministerstwie obrony narodowej, prawda?
- W ministerstwie obrony narodowej - powtórzył, nie wiedząc jak dalej prowadzić konwersację.
- Proszę mi powiedzieć - gospodyni nagle okazała większe zainteresowanie cudzoziemskim politykiem, którego nieopatrznie zaprosiła do domu - czy wybuchnie wojna w związku z tym serbskim zamieszczeniem? Dlaczego oni nie mogą się pogodzić? Mój mąż mi to tłumaczył, ale nie zrozumiałam ani słowa.
- Co sądzi pani mąż? - Pobłażliwy uśmiech nieco złagodził surowość jego rysów.
- Mówi, że nie będzie wojny, nikt jej nie chce i z łatwością wynegocjują porozumienie.
- To powszechne przekonanie. - Znający Orłowa po tonie głosu odgadli, że zachowuje dyplomatyczną rezerwę.
- Chcemy poznać twoją opinię, Mikołaju. - Karsawina

Celia Brayfield

pewnie ujęła go pod ramię. - Chcemy znać poglądy księcia, a nie powszechne opinie.

- Moją własną opinię... - zaśmiał się nerwowo - nikt jej nie bierze na serio, dlaczego wy mielibyście ją potraktować poważnie?

- Bo jesteśmy twoimi przyjaciółmi - Aleksandrów nalegał z pogodnym uśmiechem, popijając szampana.

- Chciałbym wierzyć w mediacje - odparł po chwili namysłu. - Ale ci ludzie kierują się emocjami. To Słowianie i są podobni do nas, a w nas kipi gorąca krew. Choć przyjechałem tu również ze względu na Lidię, to przede wszystkim w czasie tych spotkań chcę pracować nad stworzeniem roboczej wersji porozumienia w sprawie redukcji zbrojeń w Anglii, Francji i Rosji, i muszę przyznać, że to niełatwe zadanie. Każdy jest przywiązany do swoich armat, a już szczególnie ich wytwórcy. Wczoraj wieczorem pewien dżentelmen mi tłumaczył, że jeśli będzie musiał w przyszłym roku zmniejszyć produkcję, to grozi mu ruina. Powiedział, że może nawet będzie musiał zrezygnować z wyścigów konnych. - Rozległ się wybuch nerwowego śmiechu, ponieważ Orłów mówił czasem z tak lodowatą ironią, że nie znające go osoby źle rozumiały jego intencje.

- Ojej, bardzo mnie zasmuciłeś. - Okrągła twarz Tati wyrażała głębokie przygnębienie. - Okropnie dziś tęsknię za domem, teraz marzę tylko o jednym - pobiec na stację i natychmiast wskoczyć do pociągu.

- Siergiej Pawłowicz przeklnie cię do dziesiątego pokolenia, jeśli choć raz o tym pomyślisz - ostrzegł ją Aleksandrów i wszyscy słysząc imię Diagilewa rozejrzeli się dookoła. - Wszedł - dodał Misza. - Widziałem go pół godziny temu, ~ był bardzo ponury, widać jeszcze się gryzie tą historią z Waławem.

Opadła ich melancholia niczym wieczorna mgła, potem przerodziła się w smutek, że muszą opuszczać tak uroczych gospodarzy i porzucać uroki Paryża. Noc była gorąca i duszna. Nad odległymi przedmieściami gromadziła się burza, co chwila ponad gwarem rozmów rozlegał się daleki grzmot.

Następnego ranka i Lidię ogarnął powszechny nastrój przygnębienia, nagle łyzy polały się na *croissant*. Chwilę później zaczęła wymiotować i chorowała parę godzin, aż Orłów uznał, że powinien wezwać lekarza.

Kolia

427

- Dobrze, ale na miłość boską, nie medyka zespołu. Nie chcę, by natychmiast doniósł Siergiejowi Pawłowiczowi o każdym pieprzyku na moich plecach.

Polecono im jednego z najlepszych specjalistów w Paryżu, a z całą pewnością był najbardziej dyskretny. Zbadał ją bardzo dokładnie, co sprawiło jej niejaką przyjemność, ponieważ okazał się niezwykle przystojnym mężczyzną w średnim wieku. Ujrzał zdrową, młodą kobietę w doskonałej formie, a wspaniała cera i zaokrąglony brzusek przy bardzo szczupłym, muskularnym ciele sugerowały diagnozę. Zapytał o pozwolenie na badania wewnętrzne i zachwycając się portrecikiem Koli w żółtej, emaliowanej ramce od Fabergego, dokonał bolesnych oględzin jej narządów, po czym wyszedł na chwilę, by uspokoić księcia i wróciwszy zasiadł na fotelu przy szezlongu, na którym spoczywała Lidia z mopsem przytulonym do boku.

- Pani syn wygląda na dorodnego chłopca. - Zaczaj lekkim tonem, Lidia przytaknęła uprzejmie. - Ma pani więcej dzieci? - pokręciła przecząco z wyrazem niechęci. - A ciąża, poród, przebiegały normalnie?

- Nie, były okropne, choć słyszałam, że to normalne.

- Matki wielokrotnie mi powtarzały, że pierwszy raz jest zawsze najgorszy. A pani i pani... hmm, książę... lubią dzieci?

- Dlaczego? - zapytała nabierając podejrzeń. - Na miłość boską, chyba pan nie sądzi... że będę miała następne dziecko? Przecież to niemożliwe, prawda? Och, proszę...

- *Madame*, tak właśnie uważam.

- A ja nie. I to pan się myli, z całą pewnością. - Powiedziała to ostro, niemal krzyknęła. Zaniepokojony piesek zeskoczył na podłogę i schował się pod łóżkiem. W pamięci szukała dowodu, że lekarz się pomylił. Przecież zawroty głowy, lekkie mdłości o niczym nie świadczą. Prawda, trochę przytyła, ale każdy przybiera na wadze w Europie; podają tu doskonałe potrawy, a ona jak zwykle sobie nie żałowała. Ale od dwóch lat nie miała okresu i to na pewno dowodzi, że lekarz postawił błędną diagnozę. - Przecież kobieta, która nie krwawi co miesiąc, traci swoją...

kobiecość, prawda? Jeśli się nie ma menstruacji, nie można zajść w ciążę? Nawet kochając się trzy razy dziennie. Jest się bezpłodnym. Tak mi powiedział lekarz w Petersburgu. Czyżby skłamał? Twierdził, że skoro nic miesiączkuje, a tancerkom to się często zdarza, bo są bardzo chude, to nie musimy uważać.

Celia Brayfield

- *Madame*, tak się zwykle dzieje i moje obserwacje potwierdzają opinię, że niewiasty o delikatniejszej budowie często cierpią na nieregularne okresy. Ale Natura...

- Co tam Natura, interesuje mnie tylko moja osoba. Nie krwawiłam od roku, prawie dwóch. To jak mogę być w ciąży?

- Pod tym względem nieregularne menstruacje potrafią okazać się zwodnicze, *madame*. Krwawienie pojawia się na końcu płodnego cyklu, a najlepszy czas do zapłodnienia to zwykle dwa tygodnie wcześniej. Zatem moim zdaniem miała pani jeden cykl płodny i doszło do zapłodnienia, więc oczywiście miesiączka nie wystąpiła i wszystko było normalnie, a raczej w tej sytuacji nienormalnie.

- Nie widzę powodu do żartów. - Irytował ją teraz koci uśmiech lekarza i swobodne zachowanie. Najwyraźniej sądził, jak wszyscy, że Rosjanie to wspaniali, ale trochę szaleni ludzie i nie traktował jej poważnie. - Jeśli ma pan rację, to będę musiała zerwać kontrakt z Baletami Rosyjskimi i zespół straci miliony franków zwracając pieniądze za bilety. Zapewne wystąpią do sądu, żebym im wypłaciła odszkodowanie... Dla wszystkich to będzie absolutna katastrofa.

- Proszę mi wybaczyć, *madame*. W pełni doceniam pani zmartwienie sytuacją, choć, jak sądzę, *monsieur* Diagilew jest przyzwyczajony do kłopotów z artystami. I przecież nie musi pani natychmiast porzucać sceny... Zwykle radzę przyszłym matkom, by się nie przemęczały, ale w pani wieku i stanie zdrowia oraz skoro ćwiczy pani regularnie, zalecałbym przez najbliższy miesiąc zmniejszyć liczbę przedstawień, a potem się wycofać...

- Wycofać! Chyba pan oszalał. Wycofać! Kiedy rzuciłam Paryż na kolana, moje zdjęcia drukowane są w każdej gazecie i podpisałam umowę na następne cztery miesiące za miliony franków! Miliony, rozumie pan! Na pewno postawił pan błędną diagnozę.

Siedział w milczeniu na twardym krześle w stylu Ludwika XV i założywszy nogę na nogę patrzył na nią ze współczuciem szarymi oczami. Zezłoszczona szarpała brzeg białego, satynowego kimona próbując zebrać myśli. Są sposoby pozbycia się nie chcianych płodów, ale przecież nie może wezwać z Petersburga starej Finki, żeby jej coś przygotowała. Najlepiej zrobi prosiąc tego mężczyznę o pomoc.

- Czy powiedział pan Mikołajowi? Księżciu?

Kolia

429

- Nie, *madame*, tylko zapewniłem, że nie jest pani poważnie chora.

- Choć to dobre.-1 co teraz z tym zrobimy?

- Uradujemy się błogosławieństwem nowego życia i uczcimy cud stworzenia, *madame*. - Był wyraźnie zażenowany.

- Może pan to robić, jeśli pan chce, ale ja nie mam na to najmniejszej ochoty. Wolę cieszyć się z przyniesienia wielkiej sztuki baletowej z powrotem do Francji, skoro tu się rzeczywiście zrodziła. Wolę uczcić cud, który następuje co wieczór na scenie, gdy cały gmach Opery drży w rytmie tych samych uczuć. Dla mnie to stanowi prawdziwą twórczość. Każda wiejska dziwka potrafi po pijanemu ulec idiotcie i w dziewięć miesięcy później wydać na świat dziecko. Dlatego jeszcze raz pytam, co mamy z tym zrobić?

- Z żalem muszę wyznać, *madame*, że nie mogę pani pomóc. - Sięgnął po kapelusz i zbierał się do wyjścia, ale ponieważ nadal zachowywał się kurtuazyjnie, zdesperowana Lidia nalegała dalej.

- Szanuję pańskie uczucia, doktorze, nie jest pan wielbicielem sztuki, lecz człowiekiem religijnym, co podziwiam. Jednak sądzę, że zna pan innych członków tej lub pokrewnych dyscyplin, którzy nie podzielają pańskich przekonań.

- Wiem, że tacy istnieją, ale przykro mi, że nie mogę pani pomóc... - ruszył do drzwi, a ona pobiegła za nim; z wielką chęcią posłałaby go do diabła, ale nadal trzymał ją w szachu.

Chwyciła go za rękę i popatrzyła błagalnie w górę, doskonale wiedząc, że kimono zsunęło się jej z ramienia.

- Przynajmniej nie powie pan księciu o moim stanie? Zapewniam pana, że podziela moje uczucia. Postanowiliśmy nie mieć więcej dzieci i wiem, że wpadnie we wściekłość. Chciałabym przynajmniej móc wybrać odpowiedni moment na przekazanie mu tej wiadomości.

Jego oczy, które jeszcze pół godziny temu podziwiała ją z tak bliskiej odległości, przesunęły się teraz szybko po jej sylwetce, jakby patrzył na Gorgonę, która może go przemienić w głaz.

- *Madame*, zachowam całą naszą rozmowę w sekrecie.

- Oczywiście, jakżebym mogła przypuszczać, że pańskie zasady moralne nie są pod każdym względem na najwyższym poziomie.

Lekarz skrepowany odkryciem, że ta kobieta jest niemoralną hipokrytką, złożył chłodny ukłon i szybko wyszedł.

Lidia wróciła na szezlong i upozowała się na przyjęcie Orłowa, mając nadzieję, że nie wyczyta z jej twarzy wewnątrz

Cetia Brayfield

nego zamętu. Czują, jakby u jej stóp otworzyła się bezdenne przepaść. Jeśli jest w ciąży, to równocześnie straci i kochankę, i sławę. Na jej oczach rozpadnie się w proch życie pełne luksusu i poklasku, zostanie z pustymi rękami. Pozbawiona urody nie zdoła złowić kolejnego protektora, a pozbawiona siły natychmiast skończy karierę. Widziała, jak w ciągu roku z pięknej nimfy przemienia się w bezkształtny tłumok okryty szmatami, w pijackim widzie przemierzający zaułki, żebrze w dzień i walczy w nocy, ciągnąc nogami w drewnianych sabotach powiązanych sznurkiem, miast pławić się w uwielbieniu książąt i zachwytach całej Europy. Widziała już, jak ludzie na jej widok odwracają oczy i szybko uciekają na drugą stronę ulicy. Miała tylko nadzieję, że szybko zamarznie na śmierć już w pierwszych dniach zimy.

Gdy Orłów pojawił się kilka minut później, odpędziła te przerażające wizje i powitała go tęsknym uśmiechem. Łatwo uwierzył, że jej niedyspozycje spowodowało wyłącznie przejedzenie ciężkimi potrawami. Niemal natychmiast wybuchła między nimi sprzeczka, bo Lidia ze zdenerwowania poczuła głód i stanowczo zażądała omletu *a la* Arnold Bennett, on zaś stwierdził, że zaszkodzi jej danie obficie polane sosem serowym. Poczekała, aż wyjdzie odwiedzić ciotkę, która zatrzymała się w hotelu George V, zamówiła omlet i była właśnie w połowie jedzenia, gdy Celinę, jej francuska pokojówka, odebrała telefon od Diagilewa.

- Słyszałem, że jesteś chora - zaczął nie udając nawet współczucia. Powstrzymując czkawkę odsunęła resztę potrawy i gestem nakazała dziewczynie, by wyniosła talerz, rozzłoszczona, że nie może skończyć dania, a więc to Mikołaj miał rację.

- Nie jestem chora, Siergieju Pawłowiczu. Siedzisz wygodnie? Cieszę się doskonałym zdrowiem, mam na to świadectwo najlepszego lekarza, a do tego diagnozę, że jestem w ciąży.

Z zadowoleniem usłyszała, jak przerażony Diagilew głośno zaczerpnął tchu. Ten człowiek będzie jej pomagał ze wszystkich sił.

- A więc, co z tym zrobimy? - Tym razem odetchnął z ulgą.

- Najwyżej od paru tygodni... - Nagle przypomniała sobie noc w willi, gdy uwiodła Lwa, i pojęła z absolutną pewnością, że oczekuje jego dziecka. Natychmiast przed oczami duszy zobaczyła poważnego chłopczyka o dużych oczach, ciemnych lokach i różowych usteczkach, cudowne dziecko, które nigdy

Kolia

432

się nie brudzi jak jego koledzy. Widziała, jak to maleństwo zawsze jej towarzyszy w przyszłości, pociesza i uspokaja, ulega jej każdemu kaprynowi, słucha wszystkich jej sekretów. Ten obraz pociągał ją z wręcz hipnotyczną siłą. Nie chciał zniknąć, choć próbowała go usunąć niczym karalucha rozgniatanego stopą. Diagilew miękko szeptał jej do ucha. Wreszcie ugryzła się w ramię, aby rzeczywisty ból odpędził natrętne obrazy.

- Dobrze się czujesz? Coś się stało? Lidio Aleksandrowna, czy wszystko...

- To pies, ten cholernik mnie ugryzł. Co mówiłeś?

- Słabo protestowałem, że nigdy dotąd nie stanąłem przed takim problemem... - W jego głosie wyczuła pogardę dla kobiecości we wszelkich jej przejawach i przez moment ogarnął ją strach, że zerwie z nią kontrakt przez czystą niechęć do kobiet.

- Chyba nie sądzisz, że ci uwierzę.

- Niestety, masz rację. Ale wśród moich znajomych znajdzie się ktoś o lepszych kontaktach w tych sferach. Daj mi dzień, Lidio Aleksandrowna, dwadzieścia cztery godziny, nie więcej, obiecuję. Proszę mi zaufać...

I rozłączył się po paru słowach pożegnania. Lidia z trudem przetrwała dzień, ze strachu dostała jeszcze większych mdłości, tak że wymiotowała niemal przez cały czas. W krótkich chwilach jasnej świadomości uznała, że nie potrafi w tym stanie ulegać wyrzutom sumienia.

Następnego popołudnia sekretarz Diagilewa zadzwonił uprzedzając, że odwiedzi ją *madame* Arbeau i parę godzin później przyszła wysoka, szczupła kobieta o zapadniętych policzkach, ubrana w skromną, lecz dobrze skrojoną suknię z fioletowego jedwabiu z małą, skórzaną torbą w dłoni.

- Miałam zaszczyt pomóc wielu wybitnym artystkom Opery - oświadczyła z uspokajającym, dyskretnym uśmiechem. - A także licznym arystokratkom. Jak mi powiedziano, nie jest pani długo w tym stanie?

- Najwyżej dwa miesiące.

- Bardzo dobrze. Może się okazać, że wystarczy parę tabletek. Czy mogę panią zbadać?

Wyjęła z torby biały fartuch. Miała zimne, mocne palce, wykonała te same ruchy, które wcześniej zrobił lekarz, ale znacznie delikatniej.

- Zgadza się z pani opinią: dwa miesiące. To będzie proste. - Szybko zdjęła fartuch, jakby była kucharką, która

Celia Brayfield

właśnie skończyła wyrabianie ciasta, schowała go do torby i wyciągnęła z niej białe, płaskie pudełeczko.

- Proszę połknąć dwie dziś wieczorem. Spowodują bolesne skurcze, ale niestety muszę prosić, by nie brała pani żadnych środków przeciwbólowych, zwłaszcza laudanum czy alkoholu. Proszę to przecierpieć, może pani gryźć kawałek skóry, jeśli to pomoże i wszystko szybko minie. Wkrótce będzie pani krwawić, dość obficie. Jeżeli nie, proszę za tydzień zażyć większą dawkę - trzy lub cztery pigułki. W pudełku jest ich wystarczająca liczba. To wszystko, co pani powinna zrobić. Potem będzie się pani już dobrze czuła, to naturalny proces, który wywołujemy w ten sposób.

- Dziękuję, *madame*. Tym pudełeczkiem ocala pani tyle w moim życiu, jak wiele, nawet sobie pani nie może wyobrazić...

- Drobiazg, pomoc siostróm w niedoli uważam za swoje powołanie, *madame*. Życie kobiety jest i tak ciężkie, moim zdaniem przekleństwo Ewy to niesprawiedliwość. Zostawię pani moją wizytówkę, gdyby pani chciała mnie później komuś polecić.

Skromnym gestem położyła kartonik na srebrnej tacy umieszczonej na bocznym stoliku. Przy nazwisku *madame* Arbeau znajdował się dopisek: *corsetiere*.

- Jest pani bardzo elegancka - stwierdziła zaciekawiona balerina.

- Cóż, nie mogę przecież chodzić po ulicach w moim fartuchu, prawda?

Gdy tylko Lidia została sama, natychmiast otworzyła puzderko. Znalazła w nim dziesięć białych tabletek, wielkości ziarna grochu. Postanowiła nie ryzykować i od razu połknąć cztery.

Nie mieli zaproszeń na ten wieczór, a wyjeżdżała wcześniej rano następnego dnia. Orłów wrócił o szóstej mając nadzieję, że już się lepiej czuje i spędzą razem kilka spokojnych godzin. Przez trzydzieści minut prowadziła z nim ożywioną rozmowę, nim skurcz strasznego bólu powalił ją na kanapę.

- O Boże! Czuję się jak woda, w którą kowal wkłada rozżarzone podkowy! Zaraz się zagotuję! Aaaa!
Zerwał się na równe nogi wywracając wiaderko, w którym się chłodził ich ostatni szampan w Paryżu.

- Celinę! Natychmiast wezwij lekarza!

- Nie! Celinę, w żadnym razie. Mój kochany, lekarz

Kolia

434

właśnie na to mnie przygotował. Nie będę go wyciągała z domu, od rodziny. Powiedział, że parę godzin mnie poboli i wszystko będzie dobrze.

- Ależ najdroższa, nie mogę patrzeć na twoje cierpienia.

- Nie umiał się zachować w takich sytuacjach. Stał skępowany z boku, zastanawiając się, czy powinien ją dotknąć.

- Więc błagam, jeśli mnie kochasz, to zostaw mnie teraz samą. Rozstajemy się jutro i nie chcę, byś mnie taką zapamiętał.

Gdy po paru podobnych zdaniach udało się jej go odesłać do jego apartamentu, upadła na łóżko i krzyczała w poduszkę, aż skurcze minęły.

Rano na peronie Gare du Nord, gdzie czekał pociąg do Londynu wypuszczając obłoki pary w zimnym powietrzu, Lidia stała blada jak trup, z dużymi, sinymi obwódkami wokół oczu, a Orłów ucałował ją z czułością przytulając mocno do piersi.

- Cztery tygodnie... Jak ja to wytrzymam? - powiedziała szczerze, gdy mieli się rozstać, a ona ruszała do nieznanego kraju, gdzie obcy ludzie mówili językiem, którego się nigdy nie nauczyła. Musiał zostać w Paryżu jeszcze miesiąc, a potem zamierzał przenieść się do willi Cassandra, gdzie ona miała dojechać parę dni później. W jesieni zgodnie z kontraktem powinna tańczyć z Baletami Rosyjskimi w Niemczech.

- Zawsze pamiętaj, że cię kocham - oświadczył nagle, a jego chłodny ton kontrastował ze znaczeniem słów. Ujęła go za serce jej słabość, tym bardziej uderzająca, że Lidia zawsze była pełna życia. Wydawało mu się, że oszukuje małe dziecko.

- Zawsze, moja kochana. Najbardziej mnie boli, że dałem ci powód do wątpliwości. Nigdy więcej tego nie zrobię. Niech mi Bóg wybaczy, jeśli zraniło cię moje postępowanie.

Popatrzyła mu głęboko w oczy, które przymknął targany silnymi uczuciami i zobaczyła, że nie kłamie.

- A więc wiesz, co się działo w moim sercu?

- Przyznaję, że tak. Wiem, że cię zraniłem i nie umiem wyrazić, jak bardzo tego żałuję. To... ona... wszystko było bez znaczenia, tylko że moje postępowanie sprawiło ci ból, to niewybaczalne.

- Niekoniecznie. - Wyciągnęła rękę i opuszkami palców pogładziła jego włosy. W takiej chwili powinna okazać słodycz charakteru, a poza tym brakowało jej sił, by go ostro potraktować. - Wybaczyłam ci, Miki. Jesteś mi tak drogi, że

Celia Brayfield

nie mogę się długo na ciebie gniewać. I jak ja będę żyła bez ciebie?

- Czas rozłąki szybko minie. Odniesiesz wielki sukces w Londynie i zapomnisz o mnie licząc piękne bukiety. Będę do ciebie często pisał i dzwonił, kiedy tylko zdołam. W nowym kraju, wśród nowych ludzi dni popłyną wartko, prawda?

- To nic w porównaniu ze szczęściem, jakiego doznaję, gdy jestem przy tobie - wyszeptała słabo, i nieoczekiwanie zadrżała na całym ciele. Z czułością zaprowadził ją do przedziału i sprawdził, czy zapewniono jej wszelkie wygody. Gdy pociąg ruszył, z okna widziała jeszcze na peronie jego samotną postać z boku wesołego tłumu odprowadzających, machał sztywno ręką, a blade promienie porannego słońca lśniły na jego arystokratycznym czole.

W czasie przeprawy przez kanał La Manche wszyscy członkowie zespołu chorowali jak koty. Zdaniem Lidii londyńska publiczność była równie entuzjastyczna, choć nie tak wyrafinowana jak jej paryscy wielbiciele, ale samo miasto zrobiło na niej przygnębiające wrażenie. Savoy w porównaniu z Ritzem w stolicy Francji okazał się ponury, a jej garderoba w Covent Garden była zbyt zimna i przypominała pokój szpitalny. Nie czuła żadnych bólów, zniknęły też mdłości, szybko odzyskała dawne siły, a nawet trochę schudła, ponieważ angielskie jedzenie zupełnie jej nie smakowało.

Bezsukutecznie czekała na pojawienie się krwi. Wychodziła na scenę w ciągłym lęku, że stanie się to na oczach widzów i zblądni cały zespół, ale nic takiego się nie stało. Zgodnie z zaleceniem *madame* Arbeau wzięła następne tabletki wieczorem, kiedy nie występowała, i odcierpiała jeszcze boleśniej niż poprzednio.

Minał kolejny tydzień i krwawienie nie nastąpiło. Ogarnął ją straszliwy lęk i co dzień budziła się przed świtem sparaliżowana strachem. Odbiło się to na jej tańcu, bo była wiecznie zmęczona, ale londyńska widownia tak słabo znała się na sztuce, że nie dostrzegła różnicy. Czuła się coraz bardziej wyizolowana. Niewielu członków grupy znało angielski, więc reszta trzymała się coraz mocniej zjednoczona wspólnotą językową, tak że w trzecim tygodniu sezonu większość zespołu poza wyjazdami na próby do okropnej sali w Bloomsbury i na wieczorne przedstawienie do Covent Garden, rzadko wychodziła poza gmach Savoyu.

Kolia

436

W tym zamkniętym kręgu na nikim nie zrobiła szczególnego wrażenia wiadomość o zastrzeleniu w Sarajewie austriackiego następcy tronu, arcyksięcia Ferdynanda. Nie zwrócili uwagi na kilka ponurych twarzy na widowni czy mniejszy aplauz publiczności wieczorem, zaś Lew, który uważał się za intelektualistę w tym gronie, oświadczył, że opinia wydrukowana w „The Times”, jakoby zamach wstrząsnął sumieniem świata, jest typowym złudzeniem brytyjskiego militarysty.

Lidia się zdziwiła na widok żółtej koperty z telegramem, leżącej na tacy ze śniadaniem. Wysłał go Orłów; został wezwany do Petersburga, ale ma nadzieję jak najszybciej wyrwać się do Monte Carlo i prosi, by nie zmieniała swych planów. Ledwo zdołała go przeczytać, a już Celinę odebrała telefon.

- Módl się, żeby to był załedwie fałszywy alarm, o którym szybko zapomnimy. - Na linii tak bardzo szumiało, że z trudem rozumiała jego słowa. - Bałkany to gniazdo os, które teraz zostało rozcięte na pół. Mam nadzieję, że wszystko się uspokoi. Dobrze się czujesz, moja kochana?

- Tak, ale ten klimat mi nie odpowiada. I jak przepowiadałeś, odnieśliśmy wielki sukces.

- Niech cię Bóg ma w swej opiece - odpowiedział tylko i mimo szmerów na linii usłyszała w jego głosie nutkę obawy.

Po raz ostatni w Anglii tradycyjnie już występowali prywatnie na cześć królowej-wdowy, Aleksandry. Ich angielska protektorka, markiza Ripon, na tę okoliczność stworzyła piękny, małe teatr w sali balowej Coombe House, zaprojektowany w ulubionej przez Baksta zieleni i głębokim odcieniu błękitu - *bleu Bakst* należał do najmodniejszych kolorów w całej Europie.

Gwladys Ripon stwarzała wokół siebie klimat spokoju. Bardzo lojalna i szczodra, z osób znajdujących się w jej kręgu wydobywała zawsze to, co najlepsze. Nawet Diagilew, choć wiedział, że parę tygodni wcześniej równie gościnnie przyjęła Niżyńskiego z żoną, nie potrafił czynić jej wyrzutów, gdy znalazł się w tej harmonijnej aurze. Balet, tym razem *Sylfidy*, w których Lidia i Tati partnerowały Miasinowi, odbył się na początku wieczoru, ale obie kobiety ubłagano, by jeszcze pozostały w romantycznych kostiumach, aby goście mogli się upajać widokiem białych postaci niby duchy przemykających między francuskimi kłom-

437 *Cetta Brayfield*

bami w ogrodzie. Wokoło zapadała czerwcową, angielska noc, jak marzenie senne, zanim rozproszy je powiew gwałtownego, zimnego wiatru zwiastującego burzę. Parę dni wcześniej widzieli najgorsze oberwanie chmury w historii miasta - w ciągu trzech godzin spadło dwanaście centymetrów deszczu i zginęło wielu ludzi.

W ciszy wieczoru czaiło się ostrzeżenie, jakby wkrótce miał się zacząć następny akt apokalipsy. Przez białe balustrady werandy płynęło miękkie, rozproszone światło słońca przebijającego się przez napływające chmury. Liście na wierzbach w głębi ogrodu lśniły srebrzyście sprawiając wrażenie, że księżyc już wzeszedł.

- Nie tęsknisz za domem? - zapytała Tati patrząc ze smutkiem w oczach na śliczny widok. - Nie mogę się doczekać powrotu. Gdy widzę coś tak pięknego i jestem z dala od miejsc, gdzie chciałabym być, wydaje mi się to bezwzględny żartem, jakby złośliwy diabeł wyczarował to tylko po to, abym poczuła się nieszczęśliwa.

Lidia zmarszczyła brwi, nie miała ochoty na wysłuchiwanie przez pół godziny ponurych głupstw przyjaciółki.

Bardzo ją nudziły sentymentalne nastroje Tati.

- Chodź, pokaż mi swój portret - zażądała ujmując ją za rękę i podciągając do góry z ławki. - Widziałam te wspaniałe szkice węglem, a teraz chcę zobaczyć ostateczny rezultat.

Pięć lat wcześniej lady Ripon zleciła Johnowi Singerowi Sargentowi namalowanie Karsawiny; ten obraz wisiał razem z portretem Niżyńskiego pędzla tego samego artysty w gabinecie markizy, zaś artysta nadal zostając pod wrażeniem piękności baleriny zjawiał się co roku, by szkicować ją podczas prób.

Płótno tylko na chwilę rozproszyło jej obawy, wkrótce Tati powróciła do poprzedniego tematu.

- Normalnie bym się ucieszyła, że zostaję w Londynie dłużej, ale w tym roku czuję, że jest inaczej...

- Jutro będziesz już w drodze do Petersburga - zapewniła ją Lidia. - A ja będę w drodze do Monte Carlo, do mojego kochanego Miki. Moim zdaniem dom jest tam, gdzie człowieka ciągnie serce. - Kłamiąc mówiła z nadmiernym naciskiem. Postanowiła bowiem zatrzymać się w Paryżu wystarczająco długo, by odwiedzić *madame* Arbeau i ostatecznie się pozbyć nie chcianej ciąży.

Jej przepowiednie się nie spełniły. Następnego dnia za

Kolia

437

Celinę niosącą tacę ze śniadaniem do pokoju wpadła Tati z włosom rozwianym jak u szaleńca, a w jej oczach lśnił gniew.

- Bezczelność tego człowieka nie ma granic! Nigdy więcej nie będę dla niego pracowała, przenigdy! Wiem, że ciągle to powtarzam, ale tym razem dotrzymam słowa! Potrafisz w to uwierzyć? - Podsunęła kartkę pod oczy zaspanej Lidii. - Dobrze się przyjrzyj, to jest list, a Siergiej Pawłowicz nigdy nie pisze, rarytas dla kolekcjonerów. Wyobraź sobie, że on mi jest winien za dwa lata pracy! Dwa lata! Wiedziałam, że to podejrzan, kiedy jeden z ludzi finansujących jego pomysły przyszedł do mojej garderoby i dał mi dwa tysiące funtów. Natychmiast wpłaciłam je na konto. A teraz Diagilew chce pożyczyć 400 z tej sumy i błaga, żebym została jeszcze jeden dzień w Londynie i poszła z nim do banku! A wie, że umieram z tęsknoty za domem. Jaka ja jestem głupia, dlaczego mu uwierzyłam, że mi wszystko zapłaci?

- Nie jesteś głupia, tylko uczciwa i nie potrafisz zrozumieć, jak działa umysł oszusta. - Lidia oparła się wygodnie o poduszki ułożone za jej plecami przez pokojówkę i odesłała tacę ze śniadaniem. Sam zapach kawy wywołał u niej mdłości.

- To nie oszust, tylko geniusz, wierzę w to z całej duszy. Szkoda tylko, że nie przywiązuje wagi do kontraktów, chociaż w czasie ich negocjowania jest twardy jak skała. Celinę, poczekaj, nie zabieraj tacy... - Zobaczyła, że obok tostów leżała taka sama koperta, w jakiej przyszedł jej list od impresario. Podała ją Lidii i patrzyła z uwagą, gdy ta czytała wiadomość.

- Och, mój Boże. To wszystko przeze mnie. Jest mi winien 400 funtów i przyrzeka jutro odać. Zabrać jednej, aby wypłacić drugiej... Typowe. Powiem mu, że się rozliczymy w Petersburgu, to będziemy się mogły stąd wyrwać.

- W żadnym razie - nieoczekiwanie zaprotestowała Tati. - Przez te lata przyzwyczałam się do obyczajów Siergieja Pawłowicza, ale to nie powód, żebyś ty się miała do niego dostosowywać. Czuję się za to odpowiedzialna, przecież to w końcu ja cię na to namówiłam. Nie chcę słyszeć żadnych protestów, masz dostać całą gażę. Jeśli już muszę tkwić w tym przeklętym miejscu, to przynajmniej w miłym towarzystwie. Zmusimy go, żeby nam kupił butelkę najlepszego szampana w Londynie. O popatrz, przynieśli ci do kawy tę wspaniałą śmietankę. Mogę sobie nalać, skoro ty nie pijesz? Moja już pewnie całkiem wystygła. Na pewno nie jesteś głodna? I jajka

Celia Brayfield

na bekonie, cudownie je tutaj, w Anglii, robią... Jak to **bosko** jeść wszystko, czego tylko dusza zapagnie, bo przez następne dwa miesiące będziemy leniuchować.

Później przez wiele lat na widok srebrnego dzbanuszka ze śmietanką każda z nich zawsze wspominała ten poranek, ostatnie chwile szczęśliwej, beztroskiej egzystencji. Za jeden dzień opóźnienia spowodowany nieroztropnością impresaria miały zapłacić niewyobrażalnie wysoką cenę.

Wieczorem przyszedł telegram od Orłowa: *Wracaj natychmiast do domu jak najszybciej. Najgorsze obawy spełnione. Muszę cię zobaczyć. Miki.* Zaczęła się wahać. Już wcześniej spędziły straszną godzinę oczekując, aż recepcjonista z wielkim trudem zmieni dla nich rezerwacje i wreszcie zdołał załatwić dla Tati jedynie bilet drugiej klasy na część podróży do St Petersburga.

- Tati mi mówiła, że chcesz się zatrzymać w Paryżu, nie rób tego, Lidio Aleksandrowna - powiedział Diagilew z grobowym wyrazem twarzy, zajrzawszy do jej apartamentu przed kolacją. - Doszły mnie słuchy z Petersburga, że jutro zostanie wydany rozkaz powszechnej mobilizacji. Ambasada doradzi wszystkim Rosjanom jak najszybszy powrót do kraju. Wszędzie zapanuje szalony tłok, więc jedź teraz, błagam.

- Ale nie rozumiem, dlaczego? - Nadal się opierała, marząc o rozkoszach życia na Riwierze. Nie potrzebowała tak bardzo usług *madame* Arbeau, skoro Finka w domu równie skutecznie potrafi ją uwolnić od kłopotu.

- Będzie wojna - pokiwał głową unosząc w górę brwi, jakby ucząc dziecko prostego zwrotu. - Rosja wypowie wojnę Niemcom i przy odrobinie szczęścia przyłączą się nasi alianci: Francja i Anglia. Nie martw się, bo w takim razie wszystko się skończy przed Bożym Narodzeniem. Ale nie możesz utknąć w nieodpowiednim kraju, bo zostaniesz internowana lub nawet spotka cię coś gorszego. Dziś w całym Londynie motłoch atakował każdego, kto ich zdaniem wyglądał na podejrzanego cudzoziemca. Musimy natychmiast wyjechać.

- Ale nie ma już miejsc. Tati musiała na połowę drogi wykupić drugą klasę.

- Moja droga, co wolisz - jechać drugą klasą, czy spędzić sześć miesięcy w więziennej celi razem ze szczurami, dziękując Bogu, że cię nie zlinczowano na ulicy?

Kolia

439

Widziała, że nie żartuje i westchnęła rozzłoszczona.

- Dobrze, w takim razie zmienię plany.

- Oto twoje bilety - wyciągnął je z kieszeni schludnie opakowane w papier z firmowym nadrukiem Thomasa Cooka.

- Pozwoliłem sobie dokonać nowych rezerwacji, gdy tylko usłyszałem wiadomość. Wyjedziecie razem o szóstej rano. Niech Bóg ma was w swojej opiece. A teraz chodźmy na dół zjeść naszą ostatnią, wspólną kolację.

- Nie jedziesz z nami?

- Niestety nie, jutro odpływam do Nowego Jorku. Amerykanie co roku błagali mnie, żebym im przywiózł Balety Rosyjskie i moim zdaniem nadszedł właściwy moment, żeby spełnić ich prośbę. - Wyciągnął dłoń, ona uścisnęła ją wdzięcznym ruchem, czując jednak tylko niechęć i nieufność. - Tak się cieszę na Amerykę. Zupełnie nie mają baletu ani żadnej innej sztuki. Możesz sobie wyobrazić, jak wpłyną na nich nasi tancerze, kompozytorzy, artyści? To będzie niezwykle doświadczenie, człowiek staje wobec niego tylko raz w życiu. Jakie to podniecające występować przed ludźmi, którzy absolutnie nie wiedzą, czego oczekiwać. Stanać na scenie i całkowicie zdobyć ich serca, ale nie dzięki starej, wypróbowanej tradycji. O nie! Żywe, świeże uczucia - to im damy! Słyszałem, że nawet dzikusy w brazylijskiej puszczy reagują na muzykę Mozarta puszczaną z fonografu...

Kiedy usiedli do kolacji, nadal malował przed ich oczami podobne wizje, a Lidia poczekała, aż przerwie, by zaczerpnąć oddechu, i rzuciła od niechcienia:

- Jak się ucieszy mój Miki patrząc, jak wprowadzają w życie jego plan mobilizacji. Tati, pamiętasz, jaki był dumny, gdy Jego Carska Mość odznaczył go orderem Św. Gabriela za tę pracę?

Diagilew patrzył z otwartymi ustami. Chciała mu w ten sposób przypomnieć, że chociaż zgodziła się wracać drugą klasą, to nadal jest jedną z najbardziej wływowych kobiet w Rosji.

Pociąg włókł się wolno do Berlina i zatrzymywał na każdej stacji, gdzie wsiadało coraz więcej Rosjan ogarniętych paniką, rozeszły się bowiem tajemnicze pogłoski, którym całkowicie ufali ignorując oficjalne obwieszczenia i dlatego z desperacji, przerażeni postanowili wracać do ojczyzny bez względu na czające się niebezpieczeństwa czy niewygody. Późnym popołudniem, kiedy znaleźli się parę kilometrów od granicy, z ust do

Celia Brayfield

ust przekazywano sobie wiadomość, że niemiecki Kajzer wypowiedział wojnę swemu kuzynowi, carowi.

Jakby na potwierdzenie tych słów po kilku minutach pociąg się nagle zatrzymał i równoległe do wagonów ustawił się oddział niemieckich żołnierzy. Pasażerom pozwolono opuścić duszne, zatłoczone przedziały i ruszyć wzdłuż torów, gdy tymczasem sierżant spierał się z załogą pociągu.

Rosja znajdowała się o parę kroków. Za każdym razem, gdy Lidia mijiała to miejsce, patrzyła z obrzydzeniem na rozlatujące się drewniane chałupy, chude kury i pochylone kopki siana znajdujące się na terenie jej kraju, wołała bowiem porządne, murowane domy w Niemczech w otoczeniu schludnych grządek warzywnych i stadek tłustych gęsi.

W normalnych czasach gardziła rosyjskimi tragarzami, którzy wytaczali się na powitanie każdego pasażera wołając: „Witamy w domu!” Nie robili tego z dobrego serca, lecz oczekując sutego napiwku. Naczelnik odprawy celnej, wielbiciel baletu, kiedyś ją rozpoznał i wybiegł z biura nakazując, by delikatnie obchodzono się z jej bagażami.

Orłów widząc to uśmiechnął się z zadowoleniem: „Dzięki swojej twarzy osiągasz więcej, niż kiedykolwiek zdołałyby uzyskać moje tytuły”, wyszeptał jej do ucha, gdy szli za karawaną kufrów do nowego przedziału.

Teraz Rosja była ciemna i cicha. Niemiecki sierżant polecił im wszystkim wrócić do pociągu i gdy zmęczeni zajmowali miejsca, usłyszała, jak jeden mężczyzna opowiada drugiemu, że już padły pierwsze strzały.

Było nadal widno, gdy dojechali do Berlina. Baleriny idąc ze stacji po Unter den Linden - a pomięte obwieszczenia szeleściły pod ich stopami niczym jesienne liście - otulały się jedwabnymi płaszczami i w ich fałdach próbowały ukryć nesesery z klejnotami, skrepowane, bo zdawały sobie sprawę, że zwracają uwagę eleganckim strojem. Za nimi wolno ciągnęły przerażone pokojówki. Lidia poczuła, jak haleczka przylepia się jej do ud bynajmniej nie z samego tylko przepocenia. W dole brzucha pojawił się lekki, kłujący ból i przekonana, że wreszcie zaczęła krwawić, ruszyła rażno do przodu zapominając o zmęczeniu.

Gmach rosyjskiej ambasady, cichy, z zamkniętymi okiennicami przypominał dom, w którym ktoś niedawno umarł. Pamiętała, że rok wcześniej, kiedy przyszła tu na bal wydany na cześć Kajzera, budynek tętnił gwarem i jarzył się od

Kolia

441

świąteł. Teraz w hallu dwóch zdecydowanych urzędników blokowało drogę tłumowi ludzi, którzy wymachiwali kartkami papieru i wykrzykiwali swe żądania w kierunku pustych pomieszczeń.

- Nie mogę pani pomóc, *mademoiselle*. Pociąg ambasady jest całkowicie wypełniony. Proszę spojrzeć, oto lista pasażerów. Nie udało się nam zmieścić wszystkich pracowników, a co dopiero mówić o osobach, które przysły prosto z ulicy...

- Jak śmiesz tak mnie traktować? Wiesz, kim ja jestem?

- Lidia wpadła w pasję. Wykrzyczała swoje nazwisko, Orłowa oraz każdego księcia czy księżnej, których spotykała w Monte Carlo. Tyrada natychmiast odniosła pożądany skutek. W drzwiach na samym końcu korytarza ktoś przekreślił klucz i pojawił się w nich urzędnik, zapraszając ją i Karsawinę do gabinetu ambasadora. Służące podreptały za nimi.

Ambasador pospiesznie wciągał surdut. W pokoju panował nieopisany bałagan, wszędzie stały pudła wypełnione papierami, a kanceliści gorączkowo sporządzali nalepki i listy przewozowe.

- Z całej duszy żałuję, że nie mogę zaoferować dwóm tak uznanym artystkom pomocy w wyjeździe z Niemiec, ale władze mnie przestrzegły, iż każda z osób podróżujących pociągiem ambasady, a nie posiadająca paszportu konsularnego, zostanie potraktowana jak szpieg. - Rozpostarł dramatycznym gestem palce o wymanikiurowanych paznokciach pytając bez słów, cóż on może począć w takiej sytuacji.

- Mogę jedynie przekazać panie pod opiekę państwa neutralnego. Jego ekscelencja ambasador Hiszpanii jest naszym drogim przyjacielem tu, w Berlinie, i możecie mu całkowicie zaufać.

Skinął na sekretarza, by podał mu papier i pióro, szybko napisał i zakleił list.. Odetchnęły słysząc, jak wzywa dla nich samochód z szoferem.

Gmach ambasady hiszpańskiej był również zamknięty, ale najwidoczniej ambasador słynął wśród kolegów z dobroci, bo cały obszerny budynek wręcz pękał w szwach od Anglików, Francuzów, Amerykanów i Rosjan, których przeprowadzali z pokoju do pokoju młodzi, ciemnowłosi mężczyźni patrząc po sobie niepewnie. Zachowano porządek, choć w powietrzu wyczuwało się napięcie. Gdy pokazały list, natychmiast zaprowadzono je do gabinetu ambasadora; Lidia ze straszliwym zażenowaniem stwierdziła, że krwawi bardzo obficie. Na jej

Celia Brayfield

pończochach widniały czerwone ślady, a w butach zebrało się tyle krwi, że chlupotało w nich przy każdym kroku. Ambasador zaprosił je na noc do własnej rezydencji, zaś rano Lidię chwyciły potworne bóle. Wezwano hiszpańskiego lekarza, który dowiedziawszy się, co jej dolega, popatrzył na nią ze wzgardą i dał jej tabletki, których nie połknęła. Tati, przed którą nie mogła dłużej ukrywać prawdy, kręciła się wokół niej niczym przejęty anioł stróż. - Co my zrobimy? Co my zrobimy? - powtarzała ciągle jedno pytanie rzucane w przestrzeń. Przez całe życie to wszyscy jej próbowali pomóc. Lidia dostała gorączki. Straciła dużo krwi, leżała bardzo blada i bez ruchu. O tym, co dalej się wydarzyło, wiedziała ze wspomnień Celinę, sama przez większość czasu była nieprzytomna. Zdawało się jej, że unosi się na powierzchni, a gdzieś we mgle, daleko, ludzie się martwią i przejmują. Ból ciągle pulsował w dole brzucha. Głowa zrobiła się tak ciężka, że nie mogła jej podnieść. Dręczyło ją pragnienie, ale zwracała każdą kroplę wody. Przez pewien czas nie widziała twarzy, tylko słyszała głosy mówiące, że wyjeżdża, ale nie wiedziała, gdzie jest i gdzie ma pojechać.

Gdy zupełnie poddała się chorobie, ambasador zwrócił się do żony i we trójkę, z Karsawiną, odbyli długą, trudną rozmowę. Ambasada nie mogła ich dłużej chronić, bo ryzykowała w ten sposób własną pozycję. Paryż właśnie wypowiedział wojnę Niemcom, francuska granica została zamknięta i lada chwila mogła się przerodzić w pole walki. Balerina mogła dostać przepustkę do Holandii i stamtąd przepłynąwszy do Anglii przedrzeć się do St Petersburga, ale Lidia w obecnym stanie nie nadawała się do wzięcia udziału w długiej, niepewnej i niebezpiecznej podróży, a z takim obciążeniem i Tati może gdzieś utknąć po drodze.

Nieoczekiwanie pojawiło się idealne rozwiązanie. Przyjechał konsul Monaco, który nie mogąc dłużej przebywać pod dachem ambasady francuskiej, postanowił otworzyć tymczasowe biuro na życzliwym skrawku ziemi hiszpańskiej. Tati widząc jego samochód i bagaże z herbem państwa, zaproponowała, by Lidia pod opieką służącej pojechała do willi znajdującej się na terenie tego kraju i ruszyła na północ, gdy wróci do zdrowia.

Jeszcze tego samego dnia Kuzmińskaja otrzymała tymczasowy paszport Monaco. Tati pojechała z nią samochodem

Kolia

443

ambasady do Hamburga i upewniła się, że jest bezpieczna na szwedzkim statku płynącym do Marsylii. Lidia na morzu poczuła się lepiej i nawet zaczęła przyjmować płynne pokarmy, ale pod koniec tygodniowej podróży nadal gorączkowała i nie miała dość sił, by mówić. Przyjechał po nią szofer z willi Cassandra. Parę tygodni później, gdy w pełni odzyskała świadomość, zobaczyła nad sobą rumianą twarz i oczy wpatrzone w nią z uwagą.

- Nareszcie - usłyszała głos mówiący po francusku z silnym południowym akcentem. - Wróciła pani do nas. Była pani bardzo chora. Przeszła pani zapalenie płuc. Ale nasze modlitwy zostały wysłuchane. I proszę się nie martwić o pani dziecko, *madame*. Wszystko jest w porządku.



Leningrad, 1988

Kiedy Lovat usłyszał, że Michaił Gorbaczow stanął na czele Związku Radzieckiego, postanowił zadzwonić do Koli Kuźmińskiego i umówić się na pogawędkę.

- Wpadnij lepiej wieczorem - staruszek zaśmiał się chrapliwie. - Wtedy jestem w lepszej formie.

W sklepie na dziedzińcu przy *me* Jacob rządził teraz Etienne Sokołów sprzedając papeterie, wykwinny papier, wieczne pióra Mont Blanc oraz воск do pieczęci w tuzinie ostrych kolorów. Kuźmiński pracował w domu.

Lovat usłyszawszy brzęczyk pchnął skrzydło bramy, brama prowadząca do domu otworzyła się automatycznie. Zza uchylonych drzwi do salonu dobiegł głos Kuźmińskiego:

- Wejdz, proszę. - Gospodarz siedział za biurkiem na obrotowym krześle. Skulił się pod wpływem wieku i chorób; był drobnym mężczyzną, zaś emanująca z niego kiedyś aura dobrobytu ustąpiła miejsca szarawej otyłości. Oczy ginęły pod opuchniętymi powiekami. Miał na sobie luźną marynarkę z ciemnobłękitnego brokatu, nogi okrył kaszmirowym pledem.

- Pijesz szampana. - Zabrzmiało to pośrednio między pytaniem i poleceniem. Wyjął butelkę z głębokiego mosiężnego wiaderka do lodu znajdującego się na bocznym stoliku, wytarł ją czule serwetką i odwinął sreberko. Nalewanie wyczerpało go i gdy podawał kieliszek Lovatowi, zakołysał się, i parę kropli skapnęło na podłogę. - Wybacz, proszę. W zeszłym roku oddałem jedną nogę papierosom. *Uarteriosclerose*. Trudna sprawa. - Poklepał lewe udo i rozległ się martwy, mataliczny dźwięk. Lovat niemal automatycznie popatrzył na jego stopy. Para czarnych, aksamitnych kapci wyszywanych w gwiazdy spoczywała na dywanie, jedna stopa była trochę inna, ale czarne, jedwabne skarpetki maskowały różnicę.

Kolia

445

- Przykro mi. - Zaledwie pięć lat, a jak straszliwie ten człowiek się zmienił!
- Mnie również. *Na zdrowiel Cheers!* - Stuknęli się kieliszkami i wypili po łyku, patrząc potem na unoszące się od dna bąbelki. - Czekałem na ciebie. Twoja żona...
- Rozwiedliśmy się.
- Oczywiście, pamiętam. Przyszła, pytała, czy tu byłeś, powiedziałem, że nie, na to ona, że dobrze. Ale przyjdiesz. Kiedyś przyjdiesz. A potem... ty zadzwoniłeś. - Wyglądał na serdecznie rozbawionego. W umyśle Lovata zakiełkowały podejrzenia. Czy Kuźmiński zachowywał się lojalnie wobec Bianki, ponieważ była wnuczką Charlotte? Czy w takim razie źle mu poradzi lub skieruje na fałszywy trop? - Też szukasz rosyjskich obrazów z początków dwudziestego wieku, kon-struktywistów, Grupy Niebieskiego Rajonizmu: Popowej, Łarionowa, Gonczarowej?
- Tak.
- Dekoracji teatralnych, baletowych...
- Nie, moi kupcy takimi rzeczami mniej się interesują.
- Stroje? Popowa projektowała w fabryce po rewolucji. Plakaty, sztuka użytkowa, rysunki architektów?
- Odzież raczej nie. - Bianka na pewno kupi wszystko z tej listy. Lubiła tkaniny i musiał przyznać, że wykazała się dobrym węchem szukając rzeczy z pogranicza sztuki i codziennego użytku. Mógł jej zostawić ten teren, dla niego był za mały.
- Srebra, sztuka użytkowa, biżuteria, bibeloty?
- Może.
- Może? - Kola teatralnym gestem opuścił głowę i uniósł brwi. - Bardzo dużo dobrego towaru.
- Przywożą nowe rzeczy?
- Cały czas. - Niepewnie pochylił się do przodu i z papierowego opakowania wyjął srebrny kandelabr, ukazując znak firmowy na spodzie. - Ten wczoraj kupiłem, prosto z Kijowa. Popatrz na znak, tutaj. W Związku Radzieckim co dzień jakiś robotnik rozwała mur, a w środku - srebro, złoto, brylanty, porcelana, monety, akcje, banknoty, które rodzina schowała przed bolszewikami. Nawet mój ojciec... widziałem, jak to robił. Mówiłem ci dawniej, w naszym domu. - Machnął zdenerwowany ręką, jakby odpychał nieprzyjemne wspomnienie. - Więc co? Jak robotnik odda wszystko rządowi radzieckiemu, to nic nie dostanie. A na czarnym rynku ma dolary, funty, twardą walutę.

Celta Brayfield

Lovat z niezwykłą dokładnością przypomniał sobie nagle ten ostatni weekend, który spędził pod tym samym dachem co Bianka. Dokładnie obejrzał srebrny kandelabr. Takimi właśnie przedmiotami interesował się najbardziej.

Wiedział dobrze, że nie powinien pytać, kto go sprzedał.

- Sądziłem, że wywóz stamtąd jest nielegalny.

- Tak! W ZSRR wszystko jest nielegalne. Proste. Masz trzy źródła. - Wystawił trzy palce prawej dłoni. - Oficjalne rozmowy. Teraz słabe, ale w przyszłym roku i to będzie. Radzę, zacznij teraz, zajmie to dużo czasu, ale będziesz pierwszy. Dwa: rzeczy, które już są tutaj, na Zachodzie. Znasz już parę miejsc, podam ci nazwiska. Trzy: czarny rynek. Wszystko zabronione, każdy oszukuje. Moja rada: przyjedź tu, do Francji, bo tu nikt nie zadaje pytań. W Anglii jest inne prawo i zawsze kłopoty. - Dopelniał kieliszki.

Lovat wyjaśnił, że ma amerykańskich kupców poszukujących konkretnych przedmiotów i dlatego bez trudu sprzeda przedmioty nielegalnego pochodzenia, ale na planowaną wystawę w Londynie musi mieć eksponaty czyste jak łąza. Kuźmiński zadowolony, że zrobi z nim interes, popchnął w jego kierunku zniszczony notes i podyktował adresy.

- Zawarłem umowę z panną Berrisford - wyjaśnił. - Ona dostaje Moskwę, ty Leningrad. Zgoda?

Lovat próbował ukryć złość, a starzec poklepał go po ręce, jakby razem spiskowali.

- Leningrad to bardziej otwarte miasto, łatwiej wywieźć różne rzeczy. Moskwa ma lepsze kostiumy, tkaniny, secesję - jest lepsza dla kobiety. W Leningradzie są ciekawsze obrazy. Wierz mi, Moskwa jest trudniejsza.

Kiedy po godzinie siedział w kawiarni przy Boulevard St Germain, opanował go niepokój i melancholia. Czuł instynktownie, że nie powinien ufać Kuźmińskiemu. Drażniła go perspektywa wpadania na każdym kroku na byłą żonę i był zły na siebie, ponieważ dał się wyprzedzić w wyścigu do starca.

Patrząc na strumień ludzi przepływający ulicą, zwrócił uwagę na kobietę ubraną w skromny zestaw: szara spódnica, biała bluzka i rozpinany sweter, zaś jasnobrązowe włosy spięte luźno z tyłu odsłaniały wąską twarz. Szła energicznym krokiem, a jej pełne piersi falowały przy każdym ruchu, co go podnieciło. Ścigał ją spojrzeniem, próbując zanalizować, na czym polega jej elegancja, i parę minut później spostrzegł, że usiadła przy stoliku za nim.

Kolia

447

Zapomniał, że to Paryż, a raczej nigdy wcześniej nie odważył się włączyć w obcesyjnie w tym mieście zainteresowanie przygodą erotyczną. Kobieta pochyliła się ku niemu i zapytała, czy ma papierosy. Czując się głupio odparł, że nie pali. Okazało się, że i ona nie pali, ale w tak miły wieczór ma ochotę na lampkę wina. Niestety była sama, bo jej chłopak wyjechał z miasta. Skrzyżowała ręce na piersiach przyciskając je mocno i uniósłszy dłoń, czubkiem palca bawiła się satynowym ramiączkiem halki, wychylającym się z dekoltu. Kiedy wychodziła od niego wczesnym rankiem, pogłaskała go po policzku i zamruczała do ucha, nazywając go dziką bestią. W ciągu ostatnich dziesięciu lat było to najbardziej czułe, szczere wyznanie uczuć, jakie usłyszał od kobiety.

Pogodniej spoglądał na świat i w konsekwencji postanowił zaufać Kuźmińskiemu. Nie miało sensu staczanie ostrych bojów z Bianką o rosyjskie obrazy, które już się znalazły na Zachodzie, skoro udana aukcja u Berrisfordów wywołała większe zainteresowanie i pchnie ceny do góry. Gdyby jako pierwszy zorganizował dużą wystawę, mogłaby przejść nie zauważona. Niech Bianka sobie jedzie do Moskwy z ministrem, przemęczy się na oficjalnych przyjęciach, i tak nic na tym nie wygra. Na razie wysłał do nich pośrednika z dwoma obrazami przypisywanymi Lubow Popowej i z trzecim, bez wątplenia fałszywym, bo podejrzenie starannie odrestaurowanym i podpisanym z przodu, wbrew zwyczajom artystki.

Osiemnaście miesięcy później pojechał do Leningradu, jak przez mgłę pamiętał swą pierwszą studencką wyprawę, gdy jego prymitywni koledzy zostawili go, by samotnie błąkał się po Ermitażu, mijając kolejne sale wypełnione porcelaną z Miśni i Sevres, aż zmęczony usiadł na schodach pod gigantycznym płótnem Picassa.

Tym razem w towarzystwie innych ludzi interesu działających na polu kultury, reżysera filmowego, organizatora koncertów i dwojga aktorów, został oprowadzony po najważniejszych, klasycystycznych zabytkach miasta, po czym tłumaczka miała pokazać mu miejsca, które go szczególnie interesowały. Była niską, krzepką kobietą, mówiła niemal bez przerwy od chwili spotkania w zatłoczonym hallu hotelowym. Pod grubą warstwą makijażu, stosowaną przez Rosjanki, kryła się biała, skandynawska cera, dość świeża, choć kobieta nie była pierwszej młodości. Gęste jasne włosy związała w koński ogon sięgający aż do pasa.

Cetta Brayfield

W czasie tych spotkań Ania i dwoje rosyjskich współpracowników poświęcało co najmniej drugie tyle czasu na badanie zasięgu własnych wpływów, co Lovat na kupowanie obrazów. W ciągu trzech dni działał bardzo niewiele. W żywo prowadzonych rozmowach pojawiały się pytania sprawdzające jego uczciwość. Lovat zdając sobie sprawę, że znajduje się w kraju, gdzie wszyscy biorą łapówki, a problem leży jedynie w rodzaju waluty, ucieszył się, gdy Ania rozpoczęła wstępne negocjacje.

- Lubisz kawior? - zapytała, gdy czekali na lunch w przepastnej restauracji hotelowej. W powietrzu wisiał zapach jakiejś bliżej nie określonej zupy.

- Nie.

- Rosyjski jest najlepszy na świecie. Próbowaleś? - Z czerwonej torebki wyciągnęła paczkę Benson & Hedges i wyjęła papierosa.

- Tak, ale mi nie smakował.

- Kawior jest bardzo zdrowy. W dzieciństwie matka codziennie robiła mi z nim kanapkę. Dobry przy odchudzaniu, mało kalorii. Twoja żona lubi kawior? - Wsunęła papierosa między uśmiechnięte wargi i czekała, aż jej poda ogień. Śmieszył, a jednocześnie wzruszał ją mężczyzna, który nie palił, ale nosił przy sobie zapalniczkę na wypadek, gdyby kobieta chciała ognia.

- Nie.

- W kawiorze są rzadkie witaminy, E, K. Ma się większą ochotę na seks. Twoja dziewczyna lubi kawior?

- Nie mam dziewczyny.

- Polubisz kawior, to i znajdziesz dziewczynę. - Kiedy się śmiała, jej piersi aż podskakiwały pod piaskowym golfem.

- Po co kupować kawior, skoro to nielegalne. Wywożąc trzeba pokazać paragon z państwowego sklepu na lotnisku.

- Pokażę ci, jak zapakować, żeby nikt nie znalazł. Ile chcesz?

- Jedną puszkę.

Prychnęła, jakby powiedział coś wyjątkowo głupiego.

- Im więcej kupisz, tym mniej zapłacisz za jedną. Tylko pomyśl, jak zrobisz wystawę w swojej galerii, na przyjęciu podasz prawdziwy rosyjski kawior, wszyscy będą zachwyceni, pod wrażeniem, bardzo dobrze. Piętnaście puszek.

- Dwie.

W końcu przystał na dziesięć, zamieniła parę słów z kel-

Kolia

450

nerem, który przyniósł je z kuchni przykryte serwetką. Gdy wychodzili, Ania kręcąc biodrami poszła w tamtą stronę i wróciła z plastikową torebką, w której dostrzegł kostki masła.

Następnym razem sprawdziła jego zainteresowanie przedmiotami pochodzącymi z czarnego rynku. Zupełnie nie знаła się na sztuce i nic jej nie mówiły wymieniane przez niego nazwiska malarzy. Na początek przedstawiła mu handlarza ikonami, słynnego z dostarczania fałszywych dzieł.

- A ponieważ na Zachodzie już nikt nie kupuje ikon, więc mnie to nie interesuje. Szukam wyłącznie obrazów z początku dwudziestego wieku - oświadczył, a ona wreszcie poprosiła, by jej spisał nazwiska.

Okazując mu rosnące zaufanie, zaprowadziła go na spotkanie i zostawiła samego z pośrednikiem, który mówił po angielsku lepiej od niej. Zatem spokojnie wynegocjował kupno pięciu doskonałych płócien, nie dopytywał się, w jaki sposób zostaną wywiezione, i zapłacił za wszystko w dolarach.

Pod koniec dnia nastrój mu się znacznie poprawił. Ania zaproponowała wizytę u znajomego i wysiedli z taksówki w pobliżu mostu Bankowego. Sprawiała wrażenie, że nie zna dobrze drogi ani rozkładu starego domu, choć mieszkanie, którego szukali, znajdowało się na drugim piętrze nad bramą z długim balkonem wzdłuż czterech dużych okien.

Drzwi otworzył mężczyzna mniej więcej trzydziestopięcioletni, o żydowskich rysach, chudej twarzy i przerzedzonych, brązowych lokach.

- Nazywam się Mitrokin, Symeon, witam. - Przyjrzał się z ciekawością Lovatowi, podając mu wilgotną dłoń.

Mimo gasnącego światła jesiennego popołudnia i zasłon z grubego, bordowego aksamitu, w największym pokoju aż się jarzyło od złotego blasku grupy mosiężnych rzeźb, metalowych, emaliowanych czar, posrebrzanych nakryć stołowych, kielichów i ikon wysadzanych drogimi kamieniami, mosiężnych lamp wotywnych oraz wielkich obrazów w pozłacanych ramach, zakrywających ściany. W licznych przeszklonych gablotach wystawiono biżuterię i cenne bibeloty. W jednym znajdowały się tylko wyroby Fabergego, głównie duże przedmioty, ramki do fotografii pokryte pastelową emalią oraz rzeźby w szlachetnych kamieniach. Za stołem uginającym się pod wspaniałymi brązami, w niszy obok kominka, wyeksponowano marmurowe posagi, niektóre naturalnej wielkości.

Ania przez trzydzieści sekund rozglądała się po tym sezmie

451 *Celta Brayfield*

Ali Baby wielkimi oczami i z ustami otwartymi ze zdumienia, lecz przypomniał sobie, że powinna udawać osobę zaznajomioną z tym miejscem, zapytała szybko o obrazy z początku wieku. Kupiec pociągnął Lovata ku dłuższej ścianie pokoju szczelnie pokrytej płótnami i zaczął opowiadać o każdym z nich. Dwa portrety natychmiast rzuciły się w oczy - starsza kobieta w czerni z wesołym grymasem na twarzy, przytrzymująca na głowie kapelusz szarpany wiatrem, i młoda dziewczyna z wymownym uśmiechem stojąca w nocy przy balustradzie. Ten obraz charakteryzował się tak subtelną kolorystyką, że wydawał się wręcz monochromatyczny. Na tle satynowych ciemności rysowała się blada sylwetka; modelka do ciemnorudych włosów przypięła wielkie, kremowe róże, kilka innych leżało u jej stóp. Miała na sobie suknię z trenem z białego jedwabiu i koronek, wokół szyi błyszczał brylantowy naszyjnik. Jediną barwną plamę stanowiły usta, przypominające rozcięty owoc.

Gdy wyraził zainteresowanie, Mitrokin wyjaśnił, że to portret baleriny pochodzący ze słynnego baru artystów Pod Zabłąkanym Psem. Miał inne obrazy z tej kolekcji: poetki Achmatowej, innej tancerki, Karsawiny, szkice Łarionowa, karykatury Legata... Instynkt podpowiedział Lovatowi, by się zapytać o nazwisko kobiety na portrecie. Była to Lidia Kuzmińska.

- Jej syn jest pośrednikiem w Paryżu - Lovat spojrzał mężczyźnie w oczy.

- Kola. Widuję go czasem. Teraz bardzo choruje. - Szukał słowa po angielsku. - Lekarz uciął... - przeciągnął dłonią po kolanie, by zilustrować wypowiedź - ...mu nogę.

- Straszne. - W tym momencie rzeczywiście się porozumieli. Lovata ogarnęły podejrzenia, bo nazwisko Mitrokina nie znalazło się na liście spisanej przez Kole. Najwyraźniej miał dobre kontakty, interes na taką skalę nie przetrwałby bez stosownego poparcia, nie należał do przyjaciół Ani, ale może trafiła do niego przez kogoś innego, albo na tym polegała część konspiracji osłaniającej jego nielegalne przedsięwzięcia; Kola będzie znał odpowiedź.

Starszy mężczyzna przyniósł herbatę i cała trójka usiadła przy stole inkrustowanym różanym drewnem, na którym tłoczyło się wiele ciężkich, srebrnych kałamarzy. Lovat powoli oswajał się z pomieszczeniem i jego zawartością.

Wszystkie te rzeczy mogłyby się znaleźć w muzeum, każda była arcydziełem,

Kolia

451

a niektóre, zwłaszcza dziewiętnastowieczne, realistyczne studia życia chłopów, stanowiły również cenny dokument historyczny. Jako skarby kultury narodowej powinny zostać w tym kraju i Lovata zasmuciła gotowość Mitrokina, by je sprzedać, oraz cała nieporadna konspiracja, by go tutaj sprowadzić. Jeśli ten facet jest prawdziwy, nie podstawiony, to może na tych skarbach zrobić zabójczą fortunę! Nagle ta metafora zabrzmiała ironicznie. Zabójcza! No, owszem, cała ta sprawa to jedno wielkie bagno!

Postanowił zarysować szersze tło historyczne, o co sam kupiec nie zadbał, i opowiedzieć o własnym związku z Kuźmińskim. Może, jeśli ułszy historię o ucieczce małego chłopca z St Petersburga, to pośrednio zrozumie własną więź z narodowym dziedzictwem. Mitrokin szerzej otworzył oczy na opis klejnotów wszytych w ubrania dziecka oraz kolia - niewykluczone, że tej właśnie namalowanej na portrecie - zostawionej w mieście. Ania aż poskoczyła z wrażenia i jeszcze raz starannie przyjrzała się obrazowi.

- Może nadal tu jest. - Pośrednik mówił z powagą. - Dom się dobrze zachował. Teraz to Pałac Pionierów. Centrum radzieckich skautów. Szkoda, że pan nie wie, gdzie to schowali.

- Bardzo dokładnie opisał to miejsce.

- Poszukać czegoś takiego... oczywiście rzecz do załatwienia. - Tyle wystarczyło, nic już więcej nie musieli mówić.

Ania obchodziła pokój zachwycając się nie tkniętym przez rewolucję wnętrzem, gładziła różowe adamaszkowe tapety i bawiła się jedwabnym chwostem na końcu obszytego brokatem sznura. Taktownie wyszła za drzwi, ale Lovat nie chciał się posunąć dalej bez konsultacji z Kola.

Wtem na korytarzu rozległ się krzyk. Ania znalazła toaletę wyłożoną lśniąca, mahoniową boazerią, girlanda z secesyjnych różowych i czerwonych goździków oplatała miskę klozetową, umywalkę, krany i porcelanowe wieszaki oraz uchwyty. Do spłukiwania wody służył czerwony, jedwabny sznur. Ania załała się paśowym rumieńcem, bo jej wołanie sprowadziło do pomieszczenia mężczyzn.

Lovat zaprosił ją na kolację do hotelu, gdzie zaczęła z nim nieudolnie flirtować.

- Jesteś przystojnym mężczyzną, nie lubisz swojej żony... Tak, widzę wyraźnie, wiem... To dlaczego nie masz dziewczyny?

Mruknął coś na temat moralności, niepewny, co mówić,

Celta Brayfield

ani jaka jest właściwa odpowiedź na tak bezpośrednie pytanie. Isabel fatalnie wpływała na jego libido, ale obawiał się zniszczyć nawet te nędzne szczątki małżeństwa.

- A ty?

Czytał z jej twarzy - napięty, skępowany uśmiech, zwężone oczy, zaniepokojenie ukryte pod nagłym wybuchem wesołości.

- Chcesz wiedzieć, czy mam chłopaka?

- Chyba mogę zapytać?

- Nie!

- Ty pierwsza zaczęłaś ten temat.

- Gdybym miała kogoś, to czybym tu teraz z tobą jadła kolację?

Hotelowy bar w piwnicy nosił szumne miano dyskoteki. Przepchnęła się z nim na parkiet poprzez tłum Finów pijących tu na umór w weekendy i gdy tylko objął ją ramieniem, postanowił, że tej nocy będzie się z nią kochał. Wtem pomyślał o niechlujnym pokoju, szorstkich prześcieradłach na niewygodnym materacu, poduszce, na której spoczywały przed nim setki głów o przetłuszczonych włosach, i zmienił zdanie. Piękno miało dla niego ogromne znaczenie i tracił chęć do życia, gdy mu je odbierano.

Chociaż dłońmi z trudem dosięgała jego szyi, jakoś zdołała przyciągnąć w dół jego twarz tak, by móc go pocałować. Był to energiczny, sprawny pocałunek, od razu nabrał obiecującej wymowy, ale gdy go skończyli, odsunęła się i zdecydowanym ruchem poklepała go po marynarce. Może wyczuła jego przygnębienie lub zobaczyła rozczarowanie w jego oczach, bo powiedziała:

- Jutro wieczorem przyjdiesz do mnie, tak? Przyniesiesz kawior, coś ci ugotuję.

Kiedy już poszła, a on zmierzał korytarzem do pokoju, nagle ogarnęło go pożądanie i równie szybko fala obrzydzenia dla samego siebie. Była żalosaną, starzejącą się kobietą, sprzedającą się za parę nędznych drobiazgów ułatwiających życie, ale czy poczułby się lepiej, gdyby szukał u niej udawanej bliskości

1 pozorowanych namiętności?

Mieszkała na zachodnich obrzeżach miasta na najwyższym piętrze nowoczesnego, pięciopiętrowego bloku z widokiem na szare wody Zatoki Fińskiej. Wiatr grał na liniach wysokiego napięcia i czubki młodych drzew uderzały

w zieloną balustradę balkonu. Pokój wypełniał zapach smażonego masła. Popatrzył na usiłowania przyozdobienia pokoju tanim kosztem - plakaty

Kolia

453

teatralne, chiński wachlarz, zdjęcia Ani z nie znanymi mu osobistościami, sznurki koralu wiszące obok lustra. Kręciła się przy kuchni we wnęce, spłówiały fartuch osłaniał czerwoną, wełnianą sukienkę. Przyglądanie się gotującej kobiecie uspokajało go i pomyślał, że również pochlebiało. Od dawna już nikt dla niego gotował - specjalnie, z własnej woli i tylko po to, żeby mu zrobić przyjemność. Lovat stwierdził, że jest mu przyjemnie. Przesunęła się blisko niego szukając w pokoju zapalek, objął ją wpół i pociągnął na poręcz fotela. Zaczęli się całować i nigdy nie pragnął niczego tak bardzo, jak teraz dotknąć jej ciała. Sukienka i bielizna nie od kompletu szybko wylądowały na podłodze. Naga prezentowała się wspaniale, wyprostowana z królewską dumą, skórę miała bladą, matową niczym welur, wszystkie mięśnie krągłe, twarde. Myślał o pękających, dojrzałych pomidorach, nabrzmiąłych dyniach, otwieraniu owocu granatu, rozcinaniu melona.

Chichocząc i łając go położyła się na jego kolanach i podsunęła mu te części swego ciała, które chciał całować, ssać czy gnieść między palcami, by wypróbować ich jędrność. Gładziła jego włosy i stwierdziwszy, że ma erekcję, zsunęła się na podłogę, rozpięła dzinsy i wsunęła ptaszka między poduszki swych piersi. W jej oczach lśniło pożądanie, zwiniętym w ryjek językiem pieściła jego członek. Gwałtownie próbował się powstrzymać, nim będzie za późno, podciągnął ją ku górze i oboje opadli na podłogę; rozsunęła zapraszająco uda i wniknął w ich gorące wnętrze czując, że naprawdę bierze ją w posiadanie.

Spodziewał się, że po wszystkim spróbuje zapolować na grubą zwierzynę i ogarnął go smutek, gdy rzeczywiście to zrobiła. Najpierw zjedli kolację na wpół ubrani; podała bliny z kawiolem oraz smażonego kurczaka z ziemniakami. Przyniósł butelkę importowanego szampana; trudno było zgadnąć, skąd został importowany, ale był o niebo lepszy od rosyjskiego, lepkiego napoju sprzedawanego pod tą nazwą. Wypili zaledwie pół butelki, gdy zapytała o dom Kuźmińskiej i miejsce ukrycia kosztowności.

Po cóż być uczciwym? Czy miał coś do stracenia? Nie wierzył, aby kolia przeleżała nietknięta w ścianie siedemdziesiąt niespokojnych lat. Kochał się z nią, znalazł to, czego szukał, więc tylko wyjaśnił, że nie wie, czy można zaufać Mitrokinowi, a przede wszystkim nie zajmuje się sprzedażą kosztowności.

Celta Brayfield

Wkrótce potem wrócił do Londynu obiecawszy przyjechać za trzy miesiące z pieniędzmi. Publicznie Ania zachowywała się dyskretnie, szczególnie w hotelu, gdzie najpewniej każdy z licznych pracowników pełnił również funkcję donosiciela.

Ania odwiedziła Mitrokina, gdy tylko znów się pojawił ich wspólny znajomy, Gruzin Andriusza. Jako dwudziestolatek musiał przerwać karierę baletową z powodu powtarzających się problemów z łąkotką i teraz całą duszą oddawał się pasożytowaniu na zdrowym ciele społeczeństwa; był grubą rybą w mafii dostarczającej do miasta przedmioty codziennego użytku - dosłownie grubą rybą, bo luksusy i brak ruchu sprawiły, że bardzo utył.

Usiadł niczym pasza na empirowym szeszlangu, najcenniejszym meblu w domu pośrednika, i zawyrokował:

- Nie widzę powodów, by wywalać dziury w ścianach Pałacu Pioniera. Jeśli w ogóle te obrzydliwe szczeniaki zostawiły tam kamień na kamieniu. Za dużo kłopotów. Facet powiedział, że go to raczej nie interesuje, więc czemu mu nie wierzyć? - Pomyślał, że chociaż Ania zawsze miała miękkie serce dla cudzoziemców, to i ona powinna zrozumieć, że tym razem to interes bez przyszłości.

- „Raczej nie interesuje” to jak powiedzieć, że się jest trochę w ciąży. Jeżeli go dobrze ustawimy, to pójdzie jak po sznurku. - Wydęła wargi rozczarowana.

- Andriusza, ona ma rację. Przyglądałem mu się, kiedy tu siedział i patrzył na obraz. Połknie haczyk, tylko musimy go dobrze zanęcić. Ale zgadzam się z tobą, niech pionierzy w spokoju odbywają zbiórki. Mamy interes do ubicia, ale to nie powód, żeby zakłócać ich niewinne zabawy. - Mitrokin wyjął kopertę z jedynej sprawnie działającej szuflady w komodzie i wyciągnął parę fotografii. - Znam kogoś w Moskwie, robi głównie w biżuterii, zna dobrze rynek i ma więcej rzeczy niż ja, podsunął mi pomysł, żeby faceta zachęcić korzystając z tego. Popatrzcie na zdjęcia, bardzo podobne. - Na fotografii widniał naszyjnik ułożony na ciemnym tle, żeby uwypuklić wszystkie detale. Przystawił ją do portretu. Obie kolie miały podobny, owalny kształt, choć nie były identyczne. - Największa, rzucająca się w oczy różnica to ten duży kamień na przodzie, ale można go dodać za odpowiednią cenę. Jeśli facet wróci i powie, że zmienił zdanie, albo że nagle przypomniał sobie o kimś zajmującym się brylantami, możemy mu to dać. Proste, co?

Kolia

455

Ania odniosła się do pomysłu entuzjastycznie, więc Gruzin przystał na plan. Przecież nic go to nie kosztuje, a kiedy kraj się otwiera na Zachód, kto wie, co przyniesie taka znajomość?

- Mam nadzieję, że dał ci ładne prezenty, ten alfons od sztuki. Jak sobie w ogóle radzisz?

- Dobrze, bardzo dobrze i to dzięki tobie, Andriusza. Nigdy ci się nie wywdzięczę za załatwienie tej pracy.

- Zawsze do usług. Przecież jesteśmy starymi przyjaciółmi, nie? Nowe problemy? Wal do mnie jak w dym, zrobię, co mogę. I jak twój podopieczny? - Ania związała się z kierownikiem hotelu o dziesięć lat od niej młodszym, absolutną gnidą. Gruzin uważał, że chłopak związał się z niewłaściwymi ludźmi, a głównie z gangiem, z którym jego własna organizacja toczyła stałą wojnę. Poza tym był kutwą, zaniedbywał ją i zdradzał - wszyscy wiedzieli, że urządził gniazdko dla swojej nowej sekretarki.

- Pracuje za ciężko, ale jest dla mnie dobry, więc nie mam na co narzekać, prawda?

Biedna dziewczyna, skończona idiotka. Strasznie trudno żyć kobiecie bez opieki mężczyzny, zwłaszcza komuś w wieku Ani.

- No to się cieszę. Wprawdzie sądziłem, że młode pokolenie to banda półkretynów, ale może się myłę. O, właśnie, lada dzień dostaniesz tę obiecaną lodówkę, moi chłopcy ci ją przywiozą w przyszłym tygodniu. - Podniósł się z trudem, by ją ucałować na pożegnanie. - Powodzenia w machinacji z kolia. Może wreszcie zdobędziesz wizę na wyjazd? I gdybyś czegoś potrzebowała, to wiesz, gdzie mieszkam.

Lovat naradził się z Kuźmińskim, który wystawił Mitrokinowi dobrą opinię i wyjaśnił, że tylko dlatego nie wymienił jego nazwiska, bo znał go jako pośrednika w sprzedaży produktów Fabergego i bibelotów, nie dzieł sztuki. Zaproponował, że udzieli bardziej szczegółowych rad, ale Lovat czuł, że nie otrzyma prawdziwych informacji, szczególnie na najważniejszy dla niego temat.

Zawarł z Mitrokinem umowę na kupno dwóch portretów i trzech małych brązów, popłynęły do Zimbabwe jako części do traktorów i dotarły do Londynu, a po drodze Kuźmiński załatwił fałszywe, francuskie dokumenty, potwierdzające ich pochodzenie od 1911 roku. W czasie całej transakcji pośrednik

Cetia Brayfield

na każdym etapie dotrzymywał słowa, więc by nie stracić tak cennego źródła, Lovat zasugerował, że prawdopodobnie zdoła sprzedać naszyjnik Kuźmińskiej, jeśli się udało go odnaleźć. Poprosił o zdjęcie, które pokazał Koli; starzec po bardzo krótkim obejrzeniu stwierdził, że jego matka nigdy czegoś takiego nie posiadała.

- Miała dwie brylantowe kolie i w obu ją namalowali; jedna z kiepskich kamieni, od cara, zrobiono ją u Fabergego w Paryżu, mają rysunek w archiwum. Sprzedała ją w 1920 roku za bardzo niską cenę, ale cóż było robić, niedobry czas na sprzedaż brylantów. Druga, kolia Orłowych, jest bezcenna. I tylko ja wiem, gdzie się znajduje.

Lovat na otwarcie wystawy wynajął firmę do spraw kontaktów z mediami, która zatytułowała wernisaż „Noc w St Petresburgu”, owinęła połowę galerii barwnymi, lśniącoymi materiałami i wynajęła trio muzyków z bałajką. Tuttlingenowie przylecieli na bankiet, a radziecki ambasador wygłosił dwudziestominutowe przemówienie o głośności, pracowicie napisane w ten sposób, by nie wyjawiać jego politycznych sympatii, słuchacze zaś nie zrozumieli z niego ani słowa.

W trakcie mowy goście szeptali między sobą, a najmniej dyskretnie robiła to Isabel, ubrana w rzucającą się w oczy krótką czarną sukienkę, pokrytą wzorem z cekinów i paciorków *a la* krzykliwe graffiti. Lovat pomyślał, że gdy jego żona próbuje zafascynować mężczyzn, to przypomina papugę, bo tak piszczy, wymachuje rękami i przechyla głowę. Przedstawienie odbywało się na benefis jednego z Amerykanów o bardzo kunsztownie potarganych jasnych włosach. Miał na sobie luźny garnitur, na szyi zawiązał jedwabny niebieski szalik. Zapadnięte policzki porastał pracowicie wyhodowany, półmilimetrový zarost, który u blondyna wyglądał jak aksamitny meszek. Ponieważ Isabel uważała garnitury od Armaniego za absolutnie niemodne, Lovat się zdziwił, dlaczego poświęca temu mężczyźnie tyle uwagi.

- Ten pan towarzyszy jednej z przyjaciółek mojej żony - Don wykrzyczał mu do ucha, gdy na koniec przemówienia wszyscy z ulgą bili brawo. - Ciągłe gania po świecie z jakimś zespołem baletowym, wyrzucanie pieniędzy w błoto. Podobno uczył się w Rosji, ale to Amerykanin. Ona jest wdową i jej doradcy bardzo by się ucieszyli, gdyby porzuciła Terpsychorę na rzecz jakiejś tańszej muzy. Cheri mi wspominała, że chyba

Kolia

458

niedługo zgodzi się z ich zdaniem, więc pomyślałem, że ich zaproszę. Mają iść z nami na kolację.

W czasie posiłku Isabel dała prawdziwy koncert. Ostatnimi czasy określała siebie przez to, czego nie robi - nie prowadzi samochodu, nie pali, nie pije alkoholu i nie je mięsa. Również od jego powrotu najwyraźniej zrezygnowała z seksu, ale Lovat przeczuwał, że celibat obejmuje wyłącznie jego osobę. Zwyczajny posiłek zmienił się w trzygodzinne przedstawienie poświęcone jej osobie. Najpierw odsunęła wodę Perrier znajdującą się na stole i wyjęła swoją butelkę wody mineralnej z walijskiego źródła, którą dostała od gwiazdy rocka z jego własnej farmy. Między zakąskami a daniem głównym zaczęła się bawić pudełkiem gumy do żucia Nicorex i tak długo je obracała, aż ktoś pytaniem sprowokował wyjaśnienia, że przysyła ją dla niej przyjaciółka, naczelna redaktorka czasopisma w Nowym Jorku.

Dalej działając w zapamiętaniu odesłała do kuchni sałatkę, bowiem popełniono zbrodnię posypania jej grzaneczkami smażonymi w maśle. Wreszcie, gdy rozmawiali o środowisku naturalnym, odegrała serię absurdalnych, tragicznych póz: twarz wykrzywiona w pełnym troski bólu, dłonie załamane na płaskim brzuchu, palce przyłożone do czoła, zapewne w bezowocnej próbie wyciśnięcia z mózgu jakiegokolwiek myśli.

- Przypominasz mi bohaterki Sofoklesa w interpretacji Marthy Graham - stwierdził adresat jej teatralnych występów, które najwyraźniej nie robiły na nim wrażenia.

- Nie sądzisz, że ją i Scotta Fitzę łączył tylko pociąg fizyczny? Ona była jakby tworem androgynicznym, on w zasadzie gejem... Impotencja przecież właśnie na tym polega, prawda? A więc dzięki niej nawiązywał jakby kontakt z chłopcem...

Wymowne, szare oczy Amerykanina patrzyły na nią ze zdumieniem, jakby mówiła do niego w obcym języku.

- Martha Graham, choreografka, moja droga. - Lovat roześmiał się na cały głos. - A ty myślisz o Sheilah Grahame...

- Koniec zdania utonął w kawałku ryby, który wylądował na jego twarzy. Sos pomidorowy skapywał na koszulę.

Isabel rzuciła w niego talerzem. Krzesło zaprojektowane przez Philippe'a Starcka zaskrzypiało o posadzkę, gdy się zerwała, i nim dobiegła do drzwi, upadło na podłogę.

- To twoja żona? Jesteście małżeństwem? - W głosie Amerykanina brzmiała nuta zdziwienia, jakby dawał do

Celia Brayfield

zrozumienia, że małżeństwo ze strony mężczyzny to głupota, nie wspominając już o wybraniu takiej istoty, która na pewno stworzy mu piekło na ziemi. Jego towarzyszka siedząca tuż obok, zaskoczona uniosła głowę.

- A co, nie widać? Pochodzi z Australii. - Lovat udzielił najprostszego wyjaśnienia. Nie wiedział, dlaczego dziwi go współczucie wyrażane przez gościa. Instynktownie wyczuł otaczającą go aurę zmysłowości i w najgłębszych pokładach psychiki uznał go za wroga.

- Hmm... piękny kraj, ale bez cienia kultury. Poważna wada, trzeba ciężko pracować, by to nadrobić. Ale w sumie jestem zadowolony, bo możemy spokojnie porozmawiać. Jak to cudownie, że przywiózł pan te wspaniałe obrazy na Zachód.

Lovat nie przywykł do komplementów i uderzyły mu do głowy, tłumiąc pierwotną nieufność.

- Nie zostaliśmy sobie przedstawieni, oczywiście znam pańskie nazwisko, ja jestem Alexander Wolfe. - Urwał na chwilę, jakby spodziewał się braku reakcji. - Szczególnie wzruszająca ta wystawa jest dla mnie, ponieważ na jednym z obrazów widnieje moja babka. Ta dama przy balustradzie, tancerka... jakie to dziwne zobaczyć ją jako młodą dziewczynę, kiedy pamiętam tylko staruszkę. Ale nadal wspaniała, na jej właściwy sposób. Kiedy uczęszczałem do szkoły baletowej w Leningradzie, widziałem jej portret, który mają w swoich zbiorach, jednak pod każdym względem ustępuje pańskiemu.

- Bardzo miło mi to słyszeć. - Lovat przypomniał sobie, że Kola kiedyś o nim wspominał, ale w niezbyt miłych słowach. - Cóż za niezwykły zbieg okoliczności. Czy byliście blisko związani?

- Bardzo. Ona mnie wychowała, jako młody chłopak uciekłem z domu, żeby z nią zamieszkać.

- A jej syn Mikołaj...

- Tak, wujek Kola. Przeniósł się już wtedy do Paryża, ale serdecznie się mną zajął, zwłaszcza gdy zaczynałem karierę. Teraz... - wykonał piękny gest żalu. - Mój zespół jeździ po całym świecie, ale ja na stałe mieszkam w Nowym Jorku...

- Kuźmiński nie czuje się najlepiej - Lovat mógłby się założyć, nawet o dużą sumę, że to prawdziwa nowina dla Alexandra Wolfe'a. Jaka szkoda, że nikt nie przyjmował takich zakładów.

- Naprawdę? Nie słyszałem. Jak mi przykro. Wujek zawsze cieszył się dobrym zdrowiem, uwielbiał luksusy, wręcz emano-

Kolia

459

wał żywotnością. Prowadził sklep z antykami, ale zaczynał od sprzedawania klejnotów mojej babki, gdy wyemigrowała.

- Z jaką gorliwością pławił się w blasku cudzej chwały. Ten człowiek dobrze wiedział, że poważni ludzie uważają go za zupełnie bezwartościowego. Przypominał osieroconego chłopca, który za maską dumy skrywa głód opieki i oparcia.

- Bardzo dziwne uczucie, zobaczyć ten portret i ją w tych brylantach, o których zawsze tyle mówiła. - Pokiwał głową. Jego melancholia wyglądała na szczerą i Wolfe zachowywał się bardzo przekonująco; jego nieodparty wdzięk polegał na tym, że wierzył sam sobie i dlatego nie umiał dostrzec różnicy między grą a prawdziwymi uczuciami.

- Kola na pewno je spieniężył.

- Nie, myli się pan. Rodzinna historia głosi, że w czasie rewolucji najpiękniejsza kolia - Orłowa, którą dostała od swego protektora - została w jej sejfie.

W głowie Lovata zaświtał pomysł, który natychmiast odrzucił, ale który potem wrócił w bardziej złożonej formie. Nie umiał się oprzeć takiej pokusie, musiał ulec. Im bardziej się nad nim zastanawiał, tym lepszy mu się wydawał. Aż się prosił o realizację.

- Ten, kto je ma, siedzi na żyłce złota. - Nakazał sobie: bądź chłodny, nie okazuj zainteresowania. Ten facet może jest głupi, ale nie naiwny.

- Hmm, na pewno tyle drogich kamieni ma dużą wartość.

- Och, ale cena kolii na pewno znacznie przekroczy sumę samych brylantów. Dziesięciokrotnie, może stukrotnie. To świadek historii. O ile wiem, należała do księcia Orłowa, potomka kochanka Katarzyny Wielkiej. Jeżeli kiedykolwiek byłaby wystawiona na sprzedaż, osiągnęłaby bardzo wysoką cenę, jest to prawdopodobnie klejnot o największym historycznym znaczeniu, nie licząc zbiorów europejskich rodzin panujących.

- Nie wierzę, by ktoś ją miał. - Alex szeroko jak dziecko otworzył szare oczy. - *Grand-mere...* - jedno słowo po francusku, ale z doskonałym akcentem - ...wierzyła, że jest dokładnie tam, gdzie ją zostawiła. Powiedziała, że po jej śmierci należy do mnie. Nawet pojechałem sprawdzić w jej dawnym domu, stał na miejscu. Narysowała mi plan pokoi i zaznaczyła położenie sejfu.

- Kiedy pan stwierdził, że nadal tam jest?

- W sześćdziesiątym ósmym, dziewiątym... - Wolfe uśmiech-

460 *Celia Brayfield*

nał się chytrze, co wyglądało absurdalnie na twarzy, która nie odbijała precyzyjnie żadnych procesów umysłowych.

- Ile pytań. Jestem przesłuchiwany?

- W żadnym razie. Proszę mi wybaczyć, fascynuje mnie historia. Wizja wspaniałych klejnotów, które od siedemdziesięciu lat leżą w ukryciu... Wprawdzie nie zajmuję się biżuterią, ale gdybym nią handlował, to oddałbym pół życia, byle ich dopaść.

- Czy to możliwe?

- O, tak. To nieodpowiednie miejsce na porządną rozmowę. Proszę przyjść jutro do galerii, zjemy lunch i jeśli ma pan czas, to wszystko obgadamy.

Wolfe wkroczył punktualnie o dwunastą i obejrzał obrazy jak generał dokonujący inspekcji oddziałów - powoli, skupiony, przez uchylone usta rzucał tylko pochwalne monosylaby. Był zdenerwowany i za wszelką cenę próbował to ukryć.

Lovat przypomniał sobie ocenę Kuźmińskiego: „Jaka jest definicja żigolaka? Leniwy, *tapette*, na dnie - i nie przyznaje się, kim jest. Oto cały mój siostrzeniec; myśli, że pragnie kobiet, tak jak szczeniak sądzi, że chce mieć puszkę uwiązaną do zderzaka samochodu. Robi dużo hałasu, zwraca na siebie uwagę całej ulicy, ale nigdy nie będzie wiedział, że wcale jej nie pożąda, że to nie jego typ erotyzmu. Próbowałem, ja sam, Kola, jego wujek, z nim rozmawiać, ale zaprzeczał. I kiedy zjawi się kobieta z pieniędzmi - on idzie. A potem następna i jeszcze jedna.

Dlatego stał się dla nich wymarzonym chłopakiem, to wszystko”.

Cheri Tuttligen nie bawiła się w analizowanie: „Mówił mojej przyjaciółce, że na przyszły sezon potrzebuje dziesięciu milionów. No, przecież żaden ptaszek nie jest tyle wart, jasne?”

W towarzystwie innych mężczyzn Wolfe stawał się uosobieniem braku pewności siebie. Lovat obawiał się, że jego plan może zniweczyć tylko brak tupetu u Alexa. Gdy pojawił się w galerii, Lovat zaprosił go do Harry's Bar; zauważył spojrzenia, jakim obrzuciły ich żony bogatych biznesmenów; siedziały przy stoliku skubiąc sałatki i poprawiając włosy, niespokojne niczym antylopa, która zwietrzyła lwa.

- Jak na pewno wiesz, mieszkańcy Leningradu bardzo szanują swoją przeszłość. Na przykład gdy w całym kraju ludzie niszczyli pomniki, oni z niezwykłą troską dbali o carskie pałace. - Lovat zamówił butelkę doskonałego wina i stwierdził, że jego gość pije szalchetny trunek, jakby to była coca-cola.

Kolia

462

- Myślałem więc, że skoro dom Kuźmińskiej stał nienaruszony pod koniec lat sześćdziesiątych, a znajduje się w najpiękniejszej części miasta, to zapewne do dziś nic mu się nie stało. Mógłbyś się tam wybrać i wystąpić o należny ci spadek. Jeśli babka zostawiła testament, tym lepiej; parę lat temu ministerstwo spraw zagranicznych wynegocjowało z Szewardnadze zwrot majątków cudzoziemców, które zagarnięto w czasie rewolucji. - Uważnie przyglądał się ruchliwej twarzy Wolfe'a. Uznał, że nie będzie chciał tego zrobić. - Nawet jeśli przedstawiś wątle dowody, powinno ci się udać. Na pewno wiesz, jak łatwo przekupić Rosjan.

- O tak, ale co bym z tym zrobił? Kłopoty ze szmuglowaniem do Stanów...

- Są na to sposoby... Gdyby to ode mnie zależało, to sprzedałbym we Francji, gdzie się nie przejmują brakiem dokumentów. Albo przez angielski dom aukcyjny, jeden szczególnie zainteresował się Rosją, Berrisfordowie. I poszedłbym prosto do ich nowej dyrektorki, Bianki Berrisford, a nie dał się odesłać do nikogo niższego rangą. Zapach perfum Giorgio obwieścił wejście Evgenii Pano-poulis, szesnastoletniej córki greckiego bankiera i amerykańskiej milionerki; zdjęcie tej czarnookiej piękności zdobiło okładkę ostatniego numeru „Vogue”. Zatrzymała się przy ich stoliku, Lovat powstał, by się z nią przywitać, a ona bawiąc się swym czarnym lokiem obsypała komplementami Wolfe'a, wspominając jego ubiegłoroczne występy w Nowym Jorku i przymilając się o zaproszenie na następne. Kiedy wymienił nazwę teatru i zasugerował, by go tam poszukała, cała się rozpromieniła i poszła dalej.

- Miłe dziecko, ale krępuje mnie rozmowa o tym - wyznał Alex. - Zupełnie nie wiem, kiedy będzie premiera. Nasz ostatni program zrobił furorę, wzięliśmy szturmem Nowy Jork i szykujemy nowe, wspaniałe przedstawienie, ale nie mam pewności co do poparcia finansowego. Westchnął głęboko. Pomyślał, że największą tragedią ludzkości jest niuchronna śmierć wszystkich silnych uczuć. Zwykle kończył swoje związki w sposób naturalny i zawsze to on odchodził, ale im cudowniejsza była kobieta na początku, z tym większą goryczą się rozstawali. Wdowa wdzięcznie przyjęła jego miłe towarzystwo w pierwszych latach samotności po śmierci męża, ale ich uczucia już wygasły. Musiał znów się zakochać, ale nie w takim dzieciaku jak Evgenia; lubił kobiety pewne siebie,

Celia Brayfield

niezależne, które panowały nad własnym życiem i oczywiście nad własnymi pieniędzmi. Uganianie się za dziedziczką jest upokarzające. - O czym to mówiliśmy? Sądysz, że powinienem się spotkać z tą panią Berrisford?

- Akurat wiem, że się bardzo interesuje tego typu rzeczami, a na biżuterii zna się wyjątkowo. Zapiszę ci numer telefonu... tylko nie mów, że to ja cię przysłałem. Była moją żoną i ostatnio zupełnie nie możemy się porozumieć. - Z trudem przyznał się do wrogości między nimi, ale gdyby postąpił inaczej, Wolfe dowiedziałaby się tego od tuzina innych osób i nabrał podejrzeń.

- Wygląda na to, że w tej dziedzinie nie masz szczęścia.

- Ach, jeszcze jedno, ona także robi interesy z Kola Kuźmińskim. - Lovat uznał, że zdradził naprawdę bardzo wiele tajemnic.

- Rozumiem, co masz na myśli.

Sekretarka Bianki nie mogła znaleźć wolnego terminu na spotkanie w ciągu najbliższych trzech tygodni, wspomniała coś o naradzie zarządu, ale Wolfe wtrącił nazwisko Kuźmińskiego i wyjaśnił, że niedługo wraca do Nowego Jorku; przeproszającym tonem zaproponowała ósmą rano w dowolny dzień tygodnia.

- Bardzo chętnie jutro - powiedział starając się nie okazać zdumienia.

Bianka lubiła poranne spotkania w interesach. W biurze panowała cisza, łatwiej było się jej skupić, więcej dawało się osiągnąć. A czekało na nią mnóstwo pracy. Ojciec, który niechętnie wspominał o kredytach, wreszcie wykrztusił całą prawdę. Na zakończenie roku bilansowego kupujący byli im winni blisko dziesięć milionów funtów, ponad połowę z tego jeden przedsiębiorca z Chicago, którego firmę w tym czasie kontrolował rząd. Rozeszła się pogłoska, że rychło zbankrutuje, a w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy wzrośnie oprocentowanie pożyczanych kwot. Dom Berrisfordów mając niewielkie rezerwy stanie w obliczu problemów finansowych.

Hugh przybrał pozę wpaniałomyślnego dżentelmena, który sądzi, że to współpracownicy winni przeciwdziałać jego pomyłkom w tej dziedzinie. Miał zamiar złożyć rezygnację z funkcji dyrektora. Wiele osób nalegało, by Bianka przyjęła nominację na jego stanowisko. Powoływali się na tradycję, jej nowoczesne podejście do firmy, sukcesy w ciągu ubiegłych lat, ale ona osiągnąwszy wiele sporo się nauczyła i wiedziała, że mężczyźni

Kolia

463

wyczuwają zmianę w klimacie ekonomicznym. Szukali kozła ofiarnego i uważali, że to ona ponosi odpowiedzialność za błędy ojca, a jako kobieta nie przejmie się tak bardzo porażką.

Nieznajomy, który tak pilnie chciał się z nią zobaczyć, spóźnił się. Kiedy wreszcie się zjawił, była zajęta obliczeniami, nad którymi pracowała, a ponieważ w ciągu pierwszych dziesięciu minut nie powiedział nic interesującego, nie zwracała na niego uwagi. Wspominał dość ogólnikowo o robieniu interesów w Rosji, znajomości języka i że bywał tam na *tournee* z zespołem baletowym oraz w ramach wymiany kulturalnej. Stopniowo ją zaciekawił, gdy zaprezentował jej swoje związki rodzinne niczym kupiec rozwijający cenny dywan i podkreślił najistotniejsze aspekty.

Bardzo łatwo się z nim rozmawiało. Zachwyił się urządzeniem budynku, czarującą sekretarką. Jakby wyczuł, że za dużo mówi o sobie, zaczął ją wciągać do rozmowy, a pytania z przerażającą dokładnością trafiały w te miejsca, o których sama nie wiedziała, że są dla niej bolesne. Widział, że powstrzymała drzenie dolnej wargi wspominając o rozwodzie, a jej spojrzenie złagodniało, gdy napomknęła o dzieciach. Przypominała szlachetnego, zranionego ptaka. Pragnął dać jej na powrót pełnię życia. W jego wzroku spontanicznie pojawił się hołd składany jej urodzie - włosom układającym się miękko na czole, kształtowi nosa, jasnej cerze o niezwyklej gładkości, delikatnemu cieniowi na szyi ponad dekoltem luźnej bluzki ze stalowoniebieskiego jedwabiu.

W odpowiednim momencie sprowadził rozmowę na temat Rosji; wyjaśniła trudność robienia interesów w kraju, gdzie mało kto słyszał o dochodzie, a wyciągi bankowe nadal pisano ręcznie. Omówili niezwykle zjawisko *glasnosti* - cały chaos, jaki przyniosła, i niepewność jutra. Zasugerował, że przydałby się jej konsultant.

Trafił w dziesiątkę. Potrzebowała przynajmniej kuriera, który by zawoził gotówkę do rosyjskich pośredników. Chociaż nie wzbudzał zaufania i Bianka natychmiast wyczuła, że był nerwowy, onieśmielony jej firmą i niezbyt uczciwy, nagle wszystkie interesy do załatwienia tego ranka straciły na ważności. Około jedenastej rozpoznała dawno zapomniane uczucie, które rozgrzewało ją od środka.

Zaprosił ją na lunch sugerując Harry's Bar. Natychmiast się zorientowała, że nie jest członkiem tego klubu i nawet nie zdaje sobie sprawy, iż to klub, a najpewniej go nie stać na ten

Celia Brayfield

lokal, ale zamiast go wyprowadzić z błędu, uśmiechnęła się łagodnie, oświadczając, że woli pobliską, włoską *trattorię*. Patrzyli na siebie bezradnie ponad połówkami pieczonej pardwy, zastanawiając się, jak zakończy się ten posiłek.

Wzruszył się opowiadając o śmierci babki - potęga miłości zawsze kojarzyła mu się z umieraniem - i gdy dotknęła jego ramienia okazując współczucie, pod palcami wyczuła twarde, wyrobione mięśnie. Jego luźne ubranie tylko podkreślało mocne linie ciała.

Normalnie Wolfe nigdy nie kochał się z kobietą w dniu pierwszego spotkania. Lubił powolne rozpalanie uczuć, napięcie, które wreszcie wybuchało w płomiennej, pochłaniającej wszystko zmysłowości. Ale nie miał pieniędzy na długie zaloty, został mu tylko lotniczy bilet powrotny, który mógłby sprzedać, gdyby wiedział, że zostaje w Londynie. Wdowa wynajęła dla nich oddzielne pokoje w hotelu. Pojechała na lunch do znajomych na wsi, ale wróci wieczorem. Wszystkie te względy, nie do końca uświadomione, kotłowały się w jego myślach. Na poziomie świadomym wiedział tylko jedno - był zakochany.

Po wyjściu z restauracji wziął ją delikatnie w ramiona i pocałował, czując od razu przemożne pragnienie jej ciała. Gdy się odsunął, drżała jak liść na wietrze.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje, co czuję. Chyba się nie obraziłaś?

- Nie, czemu, wyglądam na obrażoną? - Szeroko otworzyła oczy, które przypominały ciemne, głębokie leśne jeziora.

- Och, nie, wcale. - Nie potrafił opisać tej siły, którą czuł w jej ciele, wibrującej energii miękkiej skóry, ramion oplatających jego szyję. - Wyglądasz... - znów ją pocałował i wciągnął jej język między wargi. Pomyślała, że ma mocne usta, które poruszały się z niezwykłą delikatnością. Wyobraziła sobie, jak dotykają jej ciała, pieszcząc najwrażliwsze jego zakamarki.

- Wyglądasz wspaniale - dokończył słabym głosem. - Muszę cię znów zobaczyć... Kiedy?

- Nie wiem, potrzebują mnie w biurze... - Jutro miała się odbyć narada, a potem przez wiele dni będzie pracowała nad realizacją podjętych na niej decyzji. Przyłożył jej dłoń do torsu. Jego sutki sterczały ostro, ale wstydził się jej o tym powiedzieć, żeby nie uznała go za dziwaczego lub zniewieś-ciałego mężczyznę. Poczwała, jak głęboko wciąga powietrze.

- Teraz. Natychmiast.

Kolia

465

W jego pokoju hotelowym ogarnął ją paraliżujący strach. Przeraziła ją siła, z jaką ją pociągał ku sobie; wyobraziła sobie, że to zmieni bieg jej całego życia, ale nie mogła się powstrzymać. Zmęczyło ją ciągle poświęcanie się. Tego właśnie chciała, potrzebowała, na to sobie zasłużyła. To będzie należało tylko do niej. Otworzył butelkę szampana, całował jej ręce i lizał palce, gdy odzyskiwała odwagę i z niecierpliwością czekała, aż ruszą tam, gdzie wiedzie ją ten szalony impuls.

Pragnął jej ciała - dotykać go, wejść w nie, złączyć się, dotrzeć do samych głębin i zewrzeć się aż do połączenia z jego ciałem, niczym atom z atomem. Gdy wszedł w nią, zamarli w bezruchu i ciszy, oboje pragnęli przeżyć ten akt razem, jakby wyczuwając go każdym nerwem.

Bianka czuła, że po raz pierwszy od urodzenia Lizzie otwiera się, gorąca i chętna, tym razem posłuszna innemu instynktowi. Wtedy dawała, dziś będzie otrzymywać. Rodziła się na nowo, regenerowała od wewnątrz. Pod jej dotknięciem cały promieniał, mięśnie przypominały twarde ślady wyciśnięte na piasku przez fale, jego ruchy były płynne i swobodne.

Przed osiągnięciem orgazmu Alex zaczął się targować z Bogiem: daj mi tę kobietę, ale daj też jej, jej całość, jej ciało, umysłowi i duszy. Daj mi tę kobietę i zabierz resztę mego życia. I wtedy przestał myśleć, przed oczami zawirowały gwiazdy, usłyszał swój krzyk, poczuł, jak Bianka się wygina i wtedy spadła na niego boska rozkosz szczytowania.

Wprawdzie wcześniej zawarł umowę, ale najwidoczniej obie strony postanowiły o niej zapomnieć.

Następnego dnia Bianka obejmując kierownictwo nad Domem Berrisfordów przedstawiła plan na następny rok, opierający się na dwóch fundamentach - powszechne oszczędności i koncentracja na nowych rynkach, gdzie zakupy są tanie.

- I musimy jak najszybciej uciec od przedmiotów osiągających najwyższe ceny; nie chciałabym mieć następnej sprzedaży obrazów impresjonistów w ciągu paru najbliższych lat - dodała. - Planuję okres spokojnych, uczciwych obrotów, by od nowa zbudować mocne podstawy.

Łatwo zgodzili się na wszystkie propozycje, nazbyt łatwo, i potem Martin Pownall przyszedł do jej gabinetu i zaproponował, że wcześniej przejdzie na emeryturę.

- Martin, zgłaszasz się na ochotnika na pierwszego szczura, który ucieka z tonącego okrętu? - Powiedziała to lekkim tonem, jakby z nim flirtowała, ale w jej oczach płonął ogień.

Cetia Brayfield

Aż się cofnęła, widząc, że go przejrzała na wylot. - Jeśli chcesz odejść, to nie zatrzymam cię siłą. I zrób to jak najszybciej.

- Tak, zgadzam się z tobą... Ustalimy szczegóły jak najszybciej...

- Martin, natychmiast. Jeśli chcesz zabrać osobiste drobiazgi, poprosimy sekretarkę, żeby przywiozła ci to jutro do domu.

Skamieniał ze zdumienia, tylko drżące palce zdradzały jego niepokój.

- Ale chyba się nie pokłóciliśmy, Bianco? Nie chcę, żebyśmy się rozstawali w złości. Przecież znamy się parę lat... - Pownall zrozumiał, dlaczego Lovat Whitburn okazywał tak straszliwą mściwość wobec pierwszej żony. Bianka to łajdak, doskonale do niej pasowało takie określenie.

- Oczywiście, że nie. Ja też tego nie chcę. Ale to najlepsze dla firmy, dla utrzymania morale. Nie mam do ciebie żalu, wierz mi. - Ile razy słyszała, jak ojciec używał tego samego zwrotu, by w zarodku zniszczyć kłótnię.

Gdy wychodząc otworzył szeroko drzwi, niemal uderzył w twarz Alexandra Wolfe'a. Gdy zostali sami, Alex natychmiast wziął Biankę w ramiona i nic nie mówił, aż znów pojawiła się między nimi bliska więź fizyczna.

- Ten mężczyzna był rozgniewany - stwierdził w odpowiednim momencie.

- To zdrajca i nie spodobało mu się, gdy mu to powiedziałam prosto w oczy, ot co.

Cóż za siła, twardość, aż się zachłysnął z podziwu.

- Co się dziś wydarzyło? Wszystko poszło zgodnie z twoim planem?

- Tak. I na przyszłe lato planujemy wielką aukcję rosyjską. Więc w przyszłym miesiącu wyjeżdżasz na zakupy. W czasie kolacji opowiesz mi wszystko o kolinie twojej babki, dobrze?

Podjęła doskonałą decyzję dla firmy Berrisfordów. Doskonałą decyzję dla niego. Biance wydawało się, że to również doskonała decyzja dla niej samej, ale niepokoiło ją, że te wszystkie sprawy układają się tak symetrycznie.



Piotr ogród, 1917

Jak więc określimy ten stopień wirtuozerii, gdy ciało tancerki już nie musi ulegać swym własnym prawom, kiedy przechodzi samo siebie, podlega przemianie? Skoro brakuje rosyjskiego pojęcia, posłużymy się francuskim? Może winniśmy powiedzieć, że stwarza z siebie wspaniałe istnienie - *sefaire un corps glorieux!* - zwrócił się do gości ambasador Francji, *monsieur* Paleologue, a nakrochmalona koszula zatrzeszczała, gdy jego pierś rozdał zachwyty nad własną mądrością.

- Cóż za wykwinna przemowa! Jakąż pan posiada, ekscelencjo, wysublimowaną wyobraźnię. - Karsawina, której poświęcona była ta wiązanka językowych komplementów, delikatnie zaklaskała dłońmi w rękawiczkach, gdy jej niedawno poślubiony małżonek, Bruce, blady, angielski dyplomata, przyłączył się do braw mruczając:

- Och, tak, cóż za wyobraźnia!

- Hmm, i co ja mam teraz zrobić? Żeby uczcić środek zimy, przełożyliśmy lunch na godzinę zachodu słońca. Przewstawiliśmy stół pod okno, które, znajdując się w najwspanialszej rezydencji, jaką kiedykolwiek zajmowałem w całej karierze, pozwala nam oglądać najlepszy widok na majestatyczną rzekę, ale niestety! Słońce okazało się zbyt nieśmiałe, by wynurzywszy się zza zasłony chmur wystąpić dla nas.

Trzy lata wojny stanowiły poważne wyzwanie dla starannie pielęgnowanego przez *monsieur* Paleologue upodobania do przyjemności. Gdy miasto, przechrzczone na Piotrogród, by usunąć wszelkie ślady związków z niemieckim wrogiem, pogrążyło się w niedostatku, lęku, powodzi przestępstw i pogłosek, on starał się ze wszystkich sił, by jego liczne grono znajomych nadal dobrze się bawiło.

Co tydzień, korzystając z zasobów ambasady, urządzał przyjęcie pod innym hasłem, dzisiaj miał się odbyć „Lunch

Celia Bray field

Sześćdziesięciu Stopni", chciał bowiem w pełni zachwycić się zjawiskiem meteorologicznym, charakterystycznym dla tej długości geograficznej w zimie, gdy słońce wschodziło w południe, by zejść o piętnastej, rozsiewając delikatne, nieziemskie wręcz blaski i kolory, a promienie gasły w mroźnym, ostrym powietrzu.

- Och, ale w zeszłym tygodniu otworzył pan dla nas salę balową, byśmy w trakcie kolacji mogli się zachwycać gobelinami! Niezapomniane przeżycie! Po tym pańscy przyjaciele nie mogą prosić o nic więcej. - Tati wprowadziła się uśmiechała, ale mówiła z całkowitą powagą. Uwielbiała ambasadora Francji. Kilka tygodni wcześniej opowiedział jej o okolicznościach zamachu na Rasputina, dodając dramatyczne szczegóły, które wedle niej świadczyły o prawdziwości całej historii - cierpiąca postać, której ani trucizna nie zmogła, ani kule się nie imaly, ciało wrzucone do rzeki ze związanymi rękami, ale wyłowione parę dni później z prawą ręką na lewym ramieniu jakby w geście kreślenia znaku krzyża. Kiedy z dnia na dzień czasy robiły się coraz bardziej niespokojne, wierzyła tylko w opinie Jego Eksceleencji i wspierała historie na ich potwierdzenie.

- Zbyt pani łaskawa, ale sam cieszyłem się na to widowisko. Najmniejsza kupka śniegu, rzucająca cień coraz dłuższy i dłuższy, ptaki krążące niezmordowanie po ciemniejszym niebie, ostatnie, szkarłatne promienie kładące się na tafli lodu...

- Jak maliny ze śmietaną? - Anglik był najwyraźniej zachwycony produktem własnej wyobraźni.

- Coś bardziej melancholijnego... Ale tu, na północy, zachód słońca nigdy nie jest *triste*, nie sądzi pani? Ziemia pozostaje w tak bliskim związku z nocą, że wita ciemności niczym drogiego przyjaciela. Zachody słońca tu, w Piotro-grodzie, moim zdaniem są pełne nadziei, jak poranki w moim własnym kraju...

- Czyli nie zgodziłby się pan z Pompeyem, że więcej ludzi oddaje cześć wschodzącemu niż zachodzącemu słońcu? - Orłów często bywał na przyjęciach ambasadora i jak reszta gości cenił go jako wyjątkowego gospodarza. Stanowił doskonały produkt własnej, bardziej rozwiniętej cywilizacji, ale ostatnio jego umiejętności zabawiania poczęły irytować księcia. - A co z naszym świtem nad Newą? Czy jest pełen nadziei?

- Wasza Wysokość, kocham przyszłość. Bez względu na perturbacje, całkowicie ufam ludzkości, wierzę, że potrafi się sama uratować, wynieść na wyższy poziom, pokonać wszelkie

Kolia

469

cierpienia i dążąc do nadrzędnego dobra zniszczyć wszystkich wrogów. - Tak uchylił się od bezpośredniej odpowiedzi i zakończył kwiecistą przemowę ukłonem.

- Nawet Rosjanie? Na podstawie własnych obserwacji muszę stwierdzić, że instynkt samozachowawczy bardzo rzadko występuje wśród *homo sapiens* zamieszkujących szerokość geograficzną sześćdziesięciu stopni.

- Nie zmusi mnie pan, żebym nazwał pańskich rodaków bestiami. - Paleologue pogroził mu palcem jak przesadnie flirtującej kobiecie. - Jeśli chodzi o humanizm, to moim zdaniem Rosjanin może nauczyć resztę świata prawdziwego znaczenia tego słowa.

- Podobno wczoraj wieczorem śpiewali Marsyliankę w operze - Anglik chciał sprowadzić rozmowę na przyjemniejsze tory.

- O tak! Nigdy wcześniej nie słyszałem wspanialszego wykonania. Wasz cudowny bas, Szaliapin, przewodził całemu audytorium. Wszyscy łkali. Jakież głębokie uczucia. Nawet we Francji nigdy tego nie czułem. Dziś rano wysłałem telegram do Paryża: „Wszędzie chaos. Brak informacji. Szaliapin wspaniały. Sytuacja bez zmian”. - Goście się roześmiali wymieniając smutne spojrzenia.

- Jesteśmy artystami i za zaszczyt poczytujemy sobie budzenie inspiracji w ludziach zmęczonych wojną. Ale uważam, że mamy wyjątkowe szczęście w tych ponurych dniach, wyczuwając nieustanny, optymistyczny puls wspólnego bicia serc u naszych aliantów. Przekleństwem Rosji jest jej emocjonalna chwiejność, musimy przebywać z racjonalnymi umysłami Zachodu, aby nie oszaleć. - Tati zwróciła się do Orłowa z oczami pełnymi łez. -

Oczywiście mam podwójne oparcie w osobie mego męża, a pan dzięki tej słodkiej Angielce w domu. Zaś Wasza Ekscelencja, zawsze tak dobrze poinformowany, jest niczym promień światła w naszych ciemnościach.

- Oczywiście przetrwamy, ale patriotyzm stał się luksusem - westchnął Orłów. On też był dobrze poinformowany. - Jak i wiele przedmiotów codziennego użytku. Tabliczka czekolady kosztuje dziesięć rubli, buty ponad sto, a w fabryce zarabiają miesięcznie niecałe trzydzieści pięć. Przy takich cenach nie wiem, jak zwyczajny człowiek mógłby wytrzymać nawet dzięki takiemu towarzystwu, w jakim dziś spędzamy czas.

- Och rzeczywiście, drogi Miki, tak się angażujesz. Prawda, żyjemy w zaczarowanym świecie. Pod dostatkiem mamy tylko

Celia Brayfield

dyskusji i gazet. Więc poradź mi, najdroższy Miki, poproszono mnie, bym tańczyła w naszym najnowszym przedstawieniu w Kijowie. Czy twoim zdaniem powinnam jechać? - Oparła wystający podbródek na zgrabnej ręczce i uśmiechnęła się pytająco.

- Wasza Wysokość, proszę jej odradzić. - Anglik pochylił się opiekuńczo nad młodą żoną. - Przecież to szaleństwo, prawda?

- Zawrzało w najdalszych zakątkach kraju i teraz szumowiny z dna idą do góry. Żołnierze dezertują z frontu...

- Zapewne nieliczni. - Paleologue również znał prawdę, ale nie chciał niepokoić gości ani mówić nieprzyjemnych rzeczy o obcym kraju.

- Tysiące, może nawet... tak, z całą pewnością setki tysięcy. Prości ludzie, ufni, naiwni analfabeci, nasz szlachetny chłop w milionowej armii. Nie mogę ich za to winić - oficerowie posłali ich na śmierć zamiast rozmawiać z ich przedstawicielami. Ale jak tu winić oficerów? Ci ludzie rzeczywiście strasznie cierpią, w każdym innym kraju cywilizowanego świata warunki ich życia uznano by za skandaliczne. Cóż mogą począć oficerowie? Nic. Ale udekorować domy i zaprosić wroga? Och, nie! W końcu toczy się wojna. A więc do boju! Zwycięstwo albo śmierć!

- Jeśli nie wini pan oficerów - takie zdanie brzmiało niczym herezja w uszach Bruce'a, od kołyski uczonego o obowiązkach wyższych szarż - to kto jest odpowiedzialny?

- Ja sam. Cała arystokracja. Znajdujemy się na szczycie piramidy wydających rozkazy, więc do nas należy odpowiedzialność. Chłopi rzeczywiście przypominają bestie, ale szlachetne bestie. Jak konie potrafią wyczuć ramy swego pojmowania i wiedzą, że to my rządymy światem. W naszych rękach spoczywa troska o nich. I nie sprościliśmy temu zadaniu.

- Ale co się stanie z dezertarami? Chyba wrócą do domów? - W białkach oczu Anglika pojawiły się krwawe żyłki; wypił sporo szampana i dobrych win, a pod koniec przyjęcia raczył się koniakiem. Orłów wyobraził sobie, jak będą wyglądały przefiltrowane przez pokłady alkoholu jego słowa w jutrzejszym raporcie wysłanym do Londynu.

- Łatwo ich zauważyć tu, w Piotrogradzie, są chudsi od stałych mieszkańców. Przybywają, żeby wziąć udział w prawdziwej walce. Większość znajduje się o tysiące kilometrów od domu, a wielu nie ma do czego wracać. Dryfują po kraju

Kolia

471

niczym szczątki zatopionego statku, bolszewicy ich łowią w swe sieci, głód doprowadza do szaleństwa... - Mówił coraz ciszej. Nudzi gości, a to niewybaczalna zbrodnia. Powinien zachować dla siebie te ponure wizje. - Tati, moja droga, za nic w świecie nie chciałbym cię straszyć, ale w Kijowie mogą czyhać na ciebie większe niebezpieczeństwa niż dezterterzy, którzy wzięli się za rozbój. Kiedy zamierzasz wyjechać?

- Na początku lutego.

- Przed odwilżą... hmm, lepiej dla ciebie. Ale moim zdaniem cała Rosja się rozpada. Z raportów, jakie dostajemy w ministerstwie, wynika, że wszystkie narody się burzą

- Finowie, Polacy, Ukraińcy, Kozacy, Syberia, Kaukaz - wszędzie nacjonaści podjudzają ludzi. Ukraina nawet wysłała własną delegację pokojową do wroga. Za parę tygodni może się okazać, że do Kijowa będziesz musiała jechać z paszportem

- wcale nie żartuję, to się może zdarzyć.

- Czyli mam rację i nie powinna się zgodzić na wyjazd?

- nalegał Bruce.

- Ale kto prosi naszą Tati o przyjazd i czy w przyszłości gospodarze potrafią być dobrymi przyjaciółmi? - Pan domu odszedł od ciemnego okna i idąc ku nim po drodze uszczknął winogrono z kompozycji owoców na środku stołu. - Może w przyszłości będziesz zadowolona z wyjazdu? A i tutaj niedługo może się zrobić niebezpiecznie. Słyszałem, że powstał rządowy komitet ewakuacji Piotrogradu. Wielu ludzi sądzi, że niemiecka okupacja byłaby błogosławieństwem, skoro sowieci zniszczą wszystko, podobnie jak flota bałtycka, największa wylegarnia czerwonych w całej armii.

- O Boże! Dlaczego życie jest takie okropne? Miki, proszę o dobrą radę!

- Oto ona: jeśli sądzisz, że rewolucja nie wybuchnie przed zakończeniem wojny, to jedź do Kijowa, bo wiem, że pokój nie zostanie zawarty przed końcem roku.

- Nie mogę tego wytrzymać! „Jeżeli umrę, to w ciągu sześciu miesięcy stracisz syna i tron!” Tak powiedział Rasputin, prawda? Nie możemy dopuścić, by spełniły się słowa tego okropnego człowieka!

- Osobiście uważam, że rewolucja na pewno nie wybuchnie przez zawarciem traktatu. - Paleologue uważał, że gdy kobiety zaczynają cytować klątwy Rasputina, dżentelmen winien je pocieszać. Wszyscy dyplomaci w Piotrogradzie przebywając w towarzystwie Rosjan zachowywali dla siebie wszelkie wątp-

Celia Brayfield

liwości. Niemniej, Francuz popatrzył na Orłowa pytająco, bowiem nieoczekiwanie zapragnął lepiej poznać jego opinię.

- Oto zdanie zachodniego umysłu. - Orłów uznał, że nic nie straci mówiąc otwarcie. - Jesteśmy w Rosji, rządzący się tu innymi prawami, więc wszystko się może zdarzyć. To, co wiem o naszej przeszłości, wszystko, czego się nauczyłem o starożytnych cywilizacjach, przekonuje mnie, że państwo może osiągnąć punkt krytyczny zachwiania równowagi i gdy go przekroczy, nic już go nie ocali. Moim zdaniem Rosja zbliża się do tego punktu.

- No proszę. - Bruce ujął dłoń żony. - Czy teraz będziesz mądra?

- Ale, kochanie, wiem, ile będzie to znaczyć dla ludzi, jeśli tam pojedę. A poza tym jestem artystką, i to właśnie muszę robić. Przez całe życie byłam rozpieszczana - szczególnie wymownym gestem ręki omiotła całe wspaniałe pomieszczenie - żebym mogła występować. Ktoś to nazwie uleganiem hasłu „chleba i igrzysk”, ale to mój obowiązek i tak jak żołnierz winnam zapomnieć o własnym bezpieczeństwie.

Karsawina osiągnęła szczyt powodzenia i sławy. Jeszcze niedawno temu Orłów by po prostu wezwał oddział, aby odeskortowano ten skarb narodowy poprzez lokalne zamieszki, lecz w ciągu zimy w mieście wybuchały rozruchy; najlepsze regimenty poszły na front i nie mógł już obiecać pomocy.

Topniejąca stopniowo grupa optymistów przepowiadała, że zima wymrozi rebelię na śmierć, lecz bunt nieoczekiwanie się rozszerzał, niczym hydra, której w miejsce jednej odciętej głowy odrastały dwie nowe.

Brakowało Herkulesa, który by ją zabił.

Księżę był zmęczony. To nienaturalne utrudzenie wypływało z życia w kłamstwie. Jego codzienność składała się z monstrualnych półprawd. Stół przed nim zaścielała prawdziwa koronka przepleciona jedwabnymi wstążkami i zdobiły go bukietki niezapominajek wyhodowanych w oranżerii. Sztuśce były kopią sreber Katarzyny Wielkiej, przechowywanych w Ermitażu, a porcelana pochodziła z Limoges. Jedli *foie gras*, *quenelles de brocket* i dzikie kaczki. Potem zaproszony przez księżnę Witte, żonę byłego premiera, miał iść na galowe przedstawienie, gdzie Fokin i Krzesińska odtańczą pierwszy akt z *Don Kichota*, a dochód przeznaczono na pracownie dla kalekich żołnierzy.

Od początku wojny jego armia - myślał o niej jako

Kolia

474

O swojej armii, choć pod dowództwem generała Kornilowa, należała do całej Rosji - jego armia walczyła przeciw Niemcom bez uzbrojenia i prowiantu. Linie kolejowe zamiast sprawnie i niezawodnie przewozić ludzi i zapasy, niemal w całości uległy zniszczeniu. Żołnierze walczyli heroicznie, ale przegrywali, wielu zginęło, zaś ocalonym sojusznicy, zwłaszcza Francuzi, ubliżali za brak zwycięstw. Orłów popadał w rozpacz, gdy widział, jak jego starannie przygotowane plany rywale niszczą sabotażem, a głupcy pomyłkami.

Wyszedł z pogodnego przyjęcia, gdy tylko pozwoliły mu na to zasady dobrego wychowania, odesłał szofera i szedł piechotą ślizgając się, a nawet wywracając na śniegu pokrywanym grubą warstwą lodu. Zbliżała się piąta po południu, o tej porze tysiące mężczyzn wychodziło z przepastnych biur rządowych i ruszało do domów. W większości byli w średnim wieku lub nieco starsi, całe życie pochyleni za biurkami, pokornie oczekujący na awans, a każdy zgodnie z rangą miał na sobie wspaniały mundur, zaprojektowany przez Piotra Wielkiego, z carskim orłem na guzikach.

Na bocznych uliczkach było pusto, ludzie obawiali się ciemnych zaułków i szukali bezpieczeństwa na zatłoczonych alejach. W zimnym powietrzu i ponad wodnymi arteriami miasta niosły się echem stłumione odgłosy z odległych bulwarów.

- Pawłusza! Gdzie jesteś? - krzyczała młoda kobieta.

- Wychodź, dość żartów.

- Precz z rządem! - słyszał młodzieńcze głosy, a w odpowiedzi ktoś wzniósł okrzyk: - Władza w ręce rad!

- Gdzie kapusta, gdzie kwas - życia nie ma dla mas!

- rytmicznie skandowali robotnicy.

Gdy zbliżał się do mostu na rzece Mojce, zobaczył gang obdartych mężczyzn, wybiegających z bocznej ulicy na przeciwnym brzegu. W świetle lampy dostrzegł, że pierwszy chowa coś pod paltem. Za nim biegło dwóch chłopców, dalej starzec i wreszcie kobieta, tworząc mały, lecz rozwścieczony tłum, za nimi wprawdzie podążało czterech policjantów miejskich w samochodzie, ale przybyli za późno, by zatrzymać dezertorów uciekających ze zdobyczą.

- Złodzieje! Dlaczego policja ich nie wystrzela?

- Myślałem, że to niemieccy szpiegowie. - Biorący udział w pościgu zatrzymali się na rogu ciężko dysząc.

- Co ukradli? - Orłów zapytał chłopca prowadzącego

Celia Brayfield

pogoń; było to dziecko o wychudzonej, małpiej twarzy, które gdy się odezwało, sprawiało wrażenie starszego, niżby na to wskazywał jego wygląd.

- Nasze buty, proszę pana. - Dwie łzy popłynęły z jego oczu. Otarł je brudną dłonią. - Wszystko, co mieliśmy w sklepie. Przyszli i zabrali. Mama mnie zabije. Wyszła tylko na chwilę.

- Żydowski sklep, ot co - ludzie się rozchodzili, zaczęli marznąć, chociaż wcześniej rozgrzał ich bieg.

- Boże, chroń cara! Bić Żyda!

- Boże, chroń cara!

Dał wychudzonemu chłopcu monetę i ruszył dalej. Paręset metrów dalej, w pobliżu ulicy Rymskiego-Korsakowa, panowała głęboka cisza, charakterystyczna dla bogatych dzielnic. Przyzwyczał się do odwiedzania syna co wieczór nie tylko dlatego, że jak Tati szukał oparcia w cudzoziemskiej sile guwernantki, ale również dlatego, że w tych niebezpiecznych czasach jego jedyny potomek stał mu się boleśnie bliski. Orłów, kiedy był sam i niemal czuł zimny odech śmierci na karku, pragnął towarzystwa i widoku swego dziecka.

- Papa - powitał go Kola - musisz powiedzieć Charlotte, żeby nie oszukiwała, kiedy gra ze mną w lotto.

Przemyślałem to dziś dokładnie. Wiem, że *mamasza* oszukiwała, ale nie sądzę, by guwernantka mogła to robić, a ty jak myślisz?

Niańka wzięła od księcia palto z sobolowym kołnierzem i przyniosła kaptcie ozdobione wyhaftowanym z przodu herbem.

- Kola, to bardzo poważne oskarżenie. Skąd wiesz, że Charlotte oszukuje?

- Ona zawsze wygrywa, papa, więc na pewno oszukuje. W kącikach ust guwernantki siedzącej przy piecu pojawił się tłumiony uśmiech. Od wyjazdu Lidu korzystali przede wszystkim z saloniku na tyłach domu, gdzie bawełniane pokrowce w błękitne i zielone wzory osłaniały fotele.

- Wcale nie, już ci tłumaczyłam, Kola. Przestałam tylko ci dawać wygrać. Masz już siedem lat, gdybyś się postarał, to mógłbyś mnie pokonać.

Chłopiec popatrzył na nią srogo. Kola był ładnym, dobrze zbudowanym chłopcem o okrągłej twarzy, kręconych włosach i ustach wygiętych w zgrabny łuk. Zwykle nieco przymykał oczy, więc górna część źrenicy chowała się pod powieką i wyglądał, jakby złośliwie obserwował świat.

Kolia

475

- Zrobiłaś mi niedobrą zbroję - oskarżył ją obrażonym tonem.

- Wiem, że ci się nie spodobała, ale w poemacie jest napisane: „złota zbroja z damasceńskiej stali wykuta przez przebiegłego Saracena”, i taką właśnie zrobiłam.

W kącie leżały napierśniki i nakolanniki z kartonu, pomalowane na żółto i pracowicie ozdobione czarnym wzorem udającym filigranową mauretańską robotę.

- Kola, o co ci chodzi? To wspaniała zbroja. Nie podoba ci się? - Orłów znalazł hełm pod krzesłem i podniósł go, by przyjrzeć się starannemu wykonaniu. - Saladyn by się cieszył z dzieła tak zdolnego płatnerza. - Zauważył rumieniec zakwitający na policzkach Charlotte.

- Nie przypomina obrazka w książce. - Kolę zafascynowała jedna z bajek Puszkina, *Syn Olega Mądrego*. Ta historia opowiadała o walecznym księciu, który wygnał ukochanego konia, gdy czarownik przepowiedział, że zwierzę sprowadzi na niego śmierć. - Popatrz, papa, na tym obrazku Oleg ma kolczugę.

- Bardzo prawdopodobne, to Saraceni wynaleźli kolczugi, ale damasceńskie wzory rysuje się na zbroi, więc nie można ich zrobić na łańcuchach. Moim zdaniem to ilustrator się pomylił, nie twoja guwernantka. A dlaczego nazywa się je damasceńskimi?

Oczy dziecka przyglądały się uważnie twarzy ojca, próbując znaleźć odpowiedź.

- Wiem! Od miasta Damaszku! Papa, przeczytaj mi jeszcze raz, proszę!

- A może ty byś mi poczytał dziś wieczorem? Chłopiec niechętnie sięgnął po książkę.

- Nasz mały książę jest bardzo zmęczony - wtrąciła Charlotte. - W parku w czasie pogoni za hordami bezwzględnych wrogów spadł z konia i stłukł oba kolana.

- Mam nadzieję, że zniósł ból mężnie.

- Nie uroniłem ani jednej łzy, papa. Nie słuchaj Charlotte, ona zawsze kłamie.

- Kola, musisz się wyrażać o swojej guwernantce z szacunkiem. Jeśli chcesz, żebym ci czytał, musisz ją najpierw przeprosić.

Pod wpływem angielskiej guwernantki w domu zapanowała inna atmosfera. Brakowało beztróskiej ekstrawagancji i bałaganu Lidii, najbardziej wytworne pokoje zostały zamknięte,

Celia Brayfield

a wojna zmusiła Piotrogród do przyjęcia nowego stylu życia, więc całe gospodarstwo nabrało drobnomieszczańskiego charakteru, co niezwykle bawiło Orłowa, ponieważ jego metresa natychmiast by to skrytykowała.

W daczynie, którą ofiarował Lidii, zrobiono dom rekon-walescencyjny dla żołnierzy i niemal cała służba pojechała tam zajmować się pacjentami. Odesłano tam również większość koni, w mieście zostały tylko dwa, ale Charlotte zaskoczyła go prosząc w zamian o krowę, stadko kur i dojarkę. Śmiał się uważając ją za sawantkę, ale powzięcie takich kroków zaleciła jej w liście z Londynu zaniepokojona matka, i jej praktyczne rady okazały się niezwykle mądre.

Zwierzęta żyły więc w luksusowych stajniach, dając dość mleka i jajek dla całego gospodarstwa. W oranżerii egzotyczne kwiaty ustawiono w ciemnym kącie, a w wielkich donicach rosły melony, pomidory, ogórki i dynie. Pozostali służący, dla których przezorność była niemal jednoznaczna z czarami, patrzyli na guwernantkę z szacunkiem podszytym przesądnym lękiem.

Kiedy Orłów czytał synowi, Charlotte usłyszała pukanie do drzwi i wyszła na korytarz, gdzie stała przerażona pod-kuchenna, gniotąc rąbek fartucha w zaczerwienionych dłoniach.

- *Madame*, nie mogę iść, proszę mnie nie wysłać. Nie wykręcę się, naprawdę, ale proszę mnie nie wysłać.

- Gdzie wysłać, głuptasie?

- Po cukier, *madame*. Kucharka mówi, że muszę iść, a moje buty tego nie wytrzymają, przysięgam. Tyle godzin czekania na śniegu i deszczu. Już się rozpadają, *madame*...

- Ale musimy mieć cukier, Leno. Jak inaczej podać herbatę?

- Och... - Dziewczyna aż zmarszczyła brwi nad tępyimi oczami próbując myśleć. - Nie wiem, *madame*, nie przyszło mi do głowy o to zapytać.

- Pójdiesz jutro, a po powrocie oddamy twoje buty do szewca. Dobrze?

- Ale, *madame*...

- Nie mogę znów wysłać z tobą Miszy. Jest za stary, to by go na pewno zabiło.

- Ale ja się tak boję iść sama. - Choć z natury spokojna, dziewczyna wpadła w histerię. - Muszę iść? A może to kolej Elizy?

Kolia

477

- To byłoby niesprawiedliwe. Może poszłybyście razem? Wprawdzie obie się nastoicie, ale przynajmniej będzie wam raźniej. Przyślij mi Elizę, to jej to wytłumaczę. I poproś kucharkę, żeby popytała, czy z któregoś z sąsiednich domów nie idzie jakiś mężczyzna, czułybyście się z nim bezpieczniej?

- Och, *madame*, dziękuję... - rzuciła się do przodu i ucałowała dłoń Charlotte. - Pani jest taka mądra i dobra. Nie wiem, jak byśmy sobie poradzili bez pani.

- O co chodzi? - zapytał Orłów stając w drzwiach. Choć w ostatnich miesiącach zmizerniał i troski naznaczyły jego twarz, nadal jednak uważała go za przystojnego mężczyznę, zwłaszcza gdy miał na sobie mundur. Wyglądał na rozbawionego, co mu się bardzo rzadko zdarzało. Wiedziała, że uważał za absurdalne jej tłumaczenie służbie logiki poleceń, skoro jego zdaniem wystarczało tylko wykrzykiwać rozkazy.

- No, zmykaj, Lena. - Dziewczyna, która wgapiła się w pana przerażonym spojrzeniem, dygnęła i odeszła, a jej kwadratowe biodra kołysały się z przejęciem. - Młodsze służące na zmianę stoją w kolejce. Lena nie chce iść jutro rano po cukier dla nas i tyle.

- Zdaje się, że słyszałem coś o butach?

- Tak, ale to nie jest prawdziwy powód. Kolejka po cukier ustawia się coraz wcześniej, ludzie zbierają się już przed świtem i ona się boi wyruszyć po ciemku. A kiedy rano przyszedł listonosz, przeraził ich wszystkich historiami o bójkach przy chlebie zeszłej nocy. - Charlotte nie uważała za stosowne dłużej rozwodzić się nad tym tematem. Kiedy piastunka poprzednim razem szła po cukier, napadła na nią banda przyczajonych rabusiów i zgwałciła, a teraz Lena obawiała się tego samego losu.

- Powiedz jej, niech się nie boi, wyślę tu kogoś. Miałas rację, Kola jest bardzo zmęczony. - Orłów wskazał na synka skulonego na krześle. - Zanieść go na górę?

- Och tak, jak miło z pana strony.

W domu, poza Miszą, stajennym, który był na wpół sparaliżowanym starcem - rezultat strzaskanego kolana w młodości - znajdowały się same kobiety, a Kola wyrósł na ciężkiego chłopca.

Niańka przebrała śpiące dziecko w nocną koszulę i położyła do łóżka. Książę pocałował go w czoło i zszedł na dół posiedzieć przy piecu z Charlotte. Nie rozpaliała ognia na kominku, bo brakowało opału, bandyci często kradli po

Celia Brayfield

drodze drewno przysyłane z majątków Orłowa, więc musiało im starczyć ciepło płynące od kafli.

- Listonosz przyniósł nam dziś list od *madame*, chociaż stempel jest z września z Francji. - Podała mu kartkę pokrytą nieczytelnym, kanciastym pismem. - Widać, że nadal leży w łóżku. Tak bardzo się o nią martwię. Po jej listach sądząc, przechorowała cały ubiegły rok.

- Opiekują się nią troskliwie i mieszka w zdrowym klimacie. Tu, w Petersburgu, nie możemy jej nic pomóc. Niepotrzebnie się zamartwiasz.

- Na pewno cierpi nad tym, że pan i Kola są od niej daleko...

Książę uśmiechnął się myśląc, że ta Angielka, uosobienie delikatności i wierności, przypisywała Lidii swoje własne, czyste motywy. Dla niego ten Ust był pełen histerycznych uzależnień nad sobą. Wyobraził sobie, jak Lidia spoczywa w słońcu na tarasie z widokiem na Morze Śródziemne, zajada słodczyce i popija lemoniadę, zupełnie nie zdając sobie sprawy z ciężkiego losu przyjaciół w Rosji, którym naprawdę groziło zamrożenie lub śmierć głodowa.

Orłów pomyślał, jak Lidia by z niego drwiła, widząc go plotkującego przyjaźnie z guwernantką i przyglądającego się z zadowoleniem kapciom, które dla niego wyhaftowała. Pracowała teraz nad wierzchem podnóżka i często przesiadywał z nią godzinami, od czasu do czasu zaglądając do książki. Dla postronnego widza wyglądali jak niski rangą, prowincjonalny urzędnik z żoną.

Księżca nigdy nie interesowała służba, a zwłaszcza kobieca. Rządca kierował jego domem i Orłów nie chciał słyszeć o osobistych problemach sług. Guwernantka była inna. Nie należała do kategorii chłopów pańszczyźnianych, lecz niezależnych pracowników, ale przede wszystkim zaciekała go zmiana, jaka zaszła w synu i całym domu, odkąd Charlotte przejęła nad nimi kontrolę.

Lidia sprzeczała się ze służbą; ciągle kogoś odsyłała

1 wyrzucała, a co dzień wybuchały głośne sprzeczki. Często ginęły różne przedmioty, więc mnożyły się oskarżenia o kradzież. Rzeczy się psuły, nikt ich nie oddawał do naprawy. Ogień w piecach gasł, palmy wysychały, konie kulały.

Książę wróciwszy z Londynu zastał zupełnie inny dom, gdzie królował porządek, słudzy byli radośni, a czasem nawet pracowici i panowała miła atmosfera. Najbardziej uderzyły go

Kolia

480

zmiany w synu. Znacznie wyrósł, jego temperament złagodniał i chłopiec wykazywał inteligencję. Orłów tak mało wiedział o zarządzaniu domem, że niemal wyobrażał go sobie jako samoregulujący się mechanizm. Zdumiało go, że w ciągu paru miesięcy jedna kobieta może dokonać tylu zmian, szczególnie Charlotte, osoba tak spokojna. Zaczął z nią rozmawiać, by zgłębić tę tajemnicę, i natychmiast odkrył, że zrobiła to z uwielbienia dla chlebobawczyni. Lidia ją oczarowała i dziewczyna nie dostrzegała w niej samolubstwa, które sama tak skutecznie zwalczała.

- O mój Boże... Gdyby tylko *madame* tu była - mówiła, gdy przekazywał złe wiadomości lub wyliczał swe najnowsze niepokoje. - Jest tak dowcipna, pełna życia, z nią w domu nie można popaść w rozpacz. Boję się, że w porównaniu z nią moje towarzystwo bardzo pana nudzi.

Gdy upłynął pierwszy rok wojny i opadła fala patriotyzmu, a zaczęło brakować żywności, zauważył jej dobroć. Połowa znajomych Lidii najwyraźniej wiedziała, że w tym domu niczego nie brakuje, a pani ma dobre serce. Stara, prostoduszna służąca Karsawiny przychodziła każdego ranka po mleko dla maleńkiego syna tancerki. Często zaglądała Maria Nikonowna, matka dwojga dzieci. Pewnego popołudnia Orłów dostrzegł, jak z kuchennych drzwi wyszedł ukradkiem blady młodzieniec o zapadniętych piersiach; dźwigał koszyk i zawiniątko, a chude ramiona okrywał paltem z wyleniałym kołnierzem z rudego lisa, które kiedyś należało do Dawidowa, lokaja księcia.

- To młodszy brat *madame* - wyjaśniła guwernantka, gdy ją zapytał o chłopaka. - Przyszedł tu po raz pierwszy parę tygodni temu.

- Nie wiedziałem, że ktoś z jej rodziny jeszcze żyje.

- Doskonale pamiętał, jak Lidia włożyła w emaliowane ramki zniszczoną fotografię i wdychała nad śmiercią jej oddanych rodziców, którzy umarli w odstępie kilku tygodni na tyfus w czasie epidemii.

- Nie byłem pewna, bo nigdy o nich nie wspominała, a jeśli już, to jako o zmarłych. Tymczasem się okazało, że nie mieli pieniędzy, by ją utrzymywać, i ich drogi się rozeszły.

- Charlotte starannie ukrywała swe uczucia. Lidia jej opowiadała z wściekłością, jak matka wyrzuciła ją z domu.

- Może to oszust? Pomyślałaś o tym?

- Na dowód przyniósł dokumenty i sprawia wrażenie dość inteligentnego. Jest urzędnikiem, ale sam utrzymuje matkę

Celia Brayfield

i cały czas kaszle, moim zdaniem choruje na gruźlicę. Dałam mu resztki i stare ubrania. Mam nadzieję, że się pan nie gniewa.

Zaczął dostrzegać w niej piękno. Była drobna, o prostych, niepozornych rysach. Ostry klimat zamiast przydać twarzy bladości, nadał jej kolorów, a nawet odcienia śniadości, więc przy ciemnych włosach bardziej wyglądała na Włoszkę niż mieszkankę Północy. W jej oczach błyszczała inteligencja, ale miała zawsze spokojny wyraz twarzy i nigdy nie podnosiła głosu.

Z czasem zrozumiał, że jej rezerwa wywodzi się z dzieciństwa, które spędziła zajmując się na wpół sparaliżowaną matką i czwórką młodszego rodzeństwa. Jej rodzice byli nauczycielami i jak większość angielskiej inteligencji byli zafascynowani Rosją.

Charlotte zbliżała się do trzydziestki i powinna wyjść za męża, ale podejrzewał, że na przeszkodzie stało jej oczarowanie Lidią. Przed wybuchem wojny jeździła do domu co dwa lata; gdy dowiedział się, że ma narzeczonego, artystę, zaproponował, że wyśle ją do ojczyzny, ale przerażona odmówiła, nie wyjaśniając przyczyn.

- Jego strata, a nasz zysk - ustąpił w końcu. - Ale zastanów się jeszcze raz w lecie i przyjdź do mnie natychmiast, jeśli zmienisz zdanie. Niemcy wprawdzie zajęli Morze Bałtyckie, ale nigdy nie zapanują nad Arktycznym - powiedział na zakończenie tamtej rozmowy.

Wstał i podszedł do biurka, gdzie każda rzecz leżała na swoim miejscu. List od Lidii powędrował do szuflady przeznaczonej na korespondencję od niej.

- Czy listonosz przyniósł coś dla ciebie, Charlotte? Wiadomości z domu?

- Jak miło, że pan zapytał. Tak, dostałam parę listów. Mamie się nie polepszyło. Brat nie pisze, co znaczy, że na pewno zginął pod Verdun. A fabryka broni w Londynie wyleciała w powietrze z tak wielkim hałasem, że słyszeli go na wsi, jakby... - w zamyśleniu ujęła czubek krótkiego, prostego nosa - wybuch w Wyborgu. Zginęło siedemdziesiąt osób.

- Na pewno sabotaż - pokiwał głową. - Ze względu na morale muszą twierdzić, że to wypadek. A jak twój Walter? - Śmieszyło go imię jej narzeczonego.

- Zdrowieje, ale jeszcze nie może myśleć o powrocie do swojego regimentu. Jest cierpliwy, ale moim zdaniem zaczyna go to męczyć. - Wpatrywała się uparcie w igłę, wiedząc,

Kolia

481

że kłamie nieudolnie. Orłów oburzyłby się poznawszy prawdę, że mężczyzna, którego ma poślubić, to pacyfista, a do tego w więzieniu. Na początku wojny wymyśliła, że został zraniony w płuca i od tego czasu opowiadała o jego pobycie w sanatorium.

- Czy nie wróciłby szybciej do zdrowia pod czułą, kobiecą ręką?

- Na pewno troszczy się o niego wiele kobiet.

- Nie martwisz się, że się może w którejś zakochać?

- Pan się ze mną droczy.

- Proszę o wybaczenie, zapomniałem, jaka pani poważna. - Rzadko się śmiała i uważał to za jej jedyną wadę. Zmienił temat i miło spędzili czas do ósmej, gdy przyjechał po niego szofer. Księżna Witte nie zadowoliliby się datkiem w miejsce obecności księcia, ale odkąd jego metresa wyjechała, rzadko pojawiał się na przedstawieniach baletowych. Nie zapomniał polecić kierowcy, by wybrał najsilniejszego parobka w stajniach i posłał go do willi, żeby żadna krzywda się nie stała podkuchennej, stojącej w kolejce po cukier.

Kilka dni później przybyła delegacja angielskich, francuskich i włoskich polityków. Ich zdaniem wojna została już niemal wygrana i chociaż Rosjanie stracili wszelką nadzieję na zwycięstwo, to jednak rozmowy na temat warunków traktatu pokojowego toczyły się nadal. Towarzystwo pio-trogradzkie, już gotowe zatopić się w nastroju nieuchronnej tragedii, postanowiło mimo wszystko uwierzyć, że interwencja zachodnich aliantów może odwrócić bieg wydarzeń, i na ich cześć zorganizowało liczne rozrywki. Delegaci, zmęczeni i przepracowani, nie mogli nadażyć za feerią przyjemności i z wdzięcznością przyjęli dwudniowy, wypoczynkowy pobyt w Moskwie.

Orłów pojechał z nimi. Z okien pociągu dostrzegał oznaki głodu i rabunków po wsiach. W stolicy widział, że panika ogarnęła całe miasto. Brytyjczycy, górujący liczebnie nad reprezentantami pozostałych dwóch krajów, zostali zaproszeni na prywatne spotkanie przez burmistrza Moskwy i księcia Lwowa, przewodniczącego rady miejskiej.

Arystokracja zawsze brała żywy udział w pracach władz lokalnych; Orłów nie tylko szanował Lwowa jako równego sobie urodzeniem, ale uważał także za jednego z nielicznych polityków w kraju, godnych respektu. Poczł się zaszczycony, gdy uzyskał zgodę na udział w spotkaniu.

Celta Brayfield

Lwów mówił z ociąganiem; zwykle zachowywał się bardzo spokojnie, a teraz do tego doszło jeszcze ogromne zmęczenie. Na wypadek, gdyby z tego powodu nie potraktowano jego słów poważnie, przygotował długi raport.

- Panowie, oto nasza opinia w największym skrócie: jeżeli podejście cara i jego rządu nie ulegnie zmianie, to według nas w ciągu trzech tygodni w kraju wybuchnie rewolucja. A na nowy rząd będzie wywierany bardzo silny nacisk, żeby wyrwać kraj z wojny. - Usiadł, a straszliwe utrudzenie widoczne w jego ruchach przemawiało mocniej niż płomienne mowy czy artykuły.

Resztę czasu zmarnowano na pięciogodzinny, uroczysty bankiet i gdy delegaci odsypiali go w drodze powrotnej do Piotrogradu, Orlów myślał o przyszłości i o swym synu. Jeśli Lwów ma rację, to kraj niedługo pogrąży się w zamięcie i terrorze, wobec którego najczarniejsze dni rewolucji francuskiej będą się wydawały niewinną igraszką. Żaden cud narodowego odrodzenia nie sprawi, by Rosjanie łagodnie pozbyli się arystokracji; on i cała szlachta staną się wrogami ludu i zostaną unicestwieni po rosyjsku - brutalnie, bezsensownie i najpewniej wprost na ulicach.

Nie przejmował się swoim losem. Działając w życiu politycznym popełnił fatalny błąd niezależnego myślenia, przyłączał się do zbyt wielu ugrupowań, miał zbyt wielu przyjaciół. Nie był Talleyrandem, który potrafił szczęśliwie płynąć przez sztormy, nastawiając żagle na powiew wiatru nowych poglądów. Nie pasował do swoich czasów i wiedział, jaki los spotykał takich ludzi. Przetrwiał oskarżenia o czerpanie niegodziwych zysków i na jego barki próbowano zrzucić odpowiedzialność za klęskę armii. Zaś towarzysko należał do skazanego na zniszczenie środowiska carskiego dworu.

Nic go nie ocali. Nawet przez chwilę, nawet w najgłębszych zakątkach swego umysłu, nie zastanawiał się nad ucieczką.

Jednak pragnął jej z całej duszy dla swego syna. Kola musi zostać natychmiast przewieziony w bezpieczne miejsce, a z nim Charlotte; dom opróżnią i zamkną. Wyobraził sobie straszliwy obraz nie pogrzebanego ciała dziecka, leżącego twarzą w dół na zakrwawionym śniegu, rozrywanego przez kruki i wilki, może nawet wcześniej poszarpanego przez katów. Wiedział, że zagłodzeni ludzie uciekają się do kanibalizmu, choć nie pisano o tym w oficjalnych raportach. Niewinność dziecka stawała się jeszcze bardziej

Kolia

483

tragiczna przez fakt, że nigdy nie będzie mogło nosić imienia Orłowych. Patrząc na sytuację z punktu widzenia arystokraty, zdradził swego syna, gdy na matkę wybrał zwykłą kobietę, ale mógł odkupić tę winę ratując dziecko od skutków przekleństwa błękitnej krwi.

Przybywszy do Piotrogradu nie poszedł spać, lecz udał się do ministerstwa i zamówił przepustki. Osobiście rozmawiał z ambasadorem angielskim twierdząc, że jego angielska guwernantka, wdowa z dzieckiem, musi natychmiast wracać do ojczyzny. Urzędnik od razu zorientował się w kłamstwach Orłowa, ale zauważył, że księżę, choć znany ze zrównoważonego zachowania, jest tak przejęty, iż nie dostrzega jego niedowierzania. Orłów wyszedł z wpisem na syna Mikołaja, urodzonego w 1910 roku, do paszportu Charlotte, i listem do kapitana statku z węglem, który miał wyjść za dwa tygodnie z Murmańska, portu na Morzu Arktycznym.

Upajał się spokojem domu przy Rimskiego-Korsakowa tylko przez chwilę, potem głęboko zaczerpnął tchu, by wezwać guwernantkę i zarządzić ewakuację.

- Wszystkie cenne rzeczy muszą zostać przewiezione w bezpieczne miejsce. Chcę wysłać ciebie i Kolę do Londynu. Jeżeli ludzie dowiedzieliby się, kim on jest, mogłoby to spowodować zagrożenie, więc wpisałem go do twojego paszportu jako syna. Pojedziecie na północ, do Murmańska, pociągiem, jutro wieczorem ma odjechać transport wojskowy. Dostaniesz eskortę, mam nadzieję, że znajdę oficera godnego zaufania. Musisz się natychmiast spakować, po waszym wyjeździe dom zostanie zamknięty. Nie spieraj się - powiedział, widząc, że chce protestować.

- To, co usłyszałem w Moskwie, przekonało mnie, że to konieczne. Masz przepustkę na statek do Londynu, wprawdzie frachtowiec, ale nie wiadomo, kiedy popłynie następny, więc nie miałem wyboru. Stamtąd pojedziesz do Monaco, najszybciej, jak tylko zdołasz. Przesyłam pieniądze na twoją podróż do banku w Londynie, ale weź tyle klejnotów, ile zdołasz ukryć w odzieży...

- Przecież nie będziemy tego...

- Wierz mi, moja droga, w tej chwili niczego nie możemy być pewni. Gdzie jest mój synek?

- W kuchni. Kucharka daje mu drugie śniadanie, uciekła jedna z nianieek, a z nią Lena.

- Więc się zaczyna. Wkrótce wybuchnie powszechna panika.

Celia Brayfield

Przytaknęła wyglądając jasnobłękitną, kaszmirową sukienkę i zastanawiając się, co trzeba zrobić.

- O nieba! Dlaczego ja tu stoję jak słup? Nie zdążymy ze wszystkim!

- Myśl tylko o małym i swoim bezpieczeństwie. Nie martw się o dom. - Był już w połowie schodów, gdy to mówił.

Kilka godzin później przyszedł do pokoju dziecinnego, gdzie siedziała nad stosem ubrań robiąc listę. W pomieszczeniu stało wąskie łóżko, na którym w nocy spała pokojówka, kanapa, stół i krzesła. W jednym rogu urządzono kącik szkolny z półkami i biurkiem, tu Kola odrabiał lekcje. Już dawno wyłączono prąd elektryczny w tej części miasta, więc dwie lampy naftowe oświetlały wnętrze.

Księżę trzymał w dłoniach zawartość sejfów: drewniane pudełka i skórzane woreczki z biżuterią, cenne drobiazgi, złote monety. Kola jedzący przy stole chleb z dżemem wydał okrzyk zachwytu i ojciec położył wszystko przed nim. Orłów opróżniał pojemniki jeden po drugim, i stos drogich kamieni zalśnił w ciepłym blasku lampy. W ostatnim pudełku znajdowała się brylantowa kolia.

- Chcę, żebyś zabrała, ile zdołasz.

- Ale... musimy to jakoś ukryć. - Jej oczy rozszerzył zachwyt na widok takich skarbów. - Jeżeli mam podróżować pod moim nazwiskiem, a Kola jako mój syn... to jakżeż guwernantka mogłaby wejść w posiadanie choćby najmniejszego z tych klejnotów? - Przymierzyła mały pierścionek z rubinów i brylantów. Na skromnej kobiecie w prostej sukience wyglądał podejrzanie krzykliwie.

- To należy do Koli z racji jego urodzenia. Kto wie, jeśli wydarzy się najgorsze, może tylko tyle ode mnie dostanie. - Orłów sprawiał wrażenie bardzo przejętego, dłońmi ścisnął czoło.

Charlotte wzięła jedną po drugiej dwanaście gałązek, którymi Lidia dekorowała stół w czasie najbardziej wytwornych przyjęć. Miały po dziesięć centymetrów i umieszczono je w kryształowych wazonikach tak wyciętych, że wyglądały na wypełnione wodą. Na złotych gałązkach przy każdym ruchu drżały listki z nefrytu, agatu czy szmaragdu. Pierwszą Lidia dostała od księcia na Wielkanoc - brzoszową, z emaliowaną, białą korą, ze złotych pączków wynurzały się zielone czubki listków, następne zamówiła później sama.

Kolia

486

- Taka z nich była dumna. Nikt inny takich nie miał. Chyba się połamią?
 - Nawet w kawałkach pozostaną cenne, przecież są ze złota.
 - Tylko że zginie ich cała uroda. Jeżeli ktoś u mnie znajdzie takie rzeczy, wcale się nie zdziwię, gdy mnie oskarżą o kradzież. Może uda mi się wszyć drobniejsze przedmioty w nasze palta... odpruć podszewkę i włożyć je do środka. W watolinie powinny się dobrze schować.
- Zadzwoiła po niańkę, która nie uciekła i wyjąwszy nożyczki z koszyka do robótek wzięła się do pracy. Kola, bardzo już zmęczony, zawył z wściekłości, gdy powiedziała, że ma zamiar wepchnąć naszyjnik w jego lwa, ale po chwili, znużony silnymi przeżyciami, mocno zasnął i łagodnym ruchem wyciągnęła zabawkę z jego objęć. Lew był zrobiony z miękkiej skóry pokrytej żółtym futerkiem. Z czasem wyłysiał, a skóra stwardniała. Delikatnie rozpruła szwy na brzuchu zwierzątka i wyciągnawszy kłęby waty, próbowała wsunąć do wnętrza kolie.
- Zrezygnowała po półgodzinie powolnych i ostrożnych manipulacji.
- To na nic. Muszę wymyślić coś innego. Miejmy nadzieję, że potrafię przywrócić biedaka do poprzedniego stanu.
 - Może to się zmieści? - Wziął do ręki brzoźową gałązkę. Przyłożyła ją do zabawki i owinawszy w kawałek płótna, wsunęła do środka.
- Miał zamiar pójść do siebie i wrócić rano, ale zbyt przywykł do jej towarzystwa. Piastunka zasypiała nad swoim szyciem, więc odesłali ją do łóżka.
- Co się stanie ze służbą? - zapytała Charlotte po jej wyjściu.
- W ogóle się nad tym nie zastanawiał.
- Mogą odejść po waszym odjeździe. Oczywiście, zapłacę im.
 - Ale stary Misza... on nie ma rodziny. - Odcięła nitkę
- 1 odłożyła na bok palto z broszkami wszytymi w jego skraj. Zaczęła rozpruwać jedną z czapek dziecka.
- Zajmę się nim. Doskonale zna się na zwierzętach, przyrządza maści i okłady. Niech dożyje swoich dni w stajniach.
 - Zastanowił się, jak długo przetrwają stajnie Orłowa z ich słynnymi siwkami.
 - A co z dojarką? Trochę ociężała na umyśle, ale przed wojną zaręczyła się z chłopakiem we wsi.

Celia Brayfield

- Odeślę ją. Może pojechać z następnym ambulansem.

- Nie zapomni pan? - Popatrzyła na niego jakby zmuszając do zapamiętania i oblizała koniec nitki. Ujęła ją delikatnie ustami, górna warga zachodziła odrobinę na dolną.

- Na miłość boską, przecież to nie pani sprawa. Dlaczego się nimi teraz martwić? - Zauważył, że się przestraszyła, i pożałował ostrości. - Przepraszam. I proszę się nie martwić. Wszystkimi się zajmę.

- A pan? Co pan zrobi?

- To, co muszę. Nic. Sam nie wiem. Szukała tematu do rozmowy.

- Odwiedziła nas dziś rano Maria Nikonowna. Kierowca tramwaju zatrzymał się, żeby ją przepuścić, i zawołał: „Idźcie, towarzyszek!” Strasznie się tym przejęła, wpadła w histerię. - Roześmiał się, a jej to poprawiło nastrój.

Po pewnym czasie przyniósł mapę i pokazał jej linię kolejową, port oraz wyjaśnił, jakie dokumenty, zezwolenia, listy i przepustki dla nich przygotował. Strach sprawił, że oboje reagowali nerwowo. Ciągłe powtarzała się sekwencja -ona się z nim spiera, on na nią warczy, wzajemne przeprosiny; a im dłużej walczyli, tym bardziej oplatała ich lepka pajęczyna rosnącej bliskości. Przez cały czas pruć i zszywała, stos klejnotów malał w oczach, aż została kolia, stosik gałązek i wąska, pokrzywiona bransoletka ze złota. Biła północ, gdy guwernantka wstała i wyprostowała się, unosząc ramiona ku górze.

- Nie widzę dobrze, tak mi się zmęczyły oczy. Starczy mi czasu rano, żeby to skończyć, prawda? - To jej ostatnia noc pod tym dachem.

Wstał także i pomyślał, że ich przyjacielska kłótnia ogromnie przypominała zachowanie kochającego się małżeństwa.

Dalszy rozwój wypadków zaskoczył ich oboje. Myśli Orłowa o śmierci obudziły w nim prymitywne żądze, które nim całkowicie zawładnęły. Wyciągnął ku niej ręce, objął w talii i pociągnął ku sobie patrząc w jej lśniące oczy i widząc, że lęk również coś w niej poruszył. Aż syknęła ze zdumienia. Pod dłońmi wyczuł, jak traci oddech, jak szybko bije jej serce, na policzku spoczęły mu jej rozchylone usta.

Oboje drżeli, wiedząc, co zaraz nastąpi.

- Jesteś mi taka droga - wyszeptał.

- Jak i ty dla mnie. - Mówiła tak cicho, że ledwo ją zrozumiał. Uniosła głowę i w tym momencie puściły ostatnie

Kolia

487

hamulce. Całowali się tak mocno, jakby chcieli wyssać z siebie życie, a namiętność całkowicie ich pochłonęła. Charlotte pamiętała te chwile do końca swego życia. Przeraziła ją siła jej własnych uczuć. Nigdy się nie przyznawała do trawiących ją, wewnętrznych płomieni, tłumiła je, pozbawiała paliwa. Teraz zrywała ubranie swoje i jego, bez wstydu oddała mu swe ciało i uległa przemocy własnych instynktów.

Gdy znalazła się niemal na krawędzi śmierci, usłyszała swój własny krzyk i przypomniałszy sobie o dziecku, przyciągnęła do ust dłoń Orłowa. W ekstazie nawet nie poczuł, że ugryzła go w rękę. Rano zdumieni patrzyli na rozmazaną po pościeli krew.

Wątki promień słońca zabłysnął w okienku i przesunął się na stół, budząc do życia diamenty w kolii.

- Masz rację - powiedział patrząc na nie i czubkiem palca przesuwając w jaśniejący stos. - Mogłaby cię zdradzić. Jest za duża i nawet głupiec się zorientuje, że to własność arystokratycznej rodziny. Moja matka często ją zakładała pozując do portretów.

- Mały nie budzi się wcześniej, ale może nas usłyszeć.

- Zapinała suknię przyglądając zagniecenia. Nie odpowiedział, więc podeszła do niego i odważnie zaproponowała, że pomoże mu się ubrać. - To kolia Orłowych, powinna zostać z tobą. Może... Gdyby...

- Za grosz nie wierzę w żadne gdybania. - Mówił z trudem, za gardło dusiła go pewność, że tej nocy splodzili dziecko.

- Ale musisz mieć nadzieję!

Z sąsiedniego pokoju dobiegło senne mamrotanie Koli. W tym momencie Orłów pocałował ją ostatni raz.

- Zajrzyj do niego, a ja to włożę z powrotem do sejfu. Zaskrzypiało łóżko dziecka i malec pojawił się na progu trąc oczy.

- Ale nikt nie będzie pilnował domu. Sejf tylko wskazuje złodziejom, gdzie są cenne rzeczy. Nie lepiej wysłać do Fabergego? Albo do banku?

- Jeśli wszystko się załamie, to zaczną się rabunki, motłoch wylegnie na ulice, bank nie będzie bezpieczny.

Patrzyli na siebie niepewnie, gdy chłopiec podszedł do stołu i palcem wprawił w drzenie nefrytowe listki na gałązce wierzby.

- Wieśniacy chowają rzeczy pod podłogą, w kominie...

- pomyśleli o pokojach na dole z parkietami wyfroterowanymi do połysku i ścianami pokrytymi jedwabiem.

Cetta Brayfield

- Ściany w spiżarni są tylko pobielone. Nim zbudowaliśmy pralnię, stał tam kocioł, stary komin jest nietknięty.

- Bardzo dobrze. - Włożył naszyjnik do pudełka i zatrzasnął wieczko. - Jak Elektra, ukryjemy skarby w ścianie.

Powiedz, żeby Misza przyniósł mi narzędzia, a potem go odeślij. Nikt poza nami nie może o tym wiedzieć.

Gdy się ściemniło, służba zaczęła popłakiwać. Tuż przed ich odjazdem i Kola łkał na cały głos, a oczy pocieszającej go Charlotte wypełniły się łzami. Wszyscy mieszkańcy domu jak na wezwanie zebrali się w hallu i razem dokonali chłopskiego rytuału stosowanego przed wyjazdem - usiedli i przeżegnali się. Orłów w skromnym palcie pożyczonym od szofera odprowadził ich na dworzec i oddał pod opiekę młodego oficera marynarki wojennej.

Podróż na północ była męcząca, ale spokojna. Pociąg wolno przemierzał połacie zaśnieżonej równiny, na której jeziora niczym nie różniły się od łąk. Widzieli parę łosi i polujących z sań myśliwych. Kola biegał po korytarzach i marynarze go rozpieszczali, ucząc rubasznym piosenek i karmiąc twardymi sucharami z racji żywnościowych; stracił na nich dwa mleczne zęby.

Charlotte stała w rogu przy oknie, a w jej głowie boleśnie mieszał się lęk z namiętnością. Oczy paliły ją od wpatrywania się w śnieg. Bała się o Orłowa, o chłopca, a teraz i o siebie, wiedząc, do jakich przerażających wyuzdań jest zdolna. Jej pobudzone uczucia nie dawały się stłumić i zmuszała umysł do skupienia uwagi na czymś innym. Nie przypuszczała, że istnieje tyle odcieni białości. Ten pusty krajobraz emanował dziwnym pięknem, gdy w śniegu zginęły czarne bagniska. Na dywanie bieli tkwiło tylko parę drzew, powyginanych i umęczonych przez wyjące wiatry, przypominały o brzydocie ukrytej pod puchem. Miała pod ręką ołówek i notes spakowany dla dziecka, ale widząc, że i tak się dobrze bawi, wyjęła je i zaczęła rysować.

Pierwszego dnia morskiej podróży, telegraficznie przekazano na statek wiadomość o abdykacji cara i kapitan powiadomił o tym garstkę pasażerów. Płynęli przez szare, wzburzone fale i w końcu marca dotarli do Aberdeen. W Londynie rodzina Charlotty była w żałobie po jej dwóch braciach i narzeczonym starszej siostry. Jej matka wreszcie zbliżała się spokojnie do schyłku życia. Na Atlantyku niemieckie U-boty zatopiły setki statków handlowych i żadna firma nie podejmowała się zabierania pasażerów.

Kolia

489

Czuła się dziwnie w Anglii, a jeszcze dziwniej we własnym domu. Ludzie narzekali na racjonowanie chleba i obrażali się, gdy im mówiła, że nie mają pojęcia o prawdziwej biedzie. Siostry traktowały ją z dystansem i szybko zdała sobie sprawę, że powoduje nimi zazdrość, bo miała mężczyznę, który był bezpieczny i żywy, a wcale na to nie zasługiwał. Starsza z sióstr otwarcie nazywała go tchórzem i Charlotte widziała wrogość innych znajomych z ich kręgu. Drobnomieszczańscy, pretensjonalni Anglicy budzili w niej odrazę.

Złożyła podanie o zezwolenie na odwiedzinę w obozie dla internowanych u Waltera; od pracy przy uprawie ziemniaków nabrał mięśni i ucieszył się jak dziecko na jej widok.

- Nie przypuszczałem, że wrócisz - wyznał patrząc na swoje zniszczone ręce. - Jeszcze przed wojną wydawało mi się, że postanowiłaś zostać w Rosji. Och, gdybyśmy się teraz mogli pobrać! Gdy tylko skończy się wojna i mnie stąd wypuszczą, to weźmiemy ślub zaraz następnego dnia! Powiedz, że się zgadzasz... Może nawet uciekniemy do Gretna Green, jeśli będzie trzeba.

Kola dostał bronchitu, ona czuła się osłabiona i winiła za to zanieczyszczone londyńskie powietrze. Przyszły dwa listy od Orłowa skreślone w pośpiechu, powiadamiał o objęciu stanowiska w tymczasowym rządzie księcia Lwowa. Sprawily na niej wrażenie zwykłych, obojętnych, choć podpisał je „Oddany - Miki”.

W czerwcu przybył do Londynu pierwszy konwój statków handlowych z Gibraltaru pod eskortą marynarki wojennej. Pobrała pieniądze z banku, by zapłacić absurdalnie wysoką cenę za bilety do Marsylii dla siebie i Koli. W upalny, słoneczny letni dzień przybyli do willi Cassandra, gdzie dwadzieścia osób zasiadło do lunchu na tarasie osłoniętym markizą. Kaskada kwiatów spływała z każdej kolumny i w gorącym powietrzu zawisła mieszanina woni perfum, wód kolońskich, dymu tytoniowego i czosnku.

Charlotte od miesięcy wyobrażała sobie Lidię jako słabą, chorowitą nieszczęśnicę i na jej widok odebrało jej mowę -usadowiona u szczytu stołu, o krótkich, uczesanych w loki włosach i grubej warstwie makijażu. Paliła papierosa w długiej cygaretkie z białego agatu i miała na sobie głęboko wyciętą suknię z ogniście czerwonego szyfonu, z upiętymi czarnymi, jedwabnymi różami, odsłaniającą krągłe ramiona i wydatny biust. Lidia była gruba.

Celta Brayfield

Kola pobiegł do matki i niezręcznie przytulił się do jej boku, a Charlotte stała sama walcząc z silnymi uczuciami. Wreszcie Lidia się z nią przywitała, całując niedbale w oba policzki.

- Moje biedactwo, przecierpiałś okropną podróż. Wszystko nam opowiesz, jak odpoczniesz - powiedziała tylko, < a pokojówka zaprowadziła Charlotte do małego, dusznego pokoju na tyłach domu.

Od razu zauważyła wielką zmianę w Lidii, ale później się zastanawiała, czy patrząc na nią w Petersburgu oczami niewinnej i niedoświadczonej dziewczyny, po prostu może idealizując nie dostrzegała prawdziwej natury tej kobiety. Kiedy rozpakowała kuferek zimowych ubrań i rozpruwszy skrytki wyjęła biżuterię, Lidia wpadła w szal i żądała odpowiedzi na pytanie, jak ma bez kolia Orłowów utrzymać swoją pozycję na Riwierze.

- Kłamiesz dziwko! Nie wmówisz mi, że cię tu przysłał bez naszyjnika! - Nawet jej głos zrobił się piskliwy. -

Ukradłaś go, co? Twoja przekłeta rodzina w Londynie będzie za niego żyła do końca swych dni!

- Papie nie spodobałoby się, że tak mówisz do Charlotte - Kola wykazał się lojalnością. - To moja wina, że go nie przywieźliśmy. Chcieli go ukryć w moim lwie, ale im nie pozwoliłem. Papa schował kolia w ścianie, razem z twoimi drzewkami, bo były za ciężkie.

- Kochany chłopczyk, jakie ma dobre serce. - Matka ucałowała go automatycznie w czoło zostawiając na nim ślad czerwonej szminki. - Kto wie, co jeszcze straciłam. Zwłaszcza teraz. Słyszałam, że w Petersburgu panuje chaos. Kto by przypuścił, że Jego Carska Wysokość porzuci tron? Niezwykłe. Wręcz niemożliwe. A kiedy przyjeżdża książę?

- Nie powiedział. A teraz, kiedy wszedł do nowego rządu...

- Och, cóż za głupiec z niego. Muszę mu napisać, jak tu jest wesoło. - Lidia straciła zainteresowanie całą sprawą i odeszła z Kolą dreptającym z zachwytem u jej boku.

Po paru dniach Charlotte odkryła mieszkające w kuchni dziecko, które nie mówiło ani słowa. Nowa, francuska pokojówka Lidii złośliwie plotkowała, że to dziecko *madame*, urodzone w pierwszych miesiącach wojny, którego nienawidzi i zabroniła służbie się nim zajmować.

- Nienawidzi nawet widoku małej - szeptwała. - Ona jest szalona, udaje, że należy do którejś z nas. Coś złego,

Kolia

491

jakaś tajemnica kryje się w losie tego dziecka. W czasie wojny kobietom przecież zdarzają się straszne rzeczy. Stare małżeństwo, oni tu dawniej pracowali, zanieśli niemowlaka do kościoła i ksiądz ją ochrzcił Maria, ale nie reaguje na żadne imię.

Serce Charlotte krajało się z bólu. Prześladowała ją ciągle myśl o milczącej postaci. Czy to też dziecko Orłowa? Kola zachwycony matką, słońcem, luksusem i jedzeniem, które były jakby z nią tożsame, ignorował guwernantkę. W tym ponurym domu brakowało dla niej miejsca, nie szanowali jej ani stali mieszkańcy, ani goście. Na Riwierze znalazło się dość petersburskiej arystokracji, by co wieczór odbywały się przyjęcia. Jak na patriotów przystało, nie wierzyli w żadne złe wieści, wznosili toasty na cześć Boga, cara i zwycięstwa. Za tragedię uważano racjonowanie materiałów na ubrania po cztery metry na suknie.

Kola był bezpieczny, dowiozła jego skromne dziedzictwo. Mogła odejść i czuła się niepotrzebna, ale odjeżdżając zerwałaby ostatnią nić wiążącą ją z Petersburgiem i skończyłaby okres siedmiu cudownych lat. W domu czekała na nią wojna, zgorzkniała rodzina i biedny Walter. I co z małą niemową? Zdecydowała się na rozmowę z Lidią.

- Jakie dziecko? - Balerina tasowała talię kart do tarota czekając na przybycie nowej znajomej, byłej śpiewaczki operowej, która teraz zarabiała na życie wrózeniem.

- Dziecko, które kręci się po kuchni.

- Nikogo tam nie widziałam, co za bzdury wygadujesz. - Przełożyła talię i potasowała z trzaskiem. Papieros tlił się w cygaretkę.

- To dziewczynka, nie umie mówić. Słyszałam, że... to dziecko jest...

Lidia przełożyła jeszcze raz i odkryła pierwszą kartę.

- Cesarzowa, ale odwrócona. Hmm... Bądźmy więc szczerze. Jesteśmy obie dorosłymi kobietami, Charlotte.

Zamiast gadać głupoty o szczeniaku kucharki, może porozmawiamy o twoim dziecku?

- Moim?

- Tak, twoim. O, do diabła. Papieros mi zgasł. Zadzwoń po zapalki. - Charlotte wykonała polecenie, gwałtownie próbując sobie przypomnieć fakty. Czy to możliwe, by zaszła w ciążę? W trakcie szaleńczej ucieczki z Piotrogradu myślała tylko o ich bezpieczeństwie, ale nie pamiętała, czy miała okres

Celia Brayfield

wtedy lub potem w Anglii. Letnie sukienki ją uciskały, ale rzadko je nosiła i nigdy nie czuła się w nich tak wygodnie jak w innych ubraniach. Czy to możliwe, że ostatniej nocy w Piotrogradzie, gdy zaleźniona poddała się w ekstazie mocy swych uczuć, poczęła dziecko Orłowa?

Lokaj przyniósł zapalki. Lidia kazała mu wrócić za pięć minut, ale nie czekając, aż wyjdzie z pokoju, zaczęła mówić:

- Wyglądasz mi na kobietę, która za cztery miesiące urodzi dziecko. I jak to wyjaśnisz? - Z szuflady wyjęła dwa listy od księcia.

- Ale... one były w moim pokoju. - Spojrzała w lustro i dostrzegła, jak jej się zaokrągliła twarz. Wsunęła dłoń w kieszenie różowej, lnianej sukienki i obciągnęła ją na sobie przyglądając się sylwetce. Gdy przybierała na wadze, tłuszcz zwykle odkładał się na udach i biodrach. A teraz to brzuch się wyróżniał krągłym kształtem.

- W moim pokoju, Charlotte, to moja willa. I mój Mikołaj, choćby nie wiem jak się podpisywał na listach do ciebie.

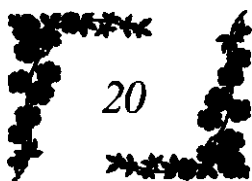
- Odkryła kolejną kartę pokazując dobitnie, jak mało to wszystko dla niej znaczy. - Dziesięć mieczy. Te karty mnie ostrzegają. Ty dziwko! Ty źmijo! Tyle lat pod moim dachem i tak mnie zdradzić! Modłę się do Boga, żeby moje dziecko nie okazało się zdeprawowane pod twoim diabelskim wpływem. A teraz zejdź mi z oczu. Kazałam spakować twoje rzeczy. Szofer zawiezie cię na stację, czy gdzie tam sobie chcesz.

- Sięgnęła do złotej oprawy dzwonka i nacisnęła guzik z łapis-lazuli, żeby wezwać lokaja. - Ta kobieta już wychodzi, samochód czeka na nią przez drzwiami.

- Do widzenia, *madame* - powiedziała Charlotte miłym tonem, dygnęła wdzięcznie i sprężysto poszła do drzwi.

Intuicja jej podpowiadała, że naprawdę nosi pod sercem dziecko Orłowa, mężczyzny tak nadzwyczajnego i subtelnego, że nawet nie odważyła się myśleć o pokochaniu go. Ma dać życie jego część, część kraju, który pokochała, będzie to talizman magicznych lat tam spędzonych. I przemieni też ją samą, jej życie potoczy się w innym kierunku, niczym wyrzucone przez kometę z dawnej orbity.

Wiedziała, że Kola został posłany na plażę. Na szczęście służba nie była lojalna wobec Lidii, dlatego kierowca zgodził się zatrzymać i poczekać, więc mogła pójść się pożegnać z chłopcem. Ale on zbierał muszle i nie wykazał wielkiego zainteresowania guwernantką.



Londyn, 1990

Mamo, wiem, że to nie moja sprawa...

Tom cały dzień kręcił się po domu, udając, że pakuje rzeczy przed wyjazdem na uczelnię. Postanowił studiować historię i historię sztuki w Glasgow, i Biance nieustannie ciążyła myśl, że specjalnie wybrał uniwersytet daleko od Londynu, ponieważ źle się czuł w domu. Tom nigdy by się do czegoś takiego nie przyznał, wyrósł na przerażająco skrytego osobnika, więc musiała się zadowolić domysłami.

- Co nie jest twoją sprawą, kochanie?

- Prawdę mówiąc, zastanawiałem się nad wakacjami... - Skulił się z zażenowania, gęsta, ciemna grzywka opadła mu na oczy. - Czy znowu wyjedziemy do Włoch?

- Przecież w końcu po to właśnie mamy ten dom, prawda? Pięć lat temu Bianka uznała, że zjadła już cały życiowy przydział *confit d'oie* i zamieniła dom w Dordogne na majątek w Toskanii.

- Wydawało mi się, że wszyscy go lubicie. Nie chcesz jechać w tym roku?

- Nie, po prostu... Zastanawiałem się, kto jeszcze tam będzie.

- Chodzi ci o Alexa, tak? Chcesz wiedzieć, czy i on przyjedzie? - Dostrzegła na jego twarzy ulgę, że nie jest na niego zła. - Raczej nie, kochanie. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy ten związek ma przed sobą jakąś przyszłość.

W jego poważnych szarych oczach zabłysła nadzieja.

- Cóż, byliście razem dość długo. Nie czujesz się dotknięta, prawda?

Poklepała go po policzku. Nienawidził tego gestu, bo oznaczał: skoro ty mnie rozdrażniłeś, ja też ci mogę pograć na nerwach.

- Poznaliśmy się rok temu, dla dorosłych to nie jest tak

Celia Brayfield

znowu długo. Jeszcze się ostatecznie nie zdecydowałam. Nie mów o tym innym. Po prostu wiem... - Przerwała, próbując ubrać swoje przeczucia we właściwe słowa. - Po prostu wiem, jaki jest Alex. Trochę jak Cygan, który nigdzie nie może dłużej zagrzać miejsca. I choć byłam z nim bardzo szczęśliwa, zdaję sobie sprawę, że to nie może trwać wiecznie i już.

- Och, dobra. Tego się z grubsza spodziewałam.

- Biorąc pod uwagę, że twój ojciec i ja to dwójka największych uparciuchów i despotów, jakich świat widział, zdumiewa mnie, że mamy tak rozsądnego syna. Nie martw się, wiem, że go nienawidzisz, nie ośmieliłabym się zabrać go z nami na wakacje, obiecuję. Zresztą, musi wyjechać do Rosji, żeby załatwić dla mnie kilka spraw, tak że spokojna głowa.

- Mogę kogoś zaprosić?

- Tak, kochanie, oczywiście, wiesz, że twoi przyjaciele są zawsze mile widziani.

- Ale mnie chodzi o dziewczynę.

- Twoją dziewczynę, tak?

- No, tak.

- Tak, oczywiście, że możesz. Bardzo się cieszę.

Do tej pory Tom uważał dziewczęta za obowiązek, umawiał się z nimi nie tyle dla przyjemności, ile by zjednać sobie kolegów. Bianka cieszyła się, widząc, że dorósł do miłości, choć trochę ją bolało, że syn mógł uważać wybranego przez nią partnera za nieodpowiednie towarzystwo dla dziewczyny, która wreszcie zwróciła jego uwagę.

- Zastanawiałem się, czy nie chcesz ponownie wyjść za mąż, albo coś takiego.

- Przecież zawsze mówiłam, że więcej tego nie zrobię.

- Tak, ale...

- A czy zwykle dotrzymuję słowa?

- Tak.

- W takim razie, żeby cię uspokoić, powtarzam po raz kolejny: nigdy więcej nie wyjdę za mąż, a jeśli kiedykolwiek będę brała to pod uwagę, tobie pierwszemu o tym powiem, zgoda?

- Zgoda. Po prostu trochę się niepokoiłem...

- O kogo? O siebie czy o mnie?

- No, o ciebie. Znaczy, wiem, że... tego, jest ci z nim dobrze i w ogóle, ale...
- Chyba mam prawo przez kilka miesięcy być szczęśliwa, nie sądzisz? To dla mnie zupełnie nowe doświadczenie. Większość życia spędziłam uszczęśliwiając innych.

Kolia

495

Żałowała tych ostrych słów, szczególnie wobec syna, który po raz pierwszy kochał, ale równocześnie gniewało ją, że musi walczyć o prawo posiadania u swego boku tego jednego jedyne go bezkrytycznego towarzysza. Alex był tępy, wiecznie skazany na przegraną, ale - na tyle, na ile to słowo rozumiał

- kochał ją, i u kresu kolejnego męczącego dnia stawał u jej boku i dawał to, czego potrzebowała. Po raz pierwszy od śmierci Charlotte czuła, że ktoś wlewa w nią energię, a nie tylko ona sama bez końca obdziela innych swoją.

Żadne z dzieci go nie polubiło. Lizzie była nim oczarowana, ale tylko dlatego, że Bianka poprosiła go, żeby się postarał ją sobie zjednać, a on, nie znając innego sposobu podbicia kobiecego serca, flirtował z nieśmiałą dziesięciolatką. Nie miał za to pojęcia, jak się odnosić do chłopców. Orlando na jego obecność w życiu matki zareagował zmarszczeniem brwi, zapadł w jeszcze głębszą apatię i nieustannie puszczał na cały regulator utwory The Cure. Starsi synowie zachowywali się z uprzejmością, która zniknęła, kiedy się na siebie natknęli. Ponieważ Tom i Benedict studiowali, zachowanie Orlanda

- choć nie reprezentatywne - bardziej rzucało się w oczy. Mimo to fakt pozostawał faktem - Alex nie był mile widzianym gościem w ich domu. Ponieważ wyraźnie oczekiwał, że będzie z nią mieszkał, a Bianka czuła się zobowiązana do zaoferowania mu mieszkania firmy, źle to wróżyło ich wspólnej przyszłości.

Burza wybuchła kilka dni później, w kuchni. Była sobota. W nocy Bianka wróciła z Nowego Jorku i właśnie oboje z Alexem szykowali się do wyjścia na długą, oficjalną galę - wręczenie nagród Fundacji Europejskiego Dziedzictwa w National Portrait Gallery. Koło południa chłopcy zawędrowali do kuchni w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Alex porównywał ich dzieciństwo z jedynym, które dobrze poznał, czyli swoim własnym, i często krytykował ich lenistwo w kwestiach domowych. Benedict, który studiował na pierwszym roku, cały rano spędził opracowując na komputerze program rysunku technicznego i kiedy zaczął narzekać, że nie ma żadnego posiłku, Alex zaatakował.

- Godzinami wysiadujesz na tyłku przed tym swoim ekranem. Byłem młodszy od ciebie, kiedy malowałem ogrodzenie wokół domu. Chyba możesz sobie coś sam przygotować! Twoja matka miała ciężki tydzień. Od miesięcy ma same ciężkie

Celia Brayfield

tygodnie, a wy nawet nie ruszycie palcem, żeby jej pomóc! Wyzyskujecie ją, wylegujecie się, podczas gdy w domu jest tyle do roboty.

- Przypuszczam, że wiesz, co mówisz - włączył się Benedict, który odzywał się rzadko, ale za to skutecznie - ale nie za bardzo widzę, żebyś mógł tu świecić przykładem.

Zapadła pełna zdumienia cisza. Wolfe nie zrozumiał przytyku i stał, patrząc niepewnie na chłopców zgromadzonych wokół stołu. Biankę rozsadzała pasja, ale zmusiła się, żeby tego nie okazać. Pod leniwym zachowaniem Benedicta ukrywał się przenikliwy umysł i błędem było wdawać się z nim w słowne potyczki, szczególnie jeśli czuł poparcie braci.

- To nie w porządku, Ben. Dom Berrisfordów zatrudnia go jako konsultanta, a Alex płaci za swoje mieszkanie i sam się o siebie troszczy. To więcej niż którykolwiek z was robi. Nie krytykuję was za to - jesteście moimi dziećmi, to rozumiałe, ale nie macie prawa obrażać kogoś mi bliskiego, dlatego że u mnie pracuje.

- To twój przyjaciel - prychnął Orlando z głębi kuchni.

- Nie w tym rzecz - wkroczył do akcji Tom. Jak na młodego kawalera, miewał wyjątkowo dobre maniery.

- Mam prawo mieć przyjaciela. Wybrałam Alexa. Waszym obowiązkiem jest zachowywać się względem niego przyzwoicie, traktować go tak jak każdego innego gościa, a poza tym powinniście się liczyć i z moimi uczuciami.

Orlando kopnął miskę kota - na szczęście była pusta - i wypadł z kuchni.

- Muszę jednak powiedzieć, Alex, że sposób, w jaki chłopcy mnie traktują, to wyłącznie moja i ich sprawa.

Alex chciał gniewnie zaprotestować, ale uspokoiła go spojrzeniem. Ben uprzejmie przeprosił i chłopcy cicho wysunęli się z pomieszczenia.

- Jesteś dla nich za miękka, nie powinnaś im puścić tego płazem.

- Alex, ja mówiłam poważnie. Moim zdaniem nie masz prawa pouczać ich, jak powinni się zachowywać. Nie jesteś ich ojcem.

Założył ręce, jego szare oczy pociemniały z gniewu.

- A moim zdaniem nie powinnaś pozwalać, żeby jakiś nieopierzony osiemnastolatek...

- Kochanie, nie widzisz, do czego to prowadzi? - Złagodziła ton, nie chcąc go zranić. - Nie chcę znaleźć się w sytuacji,

Kolia

497

kiedy będę musiała wybierać między tobą a dziećmi. A jeśli nie nauczycie się ze sobą porozumiewać, to może się tak właśnie skończyć.

- Co oznacza, że wybierzesz ich.
- Są moimi dziećmi.
- I dlatego pozwolisz, żeby rządili twoim życiem?
- To nie jest moje życie, to jest nasze życie. One i ja stanowimy część tego samego życia.
- W takim razie jakie jest moje miejsce w tym wszystkim?
- Alex, kocham cię ogromnie, ale...

Dostrzegła, że kochanek nie pojmuje, co chciała mu wyjaśnić. Porównywał jej miłość do dzieci z uczuciami, jakie żywiła do niego, ślepy na fakt, że więź rodzicielska ma zupełnie inny charakter.

- Chyba tego nie zrozumiesz. - Wzięła go za rękę. Nie bronił się, ale też i nie odpowiedział uściskiem. - Nie można porównywać tych dwóch spraw. Nie potrafię przestać kochać moich dzieci, bo źle się zachowują, tak samo jak dobrym postępowaniem nie kupiłyby mojej miłości. Nie w tym rzecz. Są moimi dziećmi i dlatego je kocham, i o to w moim życiu chodzi. Gdyby ktokolwiek albo cokolwiek próbowało zniszczyć łączącą nas więź, zawsze je postawię na pierwszym miejscu.

Alex uciekł w zamyślenie, dzięki któremu mógł nie przyjąć do wiadomości bolesnej prawdy. Ujął Biankę pod brode i pocałował - gest, który zwykle ją rozbrajał.

- Biedna Bianka, rozjuszona tygrysyca, która walczy o swoje małe. A może byś zostawiła to wszystko i wyjechała gdzieś w przyszły weekend?

Do kuchni przywędrowała Hermione, z czteroletnią An-jelicą usadowioną na biodrze.

- Rzeczywiście, Bea, czemu nie? W końcu ja zostanę na straży tej twierdzy. Potrzebujesz odpoczynku, jesteś skrajnie wyczerpana.

- Gdzie pojedziemy? Świat leży u twoich stóp... Wiodła wzrokiem od pulchnej, pełnej wyrzutu twarzy Hermione do napiętej twarzy Alexa. Wyciągał jej z koka pasemko włosów i owijał sobie wokół palca. Siła, która ich połączyła, nadal istniała. Poddawała się.

- Żadnych długich lotów. Nie, w ogóle żadnych lotów. Moglibyśmy pojechać gdzieś na wieś? Deszcz i błoto, ogień na kominku, ten styl. Wiem, że Anglia wiosną jest koszmarna, ale chcę się po prostu zaszyć w jakimś ciepłym kącie.

Celta Brayfield

Ostatnie pół roku w Domu Berrisfordów ubiegało pod znakiem burz. Rada zgodziła się, że należy ograniczyć zasięg ich amerykańskiej operacji, w związku z czym Bianka musiała prawie co tydzień jeździć do Nowego Jorku.

Wyrzucanie ludzi z pracy było paskudnym zajęciem. W dodatku, w miarę jak wychodził na jaw prawdziwy stan firmy, zaczęła sobie wyrzucać, że wcześniej nie skorzystała z władzy, którą zbyt późno uzyskała.

- Zostaw to mnie, kochana, zajmę się wszystkim. Po prostu bądź gotowa na piątek.

Alex na chwilę ją przygarnął, obdarzył tym swoim śmiertelnie nudnym spojrzeniem, musnął jej wargi i wyszedł z kuchni. Bianka tak mocno reagowała na jego obecność, że zawsze po jego wyjściu przez chwilę czuła pustkę i lekki zapach wody Vetiver w powietrzu.

- Dlaczego już nie jestem na niego zła?

Bianka wyciągnęła ręce po siostrzenicę, a Hermione zajęła się przygotowaniem dla córki tosta z marmoladą.

- Właśnie wdał się w kłótnię z Benem, potem to wałkował w nieskończoność, bo nie może zrozumieć, że dla mnie dzieci są najważniejsze. Traktuje mnie i dotyka, jakby był...

- Johnem Waynem? Przemądrzałym męskim szowinistą?

- Nie, bądźmy uczciwe, Herm, jemu z tym do twarzy. Powiedzmy: Burtem Lancasterem.

- Byczkowatym przemądrzałym męskim szowinistą o błyszczących zębach?

- Biedaczysko, nie wiedziałby, kto to jest męski szowinista, nawet gdyby na takiego wlał.

- *Meki kowinista* - zgodziła się Anjelika, ale źle jej się mówiło z buzią pełną chleba.

Była zwariowanym dzieckiem, które pędziło przez swoje krótkie życie niczym torpeda, ciągle czymś zajęta, nieustannie zmieniająca obiekt zainteresowań. Nawet na jej pokrytej blond włosami główce trudno było znaleźć jeden porządny kędziorek, do którego można by przywiązać kokardkę.

- *Meki kowinista*. - gwałtownie potrząsnęła głową.

- Jeśli wyplujesz tego tosta, gorzko pożałujesz, dziecino. Czemu nie spytasz cioci, czy splajtuje w tym tygodniu?

- *Plajujel Plajujel*

- Jeszcze nie w tym tygodniu. A ty?

Hermione przyjechała miesiąc temu razem z Anjelią i drugim dzieckiem, które spało na górze. Od samego początku szklarnie nie przynosiły zysku i żeby związać koniec z końcem

Kolia

500

Hermione pożyczyła pieniądze pod zastaw domu. Stopa wynosiła teraz piętnaście procent, interes nie miał szans się utrzymać. Ponieważ Hermione potrafiła przynajmniej uprawiać rośliny, Seumas nalegał, aby powierzyła mu stronę administracyjną interesu. Zagospodarował kilka tysięcy funtów z VAT-u i przez ostatnie pół roku nie płacił rachunków, wszystkie pieniądze przeznaczając na podróż do Utah, gdzie chciał się nauczyć, jaki powinien być wzorowy mąż. Następnego dnia po jego wyjeździe pojawił się komornik.

Bianka skrycie się z tego cieszyła, bo brakowało jej małych dzieci w domu i tęskniła za siostrą. Niewiele kobiet posiadało władzę taką jak ona, ale niosło to za sobą poczucie osamotnienia, ponieważ niewielu ludzi mogło się z nią równać, a już na pewno z żadnym z nich nie mogła się zaprzyjaźnić. Ogromnie potrzebowała przyjaciółki, a jej siostra, choć jej reakcją na niepowodzenia było snucie kolejnych marzeń, była dobrą, serdeczną towarzyszką. Wczoraj Hermione spotkała się z likwidatorem, żeby postanowić, która kategoria bankructwa będzie dla niej najkorzystniejsza.

- Był naprawdę nieprzyjemny. Chce zlikwidować cały interes i zapłacić wszystkim, w tym i mnie, bo byłam pracownicą. Okazuje się, że Seumas miał świra na punkcie władzy. Postanowił, że zostanie kierownikiem, a ja pracownikiem. To był mój dom, z mojej pożyczki spłacaliśmy długi, ale dla niego to się nie liczyło. I chyba wydawało mu się, że dla mnie to też nie ma najmniejszego znaczenia. Rozmawiałam z nim i powiedział mi, że nie wytrzymałabym napięcia, poza tym przeszkadzałoby to mojej więzi z dziećmi. A w ogóle dlaczego przywiązuję taką wagę do słów, które w końcu nic nie znaczą? Ale to oznacza, że on ponosi za to wszystko odpowiedzialność, nie ja. No i co ty na to? Złapał się we własne sidła.

- Masz rację, chyba nie jest najgorzej.

- Czyli Berrisfordowie też jeszcze przez chwilę utrzymają się na powierzchni, co?

Czasem Biance wydawało się, że Hermione ma rację, twierdząc, że jest obdarzona wyjątkową intuicją.

- Hmm. Z trudem, jeśli chcesz znać prawdę. Opowiem ci... Zarząd jak jeden mąż oświadczył, że chce, aby w miejsce

Martina Pownalla zatrudnić nowego dyrektora finansowego, kogoś spoza firmy. Do zreferowania sprawy wybrali Hugh'a. Popelnili błąd. Mówił, jakby jej rozkazywał, a Bianka, wiedząc, że im bardziej autorytatywny ton ojciec przyjmuje, tym bardziej

Celia Brayfield

czuje się winny, od razu nabrała podejrzeń. Popatrzyła na siedzących przed nią członków zarządu, ośmiu identycznie ubranych mężczyzn - ciemne garnitury, koszule w prążki, krawaty w dyskretny wzorek, jedwabne chusteczki albo złote łańcuszki od zegarka, noszone niczym oznaki regimentu. Jej zdaniem wszyscy oni szukali chłopca do bicia, na którego można by zrzucić winę. Ale za co? Z pewnością za coś, o czym nie wiedziała, za coś poważniejszego niż fatalna sytuacja, w jakiej się znaleźli.

- Podeszłam do drzwi i zamknęłam je na klucz, Herm. Położyłam go przed sobą na stole i stwierdziłam, że będzie dla nich lepiej, jeśli okaże się, że mają czyste sumienia, bo żaden z nich stąd nie wyjdzie, dopóki tego nie sprawdzę.

- Groźna oboźna, co?

- Jeszcze jak. Och, oczywiście, miotali się, gadali, ale nie odważyli się skarżyć, wiedzieli, że mam rację. I wtedy ten dupek Bainbridge próbował mi wcisnąć jakiś kit o pożyczkach, ale nie dałam się nabrać. I zwróciłam im uwagę na fakt, że nowy dyrektor finansowy szybko będzie musiał nas poinformować o złej kondycji firmy, a wtedy z pewnością okaże się, że kilka osób będzie musiało złożyć rezygnację. Jeśli zaś niczego nie zmienimy, wszyscy oni zachowają swoje stanowiska, przynajmniej na razie. W końcu kilku młodszych się złamało. To jeden wielki bajzel, Herm. Istna rozpacz. Hugh i Pownall uznali, że potrzebny nam większy budynek i podpisali jakąś umowę z budowniczym na podwójną parcelę w Belgravii. W przyszłym miesiącu powinniśmy się tam przenieść. Nie potrzebujemy tego, nie stać nas na to, w handlu nieruchomościami panuje kompletny zastój, nigdy nie sprzedamy starego budynku, utopiliśmy miliony w tej inwestycji. I to z naszych rezerw!

- To znaczy, że naprawdę uważasz...

Siedziały naprzeciwko siebie przy starym sosnowym stole, trzymając kubki z kawą i myśląc o tym, co Dom Berrisfordów dla nich oznacza.

- To już koniec. Boże! Udziałowcy mogliby ich wszystkich pozaskarżyć. Jedyne wyjście byłoby znalezienie jakiejś luki w kontrakcie, to właściwie dość typowy dokument. W tym nasza ostatnia nadzieja. Nic dziwnego, że Pownall tak się spieszył na emeryturę. Mam nadzieję, że mu się opłaciło. Cieszę się, że wcześniej go wyrzuciłam.

- Co zrobiłaś, kiedy ci powiedzieli?

- Zapowiedziałam kolejne zebranie na następny dzień

Kolia

501

i poprosiłam, żeby przedstawili sposoby wyjścia z sytuacji. Wiesz, bycie szefem jest cholernie łatwe - wszyscy odwalają za ciebie całą robotę. Nikt nie wymyślił niczego rozsądnego. No to wysłałam dyrektorów, żeby przygotowali plany dwudziestoprocentowej redukcji zatrudnienia w swoich działach i zmniejszenia budżetu o połowę. W przyszłym tygodniu uzgodnimy szczegóły. To będzie istne piekło. Ostatecznie, ja będę miała pracę, czego wiele osób nie będzie mogło o sobie powiedzieć.

Hermione przerwała rozmowę, żeby podać córeczce ście-reczkę, wytarła jej buzię, potem wyjęła dziecko z krzeselka. Dziewczynka uciekła do kosza z zabawkami w drugim końcu kuchni.

- Czy to znaczy, że Berrisfordowie w końcu wyjdą na prostą?

- Wątpię. Po prostu kupimy sobie trochę czasu. Rynek się zmienił, grube ryby próbują sprawę zagadać, ale to nic nie da. My do pewnego stopnia byliśmy sprytni - prowadziliśmy szeroką działalność, byliśmy otwarci na nowe rynki, ale teraz potrzebuję jakiejś dużej aukcji, Herm. Jeśli w przyszłym roku nie uda nam się czegoś takiego zorganizować, zabraknie nam gotówki, żeby dalej funkcjonować. Rosyjska aukcja to nasz najlepszy atut, ale musimy na niej zarobić pięć milionów, a nie mam pojęcia, jakim cudem udałoby się to osiągnąć.

Siedziały w milczeniu, wpatrując się w na wpół opróżnione kubki z zimną kawą. Upadek firmy noszącej ich nazwisko wydawał się nie do pomyślenia.

Miesiąc po tym, jak Alex wyjechał z Bianką na weekend, na jej biurku wylądował rachunek za wspólną eskapadę w postaci rozliczenia karty kredytowej firmy. Bianka mówiła już kiedyś Alexowi, że będzie równie zadowolona z mniej hojnego daru albo chętnie zapłaci za siebie, ale obraził się i oskarżył ją, że depreczuje jego godność i traktuje go jak utrzymanka. Ponieważ sprawiało jej ogromną przyjemność nie znane do tej pory uczucie, że ktoś się o nią troszczy, dała spokój jego niekonsekwentnej logice i sama pokryła rachunek.

Alex wybrał hotel w Krainie Jezior. Przyjechali w strugach deszczu, zjedli wytworny posiłek, w czasie którego Bianka dokładnie zrelacjonowała mu wydarzenia ostatniego tygodnia.

- Potrzebna mi duża aukcja - zakończyła. To zdanie powtarzała w kółko niby jakąś mantrę.

- A czy rosyjska aukcja nie wystarczy?

Pokręciła głową, rozkoszując się miękkim ruchem świeżo umytych włosów.

Celia Brayfield

- Nie. Musimy zarobić co najmniej pięć milionów.

- A gdybyś miała coś naprawdę wyjątkowego, o historycznej wartości...

Już wcześniej wspominał o naszyjniku Orłowa, mitycznym skarbie jego babki, ale Bianka odrzuciła ten pomysł.

- Czyżbyś znowu proponował, że pojedziesz odnaleźć kolbę twojej babki?

- Nie mów tak. Zawsze miałem wrażenie, jakby to była ' część mnie, część mego dziedzictwa, jeśli wolisz. I wiem na pewno, że naszyjnik jeszcze tam jest. Nie uwierzysz, jak łatwo w Rosji...

- Alex, kochany... nie. To po prostu za duże ryzyko i za dużo w tym romantyzmu.

Po pełnym obrazie geście, jakim odsunął talerz, domyśliła się, że jeszcze wróci do tego tematu.

Poszli do dwumetrowego, tonącego w perkalu łoża, a ponieważ rano nadal padało, nie wstawali. W południe Bianka leżała nasycona i odprężona. Prawdziwa rozkosz bycia z tym mężczyzną polegała na tym, że angażowała całe swoje ciało, reagowała każdym nerwem, uruchamiała wszystkie mięśnie, palce, język, rozkoszowała się miękkością swej skóry, jedwabistym dotykiem włosów.

Ich ciała mówiły sobie rzeczy, które, co czasem wyraźnie sobie uświadamiała, nie miały związku z ich rzeczywistymi emocjami. W ekstazie, zapomnieniu, oddaniu doznawali przeżyć, które wymykały się ludzkiej zdolności pojmowania, i nazywali to miłością. Bianka nie przypominała sobie uczuć, jakimi początkowo darzyła swojego męża, pamiętała tylko, że zachowywała się, jakby go kochała. Teraz płonęła w niej namiętność do mężczyzny, który co prawda był jej bliski, ale nie potrafiłaby go uwielbiać i zastanawiała się, co właściwie czuła wobec Lovata.

Alex na uprawianie miłości potrzebował zwykle godzinę, półtorej i wyglądał na urażonego, jeśli, gdy spędzali wspólnie noc, nie pragnęła go wieczorem i rano, i przynajmniej jeszcze raz w ciągu dwudziestu czterech godzin. To była prawdziwa rozkosz - poddać się tym uczuciom, oplatać nogami mocne, ciepłe ciało kochanka, badać je, odkrywać jego sekrety. Nigdy przedtem nie kochała się z równie namiętym mężczyzną. Znalazła na jego plecach miejsce, które wystarczyło głaskać albo całować, żeby cały drżał z podniecenia. Brodawki miał wrażliwe jak u kobiety, jeśli dotknęła ich we właściwym momencie, gdzieś w głębi

Kolia

503

niego rodził się odgłos, który materializował się jako jęk w chwili szczytowania.

Na początku przez kilka tygodni napawała się świadomością przebudzenia, równocześnie jednak czuła pewne skrepowanie, ponieważ ciało Alexa było nie tylko harmonijnie zbudowane, ale także doskonale zadbane.

Przypominał jej konia wyścigowego, którego mięśnie prężą się pod lśniąca sierścią. Kiedyś przyznała, że przy nim czuje się jak kłoda, na co odparł, że rzeczywiście przydałoby jej się trochę ruchu i na jej prośbę udzielił jej kilku rad. On sam parę razy w tygodniu chodził na zajęcia z tańca - i to niezależnie od tego z kim ani gdzie był. Bianka nie mogła sobie pozwolić na poświęcenie tyle czasu na ćwiczenia, dlatego znalazła sobie trenera, z którym biegała rano wzdłuż rzeki, albo popołudniami trenowała w sali niedaleko firmy. Poprawiła jej się figura, cera straciła suchą, papierową strukturę i nabrała blasku. Pierwszy raz w życiu Bianka z przyjemnością oglądała w lustrze swe nagie ciało.

Świadomość, że mogą polegać na swoich ciałach, zaprowadziła ich w wyższe kręgi odczuwania. Proste pieszczoty z początków ich romansu ustąpiły miejsca wyszukany wariacjom na ich temat. Bianka spokojna, że może ufać sile i doświadczeniu Alexa, zatracala się w poczuciu wolności, ale w pewnym momencie zdała sobie sprawę, że kochanek nie czuje się przy niej równie wolny, że zawsze bacznie obserwuje wrażenie, jakie na niej wywiera, a jego troska o nią w ostatecznym rozrachunku oznacza troskę o siebie.

- Jak zrywasz ze swoimi kochankami? - spytała go rankiem drugiego dnia, kiedy nadal padało.

- Czemu pytasz?

Miał się na baczności, oczy, które powinny spoglądać otwarcie i szczerze, zamknęły się, jakby ktoś zaciągnął na nie żaluzje.

- Tak sobie, z ciekawości. To nie ma żadnego związku z nami.

- Ja nie zrywam, w pewnym momencie te związki po prostu same się rozpadają.

Zostawiła ten temat i zadzwoniła, żeby przyniesiono świeżą pościel. Może jego konfrontacja z Benedictem stanowiła element rozpadu, w ten sposób dawał jej powód do gniewu. Intuicja mówiła jej, że jeśli nie zamieszkają razem, Alex zerwie z nią, kiedy tylko będzie mógł. Nie lubił mieszkać samotnie, mimo że większość nocy spędzali razem u niego.

Celta Brayfield

Wyjechała w niedzielę w nocy swoim samochodem i wróciła do domu. Nie zdążyła wejść, kiedy Hermione otworzyła drzwi.

- Jest tu Lovat - wyszeptała, patrząc niespokojnie na siostrę. - Lizzie miała wypadek. Złamała rękę.

Czekali w salonie. Przez pierś i palce dziewczynki biegł biały temblak, który podtrzymywał świeżo zagipsowaną rękę. Lizzie odziedziczyła po matce delikatną karnację. Teraz jej twarz była biała jak chusta, oczy miała podkrążone. Bianka podeszła i ostrożnie objęła córkę.

- Próbowałem cię znaleźć. - Nie można powiedzieć, żeby Lovat starał się zachować neutralność, Bianka widziała w jego zachowaniu poczucie winy pomieszane z gniewem. - Wołała cię. Spadła u nas ze schodów, paskudne złamanie, w kilku miejscach. Nastawianie to była prawdziwa operacja i jutro musi wrócić do szpitala.

- Biedna, maleńka Lizzie, bardzo boli?

Córka uśmiechnęła się słabo i wtuliła się w jej ramię.

- Nafaszerowali mnie aspiryną. Smak miała obrzydliwy, ale przynajmniej już nie boli. Potknęłam się o buty Isabel.

- Dzwoniłem do hotelu, ale powiedzieli, że nie wolno ci przeszkadzać.

- O rany, rzeczywiście tak im powiedziałam.

- Ale czemu..? Mając czwórkę dzieci, powinnaś....

- Tak, wiem, że w każdej chwili może się coś przydarzyć, ale od dwudziestu lat byłam na każde wezwanie, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Po prostu raz chciałam mieć kilka dni spokoju, żeby spędzić je z Alexem, Lovat.

Wyglądał marnie, był niespokojny. Po ich rozstaniu przytył, twarz nabrała ociążałego wyglądu. Teraz zaś gwałtownie stracił niepotrzebne kilogramy, był niemal chudy. Ramiona pod sztruksową kurtką wydawały się kościste. Wróciło coś z jego młodzieńczej, klasycznej urody. Miał bardzo krótko ostrzyżone włosy, oczy świeciły jak u kota.

- Czy Hermione dała ci coś do picia?

Podróż do Londynu zmęczyła ją i łyk alkoholu był kuszącą perspektywą.

- Chyba czuła się niezręcznie, wpuszczając mnie tutaj, ale musiałem się z tobą spotkać i powiedzieć ci, co się stało. Nie chciałem, żebyś sobie pomyślała Bóg wie co.

- Położysz mnie teraz, mamó?

Bianka zaprowadziła Lizzie na górę, przykryła dziewczynkę, potem zeszła i naląła im obojgu dwie duże porcje wódki z lodem.

Kolia

506

- *Na zdrowie.*
- Mam nadzieję, że nie chcesz, żebym wznosił toast za powodzenie twojej rosyjskiej aukcji?
- Czemu nie, czyżbyś nie zamierzał tam upchnąć kilku swoich pomysłów?
- My w Whitburn-Tuttlingen nie popełniamy błędów. A jeśli nawet, to nikomu o tym nie mówimy.
- W takim razie moglibyśmy wypić za dziesięć lat separacji, którą jakoś przeżyliśmy nie zabijając się nawzajem.
- Dobra, za to mogę wypić. Spróbuj tylko odebrać mi znowu jakieś obrazy, a zobaczysz, co wtedy będzie.
- Jak to się stało, że potknęła się o buty Isabel?
- Isabel wyniosła się dziś po południu. Buty zgubiła po drodze.
- To przykre.

Bianka starała się, by to zabrzmiało szczerze.

- Że zgubiła buty, czy że się wyniosła? Ja oglądałem jej odwrót z prawdziwą rozkoszą. Gadała bzdury, że potrzebuje więcej przestrzeni, ale tak naprawdę pieprzy się z jakim dramaturgiem i oboje czmychają do Los Angeles.

Małżeństwo z tą kobietą to była największa... powiedzmy druga największa pomyłka w moim życiu.

- Och, a co było pierwszą?

Odwrócił wzrok, zły na siebie, że tak się obnażył.

- A, zapomniałam. W chromosomach Y nie ma czegoś takiego jak gen przeprosin, prawda?

- Jeśli masz zamiar...

- Nie, nie mam. Zapomnijmy o tym, przepraszam. Cóż, przynajmniej Isabel dodatkowo nie utrudniła całej sprawy dziećmi.

- Ona nie znosi dzieci.

Gawędzili przyjacielsko przez godzinę, głównie o dzieciach. Lovatowi Bianka wydawała się zupełnie spokojna, nie okazywała żadnego napięcia i zastanawiał się, czy zdawała sobie sprawę, że za jej kadencji Dom Berrisfordów upadnie.

- Jak leci?

Patrzył jej prosto w oczy, czego od lat nie zrobił.

- Gdzie?

- U Berrisfordów. Dałaś sobie odebrać obrazy Somowa bez szczególnej walki.
Mitrokin ostatnio oferował mu cykl czterech rokokowych

Celia Brayfield

fantazji tego artysty, które miały zostać wykorzystane jako wzór na bombonierkach.

Uśmiechnęła się. Wargi ciągle miała opuchnięte. Problem łączenia romansu z prowadzeniem interesów polegał na tym, że nigdy właściwie nie można było się porządnie całować.

- Kupiłeś go od tego handlarza z Leningradu, tak?

- Mitrokina. Niesamowity gość.

A więc to było jego źródło, co za głupiec, żeby powiedzieć jej nazwisko!

- Leningrad to nie moja działka, Kuźmiński dał mi Moskwę. Prawdziwie salomonowy wyrok, prawda?

Nie przypominał sobie, żeby w czasach ich małżeństwa tyle się uśmiechała. Do twarzy jej z tym.

- Kola chce po prostu grać na dwa fronty. Zawsze jest bardzo dyskretny, jeśli chodzi o ciebie. Ale zaskoczyłaś mnie, wiedziałem, że dwa z moich obrazów Somowa pochodzą z Moskwy.

- W kwestiach związanych z tobą też jest bardzo dyskretny. Wiesz, Somow mnie nie zachwyca. Jego obrazy są albo sentymentalne, albo zwyczajnie złe. Moim zdaniem te wszystkie jego początkowe awangardowe wyczyny są mocno przereklamowane. Spaliłabym się ze wstydu, gdybym je miała u siebie wystawić.

- Jeśli chodzi o mnie, to była tylko kwestia interesu. Pewien kolekcjoner z San Diego ma hyzja na punkcie Somowa. Zdarza się w najlepszej rodzinie. Ale mówiąc poważnie, ostatnio po odejściu Hugh'a słyszałem pogłoski...

Kieliszki były puste, ale nie chciał nalewać, żeby nie zostać posądzonym, że chce ją upić.

- Wszystkie są prawdziwe. Wpadliśmy, co do tego nie ma dwóch zdań. - Nadal się uśmiechała, ale na myśl o niedorzeczności losu, a nie dlatego, żeby udawać wesołość. - Hugh zgodził się na kilka nieudanych pożyczek, Martin kupił biura, na które nas nie stać. Rynek się załamuje. Robię, co mogę, żeby nas utrzymać na powierzchni, ale nie widzę sposobu, żebyśmy w końcu nie utonęli.

- Nie wyglądasz na przygnębioną.

- A jaki by to miało sens? Nadal możemy się starać robić dla naszych klientów wszystko, co w naszej mocy, nie zwalniać pracowników. Mam nagranych kilka spraw i może jakoś się przeciwniemy. Miotanie się na wszystkie strony nic nie pomoże.

- Ale nie jesteś zła na Hugh'a...

Kolia

507

- Nie mam już sił gniewać się na moich rodziców. Jeśli to się nazywa dojrzałość, właśnie ją osiągnęłam. Na jego miejscu prawdopodobnie zrobiłabym dokładnie to samo. Słyszałeś coś o Banku Japonii?

- Że zamierzają ograniczyć pożyczki zabezpieczane przez tokijskie wkłady? Tak, ogłoszą to w tym tygodniu, prawda? To nieco uspokoi niektórych moich znajomków.

Potaknęła dopijając wódkę i wstała, żeby nalać im obojgu.

- Ty właściwie chyba nigdy nie przepadałaś za sprzedawaniem bankom?

- Nie. A przynajmniej nie tych wielkich płócien, których nigdy nie powiesili. W końcu po co jest obraz, jeśli nie po to, żeby go oglądać? Oczywiście, niektóre upchnęli w salach konferencyjnych...

Kolejną godzinę zabili wymieniając się informacjami i przekonując, że przez te wszystkie lata ich poglądy niewiele się zmieniły. Wreszcie Bianka uniosła się niepewnie i wyprosiła go, mówiąc, że jutro musi wcześniej wstać.

Zadzwoił po taksówkę. Kiedy Bianka zamykała za nim drzwi, przeszło jej przez myśl, że po raz pierwszy od ich rozstania Lovat był zazdrosny. Wizja jej z Alexem w pokoju hotelowym, zakaz przeszkadzania telefonami poruszyły w nim ciągle świeżą ranę. Spodobała jej się ta myśl. Na tablicy w kuchni nabazgrała „Mitrokin” i poszła spać.

Lovat jeszcze dwie godziny siedział w domu, rozkoszując się pustką. Wydawało mu się, że tak dobrze zna odwagę Bianki. Traktował ją lekceważąco, jako przejaw kobiecej lekkomyślności, biorącej początek z ignorancji i tego typowego dla kobiet braku respektu dla niebezpieczeństwa. Bianka jako matka i żona, pewna swych matriarchalnych praw, nawet nie zniżyła się, by się z nim zapoznać. Bianka jako gracz na rynku dzieł sztuki zdawała się w tym zakochana. Przecież wyraźnie widziała ruinę firmy. Nikogo nie winiła, chciała zachować jasne spojrzenie aż do końca, nawet najgorszego. Lovat nigdy nie podejrzewał, że stać ją na taką odwagę.

O trzeciej nad ranem zauważył, że butelka po wódce jest pusta. Odstawił ją na ulubiony stolik Isabel z australijskiego mahoni. Stolik kosztował dwa tysiące funtów. Butelka wyróciła się na nierównej powierzchni. Lovat z rozdrażnieniem przyglądał się nieruchomemu meblowi. Po chwili wziął go i wyniósł na ulicę. Co prawda był ciężki, ale na pewno ktoś się na niego skusi. W Holland Park ludzie ciągle starali się wzbogacić swoje mieszkania.

Rano na biurku Bianki aż się piętrzyło od złych informacji. Ale najgorsze dopiero ją czekało. Wartość akcji Domu Berrisfordów od kilku tygodni spadała powoli, ale systematycznie. Wczesnym popołudniem dotarła do niej wiadomość, że jeden kupiec szczególnie ostrzy sobie na nie zęby - firma Whitburn-Tuttlingen.

Natychmiast ogarnęła ją furia - oto Lovat siedział w jej własnym domu, udając dobrego ojca, przyzwoitego człowieka i miłego kompana, a tymczasem od miesięcy knuł, żeby doprowadzić ją do upadku. Gniew trwał dziwnie krótko. Jej lepsza strona wyśmiała te wrogie uczucia; w końcu, patrząc obiektywnie, Lovat rzeczywiście był dobrym ojcem, przyzwoitym człowiekiem i miłym kompanem. A czy ona sama od lat nie knuła, pragnąc doprowadzić go do upadku?

Byli wspaniale dobraną parą wrogów. Wielokrotnie potrafiła odgadnąć jego zamiary, a on jej odgadywał równie często. Oboje udawali, blefowali, podwójnie blefowali, aż kończyło się zwarecie i szykowali się do następnego.

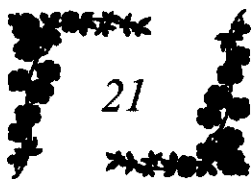
Uśmiechnęła się na wspomnienie ich potyczek. Póki nie pojawił się Alex i nie obudził jej obumarłej zmysłowości, pojedynki z byłym mężem stanowiły źródło największej egoistycznej przyjemności.

Walka w pewien sposób dotyczyła Alexa. Instynkt ostrzegał ją, że kochanek pojawił się w jej życiu w zbyt dobrze wymierzonym momencie. Odrodził jej kobiecość, ale to po prostu kolejny żarcik przeznaczenia. Rozpatrywała plan za planem; pora wykonać ruch i zmusić Lovata, żeby zdradził swoją pozycję.

- Alex, zastanawiałam się na tym, co mówiłeś o kolii swojej babki...

Wślizgnęła się do jego gabinetu i przysiadła na biurku; wiedziała, że ten drobny gest go rozbroi.

- Zmieniłam zdanie. Masz rację. Warto zaryzykować. Więcej, warto postawić wszystko na jedną kartę. I jeszcze jedno, chciałabym, żebyś porozmawiał z pewnym człowiekiem, o ile uda ci się go odnaleźć. Nazywa się Mitrokin. Kiedy chcesz wyjechać?



21

Leningrad, 1990

Ania wpatrywała się w kwadratową kartkę, trzymaną w dłoni. Trzy pytania. Czy miasto powinno zmienić nazwę na Sankt Petersburg? - skreślić „nie”, jeśli chcesz nowej nazwy. A raczej starej nazwy. Czy przemianowanie byłoby zniewagą wobec Lenina? A kogo to obchodzi? Co Lenin dla niej zrobił? Czy zachowanie obecnej nazwy stanowiłoby zniewagę wobec świętego Piotra? Święty Piotr zapał się Chrystusa; jasne, był mężczyzną, a oni, kiedy coś im nie pasuje, wszystkiego się wypierają. Ten łajdak z hotelu wyparł się, że ma inną, zaprzeczył, że kupił jej mieszkanie. Ania dziękowała Bogu i swojemu zdrowemu rozsądkowi, że An-driusza zapewnił jej mieszkanie. Starzy kochankowie są o wiele więcej warci niż nowi.

Popatrzyła na swoją czerwoną sukienkę - pogniecioną z przodu i wypchaną na siedzeniu mimo codziennego prasowania. Rąbek był krzywy. Większość szwów sama wielokrotnie wzmacniała, suwak wymieniła kilkanaście razy. Uszytej z taniej - prawdopodobnie wybrakowanej - wełny sukni brakowało polotu. W prawdziwym Sankt Petersburgu chodziło się w eleganckich ubraniach. Dzisiejsze miasto tonęło w brudzie, zapadało się w bagno, brakowało w nim jedzenia. Istny cud, że tak długo przetrwało. Ojciec Ani mawiał, że już tyle razy odradzało się niczym feniks z popiołów, że na pewno po raz kolejny zmartwychwstanie. Może nowa nazwa pomoże? Skreśliła „nie”.

Teraz sprawa przywódcy partii. Jakaś bardzo prawomyślna babuszka w metrze poinformowała cały wagon, że tylko pedały, dziwki i kryminaliści głosują na Jelcyna.

- To znaczy wszyscy moi znajomi - odpalił jakiś młody człowiek i ściśnięci w przedziale ludzie parsknęli śmiechem. Mawiano, że w wagonach panuje taki tłok, że można tam

Cetia Brayfield

spokojnie kopulować z nie znanym sobie człowiekiem. Mawiano, że każda Rosjanka to dziwka. Ania wolała określać siebie mianem wolnego ptaka. Zagłosowała na Jelcyna.

Wreszcie burmistrz. Sobczuk to cywilizowany, rozsądny człowiek, ale brakuje mu tupetu. Lubiła go oglądać w telewizji, jego i ten jego sprytny uśmieszek. Tylko on ma trochę oleju w głowie. Wczoraj wieczorem powiedział, że walczyć warto jedynie o to, aby nasze dzieci i wnuki żyły w innym społeczeństwie. Ania całkowicie się z tym zgadzała. Żadne z jej dzieci nie żyło - usunęła siedem, nie, osiem ciąż. Nie tak znowu źle, dokładnie tyle wynosiła średnia, więc muszą być kobiety, które robiły to więcej razy. Ale nigdy nie jest za późno. A zresztą, czyż ona przez całe życie nie pracowała, żeby żyć w innym społeczeństwie?

Zagłosowała na Sobczuka, zgięła kartkę i wrzuciła ją do prostej, drewnianej, politurowanej skrzyni, ironicznie poklepując metalową kłódkę. Pewnie, że wyniki będą sfałszowane, ale tak czy owak trzeba przez to przejść.

Była pełnia lata. Tylko poza miastem, w bezpośredniej bliskości morza można było wyczuć słodkawy zapach wody, jednak w miarę jak zapchanym trolejbusem zbliżała się do centrum, stłumił go odór potu i kurz. Nad miastem unosiło się wilgotne, upalne powietrze. Dwa samochody z gotującymi się chłodnicami zatamowały ruch na pół kilometra przed pętlą. Ania przedarła się przez tłum pasażerów i wyskoczyła na ulicę, zadowolona, że nie będzie musiała wrzucać do automatu pięciu kopiejek.

W drodze do hotelu przed sklepem mięsnym zauważyła kolejkę, zresztą nie za długą.

- Chyba nie po te okropne czarnobylskie kurczaki? - spytała ostatnią osobę w ogonku.

W tych czasach każdy kurczak był dobry, nawet mutanty z krzywymi dziobami i kikutami zamiast skrzydeł.

Mężczyzna wzruszył ramionami i mruknął coś niewyraźnie. Dawniej ludzie odnosili się do siebie z sympatią, teraz nawet nie chcieli rozmawiać. Zobaczyła, że ze sklepu wychodzi kobieta z okrągłą paczką. Nawet radioaktywne kurczaki nie miały takiego kształtu.

Po czterdziestu minutach z satysfakcją stwierdziła, że to wieprzowina i kupiła mięso za wszystkie pieniądze, odpyskując kobiecie, która stała za nią, że mięso nie jest na kartki, więc chyba może kupić, ile chce. Przechodząc przez bazar, rozglądała się za ogórkami i ziemniakami. Ostatnio na

Kolia

513

nic nie można już liczyć. Trafiają się ogórki, ale po ile! Dwa lata temu kilogram kosztował pięć rubli, ale teraz płaciło się za nie bająnskie sumy. Na straganie zostały same powykrzywiane, ale i tak musiała o nie stoczyć walkę z jakimś zapasionym młodym chuliganem, który sądził, że może ją wypchnąć, bo on nie lubi stać w kolejce. Za późno już na kolejkę po ziemniaki, nawet gdyby się gdzieś znalazły.

Czasem po takim staniu miała ochotę się powiesić. To było takie upokarzające, a ludzie odnosili się do siebie z taką wrogością! W hotelu czekała na nią wiadomość, żeby poszła do pokoju 157, co jeszcze bardziej zepsuło jej humor. Czemu w ogóle zaczęła pracować w hotelu? Bo była za stara, żeby łązić po dworze, i za głupia, żeby utrzymać przy sobie męża.

Jej mąż trochę handlował - oczywiście nie na taką skalę jak Andriusza - ale nieźle mu się powodziło. Czy naprawdę tak ciężko jej się z nim żyło? Przecież i tak wiecznie nie było go w domu. Ale ona wcześniej, za czasów swojego pilota, przyzwyczaiła się do bardziej zachodniego stylu życia - gazet o stronach miękkich jak z jedwabiu, bielizny tak dobrej, że można by w niej pójść do teatru. A jak się do tego miały te śmiecie, które ten jej znosił? Dzięki Bogu miesiaćkowała regularnie, a ile razy jego goryle położyli łapy na tamponach? Dostawała je raz na pięć lat i to jeszcze wybrzydzało, że się ich domaga. Jak kobieta może się czuć kobietą bez perfum? A czasem i bez mydła? Może matka miała rację - gdyby starała się być dla niego miłsza, bardziej by zwracał na nią uwagę. Zresztą teraz już i tak za późno.

Tłumaczenia przynosiły jakie takie pieniądze, ale najlepszą robotę dostawały młodsze, szczuplejsze dziewczyny. Obsługa gości nie była taka znowu wyczerpująca; chodziło tylko o to, żeby przetrzymać klienta na dole, w czasie gdy ekipa zmieniała taśmę, albo przeszukiwała pokój. Oczywiście, żadna z nich nie pracowała dla KGB, ale i tak trzeba było podpisać cyrograf, a wtedy oczywiście mieli cię w ręku. Kiedy ich etatowe pracownice były zajęte, wysyłali którąś do pokoju 157, gdzie dostawała zlecenie. Oczywiście, odmowa nie wchodziła w rachubę, chyba że się chciało skończyć budując świetlaną przyszłość.

- Masz, Amerykanin, przyjechał na tydzień, ale zna miasto, kiedyś tu studiował i musimy się do niego jak najszybciej dorwać. Już się wprowadził, prawdopodobnie niedługo zejdzie na kolację.

Celia Brayfield

Szef podał jej fotografię.

- Naprawdę musimy znowu ją zatrudnić? Może lepiej, żeby któraś z naszych dziewcząt się tym zajęła?

Ech, te dzisiejsze szczeniaki z tajnej policji. Że też takich przyjmują do pracy. Widziała gołębie o większym rozumku niż ci.

- Nie mamy wyboru, nie zapominaj o tej delegacji afrykańskich handlowców w Astorii. Co się stało? - zwrócił się do Ani, która uważnie przyglądała się fotografii. - Nie w twoim typie? Za dużo ciężkiej pracy, co? - Nachylił się ku niej, opierając się na kostkach dłoni.

Ania odwróciła zdjęcie do światła, które przedzierało się przez brudne zasłony.

- To jakiś aktor?

- Nie, antykwariusz, przynajmniej tak twierdzi. Robota jak zwykle - postaraj się jak najdłużej przetrzymać go na dole, dobra? No, do roboty.

Nieśmiało spuściła wzrok. Odgrywanie skromnisi, oto rola, którą te gnojki najbardziej lubiły. Dobrze, że chociaż nie pracowała dla nich na cały etat, ale i tak wystarczająco zatruwali życie. Zawsze na krawędzi, wieczne popychadło, traktowali człowieka, jakby nie był godzien lizać ich buciorów, i jeszcze trzeba się uśmiechać, robić, co każą, a w nagrodę za to nie wywalali z hotelu.

Kelner umieścił ją w spokojnym kącie przy parkiecie.

- Posadzę go tam. - Pokazał stolik obok. - Co byś powiedziała na jakąś zakąskę na wzmocnienie?

- Świetnie, umieram z głodu.

Było jeszcze wcześniej, orkiestra dopiero się rozgrzewała - perkusista sprawdzał bębny, a dziewczyna z grupy popisывała się skokami i obrotami. Wycieczka japońskich studentów karnie klaskała.

Skurczybyk kelner przyniósł jej plasterek sera, kilka oliwek, odrobinę chleba i piwo. Własną szminką by się bardziej najadła. A klient się nie spieszył. Choć wygłodzona, musiała zostawić jedzenie na talerzu, żeby nie wyglądać podejrzanie. Chcąc oszukać głód, zapaliła papierosa.

Ania opracowała własną strategię rozgrywania tych dorywczych zleceń. Każdy obcokrajowiec, który mieszkał w hotelu, spodziewał się, że zostanie zaczepiony albo przez szpiega, albo przez prostytutkę. Dlatego nie miało sensu udawać młodej, eleganckiej Rosjanki, która zupełnie przypadkowo znalazła się w hotelu dla obcokrajowców. Kiedy się odgrywało dziwkę,

Kolia

513

nigdy niczego nie podejrzewali, a przy okazji, jeśli się miało ochotę na miłego, dobrze wychowanego faceta, można go było sobie złowić i do tego jeszcze na boku zarobić kilka dolarów.

Tylko raz jej strategia zawiodła, kiedy napalony głupek wepchnął jej do torebki dziesięć dolarów i zawlókł na górę, zanim tamci zdążyli skończyć. Jak kobieta może się skupić na przyjemności, kiedy wie, że pod łóżkiem leży jakiś'tępy gliniarz? I ta scena, zupełnie jak z filmów z Charlie Chaplinem: wypuszczanie idioty, kiedy klient poszedł się odlać. Uśmieły się z tego z dziewczętami, i KGB na jakiś czas przestało korzystać z ich usług.

Kelner prowadził mężczyznę do stolika. Szybko oblizała wargi, podciągnęła spódnicę i mrugnęła znad okularów. Jakież miły uśmiech miał ten facet. A może nawet miałaby dziś ochotę na jakąś małą przygodę? Andriusza twierdził, że nigdy nie potrafiła tego właściwie okazać, ale jak mogła się powstrzymać widząc przed sobą takiego kuszącego klienta?

- Samotny? Może szukasz towarzystwa? Ku jej zaskoczeniu odparł po rosyjsku.

- Prawdę mówiąc nie, ale jeśli byś nie miała nic przeciwko, chętnie bym trochę porozmawiał, żeby przypomnieć sobie język.

- Mówisz całkiem nieźle. Masz dobry akcent i to nawet leningradzki.

Wstał, obszedł stolik i wysunął dla niej krzesło. Kelner, który przyniósł ptysia serowego na zakąskę, parsknął śmiechem. Miała ochotę go za to zdzielić.

- Napijemy się wina? Proszę mi przynieść kartę - zażądał mężczyzna i kelner zniknął.

- Co to jest? Ser? Ostrożnie dziabnął widelcem.

- Ser zapiekany w cieście. Bardzo smaczne, spróbuj.

- Gdybym to jadł, przez ten tydzień spałbym się jak świnia.

Zauważył, że Ania przygląda się jedzeniu, dostrzegł jej prawie pusty talerz. Była pulchna, jej wygląd świadczył, że lubi sobie dogadzać.

- A może byś mi pomogła? Proszę podać jeszcze parę sztuczków - zwrócił się do podłamanego kelnera. - Weź mój widelec, nie wstydź się, jedz. Najadłem się w samolocie, nie jestem głodny.

Celia Brayfield

Z pełnym żołądkiem mogła się lepiej przyjrzeć mężczyźnie. Taki nigdy nie musi szukać dziwki, nawet w obcym mieście. W młodości musiał być z niego kawał przystojniaka. Figurę nadal miał dobrą - to od razu się rzuca w oczy - i prosto się trzymał. Twarz niezła, ale ten chłopięcy wyraz dawno wyszedł z mody. Włosy co prawda nieco przeredzone, ale za to wyraźne kości policzkowe, miłe oczy. I jeszcze coś, czego nie potrafiła określić.

- Co cię sprowadza do Leningradu?

- Pracuję dla jednego z londyńskich domów aukcyjnych, szykują wielką aukcję rosyjskich dzieł sztuki, rzemiosła, wszystkiego.

- Rozumiem. A gdzie się tak dobrze nauczyłaś rosyjskiego?

- Tutaj. Jako młody chłopak uczyłem się baletu i studiowałem w Szkole Waganowej.

Serce przestało jej bić. Zrobiło jej się niedobrze. Ten przeklęty ser utkwiał jej w gardle i zaczął się cofać. Czy to właśnie to? Czy dlatego jego twarz wydała jej się znajoma?

- Wołk?

Przywołane z zakamarków pamięci imię samo pojawiło się na jej ustach.

- Tak właśnie mnie nazywali... Chryste Panie! To ty! To naprawdę ty! Ania! Od kiedy się dowiedziałem, że tu przyjeżdżam, myślałem tylko o tym, czy cię spotkam. Moja ukochana. Chodź...

I znowu się poderwał, obszedł stół, wyciągając ramiona, pociągając ją na równe nogi, obejmując. Oboje płakali.

Kelner grzmotnął o stół talerzem z kurczakiem, chcąc przywołać dziewczynę do porządku.

- Dlaczego o mnie nie zapomniałeś? - wydusiła wreszcie.

- Jak mógłbym zapomnieć swoją pierwszą miłość. - Miał zamiar dodać „i jedyną”, ale się powstrzymał. Nie dla Ani wielkie, łatwe słowa, którymi obdzielał inne kobiety. - Zawsze o tobie myślałem. Pamiętasz, jak przyszedłem się z tobą pożegnać tej nocy, kiedy wyjeżdżałem?

- Myślałam, że to zły sen.

Otarła oczy wierzchem dłoni. Podał jej chusteczkę - nową, czystą, pachniała lekko wodą Vetiver.

- A ja słyszałem...

Alexander Wolfe należał do nielicznego grona mężczyzn nie-ginekologów, którzy potrafili bez skrępowania rozmawiać o kobiecych sprawach, ale teraz nie mógł wydusić ani słowa.

Kolia

517

- O niczym nie słyszałeś. Nasz drobny problem został łatwo rozwiązany. Naprawdę nic, następnego dnia mogłam normalnie pójść na zajęcia. Dopuścili mnie do dyplomu, przez rok, może dwa występowałam w zespole ludowym, potem zaczęłam pracować jako stewardesa. Miałam bardzo udane życie...

- Jesteś taka piękna.

- Nie opowiadaj bzdur. Jestem grubą dziwką w średnim wieku, a ty przyzwyczyłeś się do zachodnich dziewcząt, zadbanych, wychowanych w cieplarnianych warunkach...

Zamknij się, idiotko, to twoja największa życiowa szansa i po raz drugi chcesz ją załatwić?

- Nic się nie różnisz od tej Ani, którą zapamiętałem. A ja?

- Cóż, ty wcale się nie zmieniłeś. Zawsze byłeś próżny jak paw.

Nieświadomie przeciągnął dłonią po włosach, zczesując je do tyłu.

- Kiedy pokazali mi twoje zdjęcie, myślałam, że to jakiś amerykański gwiazdor filmowy.

- Przestań mi pochlebiać. A ci oni... Przypuszczam, że właśnie przeszukują mój pokój?

Potaknęła, widać było, że gryzie ją sumienie.

- Nie smuć się, każdy orze, jak może. Usiądź, dokończymy kolację, a potem pójdziemy na spacer, zgoda?

O północy spacerowali brzegiem Newy wzdłuż Ermitażu. Oprócz nich nad rzeką tkwił tylko jakiś wytrwały rybak. Na niebie w różnych odcieniach szarości nie było widać ani słońca, ani księżyca. Po wodzie, która w świetle jasnej, podbiegunowej nocy migotała niczym siwe włosy czarownicy, niosły się dźwięki muzyki i odgłosy śmiechu z jakiegoś przyjęcia.

Oboje podali sobie mocno skrócone i ocenzurowane wersje swoich życiorysów, ale nie zadawali żadnych pytań.

Liczyło się tylko to, że się odnaleźli. Reszta była nieważna. Dla dwojga przesądnych ludzi to spotkanie stanowiło istny wyrok opatrności.

- Czy ja dobrze zrozumiałam, że przyjechałeś odnaleźć koię Kuźmińskiej?

Ania wciągnęła go do półokrągłej niszy i oparła się o kamienną ścianę, tyłem do rzeki.

- To jeszcze jeden, niewiarygodny zbieg okoliczności. Rok temu oprowadzałam Anglika, który szukał tego samego.

Celia Brayfield

- I...?

- Znalazłam ją. A raczej poszliśmy do handlarza, teraz to jest legalne, wolny rynek i tak dalej, i on zdobył kolię. Nie pytaj mnie, jak. Mają swoje sposoby.

- Więc kolia jest już w Anglii?

- Nie, jest tutaj, w Rosji. Łajdak siedzi na tym, twierdzi, że biżuteria to nie jego specjalność.

Alex szybko potwierdził szczegóły, położenie mieszkania, upewnił się, gdzie znaleźli kolię i spytał o nazwisko Anglika. Ania nie pamiętała.

- Mam gdzieś zapisane w domu, ale będziemy musieli poczekać do drugiej, aż opuszczą mosty.

Oparli się o balustradę i przez chwilę w milczeniu przyglądali się rzece. Na pustym kanale leniwie kołysała się motorówka.

- Wiesz, chciałbym ją zobaczyć. Tę kolię. *Grand-mere* zawsze powtarzała, że gdybym zobaczył naszyjnik, zrozumiałbym, kim była.

- Chyba dałoby się to zorganizować.

Chciała mu opowiedzieć całą historię, ale zmusiła się do ostrożności. Za nimi ulicą przejechały dwa samochody wyładowane młodzieżą, ze środka dobiegała muzyka.

- Wszyscy się dzisiaj bawią.

- To wpływ białych nocy.

Położyła mu dłoń na rękę, zapletli palce.

- Zawsze sobie wyobrażałem, że wyszłaś za mąż za jakiegoś przyzwoitego mężczyznę i dochowałaś się szóstki dzieci.

- Tutaj pojęcie przyzwoitego mężczyzny jest względne.

- Zaśmiała się niezręcznie, czując, że to zabrzmiało ostro.

- Zresztą rozpuściłeś mnie. Wiesz, że byłeś najlepszym moim kochankiem?

Objął ją ramieniem, spojrzał jej w oczy, wdychając zapach rumianków, którymi płukała włosy.

- Od tamtej pory mnóstwo się nauczyłem. - I ja.

Było to proste stwierdzenie faktu. Cóż za rozkosz, flirtować dla samego flirtowania, a nie po to, żeby zdobyć kosmetyki, nowe żelazko, albo utrzymać przywilej pracowania w hotelu. Jakie to dziwne, że grzeszne zachowanie

może sprawić, że człowiek czuje się taki czysty. Tak spędzili jeszcze kilka godzin, potem zatrzymywali samochody, dopóki nie trafili na kogoś, kto podwiózł ich w okolice cmentarza Smoleńskiego, niedaleko mieszkania Ani.

Kolia

519

Kiedy tam dotarli, z walizki wyciągnęła zdjęcie ze swojego występu dyplomowego; jej partnerem był Armeńczyk, oboje stali sztywno z nienaturalnymi, szerokimi uśmiechami na twarzach i oczami zwróconymi w stronę domniemanej galerii.

- To powinienem być być ja. - Palcami musnął jej twarz. - Zawiodłem cię, nigdy sobie tego nie daruję.
- Kochanie, nie wolno ci tak mówić. To była moja wina, moje urodziny. Wierz mi, nigdy cię nie winiłam. Cieszyłam się, że jesteś bezpieczny i nic ci się nie stało.

- Uwielbiam cię właśnie taką.

- Ty głuptasie... - prychnęła i choć jej wargi już nie były pełne, Alex dostrzegł ten sam grymas co przed laty. Nie mógł znieść myśli, że miałyby zniknąć, a nierówne łóżko, przykryte czerwoną narzutą, wołało ich do siebie.

Potem Ania wypaliła papierosa i przypomniała sobie o nieważnym, zapomnianym celu wizyty Alexa. Włożyła różowe kimono i zaczęła grzebać w nie uporządkowanej szufladzie, podczas gdy Alex przyglądał jej się z łóżka. Kochał w niej właśnie ten gest, kiedy siedziała pewnie, z uniesioną głową i poruszała rękami, jakby chciała nimi ogarnąć to, co wie i nadać temu konkretny kształt. Wszystko w niej było solidne, pewne, nawet mocny supeł, na który zawiązała chustę pod biustem. Wydawała mu się boginią kobiecego rozsądku. Mógł leżeć w jej świątyni, wyznać wszystkie swe grzechy i uzyskać rozgrzeszenie bez osądu.

- A, tu jest, świntuch.

Z rogu szuflady wydobyła wizytówkę i podała Alexowi.

- Spółka Whitburn-Tuttlingen, Lovat Whitburn, wiceprzewodniczący.

Alex się rozżłościł. Rzadko doznawał tego uczucia, a jeszcze rzadziej dawał mu wyraz, ale upokorzenie było zbyt silne, a przy Ani mógł sobie pozwolić na szczerość.

- To on, to ten sam człowiek, który mnie tutaj przysłał!

- Nie rozumiem. Dlaczego? Znaleźliśmy dla niego kolie, wie, gdzie jest...

- Niezależnie od jego motywów, nie gra uczciwie. Z góry to ukartował. Wyciągnął ze mnie całą historię, potem wysłał mnie do tej kobiety, ona prowadzi wielki dom aukcyjny. A kiedyś byli małżeństwem. Zostałem wykorzystany, Aniu.

- To pewne, ale przez kogo?

W oczach Alexa pojawił się błysk bólu. Nie wyznał Ani, jaki charakter miały jego stosunki z Bianką. Jednak istnienie

Celta Brayfield

utrzymanków było tak dalekie od doświadczeń Ani, że mylił się, sądząc, że odkryła prawdę.

- Co się za tym wszystkim kryje? Nic nie rozumiem. Czy nadal razem pracują, to było małżeństwo?

- Przeciwnie, mogę cię zapewnić, że oczu za sobą nie wypłakują. Rozwód był dość nieprzyjemny, teraz jej firma jest zagrożona, a on chce ją kupić.

- Aha, więc może o to mu chodzi - chce załatwić tę kobietę, a my po prostu jesteśmy elementami w tej jego grze. Ania dopasowała tę teorię do faktów i uznała, że wszystko się zgadza. Anglik był sprytnym manipulatorem i bez trudu uwierzyła, że zamieszanie wokół kolii to jego dzieło.

- No i...? Co robimy? Masz jakieś pieniądze?

- Trochę.

Szybko rozejrzał się po pokoju, jakby chciał się upewnić, czy nikt ich nie podsłuchuje. Miał rację, nigdy nie wiadomo. Podała mu kartkę, napisał kwotę, a pod tym „w gotówce, dolary amerykańskie”. Suma była wyższa niż cena, jakiej zażądali od Anglika.

- W takim razie możemy dobić targu. Nie ma najmniejszego problemu.

Wyglądało to na bardzo satysfakcjonujące zakończenie poszukiwań. Prawie natychmiast Alexa ogarnęła duma, że tak szybko znalazł kolie. Ania wyciągnęła rękę i przyciągnęła ku sobie jego twarz, żeby go pocałować.

- Jak długo możesz zostać?

- Nie wiem. Dziesięć dni, może dwa tygodnie...

Pełen nadziei dołeczek, który pojawił się w policzku Ani, szybko zmienił się w grymas rozczarowania.

- Ale jeśli załatwimy sprawę, cały ten czas będę mógł spędzić z tobą.

Wydawało mu się, że przyjęła to jako zaledwie nędzny substytut czegoś innego, i po jakichś czterech dniach, kiedy został przedstawiony Mitrokinowi jako angielski kupiec, nabył kolie, ukrył ją w kasecie aparatu fotograficznego, robił zakupy z Anią i częściowo domyślił się, w jaki sposób zarabiała na życie, zrozumiał.

Alex nigdy nie widział siebie w roli męża. Zdawał sobie sprawę, że nie potrafi ofiarować kobiecie niczego poza sobą, a to nie wystarczało. Przez rok, może dwa, a raz nawet, kiedy był jeszcze młody, cztery lata, jego wytrenowane ciało, sympatia i zrozumienie zaspokajały wszelkie potrzeby kochanek,

Kolia

519

ale w pewnym momencie pojawiały się problemy bardziej rzeczywiste, a z tymi sobie nie radził.

Uświadomił sobie, że kobiety wkraczały w jego życie, znajdując się niejako w stanie poczwarki - miękkie, wrażliwe, zamiast skrzydeł miały zlepione tkanki, on zaś niczym zefir ogrzewał je ciepłym oddechem, póki nie dorosły do stadium motyla, nie nabrały tęczy barw i nie dojrzały na tyle, aby wyfrunąć na spotkanie prawdziwego życia.

Stanowił dla nich interludium, przywracał im zdrowie, ale to wszystko.

Ania była inna. Po bohatersku stawiała czoło swej nędznej egzystencji, nieustannie zapędzana w róg, z góry skazana na przegraną. On zaś po raz pierwszy w życiu mógł się wcielić w rolę królewicza z bajki i wyzwolić ją z tego wszystkiego, ofiarowując jej to, czego inne jego miłości nie potrzebowały - siebie samego.

Pewnego wyjątkowo słonecznego dnia Ania zdobyła samochód i wybrali się poza miasto, drogą, wzdłuż której stały drewniane domy. Przed każdym rosły ziemniaki, drzewa owocowe, leżało drewno. Za brzozowymi albo topolowymi płotami kryły się pawie i stadka kurczaków. Ania i Alex skręcili w drogę, która wiała się wśród lasu brzeziniaku.

Teren był równy, częściowo pokryty wodą, porośnięty bladymi, letnimi kwiatami, tawułą, koniczyną o bujnych liściach, wszystko tkwiło korzeniami w wodzie. Tu i ówdzie trafiały się polanki, na których stały poprzeczone ule, wyglądające jak grupki pijaków na rogach ulic.

Zatrzymali się na dużej, słonecznej polanie. Było tu koło dwudziestu uh, wokół których bzyząc uwijały się tysiące pszczoł. Stała też prosta, nie malowana chata. Stół ocieniała stara markiza przyczepiona do niskiego dachu.

- Tutaj kupujemy miód - powiedziała Ania, witając się z kobietą, która siedziała na stołku przy stole. Do jej nóg tuliła się mała dziewczynka. Dziecko wbiegło do chałupy i wyniosło z niej bochen chleba. Był jeszcze ciepły, z ciemną smugą sadzy na skórce. Alex wyobraził sobie stary piec chlebowy opalany drewnem - i rzeczywiście w głębi chaty stał duży, okopcony piec. Kobieta rozdarła chleb na kawałki i ruchem dłoni zaprosiła gości do stołu, gdzie rozstawiono kilka misek, na które wylano złocisty miód. Pszczoły parami albo w trójkach krążyły nad owocem swej pracy, niektóre próbowały się w nim zanurzyć.

Maczali chleb w każdej miseczce, smakując, porównując

Celia Brayfield

smak i walory poszczególnych gatunków. Wreszcie wybrali miód lipowy dla Ani, a dla jej sąsiadów wielokwiatowy. Kosztował dziesięć rubli za pół litra.

- To zdzierstwo!

Alex do tej pory nigdy nie zwracał szczególnej uwagi na ceny. Teraz, kiedy wiedział, że hotelowa prostytutka może zarobić dziesięć rubli za pół godziny, miał pewne porównanie.

- Tak, ale co robić? W sklepach miód jest nieosiągalny. A cukier trudno dostać. Powiadam ci, w tym mieście nie sposób żyć, ale też nie sposób je porzucić.

Mówiła z goryczą, wyraźniej niż on uświadamiając sobie niesprawiedliwość losu. Z chaty wyszedł mężczyzna z trzema kieliszkami straszliwie mocnego samogonu.

W drodze powrotnej zatrzymali się w miejscu, gdzie płynął strumień, i umyli lepkie ręce. Właśnie tam Alex oświadczył się Ani, ale potrzebowała jeszcze dwóch dni ciągłych zapewnień, żeby wreszcie się zgodzić. Zanim Andriusza zdążył uruchomić wszelkie znajomości, żeby od razu mogli się pobrać, Ania przez tydzień tonęła we łzach. Wreszcie w Pałacu Ślubów odbyła się ceremonia zaślubin. Następnego dnia Alex wyjechał, obiecując, że kiedy tylko odda koleję, wróci, by towarzyszyć jej w długim oczekiwaniu na wizę wyjazdową. Ostatecznie, kiedy brylanty wreszcie znajdą się w sejfie Berrisfordów, nikomu nie będzie potrzebny.

Jednak gdy wrócił do Londynu, jego perspektywa się zmieniła i zaczął panikować na myśl, że w końcu Bianka może go jednak potrzebować. Jej reakcje były nieprzewidywalne - chociażby sprawa z mieszkaniem. Jakże nienawidził tego miejsca, małej kuchenki i chłodnych kątów, z których wiało samotnością.

Zastał ją jak zwykle w gabinecie. Korzystając ze spokoju, jaki panował po zamknięciu biur, planowała kolejny dzień. Wyglądała przepięknie, mocne światło lampki, która stała na biurku, podkreślało czyste rysy jej twarzy, miękkie fałdy kostiumu w kolorze cynamonu, który sam jej wybrał, dodatkowo harmonizowały z jej urodą.

- Oto ona - kolia Orłowa.

Od kilku godzin trzymał ją zawiniętą w chusteczkę w wewnętrznej kieszeni marynarki i kiedy położył naszyjnik na dłoni Bianki, kamienie były ciepłe, pełne życia. Na nadgarstku załśniły maleńkie tęcze.

- Moim zdaniem jest warta pięć milionów, a twoim?

Kolia

521

- Tak.

Oglądała ją, automatycznie szukając śladów napraw, przeróbek albo innych drobiazgów, które mogłyby obniżyć wartość naszyjnika lub podważyć jego autentyczność. Równocześnie zaś zdawała sobie sprawę, że od wartości tej garstki kamieni zależy przyszłość jej i setki innych ludzi.

- Piękna, prawda?

- Tak.

- Wyobraź sobie, ostatnią osobą, która ją nosiła, była moja babka. Może wybierała się na bal w carskim pałacu...

- Chyba że przymierzyła ją jej pokojówka. Albo nawet i moja babka.

Znowu położyła sobie kolie na dłoni, podziwiając, jak miękko się układała. Kamienie łączyły setki złotych kulek, niedostrzegalnych i tak delikatnych, że same się dopasowywały do kształtu ręki.

- Ależ z ciebie realistka. Uśmiechnęli się do siebie.

- Tak, jestem realistką. I cieszę się, bo dzięki temu życie staje się prostsze. Nie miłsze, nie łatwiejsze, ale prostsze.

Inną zachwycającą cechą Alexa było to, że w przeciwieństwie do znanych jej mężczyzn nigdy się nie spieszył, nigdy się nie zachowywał, jakby już myślał o kolejnym czekającym go spotkaniu. Leżał wygodnie rozparty w fotelu, jakby czas w ogóle nie istniał.

Zaproponowała kolację, dodała jednak, że chciałyby wcześniej wrócić do domu. Zgodził się, w ten sposób zamykając lukę, która zaczęła ich dzielić. Bianka trzymała u niego w mieszkaniu ubrania i kiedy poszła wziąć prysznic, Alex przygotował dla niej czarną prostą sukienkę na ramiączkach i zaproponował, żeby włożyła kolie.

- Nie bądź niemądry, a jeśli...

- Ubezpieczyłem ją. Dziś po południu ubezpieczyłem ją na dzisiejszy wieczór i dzień sprzedaży. Poza tym na okres przechowywania w naszym sejfie. Tu masz potwierdzenie, prosiłem, żeby przesłali faxem. Ten jeden raz, Bianka. Zrób to dla nas, proszę.

Kusiło ją, żeby go pocałować, ale ponieważ oboje wiedzieli, że to ich ostatnia kolacja, nie chciała w nieodpowiednim momencie rozbudzać spokojnie dogasających płomieni namiętności.

- Myślisz o wszystkim. Jeśli kiedykolwiek będziesz szukał

Cetia Brayfield

jakiejś normalnej pracy, dam ci dobre referencje. - Słowa z trudem przechodziły przez ściśnięte gardło.

- Będiesz mnie czasem wspominać?

- Jasne. Czym chcesz się zająć?

Chciała zapiąć sobie suwak, ale on gniewnie odsunął jej rękę i sam to zrobił.

- Na jakiś czas wrócę do Leningradu, a potem... Nie wiem. Zawsze mogę uczyć, miałem ciekawe propozycje.

- Wiesz, gdybyś zechciał, to poprosiłabym cię o załatwienie jeszcze kilku spraw w Leningradzie. Mogłabym ci przedłużyć kontrakt na jakieś sześć tygodni.

Słyszała, że Lovat znalazł tam kilka obrazów Somowa i choć nie znosiła tego malarza, nie zamierzała ich oddać Lovatowi.

- Nie chciałbym, żebyś robiła coś...

- To będzie zupełnie legalne. I bardzo byś mi pomógł, nie mogę działać w Leningradzie. Twój wuj przyznał to miasto Lovatowi.

- A więc wojna trwa?

Pozwolił, żeby mu zapięła spinki, choć i to robiła znacznie mniej zręcznie niż on.

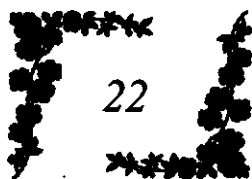
- Jak najbardziej. I mam nadzieję, że stoisz po mojej stronie.

- Naturalnie. Twój uniżony sługa aż do śmierci. Skłonił się nisko i ujął ją pod rękę.

- Wiesz, on też szukał kolii. Spotkałem kilku ludzi, którzy mówili, że o nią wypytywał.

- Aż się wierzyć nie chce, że byłam żoną takiej dwulicowej świni.

Odwróciła się do lustra, żeby przyjrzeć się naszyjnikowi i Alex zauważył, że na jej twarzy zagościł wyraz, jakiego nigdy przedtem u niej nie widział - lśniące oczy, radość i niepewność. Przywodziło mu to na myśl dziewczynę, która czeka na pierwszy pocałunek albo wybiera się na pierwszy bal. Przypisał to kolii - już dawno się przekonał, że biżuteria potrafi wyrzucić na kobiety magnetyczny wpływ. Alexowi Wolfowi nawet nie przyszło do głowy, że kobieta, którą kiedyś kochał, mogłaby być podniecona myślą o innym mężczyźnie.



Londyn, 1991

Bianka odprowadziła pana Wyngarde'a do drzwi i wróciła do gabinetu. Nie wahała się, nie żałowała podjętej decyzji - gdyby zaczęła się zastanawiać nad tym, co zamierzała uczynić, nigdy by tego nie zrobiła. Wiecznym piórem podpisała próbny wydruk katalogu do rosyjskiej aukcji - na okładce portret Kuźmińskiej, kolorowa wkładka w środku i dwu-stronicowy opis oraz historia koliai, o której wiedziała już, że jest falsyfikatem. Cena wywoławcza wynosiła dwa miliony funtów. To też bez wahania podpisała.

Oddała sekretarce próbki do wysłania, potem wezwała dyrektora handlowego i kierownika działu reklamy, żeby omówić z nimi plan potężnej kampanii reklamowej w prasie i w środowisku.

- To będzie najważniejsza aukcja w historii firmy. Musimy stworzyć podwaliny pod coś nowego i to na wielką skalę. Chcę być pewna, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby to osiągnąć. Nie żałujcie sił, nie bójcie się wydatków, to największe wydarzenie w dziejach firmy.

Po dwóch godzinach pilnego notowania wysłała ich do pracy.

- Nikt lepiej od nas nie potrafi wmówić ludziom towaru. Pokażmy im, jak to się robi - dodała na koniec.

To była prawda i w większości jej osobista zasługa. Bianka mówiła o aukcji z takim przekonaniem, z tak głęboką wiarą w słuszność swoich sądów, że potrafiłaby zachęcić najmniej zainteresowanego słuchacza. Jeśli Bianka Berrisford - czyli BB, jak o niej mawiano w środowisku - stwierdziła, że *Ręka Fatmy* Matisse'a jest znacznie lepsza niż Picassowski *Lapin Agile*, wierzono jej, nawet jeśli właśnie sprzedawała Matisse'a. BB znała się na sztuce. Na tym polegał cały sekret.

Wreszcie została uznana za prawdziwą Berrisfordównę

Celia Brayfield

z krwi i kości. Piętro wyżej, w biurze handlowym, wkrótce będą się toczyły rozmowy z kluczowymi postaciami środowiska - kuratorami, koneserami, antykwariuszami - których celem będzie uzyskanie od niej osobistego zapewnienia, że rosyjska awangarda zgromadziła najwięcej talentów od czasu francuskich impresjonistów. , Dochodziła siódma wieczorem. Sekretarka przyniosła jej kieliszek białego wina z wodą sodową i cytryną. Potem Bianka zadzwoniła do domu i wysłuchała relacji córki z meczu koszykówki. Następnie udała się na najwyższe piętro budynku, gdzie znajdowało się puste już mieszkanie, w którym nadal unosił się lekki zapach wody Vetiver. Ta woń działała na nią podniecająco. Czy tęskniła za Alexem? Nie za jego biednym, zagubionym umysłem, nie za jego pewnością siebie, ale za jego ciałem. Zdarzały się chwile, kiedy wszystko by za nie oddała. Późno w nocy, albo rano po przebudzeniu, jej ciało głośno przyzywało kochanka.

Zabrał ją w podróż, dzięki której odkryła zupełnie nowy świat. Po dziesięciu latach małżeństwa, pięciu ciążyach, jej własne ciało stanowiło dla niej *terra incognita*. Dopiero Alex dzięki swej urodzie i delikatności pokazał jej wszystkie jego tajemnice. Teraz została sama. Często ból stawał się nie do zniesienia, ale za nic nie wróciłaby do tego pseudożycia, które wiodła, nim poznała Alexa. Zazdrościła mężczyznom - oni mogli podnieść słuchawkę, pójść na ulicę, siedzieć w barze i zawsze znaleźliby kogoś, z kim mogliby uprawiać seks.

Odkreśliła prysznic, stanęła pod strumieniem wody, zastanawiając się, jakiego dymania by potrzebowała, żeby zapomnieć o oszustwie na dwa miliony funtów. Dwadzieścia minut Alexa w najlepszej formie; choć Alex jako perfekcjonista zawsze był w najlepszej formie. Po rozwodzie miała kilku innych, ale żaden z nich nie potrafiłby sprawić, żeby zapomniała chociaż o mandacie za niewłaściwe parkowanie. A Lovat? Może mógłby stanąć w szranki, gdyby mu się chciało, gdyby wyłącznie na tym się skoncentrował. Zdaje się, że mężczyzna nie potrafi być równocześnie dobrym biznesmenem i dobrym kochankiem.

Czy Lovat też by się nie zawahał i sprzedał koleję, wiedząc, że to nie autentyk? Lovat Whitburn, król antykwariuszy, zasługiwał na ten tytuł, mimo że udało jej się zdmuchnąć mu sprzed nosa cykl obrazów Somowa. Wściekałby się i kłął, ale tak, zrobiłby dokładnie to samo. Tyle że znacznie bardziej

Kolia

528

nękałyby go wyrzuty sumienia. Walcząc z nim, Bianka się przekonała, że Lovat cierpi na poważne upośledzenie - istniały rzeczy, których by się nigdy nie dopuścił; moralność, która nie zniżyła się do brudnych sztuczek znanych w ich fachu.

Wysuszyła włosy, wbiła się w nudny kostium, który wkładała zawsze na kolacje z japońskimi klientami i udała się do hotelu Claridge'a, gdzie czekał na nią pan Kamiyama z tokijskiej Mountain Tortoise Gallery.

Dwa tygodnie później Lovat i Donald Tuttlingen prosto z lotniska przyjechali do galerii przy Mount Street.

Amerikanin, który nie wiedział, co ze sobą począć, kiedy na Park Lane jego telefon odmówił posłuszeństwa, natychmiast zaczął długą serię rozmów telefonicznych. Lovat wśród listów znalazł katalog Berrisfordów.

- Tylko mi nie mówcie... - Uważnie przyjrzał się okładce, potem otworzył katalog na stronie, gdzie umieszczono zdjęcie kolii. - Nie wierzę, to zbyt piękne... - Szybko przebiegł wzrokiem notatkę, starając się niczego nie uronić, potem jeszcze raz przeczytał, żeby się upewnić, wreszcie z triumfalnym okrzykiem rzucił katalog w powietrze. - Hura! Dała się nabrać! Ta idiotka dała się nabrać!!!

Amerikanin odwrócił się do niego, ruchem brwi okazując zaciekawienie, a równocześnie słuchając odległego głosu z Tokio.

- Jaki tam orzeł, jaka tam sowa? To istna geś! Mamy ją, Don. Uczniowcy podadzą nam jej głowę na tacy.

Grzebał w papierach na niesymetrycznym, nowoczesnym, surrealistycznym biurku, wybranym przez Isabel, gdzie nie sposób było szybko coś znaleźć, wyciągnął teczkę, w której znajdował się naszyjnik oferowany mu przez Mitrokina oraz szczegółowy raport Kuźmińskiego o jego pochodzeniu.

Amerikanin skończył rozmowę.

- Możesz mi jeszcze raz streścić całą historię?

- To - Lovat płaśnął ręką w katalog i pokazał opis naszyjnika - zwykła podróbka. Falsyfikat. Bianka nie dostała kolii Orłowa, tylko mierną kopię, którą wypocił jakiś rosyjski handlarzyna, żeby zarobić kilka dolarów. Mitrokin proponował mi ją w ubiegłym roku, ale nie dałem się zrobić.

- Więc w jaki sposób znalazła się w posiadaniu Berrisfordów? Wydawało mi się, że macie podzielone strefy wpływów w Rosji.

Cetta Brayfield

- Pamiętasz tego knypla, który obskakiwał wdówkę, przyjaciółkę twojej żony? Przyszedł do mnie, twierdząc, że babka zostawiła mu kolię Orłowa i że może ją zdobyć. Wiedziałem, że kłamie. Wysłałem go do Berrisfordów, żeby narobił tam trochę zamieszania. Ale nawet przez chwilę nie przypuszczałem, że moja droga była żona może być na tyle głupia... Założę się, że kiedy pojechał do Leningradu, spotkał się z Mitrokinem.
- Ten knypel, jak to powiedziałeś, był całkiem przystojny.
- Może, ale jakieś dwadzieścia lat temu.
- Zazdrość przez ciebie przemawia, chłopcze. Czasami te ojcowskie docinki Tuttlingena drażniły Lovata, ale dziś go bawiły. Dziś zgodziłby się niemal na wszystko.
- Słuchaj, mam nadzieję, że dostanie to, co jej się należy. Szczerze. Wiem, co mówię. Moja żona to jedna z tych kobiet, które nigdy się nie zniżyły do brudnych rzeczy. Bryła lodu, ot co. Jeśli facet jest gorący, jeśli ją rozpałił, tym lepiej dla niej. Potrzebowała tego.
- Tak więc z czystej dobroci serca rozebrałeś go, namaściłeś oliwką i wysłałeś do jej namiotu...
- Chciałeś mieć dom aukcyjny, załatwiłem ci dom aukcyjny. I to na tacy.
- Do tego tanecznym krokiem, jak widzę.
- Nie drażnij mnie, Don, jeśli nie chcesz, żebym ugryzł.
- Za bardzo się rozbuchałeś, wystarczyło, że zobaczyłeś katalog, a skaczesz z radości i to mnie niepokoi. Słuchaj, Lovat, chcę mieć dom aukcyjny, zgoda? Patrząc na to, co się dzieje na rynku dzieł sztuki, za dziesięć lat albo będziesz aukcjonerem albo niczym. Ale w tę sprawę zbyt mocno zaangażowałeś się osobiście, tak mocno, że nie możesz spać po nocach. Twój jedyny dowód to opis w katalogu, słabe zdjęcie i niedokładny portret. To za mało. Nie zaatakujemy, dopóki nie zyskamy pewności, że będziemy mogli dowieść prawdy. Rozumowanie brzmiało przekonująco. Lovat zaanektował telefon, żeby zadzwonić do Ani. Różnica czasu wynosiła osiem godzin. Wysłał fax do hotelu, następny do Mitrokina, który odpowiedział, że bardzo żałuje, ale sprzedał już kolię Kuźmińskiej, a w dodatku złożono mu korzystniejszą ofertę na cykl studiów wierzby Konstantina Somowa.
- I ochocho ją przyjął. - Rozdrażnienie rzuciło cień na jego radość. - Cholera jasna, kto to mógł być? On się nie przyzna. Kłamanie to najstarsza dyscyplina sportowa w Rosji.

Kolia

527

- Może zbieg okoliczności...

- Jak rak świśnie na sośnie. - Lovat znowu wziął katalog i przeglądał uważnie pozycję po pozycji. - Proszę, masz tu swój zbieg okoliczności. Numery trzydzieści pięć do czterdzieści dwa: „drugim po brzozie ulubionym motywem pejzaży była wierzba...”

- Na talerzu i z maselkiem, chłopcze. - Lovat zmiął fax i rzucił nim w uśmiechniętego Amerykanina. - Nadal potrzebujemy dowodu na autentyczność kolii.

- Wyngarde. Zawsze sprawdzał dla nich biżuterię. Lovat znowu sięgnął po telefon.

- Nie powie ci.

- Powiem, że niepokoję się o nią, boję się, że została wrobiona.

- Nie uwierzy.

- Po czyjej ty jesteś stronie, Don?

- Po twojej. Tylko że nie należy dzielić skóry na niedźwiedziu, kiedy jeszcze biega po lesie.

Nim Lovat zdążył wykręcić numer, sekretarka zapowiedziała Shonę Crawford-Pitt.

- Cholera! Ratuj, Don, zabierz ją na lunch.

Sądząc, że wyrządza Joemu przysługę, kiedy jego firma zaczęła plajtować, poprosił Shonę, żeby przemeblowała jego mieszkanie i zastąpiła pseudoaborygeńskie malunki i polinezyjskie batikami czymś innym, czymkolwiek, byle spokojniejszym.

Natychmiast się zorientował, że przyjaciel zapomniał go poinformować, że jego małżeństwo też się rozpada.

Zarówno Joe jak i Shona opacznie zrozumieli jego gest. Joe z goryczą oskarżał go o cios poniżej pasa, a Shona chciała przynajmniej raz w tygodniu zjeść z nim lunch i robiła mu niedwuznaczne propozycje. Lovatowi żona przyjaciela nigdy szczególnie się nie podobała, a poza tym chciał pozostać lojalny wobec Joego, ale od roku już z nikim się nie kochał. Ostatnio z Anią i nie był szczególnie dumny z tego, że ją wykorzystał. Czuł się osłabiony. Bał się, czy nie straci kontroli nad swoim życiem.

Dziękuję, że pani tak szybko przyjechała. - Etienne Sokołów otworzył drzwi mieszkania przy Place des Vosges.

Unosił się tu silny zapach sosny i Bianka zauważyła kadzidelko płonące w srebrnej podstawce na stoliku w hallu.

Sokołów się

Celia Brayfield

postarzał, zbliżał się do czterdziestki, twarz miał bladą, poorly zmarszczkami. Jak zwykle był w czerni. - Krępowalem się dzwonić, ale Kola bardzo nalegał.

- Wie?

Wziął od niej prochowiec i niezręcznie przewiesił sobie przez ramię.

- O, tak. Nawet pokłócił się z lekarzem. W ubiegłym tygodniu chcieli mu amputować drugą nogę, ale się nie zgodził. Wtedy lekarz powiedział, że jeśli Kola dostanie gangreny, zawału czy czegoś podobnego, on nie ponosi za to odpowiedzialności... - Machnął ręką, jakby lekarz był jakimś fryzjerem, który robi zamieszanie wokół nieudanej koafiury.

- I Kola go wyrzucił. Stwierdził, że chce umrzeć w jednym kawałku, a nie pocięty. Znalazłem innego doktora, bardziej wyrozumiałego, traktującego chorego z większym szacunkiem. Dziś rano znalazł pierwszy ślad gangreny. Dlatego Kola poprosił, żebym zapalił kadzidełka, bo wie, że to potrafi bardzo nieprzyjemnie pachnieć. Wezwał też prawnika, bo chciał się upewnić, czy testament jest taki, jak trzeba. Teraz czeka na panią. Mam to pani dać. - Podał jej trzy cienkie metalowe kluczyki, klucze do sejfu. - Może się zachowywać...

- szukał odpowiednich słów - ...trochę ostro. Brał morfinę, ale mimo wszystko nadal bardzo cierpi.

Sypialnia mogłaby należeć do Napoleona. Nad masywnym mahoniowym łóżem *lit-bateau* wisały ciężkie granatowe zasłony, podwiązane złotymi sznurami. Ubrany w starannie wygładzony jedwabny szlafrok, Kuźmiński siedział oparty o świeżo powleczone poduszki; rzadkie włosy miał umyte. Palce prawej ręki zaciskał na katalogu Berrisfordów. Na widok katalogu Biankę ogarnęły złe przeczucia.

- Ależ z ciebie głuptas. - Mówił słabym głosem, ale jakże bardzo przypominał jej ojca. Przygotowała się, żeby okazać cierpliwość umierającemu. Z pewnością wiedział o naszyjniku, ale jeśli nikomu o tym nie powiedział, jest bezpieczna. - Nie masz kolia Orłowa, więc dlaczego ją reklamujesz?

- Naszyjnik, który mam, został mylnie oceniony.

- Jasne, że tak. Ale wiedziałaś. Więc dlaczego?

Był zbyt osłabiony, żeby wiele mówić, ale jego głos brzmiał wyraźnie.

- Kiedy się dowiedziałam, było już za późno.

Jeśli będzie udawała, że katalog zostanie wycofany, może starzec da temu spokój.

Kolia

529

- Twój mąż twierdzi, że firma ma kłopoty.

- Tak, to prawda, wszyscy o tym wiedzą.

- I potrzebna wam duża aukcja.

- Tak, rzeczywiście.

- A więc niepotrzebny wam skandal? Chyba jej nie wyda? Nie na łożu śmierci?

- Oczywiście, że nie.

Uniósł rękę, żeby jej coś pokazać. Bianka dostrzegła, że wymagało to od niego ogromnego wysiłku.

- Sejf jest tam. Otwórz go, proszę.

Na przeciwległej ścianie wisiała inna wełniana, granatowa draperia ze złotym haftem, teraz odsunięta ukazywała dość prosty sejf z trzema zamkami. Bez trudu je otworzyła. W środku znajdowały się liczne brzozone szkatułki - na niektórych widniał znak Fabergego - oraz czerwona marokańska kasetka.

- Przynieś mi to wszystko.

Obok jego łóżka stał blat. Rozłożyła go. W sejfie było dwanaście identycznych podłużnych kasetek, jedno płaskie pudełko i jedno skórzane puzderko.

- A teraz otwórz je.

Bianka poczuła, że drżą jej palce. Była podniecona jak dziecko przed Gwiazdką. Żeby stopniować napięcie, zaczęła od czerwonej kasetki. Znajdowała się w niej cienka, złota, trochę pogięta bransoletka.

- Prosto z koszyka cara. To był jej pierwszy prezent. Z tym nic nie rób.

Skinął głową, żeby przeszła do następnej szkatułki.

Jedną po drugiej otwierała dwanaście prostokątnych kasetek, w których znajdowały się botaniczne studia Fabergego: złote gałązki w kryształowych kulach, każdy listek i owoc zrobiony z drogocennych kamieni, a każde stanowiło dowód niezwykłej maestrii i wyobraźni autora. Wszystkie one przedstawiały drzewa: brzozę, wierzbę, olchę, kasztanowiec z kasztanami z czerwonego jaspisu, jemiolę z owocami z kamienia księżycowego, buk, sosnę, wiśnię, świerk, jabłoń i jarzębinę.

- Najpiękniejsze, najdelikatniejsze i niespotykane. Zrobił tylko jeden taki komplet. Nawet caryca czegoś takiego nie miała. Dalej.

Nie patrzył na Biankę, kiedy otwierała płaskie pudełko. Rękę opuścił na krawędź blatu, powoli przysunął ją do kasetki, położył na brzożowym drewnie, baze poruszyły się, kiedy dotknął maleńkich, złotych zawiasów.

530 *Celia Brayfield*

W płaskiej skrzynce leżała kolia Orłowa. Widząc, jak nawet w słabym świetle sypialni migocze i jarzy się barwami, Bianka wyrzucała sobie błędną ocenę. Jak choć przez chwilę mogła dać się zwieść tej nieudanej podróbce, którą przywiózł jej Alex, i wziąć ją za prawdziwą kolię Orłowa?

- Oto... - wyrzucił z siebie. Lewa dłoń, w której zaciskał chusteczkę, poruszyła się na kołdrze. Bianka zauważyła na stoliku chusteczki jednorazowe, wyciągnęła jedną i otarła mu usta. - Oto kolia Orłowa.

- Jest przepiękna.

- Tak. Weź ją, weź to wszystko - pokazał skrzynki - i sprzedaj na swojej aukcji. Bransoletkę zostaw, nie ma większej wartości. Kiedy to sprzedasz, mnie już pewnie nie będzie. Tam, koło ściany, jest kasetka, a w niej wszystkie potrzebne ci papiery. Sprzedaj to wszystko jak najdrożej, a pieniądze daj Etienne'owi. Tak czy owak, on po mnie dziedziczy. - Stała jak posąg, oniemiała. Kola chyba zauważył jej zdumienie. - Etienne nie potrafiłby ich sprzedać, tak samo jak i ja nie mogłem się na to zdobyć. Dwadzieścia lat temu przywiózł mi to handlarz z Moskwy, wszystko z wyjątkiem brzozy, tę zawsze miałem. Te przedmioty to część mnie, mojego życia. Ale Etienne poświęcił mi swoje życie. Na dobrą sprawę ja byłem jego jedynym zajęciem. Dlatego powinienem go wynagrodzić. Nie puść pary z ust, póki nie będzie po wszystkim.

- Jestem ci niewypowiedzianie wdzięczna, Kola. Chyba wiesz, że ocaliłeś moją firmę, moją rodzinę. Babka...

- Nie robię tego dla niej. Ani dlatego że byłaś głupia. Po prostu wiem, że ty najlepiej to sprzedasz. Jestem zmęczony. Idź już.

Zamknął oczy, ręka zsunęła się ze stolika.

Zrobiła, jak kazał. Zamknęła pudełka i włożyła je do brązowej, skórzanej kasetki. Wszystkie dokumenty były dokładnie takie jak trzeba, instrukcje dla Berrisfordów, niepodważalne dowody autentyczności kolii i kopie stron z rejestru Fabergego ze szkicami studiów drzew. Wreszcie poprosiła Etienne'a, żeby sprowadził jej taksówkę, bo nagle poczuła się ogromnie zmęczona.

Londyn długo pamiętał tę aukcję, goście, którzy w niej uczestniczyli, wyrażali radość, że nadal są ludzie, którzy potrafią robić coś w tak wspaniałym stylu jak Bianka Berrisford.

Kolia

535

Miała ogromną salę aukcyjną w jednym z najszacowniejszych punktów miasta, obitą czerwonym pluszem ze złotym znakiem Berrisfordów kunsztownie wplecionym w złote sznury i frędzle. Benedict, który postanowił nakręcić wideo, zrobił bardzo śmieszny montaż, przedstawiający ludzi, którzy wchodzili po raz pierwszy do sali i mówili:
- Bakst!

Galerię pomalowano na chłodny stalowoniebieski kolor, w rogach zatknięto srebrne gałązki brzozy i doskonale oświetlono - Bianka nie znosiła sztuczek, których chwyciły się słabsze domy aukcyjne, u niej wszystko było wyraźnie widać. Zresztą wystarczyło powiesić słabsze obrazy trochę za wysoko, albo bardziej w rogu, żeby mniej rzucały się w oczy. W samej sali aukcyjnej światła były przyciemnione, a w koszach z czerwonymi i żółtymi kwiatami paliły się metrowe świece.

Pracownicy, którzy zdawali sobie sprawę, że gra idzie o ich przyszłość, również starali się jak mogli. Portierzy na własną prośbę zostali ubrani w ludowy strój rosyjski - wysokie buty, luźne spodnie i haftowane, lniane koszule. Widząc to, kelnerki, które miały rozlewać szampana, popatrzyły smutno na swoje czarne sukienki, tak że kierowniczka działu sprzedaży osobiście pofatygowała się do ukraińskiego centrum kulturalnego i wypożyczyła stroje regionalne zespołu tanecznego. Bianka odrzucała wszelkie propozycje muzyczne, wreszcie przystała na pianistę grającego jakieś spokojne utwory Skriabina.

Przedmioty wystawione na aukcję można było oglądać od początku tygodnia, sprzedaż zaplanowano na czwartek. Lovat przyszedł w poniedziałek po południu, prosto z rozmowy z Wyngarde'em, który, wbrew obawom Tuttlina, kupił historyjkę Lovata, że boi się o swoją biedną, oszukaną żonę, i wyznał wszystko, co wiedział o oglądanej przez siebie kolia.

Bizuteria znajdowała się w gablocie na końcu galerii. Pilnowało jej czterech strażników, którzy stali w rogach pomieszczenia. Lovat podszedł prosto do gabloty, ze zdjęciem od Mitrokina w ręku. Widząc kolia, poczuł się, jakby dostał w twarz. Przy wejściu leżały katalogi. Wziął jeden i przekonał się, że zmieniono środkową stronę - na sprzedaż zostały wystawione dwa brylantowe naszyjniki. Zamieszczono tam także zdjęcie cudownej kolii, która teraz leżała na czarnym zamszu w centralnym miejscu gabloty.

Wyszedł natychmiast, bojąc się, żeby nie powiedziano Biance o jego wizycie, i popędził na Mount Street, żeby odbyć

Celia Brayfield

krótką, niezręczną rozmowę telefoniczną z oficerem wydziału Dziel Sztuki i Antyków w Scotland Yardzie, który wyraźnie spodziewał się zupełnie innych wiadomości. Tuttlingen, do którego zadzwonił dopiero następnego dnia, przyjął to bardzo spokojnie, co jeszcze bardziej pogłębiło upokorzenie Lovata.

Do czwartku wieczorem pozbierał się na tyle, żeby zacząć sobie żartować i płonąć z ciekawości, jak pójdzie sprzedaż. Miał zaproszenie. Jako antykwariusz był zapraszany na większość aukcji Berrisfordów. Obowiązywał strój wieczorowy, więc Lovat, który chciał wyglądać jak najlepiej, pojechał do domu, przebrał się i dotarł na aukcję w chwili, kiedy licytator przystąpił do sprzedaży pierwszego obrazu. Chłopak, młody Szkot, który powinien być zdenerwowany, wyglądał na zupełnie odprężonego i spokojnie prowadził licytację.

Kiedy Lovat słyszał historie o tym, jak ktoś wchodził do jakiegoś pomieszczenia i natychmiast dostrzegał tam kobietę, z którą najchętniej w tej chwili poszedłby do łóżka, myślał, że ich autorzy postradali zmysły. Jemu nie przytrafiło się nic podobnego do chwili, kiedy wszedł do sali aukcyjnej Berrisfordów. Jeszcze nim zobaczył Biankę, na samą myśl, że ona tam jest, czuł coś w powietrzu.

Kiedy ją dostrzegł w rogu pokoju przy telefonach, coś go poraziło. Nie potrafił oderwać od niej wzroku, myślał tylko o jednym - ściągnąć jej z włosów tę idiotyczną, jedwabną wstążkę, zerwać z niej zakiet, scałować ten uśmiezek. Choć rozsądek mu mówił, że kompletnie oszalał, druga część mózgu szukała sposobów odzyskania Bianki.

Bianka natychmiast zauważyła Lovata, ale udawała, że go nie widzi. Wymagało to ogromnego wysiłku, zwłaszcza kiedy Patrick przeszedł do obrazów Somowa, które jeden po drugim przez telefon kupił kolekcjoner z Kalifornii. Całe życie chodziła na aukcje i zawsze ją podniecały. Setka zdenerwowanych ludzi, ogromne pieniądze, walki na śmierć i życie, zwycięstwa i rozczarowania - dla niej aukcja była równie dramatyczna jak opera, a ta wyjątkowa aukcja, jej osobisty triumf, to prawdziwa epika.

Kiedy Patrick sprzedał rzeźbę z brązu przedstawiającą głowę dawno zapomnianej kobiety, w sercu Bianki zagościła nagle czułość dla Lovata. Przyjść tutaj dzisiaj i uczestniczyć w jej zwycięstwie, podczas gdy planował jej ostateczną klęskę, to wymagało odwagi, to wymagało wielkiego serca. Oczy same ku niemu pobiegły i po chwili spotkali się wzrokiem. Uśmiechnęła się do niego, nie potrafiła się powstrzymać.

Kolia

Wreszcie Patrick kończył sprzedaż rzeźby. Następna będzie biżuteria. Na początek pójdzie portret Kuźmińskiej, wnoszony właśnie przez portierów i ustawiany na czarnych sztalugach. W sali panował nieznośny upał i Bianca nagle zrobiło się słabo. Oparła się ręką o ścianę i uświadomiła sobie, jak bardzo ją wyczerpały te miesiące życia w napięciu. Potrząsnęła głową, żeby trochę oprzytomnieć, i bokiem przeszła do wyjścia.

- Dobrze się czujesz? Lovat znalazł ją w korytarzu.

- Przez chwilę zakręciło mi się w głowie. Tu jest lepiej, znacznie chłodniej.

Czy pozwoliłaby mu się objąć?

- Usiądź tutaj. Przynieść ci szklanek wody? Tak! Wyglądała na zadowoloną.

- Chyba tak. Tak, poproszę o szklankę wody.

- Błado wyglądasz.

Wyglądała przepięknie. Jej ramię go paliło. Jakże żałował tych słów o bryle lodu!

- Nie masz pojęcia, jakie ciężkie były ostatnie tygodnie. Lovat milczał. Bał się, że gdyby się dowiedziała, że chciał zrujnować ten wieczór, byłby stracony.

- Co się dzieje?

Nachyliła się, żeby zobaczyć monitor w rogu korytarza.

- Ciągłe są przy portrecie.

- Chcesz wrócić na salę?

Usiłowała powiedzieć, że tak, ale nie mogła. Próbowwała wstać, ale nic z tego nie wyszło. Obejmował ją ramieniem. Sprawiało jej to... Właśnie, co? Sprawiało jej to przyjemność! Chyba chciała, żeby objął ją jeszcze mocniej. Miło by było go pocałować, czuła charakterystyczny, ostry zapach jego skóry. I on pragnął tego samego, znała ten wyraz jego oczu, choć nie widziała go już od lat.

- Nie mogę tam wrócić. Po prostu nie mogę. Nie wiem, co się ze mną dzieje, chyba za dużo tego było. Może byśmy wyszli na zewnątrz? I tak zrobią przerwę przed biżuterią.

Teraz nogi jej posłuchały. Wypuścił ją, na plecach natychmiast poczuła chłód. Idąc wolno Jermyn Street gwałtownie szukała sposobu, żeby zdobyć to, czego w tym momencie najbardziej pragnęła.

- Wiesz, że CNN nadaje relację z aukcji?

- Gratulacje dla działu kontaktów z mediami.

- Sami się z nami skontaktowali.

Nagle to miała.

- Chciałabym to obejrzeć. Zarezerwowaliśmy na później apartament w Ritzu, tam to będzie, nagrywamy transmisję na magnetowid. Pójdziemy?

- A zdążymy?

Co naprawdę miała na myśli? Nie wiedział, czy dobrze ją rozumie. Właściwie nie znał tej kobiety, która szła u jego boku, ale faktem było, że przyspieszyła kroku, oddalając się od Berrisfordów, a zdążając do hotelu, i niezależnie od jej prawdziwych intencji, dała mu szansę, o którą się modlił.

W apartamencie panowała taka cisza, że słyszeli szmer taśmy w magnetowidzie. Z ekranu przemawiał prezydent Bush. Szampan już się chłodził w kubelkach, więc Lovat otworzył butelkę i nalał dla nich obojga.

- Tak, chętnie się napiję - powiedziała Bianka i uświadomił sobie, że nawet nie spytał. Całą jego uwagę pochłaniało tylko jedno.

Bianka sięgnęła po pseudorokokowe krzesło, ustawiła je przed telewizorem i włączyła głośniej fonię, kiedy dobiegła końca relacja w Waszyngtonu. Na ekranie pojawiła się reporterka, stała przed portretem Kuźmińskiej. Kobieta była chyba nie umalowana, miała na sobie luźną bawełnianą koszulę i legginsy. Na dole ekranu wyświetlono jej nazwisko: Isabel McKinnon.

- Wiedziałaś, że to będzie ona?

Lovat wziął dla siebie krzesło i obrócił je, żeby móc się oprzeć, a równocześnie siedzieć jak najbliżej Bianki - na tyle, na ile się odważył.

- Musiała to nagrać wcześniej.

- Tak, zdaje się, że wiedziałam.

- Próbujesz mnie zawstydzić?

- Nie potrzebujesz mojej pomocy.

- Przerzuciła się teraz na ekologię i rozważania duchowe, prawdziwa kobieta lat pięćdziesiątych.

- Założę się, że dupa z niej żadna.

- Hmm... Znała się na rzeczy od strony technicznej. I płaciła rachunki własnymi kartami kredytowymi.

Roześmiała się, ale nie patrzyła mu w oczy.

- Cóż, jeśli chcesz wiedzieć, Alex wart był każdego wydanego na niego grosza. Wrobiłeś mnie, prawda?

Przygryzł wargę tak mocno, że popłynęła z niej krew. Byle tylko nie powiedzieć. Chciał jej wszystko wyznać. Chciał, żeby

Kolia

539

wszystko zostało wyjaśnione i to pragnienie uświadomiło mu, dlaczego Bianka zerwała ich małżeństwo. Jej odrazę wzbudziło samo oszustwo, a nie to, czego dotyczyło. Kłamstwo ich dzieliło, nawet w chwilach największej bliskości. Ale jeśli powie prawdę, Bianka znowu się rozgniewa i ją straci.

Bianka zastanawiała się, czy nie przeciągnęła struny. Lovat patrzył na nią bezradnie, brakowało mu słów.

- Nie odpowiadaj, to bez znaczenia. Potrzebowałam kogoś takiego jak Alex, wyszedł mi na dobre. Jego naszyjnik nie był kolia Orłowa, ale na nim też zarobimy, a w tym momencie każdy grosz się przyda.

Powtarzała sobie, że niezależnie od tego jak podniecająca była ta aukcja i jak wysokie ceny uda im się wylicytować, zyski utrzymają Berrisfordów na powierzchni zaledwie przez kilka najbliższych miesięcy. Jednak te fakty nie przynosiły otępienia.

- Chcesz się dowiedzieć, jak zdobyłam oryginał?

- Oczywiście.

Lovat osłabł z nagłej ulgi.

- Tak też mi się wydawało.

Założyła nogę na nogę i uśmiechnęła się, widząc, jak wzrokiem śledzi każdy jej ruch.

- Powiedz.

Pokręciła głową z rozbawieniem. Górną wargą przykryła dolną, zostawiając na niej wilgotny ślad.

- To nieuczciwe.

- A czyż nie mówi się, że w miłości i na wojnie wszystko dozwolone?

A więc co to było, wojna czy miłość? A może jedno i drugie? Lovat nie potrafił odpowiedzieć.

W telewizji mignęło krótkie ujęcie kolii, a potem zobaczyli salę aukcyjną i modelkę z naszyjnikiem.

- Ile chcesz za nią wziąć?

Wiedział, jak to zrobić. Wiedział, jak ją zdobyć, nieważne, czy brała udział w grze, czy nie.

- Pięć milionów funtów.

- Oszalałaś, w życiu tyle nie dostaniesz. Mów lekko, z rozbawieniem, sprowokuj ją...

- Chcesz się założyć?

Patrick otworzył licytację ceną dwa miliony dwieście.

- Tak.

Spryciarz, złapał ją. Założyła nogę na nogę, czując wilgoć.

Cetta Brayfield

Była już gotowa, ale oczekiwanie było rozkoszne, cała ta gra cudowna. Czy Lovat odczuwał takie samo podniecenie?

- Dobra, zgoda. O co się zakładamy? Ty pierwszy.

- Jeśli przegrasz, zjemy dzisiaj razem kolację, tylko we dwoje. Niech to Ucho! Spartolił. Ten patos. Będzie zmęczona,

rozdrażniona, na pewno się pokłóca. Licytacja przebiegała szybko, cena sięgnęła trzech milionów sześciuset.

Wolno odwróciła głowę i zmierzyła go długim spojrzeniem spod rzęs.

- Wiesz, jakie to będzie trudne. Ale nie stchórzę. Dobra, jeśli przegram, kolacja. - Wyciągnęła stopę, jakby podziwiała cienki zamszowy pasek buta opinający wysokie podbicie.

- Powinnam chyba zażądać, żebyś sprzedał połowę twoich akcji Berrisfordów. - Coś chyba jej się przykleiło do wargi, bo wydeła usta i przeciągnęła po nich językiem. - Albo żebyś mi dał te rysunki Cezanne'a, o których tak milczysz, ale prawdę mówiąc niezbyt mnie to podnieca.

Musiała poprawić fryzurę. Odstawiła kieliszek i uniosła ręce do góry. Przyglądała włosy, ale wtedy zauważyła, że kieliszek jest pusty. Podała go Lovatowi, żeby nalał jeszcze szampana. Sięgnął po butelkę, a ona mówiła dalej:

- Myślę, że tak naprawdę to chcę ciebie, tutaj, w tej sypialni, na tamtym łóżku. - Szampan popłynął jej po palcach.

- Łóżku albo innym odpowiednim miejscu. Godzinę porządnego, namiętnego seksu. Ależ z ciebie niezgraba, Lovat, zobacz, co narobiłeś, wszystko wylałeś mi na rękę.

Wziął jej dłoń i zlizął szampana spomiędzy palców. Bardzo dobrze.

- Godzina z możliwością przedłużenia. Zgoda.

- Mhmmm.

Odwrócił jej rękę i zaczął używać wnętrza dłoni.

- Przyklepiemy, kiedy skończysz. Mówię poważnie, Lovat. Tylko jeśli wygram.

Kiedy już podali sobie dłonie, cofnęła się i siedziała z rękami na piersiach.

Patrick pytał, czy ktoś da więcej niż cztery miliony czterysta. Szybko zgłosiły się trzy osoby, podnosząc cenę do czterech milionów siedmiuset.

- Wiesz, kto licytuje?

- Niektórzy. Cztery sześćset wyskali sobie z palca. Znaczyło to, że był to oszukany głos, albo złudzenie

licytatora, albo to ktoś z jej ludzi wymusił podniesienie stawki.

Kolia

537

- Nie patrz tak na mnie, każdy tak robi. Tak czy owak przynajmniej dwóch gra serio.
 - Mamy cztery miliony osiemset. - Młodzieńcza twarz Patricka była zupełnie pozbawiona wyrazu, kiedy rozglądał się po sali.
 - Jesteś pewna, że...
 - Cztery dziewięćset pięćdziesiąt, dziękuję: Cztery miliony dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy funtów.
 - To sułtan Brunei. Jestem pewna, że co?
 - Że ten chłopak nie jest za młody na taką sprzedaż? Chciało mu się pić, ale kieliszek był już pusty, a on nigdy nie czuł się dobrze po szampanie. Lovat przełknął, w ustach mu zaschło. Dojdźcie do pięciu i pozwólcie mi ją mieć! Błagam!
 - Staruszek jest w szpitalu.
 - Brak mu doświadczenia, wypuszcza ich z rąk.
 - Patrick jest dobry.
- Osuszyła kieliszek i trzymała go między palcami. Niech ktoś da pić. Niech da pić, żebym mogła włożyć tego rozkosznego ptaszka tam, gdzie się na coś przyda. Umrę, jeśli ktoś nie da pięciu.
- Ale jego akcent...
 - Nie bądź snobem. To sprytny...
 - Pięć milionów pięćdziesiąt!
- Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy, potem przez chwilę wodziła po nim wzrokiem. Czy się zmienił? Czy pachnie inaczej? Czy jego dotyk będzie inny? Wyglądał na mocno przerażonego. Ona sama czuła niepokój.
- Pięć milionów pięćdziesiąt, pan z tyłu.
 - I tak wygrałaś.
- W jego głosie brzmiała nadzieja. Próbował się nie uśmiechać.
- Pojawił się nowy chętny.
- Wyciągnęła ręce i delikatnie pociągnęła za końce krawata.
- Przypuszczam, że jeszcze chwilę będą się szarpać. Guzik od kołnierzyka zawsze nastreczał kłopoty, zwłaszcza jeśli ktoś się upierał nosić koszule o pół numeru za małe, a potem narzekał, że mu ciasno.

- Jeśli czekał, żeby doszło do pięciu, musi być poważny. Jak to się stało, że mimo dziesięciu lat małżeństwa nie wiedziała, czy ten mężczyzna ma wrażliwe sutki. O, tak. Tak. Co za wspaniały widok. Rozbrajający.

- Nie zgodzę... - Musiał odchrząknąć. - Mowa była o sypialni.

Celta Bray field

- Skaleczyłeś się w wargę. - Dotknęła ranki. Lovat przymknął oczy. - Chcę wiedzieć, za ile pójdzie kolia. Wstała chwiejnie, w głowie jej się kręciło z pożądania. Wzięła w rękę końce krawata, jakby go podciągała. - Ale w sypialni też jest telewizor.

Nowym kupcem okazał się amerykański magnat hotelowy, który koniecznie chciał dać swojej najnowszej blondynce coś cenniejszego niż to, co kiedyś ofiarował swojej byłej blondynce. Odebrał sułtanowi kolia Orłowa za pięć milionów siedemset tysięcy funtów. Bianka nigdy jeszcze me czuła się tak szczęśliwa.

Postłowie

Większość tła historycznego i wstępna inspiracja do tej książki pochodzą z *Ulicy Teatralnej* Tamary Karsawiny, zapisu jej życia jako tancerki w St Petersburgu, jednej z najwspanialszych autobiografii kiedykolwiek spisanych. W razie wątpliwości najczęściej przyjmowałam zdanie autorytetu, wybitnego znawcy baletu, Richarda Buckle'a. Karsawina przez krótki czas walczyła z komisarzami wyznaczonymi przez rząd rewolucyjny i niechętnie przyjęła funkcję przewodniczącej zarządu zespołu Teatru Maryjskiego. Jej mąż opuścił Piotrogród razem z brytyjską misją dyplomatyczną i w 1918 roku podążyła za nim do Londynu z ich małym synem, Nikitą. W rozkwitającym kręgu londyńskiego baletu była powszechnie kochana i szanowana, występowała z zespołem Diagilewa do 1926 roku, kiedy to zatańczyła z młodym Serge Lifarem w *Romeo i Julii*. Nim odeszła ze sceny w 1931 roku, kreowała role w nowym, brytyjskim zespole Ballet Rambert. Nuanse tańca w *Giselle*, *Ognistym ptaku* i *Duchu róży* przekazała Margot Fonteyn, zaś sir Fredericka Ashtona nauczyła mimicznej sceny w *Córce źle strzeżonej*. Gdy umarła w 1978 roku, powszechnie żałowano osoby o tak wyjątkowych umiejętnościach artystycznych, głębokim umyśle i wielkim sercu.

Niewielu z jej współczesnych cieszyło się równie długim i szczęśliwym życiem. Przez jakiś czas Siergiej Diagilew, najbardziej utalentowany impresario świata, gromadził genialnych artystów, by tworzyli cuda dla jego publiczności. Tancerze i choreografowie z Baletów Rosyjskich przez pokolenia królowali w swych dziedzinach; Bakst, Braque, Debussy, Matisse, Picasso, Ravel i Strawiński znaleźli się pośród licznej grupy utalentowanych muzyków i malarzy, których Diagilew za-

praszał do współpracy. W ciągłym szaleństwie entuzjazmu dla nowych planów i swych artystów, impresario, który cierpiał na cukrzycę zaniedbywał zdrowie. Umarł w Grand Hotel des Bains w Wenecji w 1929 roku, a dwa tygodnie wcześniej zabrał po raz pierwszy do opery swego ostatniego protegowanego, szesnastoletniego kompozytora Igora Markiewicza

Również Anna Pawłowa osiadła w Londynie. Tańcząc z własnym zespołem kierowanym przez męża, Victora Dandré objecha a cały świat występując w repertuarze doskonale uwypuklającym jej unikatowy dar ekspresji. Pawłowa inspirowała innych tancerzy swoimi występami, pośród nich młodego Fredencka Ashtona, który widział ją w Limie w Peru zaziębiła się podczas próby i umarła w 1931 roku w Holandii na zapalenie płuc.

Wacław Niżyński opuściwszy Balety Rosyjskie zachowywał się coraz dziwniej. Zakończył karierę w 1919 roku w dwudziestym dziewiątym roku życia. Lekarze stwierdzili schizofrenię - wtedy nowo odkrytą chorobę. Żona i przyjaciele wytrwale, choć bezskutecznie, walczyli o jego wyleczenie - zmarł w Londynie w 1950 roku. Wyleczenie, Olga Spiesiwcewa, chyba najwspanialsza balerina w tym pokoleniu, w rzeczywistości ukończyła szkołę dopiero w 1912 roku ale pozwoliłam sobie dodać jej parę lat, żeby umieścić tak fascynującą osobowość wśród drugoplanowych postaci w tej książce. Tańczyła w stylu poetyckim, miała doskonałe nogi, j stopy, a jej ruchy przypominały „rozwijający się kwiat” dlatego też po rewolucji stała się gwiazdą zespołu i równocześnie ulubionym gościem Baletów Rosyjskich

Lifar twierdzi, że Spiesiwcewa została kochanką wyższego rangą członka rządu komunistycznego; na początku istnienia nowej w adzy świat baletu hołdował dawnym tradycjom ale zamiast klejnotów kochanek zaoferował jej zaszczytną możliwość wybrania pierwszego ciała, które miało zainaugurować otwarcie nowego miejskiego krematorium. Spiesiwcewa wyjechała z Rosji, w 1923 roku. Obdarzona intrygującą, lecz neurotyczną osobowością nie umiała zapuścić korzeni na wygnaniu ! w czasie II wojny światowej została zamknięta w amerykańskim szpitalu psychiatrycznym, skąd przyjaciele uwolnili ją w 1963 roku.

Matylda Krzesińska szczęśliwie dla potomności prowadziła szczegółowe dzienniki. Jej wspomnienia uzupełniają spisy tytułów, zaszczytów, daty występów, entuzjastyczne recenzje

Kolia

541

i listy klejnotów. W czasie rewolucji bolszewicy zajęli jej wspaniałą rezydencję, Lenin przemawiał z balkonu, gdy ona ukrywała się w Piotrogradzie, nie rozumiejąc z początku, że skończyły się czasy, gdy była „kobietą o największych wpływach w Rosji”.

Krzesińska z kochankiem, wielkim księciem Andrzejem, i ich synem uciekła na południe i wypłynęła z Rosji w 1920 roku z Noworosyjska do Wenecji razem z grupą zubożałych arystokratów. Wszyscy byli praktycznie bez grosza, Krzesińska miała tylko dwie sukienki, a matka Andrzeja, wielka księżna Maria Pawłowna, zapłaciła za ich przejazd brylantową broszką.

Mieszkali najpierw w ich willi na południu Francji, pobrali się rok później, gdy głowa carskiej rodziny na wygnaniu zezwoliła na zawieranie małżeństw morganatycznych. W 1928 roku, gdy skończyły się pieniądze pochodzące ze sprzedaży klejnotów i pożyczki pod zastaw willi, Krzesińska otworzyła w Paryżu szkołę baletu. Jej uczniowie występowali i uczyli na całym świecie, w Anglii były to: Margot Fonteyn, Pamela May i Pearl Argyle. Po raz ostatni wystąpiła na scenie w wieku sześćdziesięciu trzech lat podczas galowego przedstawienia w Londynie, wykonując rosyjski taniec ludowy - ostatni raz tańczyła go dla cara.